

Libba Bray

STUDNIA WIECZNOŚCI

Przełożyła
Magda Białoń-Chalecka

Wydawnictwo Dolnośląskie

Dodane przez:
shin – chomikuj.pl/shiny29

Spis treści:

Prolog	– str. 8
Rozdział 1	– str. 10
Rozdział 2	– str. 13
Rozdział 3	– str. 18
Rozdział 4	– str. 23
Rozdział 5	– str. 27
Rozdział 6	– str. 31
Rozdział 7	– str. 37
Rozdział 8	– str. 44
Rozdział 9	– str. 48
Rozdział 10	– str. 56
Rozdział 11	– str. 62
Rozdział 12	– str. 70
Rozdział 13	– str. 73
Rozdział 14	– str. 77
Rozdział 15	– str. 82
Rozdział 16	– str. 88
Rozdział 17	– str. 97
Rozdział 18	– str. 101
Rozdział 19	– str. 107
Rozdział 20	– str. 115
Rozdział 21	– str. 124
Rozdział 22	– str. 128
Rozdział 23	– str. 133
Rozdział 24	– str. 139
Rozdział 25	– str. 143
Rozdział 26	– str. 152
Rozdział 27	– str. 162
Rozdział 28	– str. 168
Rozdział 29	– str. 180
Rozdział 30	– str. 189
Rozdział 31	– str. 194
Rozdział 32	– str. 200
Rozdział 33	– str. 206
Rozdział 34	– str. 219
Rozdział 35	– str. 225
Rozdział 36	– str. 229
Rozdział 37	– str. 237
Rozdział 38	– str. 240
Rozdział 39	– str. 251
Rozdział 40	– str. 262
Rozdział 41	– str. 273
Rozdział 42	– str. 277
Rozdział 43	– str. 280
Rozdział 44	– str. 284

Rozdział 45 – str. 290
Rozdział 46 – str. 295
Rozdział 47 – str. 299
Rozdział 48 – str. 307
Rozdział 49 – str. 314
Rozdział 50 – str. 317
Rozdział 51 – str. 323
Rozdział 52 – str. 326
Rozdział 53 – str. 330
Rozdział 54 – str. 335
Rozdział 55 – str. 346
Rozdział 56 – str. 350
Rozdział 57 – str. 357
Rozdział 58 – str. 358
Rozdział 59 – str. 363
Rozdział 60 – str. 365
Rozdział 61 – str. 368
Rozdział 62 – str. 375
Rozdział 63 – str. 379
Rozdział 64 – str. 382
Rozdział 65 – str. 386
Rozdział 66 – str. 395
Rozdział 67 – str. 399
Rozdział 68 – str. 405
Rozdział 69 – str. 413
Rozdział 70 – str. 418
Rozdział 71 – str. 420
Rozdział 72 – str. 421
Rozdział 73 – str. 427
Rozdział 74 – str. 432
Rozdział 75 – str. 436

Barry'emu i Joshowi z wyrazami miłości

*I wszystkim, którzy wierzą, że pokój nie jest tylko ideą
lub mrzonką, ale koniecznością*

Kwintesencją braku przemocy jest miłość. Z miłości i chęci bezinteresownego działania w naturalny sposób rodzą się strategia, taktyka i techniki walki bez przemocy. Brak przemocy to nie dogmat, lecz proces.

THICH NHAT HANH

Pokój jest lepszy od wojny, ale też utrzymanie go wymaga znacznie większego wysiłku.

GEORGE BERNARD SHAW

*Różo nad Różami, jedyna w całym świecie!
I ty przybyłaś tam, gdzie przypląw fale miecie
W zamglony, smutny brzeg, i usłyszałaś dzwon,
Co wzywa nas swym biciem; daleki słodki ton.
Piękno, zasmucone wiecznym trwaniem swoim,
Stworzyło Ciebie z nas, i z szarej morskiej toni.
Dumne nasze statki o masztach zamyślonych
Jednaki los podzielą, przez Boga im sądzony.
I kiedy, zwyciężone w wojnach Najwyższego,
Zatoną pod tym samym rozgwieżdżonym niebem,
Ustanie cichy szloch serc naszych, zdjętych trwogą,
Co żyć nie potrafią i umrzeć nie mogą.*

fragment *Róży wojny* W.B. Yeatsa
w przekładzie Łukasza Witczaka

AKT 1

PRZED ŚWITEM

Nie ma nic prostszego niż samooszukiwanie.
Gdy człowiek czegoś pragnie, wierzy, że jest to prawdą.
DEMOSTENES

PROLOG

1893

Londyn

Noc była zimna i ponura, a biedacy przeszukujący Tamizę przeklinali swój los. Wyławianie śmieci z mrocznych wód wielkiej londyńskiej rzeki nie było wesołym zajęciem, ale od czasu do czasu zapewniało posiłek, więc czy im się to podobało, czy nie, musieli znosić wilgoć usztywniającą kości i wywołującą ból pleców.

- Widzisz coś, Archie?

- Nic – odpowiedział Archie swojemu kumplowi Rupertowi. – Parszywa noc.

Szukali już od godziny, a nie mogli się pochwalić żadną zdobyczą, poza ubraniami zdartym z martwego marynarza. Jutro rano będą mogli je sprzedać handlarzowi starzyzną, ale garść monet zapewniłaby im strawę i piwo jeszcze tego wieczoru, a dla łachmytów takich jak Archie i Rupert liczyło się tylko tu i teraz. Nadzieja na jakieś jutro to nedorzeczny optymizm i lepiej go zostawiać tym, którzy nie zarabiają na życie, wyławiając nieboszczyków z wód Tamizy.

Pojedyncza latarnia na łódce na niewiele się zdała wobec gęstej mgły. Brzegi skrywał mrok. Nieoświetlone domy po drugiej stronie rzeki przypominały ciemne czaszki. Mężczyźni płynęli przez płyciznę, przeczując długimi hakami brudną wodę w poszukiwaniu ciał wszystkich tych, których dzisiejszego wieczora spotkał tragiczny koniec: marynarzy lub dokerów zbyt pijanych, by się utrzymać na wodzie, ofiar poległych w bójkach na noże albo zabitych przez rzezimieszków czy morderców, przeszukujących muł dzieciaków porwanych przez silny przyptyw, z fartuchami pełnymi cennego węgla, tego samego, który pociągnął je na dno.

Nagle hak Archiego o coś zaczepił.

- Ej, Rupert, powoli. Mam coś.

Rupert zdjął latarnię z haczyka i wysunął ją za burtę. Na powierzchni unosiło się ciało. Mężczyźni wyłowili je, wciągnęli na pokład i przewrócili na plecy.

- A niech mnie! – zdziwił się Rupert. – To jest dama.

- To była dama – poprawił go Archie. – Sprawdźmy kieszenie.

Szabrownicy oddali się swemu makabrycznemu zajęciu. Kobieta wyglądała na zamożną, gdyż miała na sobie elegancką suknię z lawendowego jedwabiu, która nie mogła być tania. Stanowiła niezwykle znalezisko jak na tę okolicę.

Archie uśmiechnął się.

- Mam!

Wyciągnął z kieszeni damy cztery monety i nagryzł je po kolei.

- Ile tego jest, Archie? Starczy na kufelek?

Archie przyjrzał się uważniej zdobyczy. Niestety, nie były to funty, a szylingi.

- Ta, i na niewiele więcej – sarknął. – Zabierz naszyjnik.

- Jasne.

Rupert zdjął z szyi kobiety dziwny metalowy wisior w kształcie oka z podwieszonym u dołu półksiężycem. Nie był nawet ozdobiony szlachetnymi kamieniami. Na pewno nikt nie będzie chciał go kupić.

- A to co takiego? – zapytał Archie. Rozgiął zeszywniałe palce kobiety, zaciśnięte na skrawku mokrego papieru.

Rupert szturchnął kumpla.

- Co tam jest napisane?

Archie odepchnął go.

- Nie wiem. Nie umiem chyba czytać, nie?

- Jak miałem osiem lat, chodziłem do szkoły – pochwalił się Rupert, biorąc kartkę. – „Drzewo Wszystkich Dusz żyje”.

Archie dał mu kuksańca.

- A to co ma niby znaczyć?

Rupert pokręcił głową.

- Nie wiem. Co z tym robimy?

- Zostaw. Ze słów nie ma pożytku, chłopcze. Zabieraj ubrania i wrzućmy ją z powrotem do wody.

Rupert wzruszył ramionami i zrobił, co mu kazano. Archie miał rację: ze starego listu nie da się wyciągnąć żadnych pieniędzy. Jednak to smutne, że ostatnie słowa zmarłej przypadną wraz z nią, chociaż pewnie gdyby komuś na tej pani zależało, to nie pływałaby twarzą w dół po Tamizie w taką parszywą noc. Chwilę później mężczyźni wyrzucili kobietę za burtę. Rozległ się zaledwie cichy plusk.

Ciało zanurzyło się powoli, a opuchnięte białe dłonie unosiły się na powierzchni kilka sekund dłużej, jakby po coś sięgały. Szabrownicy wbili haki w błotniste dno i ruszyli z prądem w poszukiwaniu skarbu, dzięki któremu noc na chłodzie nie będzie stracona.

Archie szturchnął jeszcze kobietę hakiem w głowę w gwałtownym błogosławieństwie, zanim pochłonęły ją mętne, muliste wody potężnej Tamizy. Rzeka przyjęła jej ciało i zabrała ostatnie ostrzeżenie do mrocznego grobu.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Marzec 1896

Akademia Spence dla Młodych Dam

Istnieje pewien szczególny krąg piekła niewspomniany w słynnym dziele Dantego. Można weń wstąpić w szkołach dla panien w całym Imperium, a nazywa się lekcja manier. Nie wiem, jak się czuje istota wrzucona do jeziora ognia. Zapewne nie jest jej przyjemnie. Ale z pełnym przekonaniem mogę stwierdzić, że przejście całej sali balowej z książką na głowie i deską przywiązaną do pleców w stroju złożonym między innymi z gorsetu, kilku warstw halek oraz za ciasnych bucików stanowi torturę, którą nawet pan Alighieri uznałby za zbyt paskudną dla swojego Piekła.

– Kierujcie wzrok ku niebiosom, dziewczęta – sugeruje nasza dyrektorka, pani Nightwing, gdy ruszamy wolnym krokiem z wysoko uniesionymi głowami i rękami wyciągniętymi jak baletnice.

Pętłe, którymi przymocowano deskę, wrzynają mi się w ramiona. Kawałek drewna jest nieugięty i muszę trzymać się sztywno jak strażnik pod pałacem Buckingham. Kark boli mnie od wysiłku. Mój debiut odbędzie się w maju, czyli o cały rok wcześniej niż powinien, ponieważ wszystkie zainteresowane strony uznały, że w wieku lat siedemnastu jestem już gotowa i dobrze mi zrobi, jeśli teraz wejdem do towarzystwa. Będę nosiła piękne suknie, brała udział w wystawnych przyjęciach i tańczyła z przystojnymi dżentelmenami – jeżeli przeżyję szkołę. W tej chwili poważnie w to wątpię.

Pani Nightwing przechadza się wzdłuż sali balowej. Jej sztywne spódnice muskają podłogę z szelestem, jakby ganiły ją za to, że tam leży. Dyrektorka bez chwili przerwy wyszczekuje rozkazy niczym sam admirał Nelson.

– Głowy wysoko! Nie uśmiechać się, panno Hawthorne! Spokojny, poważny wyraz twarzy! Nie myśleć o niczym.

Staram się, by moje oblicze przypominało niezamalowane płótno. Kręgosłup zaraz mi pęknie, a lewe ramię, które trzymam wyciągnięte chyba już od wielu godzin, drży z wyczerpania.

– I dygnięcie...

Niczym opadające suflety dygamy nisko, rozpaczliwie próbując nie stracić równowagi. Pani Nightwing nie wydaje rozkazu, żeby się wyprostować. Nogi mi się trzęsą z wysiłku. Nie dam już dłużej rady. Wywracam się na twarz. Książka spada mi z głowy i z głośnym łupnięciem ląduje na podłodze. Robiliśmy to już czterokrotnie i za każdym razem coś mi nie wychodziło. Widzę, jak buty pani Nightwing zatrzymują się kilka centymetrów od mojej twarzy oblanej rumieńcem wstydu.

– Panno Doyle, pozwolę sobie przypomnieć, że znajduje się pani na królewskim dworze i kłania się swojej władczyni, a nie występuje w Folies Bergère.

– Tak, proszę pani – odpowiadam potulnie.

Sprawa jest beznadziejna. Nigdy nie uda mi się dygnąć i nie upaść. Wyłożę się jak długa na lśniącej posadzce pałacu Buckingham, niczym symbol najgorszej kompromitacji, nosem dżgając but królowej. Przez cały sezon za osłoną wachlarzy będzie się plotkować tylko o mnie, a wszyscy panowie będą mnie omijać niczym zarażoną tyfusem.

– Panno Temple, może zademonstruje pani prawidłowy ukłon?

Bez zbędnych ceregieli Cecily Temple, Ta Która Wszystko Robi Bez błędnie, kłania się, wyginając ciało w długim, powolnym, pełnym wdzięku łuku, który zdaje się przeczyć prawu ciężenia. Robi to przepięknie, a ja jestem obrzydliwie zazdrosna.

– Dziękuję, panno Temple.

Tak, dziękuję, ty paskudna gnido. Obyś poślubiła mężczyznę, który każdą potrawę je z czosnkiem.

– A teraz... – Donośne stukanie zagłusza panią Nightwing. Dyrektorka mocno zaciska powieki, przeczekując hałas.

– Proszę pani – skamle Elizabeth. – Jak mamy się skupić na właściwej postawie, gdy ze Wschodniego Skrzydła dochodzą te wszystkie okropne dźwięki?

Pani Nightwing nie ma nastroju na wystuchiwanie narzekań. Bierze głęboki wdech i opiera dłonie w talii, wysoko unosząc głowę.

– Nie poddamy się, tak jak Anglia. Skoro ona mogła przetrwać Cromwella, Wojnę Róż oraz Francuzów, wy z pewnością możecie nie zwracać uwagi na stuk młotka. Pomyślcie, jak ślicznie będzie wyglądało Wschodnie Skrzydło, gdy zostanie ukończone. Spróbujemy jeszcze raz! Gotowe? Wszystkie oczy są zwrócone na was! Nie możecie czmychać przed Jej Wysokością jak wystraszone kościelne myszy.

Często zastanawiam się, jaką pozycję mogłaby zajmować pani Nightwing, gdyby nie torturowała nas w roli dyrektorki Akademii Spence dla Młodych Dam. „Szanowni Państwo – mógłby zaczynać się jej list. – Piszę w sprawie ogłoszenia o pracę dla osoby przekłuwającej balony. Posiadam szpilkę do kapelusza, która może przynieść doskonałe efekty i wywołać powszechny płacz dzieci. Moje podopieczne poświadczą fakt, że rzadko się uśmiecham, nigdy nie jestem wesoła i potrafię zabić radość w każdym towarzystwie, po prostu się w nim pojawiając i emanując wyjątkową beznadzieją i ponuractwem. Moje referencje w tym względzie są bez zarzutu. Jeżeli czytając mój list, nie popadli Państwo w stan głębokiej melancholii, to proszę przesłać odpowiedź na ręce pani Nightwing (posiadam imię, ale nikt nie ma pozwolenia, by go używać) prowadzącej Akademię Spence dla Młodych Dam. Jeśli nie umiecie sami znaleźć adresu, to znaczy, że się za mało staracie. Z poważaniem, pani Nightwing”.

– Panno Doyle! Cóż ma znaczyć ten bezsensowny uśmiech? Czy powiedziałaś coś, co panią rozbawiło? – Reprimenda wywołuje rumieniec na moich policzkach, a koleżanki chichoczą.

Posuwistym krokiem przemierzamy salę, usilnie starając się ignorować stukot młotka i krzyki. Jednak to nie hałas nas rozprasza. To świadomość, że w pobliżu, zaledwie piętro wyżej, znajdują się mężczyźni, sprawia, iż robimy się płochliwe i roztrzepane.

– Może mogłybyśmy zobaczyć, jak posuwają się prace, proszę pani? To musi być niezwykle widok – sugeruje Felicity Worthington głosem słodkim jak ulepek. Tylko ona może się odważyć na coś podobnego. Ma zdecydowanie zbyt wielki tupet. I jest jedną z moich nielicznych sojuszniczek w Spence.

– Robotnicy nie potrzebują, żeby ktoś kręcił im się pod nogami, bo i tak już przekroczyli termin – odpowiada pani Nightwing. – Głowy wysoko, jeśli można! I...

Z góry rozlega się głośnie łupnięcie. Nagły hałas sprawia, że wszystkie podskakujemy. Nawet pani Nightwing wymyka się okrzyk: „Dobry Boże!”. Elizabeth, która właściwie jest jedną wielką nerwicą przebraną za debutantkę, skowyczy i chwytą się Cecily.

– Och, proszę pani! – histeryzuje.

Spoglądamy na dyrektorkę z nadzieją.

Pani Nightwing z grymasem dezaprobaty powoli wypuszcza powietrze przez usta.

– W porządku. Przełożymy naukę na inny termin. Teraz zaczerpnijmy świeżego powietrza, by nasze policzki nabrały koloru.

– Możemy wziąć papier i naszkicować postępy prac we Wschodnim Skrzydle? – pytam. To by była ciekawa dokumentacja.

Pani Nightwing nagradza mnie rzadko u niej widywanym uśmiechem.

– Doskonała sugestia, panno Doyle. Oczywiście, proszę wziąć papier i ołówki. Poślę z paniami Brigid. Przywdziejcie płaszcze. I proszę iść spokojnie, jeśli łaska.

Porzucamy deski wraz z dobrymi manierami, po czym galopujemy w kierunku schodów i obietnicy wolności, choćby tylko tymczasowej.

– Iść spokojnie! – krzyczy pani Nightwing. Kiedy okazuje się, że nie potrafimy zastosować się do tej rady, woła za nami, że jesteśmy dzikuskami niezdatnymi do małżeństwa. Dodaje też, że przynosimy wstyd jej szkole i jeszcze coś tam, ale my już pokonałyśmy pierwszy bieg schodów w dół i jej słowa nie mogą nas dogonić.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wielka bryła Wschodniego Skrzydła leży przed nami niczym szkielet ogromnego drewnianego ptaka. Konstrukcja jest nienaruszona, a budowniczowie starają się przede wszystkim odnowić zrujnowaną basztę łączącą Wschodnie Skrzydło z resztą szkoły. Od czasów pożaru, który zniszczył ją dwadzieścia pięć lat temu, była jedynie malowniczą ruiną. Zostanie jednak wskrzeszona za pomocą kamieni, cegieł oraz zaprawy i zapowiada się na wspaniałą wieżę – wysoką, przestronną i imponującą.

Od stycznia z sąsiednich wiosek przybywają hurmy mężczyzn, którzy w zimnie i deszczu, codziennie prócz niedziel, pracują nad odnawianiem naszej szkoły. Podczas remontu nam, dziewczętom, nie wolno się zbliżać do Wschodniego Skrzydła. Oficjalnie jest to dla nas zbyt niebezpieczne: mogłaby nas uderzyć zblakana belka albo przebić zardzewiały gwóźdź. Pani Nightwing tak obrazowo opisała wszelkie ewentualne zagrożenia, że teraz każde uderzenie młotka sprawia, iż co bardziej nerwowe z nas podskakują jak worek pełen kotów.

Prawda jednak jest taka, że dyrektorka po prostu nie chce, abyśmy kręciły się w pobliżu mężczyzn. Jej rozkazy w tej kwestii są jasne: nie wolno nam w ogóle rozmawiać z robotnikami, a im nie wolno odzywać się do nas. Należy zachować odpowiedni dystans. Budowniczowie postawili namioty ponad pół kilometra od szkoły. Są pod baczną obserwacją majstra, pana Millera, a my nigdzie nie odchodzimy bez przyzwoitki. Zostały podjęte wszelkie środki ostrożności, żebyśmy nie miały z nimi żadnego kontaktu.

I to właśnie prowokuje nas do szukania ich towarzystwa.

W płaszczach, dokładnie pozapinanych dla ochrony przed nadal nieprzyjemnym marcowym chłodem, rażnym krokiem idziemy przez las za Spence z naszą gospodynią Brigid, która sapie i dyszy, próbując za nami nadążyć. Nie zachowujemy się zbyt uprzejmie, ale to jedyny sposób, byśmy mogły spędzić kilka chwil na osobności. Gdy wbiegamy na szczyt wzgórza, skąd rozciąga się wspaniały widok na plac budowy, Brigid pozostaje jeszcze daleko w tyle, przez co zyskujemy cenny czas.

Felicity wyciąga dłoń.

– Proszę o lornetkę, Martho.

Martha wyciąga lornetkę teatralną z kieszeni płaszcza. Dziewczeta przekazują ją sobie z rąk do rąk, aż w końcu trafia do Felicity, która przykłada ją do oczu.

– Doprawdy imponujący widok – mruczy.

Jakoś nie wydaje mi się, by chodziło jej o Wschodnie Skrzydło. Z miejsca, w którym się znajdujemy, widzę sześciu dobrze zbudowanych mężczyzn, osadzających potężną belkę. Pewna jestem, że gdybym miała lornetkę, dostrzegłabym zarys każdego ich mięśnia.

– Och, daj popatrzeć, Fee – jęczy Cecily. Sięga po lornetkę, ale Felicity odsuwa się.

– Czekaj na swoją kolej.

Cecily wydyma usteczka.

– Brigid dotrze tu lada moment i w ogóle nie będę miała okazji popatrzeć!

Felicity szybko opuszcza lornetkę i bierze szkicownik.

– Nie patrzcie teraz, chyba zwróciłyśmy uwagę jednego z nich.

Elizabeth podskakuje i próbuje coś dojrzeć, wykręcając szyję.

– Którego? Którego?

Felicity nadeptuje jej na stopę i Elizabeth się cofa.

– Au! Dlaczego to zrobiłaś?

– Mówiłam, żebyście nie patrzyły – syczy Fee przez zaciśnięte zęby. – Cała sztuka polega na tym, żeby się zachowywać tak, jakby się ich nie zauważało.

– Aha – wzdycha Elizabeth ze zrozumieniem.

– Obserwuje nas ten na końcu, w koszuli z okropnymi czerwonymi łatami – wyjaśnia Fee, pozorując zainteresowanie szkicem.

Jej opanowanie to talent, który chciałabym osiąść. Ja niestety codziennie rozglądam się po okolicy w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów pewnego młodego mężczyzny, którego nie widziałam, odkąd wyjechałam z Londynu trzy miesiące temu. Elizabeth zerka dyskretnie przez lornetkę.

– O rety! – wykrzykuje, opuszczając ją. – Mrugnął do mnie! Co za tupet! Natychmiast zawiadomię panią Nightwing – oburza się, ale zadyszka i podniecenie w głosie zdradzają jej prawdziwe emocje.

– Na wszystkich świętych! – W końcu dotarła do nas Brigid.

Felicity pospiesznie podaje lornetkę Marcie, która z piskiem upuszcza ją w trawę i dopiero potem wsuwa do kieszeni peleryny.

Gospodyni przysiada na głazie, żeby odpocząć.

– Za szybkie są dla starej Brigid. Chyba wstydu nie mają, żeby tak mnie przegonić!

Felicity uśmiecha się słodko.

– Och, przepraszamy, Brigid. Nie zauważyłyśmy, że zostałeś w tyle. – A pod nosem dodaje: – Ty stara więdźmo.

Brigid podejrzliwie mruży oczy, słysząc nasze chichoty.

– A co panienki wyprawiają? Dworują sobie z Brigid, co?

– Ależ skąd!

– Och, to nie ma sensu – wzdycha Cecily. – Jak mamy rysować Wschodnie Skrzydło z takiej odległości? – Spogląda z nadzieją na gospodynię.

– Będą rysowały stąd i ani kroku bliżej. Słyszały, co kazała w tej dziedzinie pani Nightwing. – Brigid wpatruje się w drewniany szkielec i budowniczych obrabiających kamień. Po chwili potrząsa głową. – Nie należy naprawiać przeklętego miejsca. Powinni zostawić je w spokoju.

– Och, kiedy to takie ekscytujące! – protestuje Elizabeth.

– I pomyśleć tylko, jak ślicznie będzie wyglądała Akademia Spence po odbudowaniu Wschodniego Skrzydła! – wtóruje jej Martha. – Jak możesz mówić, że to zły pomysł, Brigid?

– Bo pamiętam – odpowiada kobieta, pukając się palcem w skroń. – To miejsce było przeklęte, zwłaszcza baszta. Coś tam się czaiło. Mogłabym wam opowiedzieć takie historie...

– Tak, na pewno, i byłyby to wyśmienite historie – ciepło przerywa jej Felicity, niczym matka mitygująca nerwowe dziecko. – Ale boję się, że od zimna znów rozbolą cię plecy.

– No – zgadza się Brigid, pocierając się po bokach. – Prawdziwe utrapienie. A moje kolana też nie młodnieją.

Kiwamy zgodnie głowami.

– Podejźmy tylko kawałeczek bliżej – grucha Fee. – Tyle tylko, żeby narysować dobry szkic.

Robimy, co w naszej mocy, żeby wyglądać niewinnie niczym anielski chór.

Brigid szybko kiwa głową.

– No to niech zmykają. Ale niech nie podchodzą za blisko! Będę na nie patrzyła!

– Dziękujemy, Brigid! – wołamy wesoło. Szybko zbiegamy ze wzgórza, zanim zmieni zdanie.

– Niech się pospieszą! Znosi się na deszcz!

Nagły powiew rzeńskiego marcowego wiatru przelatuje nad zbrązowiałym trawnikiem. Potrząsa zmęczonymi ramionami drzew, jakby były kościanymi naszyjnikami, i podrywa nasze spódnice, aż musimy je przytrzymywać. Dziewczęta piszczą z zaskoczenia – i zachwytu – czym na jeden niebacznym, zakazany moment zapewniają nam uwagę wszystkich panów w okolicy. Ten podmuch to ostatni szturm zimy. Liście już otrząsają się ze snu i

zaczynają się zbroić. Wkrótce zieleń przepuści atak, zmuszając zimę do odwrotu. Okręcam szal wokół szyi. Nadchodzi wiosna, ale mnie wciąż przenika chłód.

- Patrz? – pyta podekscytowana Elizabeth, zerkając ukradkiem w stronę mężczyzn.

- Spokojnie – mityguje ją cicho Felicity.

Włosy Marthy opadają w strąkach na kołnierzu. Dziewczyna próbuje je jakoś ujarzmić, ale nie chcą się trzymać.

- Powiedzcie szczerze, czy wilgoć zupełnie zrujnowała moją fryzurę?

- Nie – kłamie Elizabeth dokładnie w tej samej chwili, w której ja mówię:

- Tak.

Martha układa usta w pełen wyrzutu ryjek.

- Mogła się spodziewać, że się zachowasz nieuprzejmie, Gemmo Doyle.

Pozostałe dziewczęta patrzą na mnie lodowato. Wygląda na to, że „powiedzcie szczerze” to starannie zaszyfrowana wiadomość, oznaczająca „kłamcie za wszelką cenę”. Muszę to sobie zanotować. Często odnoszę wrażenie, że istnieje jakiś elementarz dotyczący tego, co jest uprzejme i co przystoi damie, a ja go po prostu jeszcze nie opanowałam. Może dlatego Cecily, Martha i Elizabeth tak mnie nie znoszą, a moja obecność tolerują tylko wtedy, gdy w pobliżu znajduje się Felicity. Ze swojej strony uważam, że one mają umysły spętane gorsetami tak jak ciała, przez co ich konwersacje ograniczają się wyłącznie do omawiania przyjęć, strojów, a także niepowodzeń i niedostatków innych ludzi. Wolałabym się raczej mierzyć z lwami w starożytnym Koloseum, niż znieść kolejną pogawędkę przy herbacie z im podobnymi. Przynajmniej lwy szczerze okazują, że chcą człowieka pożreć żywcem, i nie starają się tego ukryć.

Felicity zerka na mężczyzn.

- Ruszamy.

Zbliżamy się nieznacznie do placu budowy.

Robotnicy są przejęci naszą obecnością. Przerywają pracę i ściągają czapki z głów. Gest jest bardzo uprzejmy, ale ich uśmiechy sugerują mniej obyczajne myśli. Czuję, że się rumienię.

- No, panowie, wracajcie do roboty, jeśli chcecie ją zachować – ostrzega majster. Pan Miller to krzepki mężczyzna z bicepsami wielkimi jak szynki. Wobec nas zachowuje się grzecznie. – Dzień dobry, panienki.

- Dzień dobry – odpowiadamy.

- Mamy tu trochę drobiazgów, jeśli chcecie wziąć coś na pamiątkę po dawnych uczennicach. – Wskazuje głową stertę śmieci, na której leżą połamane rupiecie, a nawet potłuczone, poplamione sadzą klosze lamp sprzed kilku dziesięcioleci. Właśnie coś takiego pani Nightwing natychmiast umieściłaby na swojej liście pod nagłówkiem: *Unikać z powodu zagrożenia chorobą, śmiercią lub hańbą.* – Możecie sobie wybrać, co chcecie.

- Dziękujemy – mamrocze Cecily, cofając się. Elizabeth, nadal zarumieniona, uśmiecha się i posyła nieśmiałe spojrzenie mężczyźnie w koszuli z czerwonymi łatami, który wpatruje się w nią tęsknym wzrokiem.

- Tak, dziękujemy panu – odzywa się Felicity, jak zawsze przejmując kontrolę nad sytuacją. – Z wielką chęcią.

Zaczynamy grzebać w pozostałościach dawnego Wschodniego Skrzydła. Przeszłość naszej szkoły jest tu zapisana w drzazgach osmalonego drewna i w resztach papieru. Dla niektórych to po prostu opowieść o tragicznym pożarze, który pochłonął życie dwóch uczennic. Ale ja wiem lepiej. Prawdziwa historia tego miejsca dotyczy magii i tajemnicy, oddania i zdrady, podłości i niewysłowionego poświęcenia. Przede wszystkim jest to historia dwóch dziewcząt – najlepszych przyjaciółek, które stały się najzacieklejszymi wrogami – uznanych za zmarłe w pożarze sprzed dwudziestu pięciu lat, choć prawda jest o wiele bardziej skomplikowana.

Jedna z nich, Sara Rees-Toome, przybrawszy imię Kirke, wkroczyła na mroczną ścieżkę. Wiele lat później zaczęła szukać drugiej dziewczyny, swojej byłej przyjaciółki Mary Dowd, która rozpoczęła nowe życie jako Virginia Doyle, czyli moja mama. Kirke nasłata na nią okrutnego upiora, który zamordował mamę, a przez ten czyn moje życie pobiegło zupełnie innym torem niż dotychczas. Opowieść szeptana w tych murach jest również moją opowieścią.

Dziewczęta bawią się wesoło w poszukiwanie skarbów. Ale ja nie mogę się tu czuć szczęśliwa. To nawiedzone miejsce i nie wierzę, że nowe belki i ciepły ogień w marmurowym kominku cokolwiek zmieniają. Nie chcę stąd żadnych pamiątek.

Gwałtowny stukot młotki wypląsa rodzinę ptaków, która z głośnym protestem umyka wysoko w niebo. Spoglądam na stertę niepotrzebnych szczątków i myślę o mojej mamie. Czy dotykała tego filara? Czy jej zapach utrzymuje się jeszcze na kawałku szkła lub fragmencie drewna? Czuję w sobie okropną pustkę. Niezależnie od tego, jak bardzo się staram pozbierać, zawsze jakiś drobiazg powoduje, że odczuwam tę stratę na nowo.

- To jest śliczne – odzywa się człowiek z czerwonymi łatami na koszuli. Wskazuje na poszczerbiony drewniany słup zupełnie przegniły na jednym końcu. Jednak znaczna jego część przetrwała gniew pożaru i lata zaniedbania. Jest w nim wycięta cała lista dziewczęcych imion. Przesuwam ręką po rowkach i fantazyjnych nacięciach. Tyle imion. Alice, Louise, Theodora, Isabel, Mina. Przebiegam palcami po nierównym drewnie, badając je jak osoba niewidoma. Wiem, że jej imię musi gdzieś tu być, i nie spotyka mnie rozczarowanie. Mary. Przykładam płasko dłoń do wygładzonego przez wiek nacięcia w nadziei, że poczuję pod skórą obecność matki. Ale to tylko martwe drewno. Próbuję mrugnięciem powstrzymać łzy, które szczypią mnie w oczy.

- Panienko? – Mężczyzna przygląda mi się z zaciekawieniem.

Szybko wycieram policzki.

- To przez wiatr. Zapylił mi oczy popiołem.

- Racja, mocno wieje. Zbiera się na deszcz, może nawet przyjdzie burza.

- Pani Nightwing idzie! – syczy Cecily. – Proszę, chodźmy! Nie chcę dostać bury.

Szybko wyjmujemy szkiełki i siadamy w bezpiecznej odległości na kamiennej ławce koło pogrążonego w śnie ogrodu różanego. Pochylamy głowy w udawanym skupieniu, ale pani Nightwing nie zwraca na nas uwagi. Ocenia postępy na budowie. Wiatr niesie jej głos.

- Panie Miller, miałam nadzieję, że do tej pory zrobicie więcej.

- Pracujemy po dziesięć godzin dziennie, proszę pani. Poza tym pada deszcz. Nie można winić człowieka za przyrodę. – Majster popełnia błąd, uśmiechając się czarująco do pani Nightwing. Ona nie ulega żadnemu czarowi, ale za późno już, bym go ostrzegła. Pod miazdzącym spojrzeniem dyrektorki mężczyźni pokornie pochylają głowy nad deskami. Dźwięk młotków i pił robi się ogłuszający. Uśmiech pana Millera gaśnie.

- Jeżeli nie potrafi pan dotrzymać terminu, to będę zmuszona poszukać innej ekipy.

- W całym Londynie jest pełno roboty. Tacy jak my nie rosną na drzewach, psze pani.

Według moich obliczeń co najmniej dwudziestu ludzi pracuje tutaj dzień w dzień, a dyrektorka nadal nie jest zadowolona. Gdera, zrzędzi i łaje pana Millera codziennie. To bardzo dziwne. Bo skoro stary budynek stał pusty tak długo, jakie znaczenie ma jeszcze kilka miesięcy?

Próbuję uchwycić kształt baszty na papierze. Gdy zostanie ukończona, będzie najwyższą częścią Spence, mieszającą aż pięć pięter. Jest też szeroka. Na samym jej czubku stoi mężczyzna, który na tle deszczowych chmur wygląda jak wiatrowskaz.

- Nie wydaje ci się dziwne, że pani Nightwing tak się spieszy z ukończeniem Wschodniego Skrzydła? – pytam Felicity.

Cecily podsłuchiwała i czuje się zobligowana do wygłoszenia opinii.

- I bardzo słusznie, jeśli chcecie znać moje zdanie. To wstyd, że odkładała to tak długo.

- Podobno dopiero teraz znalazły się fundusze – dorzuca Elizabeth.

- Nie, nie, nie! – Dyrektorka zdecydowanym krokiem zbliża się do kamieniarzy, strofując ich, jakby byli jej uczniami. – Mówiłam wam, że te kamienie należy ułożyć w odpowiednim porządku, tu i tu.

Wskazuje na wykonany kredą kontur.

- Za przeproszeniem, psze pani, ale jakie to ma znaczenie? Ważne, że wieża rośnie mocna i wytrzymała.

- To ma być odbudowa. – Dyrektorka prychna, jakby uważała go za skończonego głupca. – Należy się ściśle trzymać projektu, bez żadnych odstępstw.

Robotnik z trzeciego piętra baszty woła:

- Zaczyna łąć, sir!

Ostrzegawcza kropla pada na mój policzek, a chwilę po niej nadchodzą kolejne.

Rytmicznie uderzają w kartkę, zmieniając szkic Wschodniego Skrzydła w płataninę węglowych strumyków. Mężczyźni patrzą w niebo, nadstawiając otwarte dłonie, jakby prosili o litość. A niebo odpowiada: „Nie ma zmiłowania”.

Szybko schodzą z baszty i zabezpieczają narzędzia, żeby nie zardzewiały. Osłaniając głowy szkicownikami, mkniemy wśród drzew, a moje koleżanki głośno piszczą i protestują przez zniewagę, jaką jest przemoczenie. Brigid macha do nas, obiecując bezpieczeństwo i ciepły ogień w kominku. Nagle Felicity wciąga mnie za drzewo.

- Fee! Pada! – protestuję.

- Ann wraca dziś wieczorem. Mogłybyśmy spróbować wejść do międzyświata.

- A jeśli nie będę umiała przywołać drzwi?

- Musisz tylko się skoncentrować – nalega.

- Myślisz, że się nie koncentrowałam w zeszłym tygodniu, w zeszłym miesiącu i przedtem? – Deszcz pada coraz obficie. – Może to jest kara. Za to, co zrobiłam Nell i pannie Moore.

- Pannie Moore! – parska Felicity. – Ona miała na imię Kirke. Była morderczynią.

Gemmo, zabiła twoją matkę i nie wiadomo ile innych dziewcząt, żeby dostać się do ciebie i twojej mocy. Z pewnością zamordowałyby też ciebie, gdybyś jej nie unieszkodliwiła.

Chcę wierzyć, że to prawda, że dobrze zrobiłam, uwięziwszy pannę Moore na zawsze w międzyświecie. Chcę wierzyć, że przywiązanie magii do siebie było jedną metodą jej ocalenia. Chcę wierzyć, że Kartik żyje, cały i zdrowy, i że zmierza do Spence, więc lada chwila ujrzę jego uśmiech przeznaczony wyłącznie dla mnie. Ale ostatnio nie jestem już niczego pewna.

- Nie wiem, czy ona naprawdę nie żyje – wyznaję cicho.

- Nie żyje i bardzo dobrze. – W świecie Fee wszystko jest o wiele prostsze. Tym razem chciałabym otoczyć się jego wyraźnymi liniami i nie zadawać żadnych pytań. – Muszę się dowiedzieć, co się stało z Pippą. Dziś spróbujemy znowu. Spójrz na mnie. – Odwraca moją twarz tak, że nie mogę uniknąć jej wzroku. – Obiecuj.

- Obiecuję – odpowiadam i mam nadzieję, że przyjaciółka nie widzi, jak moje wątpliwości przeradzają się w strach.

ROZDZIAŁ TRZECI

Deszcz rozpadał się na dobre. Zalewa uspiony ogród różany i bladozielone żdźbła trawy, które usiłują rosnąć. Dopadł też moją przyjaciółkę Ann Bradshaw, która stoi teraz w hallu w prostym, wełnianym brązowym płaszczu i burym kapeluszu usianym kroplami wody, z małą walizeczką u stóp. Ann spędziła ten tydzień u kuzynostwa w Kent. W maju, gdy ja i Felicity będziemy miały debiut, ona podejmie pracę guwernantki dwojga dzieci. Jediną nadzieję na zmianę jej losu daje wejście do międzyświata i próba przywiązania magii do całej naszej trójki. Ale choćbym nie wiem, jak bardzo się starała, nie potrafię tam wejść. A bez międzyświata nie umiem ożywić magii. Nie widziałam tej zaczarowanej krainy od Bożego Narodzenia, mimo że w ciągu kilku ostatnich miesięcy próbowałam tam wrócić kilkanaście razy. Chwilami czułam jakąś iskierkę, ale szybko gasła, znacząc nie więcej niż kropla deszczu podczas suszy. Z dnia na dzień nasza nadzieja rozwiewa się, a smutna przyszłość wydaje się pewna jak amen w pacierzu.

- Witaj w domu – mówię, pomagając przyjaciółce zdjąć przemoczony płaszcz.

- Dziękuję. – Z nosa jej cieknie, a włosy koloru futra polnej myszy wymykają się z upięcia. Długie, cienkie pasma opadają jej na oczy i przyklejają się do pełnych policzków.

- Jak było u kuzynów?

Ann nie uśmiecha się.

- Znośnie.

- A dzieci? Polubiłaś je? – pytam z nadzieją.

- Lottie zamknęła mnie na godzinę w kredensie, a mała Carrie kopnęła w nogę i nazwała puddingiem. – Wyciera nos. – To było pierwszego dnia.

- Och. – Stoimy niepewnie w ostrym świetle osławionego żyrandola o ramionach w kształcie mosiężnych węży.

Ann zniża głos do szeptu.

- Udało ci się wejść do międzyświata?

Potrząsam przecząco głową, a przyjaciółka robi taką minę, jakby miała się zaraz rozpłakać.

- Ale spróbujemy znów jutro – zapewniam ją szybko.

Uśmiech na chwilę rozjaśnia jej twarz.

- Nie traćmy nadziei – dodaję.

Ann idzie za mną bez słowa do wielkiego salony, mijając ogień płonący w kominku, ozdobnie rzeźbione kolumny i dziewczęta grające w wista. Brigid straszy grupkę młodszych uczennic opowieściami o wrózkach i skrzatach, które, jak się zaklina, zamieszkają las za Spence.

- Nieprawda! – woła jedna dziewczynka, ale po jej oczach poznaję, że wolałaby się mylić.

- A jakże, prawda, panienko! I jeszcze inne stwory. Lepiej tam nie chadzać po zmroku. To ich pora. Zostańcie w łózkach, co by się nie okazało, że was gdzieś poniosło w towarzystwie Innych – przestrzega Brigid.

Dziewczęta podbiegają do okien, żeby wyjrzeć w przestwór nocy, w nadziei, że może migną im przed oczami postacie wrózek i duszków. Mogłabym im powiedzieć, że tam ich nie zobaczą. Aby spotkać te fantastyczne istoty, musiałyby przejść z nami przez świetliste drzwi do świata poza tym światem. I nie wszystko, co by tam zobaczyły, spodobałoby się im.

- Ann wróciła – anonsuję, rozchylając zasłony prywatnego namiotu Felicity. Uwielbiająca teatralne efekty Fee oddzieliła narożnik wielkiego pokoju jedwabnymi szalami. Przypomina to namiot paszy, a ona sprawuje w nim niepodzielne rządy, jakby to było jej osobiste imperium.

Felicity spogląda na rąbek sukni Ann, który jest mokry i oblepiony błotem.

- Uważaj na dywany.

Ann wyciera pobrudzoną spódnicę, a na podłogę spadają okruchy zaschniętej ziemi. Felicity wzdycha z irytacją.

- Och, Ann, co ty wyprawiasz?

- Przepraszam – mamrocze przyjaciółka w odpowiedzi. Zbiera spódnicę blisko ciała i siada na podłodze. Bez pytania sięga do otwartej bombonierki i wyjmuje trzy czekoladki naraz.

- Nie musisz brać aż tyle – sarka Fee z dezaprobatą. Ann odkłada dwie, na których pozostają odciski palców. Felicity wzdycha.

- Już ich dotknęłaś. Równie dobrze możesz je teraz zjeść.

Z miną winowajczyni Ann wrzuca wszystkie trzy czekoladki do ust. Nie ma szans cieszyć się ich smakiem.

- Co tam masz?

- To? – Felicity wyciąga białą kartkę zapisaną eleganckimi czarnymi literami. – Dostałam zaproszenie na podwieczorek do lady Tatterhall na cześć jakiejś panny Hurley. Motywem przewodnim będzie Egipt.

- Och – głos Ann jest pozbawiony wyrazu. Jej ręka zawisa nad bombonierką. – Przypuszczam, że ty też je dostałaś, Gemmo?

- Tak – potwierdzam niechętnie.

Nienawidzę, kiedy Ann jest pomijana – to paskudnie niesprawiedliwe – ale wolałabym, żeby nie budziła we mnie takiego poczucia winy.

- No i oczywiście będzie też bal w Yardsley Hall – kontynuuje Felicity. – Zapowiada się na dość wystawny. Słyszałyście o młodej panie Eaton?

Kręcę głową.

- Założyła diamenty przed wieczorem! – Fee niemalże piszczy z zachwytu. – Cały Londyn o tym mówi. Już nigdy nie popełni tego błędu. Och, powinnyście zobaczyć rękawiczki, które mama przysłała mi na bal u Collinsworthów. Są przepiękne!

Ann wyciąga nitkę z rąbka sukni. Nie pójdzie na bal u Collinsworthów ani na żaden inny, chyba że kiedyś w przyszłości w roli przyzwoitki Lottie lub Carrie. Nie będzie miała sezonu ani nie będzie tańczyć z przystojnymi konkurentami. Nie wepnie strusich piór we włosy i nie ukloni się przed Jej Wysokością królową. Przebywa w Spence dzięki stypendium ufundowanemu przez kuzynostwo, którzy chcą ją wykształcić na guwernantkę dla swoich dzieci.

Chrząkam dyskretnie, a Felicity w lot pojmuje moje znaczące spojrzenie.

- Ann – odzywa się zdecydowanie zbyt entuzjastycznym tonem – jak ci było w Kent? Czy rzeczywiście jest tam wiosną tak pięknie, jak opowiadają?

- Mała Carrie nazwała mnie puddingiem.

Felicity stara się nie wybuchnąć śmiechem.

- Ehm. To tylko dziecko. Szybciutko weźmiesz ją w karby.

- Przeznaczili dla mnie mały pokoik u szczytu schodów. Z widokiem na stajnię.

- Ma okno. No cóż, fajnie jest mieć widok z okna – komentuje Felicity, zupełnie nie rozumiejąc, o co chodzi. – Och, co tam masz?

Ann pokazuje program z teatru przy Drury Lane, gdzie wystawiają *Makbeta*, w którym gra wielka amerykańska aktorka Lily Trimble. Ann tęsknie wpatruje się w dramatyczne ilustracje przedstawiające pannę Trimble jako lady Makbet.

- Widziałaś to? – pytam.

Ann kręci głową.

- Kuzynostwo poszli.

Bez niej. Każdy, kto choć trochę zna Ann, wie, jak uwielbia teatr.

- Ale pozwolili ci zachować program – ratuje sytuację Felicity. – To miłe z ich strony.

Tak, równie miłe, jak ze strony kota pozwolić myszy zachować ogon. Felicity potrafi czasami być nieludzka.

- Miałaś udane urodziny? – pyta Ann.

- Tak, bardzo przyjemne – mruczy Felicity. – Osiemnastka, co za wspaniały wiek! Teraz otrzymam spadek. Choć nie natychmiast, zważcie. Babka zastrzegła w testamencie, że warunkiem jest mój debiut. W chwili gdy pochylę głowę przed królową i wyprostuję się, zostanę bogatą kobietą, a potem będę mogła robić, co zechcę.

- Twój debiut – powtarza Ann, przetykając kolejną czekoladkę.

Felicity też bierze jedną.

- Lady Markham już zadeklarowała, że chce być moją patronką, więc sprawa załatwiona. Felicity Worthington, dziedziczka. – Dobry nastrój Fee znika. – Szkoda tylko, że Pip nie może przy tym być.

Na wzmiankę o Pip wymieniamy z Ann spojrzenia. Niegdyś była jedną z nas. Teraz zaginęła gdzieś w międzyświecie, prawdopodobnie w Krainie Zimy. Kto wie, czym się stała. Jednak Fee nadal karmi się nadzieją, że uda się ją odnaleźć i uratować.

Rozchylają się szale w wejściu do namiotu. Do środka wpychają się Cecily, Elizabeth i Martha. Zdecydowanie brakuje tu miejsca dla nas wszystkich. Elizabeth wciska się obok Felicity, a Martha i Cecily siadają koło mnie. Ann zostaje zepchnięta na sam tył namiotu.

- Dostałam właśnie zaproszenie na bal urządzany przez księżną Crewesbury – oznajmia Cecily. Układa się na podłodze niczym rozpieszczony kot perski.

- Ja też – dodaje Elizabeth.

Felicity robi, co może, żeby wyglądać na znudzoną.

- Moja mama otrzymała je wieki temu.

Ja nie dostałam tego zaproszenia i mam nadzieję, że nikt mnie o to nie spyta.

Martha wachluje się, krzywiąc usta.

- O, rety, dosyć tu ciasno, nie wydaje się wam? Chyba nie ma tu miejsca dla nas wszystkich?

Zerka na Ann. Cecily i jej banda zawsze traktowały ją nie lepiej niż służącą, lecz od zeszłego Bożego Narodzenia i naszej nieszczęsnej próby, żeby przedstawić przyjaciółkę w towarzystwie jako córkę rosyjskiego księcia, Ann stała się pełnym wyrzutkiem. Płotka dotarła tu w listach, rozpełzła się szeptem po całej szkole i nie ma teraz w Spence ani jednej uczennicy, która nie znałaby całej historii.

- Będzie nam cię bardzo brakowało, Cecily – mówię, uśmiechając się promiennie. Chętnie bym ją kopnęła prosto w zęby.

Cecily jasno daje do zrozumienia, że ona stąd nie wyjdzie. Rozkłada szeroko spódnice, zajmując jeszcze więcej miejsca. Martha szepce coś Elizabeth na ucho i obie wybuchają śmiechem. Mogłabym spytać, z czego się śmieją, ale i tak mi nie powiedzą, więc nie ma to sensu.

- Co to za zapach? – pyta Martha, robiąc zde gustowaną minę.

Cecily teatralnie pociąga nosem.

- Może kawior? Prosto z Rosji! To chyba od samego cara?

Jadowite gady! Policzki Ann pokrywa rumieniec, a jej usta drżą. Wstaje tak szybko, że niemal się przewraca, zmierzając do wyjścia z namiotu.

- Proszę mi wybaczyć, muszę skończyć robótkę.

- Pozdrów ode mnie swojego wuja, księcia! – woła za nią Cecily, a reszta parska śmiechem.

- Dlaczego musicie ją tak dręczyć? – pytam.

- Nie zasługuje na to, by z nami przebywać – stwierdza Cecily autorytatywnie.

- To nieprawda – oponuję.

- Nie? Niektórzy ludzie po prostu nie pasują do towarzystwa. – Przeszywa mnie wyniosłym spojrzeniem. – Słyszałam niedawno, że ojciec twój niezdrów i odpoczywa w Oldham. Bardzo się musisz niepokoić. A co to za niemoc go zmoła?

Brakuje jej jedynie rozwidlonego języka, gdyż po tą piękną suknią niewątpliwie kryje się ciało żmii.

- Influenza – odpowiadam, a kłamstwo w moich ustach ma ostry smak.

- Influenza – powtarza, chytrze spoglądając na koleżanki.

- Ale jest stan znacznie się poprawi i jutro zamierzam złożyć mu wizytę.

Cecily jeszcze się nie poddaje.

- Rada jestem to słyszeć, gdyż czasami do naszych uszu docierają różne niesmaczne pogłoski. Na przykład o dżentelmenach, których znaleziono w palarni opium i zmuszono do pobytu w sanatorium. Skandal!

- Cecily Temple, nie zamierzam dziś wysłuchiwać żadnych oszczerstw – ostrzega ją Felicity.

- To influenza – powtarzam, ale w moim głosie brak już poprzedniej stanowczości.

Cecily uśmiecha się triumfalnie.

- Ależ oczywiście.

Wychodzę za Ann, wołając ją po imieniu, lecz ona nie chce się zatrzymać. Przyspiesza kroku, prawie biegnie, rozpaczliwie pragnąc uciec od naszych rozmów o przyjęciach i podwieczorkach. Od wszystkich tych ponętnych obietnic, które są dość blisko, by ich dotknąć, ale nie dość, by się spełnić.

- Ann, proszę! – wołam, zatrzymując się u stóp schodów. Jest już w połowie drogi na górę. – Nie zwracaj na nie uwagi. Nie są prawdziwymi dziewczynami. To odrażające potwory, troglodyci z lokami!

Jeżeli chciałam ją rozśmieszyć, to poniosłam sromotną porażkę.

- Ale to one rządzą – odpowiada Ann, nie podnosząc wzroku. – Zawsze tak było i tak będzie.

- Nie widziały tych wszystkich rzeczy, które ty oglądałaś w międzyświecie. Nie wiedzą, czego dokonałaś. Zamieniałaś kamienie w motyle i przepłynęłaś przez złotą zasłonę. Swoją pieśnią uratowałaś nas przed wodnymi nimfami.

- Kiedyś – mówi martwo. – Jakie to ma teraz znaczenie? To nie zmieni mojego losu, prawda? W maju ty i Felicity rozpoczniecie sezon, a ja pojedę pracować dla rodziny. Wszystko się skończy i nigdy już się nie zobaczymy.

Przez chwilę spogląda mi w oczy, wyraźnie próbując znaleźć tam jakieś pocieszenie. *Powiedz mi, że się myślę. Powiedz mi, że trzymasz asa w rękawie, Gemmo* – błaga wzrokiem. Ale nie myli się, a ja nie jestem dość szybka i wygadana, by skłamać. Nie dzisiaj.

- Nie pozwól im wygrać, Ann. Wróć do namiotu.

Patrzy gdzieś w bok, ale wyczuwam jej odrazę.

- Nie rozumiesz, prawda? One już wygrały. – I z tymi słowami wycofuje się w cień.

Mogłabym wrócić do Felicity i pozostałych, lecz nie mam nastroju. Moje serce spowiła melancholia, więc potrzebuję odrobiny samotności. Znajduję odpowiedni fotel w salonie z dala od rozpalanych dziewcząt. Udaje mi się przeczytać tylko kilka stron, gdy uświadamiam sobie, że znajduję się zaledwie na wyciągnięcie ręki od osławionej kolumny. To jeden z osobliwych elementów wystroju Spence. W hallu wisi żyrandol z węzami. Są też szczerzące żeby gargulce na dachu. Nedorzeczna tapeta w pawie pióra. Portret założycielki szkoły, Eugenii Spence, o błękitnych, wszystkowidzących oczach, górujący nad klatką schodową. Zaliczyłabym też do tych osobliwości gigantyczne paleniska, które mniej przypominają kominki, a bardziej otwarte paszcze potwornych bestii. No i ta kolumna na środku reprezentacyjnego salonu, cała pokryta płaskorzeźbami przedstawiającymi wróżki, satyrów, chochliki, nimfy i duszki wszelkiego autoramentu.

A do tego jest żywa.

Albo raczej kiedyś była. Te „rzeźby” to stworzenia z międzyświata, które utknęły tu na zawsze. Raz bezmyślnie przywróciłyśmy je dożycia za pomocą magii i omal nas nie pozabijały. Kilka psotnych stworów próbowało uciec, inne nastawały na naszą cnotę. W końcu udało nam się wziąć je z powrotem do niewoli.

Przyglądam się uważnie małym ciałom zastygłym w kamieniu. Usta stworzeń są otwarte w pełnym złości krzyku, a ich oczy patrzą przeze mnie. Nie chciałabym tu być, gdyby wyrwały się na wolność. Choć kolumna mnie przeraża, czuję przymus, żeby jej dotknąć. Muskam palcami sztywne skrzydła wróżki, złapanej w locie. Przechodzi mnie dreszcz i kładę dłoń gdzie indziej. Trafiam na rozciągnięte w wyrazie wściekłości usta satyra, a moje serce przyspiesza, gdyż ogarnia mnie dziwna mieszanka odrazy i fascynacji. Zamykam oczy i pozwalam palcom poznawać szorstkie bruzdy i wypukłości jego groźnych ust – języka, warg i zębów.

Gładzę palcami kamień, gdy nagle kaleczę się o ostrą krawędź. Cicho jęczę z bólu, a krew zbiera się w wąskiej szczelinie. Nie mam chusteczki, więc wkładam do ust palec, który AM gorzki posmak. Kolumna milczy, ale w pulsowaniu mojej rany czuję bijące od niej zagrożenie. Przesuwam fotel, by znaleźć się jak najbliżej kojących opowieści Brigid i jej matczynych maksym, a jak najdalej od niebezpiecznie pięknej kolumny.

*

O dziesiątej, gdy nasze powieki stają się ciężkie, a ciała zaczynają tęsknić za ciepłem koców i zapomnieniem snu, udajemy się na górę do naszych pokojów.

Felicity przeciska się koło mnie.

- Wpół do pierwszej. Tam, gdzie zwykle – szepcze. Nie czeka na potwierdzenie. Wydała rozkaz i sprawa jest zamknięta.

Lampy w moim pokoju nadal rzucają miękkie światło. Ann śpi, ale zostawiła nożyczki do robótek w widocznym miejscu. Ostrza są złożone, ale wiem, że spełniły swoje zadanie, znacząc wewnętrzną stronę jej przedramion. Wiem, że nadgarstki Ann są pokryte świeżymi pręgami, które wkrótce wtopią się w gobelin starych ran wrosnięty w jej skórę. Gdybym znów znalazła dostęp do międzyświata, dostęp do magii, mogłabym jej pomóc. Ale na razie nie potrafię odmienić jej losu. Mogę się tylko zastanawiać, czy ona sama zechce coś z tym zrobić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gdy po raz pierwszy pojawiłam się w Akademii Spence dla Młodych Dam, nie wiedziałam nic o jej przeszłości ani związku z moim życiem. Byłam pogrążona w żałobie, gdyż mama moja zmarła zaledwie kilka tygodni wcześniej. Oficjalną przyczyną jej śmierci była cholera, ale ja znałam prawdę. Widziałam w wizji, jak umarła osaczona przez odrażającą zjawę z innego świata, tropiciela, który zamierzał pochłonąć jej duszę, gdyby nie odebrała sobie życia w samoobronie.

To była pierwsza, choć nie ostatnia z moich wizji. Miałam ich jeszcze wiele. Odziedziczyłam moc. Dziedzictwo przeszło z matki na mnie – dar pod pewnymi względami, klątwa pod innymi. To tutaj, w Spence, dowiedziałam się o swej więzy z niezwykłą magiczną krainą nazywaną międzyświatem.

Przez wieki międzyświatem rządziło potężne stowarzyszenie kapłanek nazywane Zakonem. Jego członkinie korzystały z magii, by pomagać zmarłym duszom w dopełnieniu misji, jeśli to było potrzebne, i przejściu na drugi brzeg rzeki. W miarę upływu czasu moc kapłanek rosła. Potrafiły tworzyć złożone iluzje oraz wpływać na ludzi i wydarzenia nawet w świecie śmiertelników. Jednak ich najważniejszym obowiązkiem było utrzymanie równowagi, między dobrem i złem w międzyświecie. Zamieszkuje tam wiele plemion, a niektóre z nich – wrogie stworzenia z Krainy Zimy – gotowe są na wszystko, by przejąć kontrolę nad magią, dzięki której mogłyby rządzić międzyświatem i prawdopodobnie również światem realnym. Dlatego Zakon zaklął magię w kręgu kamieniu runicznych, by tylko jego członkinie mogły z niej korzystać. Ale pozostałe plemiona poczuły się urażone i rozczarowane, też chciały mieć coś do powiedzenia.

Z czasem nawet sprzymierzeńcy Zakonu stali się niegodni zaufania. Niegdyś w ochronie międzyświata pomagało stowarzyszenie Rakshana. Jego członkowie utrzymywali porządek i czuwali nad kapłankami. Byli również ich kochankami. Ale oni także zaczęli mieć pretensje o to, że wyłącznie Zakon włada międzyświatem i jego cudowną mocą.

Wszystkie zainteresowane strony starały się przejąć panowanie nad magią i tak to trwało przez wieki, aż do pożaru dwadzieścia pięć lat temu. Tej nocy moja mama i jej najlepsza przyjaciółka miały w zamian za otrzymanie mocy złożyć w ofierze istotom z Krainy Zimy małą Cyganczkę. Coś jednak poszło nie tak i dziewczynka zginęła przypadkowo, więc jej dusza straciła wartość dla potworów. Rozwścieczone bestie zażądały życia dziewcząt, chcąc w ten czy inny sposób wyegzekwować zawartą z nimi umowę. Eugenia Spence, wielka mistrzyni Zakonu i założycielka Akademii Spence, uratowała moją mamę i Sarę. Oddała się w ręce stworów z Krainy Zimy w charakterze zapłaty za potworny czyn swoich podopiecznych. W ostatniej chwili rzuciła amulet mojej mamie, po czym zamknęła międzyświat, zapieczętowała drzwi, bo nikt nie mógł do niego wejść ani z niego wyjść, dopóki nie narodzi się potężna kapłanka, której uda się na nowo otworzyć międzyświat i nadać nowy kierunek magii.

To ja jestem tą kapłanką. I nikt nie wydaje się szczęśliwy z tego powodu. Zakon uważa mnie za upartą i głupią, a Rakshana traktują jak zagrożenie. Wysłali nawet jednego ze swoich członków, młodzieńca o imieniu Kartik, żeby zabronił mi wchodzić do międzyświata, a kiedy to nie odniosło skutku, polecili mu, żeby mnie zabił. Zamiast tego zdradził bractwo i ocalił moje życie, ryzykując własnym.

Może im się to nie podobać, ale fakty są następujące: to mnie się udało znowu otworzyć międzyświat i na razie nikt nie może tam wejść bez mojej pomocy. To ja zerwałam pieczęć z magii, niszcząc runy. I to ja znalazłam źródło magii w tajemniczym miejscu zwanym Świątynią. To właśnie tam stoczyłam walkę z Kirke, przeciwniczką mojej mamy i wrogiem Zakonu. Zabiłam ją, a ze względów bezpieczeństwa przywiązałam magię do siebie.

Obiecałam zawrzeć sojusz z przyjaciółkami, z Kartikiem i z plemionami z międzyświata, sprzymierzyć się z nimi, by każdy mógł mieć udział w magii.

Lecz od tamtej pory nie miewam wizji i nie mogę wejść do międzyświata. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się stało. Wiem tylko, że nie udaje mi się przywołać drzwi ze świata prowadzących do tamtego świata. Zamiast tego przemyka mi przed oczami Kirke, tak jak ją zostawiłam w Świątyni uwięzioną pod powierzchnią wody w studni wieczności. Na zawsze zamkniętą w magicznej studni, która stała się jej grobem.

Powinnam podjąć decyzje dotyczące magii i przyszłości międzyświata, a nie mam zielonego pojęcia, jak tam wrócić.

No właśnie.

Ale dziś w nocy będzie inaczej. Jakoś dostaniemy się do środka. Odnajdę w sobie odwagę i znów poczuję iskrę magii w żyłach. Wraz z przyjaciółkami wejdę do wonnego ogrodu w międzyświecie i rozpocznie się nowy rozdział naszej historii.

Jeżeli nie, obawiam się, że międzyświat przepadł dla nas na zawsze.

*

Gdy w szkole robi się już ciemno i cicho, a wesoła paplanina dziewcząt stanowi ledwie echo echa na korytarzach Spence, Ann i ja idziemy na paluszkach, aby spotkać się z Felicity koło schodów. Wschodnie Skrzydło śpi – umilkł już stukot młotków – lecz nadal emanuje własną mocą.

Milcz, Wschodnie Skrzydło! Dziś wieczorem nie będę słuchała twych podszeptów.

Felicity trzyma coś w złożonych dłoniach.

- Co tam masz? – pytam.

Otwiera ręce, pokazując delikatną koronkową chusteczkę.

- To dla Pippy, jeżeli ją spotykamy.

- Bardzo ładna. Na pewno będzie nią zachwycona – zapewniam, ponieważ nie zamierzam odbierać przyjaciółce nadziei.

Idziemy za nią w dół po długich schodach. Gdy schodzimy, nasze cienie robią się coraz wyższe, jakby nie chciały się oddalać od bezpiecznego schronienia sypialni. Wchodzimy do wielkiego salonu, do namiotu Felicity, i siadamy po turecku na podłodze jak wiele razy przedtem.

Ann zagryza wargę i wpatruje się we mnie.

- Gotowa? – pyta Felicity.

Biorę drżący wdech, a potem powoli wypuszczam powietrze.

- Tak, zaczynamy.

Chwytny się za ręce, a ja z całej siły staram się oczyścić umysł i myśleć tylko o międzyświecie. Widzę zieleń ogrodu i Groty Westchnień wznoszące się wysoko nad śpiewającą rzeką. Zaczarowany świat zaczyna nabierać kształtów przed moimi oczami.

- Widzisz coś? – odzywa się Ann.

Wizja ogrodu rozwiewa się jak smuga dymu.

- Ann!

- Przepraszam – mamrocze pod nosem.

- Nie możesz jej rozpraszać! – strofuje ją Felicity i ściska moje dłonie. – Pamiętaj, Gemmo, że od ciebie zależy cała nasza przyszłość.

Tak, dziękuję ci, bardzo mnie uspokoiłaś.

- Potrzebna mi jest absolutna cisza, jeśli mogę prosić.

Posłusznie opuszczają głowy i zamykają buzie. Samo to już jest jak dotknięcie magii.

Dalej, Gemmo! Nie wolno ci myśleć, że nie dasz rady. Wyobraź sobie drzwi. Na pewno się pojawią. Przywołaj je. Pragnij, żeby się pojawiły.

Nie pojawiają się. Nic nie widzę, nic nie czuję. Panika podpowiada mi pytania, które ostatnio często sobie zadaję: A jeśli dar był tylko zapożyczeniem? Jeśli straciłam go na zawsze? Jeżeli to była pomyłka i mimo wszystko jestem całkiem zwykła?

Otwieram oczy i próbuję zapanować nad oddechem.

- Potrzebuję trochę czasu.

- Nie powinniśmy były tak długo zwlekać z pierwszą próbą – złości się Felicity. – Trzeba było się tam wybrać od razu, w styczniu. Czemu to przekładałyśmy?

- Nie byłam wtedy gotowa – wyjaśniam.

- Czekaaś, aż on wróci – zauważa Fee. – Ale on nie wraca.

- Nie czekam na Kartika – ripostuję, zraniona do głębi. Częściowo oczywiście ma rację. Ale tylko częściowo. W moich myślach pojawia się obraz panny Moore. Widzę zdecydowany zarys jej szczęki, kieszonkowy zegarek w jej ręku – tak wyglądała, gdy była naszą ukochaną nauczycielką, zanim odkryłam, że to Kirke. Zanim ją zabiłam. – Nie... Nie byłam gotowa. To wszystko.

Felicity przeszywa mnie zimnym spojrzeniem.

- Nie zrobiłaś nic, czego powinnaś żałować. Zasługiwała na śmierć.

- Spróbujmy jeszcze raz – proponuje Ann. Podaje mi rękę, na której widać wypukłe pręgi po dzisiejszych nacięciach.

- Zgoda, do trzech razy sztuka – żartuję, choć wcale mi nie jest do śmiechu.

Zamykam oczy i oddycham powoli, starając się znów wyrzucić z umysłu wszystko prócz międzyświata i wejścia do niego. W moim brzuchu rozlewa się dziwne gorąco. Czuję się tak, jakbym raz za razem pocierała deskę przemokniętą zapałką, która nie chce się zapalić. *No, dalej, dalej.* Rozbłyskuje na chwilę, znajomy płomień oświetla moje pragnienia. Widzę kołyszące się łagodnie drzewa oliwne w ogrodzie. Piękną rzekę. I widzę drzwi ze światła. Ha! O, tak! Jakże tęskniłam za tym widokiem! Teraz muszę je tylko zatrzymać...

Obraz znika, a zamiast niego pojawia się upiorna twarz Kirke w zimnej wodzie studni. Nagle otwiera oczy.

- Gemmo...

Gwałtownie przerywam wizję i moc znika. Czuję, że międzyświat cofa się jak przypływ, a ja jestem zupełnie bezradna. Choć bardzo staram się go zawrócić, nie potrafię tego zrobić.

Ann rezygnuje pierwsza. Jest przyzwyczajona do rozczarować i szybciej uznaje swą porażkę.

- Idę spać.

- Przepraszam – mówię szeptem. Aż ciężko mi oddychać od brzmieniem ich rozpacz. – Nie wiem, co się stało.

Felicity kręci głową.

- Nie rozumiem, jak to możliwe. Przecież przywiązałaś magię do siebie. Powinniśmy móc po nią sięgnąć bez żadnych problemów.

Powinniśmy, ale nie możemy. Ja nie mogę. I po każdej nieudanej próbie moja pewność siebie coraz bardziej maleje. A jeżeli nigdy nie będę umiała tam wrócić?

*

Jeszcze długo po tym, jak moje koleżanki poszły spać, siedzę na łóżku, obejmując ramionami podkulone nogi i mocno zaciskając powieki. Zaklinam drzwi ze światła, żeby się pojawiły, powtarzając w kółko: „Proszę, proszę, proszę”... Zanoszę błagania, aż mój głos

staje się chrapliwy od łez i rozpaczy, aż wczesny świt oblewa mnie bezwzględnym światłem, aż pozostaje mi tylko jedna myśl, do której wymówienia nie potrafię się zmusić – że straciłam swoją magię, a bez niej jestem nikim.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Sanatorium Oldham, położone godzinę jazdy pociągiem od Londynu, to duży biały budynek otoczony rozległym, zadbanym trawnikiem. Na zewnątrz stoi kilka krzeseł, aby pacjenci mogli zażywać słońca, kiedy tylko zechcą.

Zgodnie z obietnicą Tom i ja przyjechaliśmy w odwiedzinach do ojca. Nie chciałam go oglądać w tym miejscu. Wolę go sobie wyobrazić, jak siedzi w gabinecie przy ogniu buzującym na kominku, z fajką w rękę i błyskiem w oku, gotów zabawiać wszystkich kolejną fantastyczną opowiastką. Przypuszczam jednak, że sanatorium Oldham i tak zapewni mi o wiele lepsze wspomnienie niż to, które mam z wizyty ojca w londyńskiej palarni opium. Był wówczas tak odurzony narkotykami, że zastawił za nie nawet ślubną obrączkę.

Nie, nie będę o tym myślała. Nie dzisiaj.

- Pamiętaj, Gemmo, masz być wesoła i pogodna – instruuje mnie starszy, choć niestety nie mądrzejszy brat, gdy idziemy po trawniku wzdłuż starannie przyciętych żywopłotów, których symetrii nie zakłóca ani jedna zbędna gałązka czy zbłąkany chwast. Uśmiecham się promiennie do mijanej pielęgniarki.

- Myślę, że wiem, jak się zachowywać, bez twych cennych rad, Thomasie – odpowiadam przez zaciśnięte zęby.

- Nie byłbym taki pewny.

No szczerze, po co istnieją bracia, poza tym, że na zmianę tylko dręczą człowieka lub irytują?

- Doprawdy, Thomasie, powinieneś bardziej uważać przy śniadaniu. Masz na koszuli wielgachną plamę po jajku.

Tom ogląda się w panice.

- Nie widzę!

- Słusznie. – Pukam go palcem w skroń. – Jest tutaj.

- Co?

- Prima aprilis.

Wykrzywia usta w uśmiechu.

- Ale nie ma jeszcze kwietnia.

- Owszem – zgadzam się, maszerując szybko naprzód. – Ale ty i tak masz plamę na mózgu.

Pielęgniarka w wykrochmalonym białym fartuchu wskazuje nam krzesła ustawione w pobliżu altany. Na rozkładanym wiklinowym fotelu spoczywa mężczyzna z nogami przykrytymi pledem. W pierwszej chwili nie rozpoznaję w nim taty, jest tak przeraźliwie chudy.

Tom chrząka głośno.

- Witaj, ojczu. Dobrze wyglądasz.

- Tak, z każdym dniem lepiej. Gemmo, kochanie, zrobiłaś się jeszcze piękniejsza.

Ledwie na mnie zerka, gdy to mówi. Już nie potrafimy na siebie patrzeć. Nie tak naprawdę. Od chwili gdy wyciągnęłam go z palarni opium. Teraz kiedy na niego spoglądam, widzę nałogowca, a kiedy on spogląda na mnie, widzi to, o czym wolałby zapomnieć. Żałuję, że nie mogę znów być ukochaną córeczką, siedzącą u jego kolan.

- Jesteś nazbyt uprzejmy, ojczu. – *Wesoła i pogodna, Gemmo*. Uśmiecham się z przymusem. *Boże, jaki on chudy!*

- Ładny dzień, nieprawdaż? – ciągnie pogawędkę ojciec.

- Rzeczywiście, ładny.

- Mają tu piękny ogród – zauważam.

- Tak, istotnie – wtóruje mi Tom.

Ojciec kiwa głową z nieobecny wyrazem twarzy.

- Aha.

Przysiadam na brzeжку krzesła, gotowa natychmiast się z niego zerwać. Podaję tacie pudełko kiwnięte wymyślną złotą folią i przybrane wielką czerwoną kokardą.

- Przywiozłam ci twoje ulubione miętówki.

- O – odpowiada, bez zachwyty przyjmując prezent. – Dziękuję, kochanie. Thomasie, zastanowiłeś się już nad przystąpieniem do Stowarzyszenia Hipokratesa?

Tom krzywi się z niesmakiem.

- Co to jest Stowarzyszenie Hipokratesa? – chcę wiedzieć.

- Doskonały klub dla dżentelmenów, zrzeszający naukowców i lekarzy, samych wielkich myślicieli. Wyrazili zainteresowanie naszym Thomasem.

To wygląda na odpowiednie towarzystwo dla Toma, który pracuje jak lekarz w Królewskim Szpitalu Bethlem – czyli Bedlam – i mimo wielu wad jest utalentowanym terapeutą. Medycyna i nauka to jego pasje, więc nie rozumiem, czemu Stowarzyszenie Hipokratesa mu nie odpowiada.

- Nie interesuje mnie to – oznajmia zdecydowanie.

- Dlaczego?

- Większość członków znajduje się gdzieś między czterdziestką a śmiercią – paska Tom.

- Ich umysły posiadały wielką mądrość, Thomasie. Powinieneś ją uszanować.

Tom częstuje się miętówką.

- To nie jest klub Ateneum.

- Nie za wysoko mierzysz, mój drogi? Ateneum przyjmuje tylko swoich, a ty nie jesteś swój – stanowczo stwierdza tato.

- Ale mogę być – upiera się Tom.

Rozpaczliwie pragnie, by londyńska śmietanka towarzyska go zaakceptowała. Ojciec przez to uważa go za głupca. Nienawidzę, kiedy się kłócą, i nie chcę, żeby Tom denerwował tatę akurat teraz.

- Papo, słyszałam, że już niedługo wracasz do domu – wtrącam.

- Tak mówią. Wasz staruszek będzie zdrowy jak ryba. – Znosi się kaszlem.

- Jak to miło – zauważa mój brat bez entuzjazmu.

- Całkiem, całkiem – zgadza się z nim ojciec.

Po czym zapada cisza. Stado gęsi wędruje po trawniku, jakby one też się zgubiły.

Ogrodnik przegania je w stronę odległego stawu. Nam nikt nie wskazuje nowej ścieżki, więc siedzimy, rozmawiając o sprawach bez znaczenia i milcząc o wszystkim, co znaczenia nie ma. W końcu zbliża się do nas pielęgniarzka o okrągłej twarzy i miedzianych włosach przetykanych siwizną.

- Dzień dobry, proszę pana. Pora na wody zdrojowe.

Ojciec uśmiecha się z ulgą.

- Panno Finster, pojawia się pani jak promyk słońca w pochmurny ranek.

Panna Finster uśmiecha się od ucha do ucha.

- Niezły czaruś z państwa ojca.

- No to zmykajcie – zwraca się ojciec do nas. – Musicie zdążyć na pociąg do Londynu.

- Racja. – Tom natychmiast korzysta z pretekstu. Spędziliśmy tu mniej niż godzinę. – Zobaczymy się za dwa tygodnie w domu, ojcze.

- Na pewno – potwierdza panna Finster. – Choć żal nam będzie się z panem rozstawać.

- No cóż – komentuje Tom i odsuwa z czoła niesforny kosmyk, lecz ten znowu opada mu na oczy.

Nie podajemy sobie rąk ani się nie przytulamy. Kiwamy sobie głowami i rozstajemy się najszybciej, jak to możliwe, z radością uwalniając się od swojego towarzystwa i od niezręcznej ciszy. Ogarnia mnie wstyd z powodu tego poczucia ulgi. Zastanawiam się, czy

inne rodziny też takie są. Wyglądają na zadowolone, gdy wspólnie spędzają czas. Pasują do siebie niczym części już ułożonej łamigłówki, na której widać obrazek. A my przypominamy te do niczego niepasujące kawałki, których nie da się włożyć na miejsce z pełnym zadowolenia westchnieniem: „A więc tak to wygląda”.

Ojciec, jak przystało na dżentelmena, bierze pielęgniarkę pod ramię.

- Wyświadczy mi pani ten zaszczyt, panno Finster?

Kobieta chichocze niczym pensjonarka, choć pewnie jest w wieku pani Nightwing.

- Och, proszę pana, niechże pan da spokój!

Ramię w ramię odchodzą w kierunku dużego białego budynku. Ojciec nieznacznie odwraca głowę w naszą stronę.

- Do zobaczenia na Wielkanoc.

Tak, za dwa tygodnie znów będziemy razem.

Wątpię jednak, czy mnie w ogóle dostrzeże.

*

Po drodze do Londynu robię Tomowi wymówki.

- Thomasie, dlaczego musisz tak drażnić ojca?

- No pewnie. Broń go jak zawsze. Ulubienica tatusia.

- Nie jestem jego ulubienicą, kocha nas oboje tak samo. – Mówiąc to, mam w brzuchu dziwne uczucie, jakbym kłamała.

- Tak powinno być, co? Szkoda, że to nieprawda – odpowiada z rozgoryczeniem, po czym nagle się rozpromienia. – Tak się składa, że mylił się co do klubu Ateneum. Zostałem tam zaproszony na kolację z lordem Denby i Simonem Middletonem.

Na wzmiankę o Simonie moje tętno gwałtownie przyspiesza.

- Co u niego słyhać? – pytam.

- Jak zawsze przystojny, czarujący, bogaty. Krótko mówiąc, wszystko dobrze. – Tom uśmiecha się do mnie lekko, a ja nie mogę się oprzeć wrażeniu, że dobrze się bawi moim kosztem.

Simon Middleton, jedna z najlepszych partii w Anglii, rzeczywiście posiada wszystkie te przymioty. Adorował mnie dość gorliwie podczas ostatniego Bożego Narodzenia i chciał się ze mną ożenić, ale odrzuciłam jego oświadczyzny. Nagle nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego to zrobiłam.

- Może to przedwczesne wnioski – kontynuuje Tom – ale wydaje mi się, że stary Denby zgłosił moją kandydaturę na członka Ateneum. Mimo że tak fatalnie potraktowałam Simona, jego ojciec nadal mnie wspiera. W przeciwieństwie do naszego ojca.

- Czy... Simon mówił coś o tym, że źle go potraktowałam?

- Nie. W ogóle o tobie nie wspomniał.

- Miło będzie znów zobaczyć Middletonów – zauważam, udając, że jego słowa w ogóle mnie nie zabolęły. – Simon zapewne prowadzi wesołe życie w mieście. – Śmieję się w nadziei, że brzmi to nonszalancko.

- Hm – zastanawia się Tom. – Nie wiem.

- Ale są teraz w Londynie? – Uśmiech zamiera mi na wargach. *No dalej, Thomas. Rzuć mi jakiś ochłap, ty nieszczęsny łachudro.*

- Niedługo się pojawią. Ma do nich przyjechać daleka kuzynka z Ameryki, niejaka panna Lucy Fairchild. Warta fortunę, z tego, co słyszałam. – Tom uśmiecha się chytrze. – Może mogłabyś załatwić, żeby mnie jej przedstawiono. Albo może gdy już zostanę pełnoprawnym członkiem Ateneum, ona poprosi, by to ją mnie przedstawiono.

Nie. Nie da się zachować spokoju w obecności mojego brata. Nawet mnisi nie mają tyle cierpliwości.

- Nie rozumiem, czemu ci tak zależy na tym Ateneum – mówię z rozdrażnieniem.

Tom śmieje się protekcjonalnie, a ja natychmiast wyobrażam go sobie w wielkim kotle otoczonym przez wygłodniałych, dzierżących pochodnie kanibali.

- Oczywiście, że nie rozumiesz, co? Ty nie chcesz należeć do nikogo ani do niczego.

- Przynajmniej członkowie Stowarzyszenia Hipokratesa są ludźmi nauki i medycyny – zauważam, ignorując docinek. – Macie wspólne zainteresowania.

- Nie budzą takiego respektu jak klub Ateneum. To tam leży prawdziwa władza. Poza tym słyszałem, że członkowie Hipokratesa mogą wyrazić zgodę na przyjęcie kobiet na mniej ważne stanowiska. – Mój brat parska z pogardą. – Kobiety! W klubie dla dżentelmenów!

- Coraz bardziej mi się tam podoba – oświadczam.

Tom uśmiecha się pogardliwie.

- Zapewne.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy ostatnio widziałam nasz dom w Belgravii, przyodziany był w srogą zimową szatę. A teraz jedziemy powozem uliczką wijącą się przez Hyde Park i sycimy wzrok cudownym widokiem pokrytych pączkami drzew, stojących dumnie i prosto jak królewska straż. Żonkile chwalą się nowymi żółtymi czepkami. Londyn uśmiecha się do mnie.

W przeciwieństwie do naszej gospodyni, pani Jones, która wita mnie przy drzwiach w czarnej sukience, białym fartuszką i białym czepeczku na głowie z takim sztywnym wyrazem twarzy, że mam ochotę przyłożyć jej do ust lusterko, żeby sprawdzić, czy jeszcze oddycha.

- Jak minęła podróż, panienko? – pyta obojętnie.
- Bardzo miło, dziękuję.
- To dobrze. Czy kazać zanieść walizkę do pokoju panienki?
- Tak, proszę.

Tyle wysiłku wkładamy w to, żeby zachowywać się zgodnie z konwenansami. Nigdy nie mówimy tego, o czym naprawdę myślimy. Właściwie moglibyśmy się witać i rozmawiać wyłącznie o serze – „Jak minął panienki limburgier?”. „Słony jak dojrzwały roquefort, dziękuję.” „Ach, to bardzo goudownie, panienko. Każę więc zanieść stiltona do panienki camemberta” – i pewnie nikt by nie zwrócił na to uwagi.

- Babcia czeka na panienkę w bawialni.
- Dziękuję. Sama trafię do brie – dodaję, nie mogąc się oprzeć pokusie.
- Jak panienka sobie życzy.

No i proszę bardzo, chociaż szkoda, że moja złośliwość tak się zmarnowała, bo oprócz mnie nie ma w pobliżu nikogo, kto by ją docenił.

- Spóźniłaś się – oznajmia babcia w chwili, gdy otwieram drzwi do bawialni. Nie wiem, czemu ma pretensje do mnie, gdyż nie jestem ani woźnicą, ani koniem. Mierzy mnie od stóp do głów spojrzeniem pełnym dezaprobaty. – Idziemy na podwieczorek do pani Sheridan. Oczywiście, będziesz chciała się przebrać. I co się stało z twoimi włosami? Czy to jakaś nowa moda w Spence? Nie może tak być. Stój spokojnie. – Babcia ściąga moje włosy do góry tak mocno, że łzy napływają mi do oczu. Przytrzymuje je trzema szpilkami, które prawie wbijają mi się w czaszkę. – O wiele lepiej. Dama musi zawsze wyglądać schludnie.

Ciągnie za sznur dzwonka i nasza gospodyni pojawia się niczym zjawą.

- Tak, psze pani?
- Panna Doyle potrzebuje pomocy przy ubieraniu. Proponuję szarą wełnę. I inne rękawiczki, które nie będą wyglądały, jakby należały do kocmołucha – mówi babcia, patrząc wilkiem na smugi na czubkach moich palców.

Spędziłam w domu zaledwie minutę i już rozpoczęło się obłęzenie. Obrzucam spojrzeniem mroczną bawialnię – ciężkie aksamitne stopy w kolorze burgunda, ściany obite ciemnozielonymi tapetami, mahoniowe biurko i biblioteczeki, orientalny dywan oraz ogromną paproć w solidnej donicy.

- Przydałoby się trochę światła w tym pokoju.

Ha! Jeżeli lubi krytyczne uwagi, to w tej grze mogą wziąć udział dwie osoby.

Twarz babci się chmurzy.

- To modny pokój. Twierdzisz może, że nie jest modny?
- Tego nie powiedziałam. Zasugerowałam jedynie, że miło by było wpuścić tu trochę światła.

Babcia przygląda się zasłonie, jakby rozważała mój pomysł. Ale ten stan szybko mija i po chwili znów patrzy na mnie jak na wioskowego głupka.

- Obicie sofy może wypłowieć od słońca. A teraz, jeśli uporałyśmy się już z kwestią dekoracji wnętrza, powinnaś się przebrać. Wychodzimy o wpół do.

*

Milcząca pokojówka wprowadza nas do biblioteki pani Sheridan, w której mieści się bardzo bogaty księgozbiór. Widok tylu książek niesie mi pociechę, czego nie mogę powiedzieć o szarym wełnianym kostiumie, który drapie i gryzie tak, że chce mi się krzyczeć. Pani Jones tak mocno zasznurowała mój gorset, że jeśli upiję dwa łyki herbaty, ten drugi z pewnością się ze mnie wyleje. Prócz mnie przyszło jeszcze pięć dziewcząt z matkami. Z przerażeniem stwierdzam, że nie znam żadnej z nich, choć one najwyraźniej nie są sobie obce. Co gorsza, żadnej nie zmuszono do włożenia burej wełny. Wyglądają świeżo jak wiosna, podczas gdy ja przypominam niezamężną starą ciotkę, której każda panienka boi się jako przyzwoitki. Bardzo się staram nie powiedzieć do dziewczyny siedzącej najbliżej: „Jeśli umrę przy podwieczorku uduszona przez własny gorset, proszę nie pozwolić, żeby mnie pochowano w tej odrażającej sukni, bo inaczej będę panią straszyla po nocach”.

Nie mam żadnych złudzeń, że jest to jedynie podwieczorek. To targ, a my, dziewczęta, stanowimy dobra wystawione na sprzedaż. Podczas gdy matki rozmawiają, my w milczeniu popijamy herbatę, uśmiechami odpowiadając na uśmiechy, jakbyśmy odgrywały pantomimę. Muszę pamiętać, żeby odzywać się jedynie wtedy, gdy ktoś odezwie się do mnie, żeby odbijać echem uczucia innych. Musimy działać zgodnie, żeby powierzchnia tego życia była śliczna oraz gładka i żeby nie zmąciła jej najłżejsza zmarszczka.

Przy każdym pytaniu, każdym spojrzeniu skrupulatnie szacują w myślach naszą wartość, raz przechylając szalę na stronę spełnionych oczekiwań, a raz na stronę rozczarowań. Ta panna zbyt często wybucha śmiechem. Ta włosy ma za sztywne, a cerę zbyt rumianą. Ta robi ponurą minę. Tamta miesza herbatę zbyt długo, a tamta nieszczęśnica stwierdza śmiało, że uważa deszcz za „romantyczny”, na co słyszy zdecydowaną reprimendę, że deszcz służy tylko różom, a poza tym wywołuje reumatyzm. Bez wątpienia matka złaje ją bezlitośnie w powozie, a za występek obwini przede wszystkim guwernantkę.

Krótką chwilę nasze opiekunki poświęcają na zadawanie prostych pytań: Czy cieszymy się nadchodzącym debiutem? Czy podobała nam się dana opera lub sztuka? Udzielamy płytkich odpowiedzi, a one się uśmiechają. Nie potrafię odczytać, co się kryje za ich minami. Czy zazdroszczą nam młodości i urody? Czy czują się szczęśliwe i podekscytowane życiem, które nas czeka? A może chciałyby dostać w życiu jeszcze jedną szansę? Inną szansę?

Wkrótce nużą się tym odpytywaniem, więc oddają się rozmowie, która nas nie dotyczy. Podczas przechadzki po ogrodach pani Sheridan – z których jest niezmiernie dumna, choć całą robotę wykonał ogrodnik – dzięki Bogu pozostawiają nas samym sobie. Wyćwiczone maski opadają z naszego twarzy.

- Widziałyście diadem lady Markham? Przepiękny, prawda? Oddałabym wszystko, żeby móc ponosić tak diadem, choćby przez chwilę.

- Skoro mowa o lady Markham, chyba słyszałyście najnowszą plotkę? – odzywa się dziewczyna o imieniu Annabelle.

Pozostałe natychmiast tłoczą się wokół niej.

- O co chodzi? Co się stało?

Annabelle wzdycha ciężko, ale wyraźnie widać po niej radość, jakby przez cały ten czas siedziała jak na szpilkach, czekając tylko na okazję, żeby podzielić się nowinami.

- Mogę wam to zdradzić w tajemnicy, ale tylko pod warunkiem, że dacie słowo, iż nikomu więcej tego nie powiecie.

- Och, nie powiemy! – obiecują dziewczęta, niewątpliwie od razu zastanawiając się, komu pierwszemu przekażą najnowsze wieści.

- Słyszałam, że lady Markham zmieniła zdanie i że chyba jednak nie przedstawi panny Worthington na dworze.

Dziewczęta zasłaniają usta dłońmi w rękawiczkach w geście mającym oznaczać zgrozę, ale ich radość jest widoczna jak halka wystająca spod spódnicy. Cieszą się z plotki, lecz w dwójnasób raduje je fakt, że ta plotka ich nie dotyczy. Nie wiem, co powiedzieć. Czy mam im wyjawić, że Felicity jest moją przyjaciółką? A może wiedzą o tym?

Rozlega się chór:

- Oj, biedna, droga Felicity!

- Co za skandal!

- Ona jest taka zuchwała.

- Słusznie. Sama sobie winna.

- Uwielbiam ją, ale...

- Masz rację.

Annabelle przerywa im. Z pewnością to ona jest tu królową pszczół.

- Niezależny charakter nie zaskarbił jej przychylności dam, które liczą się w towarzystwie. I pozostaje jeszcze kwestia jej matki.

- No nie, o co chodzi? Naprawdę nienawidzę mojej guwernantki za to, że nigdy mi nic nie mówi! – wyznaje dziewczę o policzkach jak jabłuszka i drobnych usteczkach.

Oczy Annabelle błyszczą.

- Trzy lata temu pani Worthington wyjechała za granicę, gdy jej mąż, admirał, wypłynął w morze. Ale wszyscy wiedzą, że tak naprawdę uciekła do Paryża do swojego kochanka! Gdyby admirał Worthington nie był bohaterem i ulubieńcem Jej Wysokości, dla panny Worthington w ogóle nie byłoby miejsca w porządnym towarzystwie.

Wiem, jaką koszmarną krzywdę bohaterski admirał wyrządził swojej córce, przychodząc nocą do jej sypialni, by robić to, czego nie powinien robić żaden ojciec. Ale przysięgam Fee, że dochoвам tajemnicy, zresztą kto by uwierzył, nawet gdybym powiedziała prawdę? Ludzie mają w zwyczaju z całego serca wierzyć w fikcję, żeby móc ignorować prawdę, której nie potrafią zaakceptować.

- To nie wszystko – dodaje Annabelle.

- Powiedz! Powiedz!

- Podśledzałam, jak mama mówiła pani Twitt, że jeśli panna Worthington nie zadebiutuje, straci spadek. Jej babka stanowczo zaznaczyła w testamencie, że wnuczka musi odbyć debiut „jako dama o nieskalanej reputacji”, inaczej pieniądze przypadną przytułkowi dla dzieci, a Felicity będzie zdana na dobrą wolę admirała.

Jedynym pragnieniem Fee jest niezależność. A teraz grozi jej, że straci na nią wszelkie szanse. Czuję, jak krew się we mnie burzy. Pewnie wszyscy widzą, że mam purpurowe policzki. Gdybym mogła, wytargałabym Annabelle za śliczne uszy. Mam za ciasny gorset, więc z ledwością oddycham, skóra mnie łaskocze, a moja głowa wydaje się dziwnie lekka i przez chwilę mam takie wrażenie, jakbym wyszła z własnego ciała.

- Au! – krzyczy Annabelle, odwracając się do dziewczyny obok. – Constance Lloyd! Jak śmiesz mnie szczytać!

Constance szeroko otwiera usta ze zdumienia.

- Nie uszczypnęłam cię!

- Ależ uszczypnęłaś! Czuję, jak mi się robi na ramieniu siniak!

Reszta dziewcząt próbuje zapanować nad wesołością, gdy Constance i Annabelle wdają się w sprzeczkę. Wprawdzie wrażenie lekkości sprzed chwili minęło, ale czuję się dziwnie dobrze, lepiej nie czułam się już dawno.

*

- Gdy wspomniałam o tym, że możemy urządzić angielskie garden party, pani Sheridan posłała mi przedziwne spojrzenie. Myślisz, że mogła to uznać za zbyt ordynarne? Moim zdaniem to byłoby bardzo przyjemne wydarzenie. Jak sądzisz?

Przez całą drogę bryczką do domu babcia zadręcza mnie podobną paplaniną. Bezustannie zamartwia się każdą możliwą zniewagą czy wyimaginowaną krytyką. Chciałabym, żeby choć raz żyła własnym życiem, nie troszcząc się tak bardzo o to, co pomyślą inni.

Mam własne zmartwienia. Jak powiedzieć Felicity to, czego się dowiedziałam, nie wyprowadzając jej z równowagi? Jak ktokolwiek może jej przemówić do rozsądku? To tak, jakby próbować okiełznać siły natury.

- Uważam, że angielskie garden party to bardzo uroczy i odpowiedni pomysł. Oczywiście, nie jest to turecki bal, ale nawet Jej Wysokość uznaje taką wystawność za niestosowną. Czy młode damy omawiały ten plan? Czy znalazły w nim jakąś skazę?

- Nie, nie omawiały. – Wzdycham, opierając głowę o ścianę powozu. Nad Londynem osiada gazowa mgła. Ulice są mroczne, ludzie wyglądają jak zjawy. Zauważam młodego mężczyznę w czapce gazeciarza na ciemnych lokach i moje serce zamiera. Wychylam się z okna.

- Przepraszam! Halo! Proszę pana! – wołam.

- Gemmo Doyle! – Babcie aż zatchnęło z oburzenia.

Młody człowiek odwraca się. To nie Kartik. Chłopak proponuje mi dziennik.

- Gazetę, panienko?

- Nie – odpowiadam, ciężko przetykają. – Nie, dziękuję.

Opadam na oparcie, zdecydowana nie rozglądać się więcej i nie wzbudzać w sobie płonnych nadziei. *Gdzie jesteś, Kartiku?*

- Zachowujesz się doprawdy niemożliwie! – grzmi babcia. Mruży oczy w przyпіływie nowych obaw. – Chyba nie popełniłaś żadnego uchybienia na przyjęciu, Gemmo? Nie odzywałaś się zbyt swobodnie i nie zachowywałaś się... dziwnie?

Wysunęłam pazury i wyłam do księżycy. Wyznałam, że żywię się sercami niewinnych dzieci. Powiedziałam, że lubię Francuzów. Dlaczego wina zawsze leży po mojej stronie?

- Rozmawialiśmy o kwiatkach pani Sheridan – odpowiadam spokojnie.

- No cóż, nie ma w tym chyba nic niewłaściwego – uznaje babcia, oddychając z ulgą. – Nie, zupełnie nic.

*

Późnym wieczorem tego ostatniego dnia pobytu w Londynie moje nieszczęście osiąga apogeum. Babcia udaje się wcześniej na spoczynek, „wyczerpana” wydarzeniami dnia. Tom natomiast wybiera się na kolację do Ateneum na zaproszenie lorda Denby.

- Wrócę jako wielki człowiek – oznajmia, podziwiając się w lustrze nad kominkiem. Ma nowy cylinder, który nadaje mu wygląd zamożnego stracha na wróble.

- Poćwiczę klękanie, gdy cię nie będzie – odpowiadam.

Tom odwraca się do mnie z drwiącym uśmieszkiem.

- Wysłałbym cię do klasztoru, ale nawet zakonnice nie miałyby cierpliwości do twoich humorów. Nie musisz mnie odprowadzać do wyjścia – mówi, sprężystym krokiem zmierzając w stronę drzwi. – Nie chcę przeszkadzać ci w użalaniu się nad sobą.

- Nie martw się – odpowiadam, odwracając się z westchnieniem do ognia. – Nie dałbyś rady.

Mój sezon jeszcze się nie zaczął, a ja już mam poczucie kompletnej klęski. Tak jakbym odziedziczyła skórę, która na mnie nie pasuje, więc ciągle ją podciągam i szarpię, upinam i skracam, rozpaczliwie próbując ją wypełnić, w nadziei, że nikt nie zauważy mojej walki i nie powie: „Tamta dziewczucha to oszustka. Zobaczcie, że ona nie jest jedną z nas”.

Gdybym tylko mogła dostać się do międzyświata! Och, co tam się dzieje? Dlaczego nie mam do niego dostępu? Co się stało z magią? Gdzie się podziały moje wizje? I pomyśleć, że kiedyś się ich bałam. Teraz moc, którą przeklinałam, to jedyne, za czym tęsknię.

Nie jedyne. Ale nad Kartikiem także nie mam władzy.

Wpatruję się w ogień, patrząc, jak tłuste pomarańczowe płomienie drżą, domagając się uwagi. W głębi każdego z nich płonie delikatna błękitna dusza, czysta i gorąca, która pochłania najdrobniejszy odłamek drewna, byle tylko nie zgasnąć. Zegar na kominku odmierza sekundy. Monotonne tykanie sprawia, że robię się śpiąca. Po chwili pogrążam się we śnie.

Otocza mnie gęsta mgła. Przedemną stoi ogromny jesion, który powykrzywianymi konarami sięga niewidocznego nieba. Jakiś głos woła: *Chodź do mnie!*

Moje serce zaczyna bić szybciej, ale nikogo nie widzę.

Tylko ty możesz nas uratować, ocalić międzyświat. Musisz do mnie przyjść...

- Nie potrafisz tam wejść – mamrocze.

Jest inne wejście – sekretne drzwi. Zaufaj magii. Pozwól, by cię poprowadziła.

- Nie ma już we mnie magii...

Mylisz się. Twoja moc jest przeogromna. Narasta w tobie i szuka ujścia. Wyzwól swą moc. Oni właśnie tego się boją, ale ty nie powinnaś się obawiać. Pomogę ci, lecz musisz do mnie przyjść. Otwórz drzwi...

Sceneria się zmienia. Znajduję się Grotach Westchnień przed studnią wieczności. Pod ściętą lodem powierzchnią wody leży panna Moore, a jej ciemne włosy rozkładają się wachlarzem jak włosy bogini Kali. Pływa w szklanym więzieniu, śliczna niczym Ofelia i przerażając niczym burzowa chmura. Czuję, że dreszcz przenika mnie do szpiku kości.

- Pani nie żyje – szepcze. – Zabiłam panią.

Szeroko otwiera oczy.

- Mylisz się, Gemmo. Żyję.

Budzę się gwałtownie i odkrywam, że nadal siedzę w fotelu, a zegar w kominku wskazuje wpół do dwunastej. Mam wrażenie, że trawi mnie gorączka. Pasma włosów opadają mi na twarz, a krew pulsuje dziko. Czuję się, jakby nawiedził mnie duch.

To był jedynie sen, Gemmo. Daj sobie spokój. Felicity ma rację – Kirke nie żyje, a nawet jeżeli jej krew płami twoje dłonie, nie masz się czego wstydzić. Ale nie mogę opanować drżenia. A co z pierwszą częścią snu? Drzwi. Oddałabym wiele za powrót do międzyświata, do magii. Tym razem nie bałabym się jej, tylko ją hołubiła.

Cisną mi się do oczu gorące łzy. Jestem zupełnie bezużyteczna. Nie potrafisz wejść do międzyświata. Nie umiem pomóc przyjaciółkom ani ojcu. Nie mogę odnaleźć Kartika. Nie potrafisz nawet zachowywać się wesoło na podwieczorku. Nie mam swojego miejsca na świecie. Poruszam pogrzebaczem dogasające kłody, które rozpadają się na kawałki. Wygląda na to, że z tym też sobie nie radzę. Rzucam pogrzebacz na podłogę i uderzam dłonią w półkę nad kominkiem. Potrzebuję ciepła, które odeгна przenikające mnie dreszcze.

Czuję mrowienie w palcach, a moje ramiona drżą. Znów dostaję zawrotów głowy. Mam wrażenie, że zaraz zemdleję.

Nagle z kominka wypada gorący podmuch i roznieca ogień. Z głośnym okrzykiem cofam się i padam na podłogę. Ogień syczy głośno i po chwili gaśnie.

Baczenie przyglądam się swojej dłoni. Czy ja to zrobiłam? W czubkach palców nadal czuję delikatne mrowienie, więc kieruję je w stronę cichego kominka, ale nic się nie dzieje.

Zamykam oczy.

- Rozkazuję ci zapłonąć!

Poczerwała kłoda pęka i rozpada się w popiół. Nic.

W hallu słychać nerwowy tupot, po czym pani Jones wpada do salonu.

- Panienko? Co się stało?

- Ogień zgasł, a potem nagle zapłonął tak, że cały kominek ogarnęły płomienie.

Gospodyni podnosi porzucony pogrzebacz i rozgarnia resztki zwęglonego drewna.

- Już się nie pali, panienko. Może to sadza z komina. Zaraz z rana wezwę kominiarza.

Do pokoju wchodzi Tom. Choć nie jest wcześniej, spodziewałam się, że wróci o wiele później. Nalewa sobie szklaneczkę szkockiej ojca i siada w fotelu.

Pani Jones spogląda na niego z dezaprobatą.

- Dobry wieczór, sir. Czy będzie mnie pan potrzebował?

- Nie, dziękuję, pani Jones. Może pani odejść.

- Oczywiście, sir. Dobranoc, panienko.

Tom zerka na mnie z lekceważeniem.

- Czy nie powinnaś już być w łóżku?

- Jakże mogłabym zasnąć, wiedząc, że najnowszy członek klubu Ateneum w każdej chwili może zaszczyścić nasz dom swoją dostojną osobą? – Składam teatralny ukłon i czekam, aż Tom wbije mi szpilę. Nie robi tego, a ja tracę pewność, czy to aby mój brat. To do niego niepodobne: bez najmniejszej próby, by mnie zdyskredytować, pozwala, żebym miała ostatnie słowo.

- Tom?

Zapadł się w fotel, krawat ma rozwiązany, a oczy zaczerwienione.

- Wybrali Simpsona zamiast mnie – wyjaśnia cicho.

- Przykro mi – mówię zgodnie z prawdą. Jego pragnienie, by wstąpić do Ateneum, mogło wydawać mi się niemądre, ale bardzo na to liczył, a postąpiono z nim okrutnie. – Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Tak – przyznaje, osuszając szklaneczkę. – Możesz zostawić mnie w spokoju.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Chociaż nie sądziłam, że kiedykolwiek do tego dojdzie, tym razem na widok surowego, imponującego gmaszyska Spence ogarnia mnie prawdziwa radość. Trzy dni spędzone w Londynie były koszmarem męczarnią z powodu dąsów Toma, bezustannego zrzędzenia babci i nieobecności taty. Nie wiem, jak uda mi się przetrwać cały sezon.

Do tego doszły jeszcze dwie kwestie: mój niepokojący sen i dziwne wydarzenia z kominkiem. Kominiarz potwierdził, że nagły wybuch ognia spowodowała zalegająca w kominie sadza. Sen trudniej wyjaśnić, może dlatego, iż chcę wierzyć, że istnieją sekretne drzwi do międzyświata i że magia nadal we mnie żyje. Ale życzenia nie sprawią, że stanie się to prawdą.

W kaplicy odzywa się dzwon, który wzywa nas na poranną modlitwę. Ubrane w nieskazitelne białe mundurki, z włosami mocno przewiązanymi wstążkami, wlecemy się ścieżką na wzgórze starej kaplicy zbudowanej z kamieni i drewnianych belek.

- Jak tam wizyta w domu? – pyta Felicity, zrównując się ze mną.

- Koszmarna – odpowiadam.

Fee szczerzy zęby w uśmiechu.

- Tutaj też kompletna nędza! Cecilu uparła się, żebyśmy zagrały w szarady, jakbyśmy chodziły jeszcze do przedszkola, a kiedy Martha od razu rozwiązała jej zagadkę, ona się obraziła. Chodziło oczywiście o *Wichrowe Wzgórze*, a przecież wszyscy wiedzą, że to jej ulubiona książka. Nie robi z tego tajemnicy.

Śmieję się z tej historyjki i przez chwilę kusi mnie, żeby opowiedzieć o moim śnie. Ale to by tylko znowu wywołało dyskusję na temat wejścia do międzyświata, więc rezygnuję.

- Cieszę się, że już wróciłam – wyznaję zamiast tego.

Felicity z przerażenia szeroko otwiera oczy.

- Zaniemogłaś, Gemmo? Masz gorączkę? Szczerze powiem, że nie uronię ani jednej łzy, gdy nadejdzie czas pożegnania. Nie mogę się doczekać swojego debiutu.

Podłe plotki Annabelle ciążą mojej duszy.

- Lady Markham ma cię przedstawić, tak?

- Tak, bo muszę mieć patronkę, która mnie wprowadzi – odpowiada opryskliwym tonem.

- Ojciec może sobie być bohaterem marynarki, ale moja rodzina nie ma takiej pozycji jak twoja.

Ignoruję zaczepkę. Słońce błogosławi nas przedsmakiem nadchodzącego ciepła i jak kwiaty zwracamy do niego twarze.

- Jakiego rodzaju kobietą jest lady Markham?

- To jedna z akolitek lady Denby – prycha Fee.

Krzywię się na wzmiankę o matce Simona. Lady Denby nie pała miłością do Felicity ani do pani Worthington.

- Wiesz, jaki to rodzaj kobiet, Gemmo. Uwielbiają, gdy się im pochlebia i udaje, że się czci każde ich słowo, a na dodatek wierzy, że spływa ono prosto z ust samego Zeusa. „Droga lady Markham, bardzo dziękuję za radę”. „Jaka pani mądra, lady Markham”. „Wezmę to sobie do serca. Jakie to dla mnie szczęście, że zechciała mi pani zwrócić uwagę”. Chcą cię całkowicie osiąść. – Felicity wyciąga ramiona nad głowę, sięgając do nieba. – Tę część zadania zostawię mojej matce.

- A gdyby lady Markham cię nie wprowadziła... co wtedy? – pytam, choć serce podchodzi mi do gardła.

Felicity opuszcza ramiona.

- Byłabym załatwiona. Jeśli nie zadebiutuję, mój spadek przypadnie przytułkowi dla podrzutków, a ja zostanę na łasce ojca. Ale nie dojdzie do tego. – Marszczy brwi. – Coś podejrzanie drążysz ten temat. Doszły cię jakieś słuchy?

- Nie – zaprzeczam z wahaniem.

- Kłamiesz.

Nie wykręcę się z tego. Będzie mnie dręczyła, aż wydobędzie ze mnie prawdę.

- No dobra. Tak, słyszałam w Londynie plotki o tym, że lady Markham nie jest pewna, czy cię przedstawić na dworze... z powodu... z powodu twojej reputacji. I pomyślałam tylko, że skoro stawka jest taka wysoka, to może byś zachowywała się... grzecznie?

Ostatnie słowo wymawiam niemalże bezdźwięcznie.

Felicity mruży oczy, ale odbija się w nich uraza.

- Grzecznie?

- Tylko dopóki sezon się nie skończy...

Parska pogardliwie.

- Mam drżeć z powodu każdej paskudnej ploteczki? Przetrwalam już gorsze rzeczy. Szczerze, Gemmo, od kiedy przestałaś nas zabierać do międzyświata, zrobiła się z ciebie nudna mysz. Z trudem cię rozpoznaję.

- Chciałam cię tylko ostrzec – bronię się.

- Nie potrzebuję ostrzeżeń, potrzebuję przyjaźni – odcina się. – Jeśli chcesz mnie łajać jak belferka, to możesz usiąść w ławce z Nightwing.

Odchodzi energicznym krokiem, ujmując Elizabeth pod ramię, a słońce, które wydawało się takie ciepłe, nagle przestaje mnie grzać.

*

Rezygnuję z towarzystwa pani Nightwing na rzecz Ann. Witraże w stareńkiej kaplicy ozywają w porannym świetle, które demaskuje warstwę brudu na aniołach i nadaje ostre, jaskrawe barwy dziwacznej scenie z samotnym anielskim wojownikiem trzymającym odciętą głowę gorgony.

Pochylamy głowę w modlitwie. Śpiewamy hymn. A na koniec nasza nauczycielka francuskiego, mademoiselle LeFarge, czyta wiersz Williama Blake'a.

A czy te stopy w dawnych czasach

Znaczyły Anglii górskie drogi?

I czy Baranek Boży hasał

Po naszej Anglii łąkach błogich?

Czy moje życie już zawsze będzie takie? Grzeczne podwieczorki i cichy lęk, że nie pasuję, że jestem oszustką? Trzymałam w rękach magię! Smakowałam wolność w krainie wiecznego lata. Wraz z młodzieńcem, które pocałunek nadal czuję na ustach, przechytryłam Rakshanów. Czy to wszystko na marne? Wolałabym nigdy tego nie zaznać, niż musieć zrezygnować po tym, gdy już tego zakosztowałam.

Grozi mi, że się rozplaczę, więc skupiam uwagę na witrażu i dziwnej gromadce niebezpiecznych aniołów oraz niepewnych wojowników, żeby odzyskać panowanie nad sobą. Mademoiselle LeFarge wypełnia kaplicę dźwiękiem wzniosłych słów Blake'a.

Czy Pańskie Lico rozjaśniało

Nasze spowite mgłą wyżyny?

*A Jeruzalem, czy tu stało,
Gdzie Szatan sklecił swoje młyny?
Mój tuk złocisty niech przyniosą!
I moje strzały pożądania!*

Kilka młodszych dziewcząt chichocze, słysząc słowo „pożądanie”, więc LeFarge musi poczekać, aż się uspokoją, zanim podejmie recytację.

*I moją włócznie: O niebiosia!
Mój rydwan ognia niech tu stanie.
W bitewnym niech nie padnę szale
I niech w mym ręku miecz nie zaśnie,
Aż zbudujemy Jeruzalem
Tu, na angielskiej ziemi właśnie¹.*

LeFarge opuszcza ambonę i pani Nightwing zajmuje jej miejsce.

- Dziękuję, panno LeFarge. Bardzo wzruszające. Ten wiersz przypomina nam, że wielkość objawia się w najprostszych chwilach, w najpokorniejszych sercach i że każdy z nas zostanie do wielkości powołany. Wyzwaniem dla nas jest to, czy jej sprostamy, czy też pozwolimy się wymknąć z naszych rąk.

Spojrzenie, którym omiata cały kościół, zdaje się zatrzymywać na każdej z nas, przekazując nam w spadku impuls, żeby zachichotać, i przygnębienie przytłacza mnie niczym wiosenny śnieg.

- Już prawie kwiecień, niedługo nadejdzie maj, a wraz z nim chwila, w której część uczennic nas opuści.

Siedząca obok mnie Ann z roztargnieniem pociera blizny na przedramieniu. Kładę ręce na jej dłoniach.

- Co roku wydajemy skromny podwieczorek na cześć naszych absolwentek. W tym roku go nie wydamy.

W niewielkiej kaplicy rozlega się pomruk zaskoczenia. Uśmiechy na twarzach dziewcząt zamierają. Elizabeth wygląda, jakby się miała zaraz rozplakać.

- Och. Och, nie!

- Chyba się nie odważy – szepcze osłupiała z przerażenia Cecily. – Prawda?

- Cisza, cisza, proszę. – Echo powtarza słowa pani Nightwing. – Mam przyjemność poinformować was, że w tym roku nie wydamy podwieczorku, lecz bal.

Fala podniecenia przetacza się przez całą kaplicę. Bal!

- Będzie to bal maskowy, uświetniony przedstawieniem kostiumowym, a wydamy go pierwszego maja. Zaprosimy rodziców oraz opiekunów. Zapewne zaczęłyście już marzyć o skrzydłach wrózek i szatach szlachetnych hinduskich księżniczek. Może też znajdzie się między wami pirat, Nefretete lub majestatyczna królowa Mab.

Kolejna fala rozbawienia zakłóca święty spokój kaplicy.

- Byłaby ze mnie świetna królowa Mab – oznajmia Felicity. – Jak sądzicie?

Cecily wpada we wściekłość.

- Felicity Worthington, to miał być mój kostium!

- Ale już nie jest. Pierwsza na to wpadłam.

- Jak to możliwe, skoro ja pierwsza o tym pomyślałam?

- Panienki! Wdzięk, urok i piękno! – Pani Nightwing przekrzykuje zamieszanie, przypominając nam o motcie Spence i o dobrych manierach. Uspokajam się jak ogródek

¹ W przekładzie Macieja Frońskiego (przyp. tłum.).

kwiatowy po nagłym podmuchu wiatru. – Mam jeszcze jedną niespodziankę. Jak wiecie, panna McCleethy wyjechała na kilka miesięcy w pilnych sprawach rodzinnych. Z przyjemnością zawiadamiam was, że jej zobowiązania dobiegają końca i że wkrótce będzie mogła do nas wrócić. Przesłała list, który wam teraz przeczytam. – Chrząka głośno. – „Drogie Damy ze Spence! Mam nadzieję, że ten list zastanie Was w dobrym zdrowiu. Wiosna niedługo opromieni naszą kochaną szkołę. To piękny widok i mam nadzieję, że wkrótce nasycę nim oczy. Pani Nightwing zapytała, czy mogłabym na stałe objąć posadę zwolnioną przez pannę Moore, więc z radością informuję, że przyjąłem jej propozycję. Nie zamierzałam pozostać w Spence, ale wygląda na to, że jestem Wam potrzebna, a zwykłam podążać tam, gdzie obowiązek mnie wzywa. Mam szczerą nadzieję, że zobaczę Was wszystkie przed końcem miesiąca. Na razie życzę Wam sukcesów w nauce i smacznej owsianki”.

Tutaj następuje wybuch śmiechu, gdyż owsianka w Spence cieszy się powszechnie złą sławą.

- „A te z Was, które wkrótce odejdą, by zająć należne im miejsce w społeczeństwie, proszę aby pamiętały zarówno o swych zobowiązaniach, jak i o marzeniach. Pozdrawiam Was serdecznie. Panna McCleethy”.

Wiatr znów powiał i rozbawione dziewczęta zaczynają paplać. Choć także jestem podekscytowana, odczuwam dziwne napięcie. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że Re ostatnie zdania były skierowane do mnie, że to strzała wypuszczona z twardego łuku pragnienia panny McCleethy, by przywrócić Zakonowi poprzednią pozycję w międzyświecie.

Po raz ostatni widziałam Claire Sahirę McCleethy w Londynie podczas ferii bożonarodzeniowych. Udawała, że zamierza zawrzeć przymierze ze stowarzyszeniem Rakshana, a mnie próbowała zmusić, żebym ją zabrała do międzyświata. Gdy już przywiązałam magię do siebie, spodziewała się, że oddam władzę Zakonowi i bez dyskusji przystanę na ich warunki. Odmówiłam, a ona ostrzegła mnie, że nie powinnam robić sobie wroga z Zakonu. Potem zniknęła. Pani Nightwing nie tłumaczyła uczennicom Spence powodów jej nieobecności. Ale okazuje się, że panna McCleethy postanowiła wrócić, i ciekawa jestem, co to dla mnie oznacza.

Wychodzimy przez stare dębowe drzwi kaplicy dwójkami i trójkami, w podnieceniu rozprawiając o tym, co nas czeka.

- Cieszę się, że pani McCleethy wraca. To naprawdę dobra wiadomość – przyznaje Cecily.

- Powinnyśmy przygotować piosenkę albo recytację na jej powitanie – szczebiocze Elizabeth. Jej głos o tej porze dnia stanowi obrazę dla moich uszu.

Martha przyłącza się do ogólnego amoku.

- Och, tak! Ja tam nawet lubię sonety Szekspira.

- M-mogłabym dla niej zaśpiewać – proponuje Ann, która wlecze się z tyłu.

Przez chwilę nikt nic nie mówi.

- Ach, Elizabeth, ty masz taki śliczny głos. Może zaśpiewasz dla panny McCleethy? – grucha Cecily, jakby Ann nie powiedziała ani słowa. Przywodzi mi na myśl pszczołę, która robi słodki miód, ale potrafi też bardzo boleśnie użądlić.

- Prosimy cię – szybko popiera ją Martha.

- A więc ustalone. Martha i ja przeczytamy sonet, a ty, Elizabeth, zaśpiewasz. Fee, może przygotujesz występ z nami?

Chciałabym, by Ann sama się obroniła, mówiąc, że Cecily jest paskudną ropuchą. Ale ona tego nie robi, a jedynie zwalnia jeszcze bardziej, zostając całkiem z tyłu.

- Ann – odzywam się i wyciągam do niej dłoń, lecz ona nie chce na mnie spojrzeć, nie chce zareagować. Daje jasno do zrozumienia, że teraz jestem jedną z nich. Od rozstania dzieli nas jeszcze kilka miesięcy, ale ona już mnie odpycha.

Dobra. Jak sobie chce. Idę szybciej, żeby dołączyć do pozostałych. Drzewa noszą płaszcz świeżej zieleni jeszcze bardzo niepewnie. Przez rzadkie liście przyglądam się postępowi prac we Wschodnim Skrzydle Baszta robi wielkie wrażenie. Nie mogę oderwać od niej wzroku, jakby była magnesem, który mnie przyciąga.

Na placu budowy rozlegają się głośnie krzyki i groźby, więc spieszymy sprawdzić, co się dzieje. Na trawniku stoi grupa mężczyzn z zacisniętymi pięściami, gotowych do walki. Gdy podchodzę bliżej, okazuje się, że to nie robotnicy, lecz Cyganie. Cyganie wrócili! Przyglądam się ich twarzom w nadziei, że dojrzę Kartika, ponieważ już kiedyś z nimi podróżował. Ale nigdzie go nie widzę i serce robi mi się ciężkie jak kamień.

Budowniczości ustawiają się w szeregu za swoim majstrem, panem Millerem. Przeważają liczebnie nad Cyganami w stosunku dwóch do jednego, lecz młotki trzymają w pogotowiu.

- Słucham, co to za zamieszanie? Panie Miller, dlaczego pańscy ludzie przerwali pracę? – pyta ostro pani Nightwing.

- Przez tych Cyganów, psze pani – odpowiada majster. – Proszą się o kłopoty.

Wysoki Cygan o dość jasnych włosach i mądrym uśmiechu wychodzi naprzód. Ma na imię Ithal. To z nim całowała się Felicity za hangarem na łodzie. Ona też go dostrzega i gwałtownie blednie. Trzymając kapelusz w dłoni, młodzieniec zbliża się do dyrektorki.

- Szukamy zajęcia. Jesteśmy stolarzami i pracowaliśmy już na wielu budowach.

- Znikaj stąd, człowieku – przerywa mu pan Miller niskim, pełnym napięcia głosem. – To nasza robota.

- Moglibyśmy pracować razem. – Ithal wyciąga rękę, ale majster nie chce jej uściśnąć.

- Nie. To przyzwoite panie, nie potrzebują, żeby się tu kręcili jacyś brudni złodzieje.

Pani Nightwing mityguje go.

- Od lat Cyganie obozują na naszym terenie i nigdy jeszcze nie przysporzyli żadnych kłopotów.

W oczach pana Millera pojawia się błysk.

- Rozumiem, że pani ma współczujące serce. Ale jeśli okaże im pani dobroć, nigdy nie odejdą. A powinni wrócić do swojego kraju.

Ithal mocno ściska kapelusz, zaginając rondo.

- Zabiją nas, jeżeli tam wrócimy.

Pan Miller uśmiecha się szeroko.

- Widzi pani? Nie chcą ich nawet w ojczyźnie. Nie może pani zatrudnić Cyganów, psze pani. Wszystko by stąd wynieśli. – Obniża głos. – A co z panienkami, psze pani? Strach pomyśleć, co by się mogło stać.

Nie lubię pana Millera. Jego uśmiech to pozory. Nie pasuje do jadu płynącego w jego żyłach. Ithal milczy, ale po tym, jak napina mięśnie szczęki, widzę, że chciałby coś powiedzieć.

Pani Nightwing prostuje się tak jak wtedy, gdy gani którąś z nas.

- Panie Miller, ufam, że skończycie tę część przed naszym balem?

- Tak, psze pani – odpowiada majster, nie spuszczać oka z Ithala. – Deszcz nas opóźniał. Dyrektorka zwraca się do Cyganów jak do opieszłych dzieci, które powinny już iść spać.

- Dziękuję wam za troskę, panowie, ale na razie panujemy nad sytuacją.

Patrząc, jak Cyganie się oddalają, i nadal mam nadzieję, że zaraz zobaczę wśród nich Kartika. Pani Nightwing wdaje się w rozmowę z majstrem, więc korzystam z okazji. Wyjmuję pensa i ruszam za Cyganami.

- Przepraszam, chyba pan to zgubił – odzywam się, wyciągając dłoń z lśniąca monetą.

Mężczyzna wie, że to podstęp, poznają to po jego podejrzliwym uśmiechu. Spogląda pytająco na Ithala, który mówi:

- To nie nasze.

- Ale może być wasze! – zapewniam szybko.

Cygan jest zaintrygowany.

- A za co?

- Ostrożnie, przyjacielu – ostrzega Ithal. – Jesteśmy dla nich jak kurz pod stopami. – Rzuca spojrzenie Felicity, która nawet nie raczy tego zauważyć.

- Chciałam się tylko dowiedzieć, czy towarzyszy wam pan Kartik.

Ithal splata ramiona na piersi.

- Czemu panienka chce wiedzieć?

- Szukał pracy jako woźnica. Tak się akurat skąła, że znam rodzinę, która potrzebuje woźnicy, więc pomyślałam, że go o tym zawiadomię. – Czuję się zawstydzona tym kłamstwem.

- Widzisz? Ledwie kurz. – Ithal patrzy na mnie gniewnie. – Nie widziałem Kartika od kilku miesięcy. Być może wstąpił już na służbę do jakiejś miłej rodziny i nie może się dłużej bawić z panienką.

To obraźliwy komentarz i czuję się zraniona, ale bardziej boli mnie świadomość, że od kilku miesięcy nikt go nie widział. Obawiam się, że mogło mu się przytrafić coś strasznego.

Pani Nightwing zagania dziewczęta, więc pospiesznie dołączam do jej trzódki. Na odchodnym słyszę, jak Ithal radzi swym kompanom:

- Nie dajcie się skusić angielskim różom. Ich kwiaty więdną, za to kolce pozostają na zawsze.

- Panno Doyle! Co pani robiła w pobliżu tych mężczyzn? – karci mnie dyrektorka.

- Wpadł mi kamień do buta i zatrzymałam się, żeby go wyjąć – kłamię.

- Skandaliczne zachowanie. – Szept Cecyli zbudziłby zmarłego.

Pani Nightwing ujmuje mnie pod ramię.

- Proszę dołączyć do pozostałych z łaski swojej... - Przerywa jej głośny krzyk jednego z robotników.

- Hej! Tu w dole coś jest!

Kilku mężczyzn wskakuje do wykopu między nową basztą a starą częścią szkoły. Ktoś woła o lampę, a ktoś inny ją podaje. Idziemy za panią Nightwing i stajemy na krawędzi dołu, chcąc rzucić okiem na znalezisko.

Robotnicy porzucają łopaty i kopią brudnymi rękami, odgarniając grudy wysychającego błota. Rzeczywiście coś wystaje spod ziemi, jakby fragment starego muru. Na kamieniu widnieją dziwne znaki, ale są za mało wyraźne, bym mogła je dokładnie zobaczyć. Pan Miller marszczy brwi.

- A to co?

- Może piwniczka na wino – zgaduje mężczyzna o krzaczastych wąsiskach.

- Albo więzienie – dorzuca inny. Klepie po bucie najmniejszego z robotników. – Ej, Charlie, bądź grzeczny, bo pójdziesz do dziury! – Nagle chwyta przestraszonego młodzieńca za kostkę, a pozostali wybuchają głośnym śmiechem.

Pani Nightwing bierze lampę i trzyma ją nad antycznym kamieniem. Przygląda mu się od góry, układając buzię w ciup, a potem szybko oddaje lampę panu Millerowi.

- To zapewne pozostałość po druidach albo nawet po Rzymianach. Podobno sam Hannibal prowadził swoje oddziały przez tę okolicę.

- Może ma pani rację. To mi wygląda na jakiś znak – zgadza się tęgi mężczyzna.

Jest w tym wszystkim coś niejasno znajomego, jak sen, którego nie można sobie przypomnieć, zanim całkiem uleci. Nie potrafię się powstrzymać i sięgam ręką do kamienia. Oddycham coraz szybciej, moja skóra robi się ciepła. Chcę go dotknąć...

- Ostrożnie, panienko! – Majster odpycha mnie, gdy zaczynam się przewracać.

Ciepło znika z moich dłoni i otrząsam się, jakbym się właśnie przebudziła.

- Panno Doyle! Stoi pani zdecydowanie za blisko! – gani mnie dyrektorka. – Panienek w ogóle nie powinno tu być. Poza tym wydaje mi się, że czeka na was mademoiselle LeFarge.

- Tak, proszę pani – odpowiadamy potulnie, ale nie ruszamy się z miejsca.

- Mamy to usunąć, psze pani? – pyta majster i znów nie wiem, dlaczego przepływa przeze mnie to dziwne uczucie.

Pani Nightwing kiwa głową. Mężczyźni, napinając muskuły, usiłując wydobyć kamień, ale po chwili rezygnując, zasapani i czerwoni z wysiłku. Największy i najsilniejszy wskakuje do dziury i całym ciężarem napiera na głaz. On też odstępuje.

- Nie drgnie ani na milimetr – mówi.

- Co mamy zrobić, psze pani?

Dyrektorka kręci głową.

- Leży tutaj od tak dawna. Zostawcie go.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Felicity jeszcze nie wybaczyła mi rady dotyczącej poprawy stosunków z lady Markham, więc nie mam wstępu do jej namiotu w wielkim salonie. Bynajmniej nie powiedziała, że nie jestem tam mile widziana. Po prostu każdą nudną opowieść Cecily nagradza wybuchem perlistego śmiechu i niezwykle ją pochłaniają wszystkie głupawe szczegóły ostatniej wizyty Elizabeth u krawcowej, natomiast każda sylaba wypowiedziana przeze mnie budzi jej bezdenną pogardę. W końcu uciekam do kuchni.

Zaskakuje mnie widok Brigid stawiającej miseczkę z mlekiem w palenisku. Co ciekawe, gospodyni powiesiła też krucyfiks na ścianie przy drzwiach, a w oknach okryte liśćmi gałązki.

Biorę sobie twardą piętę ciemnego chleba ze spiżarni.

- Brigid... - odzywam się, a gospodyni aż podskakuje.

- Święci pańscy! Niech się tak nie zakrada do starej Brigid! – woła, przykładając rękę do serca.

- Co robisz? – Kiwam głową w stronę mleka. – Kręci się tu jakiś kot?

- Nie – odpowiada, biorąc koszyczek z szyciem. – I tylko tyle powiem w tym temacie.

Brigid zawsze ma więcej do powiedzenia na każdy temat. To jedynie kwestia odpowiednich argumentów.

- Proszę, Brigid, nikomu nie pisnę ani słówka – obiecuję.

- No... - Kiwa ręką, żebym usiadła koło niej przy ogniu. – To do ochrony - szepcze. – Krzyż i liście jarzębiny na oknach też po to.

- Ochrony przed czym?

Brigid wbija igłę w materiał i wyciąga z drugiej strony.

- Przed Wschodnim Skrzydłem. Nie powinno się remontować tego przeklętego miejsca.

- Chodzi ci o pożar i dziewczęta, które w nim zginęły?

Brigid rozgląda się, żeby mieć pewność, że nikt nas nie podsłuchuje. Opuszcza robótkę na kolana.

- No tak, o to, ale ja zawsze czułam, że tam jest cosik niedobrego.

- Co masz na myśli? – pytam, pogryzając chleb.

- Takie rzeczy po prostu czuje się w kościach. – Ujmuje w palce krzyżyk, który nosi na szyi. – Pewnego dnia słyszałam, jak pani Nightwing pytała panią Spence o Wschodnie Skrzydło, a pani Spence, Boże, świeć nad jej anielską duszą, odpowiedziała jej, żeby się nie martwiła, bo ona niczego tam nie wpuści, choćby miała zginąć. Na samą myśl o tym dostaję dreszczy.

Eugenia Spence oddała życie, żeby uratować świat przed stworzeniami z Krainy Zimy. Z trudem przetykam kęs chleba, który odgryzłam.

Brigid patrzy przez okno na ciemny las.

- Wolałabym, coby nic tam nie ruszali.

- Ale pomyśl, Brigid, jak ślicznie się tu zrobi, kiedy skończą remont, a szkoła znów będzie wyglądała tak jak kiedyś – pocieszam ją. – W ten sposób złożymy hołd pani Spence, prawda?

Brigid kiwa głową.

- No prawda. Ale mimo to... - Ujmuje mnie dłonią pod brodę. – Nie naskarży na starą Brigid i jej mleko, co?

Kręcę głową.

- Oczywiście, że nie.

- Grzeczna dziewczynka. – Poklepuje mnie po policzku i ten gest skuteczniej niż jakiegokolwiek amulety na szczęście przegania upiory z mojej duszy. – Jak się pierwszy raz pojawiła odziana w żałobę, to wydała mi się jakaś dziwna. To przez te zielone oczy.

Przypominały mi biedną Mary Dowd, co zginęła w pożarze, i jej przyjaciółkę, Sarę. Ale nie jest wcale do nich podobna. Wcale, ale to wcale.

- Dziękuję za chleb – mówię, choć ciąży mi w brzuchu niczym ołów.

- Proszę bardzo, słodziutka. Lepiej niech już idzie. Pewnie koleżanki za nią tęsknią. – Znów spogląda w ciemność za oknem. – Niedobrze, że remontują. Czuję to. Niedobrze.

Wszzechwidzące oczy Eugenii Spence obserwują mnie, gdy wspinam się po schodach do swego pokoju. Założycielka szkoły uczesana jest zgodnie z modą swoich czasów, z loczkami spadającymi na czoło i masą białych włosów upiętych z tyłu głowy. Jej sukienka ma wysoki kołnierz i wyszukany żabot spływający po obu stronach jasnozielonego stanika – spokojne szarości lub czerni nie nadają się dla Eugenii Spence. A na jej szyi wisi amulet z księżycowym okiem, który teraz, ukryty pod suknią, noszę ja.

Moja matka ściągnęła na ciebie śmierć.

Gdy już znajduję się w pokoju, wyciągam pamiętnik mamy i znów czytam o bohaterskim czynie Eugenii, która złożyła swoje życie w ofierze w zamian za moją mamę i Sarę.

„Wezmę swoją zapłatę!” – zawołał stwór, szybko chwytając Sarę za ramię.

Eugenia zacisnęła usta.

„Musimy spieszyć do Krainy Zimy”.

Znalazłyśmy w obszarze lodu i ognia, wielkich nagich drzew i wiecznej nocy. Eugenia zachowała spokój.

„Saro Rees-Toome, nie przepadniesz w Krainie Zimy. Wracaj ze mną. Wracaj!”.

Stwór zwrócił się do niej.

„Zaprosiła mnie. Musi zapłacić, inaczej zostanie naruszona równowaga międzyświata”.

„ja zajmę jej miejsce”.

„Niech tak będzie. Wiele możemy dokonać z kimś tak potężnym”.

Eugenia rzuciła mi swój amulet z księżycowym okiem.

„Mary, uciekaj! Przeprowadź Sarę przez drzwi, a ja zamknę międzyświat!”.

Wtedy stwór sprawił, że zaczęła krzyczeć z bólu. Oczy miała pełne błagania, które zaparło mi dech w piersi, gdyż nigdy wcześniej nie widziałam przestraszonej Eugenii.

„Międzyświat musi pozostać zamknięty, dopóki znów nie znajdziemy do niego właściwej drogi. A teraz biegnij!” – rozkazała.

Gdy widziałam ją po raz ostatni, wypowiedziała zaklęcie zamykające międzyświat, a ciemność pochłonęła ją bez śladu.

Zatrząskuję pamiętnik mamy, po czym kładę się na plecach i wpatrując się w sufit, myślę o Eugenii Spence. Gdyby nie rzuciła amuletu mojej mamie i nie zamknęła międzyświata na dobre, trudno przewidzieć, jakie potwory wtargnęłyby do naszego świata. Tym jednym czynem uratowała nas wszystkich, choć dla niej oznaczał on koniec. Zastanawiam się, co się z nią stało, jaki straszny los stał się udziałem wielkiej Eugenii przez grzech mojej mamy, i czy kiedykolwiek będę w stanie za niego odpokutować.

*

Sny, które na mnie spływają, są bardzo niepokojące. Urodziwa dama w lawendowej sukni i kapeluszu biegnie ulicami Londynu pogrążonymi w gęstej mgle. Rude włosy opadają na jej przestraszoną twarz. Kiwa ręką, żebym udała się za nią, ale nie nadażam. Nogi mam ciężkie jak z kamienia i źle widzę. Na bruku leży pełno papierowych ulotek reklamujących jakiś spektakl. Podnoszę jedną: *Dr Theodore Van Ripple – wybitny iluzjonista!*

Mgła się rozwiewa, a ja idę po schodach w Spence, mijając ogromny portret Eugenii. Wędruję tak długo, aż docieram na dach, choć mam na sobie jedynie koszulę nocną. Wiatr

przewiewa mnie na wskroś, a na horyzoncie zbierają się burzowe chmury. Poniżej robotnicy pracują nad odbudową Wschodniego Skrzydła. Ich ręce poruszają się w błyskawicznym tempie. Kamienna kolumna wznosi się coraz wyżej. Łopata uderza w ziemię i nie wchodzi dalej. Trafiała na coś twardego. Mężczyźni unoszą wzrok, spoglądając na mnie.

- Czy chce panienka to otworzyć?

Dama w lawendowej sukni próbuje mi coś powiedzieć. Otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich głos. Dostrzegam tylko trwogę w jej oczach. Nagle wszystko przyspiesza. Widzę pokój oświetlony pojedynczą lampą. Napisane słowa. Nóż. Uciekającą kobietę. Ciało unoszące się na wodzie. Słyszę głos szepczący do mojego ucha: *Chodź do mnie...*

Budzę się gwałtownie. Chcę jeszcze zasnąć, ale nie mogę. Coś mnie woła, zmusza, bym wyszła na zewnątrz, gdzie księżyc w pełni oblewa żółtym jak masło światłem drewniany szkielec Wschodniego Skrzydła. Baszta wznosi się ku niskim chmurom. Jej cień sięga w poprzek trawnika i dotyka moich bosych stóp. Trawę pokrywa chłodna rosa.

Gargulce na dachu śpią. Ziemia pod nogami wydaje głuchy pomruk. Coś mnie ciągnie w stronę baszty i znajdującego się obok kamienia. Wchodzę do dziury. Konstrukcja Wschodniego Skrzydła majaczy nad moją głową, a nocne chmury wyglądają jak ślady po wściekłych smagnięciach biczem. Księżycowe oko lśni, a w jego słabym świetle dostrzegam na kamieniu zarys pasujący do kształtu amuletu.

Czuję w palcach mrowienie, które po chwili rozchodzi się po całym ciele. Coś we mnie chce się uwolnić. Nie panuję nad tym i boję się tego.

Przykładam dłoń do kamienia. Przepływa przeze mnie fala mocy, a kamień rozbłyskuje białozłotym światłem i świat się zapada. To jak patrzenie na fotografię w negatywie: za mną jest Spence, przede mną szkielec Wschodniego Skrzydła, a dalej las. Ale gdy odwracam głowę, dostrzegam mieniący się obraz czegoś innego, co znajduje się między mną a resztą świata. Mrugam, próbując dojrzeć to wyraźniej.

Gdy znów na to spoglądam, widzę zarys drzwi.

*

- Gemmo, po co nas tu przyprowadziłaś w środku nocy? – zrzędzi Felicity, trąc zaspane oczy.

- Zobaczycie – odpowiadam, świecąc lampą na trawnik z tyłu szkoły.

Fee drży w cienkiej koszuli.

- Mogłyśmy przynajmniej wziąć płaszcze.

Ann obejmuje się ramionami w pasie. Słysząc, jak szczękają jej zęby.

- Ch-chcę w-wrócić do łóżka. J-jeśli p-pani Nightwing n-nas przyłapie... - Rozgląda się, sprawdzając, czy nie widać gdzieś dyrektorki.

- Obiecuję, że nie będziecie rozczarowane. No już. Stańce tutaj. – Ustawiam je obok baszty, a u ich stóp umieszczam latarnię. Światło oblewa je nieziemską bielą.

- Jeśli to jakiś dziecinny figiel, to cię zabiję – ostrzega Felicity.

- To nie figiel. – Staję na ziemi nad starym kamieniem i zamykam oczy. Nocne powietrze szczypie mnie w skórę.

- Gemmo, daj spokój – narzeka Felicity.

- Ciii! Muszę się skupić – ganię ją. Zwątpienie okrutnie szepcze mi do ucha: *Nie dasz rady. Moc cię opuściła.*

Nie zamierzam słuchać, nie tym razem. Powoli wyzbywam się strachu. Grunt wibruje pod moimi stopami. Ziemia zdaje się mnie przyzywać i rzuca na mnie urok. Moje palce tętnią energią, która równocześnie przeraża i podnieca. Otwieram oczy i wyciągam dłoń, szukając

ukrytych drzwi. Bardziej je wyczuwam, niż widzę. Ogarnia mnie uczucie głębokiej tęsknoty i radości, bolesne i niedające się ukoić. Szeptem zdradza mi sekrety, których nie rozumiem, słowa, których nie znam. Wiatr wyje i wzbija niewielkie tumany kurzu.

Świat migocze, a po chwili pojawia się delikatny zarys drzwi.

- Ja cię kręcę! – sapie Ann.

Felicity z wahaniem wyciąga dłoń.

- Sądysz, że prowadzą do międzyświata?

- Tej nocy, gdy wybuchł pożar, stwory z Krainy Zimy przyszły zabrać Sarę – przypominam im. – A Eugenia Spence w zamian za nią ofiarowała swe życie. Rzuciła amulet – ten, który mam na szyi – mojej mamie i zapieczętowała wejście do międzyświata. Wschodnie Skrzydło spłonęło. Wszelki ślad po drzwiach zginął.

- Nie wiemy, czy to te same drzwi – oponuje Ann z drzeniem. – Mogą prowadzić wszędzie. Na przykład do Krainy Zimy.

- Chcę zaryzykować – odpowiadam. Nie mogę zrezygnować z isierki nadziei, którą mi dano.

- M-możemy wpaść w pułapkę – waha się Ann.

- Już jesteśmy w pułapce – zbywa ją Felicity. – Muszę się dowiedzieć, co się stało z Pip. – Bierze mnie pod ramię, a ja podnoszę latarnię.

- Ann? – Wyciągam rękę, a ona obejmuje zimnymi palcami moją dłoń, mocno ją ściskając. Biorę głęboki oddech i robimy krok do przodu. Przez sekundę mam takie wrażenie, jakbyśmy spadały, ale potem jest już tylko ciemność. Czuć stęchły, słodkawy zapach.

- Gemmo? – szepcze Ann.

- Tak?

- Co się stało z Felicity?

- Jestem tutaj – odpowiada Fee. – Cokolwiek to znaczy.

Wysuwam lampę do przodu i udaje mi się oświetlić to, co znajduje się przed nami. Widzę długi korytarz. Światło pada na wysoki sklepiony sufit z jasnego kamienia. Gdzieniedzie ze szczelin zwisają korzenie. Za naszymi plecami śpi Spence, ale wydaje się, że tamten świat oddziela od nas grubas szyba. Ruszamy naprzód.

Ściany rozbłyskują bladą poświatą, jakby setki robaczek świętojańskich oświetlały nam drogę, podczas gdy ścieżka za nami ginie znów w ciemnościach. Korytarz wiję się i skręca w zupełnie nieprzewidywalny sposób.

Obawy Ann odbijają się echem w tunelu.

- Nie zabłądź, Gemmo.

- Będziesz cicho? – łaje ją Felicity. – Lepiej, Gemmo, żebyś się nie myliła.

- Idziemy dalej – odpowiadam.

Docieramy do ściany.

- Jesteśmy w pułapce – stwierdza drżącym głosem Ann. – Wiedziałałam, że tak to się skończy.

- Och, przestań! – złości się Fee.

To musi być tutaj. Nie podam się. *Wyzwól magię, Gemmo. Poczuj ją. Uwolnij jej moc.* Coś mnie woła. Tak jakby kamienie się budziły. Na murze pojawia się zarys drzwi, przez szczeliny przesącza się ostre światło. Popycham je dłonią, a one otwierają się szeroko, wzbijając tuman kurzu, jakby nikt z nich nie korzystał od wieków. Wychodzimy na pachnącą różami łąkę. Niebo z jednej strony jest jasnoblękitne, a z drugiej pyszni się złoto pomarańczowymi barwami zachodu. Doskonale znamy to miejsce, choć nie widziałyśmy go już od jakiegoś czasu.

- Gemmo – odzywa się cicho Felicity. Jej obawa ustępuje miejsca radości. – Udało ci się! W końcu wróciłyśmy do międzyświata!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Jak tu pięknie! – woła Felicity. Wiruje w kółko, aż kręci jej się w głowie i oszołomiona pada w wysoką trawę, cały czas się śmiejąc.

- Och, to wygląda jak najcudowniejsza wiosna, jaką kiedykolwiek widziałam – wyznaje Ann. I ma rację. Długie aksamitne pasma mchu zwieszają się z czubków drzew niczym zielone wstęgi babiego lata. Na gałęziach kwitną białe i różowe kwiaty. Delikatna bryza zwiewa je na nasze zwrócone ku górze twarze i usta. Opadają na moje włosy, nadając im słodki zapach świeżego deszczu. Rozcieram kwiat w palcach, wdychając jego aromat. Muszę się upewnić, że to się rzeczywiście dzieje, że nie śnię.

- Naprawdę tu jesteśmy? – pytam Fee, która owija się mchem, jakby to były gronostaje.

- Tak, naprawdę – zapewnia mnie przyjaciółka.

Pierwszy raz od kilku miesięcy budzi się we mnie nadzieja: jeżeli potrafiłam tego dokonać, jeżeli sprowadziłam nas do międzyświata, to może nie wszystko przepadło.

- Ale to nie ogród – zauważa Ann. – Gdzie jesteśmy?

- Nie wiem – odpowiadam, rozglądając się wokół. Wysokie kamienne płyty stoją w na pozór przypadkowym porządku, który przywodzi mi na myśl Stonehenge. Wiję się pomiędzy nimi niewyraźna dróżka prowadząca od drzwi w głąb krainy. Trudno ją zauważyć, jakby była od dawna nieużywana. – Jest tu jakaś ścieżka – dodaję. – Pójdziemy nią

Gdy się oddalamy, drzwi wtapiają się w skałę.

- Gemmo – woła przerażona Ann – wyjście zniknęło!

Czuję się tak, jakby ktoś zacisnął sznur na moim sercu. Staram się nie wpaść w panikę. Robię krok w stronę skały i drzwi znów rozbłyskują.

- Och, dzięki Bogu – mówię, głośno wypuszczając powietrze.

- Chodźcie – prosi Felicity – chcę zobaczyć ogród. Chcę...

Nie kończy zdania.

Idziemy ścieżką wśród kamieni. Choć ich powierzchnię nadgryzał zęb czasu, pyszni się na nich imponująca kolekcja płaskorzeźb przedstawiających kobiety. Niektóre są tak młode jak my, inne wiekowe niczym sama ziemia. Kilka to wojowniczkę z mieczami wzniesionymi ku promieniom słońca. Jedna siedzi w otoczeniu dzieci i sarenek, a jej włosy swobodnymi falami spływają na ziemię. Kolejna, odziana w kolczugę, zмага się ze smokiem. Księżniczki. Królowe. Matki. Uzdrowicielki. Ukazano tu chyba wszelkie wcielenia kobiecości.

Ann gapi się na kobietę ze smokiem.

- Jak myślicie, kim one są?

- Może należały do Zakonu albo żyły jeszcze wcześniej – odpowiadam. Przesuwam dłonią po płaskorzeźbie przedstawiającej trzy kobiety na barce. Ta po lewej jest młodą damą, ta po prawej wygląda na trochę starszą, a w środku stoi staruszka, która unosi latarnię wysoko nad głową, jakby kogoś wypatrywała. Wizerunek budzi we mnie dziwne uczucie, jakbym zajrzała w przeszłość. – Są niezwykle, prawda?

- Niezwykle jest to, że żadna nie nosi przekłętego gorsetu – zauważa Felicity ze śmiechem. – Hej, Gemmo, pospieszmy się! Nie mogę się już doczekać!

Ścieżka wiedzie nas przez pole wysokiej pszenicy, wzdłuż równych rzędów drzew oliwnych i obok grotty, w której niegdyś stały Runy Wyroczni. W końcu znajdujemy się w ogrodzie, który zaczęłyśmy uznawać za własne lenno.

Gdy tylko docieramy do znajomej okolicy, Fee puszcza się biegiem.

- Pippa? – woła. – Pippa! Pip, to ja, Felicity! Wróciłyśmy! – Przeszukuje wszystkie zakamarki. – Gdzie ona jest?

Nie mogę zmusić się do powiedzenia tego, co myślę – że nasza droga przyjaciółka jest dla nas stracona na zawsze. Albo przekroczyła rzekę i zamieszkała w innym świecie, albo sprzymierzyła się ze stworami z Krainy Zimy i została naszym wrogiem.

Czekam, aż magia zaiskrzy we mnie, ale ona zachowuje się inaczej niż przedtem. Wysłałam z wprawy. *Dobra, Zaczynaj od czegoś prostego, Gemmo.* Biorę w dłoń garść liści.

Zamykam oczy. Moje serce bije odrobinę szybciej, a potem ogarnia mnie nagła gorączka. Jest tak, jakby całe życie – wszelkie doświadczenia przeszłe i obecne – przepłynęły przez mnie szybko jak błyskawica. Moja krew pulsuje z nową siłą. Ekstacyjny uśmiech rozciąga mi wargi. A kiedy otwieram oczy, liście w mojej dłoni okazują się rubinami.

- Ha! Patrzcie! – piszczę. Rzucam klejnoty w powietrze, a one spadają na nas niczym czerwony deszcz.

- Och, tak dawno nie bawiłyśmy się magią! – Ann zbiera liście w dłonie i dmucha w nie. Unoszą się poruszone jej oddechem, a potem, wirując wolno, opadają do jej stóp. Przyjaciółka marszczy czoło. – Chciałam zamienić je w motyle.

- Teraz ja spróbuję. – Felicity też bierze garść liści, ale niezależnie od tego, jak bardzo się stara, nie zmieniają się w nic innego, ciągle są tylko liści. – Dlaczego nie mogę ich przemienić? Co się dzieje z moją magią? W jaki sposób zrobiłaś rubiny, Gemmo?

- Po prostu sobie tego zażyczyłam, a one się pojawiły.

- Gemmo, ty spryciaro! Rzeczywiście przywiązałaś całą magię Świątyni do siebie – przynajmniej Felicity z mieszaniną podziwu i zazdrości. – Każda jej cząstka żyje teraz w tobie.

- To chyba możliwe – odpowiadam, choć jakoś nie mogę w to uwierzyć, Obracam dłonie wnętrzem do góry, potem do dołu, wpatrując się w nie, jakbym widziała je po raz pierwszy w życiu. To te same zwykłe, piegowate ręce co zawsze, a jednak...

- Zrób coś jeszcze! – rozkazuje Fee.

- Na przykład co? – pytam.

- Zamień to drzewo w smoka...

- Tylko nie w smoka! – protestuje Ann z przerażeniem.

- Albo zamień kwiatki w czułych młodzieńców...

- Tak, ten pomysł mi się podoba – zgadza się Ann.

- Och, doprawdy, Gemmo! Masz w sobie całą Świątynię. Zrób, co tylko zechcesz!

- No dobrze – poddaję się. Pod moimi stopami leży niewielki kamień. – Hm, zamienię go, hm, zamienię go w...

- Sokoła! – woła Felicity w tej samej chwili, gdy Ann krzyczy:

- Księcia!

Dotykam kamienia i na chwilę stajemy się jednością. Jestem częścią ziemi. Coś oślizgłego odbija się od mojej dłoni z głośnym rechotem. Żaba rozgląda się wokół wielkimi oczami, jakby zaskoczona, że nie jest już kamieniem.

Ann krzywi się.

- Miałam nadzieję na księcia.

- Zawsze możesz ją pocałować – proponuję, a Fee wybucha śmiechem.

Ann zrywa stokrotkę i oskubuje ją ze wszystkich płatków po kolei.

- Skoro ty posiadasz całą moc, co to oznacza dla nas?

Felicity przestaje się śmiać.

- Że my nie będziemy jej w ogóle miały.

- Gdy już zawrzemy przymierze z innymi plemionami z międzyświata i podamy sobie ręce, podzielimy magię...

- Tak, ale to może potrwać kilka miesięcy – zauważa Felicity. – A co będzie teraz?

Ann kładzie sobie zmaltretowaną stokrotkę na kolanach. Nie chce na mnie nawet spojrzeć. Chwilę wcześniej nie posiadałam się z radości, lecz teraz ogarnia mnie okropne poczucie winy, że mam moc, a moje przyjaciółki nie.

- Skoro jestem Świątynią z całą jej magią – mówię z wahaniem – to powinnam być w stanie obdarzyć was częścią mocy, tak jak przedtem obdarzała nas Świątynia.

- Chcę spróbować – oznajmia Felicity i kładzie dłoń na moim ramieniu. Czuję ciepło jej pragnienia na skórze pod materiałem koszuli i mam ochotę się wycofać. Bo jeżeli dam jej moc, to czy dla mnie zostanie mniej? Czy ona będzie miała więcej?

- Gemmo? – ponagli mnie Felicity.

Jej oczy lśnią nadzieją. Co ze mnie przyjaciółka, skoro chcę jej to odebrać?

- Podam mi ręce – mówię.

Łączymy się po kilku sekundach. Czuję mocne szarpnięcie, niemalże delikatny ból. Przez chwilę jest tak, jakbyśmy byli jedną osobą. Słyszę w swojej głowie echo jej pragnień. Wolność. Władza. Pippa. To najsilniejsze marzenie i odczuwam tęsknotę Fee za naszą przyjaciółką jako głęboką ranę. Kiedy się rozdzielamy, muszę się oprzeć o drzewo, żeby dojść do siebie.

Felicity uśmiecha się szeroko.

- Czuję to. Czuję!

Na jej koszuli nocnej pojawia się lśniący napierśnik, a na przedramieniu przypięta paskami kusza. Na drugim ramieniu Fee siedzi sokół. Jej długie włosy opadają na plecy.

- Och, gdybyż te matrony widziały mnie teraz! – Przybiera władczy ton. – Obawiam się, lady Ramsbottom, że jeśli jeszcze raz uśmiechnie się pani do mnie szyderczo, to pozwolę, by mój sokół panią pożarł.

Ann spogląda na mnie z nadzieją.

- Weź mnie za ręce – mówię.

Chwilę później Ann trzyma dłonie wyciągnie przed siebie, jakby nie wierzyła, że stał się cuda. Łzy strumieniami spływają potwarzy.

- Znów czuję, że żyję – mówi, równocześnie śmiejąc się i płacząc. – Byłam zupełnie martwa w środku, a teraz... Och, czujesz to?

- Tak – potwierdzam z radością. – Tak!

Ann wyczarowuje dla siebie średniowieczną suknię ze złotej przędzy, w której wygląda jak księżniczka z bajki.

- Ann, jesteś piękna! – wołam. Chcę, żeby ta noc nigdy się nie skończyła.

Felicity wypuszcza sokoła. Ptak wznosi się coraz wyżej i wyżej, kreśląc śmiałe pętle. Jest wolny i nawet niebo nie może go powstrzymać.

Rzeka oznajmia przybycie kogoś nowego. Po wodzie ze skrzypieniem sunie wielka łódź. Na jej dziobie znajduje się przerażająca postać o zielonej twarzy, żółtych oczach i fryzurze z syczących węży. Gorgona! Biegnę się z nią przywitać, wesoło machając ramionami.

- Gorgono! – wołam. – Gorgono, to ja, Gemma! Wróciłyśmy!

- Witam, Wasza Wysokość – odpowiada swoim śliskim, syczącym głosem. W jej oczach nie widać ani zaskoczenia ani radości. Przybija do porośniętego trawą brzegu i opuszcza trap, żebym mogła wejść na pokład. Jego deski mają kolor wypłukanej przez morze szarości. Wzdłuż burt wiszą srebrzyste sieci i płatanina lin. Barka jest duża, ale sfatygowana. Gorgona, niegdyś dumna wojowniczką, została do niej przykuta za karę wiele stuleci temu, ponieważ wzięła udział w buncie przeciwko Zakonowi. Jej niewola dobiegła końca, ale ona nie chce jej jeszcze opuścić. – Oczekiwaliśmy cię wcześniej.

- Nie mogłam wejść do międzyświata. Bałam się, że już nigdy tu nie wrócę. Ale udało się i, och, gorgono, wszystko w porządku? Oczywiście, że tak!

Ogarnia mnie wielka radość, bo czuję, że magia we mnie ożywa, że rozpara krew w moich żyłach. Tak, w końcu wróciłyśmy do międzyświata. Wróciłyśmy do domu.

Odważam się wejść na dziób i siadam obok ogromnej zielonej twarzy gorgony. Węże na jej głowie syczą ostrzegawczo, ale nie atakują.

Gorgona zmrużonymi oczami spogląda w stronę horyzontu.

- Ostatnio w międzyświecie jest dziwnie spokojnie. Nic nie słyhać o istotach z Krainy Zimy.

- Chyba powinnam to uznać za dobrą nowinę.

- Dziwne... - moczy gorgona.

- A co z Pippą? – pytam tak, by Fee i Ann nie słyszały. – Widziałaś ją gdzieś w okolicy?

- Nie – odpowiada. Nie wiem, czy przynosi mi to ulgę, czy napawa lękiem. – Czuję się nieswojo, Wasza Wysokość. Te stwory nigdy jeszcze przez tak długi czas nie siedziały cicho.

W powietrzu unosi się zapach kwiatów. Rzeka śpiewa słodko jak zawsze. Magia iskrzy w moich żyłach z taką słodką gwałtownością, że nie mogę sobie wyobrazić, by cokolwiek jeszcze kiedyś miało się ułożyć nie tak.

- Może odeszły – sugeruję. – Albo w końcu dotarły na drugą stronę.

Węże prężą się i zwijają na potężnej głowie gorgony, wysuwając różowe języki z małych okrutnych paszcz.

- Nie zauważyłam, żeby jakakolwiek dusza przeszła przez rzekę.

- To nie znaczy, że tego nie zrobiły. I możliwe, że nie potrzebowały pomocy.

- Może - przyznaje Gorgona, ale minę nadal ma zmartwioną. – Trzeba się zająć różnymi sprawami. Filon o ciebie wypytywał. Leśni ludzie nie zapomnieli obietnicy, że zawrzesz z nimi przymierze i podzielisz się magią. Czy mam cię teraz do nich zabrać?

Nie minęło nawet pół godziny, od kiedy jestem w międzyświecie, a już przytłaczają mnie obowiązki.

- Myślę, że... - Spoglądam na przyjaciółki, które zbierają garściami kwiaty i wyrzucają je w powietrze, skąd spadają jako płatki srebra. – Jeszcze nie teraz.

Gorgona przeszywa mnie spojrzeniem żółtych oczu.

- Nie chcesz rozstawać się z magią?

Zeskakuję na brzeg i spoglądam na swoje odbicie w gładkiej powierzchni wody, a ono z ufnością odwzajemnia moje spojrzenie. Wygląda na to, że nawet ono ma wobec mnie jakieś oczekiwania.

- Gorgono, myślałam, że straciłam wszystko. Dopiero co tu wróciłam. Chcę poznać międzyświat i magię, żeby wybrać najlepszą drogę – mówię wolno, właściwie myśląc na głos. – Potrzebuję jej też w swoim świecie. Chciałabym pomóc przyjaciółkom i zmienić nasze życie, dopóki jest to możliwe.

- Rozumiem – odzywa się gorgona, ale nie potrafię rozszyfrować jej uczuć. Wielka bestia zniża głos do cichego pomruku. – Jest jeszcze druga strona medalu, Wasza Wysokość.

- Co masz na myśli?

- Nikt nigdy nie posiadał całej mocy. Musi istnieć równowaga między chaosem i porządkiem, ciemnością i światłem. Kiedy cała magia Świątyni jest przywiązana tylko do ciebie, w międzyświecie nie ma już równowagi. Moc może cię zmienić... a ty możesz zmienić ją.

Moje zadowolenie wyparowuje bez śladu. Wyrzucam do rzeki mały kamyczek. Zmarszczki przesuwały się po moim odbiciu, zniekształcając je tak, że w końcu nie potrafię sama siebie rozpoznać.

- Ale jeśli zachowam magię, nikt nie będzie mógł jej pojąć – znów wypowiadam na głos wnioski, które formują się w mojej głowie. – Międzyświat może być w końcu bezpieczny. A poza tym... - Przyglądam się, jak Ann zrywa liść z drzewa i jednym dmuchnięciem zamienia go w motyla. – Nie zachowam jej zbyt długo.

- Czy to obietnica? – syczy gorgona, nie spuszczając ze mnie żółtych oczu.

- Tak.

Gorgona z niepokojem przesuwa wzrokiem po horyzoncie.

- Niewiele wiemy o Krainie Zimy, Wasza Wysokość. Najlepiej będzie zawrzeć przymierze, i to szybko.

Dziwi mnie strach gorgony. Od tej strony jej nie znałam.

- Powiedz Filonowi... - Milknę. Co mogę przekazać Filonowi? Że potrzebuję więcej czasu? Że niczego teraz nie jestem pewna oprócz tego, iż czuję się szczęśliwa, będąc w międzyświecie, i nie potrafię jeszcze z tego szczęścia zrezygnować? – Powiedz mu, że omówimy sprawę.

- Kiedy? – naciska gorgona.

- Niedługo.

- To znaczy?

- Kiedy wrócę – odpowiadam szybko, bo chcę już dołączyć do przyjaciółek.

- Będę czekała na twój powrót, Wasza Wysokość. – Po tych słowach zamyka swe niepokojące oczy i zasypia.

*

Bawimy się całymi godzinami, pozwalając by magia w pełni w nas rozkwitła, aż czujemy, że panujemy nawet nad czasem. Nadzieja, uspiona w każdej z nas, wybucha z nową siłą i kręci nam się w głowach ze szczęścia z powodu nowych możliwości. Felicity leniuchuje na huśtawce, którą wymodelowała z delikatnych, liściastych pnączy. Kołysze się powoli, przesuając palcami nóg po aksamitnej trawie.

- Gdybyśmy tylko mogły pokazać światu głębię naszej mocy... - Milknie i uśmiecha się. Ann zrywa dmuchawiec, rosnący w wysokiej trawie.

- Stałabym na scenie u boku Lily Trimble.

Poprawiam ją:

- Lily Trimble błagałaby, żeby móc stać u twego boku!

Ann dramatycznym gestem przykładła dłoń do piersi.

- Szpetność piękna, piękność szpeci².

- Brawo! – Oklaskujemy ją razem z Felicity.

- Byłabym bardzo, bardzo piękna. I bogata! Wysłałabym za earla i miała dziesięcioro dzieci! – Ann zamknawszy oczy, wypowiada w myśli życzenie i z całej siły dmucha w dmuchawiec, ale wiatr unosi tylko część puchu.

- A czego ty byś sobie życzyła, Gemmo? Czego ty chcesz? – pyta Felicity.

Czego ja chcę? Dlaczego na to proste pytanie, złożone raptem z trzech słów, nie da się odpowiedzieć prosto? Ja życzyłabym sobie rzeczy niemożliwych: żeby moja mama znów żyła, a ojciec był zdrowy. Czy chciałabym być niższa, ładniejsza, sympatyczniejsza, mniej skomplikowana? Obawiam się, że odpowiedź brzmi: „Tak”. Chcę znowu być dzieckiem, czuć spokój i bezpieczeństwo, a jednocześnie pragnę czegoś o wiele bardziej niebezpiecznego: pocałunku pewnego hinduskiego chłopca, którego nie widziałam od Bożego Narodzenia. Jest we mnie gmatwanina namiętności, obaw i tęsknot. Wygląda na to, że zawsze znajduję się na etapie pragnień, a nigdy na etapie spełnienia.

Przyjaciółki czekają na moją odpowiedź.

- Życzyłabym sobie tak udoskonalić mój dyg, żebym się nie skompromitowała przed królową.

- Do tego rzeczywiście trzeba magii – przyznaje sucho Ann.

- Dziękuję ci za wiarę we mnie, bardzo to doceniam.

- Ja sprowadziłabym Pip z powrotem – odzywa się Felicity.

Ann przygryza wargę.

² Cytaty z *Makbeta* Williama Szekspira w przekładzie Józefa Paszkowskiego (przyp. tłum.).

- Naprawdę myślisz, że przepadła w Krainie Zimy, Gemmo?
Spoglądam na niekończącą się łąkę. Kwiaty falują, poruszone delikatnym wiatrem.

- Nie wiem.

- Nie przepadła – odpowiada Fee, a jej policzki czerwienieją.

- Tam się właśnie skierowała – przypominam jej łagodnie.

Gdy widziałyśmy naszą kochaną przyjaciółkę po raz ostatni, już się zmieniała, przeistaczała w istotę stąd. Chciała, żebym za pomocą magii sprowadziła ją z powrotem do naszego świata. Jednak stworzeniom stąd nie wolno wracać. Tej zasady nie mogłam złamać, a Pippa znienawidziła mnie za to. Czasami wydaje mi się, że Felicity też.

- Znam Pip, zapewniam was. Nie zostawiłaby mnie w taki sposób.

- Może jeszcze ją zobaczymy – mówię, ale nie czekam z utęsknieniem na tę chwilę. Jeżeli Pippa rzeczywiście stała się istotą z Krainy Zimy, nie jest już naszą przyjaciółką. Jest naszym wrogiem.

Felicity chwyta miecz i rusza w stronę drzew.

- Dokąd się wybierasz? – wołam za nią.

- Poszukać Pip. Nie musicie ze mną iść.

Oczywiście idziemy. Gdy Fee coś sobie wbije do głowy, nie da jej się tego wyperswadować. Poza tym chcę poznać prawdę, choć mimo wszystko mam nadzieję, że nie spotkamy Pip. Tak dla własnego, jak i dla naszego dobra powinna była już przejść na drugą stronę rzeki.

Felicity prowadzi ans przez pokrytą kwiatami łąkę. Pachnie tu hiacyntami i tytoniem fajkowym mojego taty, świeżymi *dosa* i wodą różaną na ciepłej skórze mamy. Odwracam się, na poły oczekując, że zobaczę mamę. Ale nie ma jej. Odeszła, nie żyje już prawie rok. Czasami ogarnia mnie tak głęboka tęsknota, że nie mogę oddychać bez bólu w piersi. Innymi razy uświadamiam sobie, że różne związane z nią drobiazgi zatarły się mojej pamięci – na przykład kształt ust lub brzmienie śmiechu. Nie mogę przywołać jej obrazu. Gdy tak się dzieje, panicznie próbuję wszystko sobie przypomnieć. Boję się, że jeśli wspomnienia przyblakną, stracę ją na zawsze.

Docieramy do makowych pól pod Grotami Westchnień. Jaskrawoczerwone kwiaty pokazują nam swoje serca. Felicity zrywa jeden i wsuwa sobie za ucho. Wysoko nad naszymi głowami wznoszą się klify. Kadzielnice wypluwają tęczę z dymu, które skrywają sam szczyt, gdzie Niedotykalni strzegą Świątyni i studni wieczności. To tam po raz ostatni widziałam Kirke.

Ona nie żyje, Gemmo. Zabiłaś ją.

A przecież słyszałam we śnie jej głos, twierdzący, że nadal żyje. Widziałam jej upiornie białą twarz w głębinach studni.

- Gemmo, co się dzieje? – pyta Ann.

Potrząsam głową, jakbym chciała na dobre oczyścić myśli ze wspomnień o Kirke.

- Nic takiego.

*

Idziemy przez jakiś czas, aż bujna zieleń łąki ustępuje przed gęstymi zagajnikami powykęcanych drzew. Niebo jest tu ponure, jakby zostało wymazane sadzą, a w okolicy nie rosną żadne kwiaty ani krzewy. Prawdę mówiąc, nie ma w ogóle żadnych barw, poza brązem suchych drzew i szarością nieba nad nimi.

- Faj! – mówi Felicity, unosząc but i pokazując nam podeszwę. Przykleiło się do niej coś ciemnego i mączystego jak zgniły owoc. Gdy unoszę wzrok, dostrzegam na drzewach kiście jagód. Wiszą smętne i przegrane na gałęziach.

- Och, co tu się stało? – zastanawia się na głos Ann, zrywając gnijącą korę z gałęzi.

- Nie wiem – odpowiadam. – Może to odmienimy?

Przykładamy dłonie do pnia, a wyschnięta kora nabiera koloru. Liście wyrastają ze szczelin popękanej skóry drzewa z takim dźwiękiem, jakby otwierała się ziemia. Po jałowej ziemi wiją się pnącza. Skurczone owoce robią się jędrne i fioletowe. Gałęzie uginają się pod ich ciężarem. Magia buzuje we mnie i czuję się równie dojrzała i piękna jak te owoce.

Ann krzyczy z radości, gdy porywam ją do szalonego walca. Puszczam ją i łapię Felicity, która jako że jest sobą, oczywiście musi prowadzić. Po chwili wszystkie wirujemy z zawrotną prędkością, a moje szczęście karmi się ich radością.

W oddali rozlega się nagły grzmot. Niebo pulsuje czerwienią jak otwarta rana. Puszczam przyjaciółki i każda leci w inną stronę. Ann ląduje twardo na ziemi z głośnym „puf”.

- No wiesz, Gemmo!

- Widziałyście to? – pytam, biegnąc w stronę ścieżki. – Przez chwilę niebo wyglądało bardzo dziwnie.

- Gdzie? – Felicity rozgląda się, ale wokół znów panuje zmrok.

- Tam – odpowiadam, ruszając naprzód.

Wędrujemy, aż docieramy do długiej ściany jeżyn o pędach pokrytych ostrymi kolcami.

- Co teraz? – dopytuje się Ann.

Przez niewielkie szczeliny między jeżynami widzę fragmenty roślin i skał, strzępy mgły i powykęcane drzewa, przypominające angielskie wrzosowiska z wczesnych powieści sióstr Bronte. A kawałek dalej coś majaczy niewyraźnie.

- Co to? – pytam, wytężając wzrok.

Felicity szuka jakiegoś otworu.

- Beznadzieja. Nic nie widzę. Znajdźmy jakieś przejście.

Biegnie twardą ścieżką, zatrzymując się co pewien czas, żeby sprawdzić wytrzymałość jeżynowej ściany.

- Ach! – Szybko cofam rękę, bo skaleczyłam się w palec ostrym cierniem. Została na nim moja krew. Z pełnym udręki westchnieniem krzewy jeżyn rozstępują się. Długie, kolczaste pędy uwalniają się z płataniny jak rozpełzające się węże. Przed nami otwiera się przejście.

- I co mamy teraz zrobić? – pyta szeptem Ann.

- Wejść do środka – odpowiada Felicity, a w jej uśmiechu widać cień wyzwania.

Przeciskamy się przez wąską szczelinę do bezlistnego lasu. Powietrze jest tu zauważalnie chłodniejsze i wszystkie dostajemy gęziej skórki. Grube pnącza wiją się po ziemi, dławiąc pnie drzew i większość roślin, które mogłyby tu żyć. Kilka dzielnych kwiatów wychyla głowy tu i tam. Nie ma ich wiele, ale za to są duże i piękne – mają kolor głębokiego fioletu i płatki wielkie jak męska dłoń. Cała okolica jest skąpiana w błękitnej poświacie, która przywodzi mi na myśl zmięch zimą. Ta kraina wywiera szczególne wrażenie. Przyciąga mnie, a jednocześnie budzi chęć do ucieczki. Jest jak ostrzeżenie.

Docieramy do skraju lasu, gdzie zaskakuje nas kolejny widok. Na wzgórzu stoją ruiny okazałego zamku. Jego mury pokrywa błądy, rzadki mech oraz grube, zdrewniałe ze starości pnącze przypominające liny. Kamienie są poprzerastane przez korzenie drzew, które wyglądają jak kościste palce obejmujące zamek i trzymające go mocno w bolesnym uścisku. Jedna wapienna wieża się nie poddaje. Wznosi się majestatycznie nad zaborczymi dłońmi wzgórza.

Ziemię wokół ruin pokrywa delikatna warstwa szronu, sprawiając, że budowla przypomina zamek dla lalek obsypany cukrem pudrem. Dziwnie tu cicho, jak po pierwszych opadach śniegu.

- Co to za miejsce? – pyta Ann.
- Zajrzyjmy do środka! – Felicity wrywa się do przodu, ale powstrzymuję ją.
- Fee! Nie mamy pojęcia, gdzie jesteśmy ani kto tam mieszka!
- No właśnie! – potwierdza, jakbym w ogóle nie rozumiała celu naszej wyprawy.
- Pozwolisz, że ci przypomnę o Makowych Wojownikach? – przywołuję imię

przerazających rycerzy, którzy zwabili nas do swojej katedry, żeby nas zabić i zagarnąć magię dla siebie. Gdy salwowaaliśmy się do ucieczki, oni przemienili się w wielkie czarne ptaki i zapędzili nas do wody. Miałyśmy szczęście, że udało nam się ująć z życiem, więc nie zamierzam drugi raz popełnić tego samego błędu.

- Gemma ma rację, wracajmy.

Ciszę zakłóca szelest liści. Z lasu dobiega krzyk, od którego przechodzi mnie dreszcz.

Uuu-u!

- Co to było? - szepcze Ann.
- Sowa? - sugeruję, oddychając szybko.
- Nie, raczej nie - nie zgadza się Felicity.

Przytulamy się do siebie, a Fee wyciąga miecz. Magia przepływa przeze mnie, tocząc bój ze strachem. Po prawej zauważam jakiś ruch, błysk bieli wśród zieleni. Równie szybko coś przemyka przez gąszcz drzew po lewej.

Uuu-u! Uuu-u!

Zbliża się. Nie wiem już, w którą stronę się zwrócić. Krzaki nie ruszają się, ale ktoś nas obserwuje. Czuję to.

- P-pokaż się - mówię, a głos mam słaby jak poświata księżycy.

Wychodzi zza drzewa. Na tle mrocznej purpury nocy zdaje się lśnić. Skraj jej białej sukni zbrązował od brudu, a skórę ma trupioblada. Na skołtunionych włosach nosi wianek z kwiatów, które uschły i zamieniły się w siano. Ale od razu ją rozpoznajemy. To przyjaciółka, którą pochowaaliśmy kilka miesięcy temu, która nie chciała przejść przez rzekę i którą uznałyśmy za zaginioną w Krainie Zimy.

Pełnym zgrozy szeptem wymawiam jej imię:

- Pippa...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Felicity robi wielkie oczy.

- Pip? To ty?

Pippa pociera ramiona dłońmi, jakby próbowała się rozgrzać.

- Tak, to ja. Twoja Pip. – Żadna z nas nie śmie się ruszyć. Łzy spływają po bladych policzkach Pippy. – Nie przytulisz mnie? Czy tak niewiele już dla ciebie znaczę? Tak szybko o mnie zapomniałaś?

Miecz z brzękiem opada na twardą ziemię, gdy Felicity rzuca się w stronę Pippy i mocno ją obejmuje.

- Mówiłam im, że nie odeszłabyś bez pożegnania! Mówiłam im.

Pip patrzy na Ann.

- Kochana Ann, czy chcesz się jeszcze ze mną przyjaźnić?

- Oczywiście – odpowiada Ann, wyciągając ręce do kruchej istoty, jaką stała się Pip.

W końcu przyjaciółka zwraca się do mnie:

- Gemmo.

Posyła mi smutny, nieśmiały uśmiech, nerwowo przygryzając dolną wargę. Jej zęby stały się ostrzejsze, a oczy bezustannie przechodzą od pięknego fioletu do niepokojącej mlecznej bieli z maleńkimi czarnymi punkcikami w środku. Jej uroda zmieniła się, ale nadal jest hipnotyzująca. Włosy, zawsze długie i ciemne, stanowią płataninę loków równie nieokiełznaną jak pnącza owijając się wokół zamku. Pip przyłapuje mnie na tym, że się na nią gapię. Wybucha krótkim, pełnym goryczy śmiechem.

- Gemmo wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

- Myślałam, że odeszłaś do Krainy Zimy – odpowiadam niepewnie.

- Prawie – przyznaje, drżąc gwałtownie.

- Ale co się stało? – pyta Fee.

Pippa woła w stronę lasu:

- Wszystko w porządku! Możecie wyjść! Nic wam nie grozi, to są moje przyjaciółki.

Grupa dziewcząt w łachmanach opuszcza kryjówki za drzewami i krzewami. Dwie z nich niosą długie kije, które wyglądają na niebezpieczną broń. Gdy podchodzą bliżej, zauważam osmalone strzępy sukien oraz koszmarnie ślady po oparzeniach na ich twarzach i ramionach. Wiem, kim one są – to dziewczęta z pożaru w fabryce, które spotkałyśmy kilka miesięcy temu. Ostatni raz widziałyśmy, jak podążały w stronę Krainy Zimy i zupełnej deprawacji. Cieszę się, że ich los potoczył się inaczej, ale nie pojmuję, jak zdołały uciec.

Dziewczyna z kijem – grubokoścista panna o szorstkiej skórze i ranach biegnących wzdłuż całych ramion – staje u boku Pippy. Pamiętam, że rozmawiałam z nią w międzyswiecie. To Bessie Timmons. Nie chciałabym być jej przeciwniczką.

Spogląda na nas podejrzliwie.

- Wszystko gra?

- Tak, Bessie. To moje przyjaciółki, te, o których wam opowiadałam – z dumą wyjaśnia Pippa.

- Znaczą te, które zabrały magię ze Świątyni, a panienkę tu zostawiły? – Bessie prychnęła pogardliwie.

- Ale widzicie, że wróciły. – Rozpromieniona Pippa obejmuje Felicity ramieniem.

Bessie wcale się to nie podoba.

- Ja tam bym się nie cieszyła. Wcale nie zamierzają tu zostać.

Pippa grozi jej palcem jak nauczycielka.

- Bessie, pamiętaj nasze motto: Wdzięk, urok i piękno. Dama musi się zachowywać uprzejmie, gdy przyjmuje gości.

- Tak, panienko – ulega Bessie ze skruchą.

- Ale, Pip, gdzie byłaś? Chcę wiedzieć wszystko! – dopomina się Felicity, znów tuląc przyjaciółkę.

Wiem, że powinnam ją objąć jak Fee i Ann, lecz widzę tylko te niepokojące oczy i ostre zęby, i po prostu się boję.

Wszystko ci opowiem, ale wejdźcie do środka. Na zewnątrz jest za zimno.

Pippa bierze Ann i Felicity pod ramiona i prowadzi je w stronę zamku. Bessie Timmons, marudząc pod nosem, idzie za nimi. Pozostałe dziewczęta ruszają za nią, a ja zamykam pochód.

Pippa podnosi żelazną sztabę blokującą skrzydła wypaczonej drewnianej bramy do zamku. Chwasty wyrastają między deskami, przyklejając się do nich od przodu.

- Zapraszam – mówi, szeroko otwierając drzwi. – Jesteśmy w domu.

W dniach swej świetności zamek mógł być piękną twierdzą, ale teraz to tylko sterta starych cegieł z winoroślą w charakterze zaprawy. Mury są śliskie od mchu. Pachnie wilgocią i rozkładem. Delikatne stokrotki wyglądają spomiędzy połamanych płyt chodnikowych, pochylając smętnie główki. Zdaje się, że jedyną rośliną, która chce tu rosnąć, jest belladonna. Trujące fioletowe kwiaty zwisają nad naszymi głowami jak małe dzwonki.

- Więc to tutaj... - Powstrzymuję się przed powiedzeniem „żyłaś”. – To tutaj przebywałaś przez cały ten czas?

- Tylko to mi pozostało. Rozpadający się zamek pani z Shalott. – Pippa śmieje się, ale jej śmiech brzmi pusto. Przesuwa dłońmi po wyszukanych płaskorzeźbach okalających kominek. Wyglądają jak poczerńiałe ze starości twarze świętych. – Ale widać, że kiedyś był piękny i magiczny.

- Co się z nim stało? – pyta Ann.

Pippa spogląda na mnie wymownie.

- Został zapomniany.

Felicity odsuwa na bok przetarty gobelin, za którym znajduje się wejście na kręte schody.

- Dokąd one prowadzą?

- Do wieży – wyjaśnia Pip, uśmiechając się smętnie. – To moje ulubione miejsce, bo widać stamtąd całą okolicę. Widziałam nawet was, gdy szłyście ścieżką. Wyglądałyście tak wesoło. – Smutnieje, ale szybko na powrót przywołuje uśmiech. – Pokazać wam?

Idziemy za nią w górę po krętych, staroświeckich schodach. Z przegniłych drewnianych krokwi nad naszymi głowami zwisają pajęczyny. Ich srebrzyste pasma lśnią od wilgoci. Jakieś nieszczęsne stworzenie zakończyło tu swój żywot. W środku pajęczyny spoczywa jego owinięte niciami, gnijące truchło, do którego powoli zbliża się pająk.

Opieram się o ścianę. Pnącza owijają się wokół moich palców. Przestraszona odskakuję i potykam się o luźne kamienie. Pippa wyciąga rękę i chwytając mnie za ramię, ratując przed upadkiem.

- Nie ruszajcie się przez chwilę – prosi.

Patrzemy ze zdumieniem, jak pnącza oplatają siatką kamień niczym armia dokonując podboju. Mury jęczą z wysiłku i zaczynam się bać, czy aby zaraz cały zamek nie runie. Kilka sekund później wszystko się uspokaja, ale wokół wyrasta mnóstwo świeżych pędów.

- Co to było? – pyta szeptem Felicity.

- Ziemia codziennie po trochę pochłania zamek – ze smutkiem wyjaśnia Pippa. – Wkrótce chyba będziemy musiały znaleźć sobie nowe lokum. – Puszczając moją rękę. – Nic ci nie jest, Gemmo?

- Nie – odpowiadam. – Dziękuję ci.

- Już dwa razy uratowałam ci życie – przypomina mi. – Pamiętasz pierwszy raz? Wodne nimfy prawie wciągnęły cię pod wodę, ale ocalałam cię – mówi, a ja czuję, jak otwiera się między nami księga z zapisem niewyrównanych rachunków.

Pippa miała rację co do wieży: roztacza się z niej wspaniały widok. Ze szczytu widzimy drogę, którą przybyliśmy: Groty Westchnień, oliwne drzewa okalające ogród, niebieskie niebo i pomarańczowy zachód słońca. Widać też resztę Krainy Granicznej, z ciemnymi, zimowymi chmurami przykucniętymi na horyzoncie, pod którymi od jednego krańca do drugiego ciągnie się ogromny mur.

- To droga do Krainy Zimy – mówi Pippa, odpowiadając na niezadane pytanie.

Błyskawica uderza w skłębione masy granatowych chmur. Przez chwilę smuga czerwieni rozdziera ciemność.

- Widzimy to już drugi raz. Wiesz, co to takiego? – pytam.

Pippa kręci głową.

- Czasami tak się dzieje. Powinnyśmy już zejść na dół. Wendy będzie się bała, biedna owieczka.

- Kto to jest Wendy? – pyta Ann.

Po raz pierwszy Pip uśmiecha się szczerze. Jej oczy znowu stają się fiołkowe, a mnie przypomina się, jaka była kiedyś piękna i wesoła, jak cieszyła się nowymi rękawiczkami lub romantyczną opowieścią.

- Okropnie się zachowałam! Nie przedstawiłam wam moim nowym przyjaciółkom.

Pip prowadzi nas na dół do posępnego jak grobowiec pokoju obwieszanego gobelinami. Nie palą się żadne świece, lampy ani ogień w wielkim kominku. Jednak dziewczyny z fabryki wyraźnie się tutaj zadomowiły. Bessie leży wyciągnięta na otomanie wśród roślin pokrywających mebel. Jej przyjaciółka Mae siedzi na podłodze, zaplatając warkocz innej dziewczynie, która ma chyba na imię Mercy, gdyż Mae powtarza ciągle:

- Mercy, nie wierć się.

Kolejna dziewczynka, młodsza od pozostałych, przycupnęła w kąciu i patrzy przed siebie pustym wzrokiem. Nie mogą się powstrzymać, by nie zerkać na ich rany i upiornie blade twarze.

- Co się tak gapisz? – warczy Bessie, przyłapując mnie na tym.

Policzki mnie palą i wdzięczna jestem za panujący wokół mrok.

- Przepraszam. Rzecz w tym, że kiedy was ostatnio widziałyśmy...

- Myślałyśmy, że poszłyście za dziewczynami w bieli do Krainy Zimy i przepadłyście na zawsze – kończy za mnie Felicity.

- Rzeczywiście, przystały na towarzystwo tych upiorów – potwierdza Pippa, siadając na rozpadającym się tronie.

- I co się stało? – pyta z przejęciem Ann.

- Właśnie chciałam wam o tym opowiedzieć. Przez przypadek znalazłam się na tej samej ścieżce, ze złamanym sercem i pogrążona w rozpacz.

- Och, Pip... - wzdycha Fee.

- No dobrze już, dobrze. – Pippa uśmiecha się. – Ta historia ma szczęśliwe zakończenie. Wiecie, jak lubię szczęśliwe zakończenia.

Przeżyłam z trudem. To ja odtrąciłam Pippę, ja złamałam jej serce. Szkoda, że nie mogę tego odwrócić.

- Gdy zobaczyłam te biedne owieczki, przestałam się nad sobą użalać. Wiedziałam, że muszę coś zrobić, inaczej koniec z nimi. Zaczęłam więc je śledzić. Kiedy zatrzymały się na odpoczynek, a dziewczyny w bieli udały się na poszukiwanie jagód, wykorzystałam szansę. Wyjaśniłam im, że tak naprawdę te odrażające kreatury chcą je zaprowadzić prosto do pożeraczy dusz, tropicieli. – Uśmiecha się do nich, jakby były jej ukochanymi dziećmi. – Ocaliłam je. Uratowałam was, prawda, moje kochane?

Dziewczyny zgodnie potwierdzają. Patrzą na Pippę z niekłamany uwielbieniem, tak jak niegdyś wszyscy.

- Panienska jest święta. Uratowała nas – dodaje Mae, szeroko otwierając oczy. – „Nie wolno wam iść z nimi – powiedziała. – One chcą was skrzywdzić. Lepiej chodźcie ze mną”.

- Jasne, jak słońce, że nas uratowała – potwierdza Bessie. – Co nie, Wendy?

Mniej więcej dwunastoletnia dziewczynka kiwa głową. Włożyła do ust końcówki warkoczyków i ssie je nerwowo.

- Inne nie miały tyle szczęścia co my. Poszły dalej.

- Czy od tamtej pory widziałyście jakieś istoty z Krainy Zimy? – dopytuję się.

- My już bardzo długo nie – odpowiada Mae. – Ale Wendy tak.

- Widziałaś je? – pytam.

Bessie cicho parska z drwiną.

- Wendy nic nie widzi. Ogień ją oślepił.

- Ale czasami coś słyszę – odzywa się Wendy, owijając się resztkami podartego szala. – To brzmi jak rzenie koni. A czasami słyszę też coś, od czego cierpie mi skóra.

- Co to jest? – chcę wiedzieć. – Co takiego słyszysz?

- Krzyk – odpowiada. – Jakby daleki, i mam nadzieję, że nigdy się nie zbliży.

- Mam cię! – krzyczy Bessie, muskularnymi dłońmi chwytając Wendy za szyję.

Dziewczynka wrzeszczy tak przeraźliwie, że wszystkie podskakujemy. Pippa jest zupełnie wytrącona z równowagi tym pokazem.

- Dość tego!

Bessie zabiera rękę.

- Zawsze się śmiałaś z moich kawałów.

Oczy Pippy robią się białe niebieskie.

- Ale dzisiaj nie wydają mi się zabawne. Nie przystoją damie. – Zwraca się do nas cała w uśmiechach. – Uczę dziewczęta, jak być damami, tak jakby przebywały w Spence! – Klaszcze w dłonie niczym sama pani Nightwing. – A teraz proszę bardzo, mała demonstracja dla naszych gości.

Dziewczyny wstają posłusznie, pragnąc zadowolić swoją mistrzynię, po czym kolejno dygają. Później następuje szczególnie barwna lekcja dykcji, podczas której Pippa pracuje z Mae Sutter nad jej ciężkim londyńskim akcentem. Mae ucina końcówki tam, gdzie nie powinna, a Bessie kpi z niej niemiłosiernie.

- Żadna z ciebie dama, Mae. Nigdy nie będziesz taką damą jak panienska Pippa.

- Pytał cię kto? – odgryza się Mae i wszystkie wybuchamy śmiechem.

- Pytał cię ktoś – poprawia ją Pippa.

- No to mówię – zapewnia Mae. – Pytał ją kto?

Śmiejemy się jeszcze głośniej, zwłaszcza Ann, która się cieszy, że choć raz to nie ona jest obiektem żartów. Skrępowanie powoli mija, przeradzając się w zażyłość, aż w końcu mamy wrażenie, jakbyśmy nigdy się nie rozstawały. Od miesiący nie widziałam Felicity w takim nastroju. Przy Pippie jest beztroska, bardziej skora do śmiechu niż do kłótni. Czuję lekkie ukłucie zazdrości z powodu łączącej je więzi.

- O czym myślisz? – pyta Fee.

Zaczynam odpowiadać, kiedy uświadamiam sobie, że zwraca się do Pip.

- Zastanawiałam się nad tym, jak inaczej potoczyłoby się moje życie, gdybym zrobiła tak, jak kazała mi matka, i poślubiła pana Bumble'a.

- Bogacza Bartebly'ego Bumble'a – intonuje Ann, twardo wymawiając B.

Dziewczęta z fabryki wybuchają śmiechem. Dla Ann to wystarczająca zachęta.

- Oto moja białogłowa, pani Bumble'owa – przedstawia, doskonale naśladowując afektowany ton pana Bumble'a. – Będzie błyszczeć i brylować w błyskotkach z butiku Broszki Barringtona.

Wszystkie zanosimy się śmiechem. Ann ledwie może mówić, taka jest rozbawiona.

- Boże, broń przed bogaczami i ich błyskotkami! Bierz jagody zamiast błyskotek!

Felicity piszczy.

- Och, Ann!

Ann chichocze.

- Bierz błyszczącą jagodę, a nie będziesz białogłową bezczelnego Bumble'a!

Usta Pippy drżą.

- Czy to był rzeczywiście lepszy wybór? Nie wiem. – Ukrywa twarz w dłoniach i wybucha płaczem.

- Och, Pip, kochana, nie smuć się. – Felicity rzuca się, żeby ją pocieszyć. Felicity, która nigdy nikomu nie okazuje życzliwości.

- C-co ja z-zrobiłam? – zawodzi Pip i łkając, wybiega z pokoju.

Bessie Timmons spogląda na nas groźnie. Jest dużą i chyba nieco zadziorną dziewczyną. Mogłaby spuścić nam niezłe lanie, gdyby zechciała.

- Panienska Pippa to najlepszy człowiek pod słońcem. Lepiej więcej nie doprowadzajcie jej do łez.

Po zdecydowanym wyrazie jej twarzy domyślam się, że zostałyśmy ostrzeżone.

Felicity wychodzi za Pip i wraca chwilę później.

- Ona chce rozmawiać z tobą, Gemmo.

Idę korytarzem zasłanym grubą warstwą liści i suchych kwiatów.

- Gemmo – słyszę swoje imię wyszeptane zza postrzępionej tkaniny.

Odsuwam ją, wzbudzając tuman kurzu. Pippa kiwa ręką, żebyśmy weszła do środka.

Felicity wchodzi tuż za mną, ale Pip powstrzymuje ją.

- Muszę zamienić z Gemmą słówko na osobności – wyjaśnia.

- Ale... - protestuje Felicity.

- Fee – żartobliwe łaje ją Pippa.

- No dobrze. – Felicity odwraca się na pięcie.

Zostajemy same w okazałej sali. Na jej drugim końcu zauważam ozdobny marmurowy ołtarz, więc domyślam się, że musiała się tu mieścić zamkowa kaplica. Dziwne miejsce na poufną rozmowę. Pustka oraz wysoko sklepiony sufit sprawiają, że nasze słowa niosą się echem. Pip siada na ołtarzu, delikatnie stukając piętami o zniszczone ornamenty. Uśmiech znika z jej twarzy, a zamiast niego pojawia się wyraz skrajnej udręki.

- Gemmo, nie mogę już tego znieść. Chcę, żebyś pomogła mi przejść na drugą stronę.

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie tego.

- Pip, nikomu jeszcze w tym nie pomagałam...

- A więc będę pierwsza.

- No, nie wiem – waham się, myśląc o Felicity i Ann. – Może powinnyśmy to przedyskutować...

- Przemyślałam to już. Proszę!

Wiem, że powinna przejść, a jednak jakaś część mnie chce jeszcze poczekać.

- Na pewno jesteś gotowa... odejść?

Kiwa głową. Tylko my dwie znajdujemy się w tym pokoju zapomnianym przez czas i magię. Trudno o bardziej beznadziejne miejsce.

- Mam zawołać resztę?

- Nie! – protestuje tak gwałtownie, że obawiam się, iż stare kamienne ściany kaplicy popękają. – Będą próbowały mnie powstrzymać. Zwłaszcza Felicity i Bessie. Pożegnaj je ode mnie. To miło, że mogłyśmy być razem jeszcze ten raz.

- Tak, to miło. – Z trudem przełykam przez zaciśnięte gardło.

- Przyjdź jutro sama. Spotkamy się tuż za ścianą z jeżyn.

- Jeżeli pomogę ci teraz przejść, Felicity nigdy mi nie wybaczy – mówię.

- Nie musi się dowiedzieć. To będzie nasz sekret. – W oczach Pippy znów wzbierają łzy.

– Proszę, Gemmo. Jestem gotowa. Nie pomożesz mi?

Libba Bray - Studnia wieczności

Ujmuje mnie za ręce i choć jej dłonie są zimne i białe jak kreda, są to nadal dłonie Pip.
- Tak – odpowiadam. – Pomogę ci.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Problem z porankiem polega na tym, że nadchodzi on na długo przed południem.

Och, gdybym tak mogła jeszcze choć troszkę poleniuchować w łóżku! Spałam nie więcej niż dwie godziny, a w tym czasie chyba rodzina wiewiórek musiała zamieszkać w moich ustach, gdyż na języku mam wyraźną warstwę futra. Do tego dochodzi smak wiewiórki, jeżeli wiewiórka smakuje czymś pośrednim pomiędzy stęchlą owsianką a zaśmiardłym serem.

- Gemmo! – Ann szarpie mnie za ramię. Jest elegancko ubrana w szkolny uniform, złożony z białej bluzki, białej spódnicy i trzewiczków. *Jak jej się to udało?* – Spóźnisz się!

Kładę się na plecach. Poranne światło razi mnie w oczy, więc znów je zamykam.

- Czy czujesz w ustach smak wiewiórki?

Ann robi zdziwioną minę.

- Wiewiórki? Nie, oczywiście, że nie.

- To może świstaka?

- Zamierzasz wstać?

Przecieram oczy i zmuszam stopy, żeby dotknęły zimnej, nieprzyjaznej podłogi. Nawet ona nie chce się obudzić. Wydaję jęk protestu.

- Przygotowałam ci ubrania. – Rzeczywiście to zrobiła. Jaka z nie bystra, grzeczna dziewczynka. Moja spódnica i bluzka leżą równiutko ułożone w nogach łóżka. – Uznałam, że pończochy znajdziesz sobie sama.

Mówiąc to, oblewa się rumieńcem. Biedna Ann. Jak to jest, że uwielbia krwawe opowieści o wszelkiego rodzaju masakrach, a jednocześnie niemalże traci przytomność na samą wzmiankę o nagich łydkach? Chowam się za parawanem przez wzgląd na skromność – oczywiście skromność Ann – i szybko się ubieram.

- Prawda, że cudownie było znów znaleźć się w międzyświecie i poczuć magię? Gemmo?

Wracają do mnie nocne przeżycia – odkrycie drzwi, radość, że znów jestem w międzyświecie, magia. Jednakże rozmowa z gorgoną na temat przymierza i obowiązków trochę mnie przygnębiła. Tak wiele się po mnie oczekuje i mam tego dokonać w tak krótkim czasie. A najbardziej przeraża mnie to, że muszę pomóc Pippie. Nigdy nikomu, a tym bardziej przyjaciółce, nie pomagałam jeszcze przejść przez rzekę. Wolę się nawet nie zastanawiać nad konsekwencjami, jeżeli zawiodę.

- Tak, cudownie – zgadzam się, zapinając guziki.

- Nie wyglądasz na zbyt szczęśliwą z tego powodu – zauważa Ann.

Próbuję się trochę uspokoić. Przynajmniej odzyskałyśmy dostęp do międzyświata. Nie mogę pozwolić, żeby obawa przed Filonem i leśnym ludem pozbawiła mnie tej radości. Natomiast jeżeli chodzi o pomoc Pippie, nie jest to kwestia wyboru ani sprawa, którą mogłabym omówić z Felicity i Ann. Obliguje mnie do tego honor, ponieważ jestem jej przyjaciółką. A teraz gdy magia wróciła...

Wychodzę zza parawanu i ujmuję Ann za rękę.

- Może czeka nas teraz nowe życie? – zastanawiam się. – Może twoim przeznaczeniem wcale nie jest los guwernantki?

Ann pozwala sobie na błądy uśmiech.

- Ale, Gemmo – mówi, nerwowo przygryzając dolną wargę – została mi tylko odrobina magii. A tobie...?

Czuję ją w sobie, tę oszałamiającą czujność, dzięki której dostrajam się do wszystkiego, jakbym wypijała kilka filiżanek mocnej czarnej herbaty. Zamykam oczy, żeby poczuć to, co czuje Ann – nadzieję z odcieniem zazdrości. Widzę ją taką, jaką sama chciałaby się widzieć: piękną, podziwianą, występującą na oświetlonej gazowymi lampami scenie.

Zachodzi w niej subtelna zmiana. Nie potrafię określić, na czym dokładnie polega. Wiem tylko, że postrzegam ją inaczej. Nos, zazwyczaj czerwony i ciekący, już taki nie jest. Włosy wydają się bardziej lśniące, a oczy jakoś bardziej błękitne. Ann przygląda się sobie w lustrze i uśmiecha się na swój widok.

- To dopiero początek – obiecuję.

Po korytarzy przed naszymi drzwiami pędzą dziewczęta, a ja zastanawiam się, czy możliwe jest, by kiedyś przestały gnać jak stado byków. Ktoś stuka do naszych drzwi i otwiera je, nie czekając na zaproszenie. Wchodzi Martha.

- To dla was! – szczebiocze. Podaje Ann jakieś falbaniaste części bielizna, a Ann wzdyga się odrzuca je do mnie.

- Co to jest? – pytam, unosząc w górę coś, co wygląda na pantalonek.

- Do jeżdżenia na rowerze! – piszczy Martha. – Nie słyszałyście?

- Raczej nie – odpowiadam, starając się wyraźnie okazać irytację.

- Dziś rano nie będzie zajęć z francuskiego. Inspektor Kent przyjechał i przywiózł nam rowery! Trzy sztuki. Czeka przed szkołą, żeby nas pouczyć! Rowery! Jaki on jest kochany! – Po czym wybiega na korytarz.

- Jeździłaś już kiedyś? – pyta Ann.

- Nigdy – wyznaję, oglądając śmieszne gatki i zastanawiając się, co będzie bardziej upokarzające: jazda czy strój.

*

Wraz z Felicity dołączamy do grupki dziewcząt czekających przed szkołą. Wszystkie jesteśmy ubrane zgodnie z najnowszą rowerową modą – w długie pantalonek, bluzki z bufiastymi rękawami i słomkowe kapelusze z wstążką. W tych pantalonkach czuję się jak wielka kaczką. Ale przynajmniej nie jestem taka spłoszona jak Elizabeth, która ze wstydu ledwie może iść.

Ukrywa się za Cecyli i Martha, cały czas jęcząc.

- Och, nie mogę! To takie nieskromne! Nieprzyzwoite!

Felicity chwyta ją za rękę.

- I absolutnie konieczne, jeśli masz jeździć na rowerze. Moim zdaniem to wielki postęp w stosunku do szkolnego uniformu, zapewniam cię.

Elizabeth piszczy i wrywa się, usiłując znów się schować. Dobry Boże! Aż dziw, że potrafi się wykapać, nie mdlejąc przy tej bezwstydnej czynności.

- Dobra, jak sobie chcesz – poddaje się Felicity. Ona oczywiście nie jest ani odrobinę zawstydzona. – Brak tych wszystkich spódnic i halek daje taką cudowną swobodę. Biorę was na świadków mojej przysięgi: gdy zrzucę kajdany i zamieszkać w Paryżu jako niezależna kobieta, nigdy już nie włożę sukni.

- Och, Fee – wzdycha wstrząśnięta Martha – jak możesz nie chcieć nosić tych prześlicznych sukien, które przysłała twoja mama? Czy wspominałam wam już, że moja suknię ma uszyć atelier lady Marble?

- Nie! – wykrzykuje z niedowierzaniem Cecyli.

Rozprawiają o sukniach, rękawiczkach i pończochach, guzikach i broszkach tak rozgorączkowanymi, histerycznymi głosami, że mam wrażenie, iż zaraz oszaleję. Od strony Wschodniego Skrzydła dolatują dźwięki piły i stukanie młotka. Robotnicy zerkają na nas, trącając się łokciami, aż pan Miller musi zagrozić, że wstrzyma im wypłatę.

- Ann, wyglądasz dzisiaj uroczo – zauważa Felicity, a Ann rozkwita, słysząc komplement. Fee zniża głos. – Czyż wczorajsza noc nie była wspaniała? Gdy znów zobaczyłam Pip, spadł mi z serca wielki ciężar.

- Tak – potwierdzam, przełykając gulę w gardle. – Dobrze było znów ją ujrzeć.

- A do tego magia... - szepcze Ann.

- Och, magia – rozpromienia się Fee. – Powinnam była zrobić z nią wszystko, co mogłam, bo dziś nic mi nie zostało.

- W ogóle nic? – Ann z trudem hamuje uśmiech.

Felicity kręci głową.

- Ani odrobina. A wam?

Ann spogląda na mnie.

- Wygląda na to, że ja znów mam do niej dostęp. Rano obdarowałam nią Ann i chętnie zrobię to samo dla ciebie – mówię. Trzymam ją za rękę, dopóki nie czuję, że przepływa między nami magiczna iskra.

- O czym tam szepczecie we trójkę? – pyta Martha, patrząc na nas podejrzliwie.

- Stosujemy magię, żeby poprawić jakość naszego życia – wyjaśniam.

Felicity odwraca się z cichym śmiechem.

- Jesteś niegrzeczna i ordynarna, Gemmo Doyle. – Martha pociąga nosem. – To podłe z twojej strony, że ją do tego zachęcasz, Felicity Worthington. A jeśli o ciebie chodzi, Ann Bradshaw... to nic mnie nie obchodzisz.

Na szczęście zostają przyprowadzone rowery. Będziemy musiały jeździć na zmianę. Nigdy wcześniej nie widziałam roweru z bliska. Przypomina metalowe S z dwoma kołami i poprzeczką do kierowania. A to siodełko! Wydaje się o wiele za wysoko, żeby można było na nim usiąść.

Inspektor Kent, ubrany w brązowy, bawełniany płaszcz i czapkę, podchodzi, żeby się przywitać. Jest narzeczonym mademoiselle LeFarge, detektywem ze Scotland Yardu, a przy okazji dobrym człowiekiem. Szczerze się cieszymy, że ich ślub odbędzie się już w maju. Mademoiselle LeFarge obserwuje nas ze swojego stanowiska na trawniku, gdzie rozłożyła koc. Nosi ciepły czepek, który okala jej okrągłą buzię z wesołymi oczami. Jeszcze tak niedawno rozpaczała po utraconej miłości, ale dzięki pełnej czułości trosce inspektora Kenta rozkwitła na nowo.

- Przyszła pani Kent stanowi dziś uroczy widok, nieprawdaż? – odzywa się inspektor, wywołując rumieńce na twarzy nauczycielki francuskiego.

- Proszę uważać, żeby nikomu nic się nie stało, panie Kent – mówi, nie reagując na jego miłą uwagę.

- Zajmę się pani podopiecznymi z najwyższą uwagą, mademoiselle – zapewnia mężczyzna, a jej twarz łagodnieje.

- Jestem tego pewna, panie Kent – odpowiada, co też brzmi jak komplement.

Krzaczaste wąsy inspektora skrywają uśmiech, ale widzimy błysk w jego oczach.

- Proszę, drogie panie – mówi, prowadząc w naszą stronę rower – która chce spróbować?

Kilka młodszych dziewczynek podskakuje z podniecenia i błaga, żeby je wybrał, ale to oczywiście Felicity zdecydowanym krokiem wychodzi naprzód, dając odpowiedź na pytanie.

- Ja pojadę pierwsza – oznajmia.

- Proszę bardzo. Jeździła już pani kiedyś na rowerze? – pyta inspektor.

- Tak, w Falmore Hall – odpowiada Fee, wymieniając nazwę rodzinnej rezydencji na wsi.

Wsiada na chwiejący się rower i boję się, że zaraz wyląduje na ziemi. Ale ona mocno naciska pedały i bez wysiłku rusza po trawie. Bijemy brawo i wiwatujemy. Następna w kolejce jest Cecily. Inspektor Kent biegnie koło roweru, podtrzymując ją. Gdy tylko zamierza ją puścić, Cecily zarzuca mu ramiona na szyję i wrzeszczy. Martha radzi sobie niewiele lepiej. Wywraca się i choć ucierpiała co najwyżej jej duma, nie zgadza się ponownie wsiąść na

rower. Robotnicy parszczą śmiechem, najwyraźniej ubawieni, że nas, wyrafinowane damy, pokonał taki prosty pojazd, który oni mogliby zmontować gołymi rękami.

Felicity wraca z drugiej tury, a inspektor Kent pomaga Ann rozpocząć pierwszą.

- Och, Gemmo! – woła Fee. Z trudem łapie oddech i ma zaróżowione policzki. – Musisz się przejechać! To po prostu cudowne! Chodź, pomogę ci.

Kładzie moje dłonie na nieporęcznej kierownicy. Ramiona mi drżą, gdy stoję okrakiem nad rowerem. To najbardziej niezdatna pozycja, jaką kiedykolwiek miałam okazję przybrać.

- A teraz usiądź – instruuje mnie Felicity.

Usiłuję wspiąć się na wysokie siodełko i tracię równowagę, po czym rozkładam się na kierownicy w sposób zupełnie nieprzystający damie.

- Gemmo! – Felicity aż zgina się na wpół ze śmiechu.

Chwytam za rączki ze zdwojoną determinacją.

- Dobra, wystarczy, że odpowiednio się odepchnę i ruszę – mówię zdecydowanym tonem.
– Przytrzymaj bestię, jeśli łaska.

- Mówisz o rowerze czy o swoim tyle?

- Felicity! – syczę.

Przewraca oczami.

- No to wsiadaj.

Przełykam głośno i podciągam się na widowiskowo niewygodne siodełko. Chwytam kierownicę tak mocno, że bołą mnie kłykcie. Unoszę jedną stopę. Żelazna bestia chwieje się, więc szybko stawiam stopę z powrotem, a serce bije mi szybko.

- Daleko tak nie zajedziesz – łaje mnie Felicity. – Musisz ruszyć z miejsca.

- Ale ja... - zaczynam przestraszona.

- Po. Prostu. Ruszaj.

Jednym mocnym ruchem Felicity wypycha mnie na lekko nachylony w dół trawnik i na wydeptaną w nim ścieżkę. Wydaje mi się, że czas stanął w miejscu. Jestem równocześnie przerażona i rozradowana.

- Pedaluj, Gemmo! – woła Felicity. – Cały czas pedaluj!

Nerwowo naciskam stopami pedały, napędzając rower, ale kierownica ma własny rozum. Nie panuję nad nią.

Zachowuj się, rowerze!

Fala mocy przepływa przez moje żyły i nagle rower robi się bardzo lekki. Wprawienie go w ruch nie sprawia mi żadnego kłopotu.

- Ha! – krzyczę w uniesieniu.

Magia! Jestem uratowana! Zjeżdżam ze wzgórza i podjeżdżam z drugiej strony niczym uosobienie wdzięku, prawdziwa dziewczyna Gibsona³. Tłum na trawniku wiwatuje. Cecily gapi się na mnie z otwartymi ustami.

- Grzeczna dziewczynka! – woła inspektor Kent. – Jakby się do tego urodziła!

Felicity też szeroko otwiera usta.

- Gemmo! – woła do mnie z przyganą, gdyż zna moją tajemnicę.

Ale nic mnie to nie obchodzi. Uwielbiam jazdę na rowerze! To najcudowniejszy sport! Wiatr zrywa mi z głowy kapelusz, który toczy się w dół, a trzech robotników rzuca się za nim w pogoń. Ze śmiechem walczą między sobą o to, który ma mi go zwrócić. Oto wolność. Głęboko w środku czuję, jak koła się kręcą, jakbym była jednym urządzeniem z rowerem, i wiem, że się nie wywrócę. Dodaje mi to odwagi. Nabierając prędkości, gnam pod górę, a potem pędzę w dół po drugiej stronie, w kierunku drogi, jadąc coraz pewniej i szybciej z każdym zaczarowanym ruchem pedału. Koła odrywają się od ziemi i przez krótką, wspaniałą

³ Dziewczyna Gibsona – bohaterka grafik dziewiętnastowiecznego rysownika Charlesa Gibsona, kobieta światowa, wykwintna, modna, piękna i energiczna (przyp. tłum.).

chwilę lecę w powietrzu. Czuję łaskotanie w żołądku. Ze śmiechem puszczam kierownicę, kusząc los i prawo ciążenia.

- Gemmo! Dość już! – wołają dziewczyny, ale nie zamierza słuchać. Odwracam się, żeby pomachać im Radoście, i patrzę, jak stają się coraz mniejsze w oddali.

Gdy znów spoglądam do przodu, ktoś stoi na drodze. Nie wiem, skąd się tam wziął, ale pędzę prosto na niego.

- Uwaga! - krzyczę.

Rzuca się w bok, lecz ja już się rozproszyłam. Nie panuję nad bestią, która gna dzikim zygzakiem, by w końcu zrzucić mnie na trawę.

- Pani pozwoli, że pomogę. - Podaje mi rękę, a ja chwytam ją i staję na drżących nogach. - Nic się pani nie stało?

Jestem podrapana i posiniaczona. Podarły mi się pantalony, a w dziurze, przez którą prześwituje pończocha, widać plamę z trawy i krwi.

- Mógł pan bardziej uważać, sir - robię mu wymówkę.

- To pani mogła patrzeć przed siebie, panno Doyle - odpowiada znanym mi głosem, który brzmi nieco bardziej matowo niż kiedyś.

Gwałtownie unoszę głowę i chłonę jego widok. Długie, ciemne loki opadają mu na ramiona spod rybackiej czapki. Jest ubrany w zakurzone spodnie, szelki i prostą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokcie, a przez ramię ma przewieszony plecak. Wszystko to wygląda znajomo. Ale nie jest to już ten chłopiec, którego widziałam na Boże Narodzenie. W ciągu kilku ostatnich miesięcy wyrósł na mężczyznę. Ramiona ma szersze, rysy twarzy ostrzejsze. I zmieniło się w nim coś jeszcze, czego nie umiem nazwać. Stoimy naprzeciwko siebie, a ja mocno zaciskam dłoń na metalowej kierownicy roweru, który nas rozdziela.

Tnę słowami mocno jak nożem.

- Jak miło cię znowu widzieć.

Uśmiecha się do mnie lekko.

- Widzę, że trenujesz jazdę na rowerze.

- Tak, wiele wydarzyło się w ciągu ostatnich miesięcy – warczę.

Uśmiech Kartika blednie, a mnie robi się przykro, że nie zapanowałam nad swoim niewyparzonej językiem.

- Gniewasz się.

- Wcale nie – zaprzeczam, śmiejąc się fałszywie.

- Nie mam do ciebie pretensji.

Waham się chwilę.

- Po prostu nie wiedziałam, czy Rakshana nie... czy ty...

- Czy umarłem?

Kiwam głową.

- Chyba raczej nie. – Unosi głowę i dostrzegam ciemne kręgi pod jego oczami.

- Jesteś zdrow? Jadłeś coś? – pytam.

- Proszę, nie martw się o mnie. – Pochyla się do przodu i przez jeden oszłamiający moment wydaje mi się, że chce mnie pocałować. – A międzyświat? Masz jakieś wieści? Oddałaś magię i zawarłaś przymierze? Czy międzyświat jest bezpieczny?

Chce tylko dowiedzieć się czegoś o międzyświecie. Czuję w żołądku taki ciężar, jakbym najadła się ołowiu.

- Panuję nad wszystkim.

- A... spotkałaś mojego brata w międzyświecie? Widziałaś Amara? – Jego głos brzmi trochę rozpaczliwie.

- Nie, nie widziałam – odpowiadam łagodnie. – A więc... nie mogłeś się tu pojawić wcześniej?

Odwraca wzrok.

- Uznałem, że lepiej będzie nie przyjeżdżać.
- Nie... nie rozumiem – wyznaję, gdy znów wraca mi zdolność mówienia. Wsuwa dłonie do kieszeni.
- Doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jeśli nasze drogi się rozejdą. Ty masz swoją drogę, a ja swoją. Wygląda na to, że nasze losy już się nie splatają.
- Mrugam, żeby powstrzymać łzy. *Tylko nie płacz, na litość boską, Gemmo!*
- Ale mówiłeś, że chcesz należeć do sprzymierzenia. Podać rękę mnie... nam...
- Zmieniłem zdanie. – Jest tak zimny, że dziwię się, iż trawa wokół nie zamarza. Co się stało?
- Gemmo! – woła Felicity zza wzgórza. – Teraz kolej Elizabeth!
- Czekają na ciebie. Pomogę ci wsiąść – mówi, sięgając po rower.
- Odsuwam go.
- Dziękuję, ale nie potrzebuję twojej pomocy. Idź swoją drogą.
- Popychając rower przed sobą, biegnę szybko z powrotem, żeby nie dostrzegł, jak głęboko mnie zranił.

*

Wymawiam się od dalszego jeżdżenia na rowerze pod pretekstem, że muszę opatrzyć kolano. Mademoiselle LeFarge proponuje mi pomoc, ale zapewniam ją, że udam się prosto do Brigid po bandaż. Zamiast tego przemyka przez las do hangaru na łodzie, gdzie mogę się skryć i w odosobnieniu opatrywać znacznie głębsze rany. W tafli małego jeziora odbija się powolna wędrówka pielgrzymujących chmur.

- Carolina! Carolina!
- Z lasu wynurza się stara Cyganka, matka Elena. Srebrzyste włosy odkryła jasnoniebieską chustą, a na jej piersi pobrzękuje kilka naszyjników. Cyganie przyjeżdżają tu co roku wiosną, a matka Elena jest zawsze z nimi. To jej córeczkę, Carolinę, moja mama i Sara zaprowadziły do Wschodniego Skrzydła i złożyły w ofierze Krainie Zimy. Matka Elena nie potrafiła się pogodzić ze stratą ukochanego dziecka, postradała rozum i teraz jest bardziej widmem niż prawdziwą kobietą. W tym roku widzę ją po raz pierwszy od przyjazdu Cyganów, bo nie oddalała się za bardzo od taboru. Zaskakuje mnie jej kruchy wygląd.
- Widziała panienka moją córeczkę, moją Carolinę? – pyta.
- Nie – zaprzeczam słabo.
- Carolino, kochanie, nie drocz się ze mną – prosi matka Elena, zaglądając za wielkie drzewo, jakby po prostu bawiły się w chowanego. – Pomoże mi panienka jej szukać?
- Tak – zgadzam się, choć przyłączam się do jej szaleństwa z bólem serca.
- Figlarka z niej – dodaje Cyganka – i potrafi się dobrze chować. Carolina!
- Carolina! – wołam bez przekonania. Zaglądam w krzaki i pomiędzy drzewa, udając, że rozglądam się za zabitą wiele lat temu dziewczynką.
- Niech panienka szuka dalej – prosi mnie matka Elena.
- Dobrze – kłamię, a rumieniec wstydu ogarnia moją szyję. – Będę szukała.
- Gdy tylko Cyganka znika z pola widzenia, zakradam się do hangaru, wzdychając z ulgą. Poczekam tu, aż staruszka wróci do obozu. Drobinę kurzu lśnią w smugach bladego słońca. Słyszę stukanie młotka, a potem pełne nadziei wołanie matki, szukającej córki, która nigdy się nie znajdzie. Wiem, co się stało z małą Caroliną. Wiem, że została zamordowana przez dziewczyny, które próbowały złożyć ją w ofierze istotom z Krainy Zimy dwadzieścia pięć lat temu. Znam prawdę o potwornych wydarzeniach tamtej nocy, choć wołałabym nic o nich nie wiedzieć.

Oparte o ścianę wiosło chybotło się i zsuwa w moją stronę. Łapię je i czuję gładki ciężar drewna w dłoniach, podczas gdy ciało ogarnia przecucie nadchodzącej wizji, którego nie miałam już od paru miesięcy. Wszystkie moje mięśnie napinają się. Mocno ściskam wiosło, moje powieki trzepoczą, a tętno w uszach dudni głośno jak wojenny werbel. Potem znajduję się pod powierzchnią i mknę przez światło, jakbym była jedyną przytomną osobą wewnątrz snu. Obrazy przemykają obok i mieszają się ze sobą niczym w kalejdoskopie. Widzę damę w lawendowej sukni, jak z wściekłością pisze coś w świetle latarni, a włosy kleją jej się do spoconej twarzy. Słyszę żalobny płacz, wołanie, ptaki.

Kolejny obrót kalejdoskopu i trafiam na ulice Londynu. Dama kiwa ręką, żebym szła za nią. Wiatr przywiewa do moich stóp jakąś kartkę. To kolejna ulotka iluzjonisty doktora Van Ripple'a. Podnoszę ją, po czym znajduję się w pełnym wrzawy teatrze. Mężczyzna o czarnych włosach i schludnej koziej bródce wkłada do pudełka jajko, a ono natychmiast znika. Ładna pani, która mnie tu przyprowadziła, wynosi pudełko, następnie wraca na scenę, a iluzjonista wprowadza ją w trans. Dama bierze dużą łupkową płytkę i pisze na niej jak opętana: *Zostaliśmy zdradzeni. Ona oszukuje. Drzewo Wszystkich Dusz żyje. Prawdę odnajdziesz w Kluczu.*

Tłum wzdycha w zachwycie i bije brawo, ale ja znikam już teatru. Znow znajduję się na ulicy. Kobieta biegnie przede mną po śliskich od deszczu kocich łbach, wzdłuż rzędów nieoświetlonych domów. Ucieka przed śmiercią, a oczy ma oszalałe ze strachu.

Szabrownicy pokrzykują coś do siebie. Za pomocą długich haków wyławiają z rzeki zimne, martwe ciało damy. W zaciśniętej dłoni znajduje się skrawek papieru. Są na nim nabazgrane słowa: *Tylko ty możesz nas uratować.*

Wizja opuszcza mnie niczym pociąg przejeżdżający przez stację. Odzyskuję świadomość w zatęchłym hangarze, w chwili gdy wiosło z trzaskiem pęka w mych dłoniach. Drżąc, odsuwam się na podłogę i odkładam drewniane szczątki. Odzwyczyłam się od siły moich widzeń i z trudem łapię oddech.

Słaniając się, wychodzę na zewnątrz i wciągam głęboko do płuc świeże, zimne powietrze. Słońce uprawia swoje czary, rozpraszając pozostałości wizji. Mój oddech zwalnia, a serce się uspokaja.

Drzewo Wszystkich Dusz żyje. Tylko ty możesz nas uratować. Prawdę odnajdziesz w Kluczu.

Nie mam pojęcia, co to znaczy. Głowa mnie boli i bynajmniej nie pomaga jej stała synkopa młotków rozbrzmiewająca nad okolicą.

Drgam ze strachu na widok matki Eleny. Staruszka szarpie się za warkocz, słuchać stukotu narzędzi.

- Coś złego się tu czai. Czuję to. Ty to czujesz?

- N-nie – odpowiadam, chwiejnym krokiem idąc w stronę szkoły. Matka Elena rusza za mną. Przyspieszam. *Proszę, odejdź. Zostaw mnie w spokoju.* Docieramy do polany na niewielkim pagórku. Szczyty Spence majestatycznie wznoszą się nad drzewami. Widać stąd też robotników. Spuszczają z dachu na linach wielkie tafle szkła i osadzają je na miejscu. Matka Elena wstrzymuje oddech, a jej oczy rozszerza lęk.

- Nie wolno im tego robić!

Szybkim krokiem rusza w stronę szkoły, wołając coś w języku, którego nie rozumiem, ale w jej głosie wyraźnie brzmi zgroza.

- Nie wiecie, co robicie! – woła do nich już po angielsku.

Szalona Cyganka i jej lęki budzą rozbawienie ludzi pana Millera.

- Odejdź, kobieto, i nie mieszaj się do męskich zajęć! – odganiają staruszkę.

Ale matka Elena się nie podaje. Biegnie przez trawnik, oskarżycielsko mierząc w nich palcem.

- To obraza! Przekleństwo!

Robotnik krzyczy ostrzegawczo. Tafla szkła wymknęła się montażystom spod kontroli. Kręci się na linie, niebezpiecznie rozkołysana, aż w końcu udaje się ją pochwycić budowniczym stojącym poniżej. Jeden z nich łapie szybę i rozcina sobie dłoń o jej ostrą krawędź. Krzyczy z bólu, a krew spływa mu po ramieniu. Ktoś podaje mu chusteczkę i mężczyzna owija zranioną rękę.

- Widzicie? – woła matka Elena.

W oczach pana Millera widać chęć mordu. Grozi Cygance młotkiem, aż koledzy muszą go powstrzymać.

- Cholerni Cyganie! Wy tu jesteście jedynym przekleństwem!

Krzyki ściągnęły Cyganów przed szkołę. Ithal opiekuńczo osłania matkę Elenę, stając przed nią. Jest tu też Kartik. Ludzie pana Millera chwytają młotki i metalowe pręty, stając u boku swojego majstra. Obawiam się, że zaraz rozpęta się potworna awantura.

Ktoś posłał po inspektora Kenta. Policjant wkracza na wąski pas trawy oddzielający Cyganów od angielskich robotników.

- Słucham, co to za zamieszanie?

- To wina tych cholernych Cyganów, kolego. – Pan Miller spluwa na trawę.

W oczach inspektora Kenta pojawia się stalowy błysk/

- Nie jestem pańskim kolegą, sir. Albo będziecie zachowywać się przyzwoicie w obecności pań, albo dostaniecie wezwanie do Yardu. – A do matki Eleny mówi: - Lepiej niech pani stąd idzie.

Cyganie wycofują się powoli, ale jeden z robotników – ten w koszuli z czerwonymi łatami – pluje w ich stronę, a zniewaga trafia Ithala w policzek. Chłopak wyciera twarz, ale z gniewu jest mu się trudniej pozbyć. W oczach Kartika także płonie złość, a kiedy na mnie zerka, czuję się, jakbym to ja była jego wrogiem.

Ithal mówi coś cicho do matki Eleny w ojczystym języku. Jej usta tężeją w wyrazie lęku, gdy towarzysze odprowadzają ją do lasu.

- Przekłęci – roztrzęsiona mruczy pod nosem. – Przekłęci.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kolacja to niegodne wzmianki wydarzenie złożone głównie z potrawki rybnej, która prosi się o sól, i to rozpaczliwie.

Nie mogę przestać myśleć o Kartiku i jego oschłości. Gdy po raz ostatni widziałam go w Londynie, przysiągł mi lojalność. Co takiego mogło się stać, że jego uczucia diametralnie się zmieniły? Czy może tak postępują mężczyźni – omotują dziewczyny tylko po to, by je odtrącić? Wydawał się taki udręczony, taki złakniony wiadomości o Amarze. Żałuję, że nie mogłam go pocieszyć, ale naprawdę nie widziałam jego brata. Choć może to jest największą pociechą.

Do tego dochodzi jeszcze moja wizja. *Drzewo Wszystkich Dusz żyje*. Co za drzewo? Gdzie? Czemu to jest ważne? *Tylko ty możesz nas ocalić*.

- Gemmo, nad czym rozmyślasz z taką ponurą miną? – zaczepia mnie siedząca obok Felicity. Nie byłaby sobą, gdyby zadała to pytanie dyskretniej.

- Ja... nie jestem ponura. – Siorbię zupę, wywołując pogardliwe prychnięcie ze strony Cecily.

- Nie, oczywiście, że nie. Po prostu zapomniałaś, jak się uśmiechać. Przypomnieć ci? To całkiem proste, widzisz? – Fee uśmiecha się uroczo.

Odwzajemniam się wymuszonym grymasem, który z pewnością wygląda tak, jakbym cierpiała na bolesne wzdęcie.

Doszedłem do wniosku, że lepiej będzie nie przyjeżdżać. Dlaczego nie mogę uwolnić tej jednej krótkiej myśli z klatki mojego umysłu?

- Muszę przekazać Pip, że zupa jest tak ohydna, jak ją zapamiętała – szepcze Felicity, chichocząc.

Pip. Kolejne brzemie. Dziś w nocy mam wrócić i pomóc jej przejść przez rzekę do nieznanego świata na drugim brzegu.

*

- Naprawdę jesteś ponura, Gemmo, i byłaś taka przez całe popołudnie – nie daje mi spokoju Felicity, gdy zmierzamy ścieżką do kaplicy na wieczorną modlitwę. – I chyba wiem dlaczego. Widziałam, jak rozmawiałaś z tym Hindusem. – Zabrzmiało to bardzo lekceważąco.

- Masz na myśli Kartika? – poprawiam ją chłodno.

Ann nadstawia uszu.

- Wrócił?

A niech to! Teraz obie będą mnie zdręczały – Felicity drwinami, a Ann tym niepokojącym, przenikliwym spojrzeniem.

- Tak, o nim mowa. Co powiedział tym razem? – Felicity wytrzeszcz oczy i udaje nawiedzonego wróżbitę. – Nie używaj magii! Nie wchodź do międzyświata! Jeżeli to zrobisz, duch Jakuba Marleya zabierze twoją duszę. Zostań w domu i ceruj skarpety, jak na porządną dziewczynę przystało! Hm?

- Widzę, że nie brak ci talentu aktorskiego. Ann, nie pozwól, żeby cię przyćmiła na scenie. – Mam nadzieję, że uda mi się zmienić temat.

- Tak było, co? – naciska Fee.

- Po prostu przyszedł się pożegnać. – Nie chcę im mówić o Kartiku. Fee nie darzy go sympatią, a gdybym powiedziała jej prawdę, tylko by się tym napawała. A dla mnie byłoby to

zbyt upokarzające. – Ale jeżeli wyglądam na zatopioną w myślach, to dlatego, że miałam dziś wizję, pierwszą od czasu Bożego Narodzenia.

Ann robi wielkie oczy. Felicity ściąga mnie na poboczne ścieżki, pozwalając, żeby pozostałe dziewczęta nas minęły.

- Co w niej było?

- Dama, którą widziałam wcześniej w snach. Jest asystentką magika czy czymś w rodzaju medium, ponieważ widziałam ją wraz z doktorem Van Ripple'em, iluzjonistą. Pisała na tabliczce, jakby była w transie. Przekazała bardzo dziwną wiadomość.

- Jaką? – ponagliła mnie Fee.

Pani Nightwing i mademoiselle LeFarge nachodzą ścieżką. Rozmawiają o tym, o czym kobiety rozmawiają, gdy nie muszą dbać wyłącznie o pozory. Wydają się swobodne i wesołe. Ruszamy kilka kroków przed nimi.

- „Zostaliśmy zdradzeni. Ona oszukuje. Drzewo Wszystkich Dusz żyje. Prawdę odnajdziesz w Kluczu”.

Do tej pory Felicity chłonęła każde moje słowo, ale teraz wybucha śmiechem.

- Drzewo? Doprawdy, Gemmo, jesteś pewna, że nie uderzyłaś się w głowę, spadając z roweru?

Nie zwracam uwagi na jej docinki.

- Obrazy w moich wizjach nie zawsze układają się w zrozumiałą całość. Ale mam wrażenie, że tak kobieta nie żyje.

- Nie żyje? Naprawdę? – pyta Ann z przejęciem, które zdradza uwielbienie dla makabry. – Dlaczego tak twierdzisz?

- Bo widziałam, jak jej ciało wyławiano z Tamizy. Utonęła.

- Utonęła... - powtarza, wyraźnie rozkoszując się tą koszmarną możliwością.

Drzwi kaplicy stoją otworem. Płomienie świec rzucając drżące cienie na okna, ożywiają je.

- O której się spotykamy? – szepcze Felicity, gdy zbliżamy się do wejścia.

Odwracam się.

- Nie dzisiaj. Jestem bardzo zmęczona po jeździe na rowerze. Muszę się wyspać.

- Ależ, Gemmo! – oburza się Felicity. – Musimy wrócić! Pippa na nas czeka.

- Pójdziemy jutro w nocy – obiecuję, zmuszając się do uśmiechu, choć czuję mdłości na myśl o tym, co mam zrobić.

Oczy Fee wypełniają się łzami.

- W końcu znalazłyśmy drogę powrotną, a ty odmawiasz nam szczęście.

- Fee... - zaczynam, ale odwraca się do mnie plecami i uświadamiam sobie, że będę musiała pozwolić, żeby mnie dziś nienawidziły, choć trudno mi to znieść.

Nagle cienie drzew zaczynają tańczyć w ostrym świetle latarni. Przyszli Cyganie. Jest wśród nich Kartik. Z trudem się powstrzymuję, żeby nie spojrzeć mu w oczy, choć bardzo sobą za to gardzę.

- Słucham, o co chodzi? Co się dzieje? – pyta pani Nightwing.

Wyczuwając awanturę, dziewczęta wysypują się z kaplicy i zbierają przed drzwiami, mimo że mademoiselle LeFarge prosi usilnie, aby wróciły do środka. Równie dobrze mogłaby zaganiać kurczaki w deszczu.

- Pilnujemy lasów – wyjaśnia Ithal. Ma pistolet zatknięty za pasek.

- Pilnujecie lasów prze czym, jeśli łaska? – jeży się pani Nightwing.

- Matce Elenie nie podoba się to, co wyczuwa. A mnie to, co widzę. – Kiwa głową w stronę obozu robotników.

- Nie będzie żadnych niesnasek między wami i ludźmi Millera – oświadcza rozkazującym tonem dyrektorka. – Spence zawsze oferowało gościnę matce Elenie, ale nie przeciągajcie struny.

- My za to oferujemy ochronę – ripostuje Ithal, ale pani Nightwing nie daje się przekonać.
- Zapewniam, że ochrona nie jest nam potrzebna. Dobranoc.

Kartik kładzie dłoń na ramieniu Ithala i mówi do niego coś po cygańsku. Ithal kiwa głową. Kartik nie patrzy na mnie ani razu. W końcu Ithal daje ręką znak swoim ludziom.

- Idziemy – mówią Cyganie wycofują się do lasu i do swego obozowiska.

- Bzdury, kompletne szaleństwo. Ochrona! To m ó j obowiązek i śmiem twierdzić, że sobie z nim radzę – złości się dyrektorka. – Na modlitwę, dziewczęta!

Pani Nightwing i mademoiselle LeFarge zaganiają nas do kaplicy. Ostatni raz zerkam w stronę lasu. Mężczyźni oddalili się, a ich latarnie wypalają maleńkie dziury w wieczornym mroku. Wszystkie prócz jednej. Kartik nadal tu jest i schowany za drzewem czuwa nad nami w milczeniu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Rozważam pomysł, żeby w ogóle nie iść do międzyświata. Zmagam się z tą myślą przez prawie godzinę. Wyobrażam sobie miny Fee i Ann, kiedy następnym razem się tam wybierzemy, a Pippy po prostu nie będzie. Ciekawe, jak dziewczęta z fabryki poradzą sobie bez niej. Nie mam pewności, czy to jest właściwe rozwiązanie, ale obiecałam, więc muszę pójść.

Czekam, aż chrapanie Ann stanie się głębsze, a potem wymykam się na dół, żywiąc nadzieję, że nie zauważy mnie Brigid, pani Nightwing, Felicity ani nikt inny. W cieniu szkieletu Wschodniego Skrzydła przykładam dłoń do sekretnych drzwi. Rozświetlają się życiem, a ja wkradam się do międzyświata zupełnie sama. Biegnę całą drogę.

Pippa czeka na mnie przy ścianie z jeżyn.

- Przyszłaś – mówi, a ja nie potrafię określić, czy w jej głosie słychać strach czy ulgę. Chyba jedno i drugie.

- Tak.

- Fee nigdy się nie dowie – dodaje, jakby czytając w moich myślach.

Ruszamy ścieżką w stronę ogrodu i rzeki. Nie wiem, co powinnam zrobić. Czy mam coś powiedzieć – modlitwę albo zaklęcie? Jeśli tak, to nie znam słów. Zamykam więc na chwilę oczy i milcząco błagam: *Proszę. Proszę, pomóżcie mojej przyjaciółce, Pippie.*

Niewielka łódka kołysze się na rzece za kępą wysokich nagietków. Brniemy przez podmokły trawnik i przyciągam ją do brzegu.

Pip zrywa nagietka i kręci nim w palcach.

- Jak tu pięknie. Czasami o tym zapominam.

- Możemy ruszać, gdy tylko będziesz gotowa – mówię łagodnie.

Wtyka kwiatek za ucho.

- Już jestem gotowa.

Siadamy w rozkołysanej łódce i odpychamy się od brzegu. Płynęłam już po tej rzece w poszukiwaniu przygód, ogarnięta radością, wystraszona niebezpieczeństwem, ale jeszcze nigdy moja podróż nie była zabarwiona taką melancholią. To pożegnanie na zawsze, a świadomość, że tak należy, wcale nie sprawia, iż jest mi łatwiej. Cały czas mam przed oczami Pippę taką, jaka była przedtem. Tę Pippę, która nazywała mnie swoją przyjaciółką.

Steruję w kierunku drugiego brzegu, gdzie horyzont lśni złotą barwą zachodu. Światło sprawia, że czuję się oszołomiona, jakbym ucięła sobie drzemkę w słońcu. A potem nagle łódka się zatrzymuje i nie chce płynąć dalej.

- Dlaczego stanęłyśmy?

- Nie wiem - odpowiadam. Próbuję płynąć dalej, ale bez skutku.

- Wydawało mi się, że masz moc przeprowadzania dusz - wypomina mi Pip z paniką w głosie.

- Nie robiłam tego nigdy przedtem. Ty jesteś pierwsza. Wydaje mi się, że nie mogę cię przeprowadzić dalej. Resztę drogi będziesz musiała pokonać sama.

Pippa szeroko otwiera oczy.

- Nie, nie mogę! Nie wejdę do wody. Proszę, proszę, nie zmuszaj mnie do tego.

- Owszem, możesz - uspokajam ją, mając nadzieję, że głos nie zdradza mojego zdenerwowania. - Pomogę ci. No już, chwyć mnie za rękę.

Pomagam jej zsunąć się do rzeki i puszczam. Jej spódnice wydymają się jak kwiat lotosu.

- Do widzenia, Gemmo - mówi, płynąc pod prąd.

Patrzę, jak się oddala, i czuję się, jakby zniknęła część mnie. Przyciskam dłoń do ust, żeby powstrzymać się od zawołania: "Nie, wróć! Proszę". Po chwili pochłania ją światło, a ja policzki mam mokre od łez. *Żegnaj, Pip.*

Nagle Pippa znika pod wodą i gwałtownie wymachuje rękami. Wyskakuje nad powierzchnię, kaszłąc i rozpaczliwie walcząc o haust powietrza.

- Gemmo! - woła przerażona. - Pomóż mi!

Wpadam w panikę. Czy tak to się ma odbywać? Chyba nie. Widziałam, że inne dusze przechodziły bez takich katuszy.

- Pip! - krzyczę.

Przechylam się nad burtą. Przyjaciółka łapie mnie za rękę, a ja wciągam ją na pokład.

- Zawracaj - mówi, kaszłąc. - Zawracaj!

Dopiero gdy bezpiecznie docieramy do brzegu, Pippa opada na kolana i zaczyna swobodnie oddychać.

- Co się stało? - pytam.

- Nie mogłam przepłynąć - płacze. - Nie pozwoliła mi. - Oczy ma ogromne ze strachu. - Nie pozwoliła mi!

Na rzece pojawia się gorgona.

- Ona nie może przejść na drugi brzeg. Jest za późno.

Pippa z rozpaczą chwyta mnie za ramię.

- Co... ona... mówi?

- Zjadłaś jagody – wyjaśnia gorgona. – W miarę upływu czasu ich magia wywierała na ciebie coraz większy wpływ i coraz mocniej przywiązywała cię do międzyświata. Jesteś teraz jedną z nas.

Wracam myślami do tego potwornego dnia, kiedy uciekłam i porzuciłam tu Pippę.

Pamiętam potwora, który zapędził ją do rzeki. Później odnalazłam ją zimną i bladą w wodzie. I przypominam sobie tę brzemienną w skutki chwilę, gdy postanowiła zostać i zjeść jagody. Dlaczego ją zostawiłam? Dlaczego nie walczyłam, żeby ją uratować?

Pippa rzuca się w stronę gorgony i okłada ją pięściami. Węże budzą się do życia, sycząc i kłapiąc paszczami. Jednemu udaje się ugryźć Pip. Dziewczyna wydaje krótki okrzyk i pada na trawę, przyciskając rękę do siebie. Łka ciężko, jakby się dławiała.

- Chcesz... mi powiedzieć... że będę musiała tu zostać? Na zawsze?

Żółte oczy gorgony nie zdradzają żadnych uczuć.

- Twój los jest przesądzony, musisz się przystosować. Zaakceptować go i żyć dalej.

- Nie mogę! – zawodzi Pippa. Wyrzuca z siebie słowa pomiędzy jednym spazmem a drugim. – Gemmo... Ty! Ty mi powiedziałaś... że... że mam przejść rzekę!

- Przykro mi. Nie wiedziałam...

- A teraz... teraz mówisz, że mam tu zostać... w międzyświecie na zawsze! Całkiem sama!

Leży bezwładnie na ziemi i kręci głową, przyciskając czoło do chłodnej trawy.

- Nie jesteś sama. Masz Bessie, Mae i inne – uspokajam ją, rozpaczliwie pragnąc dać jej jakąś nadzieję, ale nawet ja słyszę, jak pusto to brzmi.

Podrywa głowę, a w jej oczach błyszczą łzy.

- Tak, te okropne dziewczuchy, z odrażającymi ranami i fatalnymi manierami! Co to mają być za przyjaciółki? Pomagały mi tylko jakoś zabić czas. Nigdy nie zajmą miejsca Fee, twojego i Ann. Proszę, nie zostawiaj mnie tu, Gemmo! Zabierz mnie z powrotem. Proszę, proszę, proszę... - Garściami wyrywa trawę, płacząc, jakby serce miało jej pęknąć. Sama ledwie powstrzymuję łzy.

Siadam obok niej i próbuję pogłaskać ją po włosach.

- No, już cicho, Pip.

Odpycha moją rękę.

- To twoja wina!

Nigdy nie czułam takiej rozpacz i bezradności.

- A g-gdybyś miała magię i mogła sobie pomóc? – wyrzucam z siebie, też już płacząc.

Łkanie Pippy cichnie.

- Magię? Tak jak kiedyś?

- Tak, ja...

Gorgona przerywa mi.

- Wasza Wysokość, mogę prosić na słówko?

Trap opada na ziemię z cichym trzeszczeniem, więc wchodzę na pokład i zajmuję swoje ulubione miejsce niedaleko jej głowy.

- O co chodzi?

Gorgona szepcze do mnie przypominającym syrop, syczącym głosem:

- Chciałabym przestrzec przed podejmowaniem pochopnych decyzji, Wasza Wysokość.

- Ale nie mogę jej tak zostawić! Była jedną z nas!

- Dziewczyna dokonała wyboru, a teraz musi zaakceptować konsekwencje. Może wybrać Krainę Zimy albo inną drogę. Nie musi się zdeprawować.

Spoglądam na Pippę, która rozdziera żdźbła trawy równo na połowę. Skórę ma bladą, ale na policzkach widać rumieńce od płaczu. Wygląda jak zagubione jagnię.

- Pip nie ma talentu do podejmowania decyzji – wyjaśniam, czując, że do moich oczu znów cisną się łzy.

- Czas więc, by się tego nauczyła – orzeka gorgona.

Zachowuje się, jakby była moją matką, czym przypomina mi pannę Moore czy McCleethy. Dość mam ludzi, którzy mu dyktują, co mam robić, jak na przykład Tom, babcia, pani Nightwing. Tyle osób chciałoby mnie ciasno zasznurować swoimi dobrymi intencjami.

Moje łzy nie wzruszają gorgony.

- Współczucie może być błogosławieństwem lub przekleństwem. Uważaj, byś nie wpadła przez nie w pułapkę. To jej bitwa, nie twoja.

- Jesteś zdecydowanie zbyt bezwzględna. Nic dziwnego, że zostałam ostatnią przedstawicielką swojego gatunku – odpowiadam.

Natychmiast tego żałuję. Ale szkoda się dokonała. Coś na kształt bólu przemyka po zazwyczaj nieprzeniknionej twarzy gorgony. Wężę leżą spokojnie, ocierając się o jej policzki, niczym dzieci szukające pocieszenia.

- Tak się nie robi – mówi w końcu.

- Tak się nie robiło. Wszystko się zmienia, a teraz gdy mam moc, zamierzam wprowadzać własne zasady – oznajmiam.

Gorgona bardzo długo wpatruje się w moją twarz. W końcu zamyka oczy, odcinając się od mego widoku.

- Rób, jak chcesz.

Obraziłam ją. Ale jej zranionymi uczuciami będę musiała zająć się później, teraz pragnę pomóc Pippie. Znosi się płaczem wyciągnięta na brzegu, mocno zaciskając w drobnych dłoniach zmięte żdźbła trawy. Nagle siada z zawziętą miną.

- Wszystkie sobie pójdziecie. Na tańce i przyjęcia, do mężów i dzieci. Znajdziecie szczęście, a ja będę tu tkwiła już zawsze, w towarzystwie tych potwornych dziewcząt z fabryki, które nigdy nie były nawet z wizytą czy na podwieczorku.

Zapada się w sobie i zaczyna się kołysać jak małe dziecko. Nie mogę znieść jej bólu, a przede wszystkim swojego poczucia winy za to, że sprowadziłam ją do międzyświata – i za to, że nie potrafię jej teraz pomóc. Zrobiłabym wszystko, powiedziałabym wszystko, żeby ją stąd wydostać.

- Pip, cii – odzywam się. – Podaj mi rękę.

- P-po co? – czka.

- Zaufaj mi.

Dłonie ma zimne i mokre, ale trzymam je mocno. Czuję, jak magia wypływa ze mnie ostrym szarpnięciem, jak zawsze. Przez kilka sekund jesteśmy ze sobą zjednoczone. Widzę jej

wspomnienia i emocje jak własne, gdy przesuwa ją się szybko niczym widok za oknem pociągu. Młoda Pip przy pianinie posłusznie ćwiczy gamy. Pippa podaje się matce, która czesze ją niezbyt delikatnie, ale za to włosy z każdym pociągnięciem szczotki lśnią coraz piękniej. Pippa w Spence, bezwzględnie podporządkowuje się Fee, która wie lepiej, kiedy śmiać się z żartu, a kiedy rozmyślnie kogoś zranić. Całe życie robiła, co jej kazano, bez żadnych sprzeciwów. Zbuntowała się jedynie raz, wtedy gdy zjadła garść jagód, przez co musi trwać zagubiona w obcym, nieprzewidywalnym świecie. Czuję jej radość, smutek, strach, dumę, tęsknotę. Miga mi twarz Fee, złocista w świetle zachodzącego słońca. Czuję bolesną tęsknotę Pippy za naszą przyjaciółką. Nagle uśmiecha się z zachwytem. Zmienia się na moich oczach skąpiana w iskierkach białego światła.

- Pamiętam... Retę, jaka cudowna jest ta moc! Zmienię się!

Mocno zamyka oczy i zaciska wargi w szalonej determinacji. Powoli jej policzki nabierają różowej barwy, a loki robią się gęste i czarne. Uśmiech odzyskuje dawny blask. Tylko oczy pozostają takie same. Wciąż przechodzą od fioletu do tej niepokojącej niebieskawej bieli.

- Jak wyglądam? – pyta.

- Pięknie.

Zarzuca mi ramiona na szyję, przewracając mnie na trawę. Czasami zachowuje się jak dziecko, ale chyba dlatego właśnie ją kochamy.

- Och, Gemmo, jesteś prawdziwą przyjaciółką. Dziękuję ci – mruczy w moje włosy. – Boże, będę musiała coś zrobić z tą sukienką! – Wybuchła śmiechem.

To znowu ta sama nieznośna Pippa co zawsze, ale choć raz w życiu cieszę się z tego.

- Czy myślałaś kiedyś, że będziesz taka potężna, Gemmo? Czy to nie cudowne? Pomyśl, możesz zrobić, cokolwiek zechcesz.

- Chyba tak – odpowiadam łagodnie.

- To twoje przeznaczenie! Urodziłaś się do wielkich czynów!

To zdanie przyprawia mnie o rumieniec, ale udaję, że uważam je za nonsens. Jednak tak naprawdę zapiszę je głęboko w sercu. Zaczynam sobie uświadamiać, że chcę się czuć wyjątkowa. Że pragnę odcisnąć swój ślad na świecie. I nie chciałabym musieć za to przeproszać.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Rozstaję się z Pippą na polu maków.

- Niedługo się zobaczymy, kochana przyjaciółko. I nie martw się, dochowam tajemnicy. Powiem, że ta zmiana we mnie zaszła samoistnie. To cud.

- Cud – wtóruję jej, starając się odsunąć od siebie obawy. Przecież nie mogę wiecznie obdarzać Pippy mocą.

Macha ręką i przesyła mi całusa, a potem odbiega w stronę Krainy Granicznej.

- Gemmo...

- Kto to powiedział? – Okręcam się, ale nikogo nie ma w pobliżu.

Znów słyszę ten głos, jak ciche wołanie na wietrze.

- Gemmo...

Spoglądam w stronę Grot Westchnień, gdzie znajdują się Świątynia i studnia wieczności. Muszę wiedzieć.

Droga na szczyt góry jest dłuższa, niż to zapamiętałam. Kurz osiada na moich nogach. Gdy przechodzę przez tęczę z kolorowego dymu, Asha, przywódczyni Niedotykalnych, czeka na mnie, jakby wiedziała, że przyjdę. Wiatr unosi jej sari, ukazując zniekształcone, pokryte pęcherzami nogi. Staram się nie gapić na nią ani na pozostałych Niedotykalnych, nazywanych również Hajinami, ale jest to trudne. Wszystkich ich oszpeciła choroba. Przez nią są napiętnowani w międzyświecie i uważani za gorszych od niewolników.

Asha wita mnie tak jak zawsze – lekkim skinieniem głowy, z dłońmi złożonymi jak do modlitwy.

- Witaj, pani Nadziejo.

Odwzajemniam pozdrowienie, a ona wprowadza mnie do jaskini. Dwaj Hajini wnoszą kosze pełne czerwonych maków zebranych na polach poniżej. Sortują je, wybierając tylko najładniejsze, które następnie ważą na wielkiej wadze, po czym wrzucają do kadzielnic. Gdy przechodzę, Niedotykalni witają mnie ciepło, oferując kwiaty i uśmiech.

- Przyszedłś oddać magię Świątyni? – pyta Asha.

- Jeszcze nie, ale zrobię to niebawem – zapewniam ją.

Asha kłania się bez uśmiechu, po czym poznaję, że mi nie wierzy.

- Jak Hajini mogą ci pomóc?

- Chciałabym podejść do studni wieczności.

- Chcesz stawić czoło swym lękom?

- Muszę raczej uciszyć swe lęki – odpowiadam.

Powoli kręci głową.

- To nie takie łatwe. Możesz wejść.

Ściana wody oddziela mnie od tego, co znajduje się w środku. Muszę tylko przejść przez nią, a poznam prawdę. Usta mam zupełnie suche ze strachu. Zwilżam je językiem i próbuję się uspokoić. Wstrzymuję oddech, przechodzę przez wodną zasłonę i wkraczam do uświęconego serca Świątyni.

Na samym środku stoi studnia wieczności. Jej głębokie wody nie wydają żadnego dźwięku. Podchodzę do niej z sercem łomoczącym w piersi, tak blisko, że mogę dotknąć palcami szorstkiej cembrowiny. Ledwie oddycha. Język przykleja mi się do podniebienia. Mocno chwytam krawędź obmurowania i zaglądam do środka. Woda zamieniła się w lód, na którego powierzchni odbija się moja twarz. Widzę jej kontury.

Nagle pod lodem pojawia się oblicze kobiety, a ja przerażona odskakuję w tył. Jej rysy wyłaniają się z mrocznej głębiny studni. Oczy i usta ma zamknięte, jakby była martwa, a jej skóra jest wyprana z wszelkiego koloru. Włosy unoszą się na wodzie pod lodem niczym promienie ciemnego słońca.

Niespodziewanie Kirke otwiera oczy.

- Gemmo... przyszłaś.

Cofam się jeszcze o krok, potrząsając głową. Czuję ucisk w żołądku. Chciałabym wymiotować, ale strach mi na to nie pozwala.

- Pani... nie żyje – szepczę. – Zabiłam panią.

- Nie, ja żyję – jej głos brzmi jak zdławiony Szpet. – Gdy przywiązałaś magię do siebie, uwięziłaś mnie tu. Umrę, kiedy oddasz magię.

- I cieszę się z tego – dukam, idąc szybko w stronę wodnej ściany, która oddziela to potworne miejsce od Grot Westchnień.

Upiorny głos Kirke odbija się echem po jaskini, brzmiąc jak pomruki demonów.

- Zakon spiskuje przeciwko tobie. Chce przejąć międzyświat bez ciebie.

- Kłamie pani – odpowiadam, cała drżąc.

- Zapominasz, Gemmo, że przez jakiś czas byłam jedną z nich. Zrobią wszystko, żeby odzyskać władzę. Nie możesz im ufać.

- To pani nie mogę ufać!

- Ja nie zabiłam Nell Hawkins – wspomina dziewczynę, której krew plami moje ręce.

- Nie dała mi pani wyboru! – Ale jest już za późno. Znalazła bolesne miejsce i celnie w nie uderzyła.

- Zawsze ma się wybór, Gemmo. Póki jest to możliwe, mogłabym cię nauczyć, jak można okiełznać moc, jak nakłonić ją do posłuszeństwa. Chcesz, żeby to ona cię prowadziła, czy chcesz nad nią panować?

Ostrożnie zbliżam się do studni.

- Moja matka mogła mnie tego nauczyć w odpowiednim czasie. Ale nie miała na to szansy, bo pani ją zabiła.

- Sama się zabiła.

- Żeby ochronić duszę przed panią i tym potworem z Krainy Zimy, tropicielem! Nie chciała zostać zdeprawowana! Ja postąpiłabym tak samo.

- A ja nie. Za córkę taką jak ty walczyłabym do ostatniego tchnienia. Ale Mary nigdy nie była zawołaną wojowniczką, w przeciwieństwie do ciebie.

- Nie ma pani prawa wypowiadać opinii o mojej mamie – warczę.

Zerkam na nią szybko i przez chwilę widzę w jej twarzy ślad tego, kim niegdyś była, ślad mojej dawnej nauczycielki, panny Moore. Ale Kirke odzywa się i dreszcz przebiega mi po plecach.

- Gemmo, nie musisz się mnie obawiać. Nigdy bym cię nie skrzywdziła, za to nadal chcę ci pomóc. W zamian proszę jedynie o to, bym znowu mogła zakosztować magii, jeszcze tylko raz, zanim umrę.

Jej słowa przez moment budzą we mnie wątpliwości. Ale jej nie wolno ufać. To tylko podstęp, żeby zdobyć władzę. Nie zmieniła się.

- Odchodzę.

- Związał się spisek. Nie wyobrażasz sobie, na jakie narażasz się niebezpieczeństwo. Nie możesz ufać Zakonowi, tylko ja mogę ci pomóc.

Źle zrobiłam, przychodząc tu.

- Nic pani ode mnie nie dostanie. Jeśli o mnie chodzi, może sobie pani tu gnić.

Zanurza się w cienistej wodzie i ostatnie, co widzę, zanim zupełnie znika, to jedna błada dłoń, która zdaje się sięgać w moim kierunku.

- Wrócisz do mnie – szepcze głosem równie zimnym jak lodowata woda. – Będiesz musiała, gdy nie zostanie już nikt, komu będziesz mogła zaufać.

*

- Znalazłaś to, czego szukałaś, pani Nadziejo? – pyta Asha, kiedy wracam do Grot Westchnień.

- Tak – potwierdzam z goryczą. – Wiem wszystko, co chciałam wiedzieć.

Asha prowadzi mnie korytarzem pokrytym wyblakłymi freskami do jaskini, którą pamiętam z poprzednich wizyt. Jej ściany są ozdobione płaskorzeźbami ponętnych kobiet i zmysłowych mężczyzn. Przyciągają mój wzrok, choć rumienię się na widok ich nagości. Dostrzegam coś, czego nie zauważyłam wcześniej. To wizerunek dwóch złączonych dłoni w środku koła. Wydaje mi się znajomy, choć nie potrafię wytłumaczyć dlaczego, jak coś zapamiętanego ze snu. Kamienie zdają się mówić do mnie: *Oto miejsce snów dla tych, którzy chcą widzieć. Umieście dłonie w środku kręgu i zacznijcie snić.*

- Słyszałaś to? – pytam.

Asha uśmiecha się.

- To szczególne miejsce. Tutaj członkinie Zakonu i Rakshana przychodzili jako kochankowie.

To słowo wywołuje na mych policzkach kolejny ognisty rumieniec, który nie chce zniknąć.

- Kładli razem dłonie w środku koła, by móc wzajemnie odwiedzać swoje sny. To budowało więź, której nie można był zerwać. Koło symbolizuje wieczną miłość, gdyż nie ma początku ani końca. Rozumiesz?

- Tak – odpowiadam, przesuwając palcami po płaskorzeźbie.

- Przychodzili tu sprawdzać wzajemne oddanie. Jeśli nie potrafili wejść do swoich snów, nie byli sobie przeznaczeni jako kochankowie.

Asha prowadzi mnie dalej kolorowym świątynnym korytarzem. Czekam, by zadała mi pytanie o magię i przymierze, ale nie robi tego.

- Naprawdę zamierzam stworzyć przymierze i przywiązać magię do nas wszystkich – zapewniam bez zachęty. – Ale najpierw muszę się zająć pewnymi sprawami w moim świecie.

Asha tylko się uśmiecha.

- Podzielę się magią. Masz moje słowo – dodaję.

Patrzy, jak odchodzę.

- Oczywiście, pani Nadziejo.

Idę sama przez makowe pole, a potem po piaszczystej ścieżce ukrytej pod zielonym, koronkowym baldachimem z wierzb. Ich delikatne listki muskają ziemię z przyjemnym szelestem. Oddycham głęboko i próbuję oczyścić umysł, ale okazuje się, że nie potrafię. Ostrzeżenie Kirke zagnieździło się w nim na dobre. Nie powinnam była tam przychodzić. Drugi raz nie popełnię tego błędu. A Pippa? Może istnieje jakiś powód, dla którego nie mogła przejść na drugą stronę. Może nadal jest szansa, żeby ją uratować. Ta myśl sprawia, że idzie mi się trochę lżej. Prawie docieram do końca alei, gdy w oddali słyszę tętent końskich kopyt.

Przez zieloną zastłonę z wierzbowych liści spostrzegam błysk bieli. Jeden koń? Dziesięć? Mają jeźdźców? Ilu? Wiatr porusza liśćmi i nic już nie widzę. Ale słyszę, że wciąż się zbliżają. Zakasuję koszulę nocną i biegnę najszybciej, jak umiem, mocno uderzając piętami w twardą ziemię. Prześlizguję się pomiędzy dwoma drzewami i wypadam na pole pszenicy, rozgarniając rękami szeleszczące kłosa. Nadal słyszę dudnienie końskich kopy. Moje serce bije do rytmu: *Nie oglądaj się. Nie zatrzymuj się. Naprzód, naprzód, naprzód.*

Jestem już prawie przy posągu bogini o trzech twarzach, który oznacza zejście do sekretnych drzwi. Głośno łapiąc oddech, skręcam za róg. Lawiruję wśród kamieni strażniczych z wizerunkami czujnych kobiet. Na wznoszącym się przede mną omszałym wzgórzu nie ma śladu drzwi. Za to z tyłu słychać równomierny tętent kopyt niewidocznego konia z jeźdźcem. Rzucam się w stronę wzgórza. *Otwórz się, otwórz, otwórz...*

Pojawiają się drzwi, przechodzę przez nie i dźwięk cichnie. Biegnę przez korytarz lśniący jak robaczki świętojańskie i wypadam na trawnik. Światło gaśnie, a drzwi znikają, jakby nigdy ich tam nie było.

Siedzące na dachu Spence gargulce mają na wszystko baczenie. Z grzbietami zalanymi księżycowym światłem wydają się niemalże żywe, jakby mogły rozwinąć skrzydła i unieść się w powietrze.

Czuję w palcach mrowienie, które po chwili zaczyna krążyć w moich żyłach z nieopohamowaną mocą. Magia jest silna. Gna jak dzikie, swobodne zwierzę. Ogarnia mnie panika. Ta moc mnie strawi, jeśli nie znajdę dla niej ujścia.

Zataczając się, idę do ogródka różanego i wyciągam ręce nad uśpionymi pączkami. Tam gdzie kładę dłonie, kwiaty pyszną się symfonią barw, jakiej w życiu nie widziałam – głębokie czerwienie, ogniste różowości, kremowa biel i żółcienie tak jasne jak słońce w lecie. Gdy kończę, wszystkie róże są w pełni rozkwitu. Ja również, gdyż czuję się wspaniale – silna i pełna życia. Nowo odnaleziona radość wybucha we mnie pięknymi kolorami.

- Ja to zrobiłam – mówię, przyglądając się własnym dłoniom, jakby nie należały do mnie.

Ale należą. Rozbudziłam nimi róże w moim świecie. Z taką mocą mogę zmienić wszystko, co zmienić należy – dla mnie, dla Felicyty i dla Ann. A gdy już zapewnimy sobie bezpieczną przyszłość, zawrzemy sojusz w międzyświecie.

Magia popycha mnie w stronę Wschodniego Skrzydła. Przykładam dłoń do w połowie wybudowanej baszty i czuję, jak przepływa przeze mnie energia, jakbym stanowiła jedność z tym, co mnie otacza. Nagle ziemia się rozświecła. Pojawiają się na niej linie przypominające ścieżki na mapie. Jedna prowadzi dalej za wzgórze do obozu robotników. Inna wije się przez las w kierunku kaplicy. Trzecia znika w pobliżu starych jaskiń, gdzie po raz pierwszy odważyliśmy się wejść do międzyświata. Ale najjaśniej świeci tam, gdzie stoję. Czas zwalnia bieg. Światło przesącza się wokół krawędzi sekretnych drzwi. Czuję, jak mnie przyciągają. Przykładam do nich rękę i moje ciało porywa fala energii.

Obrazy śmigają przez mój umysł za szybko, bym mogła je pochwycić. Pozostają jedynie skrawki: amulet Eugenii rzucony w ręce mojej mamy, czarny piasek niesiony wiatrem przez urwiste góry, piękne, bezlistne drzewo.

Nagle odzyskuję wolność i padam na ziemię. W panującej wokół ciszy słyhać tylko szybkie bicie mojego serca.

Nadchodzi świt. Różowy blask rozpełza się po szczytach drzew, obwieszczając nadejście nowego poranka i nowej mnie.

AKT II

POŁUDNIE

Trzeba jeszcze mieć w sobie chaos,
aby móc zrodzić tańczącą gwiazdę.

FRIEDRICH NIETZSCHE

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Teraz gdy wiosna wydaje się czymś więcej niż tylko obietnicą bałamutnego zalotnika, a dni stają się cieplejsze, niosą zapewnienie, że zima już ostatecznie uciekła, społeczeństwo angielskie świętuje tę szczęśliwą odmianą, urządzając jarmarki. Następnego dnia po moich odwiedzinach u Pipy, pani Nightwing i mademoiselle LeFarge wsadzają nas do pociągu. Paplamy z ożywieniem, siedząc w brzuchu tego wielkiego, stalowego smoka, który pędzi przez soczyście zielony krajobraz, wypuszczając długi pióropusz czarnego, gęstego dymu, pozostawiający na naszych spódnicach i rękawiczkach plamki sadzy. Trochę trwa, zanim udaje mi się poprawić zły nastrój Felicyty, ale obiecuję jej, że niezawodnie wybierzemy się dzisiaj do międzyświata, więc w końcu wszystko idzie w niepamięć. A kiedy Fee mi wybacza, wkrótce robi to również Ann.

Wysiadamy w małym miasteczku i dźwigając kosze piknikowe, wędrujemy w wesołej kompanii wieśniaków, farmerów, służących na wychodnym, dokazujących dzieci oraz mężczyzn szukających pracy, aż w końcu docieramy na wielką łąkę, na której odbywa się jarmark.

Targ ciągnie się ponad pół kilometra, a każdy stragan oferuje inną pokusę – bochenki chrupiącego chleba, mleko z warstwą gęstej śmietanki, śliczne czepki i buty. Przyglądamy się wszystkiemu tęsknie, pozwalając sobie na kęs ostrego cheddaru czy przymierzenie nowego szala przed lustrem. Ludzie włożyli najlepsze niedzielne ubrania w nadziei na popołudnie pełne tańców i zabawy. Nawet pani Nightwing pozwala sobie popatrzeć na intrygujące przedstawienie, jakim jest walka kogutów.

W roku kilku mężczyzn ustawiło się w kolejce, by zaoferować swoje usługi jako kowale albo pasterze. Obok stoi nawet kapitan żeglugi, który zachęca młodzieńców do kariery marynarza, obiecując strawę, napitek i morskie przygody. Umowy pieczętuje się podpisem, uściskiem dłoni i pensum na dowód zawarcia kontraktu.

Przyszli tu też farmerzy z zamiarem kupienia świeżego inwentarza. Oblegają stanowiska z owcami i końmi, słuchając handlarzy zachwalających swój towar.

- Nie znajdziecie lepszej, panowie. To wam mogę obiecać! – mężczyzna w skórzanym fartuchu i wysokich butach przekonuje dwóch klientów oglądających jego cenną owcę.

Farmerzy przesuwają rękami po bokach zwierzęcia, które beczy głośno, moim zdaniem w wyrazie skrajnej udreki.

- Mnie też by się to nie podobało – komentuję pod nosem. – Okropnie niegrzeczne zachowanie.

Ogólnie biorąc, jest to hałaśliwa, wesoła impreza, z tymi wszystkimi zwierzętami i ludźmi, i z żonami wieśniaków wołającymi: „Najlepszy ser w Anglii! Dżem jeżynowy, słodki jak pocałunek mamuśki! Tłusta gęś, idealna na kolację wielkanocną!”.

Po południu zasiadamy do podwieczorku na brzegu rzeki, gdzie zebrali się widzowie, aby oglądać zawody wioślarskie. Brigid zapakowała dla nas pyszny posiłek złożony z gotowanych jaj, ciemnego chleba i masła oraz kruchych ciastek z porzeczkami. Ann i ja hojnie smarujemy grube kromki chleba masłem i dżemem, podczas gdy Felicyty zabiera się do ciastek.

- Dostałam list od matki – mówi, radośnie pochłaniając deser.

- Zazwyczaj nie poprawia ci to nastroju – zauważam.

- Bo nie zawsze otrzymuję takie ciekawe propozycje – rzuca Fee tajemniczo.

- No dobra – poddaję się. – Mów.

- Mamy zobaczyć Lily Trimble w *Makbecie* w teatrze Drury Lane.

- Lily Trimble! – woła Ann z ustami pełnymi chleba. Szybko go przetyka, krzywiąc się. – Ależ ty masz szczęście!

Felicity oblizuje palce do czysta.

- Zabrałabym cię, ale matka nigdy by się na to nie zgodziła.

- Rozumiem – odpowiada Ann bezbarwnym tonem.

Pani Worthington nie zapomniła o oszustwie podczas Bożego Narodzenia, gdy Ann gościła u niej w domu. Nie ma znaczenia to, że wszystkie trzy przedstawiałyśmy ją jako córkę księcia. W oczach pani Worthington Felicity i mnie nic nie można zarzucić, bo padłyśmy ofiarą diabelskiego sprytu Ann. Zdziwiający, w co może uwierzyć matka wbrew wszelkim dowodom, byle tylko zachować twarz.

- Nie możesz pójść jako ty – odzywam się. – Ale możesz pójść jako ktoś inny.

Ann patrzy na mnie dziwnie.

- Magia – szepczę. – Nie rozumiesz? To będzie pierwsza szansa na odmianę naszego losu.

- Tuż pod nosem matki. – Felicity wesoło szczyrzy zęby. Już sama ta pokusa wystarczy, żeby chciała przystąpić do planu.

- A jeśli się nie uda? – niepokoje się Ann.

- Czy obawy powstrzymają nas przed spróbowaniem? – protestuję.

Felicity wyciąga rękę.

- Jestem za.

Ann podaje dłoń, a ja kładę swoją na samej górze.

- Za przyszłość.

Przez tłum gapiów przetacza się szept podniecenia, bo wioślarze pojawili się w zasięgu wzroku. Ludzie tłoczą się na brzegu, żeby zagrzewać ich do walki. My schodzimy pod urwisko, aby znaleźć się bliżej rzeki i skryć przed wzrokiem pani Nightwing. Trzy łodzie walczą o prowadzenie, a w ślad za nimi podążają słabsze załogi. Wioślarze podwinęli rękawy do łokci i gdy przepływają obok nas, widzimy, jak pracują ich ogorzałe ręce. Mocno trzymając wiosła, poruszają się równocześnie, w przód i w tył, w przód i w tył, niczym wielki silnik z mięśni i ścięgien. Ten ruch działa hipnotycznie i jesteśmy nim zupełnie zafascynowane.

- Ojej, chyba są całkiem silni, prawda? – pyta z rozmarzeniem Ann.

- Tak – potwierdzam. – Całkiem.

- Którego byś polubiła?

Przed oczami staje mi twarz Kartika, zupełnie nieproszona, więc potrząsam głową, żeby przegonić tę myśl, zanim popadnę w melancholię.

- Tego z przodu – odpowiadam, kiwając głową w stronę przystojnego mężczyzny o jasnych włosach i szerokiej piersi.

- Och, jest uroczy. Myślisz, że ma brata dla mnie? – dopytuje się Ann.

- Tak – potwierdzam. – I spędzicie miesiąc miodowy w Umbrii.

Ann śmieje się.

- Oczywiście, jest bogaty.

- Oczywiście – wtóruję jej. Zabawa wprawiła mnie w lepszy nastrój. *Masz za swoje, Kartiku.*

- A tobie który się podoba, Fee? – pyta Ann.

Felicity ledwie rzuca na nich okiem.

- Żaden.

- Mogłabyś chociaż spojrzeć – zrzędzi Ann.

- Jak sobie życzysz. – Felicity wskakuje na kamień. Skrzyżowawszy ramiona na piersi, krytycznie przygląda się mężczyznom. – Hm, ten łysieje. Tym z tyłu ledwie się puścił włos. Ten najbliżej nas... Boże mój, to uszy czy skrzydła?

Wybucham głośnym śmiechem. Ann chichocze, zakrywając usta.

- Ale *pièce de résistance* to ten po prawej – kontynuuje Fee, wskazując na mężczyznę o okrągłej, ciastowatej twarzy i dużym czerwonym nosie. – Jego wygląd może sprawić, iż oblubienica zacznie rozważać samobójstwo.

- Wcale nie jest taki straszny – protestuję ze śmiechem.

To kłamstwo. Ale zachowujemy się tak jak mężczyźni, którzy osądzają nas wyłącznie na podstawie urody. W oczach Felicity pojawia się złowieszczy błysk.

- Cóż, Gemmo, jakże mogłabym stanąć między tobą a twoją prawdziwą miłością? On chyba będzie twoim wybrankiem.

- Chyba nie!

- O, tak, będzie – kpi ze mnie Felicity. – Pomyśl o tych makabrycznych dzieciach, które wam się urodzą – wszystkie z wielkimi, grubymi, czerwonymi nochalami!

- Nie mogę znieść twojej zazdrości, Fee. Możesz go sobie wziąć. Proszę, wręcz nalegam!

- Och, nie. Nie, nie jestem warta takiego cudu. On musi być twój.

- Po moim trupie.

- Byłoby to oczywiście o wiele mniej bolesne. – Felicity podskakuje i macha chusteczką.

– Dzień dobry! – woła, zuchwała jak zawsze.

- Fee! – piszczę z zażenowaniem, ale jest już za późno. Zwróciłyśmy na siebie uwagę i nie mam dokąd uciec. Wioślarze zapomnieli o wyścigu, ich łódź dryfuje po rzece, a oni wołają i machają do nas, młodych dziewcząt pod urwiskiem.

- O pana chodzi, sir – mówi Fee, wskazując na nieszczęśnika. – Moja droga przyjaciółka jest zbyt nieśmiała, by wyznać swój podziw. Nie mam zatem wyjścia i muszę przemówić za nią.

- Felicity! – Aż mnie zatchnęło. Jednym susem chowam się za głazem.

Biedaczyna wstaje i ze smutkiem stwierdzam, że jest równie szeroki jak jego twarz – raczej nie mężczyzna, a baryłka w spodniach.

- Chętnie poznam panienkę, jeśli uprzejma zechce się pokazać.

- Słyszysz, Gemmo? Pan chce cię poznać. - Felicity ciągnie mnie za ramię i próbuje wydostać z kryjówki.

- Nie! – szepczę, wrywając się jej. Te wygłupy zaszły już za daleko.

- Obawiam się, że jest bardzo nieśmiała, sir. Może spróbuje pan ją jakoś przekonać?

Mężczyzna recytuje sonet, w którym porównuje mnie do letniego dzionka.

- Lecz tyś piękniejsza i bardziej powściągliwa – intonuje. W tej kwestii poważnie się myli. – Powiesz, jak się nazywasz, piękna dziewczeczko!

Niemal bez zastanowienia mówię:

- Panna Felicity Worthington z Mayfair.

- Córka admirała Worthingtona?

- We własnej osobie! – wołam.

Felicity szarpie mnie za ramię, zmuszając, żebym zamilkła. Dwaj inni wioślarze gnani chęcią, by z nami porozmawiać, wstają, zakłócając delikatną równowagę łodzi, i ku uciesze wszystkich zebranych z krzykiem wpadają do wody.

Zanosząc się śmiechem, jak oszalałe pędzimy wzdłuż urwiska, po czym ukrywamy się za wysokim żywopłotem. Nie możemy przestać się śmiać: gdy tylko milkniemy na chwilę, jedna z nas znów wybucha śmiechem i wszystko zaczyna się od nowa. W końcu padamy na trawę, czując jak pieści nas marcowy wiaterek, który przynosi wesołe odgłosy pobliskiej zabawy.

- To było okropne z naszej strony, co? – mówi Ann, nadal chichocząc.

- Ale wesołe – odpowiadam.

Chmury na niebie są puszyste i obiecujące. Do głosu Ann wkrada się nutka niepokoju.

- Myślicie, że Bóg nas ukarze za taką podłość?

Felicity łączy czubki palców wskazujących i kciuków na kształt rombu. Unosi dłonie, jakby chciała pochwycić słońce.

- Jeżeli Bóg nie ma nic lepszego do roboty niż karać dziewczęta za drobne psoty, to dla mnie jego istnienie zupełnie nie ma sensu.

- Felicity... - Ann już chce ją skarcić, ale powstrzymuje się. – Naprawdę myślicie, że możemy odmienić nasze życie za pomocą magii?

- Spróbujemy. Już czuje się bardziej żywa. Przebudzona. A wy?

- Gdy mam magię w sobie, czuję się, jakbym mogła wszystko.

- Wszystko – mruży cicho Fee. Układa się na boku, piękna i pełna wdzięku. – A co z Pip? Co możemy dla niej zrobić?

Przypomina mi się Pippa w wodzie, gdy rozpaczliwie młóciła ramionami, niezdolna do przejścia rzeki.

- Nie wiem. Nie wiem, czy magia może coś zmienić w jej wypadku. Powiadają...

- Powiadają! – parska szyderczo Felicity. – My p o w i a d a m y. Dysponujesz teraz całą magią, Gemmo. Z pewnością w międzyświecie też możemy dokonywać zmian. Dla Pippy również.

W mojej głowie rozbrzmiewają słowa gorgony: „Ona nie musi się zdeprawować”. Biedronka wyróciła się na grzbiet i bezradnie macha odnóżami. Pomagam jej stanąć normalnie, a ona przez chwilę drecze po trawie, by zaraz znów się wyrócić.

- Tak niewiele wiem o międzyświecie, magii i Zakonie. Tylko to, co mówią mi ludzie. Czas już, żebyśmy same się przekonały, co jest możliwe, a co nie – decyduję.

Felicity kiwa głową.

- Dobrze powiedziane.

Leżymy na plecach, a słońce ogrzewa nasze znużone zimą twarze, co samo w sobie stanowi pewną formę magii.

- Chciałabym, żeby tak było zawsze – wzdycha Ann.

- Być może jest to możliwe – odpowiadam.

Trzymamy się za ręce i oglądamy chmury – te szczęśliwe damy w skłębionych spódnicach, jak tańczą, dygają, a po chwili stają się czymś całkiem innym.

*

Po południu interesy na rynku zaczynają iść gorzej, więc część kupców pakuje swoje towary, Czas na tańce i zabawę. Żonglerzy budzą zachwyt dzieci sztuczkami przeczącymi prawu grawitacji. Mężczyźni flirtują z pokojówkami, cieszącymi się dniem wolnym od obowiązków, który zdradza im się dość rzadko. Trupa mimów w tunikach przedstawia widowisko o świętym Jerzym. Z pomalowanymi na czerwono twarzami stanowią wesołą, hałaśliwą gromadkę. Ponieważ zbliża się Wielkanoc, na drugim końcu łąki, obok kolejki chętnych do pracy, wystawiany jest moralitet. Pani Nightwing zabiera nas, żebyśmy go obejrzały, więc stoimy wśród ciżby, patrząc, jak pielgrzym wędruje przez czas najmroczniejszy dla swej duszy.

Kątem oka przy stanowisku kapitana okrętu dostrzegam Kartika i mój żołądek gwałtownie podskakuje.

- Felicity – szepczę, ciągnąc ją za rękaw – właśnie zauważyłam Kartika. Muszę z nim porozmawiać. Jeżeli Nightwing albo LeFarge będą mnie szukały, powiedz im, że poszłam obejrzeć walki kogutów.

- Ale...

- Proszę.

Przyjaciółka kiwa głową.

- Pospiesz się.

Szybko jak spłoszony zając przemykam przez tłum i dopadam Kartika, akurat gdy wymienia z kapitanem uścisk dłoni przypieczętowując ich umowę. Moje serce zamiera.

- Przepraszam, czy możemy zamienić słówko? – pytam.

Moja poufałość wywołuje konsternację kilku żon farmerów, które muszą się dziwić, jaką sprawę ma dobrze wychowana panienka do hinduskiego chłopaka.

Wskazuję wzrokiem kapitana.

- Wybierasz się na morze?

Kartik potwierdza skinieniem głowy.

- HMS Orlando. Za sześć tygodni wypływa z Bristolu, a ja będę na jego pokładzie.

- Ale... marynarz? Mówiłeś, że nie przepadasz za morzem – mówię i czuję nagle wielką gulę w gardle na wspomnienie pierwszej nocy, gdy rozmawialiśmy w kaplicy.

- Jeżeli to jest jedyne wyjście... - Wyjmuje z kieszeni znoszoną czerwoną chustkę, której wcześniej używaliśmy, żeby się porozumiewać. Umieszczałam ją w oknie sypialni, kiedy chciałam z nim porozmawiać, a on zawiązywał ją w bluszczu poniżej, jeśli potrzebował mnie. Przyciska chustkę do szyi.

- Kartiku, co się stało? – szepczę. – Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni w Londynie, przysięgałeś lojalność wobec mnie i sprzymierzenia.

- Tamten człowiek już nie istnieje – odpowiada, a jego oczy stają się mroczne.

- Czy to ma coś wspólnego z Rakshanami? A co z twoim zdaniem na temat przeznaczenia i...

- Nie wierzę już w przeznaczenie – przerywa mi Kartik drżącym głosem. – A o ile pamiętasz, nie jestem wysoko postawionym członkiem stowarzyszenia Rakshana. Nie mam swojego miejsca na świecie, więc morze w zupełności mi wystarczy.

- Dlaczego nie pójdziesz ze mną do międzyświata?

Odpowiada ledwo słyszalnie:

- Nie zobaczę międzyświata. Nigdy.

- Ale dlaczego?

Nie chce na mnie spojrzeć.

- Mam swoje powody.

- Więc mi je zdradź.

- To moje i wyłącznie moje powody. – Rozdziera chustkę na pół i wręcza mi jeden kawałek. – Masz, weź to. Niech to będzie pamiątka po mnie.

Wpatruję się w zmięty strzęp materiału. Chciałabym nim cisnąć w Kartika, odwrócić się i odejść. Zamiast tego mocno ściskam go w dłoni, nienawidząc siebie za tę słabość.

- Będzie z ciebie dobry marynarz – mówię kąśliwie.

*

Słońce prawie zachodzi, gdy wracamy do Spence obładowane paczkami z jarmarku. Ludzie pana Millera skończyli już pracę. Brudni i mokrzy od potu ładują narzędzia na wóz i myją się w wiadrze wody, które przyniosła pomywaczka. Brigid proponuje im zimną lemoniadę, którą wypijają łąpczywie. Pani Nightwing przeprowadza codzienną inspekcję w towarzystwie majstra.

- Panie Miller, psze pana! – woła jeden z robotników. – Idzie o ten stary kamlot w ziemi. Przełamał się równo na pół.

Pan Miller przykuca, żeby mu się przyjrzeć.

- Taaa – mówi, wycierając brudne dłonie o uda. – Nie wiem, jak to się stało, bo jest gruby i mocny. – Zwraca się do dyrektorki. – Same z nim kłopoty, psze pani. Mamy go usunąć?

- Bardzo proszę – zgadza się pani Nightwing, odprawiając robotników machnięciem ręki. Mężczyźni chwytają za łopaty i łomy, które wbijają w rozmięktą ziemię wokół kamienia. Wstrzymuje oddech, zastanawiając się, czy sekretne drzwi zostaną odkryte, czy też może działania budowniczych uniemożliwią nam ponowne wejście do międzyświata. Ale niewiele mogą zrobić, poza wiarą, że wszystko będzie w porządku. Mężczyźni wyciągają kawałki kamienia i składają je na wozie.

- Może uda się go gdzieś sprzedać – wyraża nadzieję Miller.

Z lasu niepewnym krokiem zmierza w naszą stronę matka Elena.

- Nie wolno wam tego robić! – woła, a ja uświadamiam sobie, że musiała obserwować wszystko z ukrycia.

Przyprawia mnie to o dreszcze, choć nie wiem dokładnie dlaczego. Matka Elena jest szalona, zawsze mówi dziwne rzeczy.

Jej słowa dotarły też do mężczyzn, którzy przestają kopać.

- Do roboty, panowie! – woła pan Miller. – Dość już mamy, Cyganicho, twojego bredzenia.

- Odejdź, matko – wtrąca się Brigid, ruszając w jej stronę.

Ale matka Elena nie czeka, sama się wycofuje.

- W dwie strony – mamrocze pod nosem. – W dwie strony. Sprowadzicie przekleństwo na nas wszystkich.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Nie musimy czekać do północy, żeby wymknąć się ze Spence. Wszyscy są tak wyczerpani po jarmarku, że chrapanie niesie się echem po korytarzach. Za to nasza trójka jest bardziej rozbudzona niż zwykle, podekscytowana oczekiwaniem. Zbieramy się w wielkim salonie. Jeszcze raz próbuje przywołać drzwi ze światła, ale nic z tego. Czuję, że zapał przyjaciółek znów powoli przeradza się w rozpacz, więc daję sobie spokój z tą drogą.

- Chodźmy – mówię, prowadząc je na trawnik przed szkołą.

Noc jest żywym, oddychającym istnieniem, obiecującym mnóstwo nowych możliwości. Bezchmurne niebo błyszczy tysiącami gwiazd, które zdają się nas ponaglać. Księżyc jest okrągły i zadowolony.

Wyciągam dłoń i w myślach wyczarowuję drzwi. Wyzwolona tym gestem energia sprawia, że moje ręka drży. Sekretny portal, migocząc, pojawia się przed nami, a ja z ulgą głośno wypuszczam powietrze.

- Na co czekamy? – pyta Fee, szczerząc radośnie zęby.

Ze śmiechem przepychamy się przez jaśniejące wejście. Wychodzimy w międzyświecie. Ramię w ramię ruszamy ścieżką między kamieniami, zachowując ostrożność i rozglądając się bacznie wokół, czy nie czyhają na nas jakieś kłopoty.

- Hej, istoty z Krainy Zimy – nuci Felicity, gdy się zbliżamy do Krainy Granicznej – wcale się was nie boimy.

Ann ucisza ją.

- Chyba nie p-powinnyśmy...

- Nie widzisz, że sobie poszły? Albo coś się z nimi stało. Gemma zabrała magię ze Świątyni i to był ich koniec.

- To dlaczego Pip... - Słowa zamierają mi na wargach.

- Bo ona do nich nie należy – ucina Fee.

Docieramy do Krainy Granicznej i ostrożnie przechodzimy przez kolczastą ścianę. Tym razem radzimy sobie lepiej i przedostajemy się na drugą stronę bez jednego zadrapania.

U-uu! U-uu!

Okrzyk roznosi się po zabarwionym na błękitno lesie. Bessie Timmons i Mae Sutter z kijami w dłoniach wypadają zza drzew, a Felicity aż podskakuje ze strachu.

- Nie musicie tego robić. To tylko my – mówi.

- Ostrożności nigdy dosyć – odpowiada Bessie.

- Wcale się nie przejmuję tym, że się spoufalają – szepcze do mnie Felicity. – Ani że są ordynarne.

Pippa macha do nas z zamkowej wieży.

- Nie idźcie nigdzie, już do was schodzę!

- Pip! – Felicity przypuszcza szturm na bramę.

Mercy otwiera ją i zaprasza nas do środka. Wygląda tu nieco porządniej niż poprzednio. Ktoś o to zadbał. Pozamiatano podłogi, rozpalono ogień. Zrobiło się niemalże przytulnie. Nawet pnącza nie wydają się takie straszne. Ich trujące, podobne do abażurów kwiaty ładnie odcinają się purpurą na tle popękanych kamiennych ścian.

Pippa wpada do pokoju.

- Widziałam was przy ścianie jeżyn! Liczyłam sekundy, zanim do nas dotarliście! Wyszły dokładnie dwieście trzydzieści dwie!

Suknia Pippy znów jest w strzępach, ale cała reszta nadal wygląda uroczo. Magia najwyraźniej jej nie opuściła, co wydaje się dziwne, bo gdy obdarowywałam Fee i Ann w najlepszym wypadku pozostawała przy nich przez kilka godzin.

- Wyglądasz promiennie – komentuje Felicity, obejmując przyjaciółkę.

Pippa posyła mi przebiegłe spojrzenie.

- Tak! To pewnie z radości, że znów jestem z przyjaciółkami. Czuję się przez to zupełnie inną dziewczyną. Gemmo, pomożesz mi przynieść drewno na rozpałkę?

- Oczywiście – odpowiadam, ignorując zdumiony wzrok Fee.

Pip prowadzi mnie przez przejście za gobelinem do starej kaplicy.

- Jak się czujesz? – pytam.

Jej usta drżą.

- A jak mogę się czuć? Jestem skazana na to, żeby tu zostać na zawsze. Zawsze mieć tyle samo lat, choć moje przyjaciółki dorosną i zapomną o mnie.

- Nie zapomnimy o tobie – uspokajam ją, ale brzmi to dość fałszywie.

Pippa kładzie dłoń na moim ramieniu.

- Gemmo, dałaś mi nadzieję, gdy znowu mogłam poczuć magię. Ale teraz ona znika. – Wskazuje gestem zniszczoną suknię. – Możesz dać mi więcej? Pomoże mi zachować dobry nastrój, gdy będę starała się pogodzić z losem. Proszę.

- Nie mogę tego robić wiecznie – protestuję z wahaniem, bojąc się tego, co się stanie, niezależnie od obranej przeze mnie drogi.

- Nie prosiłam, żebyś to robiła wiecznie. – Pippa wyjmuję z miski wyschniętą jagodę i zjada ją, śmiesznie się krzywiąc. – Poza tym to była twoja propozycja. Proszę, Gemmo. To tak wiele dla mnie znaczy. Jeżeli mam wytrzymać w tym miejscu...

Ociera łzy, a ja czuję się parszywie jako przyjaciółka. Skoro tyle gadam o zmienianiu świata, to dlaczego waham się, jeżeli chodzi o Pippę? Gdybym mogła odmienić jej los, czy nie udowodniłabym, że możliwy jest nowy świat, nowa nadzieja, bez żadnych granic?

- Podaj mi ręce – proszę, a Pippa mnie przytula.

- Nie zapomnę o tym – obiecuje, całując mnie w policzek, ale po chwili marszczy czoło. – Czy tym razem nie mogłabyś dać mi trochę więcej mocy, żeby wystarczyła na dłużej?

- Nie panuję nad nią aż tak – wyjaśniam – Dopiero ją poznaję.

Bierzemy się za ręce i kolejny raz łączy nas magiczna nić. Czuje to, co czuje Pippa. Widzę ją szczęśliwą w eleganckiej balowej sukni, jak tańczy wśród przyjaciółek, wiruje pod ramieniem Fee, śmieje się cały czas. Jednak pod spodem znajduje się coś innego, coś niepokojącego, więc szybko zrywam kontakt.

- Proszę bardzo – mówię z nadzieją, że nie usłyszy zdenerwowania w moim głosie.

Pip wyciąga ramiona nad głowę i oblizuje wargi, które już robią się bardziej różowe. Tym razem zmiana zachodzi w niej szybciej i jest głębsza. Jej oczy lśnią.

- Jestem piękna?

- Jesteś najpiękniejszą dziewczyną na świecie – odpowiadam zgodnie z prawdą.

- Och, Gemmo, dziękuję ci! – Znów mnie obejmuje jak pełne wdzięczności dziecko, a ja topnieję pod wpływem jej uroku.

- Nie ma za co.

Rozpromieniona Pippa wpada do głównego hallu tanecznym krokiem.

- Kochane!

Bessie wstaje, jakby Pip była jej najdroższą władczynią.

- Panienko Pip, wspaniale panienska wygląda.

- Bo czuję się wspaniale, Bessie. Właściwie jestem jak nowo narodzona. Patrzcie! – Unosi dłonie na wysokość szyi Bessie i nagle pojawia się w nich piękna kamea na aksamitnej wstążce.

- Nie do wiary! – woła Bessie.

- Tak, posiadam magię – odpowiada Pip, zerkając w moim kierunku. – Gemma mnie nią obdarowała. Teraz cała moc międzyświata należy do niej.

Felicity całuje mnie w policzek.

- Wiedziałam, że potraktujesz ją sprawiedliwie – szepcze.

Dziewczeta mają miliony pytań: Skąd się bierze magia? Jak ona działa? Czego może dokonać?

- Sama chciałabym wiedzieć więcej – wyznaję, potrząsając głową. – Czasami jest naprawdę potężna, innym razem zaś ledwie ją czuję. Wydaje się, że jej działanie nie trwa długo.

- Czy możesz nam ją dać? – pyta Mae z jaśniejącym wzrokiem, jakbym potrafiła odmienić jej los.

- Ja... raczej... - jąkam się. Odkrywam, że nie chcę oddawać za dużo magii. A jeśli moja moc zmaleje? A jeśli przez to nie będę mogła niczego zrobić w naszym świecie? Dziewczeta z fabryki nie spuszczaają ze mnie wzroku.

Bessie Timmons parska pogardliwie.

- Nie, pewno, że nie zechce się podzielić z takimi jak my.

- To nieprawda – protestuję, ale w sercu wiem, że ma trochę racji.

Bo niby dlaczego one też nie mogą mieć magii? Tylko dlatego, że pracowały w fabryce? Dlatego, że mówią z innym akcentem niż ja?

- Nie jesteśmy damami jak one, Bessie – pokornie wyjaśnia Wendy. – Nie powinniśmy tego oczekiwać.

- Nie wszyscy mogą tego żądać – dodaje Felicity, jakby zwracała się do służącej.

Pippa zrywa się z pokrytej sitowiem podłogi.

- Ja cię obdarzę, Mae. No, wyciągnij rękę.

- Nic nie czuję – wyznaje po chwili Mae, a ja się cieszę, że nikt nie wie, jaka mnie ogarnęła ulga. Podoba mi się, że wyłącznie ja kontroluję magię.

Na twarzy Pip odbija się rozczarowanie.

- Cóż, dopiero co ją otrzymałam. Gdybym mogła, kochana, obdarowałabym cię nią.

- Wiem, panienko Pip – mówi przygnębiona Mae, a mnie ogarnia wstyd.

Widząc koszmarnie oparzenia tych dziewcząt i ich pożałowania godny stan, jak mogę być tak bezduszną, by im bronić odrobiny szczęścia?

- No dobra. Skoro już tu jesteśmy, to wszystkie powinnyśmy się dobrze bawić, prawda? – decyduję i podaję rękę każdej z nich prócz Wendy, która twierdzi, że nie chce się bawić.

Wkrótce wszystkie jesteśmy przepelnione lśniąca mocą i zamkowe komnaty nie mogą pomieścić naszych radosnych okrzyków. Ściany trzeszczą i jęczą, gdy pnącza zacieśniają swój uścisk.

*

Felicity i Ann pokazują dziewczętom, jak zmienić łąchmany w przepyszne jedwabie z koralikami i haftami jak z najlepszych paryskich sklepów.

Wszyscy są weseli prócz Wendy, która kuca w kątku, przyciskając kolana do piersi.

Siadam koło niej na zimnej, porośniętej chwastami posadzce.

- Co się dzieje, Wendy?

- Boję się – odpowiada, jeszcze mocniej obejmując nogi.

- Czego?

- Że zbyttno będę za tym tęskniła, panienko. – Wyciera nos w rękaw. – Panienska powiedziała, że to nie trwa wiecznie, a jeśli już tego zasmakuję... - Łza toczy się po jej brudnym policzku. – Jeśli nie będę umiała wrócić do tego, co było przedtem?

- Pewna moja nauczycielka powiedziała kiedyś, że nigdy nie da się wrócić, można tylko iść naprzód – mówię, powtarzając słowa panny Moore z czasów, gdy była dla mnie jeszcze panną Moore, a nie Kirke. – Nie musisz tego robić.

Wendy kiwa głową.

- Może mogłabym dostać tylko troszeczkę? Nie za dużo?

Daję jej odrobinę magii, a gdy czuję, że zaczyna się wycofywać, przerywam kontakt.

- No więc, Wendy, co będzie pierwsze? Suknia balowa? Kolczyki z rubinami? Książę? –

Z trudem przełykam i dotykam palcami jej niewidzących oczu. – Albo... mogłabym...

- Tak, panienko, proszę.

Zakrywam jej oczy i przywołuję magię.

- Czy...? – zaczynam.

Wendy zaciska usta w wąską linię.

- Przykro mi, panienko.

- Nie widzisz?

Kręci głową.

- To by było zbyt piękne.

- Nic nigdy nie jest zbyt piękne – protestuję, ale jest mi ciężko na sercu. Napotkałam pierwsze ograniczenia w magii: wygląda na to, że nie potrafię leczyć. – Jest coś jeszcze? Cokolwiek?

- Pokażę panience – mówi, biorąc mnie za rękę.

Wyczuwając drogę po omacku, prowadzi mnie na zewnątrz, a potem wokół zamku na niewielki skrawek ściętej przez mróz trawy. Klęka, przyciskając do niej dłoń. Z ziemi wyrasta idealna róża o białych płatkach obrzeżonych krwistą czerwienią.

Wendy głęboko wciąga powietrze. Na jej ustach zakwita uśmiech.

- Wyrosła?

- Tak – potwierdzam. – Jest piękna.

- Mamusia sprzedawała róże w restauracji. Zawsze lubiłam ich zapach.

Uroczy brązowy zajaczek kica nieopodal, wężąc przy ziemi.

- Wendy – szepczę – nie ruszaj się.

Ścieram szron z kępy gorzkich ziół i podsuwam je zwierzakowi. Zaciekawiony daje susa bliżej, a ja biorę go na rękę.

- Masz, dotknij – mówię, podsuwając zajacę Wendy. Dziewczynka głaszcze jego futerko, a uśmiech rozjaśnia jej twarz. – Jak mu dasz na imię? – pytam.

- Nie, to panienka powinna go nazwać – protestuje.

- No dobrze. – Przyglądam się uważnie drgającemu noskowi. Jest w tym zwierzaku coś szlachetnego i wyniosłego. – Chyba będzie się nazywał Pan Darcy.

- Pan Darcy. Podoba mi się.

Robię dla niego klatkę z gałązek i pńczy oraz odrobiny magii, po czym wkładam malucha do środka. Wendy mocno przyciska klatkę do siebie, jakby zawierała jej najcenniejsze marzenie.

*

Choć trudno nam się pożegnać, wspólna noc dobiega końca, a my musimy wrócić do naszego świata. Przytulamy się i obiecujemy sobie spotkanie jutro, a Pippa i dziewczęta odprowadzają nas aż do jeżynowej ściany. Idziemy w kierunku sekretnych drzwi, kiedy ziemia pod naszymi stopami zaczyna drżeć od tętentu końskich kopyt.

- Uciekamy! Szybko! – wołam.

- Co to jest? – pyta Ann, ale biegniemy już i nie ma czasu na odpowiedź.

- Odcinają nam drogę! – krzyczę. – Do ogrodu!

Pędzimy z całych sił, umykając przed goniącymi nas jeźdźcami, ale nie mamy najmniejszych szans. Zostajemy osaczone, jeszcze zanim naszym oczom ukazuje się rzeka.

- Użyj magii – błaga Fee, ale jestem tak przestraszona, że nie potrafię zapanować nad mocą. Przeptywa przeze mnie falami, rzucając mnie na kolana.

Kilka wspaniałych centaurów wynurza się zza bujnych paproci. Prowadzi je ten o imieniu Kreostus. Nie przepada za śmiertelnikami, a za mną w szczególności. Krzyżuje muskularne ramiona na szerokiej piersi i mierzy mnie pogardliwym wzrokiem.

- Witaj, kapłanko. Zdaje się, że winna jesteś mojemu ludowi wizytę.

- Tak. Zamierzałam się niedługo u was pojawić – kłamię.

Kreostus pochyla się nade mną. Brwi ma gęste, za to pod szerokimi, okrutnie uśmiechniętymi ustami wyrasta tylko cienka kępka brody. Centaur pachnie ziemią i potem.

- Ależ oczywiście.

- Jestem gotowa, Wasza Wysokość. Zabiorę was teraz do Filona! – woła gorgona, pojawiając się w zasięgu wzroku, i wiem, że we wszystkim maczała palce. Chce, bym zawarła sojusz bez względu na wszystko.

- No i widzicie? Właśnie miałyśmy do was płynąć – mówię, rzucając gorgonie spojrzenie, które zupełnie ignoruje.

Opuszcza dla nas trap, wbijając wzrok w centaura.

Kreostus pozwala przejść Ann i Felicity, ale mnie zastępuje drogę. Przysuwa usta blisko mego ucha, a jego schrypnięty głos brzmi jak pomruk, który jeży mi włosy na karku.

- Jeśli nas zdradzisz, kapłanko, gorzko tego pożałujesz.

Gdy wchodzę na pokład, Felicity odciąga mnie na stronę.

- Musimy słuchać tego przerośniętego kozła?

Wzdycham.

- Jaki mamy wybór?

- A jeśli będą chcieli zawrzeć przymierze teraz, choć nie zdążyłyśmy niczego zmienić? – pyta Ann, a ja wiem, że martwi się o swój los.

- To tylko rozmowa – zapewniam przyjaciółki. – Nie zapadły jeszcze żadne decyzje. Magia nadal należy do nas.

- W porządku – uspokaja się Felicity. – Ale, proszę, nie bądźmy tam długo. I nie siądę obok tego całego Kreostusa. Jest odrażający.

*

Płyniemy po rzece, starając się nie zwracać uwagi na Kreostusa i jego centaury, które obserwują każdy nasz ruch, jakby obawiały się, że wyskoczymy za burtę. W końcu gorgona pokonuje znany nam zakręt prowadzący na wyspę leśnego ludu. Woal z lśniącej wody zakrywa ją przed niepowołanym wzrokiem. Dziób łodzi rozdziela zasłonę i przepływamy przez świeżą, chłodną mgiełkę, która pokrywa naszą skórę lśniącymi złotymi płatkami.

Mgła się rozprasza i naszym oczom ukazuje się zielony brzeg wyspy leśnych ludzi. Nasz ciężki statek rzuca kotwicę, a leśne dzieci przerywają zabawę i wychodzą popatrzeć na ten straszny dziw, którym jest gorgona. Ona zaś wyraźnie nie jest ucieszona ich uwagą. Gdy odwraca się w ich stronę, węże na jej głowie prężą się i syczą, a ich rozdwojone języki wyglądają jak czerwone smugi na tle wszechobecnej zieleni. Dzieci uciekają z krzykiem i chowają się między drzewami.

- To nie było miłe z twojej strony – upominam ją. Nadal jestem zła, że zdradziła naszą obecność Filonowi.

- Łachudry – odpowiada oślizgłym głosem. – Nie lepsze niż ropuchy.

- To tylko dzieci.

- Nie mam w sobie ani krztyny instynktu macierzyńskiego – mruczy. Po tych słowach wężę się uspokajają. Gorgona zamyka oczy i nie odzywa się więcej.

Latające światła, które zamieszkują las, dają nam znak, byśmy za nimi szły. Prowadzą nas wśród wysokich drzew pachnących bożonarodzeniowym porankiem. Intensywna woń sprawia, że zaczyna mi ciec z nosa. W końcu docieramy do wioski, w której stoją pokryte strzechą chaty. Kobieta o skórze barwy zmierzchu idzie z trudem, niosąc wiadra pełne wody połyskującej jak tęcza. Zauważa mój wzrok i zaczyna się zmieniać, aż po chwili okazuje się, że patrzę na własne odbicie.

- Gemmo! – woła Ann.

- Jak to zrobiłaś? – pytam kobietę. Dziwnie jest mieć kopię samej siebie.

Uśmiecha się – mój uśmiech na innej twarzy! – i transformuje po raz kolejny, stając się dokładną repliką Felicity, z takimi samymi pełnymi ustami i jasnoblond włosami. Ale Fee nie jest rozbawiona. Podnosi z ziemi kamień i bierze zamach.

- Masz natychmiast przestać albo pożałujesz!

Kobieta wślizguje się w swoją półcienistą powierzchowność. Z ostrym śmiechem podnosi lśniące wiadra i odchodzi.

Filon wita nas na skraju wioski. Stworzenie to nie jest ani mężczyzną, ani kobietą, lecz czymś pośrednim, o smukłym, szczupłym ciele i skórze w kolorze mrocznego fioletu. Dzisiaj ma na sobie płaszcz z soczystych wiosennych liści. Ich głęboki odcień podkreśla zieleń jego dużych oczu w kształcie migdałów.

- A więc wreszcie przyszedłaś, kapłanko. Zaczynałem już myśleć, że o nas zapomniałaś.

- Nie zapomniałam – mamroczę pod nosem.

- Cieszę się, że to słyszę, gdyż nienawistna byłaby nam myśl, że okazałaś się równie niemą jak kapłanki Zakonu, które znaleźliśmy przed tobą – odpowiada Filon, wymieniając spojrzenia z Kreostusem.

- Przyszedłam – mówię.

- Nie traćmy czasu na wymianę uprzejmości – burczy Kreostus.

Idziemy za pełnym wdzięku Filonem do niskiej, pokrytej strzechą chaty, w której spotkaliśmy się po raz pierwszy. Wygląda tak samo, jak poprzednio: ozdobne senniki leżą na podłodze pokrytej złotą słomą. W pokoju znajdują się jeszcze cztery centaury i sześciu leśnych ludzi. Nie widzę Ashy ani nikogo z Niedotykalnych, ale może dopiero tu idą.

Siadam na sienniku.

- Spotkałam kobietę, która na moich oczach zmieniała się we mnie. Jak to zrobiła?

- Ach, to Neela. – Filon nalewa czerwoną ciecz do srebrnego kielicha. – Ona jest zmiennokształtna.

- Zmiennokształtna? – powtarza Ann.

Ma kłopoty z utrzymaniem równowagi na materacu i przewraca się na mnie dwukrotnie, zanim udaje jej się usiąść w odpowiedniej pozycji.

- Kiedyś posiadaliśmy zdolność przyjmowania innych form. Dobrze nam służyła w waszym świecie. Mogliśmy się stawać wszystkimi fantazjami śmiertelników. Czasami śmiertelnicy postanawiali iść za nami do tego świata, a tu robiliśmy z nich nasze maskotki. Ale to nie odpowiadało Zakonowi i Rakshanom. – Filon opowiada bez wyraźnej skruchy czy wyrzutów sumienia.

- Wykradaliście śmiertelników z naszego świata – podsumowuję z przerażeniem.

Filon popija z kielicha.

- Śmiertelnicy mieli wybór. Decydowali się na to.

- Rzucaliście na nich urok!

W kącikach cienkich ust Filona czai się uśmiech.

- Postanawiali poddać się naszemu urokowi.

Filon jest naszym sprzymierzeńcem, ale ta świadomość okazuje się niepokojąca i zaczynam się zastanawiać, komu tak naprawdę złożyłam obietnicę.

- W wielu z nas ta umiejętność zanikła, gdyż była nieużywana. Ale w niektórych, takich jak Neela, pozostała.

Gdy to mówi, półmroczna kobieta wchodzi do namiotu. Przenosi wzrok z nas na Filona i Kreostusa, po czym mówi coś do tego pierwszego w ich języku. Filon odpowiada, a ona, spoglądając podejrzliwie w moją stronę, zajmuje miejsce obok Kreostusa. Kładzie rękę na jego plecach i gładzi miękkie futro.

Filon przemierza pomieszczenie dwoma długimi krokami i sadowi się w dużym fotelu wykonanym z palmowych liści. Zapala długą, cienką trzcinę i zaciąga się nią głęboko, dopóki jego oczy nie stają się miękkie i szkliste.

- Musimy omówić przyszłość międzyświata, kapłanko. Udzieliliśmy ci pomocy wtedy, gdy jej potrzebowałaś. A teraz oczekujemy zapłaty.

- Czas zawrzeć przymierze! – grzmi Kreostus. – Pójdziemy do Świątyni i podamy sobie ręce. Każdy z nas otrzyma część magii i będziemy się sami rządzić tak, jak uznamy to za stosowne.

- Ale trzeba też wziąć pod uwagę inne kwestie – zauważam, a świadomość, że porywali śmiertelników dla zabawy, potężnie mi ciąży.

- Jakie? – pyta Filon, unosząc brew.

- Na przykład Niedotykalnych – odpowiadam. – Gdzie oni są? Powinni tu być.

- Niedotykalni! – Neela splota. – Faj!

Filon wydycha dym i w chacie robi się mgliście.

- Posłałem wiadomość. Nie przyszli, czego się zresztą spodziewałem.

- Dlaczego? – chcę wiedzieć.

- Boją się zmian – wyjaśnia Filon. – Służą, o nic nie pytając.

- To tchórze! Zawsze byli niewolnikami Zakonu, chore ścierwa! Oczyszczyłbym z nich międzyświata, gdybym mógł – gorączkuje się Kreostus.

- Kreostusie – zwraca się do niego Filon karcącym tonem i podaje mu fajkę.

Ten krzywi się i odsuwa ją od siebie. Niezmieszany Filon pali dalej, aż cały pokój wypełnia się ostrym, korzennym zapachem, który mnie odurza.

- Jest wiele plemion w międzyświecie, kapłanko. Nigdy nie pogodzisz ich wszystkich.

- Skąd mamy wiedzieć, że w ogóle zawiadomiłeś Niedotykalnych o tym spotkaniu? – pyta Fee oskarżycielskim tonem.

Filon dmucha jej w twarz smugą dymu. Fee kaszle, po czym unosi głowę, żeby wchłonąć więcej.

- Macie tylko moje słowo – odpowiada Filon.

Niespokojny Kreostus przemierza pokój tam i z powrotem.

- Dlaczego mamy się dzielić z tymi plugawymi Niedotykalnymi? Szumowiny Zakony, kalekie tchórze! Zaslugują na swój los.

Neela siada obok Filona i przeczesuje palcami jedwabiste włosy stworza.

- Ona musi dowieść lojalność wobec nas. Powiedz jej, by zabrała nas do Świątyni teraz.

- Nie podam nikomu dłoni bez porozumienia z Ashą – odpowiadam. Dym rozwiązał mi język.

Kreostus warczy gniewnie. Kopie kopytem w stolik, który rozpada się na kawałki.

- Kolejna gra na zwłokę, Filonie. Kiedy w końcu zrozumiesz, że z tymi wiedźmami nie można wchodzić w układy?

- Zabiorą magię, a nas pominą – syczy Neela.

Kreostus wygląda, jakby chciał zetrzeć nas w proch.

- Powinniśmy odzyskać niezależność!

Neela obrzuca mnie gniewnym wzrokiem.

- Ona nas zdradzi tak jak pozostałe. Skąd mamy wiedzieć, że nie jest w zмовie z Zakonem?

- *Nim syatt!* – głos Filona grzmi, aż trzęsie się cała chata. Wszyscy się boją, a Kreostus nawet zwiesza głowę. Filon wypuszcza wielką chmurę dymu i zwraca na mnie kocie oczy. – Obiecałaś podzielić się z nami mocą, kapłanko. Cofasz swoje słowo?

- Nie, oczywiście, że nie – zaprzeczam, ale nie czuję już pewności. Obawiam się, że zaufałam za wcześnie i obiecałam zbyt wiele. – Proszę tylko o odrobinę czasu, żebym mogła lepiej zrozumieć międzyświata i swoje obowiązki.

Neela parska.

- Prosi o zwłokę, żeby spiskować przeciwko nam.

Kreostus zatrzymuje się blisko mnie. Jest potężny i onieśmielający.

- Mogę zaoferować czasowy udział w magii – proponuję, czując, że muszę ich jakoś udobruchać. – Dar będący symbolem dobrej wiary.

- Dar? – Kreostus prychnął, zbliżając twarz do mojej. – To nie to samo co posiadanie! Otrzymywać prezent nie znaczy posiadać! Czy mamy cię błagać o magię, tak jak błagaliśmy Zakon?

- Nie należę do Zakonu! – odpowiadam, całą drżąc.

W oczach Filona widać chłód.

- Tak mówisz. Ale coraz trudniej zauważyć różnicę.

- Przecież... chciałam tylko pomóc.

- Nie chcemy twojej pomocy! – złości się Neela. – Chcemy sprawiedliwego podziału, chcemy wreszcie sami sobą rządzić.

Filon wytrzymuje moje spojrzenie.

- Tym razem nie obejdziemy się smakiem, kapłanko. Rób, co musisz. Damy ci czas...

- Ależ, Filonie... - miota się Neela.

- Damy ci czas – powtarza Filon, patrząc na nią twardo. Neela prowokacyjnie staje u boku Kreostusa, obrzucając nas gniewnym wzrokiem. – Ale tym razem nie pozwolę się pominąć, kapłanko. Mam obowiązek wobec mego ludu. Wkrótce spotkamy się znowu, jako przyjaciele albo jako wrogowie.

*

- Chyba nie mówisz poważnie o zawarciu przymierza z tymi koszmarnymi stworzeniami? – pyta Fee, gdy wędrujemy wśród wysokich drzew w stronę brzegu i gorgony.

- A co mogę zrobić? Dałam im słowo. – Choć teraz tego żałuję. Myśli mam równie zamglone jak niebo i ruszam się powoli. Wdycham mocny zapach drzew, by oczyścić głowę z korzennego dymu Filona.

- Czy oni naprawdę uprowadzali śmiertelników? – pyta Ann.

To ten rodzaj makabrycznych faktów, które uwielbia kolekcjonować.

- Potwory – komentuje Felicity, ziewając. – Nie zasługują na udział w magii. Tylko by jej nadużywali.

Jesteśmy w kropce. Jeśli nie podam rąk Filonowi, zrobię sobie wrogów z leśnego ludu i plemion, które go wspierają. Natomiast jeśli podzielę się z nimi magią, mogą się okazać niegodni zaufania.

- Gemmo.

Od dawna nie słyszałam tego miękkiego głosu. Serce we mnie zamiera. Na ścieżce stoi moja mama w błękitnej sukni. Szeroko otwiera ramiona.

- Gemmo, kochanie.

- Mama? – szepczę. – Czy to ty?

Uśmiecha się promiennie, ale po chwili wybuchają śmiechem. Kształt zmienia się, przesuwa, staje czymś zupełnie nowym i po chwili patrzę na Neelę, która chichocze, zakrywając usta długimi, patykowatymi palcami.

- Gemmo, kochanie. – Głos mojej mamy wydobywa się z ust tej parszywej istoty.

- Dlaczego to zrobiłaś? – pytam gniewnie.

- Bo potrafię – odpowiada.

- Nie waż się nigdy więcej tego robić – warczę na nią.

- Bo co? – szydzi ze mnie.

Czuję w palcach mrowienie magii. W ciągu sekundy przepływa przeze mnie jak wezbrana rzeka i całe moje ciało trzęsie się niesione jej majestatyczną mocą.

- Gemmo! – Fee uspokajającym gestem obejmuje mnie za ramiona.

Nie mogę tego wstrzymać, muszę dać temu upust. Moja ręka spoczywa na barku Felicity i magia wpływa w nią bez ostrzeżenia i żadnej kontroli. Jej wygląd zmienia się jak z dotknięciem czarodziejskiej różdżki: najpierw jest królową, potem walkirią, w końcu wojowniczką w kolczudze. Opada na kolana w miękką trawę, z trudem łapiąc oddech.

- Fee! Nic ci nie jest? – Pochylam się nad nią, ale jej nie dotykam. Boję się.

- Nie – odpowiada ciekawym głosem, gdy ostatnia przemiana przetacza się przez nią i znów staje się sobą.

Słyszę, jak Neela śmieje się za moimi plecami.

- To dla ciebie za dużo, kapłanko. Sytuacja cię przerasta. Lepiej pozwól, by poradził sobie z nią ktoś bardziej wprawny. Z radością przejmę od ciebie to brzemię.

- Fee – odzywam się, ignorując Neelę – przepraszam. Nie mogłam nad tym zapanować.

Ann pomaga przyjaciółce wstać. Felicity przykładą dłoń do brzucha, jakby otrzymała cios.

- Tyle zmian w tak krótkim czasie - mówi słabo. – Nie byłam na nie przygotowana.

- Przepraszam – powtarzam i zarzucam sobie jej rękę na ramiona, żeby ją podtrzymać.

Neela zanosi się śmiechem, gdy chwiejnym krokiem zmierzamy w kierunku gorgony.

- Kapłanko! – woła za mną. Gdy się odwracam, okazuje się, że przybrała mój kształt. – Powiedz, jak będziesz walczyć, skoro jesteś ślepa?

*

- Jak się czujesz, Fee? – pytam, gdy idziemy przez podziemny korytarz oświetlony bladym poblaskiem.

- Lepiej. Spójrzcie! – Przekształca się w wojowniczkę. Jej zbroja lśni. – Mogę to nosić jako nowy mundurek szkolny?

- Chyba raczej nie.

Wychodzimy na trawnik. Wszystkie zmysły mam wyostrome: ktoś tu jest. Przykładam palce do ust, dając im znać, żeby zachowywały się cicho.

- O co chodzi? – szepcem pyta Ann.

Skradam się w stronę Wschodniego Skrzydła. Jakaś postać znika w cieniu, a mnie ogarnia przerażenie. Ktoś mógł nas widzieć!

- Ktokolwiek to był, już sobie poszedł – mówię. – Ale chodźmy do łóżek, zanim rzeczywiście zostaniemy przyłapani.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Następnego ranka pani Nightwing wzywa nas wszystkie do wielkiego salonu o zupełnie nieprawdopodobnej porze. Dziewczęta przychodzą w krzywo zapiętych mundurkach i z do połowy zaplecionymi warkoczami, trąc zaspane oczy. Ale żadne nie śmie ziewnąć. Dyrektorka nie zapraszałaby nas tak wcześnie na herbatę i pogaduszki. W powietrzu wisi awantura, szykuje się coś strasznego. Obawiam się, że ktoś rzeczywiście nas zauważył poprzedniej nocy.

- Mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z balem maskowym na naszą cześć – niepokoi się Elizabeth, ale Cecily ją ucisza.

Pięć minut później pani Nightwing wkracza do pokoju z ponurą miną, która sprawia, że zimny dreszcz przechodzi nam po plecach. Wysoko unosi brodę, ręce zakłada za siebie, a oczy ma przenikliwe jak lis.

- Zostało popełnione bardzo poważne wykroczenie. Takie zachowanie nie będzie tolerowane w tej szkole – przemawia. – Czy wiecie, o czym mówię?

Kręcimy głowami i zaprzeczamy bojaźliwie. Jest mi niedobrze ze strachu.

Dyrektorka przytłacza nas władczym wzrokiem.

- Kamienie ze Wschodniego Skrzydła zostały zbezczeszczone – mówi, akcentując każde słowo. – Ktoś wyrysował na nich dziwne znaki... krwią.

Przerażone westchnienia niosą się od dziewczęcia do dziewczęcia jak pożar w suchej kniei. Ogarnia nas równocześnie groza jak i uniesienie: Wschodnie Skrzydło! Krew! Sekretna zbrodnia! Będziemy miały o czym rozprawić przynajmniej przez tydzień.

- Proszę o ciszę! – woła pani Nightwing. – Czy ktoś wie cokolwiek o tym nikczemnym postępku? Jeżeli osłaniacie koleżankę swoim milczeniem, nie wyświadczacie jej przysługi.

Myślę o ostatniej nocy i o postaci w ciemnościach. Ale nie mogę powiedzieć o tym pani Nightwing, bo musiałabym wyjaśnić, dlaczego nie leżałam w łóżku.

- Nikt się nie zgłosi? – naciska dyrektorka. Milczymy. – Bardzo dobrze. Ponieważ nikt się nie przyznał, kara spadnie na was wszystkie. Spędzicie poranek z wiadrami i szczotkami, szorując kamienie, aż będą błyszcząły z czystości.

- Ale, proszę pani – głos Marthy wznosi się nad pomruk udręczonych szeptów – czy naprawdę musimy zmywać... krew?

- Obawiam się, że zemdleję – oświadcza Elizabeth, zalewając się łzami.

- Nie robi pani nic podobnego, Elizabeth Poole! – Lodowaty wzrok pani Nightwing natychmiast osusza łzy Elizabeth. – Zakończenie remontu Wschodniego Skrzydła jest bardzo istotne. Czekałyśmy na to od wielu lat i nikt nas nie może powstrzymać. Chyba chcemy, żeby Akademia Spence wyglądała jak najlepiej podczas balu maskowego?

- Tak, proszę pani – potwierdzamy.

- Pomyślcie, jaką dumę będziecie czuły, gdy przyjedziecie do szkoły za wiele lat, być może z własnymi córkami, i powiecie: „Byłam tu, gdy wznoszono te ściany”. Codziennie pan Miller i jego ludzie pracują w pocie czoła, żeby odbudować Wschodnie Skrzydło. Możecie się nad tym zastanowić, kiedy będziecie szorować kamienie.

*

- „Gdy przyjedziecie do szkoły z własnymi córkami” – szydzi Felicity. – Możecie być pewne, że ja nie przyjadę.

- Och, nie dotknę tego. To krew! – Elizabeth marszczy nosek. Wygląda na chorą.

Cecily szoruje mur małymi kółkami.

- Nie rozumiem, dlaczego wszystkie zostałyśmy ukarane.

- Już mnie bołą ręce – jęczy Martha.

- Ciii – mówi Felicity. – Posłuchajcie.

Pani Nightwing ostro przesłuchuje Brigid, podczas gdy nieopodal na trawniku stoi pan Miller z Ramonami założonymi na piersi.

- Czy ty to zrobiłaś, Brigid? Tylko proszę o szczerą odpowiedź.

- Nie, psze pani, słowo daję, przysięgam na własną głowę.

- Nie pozwolę straszyć dziewcząt znakami odczyniającymi urok, opowiadaniem o wrózkach i innych podobnych rzeczach.

- Tak, psze pani.

Pan Miller marszczy brwi.

- To ci Cyganie. Nie można im ufać. Im szybciej ich pani przegna, tym lepiej wszyscy będziemy spali. Wiem, że wy, damy, macie delikatne uczucia...

- Mogę pana zapewnić, panie Miller, że w moich uczuciach nie ma nic delikatnego – naskakuje na niego pani Nightwing.

- Tak czy siak, niech pani powie słówko, a moi ludzie rozprawią się z Cyganami.

Na twarzy naszej dyrektorki maluje się odraza.

- To nie będzie konieczne, panie Miller. Jestem pewna, że podobne psoty już się nie powtórzą. – Pani Nightwing patrzy na nas groźnie, a my szybko opuszczamy głowy i szorujemy z wielkim zapałem.

- Jak myślicie, kto to zrobił? – pyta Felicity.

- Wydaje mi się, że pan Miller ma rację: to Cyganie. Zezłościł się, że nie dostali pracy – snuje domysły Cecily.

- A czego można się spodziewać po takich jak oni? – wtóruje jej Elizabeth.

- To mogła być Brigid. Wiecie, jak jest dziwaczna, i te jej opowieści... - dodaje Martha.

- Nie wyobrażam sobie, by Brigid wychodziła w nocy z łóżka, żeby pisać po murach.

Bezustannie narzeka na plecy – przypominam im.

Cecily zanurza szczotkę w wiadrze z mętną, czerwonawą wodą.

- A jeśli to podstęp i ona naprawdę jest czarownicą?

- Dużo wie o wrózkach i innych takich – zauważa Martha, szeroko otwierając oczy.

To podejrzenie zaczyna je bawić.

Felicity spogląda Marcie w oczy i pochyla się w jej stronę.

- Kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że chleb smakował dziś jak dusze dzieci.

Zaraz zemdleję! – Przykłada rękę do czoła.

- Mówię poważnie, Felicity Worthington – obraża się Martha.

- Och, Martho, ty nigdy nie mówisz poważnie – ripostuje Fee.

- Ale po co ktoś mazał Wschodnie Skrzydło krwią? – pytam.

Cecily rozważa tę kwestię.

- Z zemsty. Żeby przestraszyć robotników.

- Albo przywołać złe duchy – podpowiada Martha.

- A jeśli to są znaki więdźmy albo... albo diabła – szepcze Elizabeth.

- Może to dla ochrony – odzywa się Ann.

Elizabeth parska pogardliwie.

- Dla ochrony? Przed czym?

- Przed złem – wyjaśnia Ann.

Cecily mruży oczy.

- A ty skąd to wiesz?

Ann uświadamia sobie nagle, że się wkopała.

- Ja... czytałam o podobnych historiach... w Biblii.

W oczach Cecily pojawia się twardy błysk.

- Ty to zrobiłaś, prawda?

Ann upuszcza szczotkę do wiadra, a brudna woda ochlapuje jej fartuch.

- N-nie. T-to nie ja.

- Nie możesz znieść tego, że jesteśmy szczęśliwe, że bywamy na przyjęciach i podwieczorkach, co? I dlatego chcesz nam wszystko zepsuć!

- N-nie. N-nie chcę. – Ann wyjmuje szczotkę i wraca do szorowania, ale coś tam sobie mruczy pod nosem.

Cecily odwraca ją twarzą do siebie.

- Co powiedziałaś?

- Przestań, Cecily – mówię.

Twarz Ann pokrywa się rumieńcem.

- N-nic.

- Co powiedziałaś? Chciałabym to usłyszeć.

- Ja również – przyłącza się do niej Martha.

- Och, Cecily, doprawdy! Zostaw ją w spokoju, dobrze? – wtrąca się Felicity.

- Mam prawo wiedzieć, co ktoś mówi za moimi plecami – oświadcza Cecily. – No, słucham, Ann Bradshaw. Powtórz to. Żądam, żebyś mi to powiedziała!

- Mówiłam, że pewnego dnia tego pożałujesz – szepcze Ann.

Cecily wybucha śmiechem.

- Ja pożałuję? A co ty, błagam, powiedz, możesz mi zrobić, Ann Bradshaw? Co ty byś mogła mi zrobić?

Ann, wpatrując się w ścianę, przesuwa szczotką w górę i w dół ciągle w tym samym miejscu.

- Chyba nic. Za miesiąc zajmiesz słusznie ci należne miejsce jako służąca. Bo nią właśnie jesteś. Czas już się z tym pogodzić.

*

Kończymy pracę, wylewamy obrzydliwą wodę z wiader i wleczeniemy się w stronę Spence, wyczerpane i brudne. Rozmowa schodzi na temat balu maskowego i przygotowanych kostiumów. Cecily oraz Elizabeth pragną być księżniczkami. Mają do wyboru rozmaite jedwabie i satyny, z których zostaną uszyte ich śliczne suknie. Fee upiera się, że pójdzie jako walkiria. Ja chciałabym wyglądać jak Elizabeth Bennet z powieści Jane Austen, ale Felicity stwierdza, że to byłby najnudniejszy kostium w historii balów maskowych, a poza tym i tak nikt by się nie domyślił, kim jestem.

- Powinnaś być powiedzieć Cecily, żeby wskoczyła do jeziora – mruczy pod nosem Ann.

- To czemu tego nie zrobiłaś? – pytam.

- A gdyby zasugerowała pani Nightwing, że to ja pomalowałam mur? A gdyby pani Nightwing jej uwierzyła?

- A gdyby, a gdyby – przedrzeźnia ją Fee z irytacją. – A gdybyś tak raz stawiała jej czoła?

- To one mają władzę – broni się słabo Ann.

- Bo im ją dajesz!

Zraniona Ann odwraca się od Felicity.

- Nie spodziewałam się, że zrozumiesz.

- Masz rację. Nigdy nie zrozumieję twojej gotowości, żeby się położyć i umrzeć – odpowiada Fee. – Nie mam dla ciebie współczucia, skoro nawet nie chcesz spróbować o siebie walczyć.

*

W szkole panuje niemalże wojskowa dyscyplina. Po francuskim następuje lekcja muzyki, a później smutny obiad złożony z gotowanego dorsza. Po południu odbywają się zajęcia z tańca. Uczymy się kadryla i walca. Ponieważ to jest dzień prania, zostajemy wysłane do pralni, żeby zanieść naszą pościel oraz ubrania praczce, przy okazji dając jej szylinga za fatywę. A potem przepisujemy zdania z powieści *Nicholas Nickleby* Dickensa, by doskonalić kaligrafię. Pani Nightwing przechadza się wzdłuż równych rzędów ławek, lustrując kształty liter, krytykując pętle i zawijasy, które jej zdaniem nie odpowiadają właściwy standardom. Jeżeli na kartce pojawi się kleks – a z powodu poobgryzanych stałówek i zmęczonych palców niemożliwe jest, by się nie pojawił – musimy całą stronę zaczynać od nowa. Gdy dyrektorka obwieszcza koniec zajęć, zezuję z wyczerpania i jestem pewna, że koszmarny skurcz w dłoni nigdy mi już nie przejdzie.

Zanim zapada wieczór, jesteśmy kompletnie wycieńczone. Nigdy nie czułam takiej radości na widok łóżka. Podciągam cienki koc pod brodę, a gdy moja głowa zapada się w poduszkę, odpływam w sny zawile jak labirynt.

Lawendowa dama kiwa na mnie pod osłoną londyńskiej mgły. Idę za nią do księgarni. Z furią zrzuca książki z półek, aż znajduje tę, której szuka. Otwiera ją i zaczyna rysować, pokrywając kartkę dziwnymi liniami i znakami, które przywodzą mi namysł mapę. Rysuje najszybciej, jak potrafi, ale przerywa jej odgłos podjeżdżającego powozu. Oczy damy robią się wielkie ze strachu. Okno skrzypi od mrozu. Zimna mgła wpełza przez szczeliny wokół drzwi, które otwierają się gwałtownie. Odrażający potwór głośno wciąga powietrze nosem. To tropiciel z Krainy Zimy.

- Ofiara... - warczy.

Budzę się gwałtownie i odkrywam, że zrzuciłam wszystkie książki z półki. Cała sterta leży na podłodze.

Ann zwraca się do mnie sennym głosem:

- Gemmo, czemu tak hałasujesz?

- To nic... miałam koszmar. Przepraszam.

Przyjaciółka odwraca się na drugi bok i znów zapada w sen. Choć serce nadal łomocze mi w piersi, zaczynam ustawiać książki na miejscu. *Stadium w szkartacie* ma tylko kilka zagiętych stron, ale *Jane Eyre* została paskudnie podarta. Boleję nad jej ranami, jakbym to ja sama została skrzywdzona. *Księga dżungli* Kiplinga jest poszarpana, *Duma i uprzedzenie* Austen – ranna, ale w dobrym stanie. Właściwie jedyna książka, która wyszła z tego bez szwanku, to *Historia tajemnych stowarzyszeń*, i chyba powinnam się cieszyć, że coś przetrwało mój nocny napad szału.

Ustawiam wszystkie tomy równo na półce, grzbietami na zewnątrz, poza *Dumą i uprzedzeniem*, gdyż potrzebuję pocieszenia ze strony starej przyjaciółki. Panna Austen dotrzymuje mi towarzystwa przy świetle lampy prawie do samego rana, kiedy to zasypiam, śniąc wyłącznie o panu Dartym, a to najlepszy sen, na jaki może liczyć dziewczyna.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Nie mogę uwierzyć, że ja, Ann Bradshaw, zobaczę Lily Trimble w jej największej roli!
- No cóż, owszem, zobaczysz ją, ale nie jako Ann Bradshaw – prostuję, grzebiąc wśród rzeczy leżących na toalecie. Przymierzam prosty słomkowy kapelusz z ciemnozieloną wstążką. Nie przemienia mnie w piękność, ale wyglądam całkiem atrakcyjnie. – Przykro mi, że nie możesz pójść jako ty.

Ann z rezygnacją kiwa głową.

- Nieważne. Zobaczę ją i tylko to się liczy.

- Zastanawiałaś się już nad swoją przemianą? – pytam.

- Och, tak! – rozpromienia się.

- To świetnie. Może w takim razie spróbujemy, co?

Ujmuję przyjaciółkę za ręce. Nadal ma w sobie odrobinę magii, która łączy się z tym, co jej teraz przekazuję. Radość Ann, że zobaczy swoją idolkę, jest zaraźliwa. Czuję, jak magia przechodzi z mojej ręki do jej i z powrotem, tworząc niewidzialną nić, która nas łączy.

- No to idź. Zmień się, w kogo tylko zechcesz – proponuję z uśmiechem. – Poczekamy na ciebie.

- To zajmie tylko chwilę! – odpowiada uradowana. Policzki już ma zaróżowione. – Obiecuję.

- Nie mam żadnych wątpliwości, że to wszystko źle się skończy – prorokuje Felicity, gdy schodzimy na dół.

Przyjaciółka bez skutku usiłuje poprawić kokardę pod szyją. Kładę na niej dłoń i kokarda układa się idealnie, pełna i piękna.

- To ty ciągle powtarzasz, że magia nie ma sensu, skoro nie możemy z niej korzystać w naszym świecie – odpowiadam.

- Nie chodziło mi o wypadki na przedstawienia i o nowe kapelusze.

- Dla Ann to bardzo wiele znaczy.

- Nie wiem, jak wyjście na przedstawienie ma odmienić jej życie - rzędzi Felicity. – Zamiast być po prostu guwernantką, będzie guwernantką, który była w teatrze.

- Ja też nie wiem, ale zawsze to jakiś początek.

- Hej!

Odwracamy się na dźwięk głosu Ann, ale to nie ona stoi na schodach nad nami. To ktoś całkowicie inny – dziewczyna Gibsona, raptem dwudziestolatka, o bujnych czarnych lokach, zadartym nosku i szafirowych oczach. Nie ma w tym stworzeniu ani śladu naszej Ann. Ubrana jest w suknię, która mogłaby się znaleźć na okładce „La Mode Illustrée”, uszytą z brzoskwiniowego jedwabiu z lamówkami z czarnej mory i z szerokim koronkowym kołnierzem. Rękawy mają obfite bufki na ramionach, ale zwężają się ku dołowi. Stroju dopełniają delikatna parasolka oraz kapelusz z aksamitu w kolorze karmelu ozdobiony pojedynczym piórem.

Dziewczę przybiera wdzięczną pozę u szczytu schodów.

- Jak wyglądam?

- Absolutnie doskonale – odpowiada zdumiona Felicity. – Nie do wiary!

Ann spogląda na mnie z zaciekawieniem.

- Gemmo?

Czeka na moją reakcję. Nie chodzi o to, że nie jest śliczna, bo jest. Chodzi o to, że to już nie jest Ann. Szukam cech, które wydają mi się takie krzepiące u mojej przyjaciółki – okrągłej buzi, nieśmiałego uśmiechu i nieufnego spojrzenia – i nie znajduję ich. Ann została zastąpiona przez tę dziwną istotę, której nie znam.

- Nie podoba ci się – zauważa, przygryzając wargę.

Uśmiecham się.

- Po prostu wyglądasz zupełnie inaczej.

- W tym rzecz. – Unosi spódnicę i okręca się w kółko. – Jesteście pewne, że nikt mnie nie rozpozna?

- Ja bym nie rozpoznała – zapewniam ją.

- Jak długo potrwa iluzja? – niepokoje się Ann.

- Nie potrafię przewidzieć – wyznaję – ale co najmniej kilka godzin. Może nawet cały dzień, na pewno wystarczająco długo dla naszych celów.

- Szkoda, że nie zostanie tak na zawsze – mówi, przykładając dłoń w rękawiczce do swojej nowej twarzy.

Pojawia się Cecily, cała w uśmiechach. Ma na szyi piękny perłowy naszyjnik z niezwykle efektowną kameą.

- Hej, Fee, popatrz! Czy nie jest prześliczny? Przysłała mi go mama. Nie powinnam go zakładać przed debiutem, ale nie mogłam się oprzeć. Och, miło mi panią poznać – mówi, zauważając Ann.

Felicity natychmiast przejmuje inicjatywę.

- Cecily, to moja kuzynka, panna...

- Nan Washbrad – chłodnym tonem przedstawia się Ann.

Felicity i ja niemalże wybuchamy śmiechem, bo tylko my wiemy, że jest to anagram jej imienia i nazwiska.

Czar działa bez zarzutu. Cecily wydaje się absolutnie oczarowana „starszą kuzynką” Fee i traktuje ją jak księżniczkę.

- Czy zostanie pani u nas na podwieczorku, panno Washbrad? – pyta z przejęciem.

- Obawiam się, że nie mogę. Zamierzamy obejrzeć pannę Lily Trimble w *Makbecie*.

- Jestem jej oddaną wielbicielką – podlizuje się Cecily. *Kłamczucha*.

Ann zachowuje się jak kot, który przyparł mysz do ściany.

- Jaki śliczny naszyjnik. – Śmiało przesuwając palcem po perłach, po czym marszczy czoło.

- Ojej, to sztuczna biżuteria.

Zdjęta grozą Cecily unosi dłoń do szyi.

- Niemożliwe!

Ann posyła jej spojrzenie zarazem współczujące i pogardliwe.

- Doskonale się znam na klejnotach, moja droga, i z przykrością muszę panią poinformować, że ten naszyjnik jest fałszywy.

Twarz Cecily czerwienieje i obawiam się, że dziewczyna zaraz wybuchnie płaczem. Zdejmuje perły i przygląda się im.

- O, mój Boże! Nie! Pokazałam go wszystkim. Będą mieli mnie za idiotkę!

- Albo oszustkę. Cóż, słyszałam ostatnio o dziewczynie, która podawała się za arystokratkę, a kiedy kłamstwo wyszło na jaw, jej reputacja legła gruzach. Nie chciałabym, żeby panią spotkał podobny los – mówi Ann, a w jej głosie brzmi twarda nuta.

Spanikowana Cecily ukrywa perły w zamkniętych dłoniach.

- Co ja mam począć? Jestem skończona!

- Spokojnie, spokojnie – Ann delikatnie poklepuje ją po ramieniu. – Proszę się nie martwić. Zabiorę ten naszyjnik. Może pani powiedzieć matce, że się zgubił.

Cecily zagryza usta i wpatruje się w perły.

- Ale mama bardzo się rozgniewa.

- To chyba lepsze niż gdyby ludzie mieli uznać panią za idiotkę... albo za coś gorszego, prawda?

- Rzeczywiście – mamrocze Cecily. – Dziękuję za pomoc. – Z pewnymi oporami oddaje naszyjnik Ann.

- Zrobię to dla pani i pozbędę się go. Może mi pani wierzyć, że nikt nigdy się o tym nie dowie – zapewnia ją Ann.

- Jest pani niezwykle uprzejma, panno Washbrad. – Cecily ociera łzy.

- Ma pani w sobie coś takiego, co wyzwala uprzejmość – Ann mruczy jak kotka, a uśmiech ma promienny niczym słońce.

- Nadzwyczajne oszustwo – komentuję, gdy zostajemy same. – Skąd wiesz, że perły są fałszywe? Mogłabym przysiąc, że są prawdziwe.

- Bo są – odpowiada Ann, zapinając naszyjnik na własnej szyi. – A ja jestem nadzwyczajną oszustką.

- A niech to, Ann Bradshaw! – woła Felicity. – Genialne!

Ann promienieje.

- Dziękuję ci.

Bierzemy się za ręce i cieszymy, że Ann w końcu pokonała wstrętą Cecily Temple. Powietrze wydaje się lżejsze, jak po deszczu, a mnie ogarnia pewność, że znajdujemy się na drodze do szczęśliwej przyszłości.

*

Mademoiselle LeFarge zawiadamia nas, że przyjechał powóz. Przedstawiamy jej „Nan” i wstrzymujemy oddech, czekając na reakcję. Czy da się zwieść iluzji?

- Miło mi panią poznać, panno Washbrad.

- Mnie również, dziękuję p-pani – odpowiada Ann niepewnie.

Mocno ściskam ją za rękę, bo boję się, że brak pewności siebie może osłabić stworzoną przez nią iluzję. Musi w nią wierzyć z całego serca.

- To dziwne, ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że już się wcześniej spotkałyśmy. Jest w pani coś znajomego, choć nie potrafię określić, co dokładnie – mówi mademoiselle LeFarge.

Ściskam dłoń Ann, umacniając naszą więź. *Jesteś Nan Washbrad. Nan Washbrad. Nan Washbrad.*

- Ludzie często mnie mylą z różnymi osobami. Raz nawet ktoś wziął mnie za szarą mysz ze szkoły dla panien – wyznaje Ann, a Felicity parska śmiechem.

- Proszę mi wybaczyć – wyjaśnia, starając się nad sobą zapanować. – Właśnie zrozumiałam dowcip, który usłyszałam w zeszłym tygodniu.

- No cóż, cieszę się, że panią poznałam, panno Washbrad – kończy temat LeFarge. – Pójdziemy? Powóz czeka.

Wypuszczam oddech, który wstrzymywałam.

- Pod koniec chyba nieco przesadziłaś, co? – szepczę, gdy woźnica otwiera drzwiczki. Ann uśmiecha się.

- Ale uwierzyła! I nie zauważyła niczego podejrzanego. Nasz plan działa, Gemmo.

- Zgadza się – potwierdzam, klepiąc ją po ramieniu. – A to dopiero początek. Miejmy się jednak na baczności.

- Jaki piękny naszyjnik! – zauważa mademoiselle LeFarge. – Wyjątkowo śliczne perły.

- Dziękuję – odpowiada Ann. – Otrzymałam je od osoby, która nie potrafiła docenić ich prawdziwej wartości.

- Jak tak można! – Nauczycielka cmoka z dezaprobatą.

*

Przejażdżka pociągiem do Londynu jest bardzo ekscytująca. Nasz niezwykle sekret sprawia nam wielką radość. Czuję ukłucie winy za oszukiwanie mademoiselle LeFarge, którą lubię, ale nie mamy innego wyjścia. I nie mogę zaprzeczyć, że raduje mnie świadomość, jak łatwo będzie zadbać o naszą przyszłość.

- A co pani zamierza dziś robić w Londynie? – pytam.

- Mam różne spotkania, w sprawie ślubu – odpowiada, wzdychając ze szczęścia.

- Musi nam pani wszystko opowiedzieć – nalega Felicity, po czym zasypujemy nauczycielkę pytaniami. Czy będzie miała wachlarz? Czy włoży koronki? A welon? Czy będzie miała wyhaftowane na sukni kwiaty pomarańczy na szczęście tak jak królowa Wiktorii?

- Och, nie, żadnych takich wspaniałości – protestuje, spoglądając na pulchne dłonie złożone na obfitym podolku. – To będzie prosta wiejska uroczystość w kaplicy w Spence.

- Czy po ślubie będzie pani nadal pracować w szkole? – pyta Ann.

- Zależy od pana Kenta – odpowiada, jakby to załatwiało sprawę.

- Ale czy chciałaby pani zostać w Spence? – naciska Fee.

- Chciałabym rozpocząć nowe życie, gdy już zostanę mężatką. Prawdę mówiąc, inspektor zaczął zasięgać mojej opinii w prowadzonych przez siebie sprawach, żeby przeanalizować inny punkt widzenia. Wiem, że to niezwykle jak na obowiązki kobiety, ale przyznaję, że sprawia mi wiele przyjemności.

- To cudownie – komentuje Ann.

Uśmiecha się w ten swój romantyczny sposób i wiem, że wyobraża sobie, jak sama krząta się po kuchni i wysłała męża do pracy całym pocałunkiem. Próbuję ujrzeć siebie w takim życiu. Czy podobałoby mi się? Czy bym się znudziła? Byłoby szczęściem czy przekleństwem?

Moje myśli biegną do Kartika – jego ust, dłoni, tego, jak mnie kiedyś pocałował. W myślach widzę, jak przesuвам palcami po tych ustach i czuję te dłonie na karku. W dole brzucha zagnieżdża się ciepły ból. Rozpala głęboko we mnie coś, czego nie umiem nazwać, i nagle jest tak, jakbym znalazła się we własnej wizji. Kartik i ja stoimy w ogrodzie. Ręce mam wytatuowane henną, jak hinduska panna młoda. On bierze mnie w ramiona i całuje w deszczu opadających płatków. Delikatnie rozsuwa krawędzie sari, obnażając moje ramiona i wyznaczając ustami ślad na nagiej skórze, a ja czuję, że wszystko między nami niedługo się zmieni.

Raptem dochodzę do siebie. Oddech mam ciężki i chyba jestem zarumieniona od stóp do głów. Jednak wydaje się, że nikt nie zauważył mojego skrępowania, więc staram się jak najszybciej nad sobą zapanować.

- Ja nigdy nie wyjdę za mąż – oświadcza Felicity z pełnym wyższości uśmiechem. – Zamieszkać w Paryżu i zostanę modelką jakiegoś słynnego malarza.

Próbuje szokować, a mademoiselle LeFarge reaguje z odpowiednią zgrozą – „Doprawdy, panno Worthington” – ale potem zmienia podejście.

- Nie pragnie pani mieć męża i dzieci? – pyta wprost, jakbyśmy tym pociągiem odbyły podróż od świata dziewczynek do świata młodych dam, którym można zaufać, że będą potrafiły porozmawiać poważnie. To zaufanie ma moc niemalże równie wielką jak magia.

- Nie, nie pragnę – odpowiada Felicity.

- A dlaczego? – docieka LeFarge.

- Ja... chcę być niezależna. Nie pozwolę złapać się w pułapkę.

- To nie musi być pułapka. Nasze życie może się stać znacznie bogatsze, gdy będziemy miały z kim dzielić jego trudy i radości.

- Nigdy się z czymś takim nie spotkałam – mówi cicho Fee.

Mademoiselle LeFarge kiwa głową, rozważając jej słowa.

- Chyba potrzebny jest do tego odpowiedni mąż, taki, który będzie raczej przyjacielem niż panem. Mąż, który będzie okazywał żonie życzliwość w codziennych drobiazgach i który obdarzy ją zaufaniem. A żona musi się odwzajemnić podobną przyjaźnią.

- Ja nie byłabym dobrą żoną – wyznaje Fee tak cicho, że jej słowa niemalże toną w stukocie kół pociągu.

- A co planuje pani dzisiaj kupić? – pyta Ann, wyskakując ze skóry wyrafinowanej Ann jednym dziewczęcym pytaniem.

- Ach, to i owo. Obawiam się, że nic tak ładnego jak pani naszyjnik.

Ann zdejmuje perły i wyciąga je w stronę nauczycielki.

- Chciałabym, żeby pani je wzięła.

Mademoiselle LeFarge odpycha jej rękę.

- Och nie, to zbytek uprzejmości.

- Nie – protestuje Ann, rumieniąc się. – Wcale nie. Przecież musi pani mieć coś pożyczonego, prawda?

- Naprawdę nie mogę – opiera się mademoiselle.

Ujmuje ją za rękę i wyobrażam ją sobie w sukni ślubnej i perłach na szyi.

- Proszę je wziąć – mruczę, a moje życzenie przepływa między nami niesione na skrzydłach magii.

Nauczycielka mruży oczy.

- Jest pani pewna?

- Och tak! Bardzo mnie pani uszczęśliwi. – Ann uśmiecha się.

Mademoiselle LeFarge zapina klejnoty wokół szyi.

- Jak wyglądam?

- Pięknie – odpowiadamy wszystkie równocześnie.

Ann, Felicity i mademoiselle LeFarge oddają się towarzyskiej pogawędce, natomiast ja spoglądam przez okno pociągu na mijane wzgórza. Chciałam je zapytać, czy wiedzą, co skrywa moja przyszłość. Czy ojciec wyzdrowieje i rodzina zostanie uleczona? Czy przeżyję debiut? Czy zdam egzamin w międzyswiecie i sprostam wszystkim oczekiwaniom, zwłaszcza własnym?

- Możecie mi powiedzieć? – szepczę do okna, a ciepły oddech przykrywa szybę mgiełką, która błyskawicznie znika, jakbym nie powiedziała ani słowa.

Pociąg zwalnia, a wzgórza znikają za skłębionymi chmurami pary. Konduktor podaje nazwę stacji. Dotarliśmy na miejsce i dopiero teraz zacznie się prawdziwy sprawdzian.

Mademoiselle LeFarge przekazuje nas pod opiekę pani Worthington, która czeka na peronie. Z jasnymi włosami i zimnymi szarymi oczami wygląda jak swoja córka, tylko delikatniejsza. Brak jej śmiałej zmysłowości Felicity, przez co emanuje z niej aura kruchej kobiecości. Wszyscy mężczyźni doceniają jej powab. Gdy idzie, odwracają się za nią albo patrzą jej w oczy sekundę za długo. Nigdy nie będę obdarzona taką urodą, która toruje kobiecie drogę przez życie.

Pani Worthington wita nas ciepło.

- Piękny dziś dzień. Jak miło znów cię widzieć, droga Nan. Miałyście przyjemną podróż?

- Och, tak, całkiem przyjemną – odpowiada Ann, po czym dalej wymieniają uprzejme uwagi.

Felicity i ja spoglądamy na siebie porozumiewawczo.

- Ona naprawdę wierzy, że Ann jest twoją kuzynką – napawam się naszym triumfem. – Nie zauważyła nic podejrzanego.

Felicity parska z pogardą.

- Ona?

Pani Worthington spotyka na ulicy znajomą i zatrzymuje się, żeby z nią porozmawiać. Stoimy beczynnym obok, niewidziane, niesłuchane, niezauważone. Kilka metrów dalej inna

grupa kobiet zabiega o uwagę. Dziewczęta trzymają transparenty i tablice: *Pożar w Szwalni Czepków Beardona! Sześć osób zamordowanych dla pieniędzy. Sprawiedliwości musi stać się zadość – dobre zarobki, dobre traktowanie.* Nawołują do przechodniów, proszą o wsparcie dla sprawy. Elegancko odziani ludzie zmierzający do teatrów i klubów odwracają głowy, a na ich twarzach odbija się niesmak.

Podbiega do nas mniej więcej piętnastoletnia dziewczyna z puszką w ręku. Jej rękawiczki to czysta farsa. Postrzępione dziury znaczą wełnę jak ślady po ospie. Wyzierają z nich kostki, czerwone i spierzchnięte.

- Proszę, panienko, wesprze panienka naszą sprawę?

- A jaka to sprawa? – pyta Ann.

- Pracujemy w Szwalni Czepków Beardona, panienko, najędzniejszym miejscu na świecie – wyjaśnia. Ciemne półksiężycy kładą się cieniem pod jej oczami. – Pożar zabrał nasze przyjaciółki, panienko. Potworny pożar. Drzwi szwalni zamknięto, żeby nie mogły wyjść więc nie miały żadnych szans.

- Bessie Timmons i Mae Sutter – odzywam się szeptem.

Dziewczynka robi wielkie oczy.

- Znała je panienko?

Szybko kręcę głową.

- Nie... pewnie przeczytałam ich nazwiska w gazecie.

- To były dobre dziewczyny, panienko. Strajkujemy, żeby nic takiego się już nie powtórzyło. Chcemy godnych zarobków i godnego traktowania. One nie mogą umrzeć na próżno.

- Pewna jestem, że tam, gdzie wasze przyjaciółki się teraz znajdują, są dumne z waszych wysiłków. – Wrzucam szylinga do puszki.

- Dziękuję, panienko.

- Chodźcie, dziewczęta – przywołuje nas pani Worthington, ruszając we właściwym kierunku. – Czemu rozmawialiście z tymi nieszczęśnikami?

- One strajkują – odpowiadam. – Ich przyjaciółki spłonęły w pożarze, który wybuchł w fabryce.

- Potworne, nie chcę o tym słuchać. – Dżentelmen, który nas mija, ukradkiem zerka na panią Worthington. Kobieta reaguje pełnym satysfakcji uśmiechem. – Powinny mieć mężów, którzy się o nie zatroszczą.

- A jeżeli nie mają? – pyta Fee ostrym tonem. – A jeśli są samotne? Jeśli muszą wykarmić dzieci i kupić drewno na opał? A jeśli mogą polegać tylko na sobie samych? Albo... albo nie chcą wyjść za mąż? Na nic wtedy nie zasługują?

W oczach Felicity płonie ogień, lecz jakoś wątpię, że to wystąpienie zrodziło się z zapалу reformatorskiego. Raczej chce sprowokować matkę. Ann i ja nie śmiemy wziąć udziału w tej wymianie zdań. Wbijamy wzrok w ziemię.

- Kochanie, biedni zawsze będą istnieć. Nie bardzo widzę, co mogłabym na to poradzić. Mam inne zobowiązania. – Pani Worthington poprawia futrzaną etolę, by miękko otulała jej szyję: przytulna zbroja z jej przytulnego świata. – Chodźmy. Nie rozmawiajmy o nieprzyjemnych sprawach w taki piękny wiosenny dzień. A, cukiernik! Wejdzimy zobaczyć, jakie mają słodczy? Wiem, że dziewczynki uwielbiają słodkości. – Uśmiecha się porozumiewawczo. – Sama też kiedyś byłam dziewczynką.

Pani Worthington wchodzi do środka, a Felicity patrzy za nią twardym wzrokiem.

- I na zawsze nią pozostałaś – szepcze z goryczą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Pani Worthington bardzo długo wybierała słodycze, więc przybywamy na Drury Lane niemalże w ostatniej chwili. Ogarnia nas charakterystyczny dla teatrów półmrok, romantyczny zmierzch, który zaciera troski i sprawia, że fantazje stają się możliwe. Drury Lane słynie ze swoich przedstawień, więc na pewno nie będziemy rozczarowane. Ogromna kurtyna rozchyła się, ukazując zachwycającą scenerię – las, który wydaje się zupełnie prawdziwy. Na środku sceny trzy stare wiedźmy pochylają się nad kotłem. Rozlega się grzmot. To tylko ktoś uderzył w dużą miedzianą blachę, ale dźwięk i tak budzi dreszcze. Pomarszczone staruchy mówią do nas:

*Rychłóż się zejdzem znów przy blasku
Błyskawic i piorunów trzasku?
Gdy bitwa ówdzie wrząca
Dociągnie się do końca.
Więc przed zachodem słońca.
Gdzież schadzka?
Jak ten chrust
Na wrzosach.
Tam Makbet z naszych ust
Dowie się o swych losach.
Słyszę głos arcywiedźmy.
Ropucha skrzeczy. Jedźmy!
Szpetność upięknia, piękność szpeci;
Nuże przez mgły i par zamieci!*

- Czy to nie cudowne? – szepcze z zachwytem Ann, a ja czuję zadowolenie, że się na to wszystko odważyłyśmy.

Gdy na scenę wchodzi Lily Trimble, publiczność zamiera w oczekiwaniu. Panna Trimble to fascynująca istota o gęstych kasztanowych włosach, które falami spływają na purpurowy płaszcz. Głos ma głęboki i miódopłynny. Kroczy dumnie i stroszy piórka, spiskuje i lamentuje z takim przekonaniem, że trudno wierzyć, iż nie jest lady Makbet we własnej osobie. Kiedy spaceruje we śnie i targana wyrzutami sumienia płacze nad swoimi złymi uczynkami, jest wprost fascynująca, a przez cały ten czas Ann siedzi na brzeżku krzesła, obserwując ją z napiętą uwagą. Sztuka dobiega końca i Lily Trimble kłania się publiczności, a Ann bije brawo znacznie głośniej niż ktokolwiek na widowni. Nigdy nie widziałam, by była tak poruszona i ożywiona.

Lampy zostają odkręcone i świecą pełną mocą.

- Czy to nie było cudowne? – pyta rozpromieniona Ann. – Panna Trimble ma niezwykły talent, gdyż ja po prostu uwierzyłam, że ona jest lady Makbet.

Pani Worthington wygląda na znudzoną.

- Niezbyt przyjemna sztuka, prawda? Znacznie bardziej podobało mi się przedstawienie *Bądźmy poważni na serio*. Przynajmniej było wesołe.

- Z pewnością gra aktorska nie mogła być nawet w przybliżeniu tak dobra jak to, co właśnie zaprezentowała panna Trimble – wyrokuje Ann. – Och, to było wspaniałe! Należy wymyślić nowe słowo, które ją opisze, gdyż żadne znane mi nie oddaje jej sprawiedliwości. Dałabym wszystko, żeby móc ją poznać. Wszystko.

Gdy wtapiamy się w tłum, Ann odwraca się tęsknie w stronę sceny, gdzie młody mężczyzna zamiata, wymazując wszelkie ślady po przedstawieniu, które wzbudziło w niej takie emocje.

Lawiruję tak, by jakaś para oddzieliła nas od pani Worthington.

- Ann, naprawdę chcesz ją poznać? – pytam szeptem.

Przyjaciółka kiwa głową.

- Rozpaczliwie!

- A więc dobrze.

Felicity przepycha się w naszą stronę, czym budzi gniew starszej matrony, która beszta ją za brak wychowania głośnym: „Wypraszam sobie!”.

- Gemmo – odzywa się zaciekawiona Fee – co ty kombinujesz?

- Zabieramy Ann na spotkanie z Lily Trimble.

Pani Worthington wykręca szyję, szukając nas wśród tłumu wychodzącego z teatru. Przypomina mi zagubionego ptaka.

- Jasne, a jak się pozbędziemy mojej matki?

Potrzeba nam tylko kilku minut wolności. Należy znaleźć coś, co odwróci jej uwagę. Muszę się skoncentrować, ale trudno mi to osiągnąć w otoczeniu tak wielu osób. Ich myśli atakują mnie tak, że ledwie cokolwiek widzę.

- Gemmo! – szepcze Fee. Ona i Ann biorą mnie pod ramiona.

Mocno trzymam się początkowego zamiaru. Gdy zbliżamy się do pani Worthington, powtarzam w myślach: *Widzisz przyjaciółkę w tłumie. Musisz do niej podejść. Możesz zostawić nas same.* Powtarzam te słowa tak żarliwie, że sama zaczynam w nie wierzyć.

- Ojej! – woła nagle pani Worthington. – Na Boga, tam stoi moja droga przyjaciółka, madame LaCroix z Paryża. Jak to się stało, że przyjechała, nie uprzedzając mnie o tym? Ach, odchodzi! Przepraszam, zaraz do was wrócę.

Niczym kobieta opętana pani Worthington rzuca się w tłum w poszukiwaniu swojej drogiej przyjaciółki, która bez wątpienia znajduje się w tej chwili w Paryżu, a my zostajemy tam, gdzie nas porzuciła.

- Co ty zrobiłaś? – pyta z radością Fee.

- Poddałam jej pewną nieśmiałą sugestię. A teraz zorganizujemy spotkanie z Lily Trimble, co wy na to?

*

Za sceną znajduje się zupełnie inny świat. Tłum pracowników krząta się wśród rekwizytów i dziwnej maszynerii. Krzepy robotnicy przesuwają pomalowane płótna to tu, to tam. Inni ciągną za liny, podczas gdy mężczyzna w kapeluszu i z cygarem w ustach ostrym tonem wydaje polecenia. W poszukiwaniu Lily Trimble wślizgujemy się w wąski korytarz. Aktor, który grał Banka, paraduje w samym szlafroku bez najmniejszego śladu zażenowania.

- Witajcie, kochane – odzywa się, mierząc nas wzrokiem od stóp do głów.

- Bardzo nam się podobało przedstawienie – szczerze wyznaje Ann.

- Następne odbędzie się w mojej garderobie. Może masz ochotę wpaść? Ślicznotka z ciebie.

- Szukamy panny Trimble – przerywa mu Felicity, mrużąc oczy.

Z promiennego uśmiechu mężczyzny zostaje ledwie cień.

- Na lewo. Gdybyście zmieniły zdanie, znajdziecie mnie po prawej.

- Niektórzy to mają tupet – parska Felicity, ciągnąc nas za sobą.

- O co ci chodzi? – pyta Ann.

Fee idzie żwawym krokiem i musimy szybko przebierać nogami, żeby za nią nadążyć.

- Złożył ci niestosowną propozycję.

- Mnie? – upewnia się Ann, szeroko otwierając oczy. Szybko jak błyskawica uśmiech rozjaśnia jej twarz. – To cudownie!

W końcu udaje nam się znaleźć drzwi Lily Trimble. Pukamy i czekamy na odpowiedź. Otwiera nam garderobiana z naręczem kostiumów. Podaje jej kartę wizytową. To tylko pusta karta ze sklepu, co nie ma żadnego znaczenia, gdyż ona i tak czyta wypisane na niej iluzję.

- Proszę wybaczyć, Wasza Łaskawość – mówi, dygając lekko. – Zaraz wrócę.

- Co umieściłaś na tej wizytówce? – pyta Felicity.

- Coś, dzięki czemu uda nam się wejść.

Dziewczyna wraca.

- Proszę za mną.

Wprowadza nas do garderoby, którą chłonimy wzrokiem: pokryty adamaszkiem szeszlony, lampa przykryta czerwonym jedwabnym szalem, parawan obwieszony całą kolekcją sukien, szlafroków i pończoch bezwstydnie wystawionych na widok publiczny, toaletka, na której obok baterii kremów i toników znajdują się oprawne w srebro szczotka i ręczne lustro.

- Panno Trimble, panna Doyle, Worthington i Washbrad proszą o spotkanie – anonsuje garderobiana.

Zza parawanu dobiega znajomy niski głos:

- Dziękuję, Tillie. I, kochanie, proszę, zrób coś z tą peruką. Czuję się w niej, jakbym nosiła na głowie gniazdo szerszeni.

- Tak, panienko – odpowiada Tillie, zostawiając nas.

Zza parawanu wyłania się Lily Trimble w ciemnoniebieskiej aksamitnej podomce przepasanej złotym paskiem z chwostami. Długie, falujące włosy były tylko peruką. Prawdziwe włosy – w bardziej stonowanym odcieniu kasztanowym – nosi splecione w prosty warkocz. Ann jest wstrząśnięta i zatrwożona obecnością gwiazdy. Gdy panna Trimble podaje jej dłoń, dyga, jakby witała się z królową.

Śmiech aktorki wydaje się gęsty jak dym z cygara i równie odurzający.

- To ci dopiero powitanie, co? – żartuje z amerykańskim akcentem. – Muszę wyznać, że nie znam zbyt wielu księżnych. Która z pań to księżna Doyle?

Felicity nagradza mnie paskudnym uśmiechem za moją dwulicowość, ale w Lily Trimble jest coś tak uczciwego, że odkrywam, iż nie potrafię jej okłamywać.

- Musze pani coś wyznać. Żadna z nas nie jest księżną.

Aktorka marszczy czoło.

- Nie mów!

- Jesteśmy uczennicami Akademii Spence dla Młodych Dam.

Zauważa, że nie towarzyszy nam przyzwoitka.

- A niech mnie! Sposób edukowania dam uległ drastycznej zmianie od moich czasów. Choć te czasy nie były znowu tak dawno temu.

- Naszym zdaniem jest pani najwspanialszą aktorką na świecie i po prostu musiałyśmy panią poznać! – wypala Ann.

- A ile aktorek widziała pani na scenie? – pyta panna Trimble. Ann oblewa się rumieńcem. – Hm, tak myślałam. – Siada przed lustrem i wyćwiczonymi ruchami wciera krew w twarz.

- Nasza Ann... to znaczy Nan... jest bardzo utalentowana – mówię pospiesznie.

- Naprawdę? – panna Trimble nie odwraca się.

- O tak, pięknie śpiewa – dodaje Felicity.

Ann patrzy na nas z przerażeniem i na chwilę iluzja się rozwiewa. Kręcę głową i uśmiecham się do niej. Zamyka oczy, po czym wszystko wraca do normy. Lily Trimble

otwiera srebrną szkatułkę i wyciąga papierosa. Jesteśmy wstrząśnięte, bo nigdy nie widziałyśmy palącej kobiety. To potwornie skandaliczne. Aktorka wkłada papierosa do ust i zapala go.

- I pewnie chciałabyś, żebym ci załatwiła miejsce w teatrze?

- Och, n-nie mogłabym p-prosić o coś takiego – jąka się zaczerwieniona Ann.

- Z mojego doświadczenia wynika, kochana, że ten, kto nie prosi, nie dostaje.

Ann z trudem zmusza się do powiedzenia:

- Chciałabym... spróbować.

Aktorka przygląda się naszej przyjaciółce przez smugę papierosowego dymu.

- Z pewnością jesteś dość ładna, żeby występować na scenie. Ja też kiedyś byłam taka ładna.

Przerzuca włosy do przodu i chwytą je mocno jedną dłonią, a drugą rozczesuje luźne końce.

- Nikt nie jest piękniejszy od pani.

Lily Trimble znów wymyka się ten gardłowy śmiech.

- No już, już, nie jesteś na przesłuchaniu, skarbie. Zachowaj trochę wdzięku na później. A skoro o tym mowa, co by twoja matka powiedziała na to wszystko?

Ann cicho odchrząkuje.

- Nie mam matki. Nie mam nikogo.

Lily w zadumie zaciąga się papierosem, po czym wypuszcza kółko z dymu.

- W końcu i tak wszyscy musimy radzić sobie sami. – Spogląda na siebie w lustro, a potem chwytą w nim wzrok Ann. – Panno Washbrad, takie życie nie jest dla ludzi słabego ducha. To życie włóczęgi. Ja nie mam ani męża, ani dzieci. Ale za to jestem panią własnego losu. No i nie zapominajmy o owacjach oraz o podziwie widzów. Dzięki temu nie jest mi zimno w nocy.

- Dziękuję pani – udaje się powiedzieć Ann.

Lily przygląda się jej jeszcze przez chwilę. Znów zaciąga się papierosem. Jej słowa wpływają wraz ze smugą dymu.

- Jest pani pewna, że tego właśnie chce?

- Och, tak! – piszczy Ann.

- Szybka odpowiedź. – Aktorka bębni palcami po blacie toaletki. – Szybkie odpowiedzi często prowadzą do szybkiego żalu. Zapewne wróci pani do szkoły, na podwieczorku tanecznym pozna szacownego dżentelmena i zapomni o tym wszystkim.

- Na pewno nie – zaprzecza Ann i jest w jej odpowiedzi coś, czego nie da się zignorować.

Lily kiwa głową.

- Dobrze więc. Załatwię spotkanie z panem Katzem.

- Z panem Katzem? – powtarza Ann.

Lily Trimble kładzie papierosa w mosiężnej popielniczce, gdzie się tli, podczas gdy ona poprawia fryzurę.

- Tak, z panem Katzem. Właścicielem naszego teatru.

- Czy on jest Żydem? – dopytuje się Ann.

Odbite w lustrze oczy panny Trimble zwięzają się.

- A ma pani coś przeciwko Żydom, panno Washbrad?

- N-nie, proszę pani. Przynajmniej tak mi się wydaje, bo nigdy jeszcze nie poznałam żadnego.

Śmiech aktorki brzmi gwałtownie i ostro, ale po chwili jej twarz wygładza się w uprzejmym wyrazie.

- A zatem ma pani sposobność, ponieważ właśnie rozmawia pani z Żydówką.

- Pani? – dziwi się Felicity. – Wcale nie wygląda pani na Żydówkę!

Lily Trimble unosi idealnie wygiętą brew i przytrzymuje spojrzenie Fee, aż ta odwraca wzrok. Rzadko kiedy widuję ją tak zmieszaną. To chwila czystego szczęścia, więc delectuję się nią, póki mogę.

- Lilith Trotsky z Orchard Street w Nowym Jorku, w stanie Nowy Jork. Zasugerowano mi, że Trimble będzie lepiej brzmiało na scenie... i w uszach dobrze wychowanych mecenasów, który przychodzą podziwiać sławne aktorki – wyjaśnia oschłym tonem.

- Okłamuje ich pani – mówi prowokacyjnym tonem Felicity.

Lily patrzy na nią gniewnie.

- Każdy próbuje być kimś innym, panno Worthless⁴. Ja mam to szczęście, że mi za to płacą.

- Nazywam się Worthington – poprawia ją Felicity, cedząc słowa przez zęby.

- Worthless czy Worthington, mówiąc szczerze, nie widzę różnicy. Wy wszystkie wyglądacie tak samo. Nannie, bądź aniołem i podaj mi pończochy, dobrze?

Ann, dziewczyna, która ledwie jest w stanie wymówić słowo „pończochy”, rzuca się, by podać je aktorce. Kładzie je na dłoniach kobiety z wciąż należną rodom królewskim i istotom boskim.

- Proszę, panno Trimble.

- Dziękuję, słonko. Teraz już lepiej idźcie. Czeka na mnie adorator. Prześlę ci wiadomość dotyczącą spotkania. Akademia Spence, tak?

- Tak, proszę pani.

- Dobrze. A na razie nie daj się wziąć na plewy. – Zbita z tropu Ann marszczy brwi, a Lily wyjaśnia: - Uważaj na siebie. – Rzuca miazdzące spojrzenie Felicity i mnie. – Jakoś wydaje mi się, że powinnaś.

*

Gdy wychodzimy z korytarza, dwa panowie przesuwają obok nas ogromne pomalowane płótno. Z bliska wcale nie przypomina to lasu Birnam, widać tylko kolorowe kleksy i smugi. Od kiedy opuściliśmy garderobę Lily Trimble, Ann nie przestaje mówić.

- Czyż nie jest niezwykle przenikliwa? „Każdy próbuje być kimś innym”. – Papuguje słowa aktorki z rozwlekłym amerykańskim akcentem.

Nie potrafię się zdecydować, czy ten nawyk będzie denerwujący, czy ujmujący.

- Uważam, że jest pospolita. – Felicity kręci nosem. – I nadmiernie teatralna.

- To aktorka! W jej naturze leżą teatralne zachowania – protestuje Ann.

- Mam nadzieję, że nie stanie się to i twoją naturą. To by było nie do zniesienia – drażni się z przyjaciółką Fee. – Ann, chyba nie myślisz poważnie o scenie, co?

- A czemu nie? – odpowiada Ann, ale jej głos brzmi ponuro i dobry nastrój pierzcha.

- Bo to nie jest zajęcie dla przyzwoitych dziewcząt. Ona jest aktorką. – Ostatnie słowo Felicity wypowiada z pogardą.

- A jaki mam wybór? Być guwernantką do końca życia?

- Oczywiście, że nie – oponuję, rzucając gniewne spojrzenie Fee.

Mimo dobrych chęci ona w ogóle nie rozumie dylematu Ann. Nie pojmuje, że życie naszej przyjaciółki stanowi pułapkę, z której nie tak łatwo się wyrwać.

Docieramy do foyer, w którym nadal stoi niewielki tłumek. Pani Worthington nerwowo rozgląda się za nami.

⁴ *Worthless* (ang.) – bezwartościowy (przyp.tłum.)

- A poza tym masz większy problem, Nannie – dodaje Fee, z rozmysłem używając pieszczotliwego imienia, które nadała Ann panna Trimble. – Poszłaś tam z twarzą innej dziewczyny. Nan Washbrad. To ją spodziewają się zobaczyć, a nie Ann Bradshaw. Jak zamierzasz sobie z tym poradzić?

Usta Ann drżą.

- Chyba nie zechcą na scenie takiej dziewczyny jak ja, to znaczy jak prawdziwa ja. – Cała wypracowana pewność siebie znika i iluzja Nan Washbrad zaczyna się rozwiewać.

- Ann – wtrącam ostrzegawczo.

Ale na próżno. Przytłacza ją świadomość tego, co zrobiła, i wszystkich komplikacji. Iluzja znika coraz szybciej. Ann nie może wrócić do własnej postaci – nie tutaj i nie teraz. To byłaby katastrofa.

- Ann, znikasz – szepczę w panice, wpychając ją za długą aksamitną storę.

Z przerażeniem szeroko otwiera oczy.

- Och! Och, nie.

Jej włosy z czarnych i lśniących robią się jasnobrązowe i matowe. Suknia, którą wymyśliła, zamienia się w ponurą szarą wełnę. Z przerażeniem patrzymy na przemianę, która rozpoczyna się od mankietów i szybko posuwa wzdłuż ramion do stanika.

- Jeżeli moja mama zobaczy cię w takim stanie, będziemy skończone – wścieka się Felicity.

- Ann, musisz zmienić się z powrotem – proszę, a moje serce bije jak szalone.

- Nie mogę! Nie potrafię zobaczyć tego w umyśle!

Jest zbyt przerażona. Nie zapanuje nad magią. Suknia powraca do pierwotnego fasonu. Kapelusz znika. Muszę coś zrobić, żeby to powstrzymać, i to szybko. Bez pytania chwytam ją za rękę i wmuszam w nią magię, wyobrażając sobie, że znów stoi przede mną Nan Washbrad.

- To działa – szepcze Ann. Kończy moje dzieło i w ciągu kilku sekund Nan znowu jest z nami, a zawadiacko przekrzywiony karmelowy kapelusik spoczywa bezpiecznie na jej głowie. – Dziękuję, Gemmo – mówi, choć cała wciąż drży, gdy wychodzimy zza zasłony.

- A, tu jesteście – mruczy pani Worthington. – Już się bałam, że was zgubiłam. To bardzo dziwne, gdyż byłam pewna, że widziałam madame LaCroix, ale kiedy dogoniłam tę kobietę, okazała się do niej nawet niepodobna. Idziemy?

*

Na ulicy mężczyzna ubrany w dwustronną tablicę reklamową rozdaje zaproszenia na przedstawienie w Egyptian Hall.

- Zdumiewające i fascynujące! Spektakl nad spektaklami! Prosto z Paryża, jedynie przez tydzień w Egyptian Hall, porywający pokaz słynnej magicznej latarni braci Wolfsonów! Ruchome obrazki! Przygotujcie się na wstrząs! Widoki przerastające wasze najśmielsze marzenia! Proszę, panienko, nie może panienka tego przegapić!

Wciska mi ulotkę do ręki. *Bracia Wolfsonowie prezentują: Wiosenne rytuały.*

Fantasmagoria.

- Dziękuję panu – mówię, składając kartkę.

- O nie! – Felicity zatrzymuje się nagle.

- Co się dzieje? – pytam.

- Lady Denby i lady Markham – szepcze, zerkając w górę ulicy.

Dostrzegam je w tłumie popołudniowych spacerowiczów. Lady Denby, matka Simona, to imponująca kobieta, zarówno pod względem postury, jak i reputacji. Dziś włożyła jeden ze swoich słynnych kapeluszy o rondzie tak szerokim, że mogłoby przesłonić słońce. Porusza się

zdecydowanym krokiem bohatera wojennego. Za to lady Markham jest cieniutka jak gałązka i z trudem nadąża za swoją przyjaciółką. Lady Denby z zapalem rozprawia na jakiś temat, a na tylko potakująco kiwa głową.

Ann aż zatchnęło z przerażenia. To właśnie lady Denby zdemaskowała ją na Boże Narodzenie, głównie po to, by upokorzyć panią Worthington. Biorę przyjaciółkę pod ramię, żeby ją uspokoić. Nie zaryzykuję kolejnej nieszczęśliwej wpadki z magią.

- Lady Markham, lady Denby – odzywa się pani Worthington, rozpluwając się w uśmiechach. – Cieszę się, że panie widzę. Co za przemiła niespodzianka!

- Tak, miła. – Lady Markham nie podaje ręki pani Worthington, zamiast tego spogląda pytająco na matkę Simona.

- Dzień dobry – mówi lady Denby bez uśmiechu.

- Właśnie byliśmy w teatrze i zamierzałyśmy wybrać się na herbatę. Zechcą panie przyłączyć się do nas? – pyta pani Worthington, rumieniąc się z powodu doznanej zniewagi.

- No cóż... - mówi lady Markham, zerkając na Felicity.

- Obawiam się, że nie możemy – odpowiada za nią lady Denby. – Moja droga kuzynka, panna Lucy Fairchild, przyjechała z Ameryki i nie mogę się doczekać, kiedy przedstawię ją lady Markham.

- Ależ oczywiście. – Uśmiech pani Worthington blednie. Do jej głosu wkrada się nura desperacji. – Lady Markham, może wraz z Felicity złożyłybyśmy pani wizytę na Wielkanoc, jeśli zechce nas pani przyjąć?

Lady Markham kręci się nerwowo i znów rzuca spojrzenie na władczą przyjaciółkę.

- No cóż, zdaję się, że mam już wiele zobowiązań.

Myśli lady Denby przenikają do mojego umysłu: „Oto skutek tego, gdy nie gra się zgodnie z zasadami. Twoja córka za to zapłaci. Nikt jej nie przedstawi na dworze, a spadek przepadnie”.

Mam ochotę ją spoliczkować. Jak kiedykolwiek mogłam sądzić, że to dobra kobieta? Jest małostkowa i despotyczna. Nie pozwolę, aby zrujnowała życie mojej przyjaciółce.

Zbieram się na odwagę, zamykam oczy i przesyłam moją intencję lady Markham: *Felicity Worthington jest najwspanialszą dziewczyną na świecie. Chcesz ją przedstawić... Nie, nalegasz, żeby ją przestawić na dworze. I przydałoby się też jakieś przyjęcia na jej cześć.*

- Ale z przyjemnością panie przyjmę – dodaje nagle lady Markham, rozpromieniając się. – A jak się miewa nasza kochana Felicity? Och, jaka z ciebie piękność, moja droga!

Felicity wygląda, jakby spadła jej na głowę cegła. Uśmiecha się niepewnie.

- Czuję się dobrze, dziękuję pani.

- Oczywiście. Czekam na panie podczas ferii wielkanocnych. Porozmawiamy o twoim debiucie... i o balu!

- Lady Markham, musimy już iść – oświadcza lady Denby, mocno zaciskając zęby.

- Do widzenia! – woła wesoło lady Markham.

Matka Simona rusza szybkim marszem, zmuszając towarzyszkę, by wyciągała nogi.

*

Na pociąg powrotny do Spence czekamy w wyśmienitych nastrojach. Pani Worthington, której obawy się rozwiały, miło sobie gawędzi z mademoiselle LeFarge. Nauczycielka tuli popiersi różne cenne nabytki, a ukradzione Cecily perły lśnią na jej szyi.

- Chciałabym już zawsze mieć przed oczami tę minę lady Denby – wyznaje Fee.

- To było całkiem przyjemne, prawda? – zgadzam się z nią.

- „Lady Markham, musimy już iść” – mówi Ann, idealnie naśladowując napuszony głos matki Simona.

- Gemmo, nadal trzymasz te śmieci? – Felicity wskazuje na ulotkę reklamującą pokaz w Egyptian Hall.

- To wcale nie są śmieci – protestuję z żartobliwą powagą. – Będą braci Wolfsonowie i ich fantasmagoria!

Ann unosi brwi.

- Obawiam się, że niczego nie da się porównać z międzyświatem.

- Ale jest coś jeszcze! – zauważam.

Pod spodem widniej lista nazwisk pozostałych osób, które wystąpią, drukiem proporcjonalnym wielkości w stosunku do ich znaczenia. Czytam jedno po drugim, doprowadzając przyjaciółki do śmiechu.

Na samym dole wymieniony jest doktor Theodore Van Ripple, mistrz iluzji.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Felicity przygląda się ulotce przy świetle ognia.

- Musimy pójść do Egyptian Hall.

- A niby jak mamy to zrobić? – pyta Ann. Nie jest już Nan, ale pozostał ślad magii wystarczający, żeby jej oczy lśniły. Przypomina Śpiącą Królową z bajki, która w końcu zaczyna się budzić. – Gemmo, uśpij wszystkich w Spence czy zostawisz tutaj nasz iluzoryczny obraz, żeby nikt nie zauważył naszej nieobecności? A może podsuniesz pani Nightwing pomysł, że chce się tam wybrać i powinna wziąć nas ze sobą?

- Chyba po prostu poproszę mademoiselle LeFarge, żeby nas zabrała. Ona uwielbia tego rodzaju pokazy.

- Och – wzdycha Ann wyraźnie rozczarowana.

Felicity rozwija z papierka ciągutkę i wrzuca ją sobie do ust.

- I uważasz, że ten doktor Van Ripple będzie nam mógł coś powiedzieć o tej damie z twoich wizji?

- Mam taką nadzieję. Widziałam ich razem. Może będzie też coś wiedział o tym Drzewie Wszystkich Dusz.

- Słyszycie to? – pyta Ann.

Konie, coraz bliżej. Jest już dziewiąta. Nie wyobrażam sobie, kto może przyjechać z wizytą o tej porze.

- Pani dyrektor, ktoś jedzie! – krzyczy jedna z młodszych dziewczynek.

Rozsuwamy story i wyglądamy na dwór. W oddali majaczy powóz. Pokojówki wychodzą przed dom i stają w rzędzie z latarniami w ręku. My też błagamy, żeby na wypuścić, i pani Nightwing w końcu ulega.

Zimny oddech nocy łaskocze mnie w szyję i odnajduje ucho, szepcząc sekrety, które zna tylko wiatr. Kurz na drodze się podnosi. Powóz staje, a woźnica przystawia schodki do drzwi, w których pojawia się pasażerka – smukła kobieta w dobrze skrojonym szaroniebieskim stroju. Unosi głowę, żeby ogarnąć spojrzeniem szkołę, i natychmiast ją rozpoznaje. Ciemne, przenikliwe oczy pod gęstymi brwiami, drobne usta osadzone w ostrej twarzy i gracja skradającej się pantery. Panna Claire McCleethy powróciła.

Wita naszą dyrektorkę zdawkowym uśmiechem.

- Dobry wieczór, Lillian. Przepraszam za późną porę, ale drogi rozmokły.

- Nic nie szkodzi, ważne, że dojechałaś – odpowiada pani Nightwing.

Służące krzątają się nerwowo, Brigid wydaje im polecenia, po czym zaprasza woźnicę na posiłek i prowadzi go do kuchennych drzwi. Młodsze dziewczęta spieszą do panny McCleethy, żeby ją powitać. Próbuję się ukryć, ale ponieważ jestem wysoka, nie bardzo mi się to udaje. Panna McCleethy odnajduje mnie wzrokiem i to wystarcza, żeby moje serce zaczęło się tłuc jak szalone.

- Panienki, zezwalam, byście pozostały na dole godzinę dłużej, żeby odpowiednio przywitać pannę McCleethy – oświadcza pani Nightwing ku powszechnej radości.

Ogień w kominku w salonie znów płonie wesoło. Podano herbatę i ciasteczka. Wznosimy toast za powrót panny McCleethy, a dziewczęta zabawiają ją opowieściami o Spence, nadchodzącym sezonie w Londynie i o kostiumach, które zamierzają włożyć na bal maskowy. Nauczycielka słucha wszystkich, ale nie ujawnia żadnych szczegółów na temat swojej osoby ani miejsca pobytu przez ostatnie trzy miesiące.

O wpół do jedenastej pani Nightwing ogłasza, że pora iść spać. Dziewczęta niechętnie ruszają w stronę schodów. Już prawie udaje mi się do nich dotrzeć, gdy panna McCleethy zatrzymuje mnie.

- Panno Doyle, czy może pani na chwilę zostać?

Wymieniam ukradkowe spojrzenia z Fee i Ann.

- Tak, proszę pani. – Przełykam gulę, która rośnie mi w gardle, i patrzę, jak moje przyjaciółki bezpiecznie zmierzają na górę, podczas gdy ja zostaję, zdana na pastwę wroga.

Przysiadamy na aksamitnej sofie w małej bawialni do przyjmowania gości, słuchając połączanego zegara kominkowego, który odmierza sekundy w nieznośnej ciszy. Nauczycielka zwraca na mnie ciemne oczy, a ja zaczynam się pocić.

- Miło jest znów wrócić do Spence – odzywa się.

- Tak, ogrody wyglądają teraz uroczo – odpowiadam.

Przypomina to grę w tenisa, w której każda z nas odbija inną piłkę.

Tik-tak, tik-tak, tik-tak.

- Zapewne cieszy się pani z nadchodzącego debiutu?

- Raczej tak.

Tik. Tak. Tik.

- Jest pewna kwestia, którą musimy omówić. Kwestia międzyświata.

Tak.

- Panno Doyle, rozpoczęłam poszukiwania ostatnich członkiń Zakonu. Nie wiem, ile z nich przeżyło i jaką dysponują mocą, ale mam nadzieję, że wkrótce wrócimy do międzyświata, a nasze sprzysiężenie odzyska należną mu chwałę.

Tik-tak-tik-tak-tik-tak.

Panna McCleethy zmusza wargi, żeby ułożyły się w grymas przypominający uśmiech.

- Widzi więc pani, że próbuję pani pomóc.

- Pomaga pani sobie samej – poprawiam ją.

- Doprawdy? – Zwraca na mnie przenikliwe spojrzenie. – Rakshana pani nie niepokoiła, jak mniemam?

- Nie – odpowiadam ze zdziwieniem.

- I nie zastanawia się pani dlaczego?

- Ale...

- Dzięki mnie, panno Doyle. To ja trzymałam ich na dystans sobie znanymi sposobami, jednak nie mogę tego robić wiecznie.

- Jak się pani udało ich zatrzymać?

- Sądzi pani, że zdałabym się na przypadek? Mamy szpiegów w ich szeregach, tak jak oni w naszych – mówi dosadnie, a mój żołądek skręca się w precel na myśl o ostatniej potwornej misji Kartika. Rakshana rozkazali mu, by mnie zabił. – Pozwolę sobie przypomnieć, że już wcześniej dokonywała pani zbyt pospiesznych osądów.

- Czego pani ode mnie chce? – pytam opryskliwie.

- Panno Doyle. Gemmo. Nadal pani nie rozumie, że jestem przyjaciółką. Chciałabym pani pomóc, jeśli można.

Lekko kładzie dłoń na moim ramieniu. Chciałabym, żeby ten delikatny matczyzny gest nie miał nade mną żadnej władzy, ale niestety ma. To zabawne, że człowiekowi nie brakuje czułości, dopóki jej nie zazna, a kiedy już do tego dojdzie, nigdy nie ma dosyć. Mógłby w niej utonąć, gdyby tylko się dało.

Mrugam, żeby powstrzymać łzy, które nagle napływają mi do oczu.

- Ostrzegła mnie pani, żebym nie robiła sobie z was wrogów.

- Mówiłam to bez zastanowienia. Czułam rozczarowanie, że nie przyłączyła się pani do nas. – Panna McCleethy ujmuje moje ręce. Dłonie ma kościste i zbyt delikatne. Sprawiają wrażenie, jakby nie przywykły do dotykania innych ludzi. – Zdołała pani zrobić to, czego nie udało się dokonać nikomu przed panią. Udało się pani znowu otworzyć międzyświat.

Pokonała pani za nas Kirke.

Na wzmiankę o niej, moje serce przyspiesza. Wpatruję się w dużą brązową plamę na podłodze w miejscu, gdzie drewno jest wypaczone.

- A co z moimi przyjaciółkami? Co z Felicity i Ann?

Panna McCleethy cofa dłonie. Przechadza się wokół pokoju z rękoma splecionymi za plecami, jak pogrążony w zadumie ksiądz.

- Jeśli międzyświat ich nie wybrał, nic nie mogę na to poradzić. Nie jest im przeznaczony.

- Ale są moimi przyjaciółkami – podkreślam. – Pomogły mi. Podobnie jak niektóre plemiona i stworzenia z międzyświata.

Nauczycielka ściera niewidzialny pyłek kurzu z półki nad kominkiem.

- Nie mogą do nas należeć, przykro mi.

- A ja nie mogę odwrócić się do nich plecami.

- Pani lojalność jest godna pochwały, Gemmo. Naprawdę. Ale też jest zupełnie nie na miejscu. Jak pani sądzi, czy gdyby ważne role się odwróciły i one zostały wybrane na członkinie Zakonu, zawahałyby się choć przez chwilę przed porzuceniem pani?

- Są moimi przyjaciółkami – powtarzam.

- Są pani przyjaciółkami, bo posiada pani moc. A ja wiem, jak moc wszystko zmienia. – Panna McCleethy zasiada naprzeciwko mnie w dużym fotelu z zausznikami. Przewierca mnie wzrokiem. – Pani matka dzielnie walczyła za naszą sprawę. Nie chce pani chyba rozczarować mamy ani kłaść jej pamięci, prawda?

- Nie ma pani prawa mówić o mojej matce. – Włosy opadają mi na twarz. Z wściekłością zakładam je za uszy, ale nie chcę mnie słuchać.

Głos panny McCleethy, choć cichy, brzmi pewnie.

- Nie mam? Była jedną z nas, siostrą z Zakonu. Umarła, próbując panią chronić, Gemmo. Składam hołd jej pamięci, opiekując się panią.

- Nie chciała, żebym należała do waszego Zakonu. Dlatego ukrywała mnie w Indiach.

Panna McCleethy łagodnym gestem zakłada moje niesforne włosy za ucho, a one bezczelnie się jej podporządkowują i zostają na miejscu.

- A jednak poprosiła męża, aby panią tu przysłał, gdyby cokolwiek jej się stało.

Przez ostatnich kilka dni byłam już taka pewna siebie, ale teraz znów mam mętlik w głowie i nie widzę właściwej drogi. A jeżeli to one mają rację, a ja się mylę?

- Co pani robi, Gemmo? Jak sobie pani poradzi zupełnie sama?

- Nie była tam pani przez ćwierć wieku – mówię, znów biorąc się w garść. – To pani nie ma pojęcia, jak tam teraz jest.

Sztywnieje. Macierzyński uśmiech znika z jej ust.

- Postąpi pani dobrze, słuchając mnie, panno Doyle. Może się pani wydawać, że należy okazać hojność tym istotom, zaprzyjaźnić się z nimi, sprzymierzyć, ale jest pani w błędzie. Nie zdaje sobie pani sprawy z tego, do jakich potwornych czynów one są zdolne. W końcu i tak panią zdradzą. To my jesteśmy pani przyjaciółkami, pani rodziną. Istnieje tylko jedna słuszna droga, nasza droga, i nie wolno nam robić żadnych wyjątków.

Zegar miarowo dozuje czas. Brązowa plama na drewnie zdaje się rosnąć. Czuję na sobie uporczywy wzrok panny McCleethy, która usiłuje mnie w ten sposób zmusić, żebym na nią spojrzała. Jej głos znów mięknie i przybiera matczyny ton.

- Gemmo, chroniliśmy magię przez całe pokolenia. Rozumiemy ją. Proszę pozwolić nam dźwigać to brzemie. Wprowadzimy panią do Zakonu jako jedną z nas. Zajmie panie należne jej miejsce.

- A jeżeli odmówię?

Jej głos staje się ostry jak brzytwa.

- Nie będę mogła pani dłużej chronić.

Chce mnie przestraszyć, ale nie zamierzam się tak łatwo poddać.

- Muszę coś wyznać. – Nadal wpatruję się w podłogę. – Nie potrafię już wejść do międzyświata.

- O czym pani mówi?

Zmuszam się, by spojrzeć jej w oczy.

- Próbowałam, ale moc mnie opuściła. Bałam się pani o tym powiedzieć. Nie jestem tym, za kogo mnie pani uważa, przykro mi.

- Myślałam, że przywiązała pani magię do siebie.

- Tak mi się wydawało, ale nie miałam racji. Albo nie chciała we mnie zostać mimo wszystko.

- Rozumiem.

Przez najdłuższą chwilę w moim życiu panna McCleethy patrzy mi w oczy, podczas gdy ja rozpaczliwie próbuję nie odwrócić wzroku, a zegar tykaniem odmierza naszą niewypowiedzianą nienawiść. W końcu nauczycielka spogląda na ceramiczną figurkę anioła przycupniętą na krawędzi stojącego obok stoliczka.

- Panno Doyle, jeżeli pani kłamie, i tak się o tym dowiem. Takiej mocy nie da się łatwo ukryć.

- Przykro mi, że panią rozczarowałam – dodaję.

- Nawet sobie pani nie wyobraża, jak mnie jest przykro.

Próbuje odsunąć anioła od krawędzi i niemalże zrzuca go na podłogę. Figurka kołysze się niepewnie, a potem znów staje prosto.

- Czy mogę już udać się na spoczynek? – pytam, a ona odprawia mnie ruchem ręki.

*

- Gemmo, pssst! – To Felicity. Przyjaciółki schowały się w łóżku Ann i teraz Fee wyskakuje jak diabeł z pudełka. – Co się stało? Czy panna McCleethy wbiła w ciebie zęby jadowe?

- W pewnym sensie – odpowiadam, biorąc się do ściągania butów. Odplątnę sznurowadła z maleńkich haczyków. – Chciała, żebym wstąpiła do Zakonu i pobierała od niej nauki.

- To znaczy, że chciała, abys oddała im całą swoją moc – podsumowuje szyderczo Felicity.

- Wspominała o tym, że nas też chętnie przyjmie do Zakonu? – dopytuje się Ann.

- Nie – odpowiadam, rzucając pończochy na podłogę. – Zależało jej wyłącznie na mnie. Felicity mruży oczy.

- Ale nie zgodziłaś się, co? – Brzmi to bardziej jak rozkaz niż jak pytanie.

- Powiedziałam jej, że nie mam już żadnej mocy i że w ogóle nie mogę chodzić do międzyświata.

Felicity prycha z zachwytem.

- Dobra robota, Gemmo!

- Nie sądzę, żeby mi uwierzyła – ostrzegam. – Będziemy musiały być bardzo ostrożne.

- Nie ma z nami żadnych szans. – Fee zeskakuje z łóżka Ann. – Do zobaczenia rano, *mes amies!*

- *Mła miną ne le pli pułlala* – odpowiadam, składając teatralny ukłon.

Fee wybucha śmiechem.

- Cóż to, na Boga, było?

- Mój francuski. Śmiem twierdzić, że robię postępy.

Ann zasypia w ciągu kilku minut, a ja wpatruję się w pęknięcia biegnące po suficie. A jeżeli panna McCleethy ma rację? Jeżeli międzyświat nie wybierze moich przyjaciółek ani leśnego ludu? Kogo będą za to winić? Ale przecież panna McCleethy już raz próbowała mnie zmusić, żebym ją tam zabrała. Powiedziałyby i zrobiłyby wszystko, aby odzyskać międzyświat dla Zakonu.

Tyle decyzji, taka odpowiedzialność i żadnej wyraźnie wytyczonej drogi. Za oknem widać las, który jest całkiem ciemny, poza ogniskiem w obozie Cyganów. Przynajmniej jedną kwestię mogę dzisiaj wyjaśnić i uzyskać kilka odpowiedzi.

Schodzę na dół po schodach, starając się nie wydać najłżejszego dźwięku. Drzwi do wielkiego salonu są uchylone, w środku nadal pali się lampa. Słyszę jakieś szepty, więc przykucam, nasłuchując.

- Jesteś pewna?

- To jedyny sposób. Nie możemy zdawać się na przypadek. Zbyt wiele byśmy ryzykowały.

- Postawisz wszystko na ten plan? Nie mamy żadnych dowodów...

- Nie odmawiaj mi. Nie mogę tego zrobić bez ciebie.

- Jestem lojalna. Przecież wiesz.

- Wiem.

Drzwi się otwierają, a ja daję susa za dużą paproć w donicy. Obserwuję, jak panna McCleethy i pani Nightwing wchodzą po schodach, a światło świecy rzuca ich cień na ściany i sufit, aż zdają się przytłaczać wszystko. Czekam jeszcze długo po tym, gdy zamykają za sobą pokryte rysem drzwi. Kiedy mam już pewność, że sobie poszły, pędzę do obozu Cyganów jak gnana wiatrem.

Ostatnie metry pokonuję, skradając się ostrożnie. Żałuję, że nie wzięłam resztek jedzenia, żeby uciszyć psy. Po prawej stronie słyszę trzask pękającej gałązki i nagle ktoś ciska mną o ziemię, po czym spada na mnie całym swoim ciężarem.

- Będę krzyczeć – ostrzegam, ale ledwie mogę mówić.

- Gemma! – Kartik podnosi mnie z ziemi. – Co ty tu robisz?

- Co ty robisz... rzucasz mną... jak jakiś bandyta...

Otrzepuję spódnicę z liści, próbując zaczerpnąć trochę powietrza do płuc.

- Przepraszam, ale nie powinnaś się włóczyć w nocy po lesie. To niebezpieczne.

- Właśnie widzę – zauważam kwaśno.

- Nie odpowiedziałas na pytanie. Co tu robisz?

- Szukam cię. – Oddycham z trudem, ale teraz nie ma to nic wspólnego z powaleniem na ziemię. – Chcę odpowiedzi i nie odejdę, dopóki ich nie dostanę.

- Nic mam ci nie do powiedzenia – mówi, odwracając się.

Ruszam za nim.

- Nie dam ci spokoju. Potrzebuję twojej pomocy. Czekaj! Dokąd idziesz?

- Nakarmić konie – odpowiada, nie zatrzymując się.

- Ale Zakon ma potajemny plan! – protestuję.

- To nie zmienia faktu, że konie są głodne i trzeba je nakarmić. Możesz mi o tym opowiedzieć po drodze.

Przyspieszam, żeby za nim nadążyć.

- Panna McCleethy wróciła dziś wieczorem.

- Jest teraz w szkole? – Kartik spogląda w stronę Spence.

- Tak – potwierdzam. – Ale poszła spać, więc jesteśmy bezpieczni.

- Nie wtedy, gdy ta kobieta znajduje się w pobliżu – mówi cicho Kartik. – Co ci powiedziała?

- Chciała, żebym przyłączyła się do Zakonu, ale odmówiłam. A przed chwilą podsłuchałam jej rozmowę z panią Nightwing. Wspominały o jakimś planie. Powiedziała również, że trzymała Rakshanów z dala ode mnie, ale jeżeli nie wstąpię do Zakonu, nie będzie mnie dłużej chroniła. – Zerkam na niego. – Ma szpiega w waszych szeregach. Wiesz coś na ten temat?

Kartik nie zwalnia.

- To nie są moje szeregi. Nie należę już do Rakshana.

- A zatem nic nie słyszałeś?
- Rakshana uważają mnie za martwego i chcę, żeby tak pozostało.
Zatrzymuję się.
- Słucham? O czym ty mówisz?
- Pewnych tematów lepiej nie poruszać – odpowiada i idzie dalej, a ja muszę go gonić.
Docieramy na niewielką polankę, na której stoją spętane konie. Kartik wyjmując jabłko z kieszeni i podaje je nakrapianej klaczy.
- Proszę bardzo, Freya. Smacznego. To klacz Ithala. Miłe z niej dziewczę – mówi, delikatnie głaszcząc ją po chrapach. – Nigdy nie sprawia żadnych kłopotów.
Zakładam ręce na piersi.
- Czy tylko takie dziewczęta są miłe, które nie sprawiają kłopotów?
Kręci głową, lekko się uśmiechając.
- Takie klacze są miłe.
- Co sądzisz o tym, co ci powiedziałam? – Gładzę miękką grzywę Frei, a ona poddaje się moim pieszczotom.
- Gemmo... - Kartik milknie na chwilę. – Nie powinnaś mi opowiadać o międzyświecie.
Nie jestem już wtajemniczony w jego sekrety.
- Ale...
- Proszę – mówi, a coś w jego spojrzeniu zamyka mi usta.
- Dobrze, skoro tego chcesz.
- Chcę – potwierdza, a w jego głosie brzmi wyraźna ulga.
Jeż opuszcza bezpieczne schronienie pod krzaczkiem i przebiega obok nas w okropnym pośpiechu, a ja aż podskakuję ze strachu. Kartik kiwa głową w kierunku zwierzęcia.
- Nie zwracaj na niego uwagi. Spieszy się na spotkanie z przyjaciółką.
- Skąd to wiesz?
- Bo ma na sobie najlepsze jeżowe ubranie.
- Hm, powinnam była zauważyć – odpowiadam, szczęśliwa, że gram z nim w tę grę, w jakąkolwiek grę. Kładę dłoń na pniu drzewa i okręcam się wokół niego, pozwalając, by moje ciało poczuło siłę grawitacji. – A po co włożył swój najlepszy strój?
- Spędził pewien czas w Londynie, widzisz, więc musi się przed nią dobrze zaprezentować – kontynuuje Kartik.
- A jeżeli ona jest na niego zła za tak długą nieobecność?
Kartik rusza za mną.
- Przebaczy mu.
- Naprawdę? – pytam cierpko.
- On ma taką nadzieję, gdyż nie chciał jej zdenerwować – odpowiada, a ja już wcale nie jestem pewna, czy rozmawiamy o jeżu.
- I cieszy się, że znowu ją zobaczy?
- O tak – potwierdza Kartik. – Chciałby zostać dłużej, ale nie może.
Kora ociera moją dłoń.
- A to dlaczego?
- Ma swoje powody i liczy na to, że pewnego dnia jego pani wszystko zrozumie. – Kartik zmienia kierunek i pojawia się po drugiej stronie drzewa. Stajemy twarzą w twarz. Palce księżycowego światła sięgają przez gałęzie, a moje serce bije szybko.
- Och – wzdycham, a moje serce bije szybko.
- A co na to powie pani jeżowa? – pyta. Głos ma miękki i cichy.
- Powie... - przełykam z trudem.
Kartik podchodzi bliżej.
- Tak?
- Powie: „Pan wybaczy, ale nie jestem jeżową, lecz świstakową” – kończę szeptem.

Delikatny uśmiech igra na jego ustach.

- Szczęściarz z niego, że znalazł taką dowcipną panią – mówi, a ja natychmiast żałuję, że nie mogę cofnąć czasu i odpowiedzieć inaczej.

Dajemy Frei kolejne jabłka, które pochłania łączywie. Kartik gładzi ją po grzywie, a ona wyraźnie cieszy się jego dotykiem i trąca go nosem. Wokół hałasują nocne stwory. Otacza nas symfonia świerszczy i żab. Nie czujemy potrzeby, żeby rozmawiać, i wydaje mi się, że to jedna z cech, które ujmują mnie w Kartiku. Potrafimy być samotni razem.

- No, dosyć już – mówi, wycierając dłonie o nogawki. – Więcej nie dostaniesz, Freya.

Ziewa i wyciąga ramiona nad głową. Koszula wysuwa mu się ze spodni i unosi się przy ruchu ramion, ukazując delikatną linię ciemnych włosów na płaskim brzuchu.

- W-wyglądasz na zmęczonego – dukam, wdzięczna, że w ciemnościach nie widzi moich czerwonych policzków. – Powinieneś iść spać.

- Nie chcę! – protestuję. – Za to chętnie bym się przeszedł na jezioro, jeśli zechcesz mi towarzyszyć.

- Oczywiście – odpowiadam bezgranicznie szczęśliwa, że mi to zaproponował.

Jezioro leniwie uderza o brzeg w spokojnym rytmie. Gdzieś w oddali pohukuje sowa. Lekki wiaterek zwiewa mi włosy z twarzy i łaskocze w policzki. Kartik siada, opierając się plecami o drzewo. Sadowię się na trawie nieopodal.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że nasze losy nie są już związane? – pytam.

- Myślałem, że moim przeznaczeniem jest przynależność do Rakshana, ale się myliłem. Teraz nie wiem już, co nim jest. Nie wiem nawet, czy nadal wierzę w przeznaczenie.

Choć arogancja i pewność siebie Kartika doprowadzały mnie do furii, teraz mi tego brakuje. Trudno mi się pogodzić z tym, jaki jest zagubiony.

Znów zapada między nami cisza. Kartik stara się walczyć ze zmęczeniem, choć opadają mu powieki.

- Muszę wiedzieć tylko jedną rzecz, o którą już nigdy więcej nie zapytam. Widziałaś Amara?

- Nie, przysięgam.

Wydaje się, że mu ulżyło.

- To dobrze. Dobrze.

Oczy mu się zamykają i po kilku sekundach zapada w sen. Siedzę obok, słuchając jego oddechu i ukradkowo sycąc się widokiem jego urodziwej twarzy: długich, ciemnych rzęs ocieniających wysokie kości policzkowe, mocnego nosa na pełnych, lekko rozchylonych wargami. Powiadają, że damie nie wolno czuć pożądania, ale jak dama ma nad nim zapanować? Musiałabym całe życie przespać, żeby nie czuć pociągu tych ust.

Z wahaniem wyciągam rękę, żeby ich dotknąć. Kartik budzi się przerażony, dysząc spazmatycznie. Po chwili chwytą mnie mocno za ramiona.

- Kartik! – wołam, ale nadal ze mną walczy. – Kartik!

Dochodzi do siebie i puszcza mnie.

- Przepraszam, ale męczą mnie sny – wyznaje, ciężko oddychając. – Koszmarne sny.

- Jakie sny? – Nadal czuję siłę jego dłoni na ramionach.

Drżącymi palcami przeczesuje włosy.

- Widzę Amara na białym koniu, ale nie wygląda tak, jak go zapamiętałem. Przypomina jakiegoś potwornego przeklętego stwora. Próbuję za nim biec, ale nie mogę go dogonić. Mgła gęstnieje i gubię go. Gdy mgła się rozstępuje, znajduję się w posępnej krainie, w miejscu zaraz strasznym i pięknym. Przede mną wylania się armia zbłąkanych dusz. Zwracają się do mnie, a ja jestem niezwykle potężny. Znacznie potężniejszy niż można to sobie wyobrazić.

Ociera ramieniem czoło.

- To wszystko?

- Ja... - Zerka na mnie szybko. – Widzę twoją twarz.

- Moją? Jestem tam?

Potakuje skinieniem głowy.

- No i... co się dzieje później?

Nie patrzy na mnie.

- Umierasz.

Moje ramiona pokrywa gęsia skórka.

- Jak?

- Ja... - Milknie. – Nie wiem.

Powiew wiatru z nad jeziora przyprawia mnie o dreszcze.

- To tylko sny.

- Wierzę w sny – odpowiada.

Biorę go za rękę, nie przejmując się, że to zbyt śmiały gest.

- Kartiku, może pójdziesz ze mną do międzyświata i sam poszukasz Amara? Wtedy zyskasz pewność i może te sny przestaną cię dręczyć?

- A jeżeli one mówią prawdę? – Cofa dłonie. – Nie. Gdy tylko spłacę dług wobec Cyganów za to, że mi pomogli, wyruszam do Bristolu na HMS Orlando.

Wstaję.

- Więc nawet nie spróbujesz walczyć? – pytam, choć strach ściska mnie za gardło.

Kartik wpatruje się prosto przed siebie.

- Zawrzyj sojusz beze mnie, Gemmo. Poradzisz sobie sama.

- Jestem już zmęczona samotnością.

Ocierając łzy, szybkim krokiem wchodzę w las. Tuż za obozem Cyganów spotykam matkę Elenę, która dźwiga ciężkie wiadro w stronę Spence.

- Co robisz, matko? – pytam. Wyrwam jej wiadro, a ciemna ciecz rozchlapuje się na boki. – Co to jest?

- Znak trzeba wykonać krwią – wyjaśnia. – Dla ochrony.

- To ty pomalowałaś ściany Wschodniego Skrzydła. Dlaczego?

- Oni przyjdą, jeśli nie będzie ochrony – mówi.

- Kto?

- Przekłeci. – Sięga po wiadro, ale trzymam je poza jej zasięgiem.

- Nie zamierzam spędzić kolejnego ranka na szorowaniu murów – oznajmiam.

Matka Elena ciasniej otula się szalem.

- W dwie strony! Pieczęć została złamana. Dlaczego Eugenia miałaby na to pozwolić?

Ona wie... Ona wie!

Wszystkie przeżycia tej upiornej nocy buntują się we mnie jak zbity pies, który nie zniesie już więcej dręczenia.

- Eugenia Spence nie żyje. Umarła dwadzieścia pięć lat temu. Nie wolno tego więcej robić, matko Eleno, albo powiem pani Nightwing, że to wasza robota, i na zawsze przegna was z tych lasów. Chcecie tego?

Jej twarz się kurczy.

- Widziałaś moją Caroline?

- Nie – odpowiadam ze znużeniem.

- Ona potrafi się dobrze chować.

- Ona nie... - Milknę. Nie ma sensu z nią rozmawiać. Jest szalona, a ja czuję, że jeśli postoję tu trochę dłużej, to sama też oszaleję. Wylewam zawartość wiadra w trawę i oddaję je Cygance. – Nie wolno tego więcej robić, matko Eleno.

- Oni przyjdą – burczy pod nosem i kuśtyka w stronę taboru, a bransolety objijają się o puste wiadro i brzęczą jak dzwonki.

W drodze powrotnej do Spence czuję, że zrobiło się wyraźnie zimniej, i przeklinam swoją głupotę, że nie wzięłam szala. Kolejna niedorzeczność w moim wydaniu, tak jak próba

przekonania Kartika do zmiany zdania. Coś przelatuje tuż obok mojej głowy, a ja ze strachu wydaję cichy okrzyk.

- Kra! Kra! – woła, mknąc przede mną jak strzała. To tylko przeklęte czarne ptaszysko.

Przysiada w ogrodzie różanym i dziobie kwiaty.

- Sio! – Macham spódnica i ptak odlatuje.

Zauważam wtedy dziwne zjawisko. Mróz ściał kilka dopiero co rozkwitłych róż. Ledwie rozwinięte pąki na wyprostowanych łodygach są martwe i niebieskie z zimna.

- Kra! Kra!

Ptak przysiada na baszcie Wschodniego Skrzydła i przygląda mi się. A potem ku mojemu zdumieniu przelatuje nad miejscem, w którym znajduje się sekretne wejście do międzyświata, i znika.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Nadchodzi następny wieczór, nasz ostatni w Spence przed tygodniem wielkanocnym, a my rozpaczliwie chcemy znów odwiedzić międzyświat. Nie próbuję już samodzielnie przywołać drzwi do światła. Nie warto się wysilać, skoro i tak nic to nie da, a mamy do dyspozycji inne niezawodne wejście. Gdy już wiemy z całą pewnością, że nasi nauczyciele poszli spać, biegniemy prosto do sekretnych drzwi obok Wschodniego Skrzydła, a potem do Krainy Granicznej. Nie zawracamy już sobie głowy ogrodem. To miejsce, w którym jak małe dziewczynki zamieniałyśmy kamyczki w motyle, wydaje się nam dziecinną igraszką. Teraz wolimy błękitny półmrok Krainy Granicznej, jej piżmowe kwiaty i magnetyczny wpływ Krainy Zimy. Za każdym razem, gdy się bawimy, przybliżamy się odrobinę do tego imponującego muru, który oddziela nas od nieznanego terytorium.

Nawet zamek wydaje nam się mniej złowieszczy. Obfitość kwitnącej wilczej jagody kolor ścianom komnaty – przypominają salon w Mayfair ozdobiony bardzo egzotyczną tapetą. Przez oplątaną winoroślami bramę wpadamy do zamku i wołamy Pippę, a ona zbiega do nas, piszcząc z zachwytem.

- W końcu jesteście! Drogie panie! Drogie panie, nasze przyjęcie może się zająć!

Obdzielam wszystkie magią i noc należy do nas. Przejęcie przenosi się z zamku do błękitnawego lasu. Wesoło bawimy się w chowanego wśród jodeł i krzewów jagód, biegając radośnie po splątanych pnączach, które pokrywają zamarznąłą ziemię. Ann zaczyna śpiewać. Jej śliczny głos w międzyświecie osiąga swobodę, której nie ma w rzeczywistości. Ann śpiewa bez skrępowania, a pieśń działa jak wino i rozprasza nasze troski.

Bessie i pozostałe dziewczęta ze szwalni wiwatują na jej cześć – nie są to uprzejme, stonowane oklaski z salonów, lecz burzliwe, radosne owacje z wodewilu. Bessie, Mae oraz Mercy przyodziły się w hojnie ozdobione suknie, w klejnoty i eleganckie buciki. Nigdy wcześniej nie posiadały takich wspaniałości i nie ma znaczenia, że są one jedynie wytworem magii. One wierzą, a wiara wszystko zmienia. Mamy prawo marzyć, i to, przypuszczam, jest największa siła magii, przekonanie, że możemy zrywać możliwości jak dojrzałe owoce z drzew. Przepęlna nas nadzieja. Ożywia przemiana. Możemy się stawać.

- Więc jestem damą? – pyta Mae, parując dumnie w nowych błękitnych jedwabkach.

Bessie popycha ją z czułością.

- Królową Cholernej Saby! – Śmieje się serdecznie i głośno.

Mae klepie ją w plecy nieco mniej delikatnie.

- To kto ty jesteś? Księżę Albert?

- Ej – karci je Mercy. – Dostyc tego! Ma być wesoło, no nie?

Felicity i Pip przedstawiają parodię walca na balu, udając, że są panem Nadęciakiem i panną Pustogłową. Felicity idiotycznie napszonym głosem rozwodzi się na temat polowania:

- Lis powinien być wdzięczny, że oferujemy mu możliwość, by mógł stanąć przed naszymi lufami, gdyż to najlepsze lufy w towarzystwie mierzą w jego marną postać. Ten to doprawdy ma fart!

A Pippa trzepocze rzęsami i powtarza tylko:

- Skoro pan tak twierdzi, proszę pana, to tak na pewno musi być, gdyż ja z pewnością nie mam własnej opinii na ten temat.

Jest tak jakby Punch i Judy ożyli, więc śmiejemy się do łez. Jednak mimo wygłupów poruszają się pięknie. Z subtelną gracją przewidują swe kolejne ruchy, okręcając się w kółko i w kółko, a klejnoty Pip migoczą magicznie.

Potem Pippa porywa po kolei każdą z nas do tańca. Śpiewa wesołą rymowanekę:

- Hej, lubego mam, lubego grubego, co czeka tam...

Rozśmiesza tym Felicity.

- Och, Pip!

To dla niej wystarczająca zachęta. Ciągłe śpiewając, porywa Fee do następnego tańca.

- Hej, mój luby daje nogę, a bez niego żyć nie mogę...

Pip jest naprawdę urocza w tej chwili, wprost nie można jej się oprzeć. Nie zawsze ją lubiłam. Potrafi być równie zachwycająca, jak denerwująca. Ale uchroniła te dziewczęta przed strasznym losem. Uratowała je przed Krainą Zimy i chce się nimi opiekować. Dawna Pippa nigdy nie sięgała wzrokiem poza swoje kłopoty i nigdy nikomu nie pomagała, więc to już coś.

W końcu zmęczone rozciągamy się na zimnej ziemi w lesie. Jodły trzymają straż. Krzewy o postrzępionych liściach oferują garść drobnych, twardych jagód, nie większych niż suchy groszek. Pachną koniczyną, pomarańczami i piżmem. Felicity kładzie głowę na kolanach Pip, a przyjaciółka splata jej włosy w długie, luźne warkocze. Bessie Timmons przygląda im się z rozpaczą w oczach. Boli ją, że ktoś zajął jej miejsce w sercu Pippy.

Na grubym konarze pobliskiej jodły pojawiają się lśniąca światełka.

- Co to? – Mae podbiega do drzewa, a światełka ulatują na inną gałąź.

Ruszamy za nimi. Po bliższej inspekcji odkrywamy, że to nie są wcale światełka, ale małe, podobne do wrózek istoty. Przelatują z gałęzi na gałąź, aż całe drzewo zdaje się wirować.

- Macie magię! – wołają. – Czujemy ją!

- Tak, i co z tego? – pyta prowokacyjnym tonem Felicity.

Dwie maleńkie istoty lądują na mojej dłoni. Ich skóra, zielona jak świeża trawa, lśni niczym pokryta rosą. Na ich opalizujące plecy spływają falami włosy przypominające złotą przędzę.

- To ty... Ty masz magię – mówią, uśmiechając się ekstatycznie. – Jesteś piękna – szepczą słodko. – Obdaruj nas swoją mocą.

Ann stanęła za mną.

- Och, mogę zobaczyć?

Pochyliła się, a jedna z wrózek pluje jej prosto w twarz.

- Odejdź! Ty nie jesteś naszą piękną, naszą magiczną królową!

- Natychmiast przestań – upominam stwora.

Ann ociera z policzka ślinę, po której zostaje błyszczący ślad.

- Ja też mam magię.

- Powinnaś zmiażdżyć te paskudy za jej pomocą – sugeruje Fee.

Zielone istoty lamentują i lgną do moich palców. Ocierają się o nie palcami jak domowe zwierzątka. Wyciągam drugą dłoń i muskam jedną z nich. W dotyku przypomina rybę i zostawia na moich palcach ślad lśniących łusek.

- Czego więc chcecie? – pyta Felicity. Pstryka w jedną istotę paznokciem, a ta przewraca się na plecy.

- Piękna... - mruczą istoty bezustannie.

Wiem, że nie jestem tak piękna jak Pippa i że nie mam wdzięku Felicity. Ale ich słowa napełniają mnie nową nadzieją. Chcę im wierzyć, a to wystarcza, żebym dalej słuchała. Większa wróżka występuje naprzód. Porusza się z uwodzicielską gracją, jak kobra tańcząca dla swojego pana: uległa, ale gotowa zaatakować w mgnieniu oka. Chciałabym znowu usłyszeć, jak mówią, że jestem piękna. Że bardzo mnie kochają. To dziwne – im częściej to powtarzają, tym głębsza otwiera się we mnie pustka, którą desperacko pragnę zapełnić.

Maleńkie istoty łaszą się do mnie.

- Och, śliczna, śliczna jest nasza ukochana. Czczymy cię! Chcemy mieć choć odrobinę ciebie na własność! Tak bardzo cię kochamy!

Przykładam dłoń do ich głów. Włosy mają miękkie jak kukurydziana przędza. Zamykam oczy, moje ciało wibruje, czuję, że budzi się magia. Ale istotki są niecierpliwe. Miniaturowymi dłońmi chciwie chwytają mnie za palce. Ich pokryta łuska skóra jest zaskakująco szorstka w dotyku i na moment się dekoncentruję.

- Nie! Głupia śmiertelniczka! – Ich głos kaleczy moje uszy.

Spoglądam w dół i widzę, że patrzą na mnie z pragnieniem... i z nienawiścią, jakby gotowe były mnie zabić i zjeść, gdyby tylko miały taką możliwość. Instynktownie cofam dłoń.

Skaczą do moich palców będących tuż poza ich zasięgiem.

- Oddaj! Zamierzałaś nas obdarować!

- Zmieniłam zdanie. – Stawiam je na gałęzi drzewa.

Przybierają jeszcze piękniejszy zielony odcień.

- Nie liczymy na to, że będziemy tak wspaniałe jak ty, przepiękna. Ale kochaj nas, jak my kochamy ciebie.

Uśmiechają się i tańczą dla mnie, lecz ich słowa nie mają już takiej odurzającej mocy. Słyszę fałsz w ich zapewnieniach.

- Kochacie to, co mogę dla was zrobić – koryguję ich wypowiedź.

Chichoczą, ale w tym śmiechu nie ma ani śladu ciepła, przywodzi raczej na myśl kaszel umierającego człowieka.

- Twoja moc jest niczym w porównaniu z mocą Drzewa Wszystkich Dusz.

Odwracam się szybko.

- Co powiedziałyście?

Wzdychają ekstatycznie.

- Wystarczy dotknięcie, by poznać prawdziwą moc: wszystkie lęki znikają, wszystkie marzenia się spełniają.

Chwytam jedno stworzenie w garść. Walczy ze mną, a strach wykrzywia mu twarz w potworną maskę.

- Puść mnie, puszczaj!

Inny stwór zeskakuje z drzewa i gryzie mnie w kciuk. Strząsam go z palca, a on leci, koziółkując w powietrzu, aż w końcu chwytą się gałęzi, żeby nie spaść na ziemię.

- Zaraz cię puszcę, przestań się wyrywać! Chcę się tylko dowiedzieć czegoś na temat tego drzewa.

- Nic ci nie powiem.

- Zgnieć go na miazgę – podjudza mnie Felicity.

Przerażona istota szeroko otwiera usta.

- Proszę... Powiem wszystko...

Felicity uśmiecha się za satysfakcją.

- Oto jak należy zdobywać to, czego się potrzebuje.

Trzymam maleństwo w obu dłoniach.

- Czym jest Drzewo Wszystkich Dusz?

- Źródłem wielkiej magii głęboko w Krainie Zimy.

- Sądziłam, że Świątynia jest jedynym źródłem magii w międzyświecie.

Stwór układa twarz w uśmiech przypominający maskę pośmiertną, po czym wrywa mi się i wskakuje na wyższą gałąź, poza moim zasięgiem.

- Czekaj... Nie odchodź! – wołam za nim.

- Jeżeli chcesz dowiedzieć się więcej, musisz wybrać się w podróż do Krainy Zimy i sama się przekonać. Jak możesz rządzić międzyświatem, skoro nigdy nawet nie widziałaś jego surowego piękna? Jak możesz rządzić, skoro znasz tylko połowę historii?

- Wiem to, co muszę wiedzieć o Krainie Zimy – odpowiadam, ale bez przekonania. W słowach małej bestii tkwi ziarno prawdy.

- Wiesz tylko to, co ci powiedzieli. Czy przyjmiesz to na wiarę, bez żadnych wątpliwości? Bez sprawdzenia na własne oczy? Nie przyszło ci nigdy na myśl, że chcą, abyś pozostała nieświadoma jej uroku?

- Precz! – Felicity dmucha z całej siły.

Stworzenie wydaje okrzyk i spada z gałęzi na gałąź, aż ląduje na grubym liściu z wyraźnie słyszalnym: „Uf!”.

- Jesteś głupia, głupia! – sapie. – W Krainie Zimy zdecydują się twoje losy! Poznasz, co to prawdziwa moc, i zadrzysz...

- Co za paskudna, mała bestia! Już ja ci pokażę prawdziwe drzenie! – Felicity rzuca się w pogoń.

Przestraszone istoty ulatują między drzewa.

- Odejdź! Zostawcie nas w spokoju, głupie śmiertelniczki.

Mała Wendy kuli się, zakrywając uszy.

- Znów słysząc ten krzyk.

Pan Darcy miota się jak szalony po klatce, więc Wendy tuli ją mocno.

- Wendy, przestań! – karci ją Mae. – Nie ma żadnego krzyku.

- No, mała, weź mnie za rękę – uspokaja Mercy, obejmując dziewczynkę.

Daleko nad Krainą Zimy smuga czerwieni przecina szare niebo. Płonie przez chwilę, a potem znika.

- Widziałyście to? – pyta Ann.

- Podejźmy bliżej. – Bessie biegnie przez wysokie chaszczce rosnące między lasem a murem oddzielającym nad od Krainy Zimy. W tym miejscu na Krainę Graniczną opada ciężka mgła, okrywając nas delikatnym całunem, aż wyglądamy niczym odciski dłoni w świeżej farbie. Zatrzymujemy się niedaleko wysokiego muru. Po drugiej stronie bramy z mgły wyłaniają się ostre szczyty gór czarnych jak onyks, gdzieś tam pokryte śniegiem i lodem. Szare chmury kłębią się na niebie, jakby ciągle trwał burza. Przeszywa mnie dreszcz. Oto zakazana kraina, oto pokusa.

- Czujecie to? – pyta Mae. – Zachodzi za skórę, co?

Pippa staje obok i bierze mnie za rękę, Felicity obejmuje ją ramieniem w talii, a Ann ujmuję mnie za drugą dłoń.

- Myślicie, że w Krainie Zimy naprawdę znajduje się źródło magii? – zastanawia się Pippa.

Drzewo Wszystkich Dusz żyje. Tak napisała tajemnicza dama na tabliczce. Ale nikt nigdy wcześniej o nim nie wspominał. Po raz kolejny uświadamiam sobie, że bardzo niewiele wiem o tym dziwnym świecie, którym mam pomóc rządzić.

- Tak tu spokojnie. Od naszego powrotu nie widziałyśmy żadnych istot z Krainy Zimy. Jak myślicie, co tam się teraz dzieje? – pyta Ann.

Pippa słodko przytula głowę do mojej głowy.

- Powinnyśmy się tego dowiedzieć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Następnego ranka w hallu stoi pełno walizek i kufrów oraz dziewcząt jadących do domu na tydzień wielkanocny. Ściskają się i żegnają, jakby miały się już nigdy nie zobaczyć, gdy tymczasem spotkają się znowu w przyszły piątek.

Schodzę na dół w praktycznej sukni z brązowego tweedu, na którym nie będzie znać brudu i smug sadzy z pociągu. Ann włożyła swój ponury kostium podróży. Natomiast Felicity jest oczywiście bezkonkurencyjna. Ma na sobie piękną suknię z jedwabnej mory w odcieniu błękitu idealnie pasującym do jej oczu. Będę przy niej wyglądała jak polna mysz.

Podjeżdżają powozy, które mają nas zabrać na stację. Pieczę nad grupkami dziewcząt przejmują przywoitki. Nastroje są świetne, ale najbardziej ekscytujące rzeczy dzieją się pomiędzy panią Nightwing i panem Millerem.

- Jeden z moich ludzi zaginął wczoraj w nocy – oznajmia majster. – Młody Tambley.

- Jak to możliwe, proszę pana, że ja potrafię upilnować kilkadziesiąt młodych dziewcząt, a pan nie potrafi dopilnować garstki dorosłych mężczyzn?

Brigid wygląda zza powozu, gdzie ku nieskrywanej irytacji lokaja instruuje go szczegółowo, jak powinien zabezpieczyć nasze bagaże.

- Whisky! Przekłeta whisky! – podpowiada, zdecydowanie kiwając głową.

Pani Nightwing wzdycha.

- Brigid, bardzo proszę.

Pan Miller żarliwie kręci głową.

- To nie whisky, proszę pani. Tambley stał na warcie w lesie przy starym cmentarzu, gdzie słyszeliśmy hałasy. Teraz go nie ma. – Z sykiem wciąga powietrze przez zaciśnięte zęby. – To ci Cyganie, mówię pani.

- A powód, dla którego opóźniły się prace przy Wschodnim Skrzydle, to był deszcz, z tego co pamiętam. Zawsze znajdzie pan jakąś wymówkę i kogoś winnego. – Dyrektorka pogardliwie pociąga nosem. – Pewna jestem, że ten pański Tambley niedługo się pojawi. Jest młody, jak pan wspomniał, a młodym zdarzają się różne wybryki.

- Może pani mieć rację, ale takie zachowanie nie pasuje do Tambleya.

- Niech pan zachowa wiarę, panie Miller. Chłopak z pewnością wróci.

Felicity i ja obejmujemy Ann. Obie mamy pojechać do Londynu, podczas gdy ona spędzi święta ze swoimi potwornymi kuzynami na wsi.

- Nie pozwól, żeby te upiorne bękarty wlaży ci na głowę – radzę jej.

- To będzie najdłuższy tydzień w moim życiu – oświadczają z westchnieniem.

- A moja matka będzie się upierała, żebyśmy biegały z wizytami i przymilały się do wszystkich – marudzi Felicity. – Będę pokazywana jak jakaś pusta porcelanowa lala.

Rozglądam się wokół, ale panny McCleethy nigdzie nie widać.

- Proszę – mówię, ujmując je za ręce. – Odrobina odwagi, żebyście sobie poradziły.

Po chwili magia krąży w nas wszystkich, rozjaśniając nam oczy i barwiąc policzki. Czarny ptak przelatuje nad nami i z głośnym okrzykiem siada na baszcie, skąd zgania go jeden z ludzi pana Millera. Przypomina mi się ptaszysko, które widziałam w nocy i które zniknęło. Czy naprawdę? Było późno, mówię sobie, i ciemno, a to warunki sprzyjające różnym przywidzeniom. Poza tym dzięki wysokiemu poziomowi magii czuję się teraz wprost cudownie, zbyt wspaniale, żeby się czymkolwiek martwić.

Nasz powóz toczy się za pozostałymi po podjeździe. Oglądam się na Spence – na mężczyzn na rusztowaniu wznoszących kamienny mur, na panią Nightwing stojącą niczym wartownik przy drzwiach frontowych, na Brigid pomagającą dziewczętom, na grubym dywan trawy i jaskrawożółte żonkile. Jedyne zagrożenie stanowią deszczowe chmury. Nadymają policzki i dmuchają, wysyłają piszczące dziewczęta w pogoń za kapeluszeniami. Śmieje się.

Magia trzyma mnie w ciepłych objęciach i czuję, że nie może mnie spotkać żadna krzywda. Nawet ciemnie chmury napierające na milczące gargulce nie mogą nas dopaść.

Bez ostrzeżenia krew zaczyna szybciej krążyć w moich żyłach, słyszę tylko jej szum: łup-łup-łup-łup-łup. Na zewnątrz karuzela świata też nabiera prędkości. Burzowe chmury chyboczą się i rozciągają, tańcząc na niebie. Mrugam, czemu towarzyszy w moich uszach dźwięk przypominający wystrzał z armaty. Ptak zrywa się do lotu. Mrugnięcie. Siada na głowie gargulca. Mrugnięcie. Głowa gargulca obraca się dookoła szybko jak błyskawica. Wzdycham ze zdumieniem i w tej sekundzie gargulec obnaża ostre zęby. Czuję lekkość w głowie. Trzepoczę powiekami tak szaleńczo jak ptak skrzydłami.

- Gemmo... - głos Felicity dobiega jakby spod wody, a potem robi się czysty niczym słońce. - Gemmo! Co się dzieje?

Krew wraca do normalnego tempa.

Felicity patrzy na mnie ze zdumieniem.

- Gemmo, zemdlałaś!

- Gargulec – wyjaśniam, cała drżąc. – On ożył!

Dwie dziewczyny jadące z nami w powozie przyglądają mi się niepewnie. Potem cała nasza czwórka spogląda przez okno na dach szkoły. Panuje na nim cisza i spokój, widać tylko kamienne rzeźby. Duża kropla deszczu trafia mnie prosto w oko.

- Au – mówię, siadając normalnie. Ocieram deszcz z twarzy. – To wydawało się takie rzeczywiste. Naprawdę zemdlałam?

Felicity potakuje skinieniem głowy i zmartwiona marszczy czoło.

- Gemmo – szepcze – gargulce są z kamienia. To, co widziałaś, musiało być halucynacją. Nic tam nie ma, przysięgam ci. Nic.

- Nic – powtarzam za nią jak echo.

Ryzykuję jeszcze, po raz ostatni zerkając w tył, i widzę zwykły wiosenny dzień przed Wielkanocą oraz nadciągający ze wschodu deszcz. Czy to wszystko wydarzyło się naprawdę, czy tylko tak mi się wydawało? Czy to nowa magiczna sztuczka? Moje złożone na podolku dłonie drżą. Felicity bez słowa kładzie na nich ręce, uciszając mój strach.

*

Powiadają, że wiosna w Paryżu to zjawisko, które trzeba zobaczyć, bo budzi w człowieku poczucie nieśmiertelności. Nie wiem tego, bo nigdy nie byłam w Paryżu. Za to wiosna w Londynie to całkiem inna historia. Deszcz stuka i puka o dach dorożki. Ulice są zapchane powozami i osnute gazową mgłą. Dwaj mali zamiatacze ulic ledwie zdołali zamieść błoto i brud z kocich łbów, żeby modna dama mogła przejść, kiedy niemalże przejeżdża ich omnibus, a woźnica przeklina ich z zapamiętaniem. Jednak obelgi są niczym w porównaniu z tym, co pozostawiają po sobie konie, a co chłopcy muszą sprzątnąć. Mimo złych przeczuć dotyczących pobytu w Belgravii czuję nieskończoną wdzięczność wobec losu za to, że nie muszę być zamiataczem ulic.

Zanim docieram do domu, cała jestem posiniaczona od ciągłych podskoków, a na spódnicy mam centymetrową warstwę błota. Pokojówka zabiera moje buty przy drzwiach, nie komentując wielkiej dziury w pończosze na palcu prawej stopy.

Z drzwi bawialni wyłania się babcia.

- Dobry Boże! Cóż to się stało? – woła na mój widok.

- Wiosna w Londynie – wyjaśniam, zakładając niesforny lok za ucho.

Babcia zamyka za sobą drzwi do pokoju i prowadzi mnie pod ogromne malowidło. Trzy greckie boginie tańczą w gaju obok pustelni, podczas gdy Pan przygrywa im na flecie,

małymi kozimi kopytkami deptając wesoło koniczynę. Obraz jest tak upiorny, że wprost zapiera dech w piersi, i nie rozumiem, co ją opętało, że go kupiła, nie mówiąc już o dumie, z jaką go prezentuje.

- Co to jest?

- Trzy Gracje – odpowiada ze zniecierpliwieniem. – Spodobał mi się.

To prawdopodobnie najbardziej przerażający obraz, jaki w życiu widziałam.

- Jest tu pół człowiek, pół kozioł, który tańczy gigę.

Babcia obrzuca go pełnym dumy spojrzeniem.

- Symbolizuje naturę.

- Ma na sobie pantaloney.

- Doprawdy, Gemmo – oburza się babcia. – Nie poprosiłam cię na bok, żeby dyskutować o sztuce, na której najwidoczniej nie bardzo się znasz. Chciałam porozmawiać o twoim ojcu.

- Jak on się czuje? – pytam, zapominając o malunku.

- Nie najlepiej. To musi być spokojna wizyta. Nie życzę sobie żadnych wybuchów, żadnych twoich dziwaczkich zachowań, niczego, co by go zdenerwowało. Rozumiesz?

Moich dziwaczkich zachowań. Gdyby tylko wiedziała...

- Tak, oczywiście.

*

Zdejmuję zabłoconą suknię, wkładam czystą i dołączam do rodziny w salonie.

- Och, jest i nasza Gemma – odzywa się babcia.

Ojciec podnosi się z fotela przy kominku.

- Boże mój, czy ta piękna, elegancka młoda dama może być moją córką? – głos ma słabszy, oczy nie lśnią mu tak jak niegdyś i nadal jest bardzo chudy, ale uśmiecha się do mnie szeroko.

Gdy wyciąga ramiona, biegnę do niego jak jego mała córeczka. Nagle czuję łzy pod powiekami, więc mrugam, żeby je odegnąć.

- Witaj w domu, ojczu.

Jego uścisk nie wydaje się już tak mocny jak kiedyś, ale jest ciepły. Utuczmy go najszybciej, jak się tylko da. Wzrok ojca mięknie.

- Z każdym dniem robisz się do niej coraz bardziej podobna.

Ponury Tom siedzi w fotelu, popijając herbatę i jedząc ciasteczka.

- Herbata już chyba zupełnie wystygła, Gemmo.

- Nie trzeba było na mnie czekać – odpowiadam, nie wypuszczając taty z objęć.

- Tak też mówiłem – zrzędzi mój brat.

Ojciec podsuwa mi krzesło.

- Gdy byłeś dzieckiem, siadałaś u moich stóp. Ale ponieważ już nie jesteś dzieckiem, lecz młodą damą, musisz usiąść porządnie.

Babcia nalewa wszystkim herbatę, która mimo narzekań Toma nadal jest gorąca.

- Stowarzyszenie Hipokratesa przysłało nam zaproszenie na kolację w tym tygodniu i Tom je przyjął.

Z grymasem niezadowolenia na twarzy mój brat wrzuca dwie kostki cukru do filiżanki.

- To miło – komentuję.

Ojciec pozwala, by babcia dołała mu mleka, przez które herbata robi się mętna.

- To ciekawi ludzie, Thomasie, zapamiętaj moje słowa. W ich gronie zasiada sam doktor Hamilton.

Tom wgryza się w herbatnika.

- Tak, staruszek Hamilton.
- Ten klub znacznie bardziej odpowiada twojej pozycji niż Ateneum – kontynuuje ojciec.
- Dobrze, że ten nonsens się już skończył.
- To nie był nonsens – protestuje ponurym tonem mój brat.
- Był, i dobrze o tym wiesz. – Ojciec kaszle, aż mu grzechocze w piersi.
- Herbata jest za zimna? Posłać po nową? Och, gdzie ta dziewczyna się podziała?
- Babcia wstaje, siada i znów wstaje. Tato macha do niej dłonią, a ona ponownie opada na krzesło. Nerwowo składa serwetkę w harmonijkę.
- Bardzo jesteś do niej podobna – powtarza tato. Oczy ma wilgotne. – Czemu to się tak potoczyło? Co poszło źle?
- Johnie, nie jesteś teraz sobą – przerywa mu babcia. Jej usta drżą.
- Tom wpatruje się w podłogę z nieszczęśliwą miną.
- Oddałbym duszę, żeby zapomnieć – szepcze ojciec przez łyżę.
- Jest zrozpaczony, a nas wszystkich przytłacza poczucie winy. Czuję, że zaraz pęknie mi serce. A potrzeba jedynie odrobiny magii, żeby to zmienić.
- Nie, nawet o tym nie myśl, Gemmo.*
- Ale dlaczego nie? Dlaczego mam pozwalać, żeby cierpiał, skoro mogę mu pomóc? Nie mogę spędzić całego tygodnia w tej grobowej atmosferze. Zamykam oczy i moje ciało drży pod naporem sekretów. Gdzieś w oddali słyszę, jak zmieszana babcia woła mnie po imieniu, a potem czas zwalnia, zmieniając moją rodzinę w dziwny żywy obraz. Ojciec z głową w dłoniach, babcia mieszająca zmartwienia w herbacie, Tom z grymasem niezadowolenia i rozgoryczenia na twarzy. Wypowiadam życzenia na głos, dotykając ich wszystkich po kolei.
- Ojczu, zapomnisz o bólu. Thomasie, czas, abys przestał być chłopcem i stał się mężczyzną. Babciu, może się trochę rozerwiemy, co?
- Ale magia nie pozwala mi skończyć, odkrywa moją głęboką tęsknotę za rodziną, którą kiedyś miałam, a którą straciłam przez wichry losu niedające się okiełznać. Przez chwilę widzę siebie szczęśliwą i beztroską, biegnącą pod błękitnym niebem Indii. Śmiech odbija się echem w mojej głowie. Och, gdybym mogła przywrócić to szczęście! Moc tego pragnienia powala mnie na kolana. Wyciska łyżę z moich oczu. Tak, chciałabym to odzyskać. Chciałabym czuć się bezpieczna, chroniona, kochana. Jeżeli magia może mi to zapewnić, będę to miała.
- Biorę głęboki wdech i z drzeniem wypuszczam powietrze.
- A teraz zaczniemy od nowa.
- Czas rusza naprzód. Moi krewni unoszą głowy, jakby budzili się ze snu, o którym chętnie by zapomnieli.
- No tak, o czym to rozmawialiśmy? – pyta ojciec.
- Babcia mruga wielkimi oczami.
- Przedziwna historia, bo nie pamiętam. Ha! Ha, ha, ha! Zwariowana ze mnie staruszka!
- Tom bierze kolejnego herbatnika.
- Przepyszne ciasteczka!
- Thomas, jak myślisz, jak pójdzie dzisiaj naszej drużynie przeciwko Szkocji na mistrzostwach?
- Anglia oczywiście wygra! Mamy najlepszych na świecie graczy w krykieta.
- Dobry chłopak!
- Ojczu, nie jestem już chłopcem.
- Słusznie! Rzeczywiście od jakiegoś czasu nosisz trochę dłuższe spodnie. – Tato śmieje się, a Tom mu wtóruje.
- Gentelmani przyniosą chlubę boisku Lord's – dodaje Tom. – Gregory to dobry człowiek. Ojciec przygląda wąsy.
- Gregory? Dobry krykiecista. Ale zważ, nie jest to W.G. Grace. Oglądanie Doktora w akcji to była czysta przyjemność. Nikt mu nie dorówna.

Ojciec zjada dwa ciastka i tylko raz kaszle. Babcia wypełnia filiżanki po brzegi.

- Och, w tym pokoju trzeba więcej światła! Musimy mieć światło!

Nie woła gospodyni, lecz sama podchodzi do okien i rozsuwa ciężkie story. Deszcz ustał. Przez szary całun nad Londynem przebija blade słońce, niczym symbol nadziei.

- Gemmo? – odzywa się babcia. – Moja droga, co się stało? Dlaczego płaczesz?

- Bez powodu. – Uśmiecham się przez łzy. – Zupełnie bez powodu.

*

Wydaje mi się, że to jeden z najszcześniejszych wieczorów, jakie spędziliśmy razem. Ojciec proponuje grę w wista, która pochłania nas do późna. Gramy na orzechy włoskie, ale ponieważ są przepyszne, ukradkowo je podjadamy i po pewnym czasie nie ma już czym obstawiać. Babcia siada przy pianinie i zmusza nas, byśmy odśpiewali z nią cały repertuar nowych piosenek. Pani Jones przynosi dzbanki z parującą czekoladą i nawet ona zostaje zaciągnięta do pianina, żeby zaśpiewać. Gdy wieczór dobiega do końca, ojciec zapala fajkę, którą dałam mu na Boże Narodzenie. Zapach tytoniu przywołuje wspomnienia z dzieciństwa, a one otulają mnie niczym kokon.

- Gdyby tylko twoja mama mogła tu siedzieć z nami przy ogniu – mówi tato, a ja wstrzymuję oddech, bojąc się, że zbudowany przeze mnie domek z kart zaraz runie. Nie jestem gotowa, żeby zrezygnować z tego szczęścia. Jeszcze raz delikatnie dotykam ojca. – To dziwne – oznajmia, a twarz mu się rozjaśnia. – Przyszło mi do głowy wspomnienie o twojej mamie, ale teraz zniknęło i nie mogę go znów przywołać.

- Może tak jest lepiej – sugeruję.

- Tak, zapomnijmy – odpowiada. – Kto ma ochotę na opowieść?

Wszyscy zawsze mamy ochotę na jego historyjki, gdyż są niezwykle porywające.

- No tak, czy opowiadałam wam kiedyś te historię o tygrysie... - zaczyna, a my się uśmiechamy.

Doskonale ją znamy, opowiadał ją setki razy, ale nie ma to znaczenia. Siedzimy zasłuchani i zaurczeni jak zawsze, gdyż dobre opowieści mają to do siebie, że ich magia nigdy nie blaknie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Wielkanoc zaskakuje nas wszystkich wspaniałym błękitnym niebem, tak czystym, że aż bolą oczy. Po poranku w kościele ruszamy w przyjaznych nastrojach w stronę Ladies' Mile w Hyde Parku. Ulice wypełniają się białymi falbanami parasolek, którymi damy osłaniają się przed anemicznym brytyjskim słońcem. Choć jest słabe, może wywołać piegi, a nasza cera musi pozostać równie nieskazitelna jak reputacja. Ku odwiecznemu utrapieniu babci moja twarz i tak znaczą niewielkie brązowe plamki.

Damy w eleganckich świątecznych strojach kroczą dumnie jak pawie. Po osłona parasolek oceniają nowy lamowany futrem płaszcz lady Rozrzutnej albo analizują wysiłki lady Podstarzałej, która próbując nie wyglądać na swój wiek, zaciągnęła wiązania gorsetu do granic wytrzymałości. Wydają wyroki jednym spojrzeniem czy ściągnięciem ust. Nianie i mamki podążają za matkami i ojcami, pchając wózki i pilnując dzieci, że się nie oddalały.

Nawet wczesną wiosną park wygląda wspaniale. Damy siedzą, gawędząc na krzesłach ustawionych na trawniku, skąd podziwiać można konie. Ścieżka należy do tych, którzy chcą dowieść swej sprawności w siodle. Od czasu do czasu niektórzy jeźdźcy puszczają się galopem, ulęgając potrzebie rywalizacji. Ale potem jakby się opamiętują i zwalniają do uprzejmego truchtu. Szkoda, gdyż chciałam zobaczyć, jak pędzą przez Hyde Park z oczami płonącymi wołą walki i ustami wygiętymi w radosnym, pełnym determinacji uśmiechu.

Mam to nieszczęście, że idę obok córki zamożnego księcia, która musi śmiertelnie bać się ciszy, gdyż ani na chwilę nie przestaje mówić. Nadaje jej sekretne imię – panna Kataryna.

- A potem tańczyła z nim czterokrotnie! Może to sobie pani wyobrazić?

- Skandal – odpowiadam bez entuzjazmu.

- No właśnie! Wszyscy wiedzą, że można tylko trzykrotnie – kontynuuje, zupełnie nie zdając sobie sprawy z mojego nastroju.

- Uwaga, nadchodzi generałowe wdowy – ostrzegam.

Przybieramy pozy układnych niewiniątek. Drużyna starszych dam, nadętych i upudrowanych do sztywności tortu bezowego, mija nas z wyniosłym skinieniem głowy. Po chwili tłum się trochę przersedza... i moje serce przestaje bić. W naszą stronę zmierza Simon Middleton, olśniewający w białym garniturze i słomkowym kapeluszu. Zapomniałam już, jaki jest przystojny – wysoki, dobrze zbudowany, o brązowych włosach i oczach błękitnych jak spokojne morze. Ale to niegrzeczny błysk w tych oczach sprawia, że dziewczyna ma uczucie, iż została rozebrana, czemu nie miała siły się sprzeciwić. U boku Simona idzie urocza brunetka. Jest filigranowa i delikatna jak figurka na pozytywce. Towarzyszy jej przyzwoitka, która wygląda jak kwintesencja osoby godnej szacunku.

- Kim jest ta dziewczyna obok Simona Middletona? – pytam szeptem.

Kataryna jest zachwycona, że podziela jej zamiłowanie do plotek.

- Nazywa się Lucy Fairchild, to jakaś jego daleka kuzynka – relacjonuje podekscytowana. – Bardzo zamożna Amerykanka. Naturalnie, nowe pieniądze, ale za to mnóstwo. Ojciec przysłał ją tutaj w nadziei, że poślubi czyjegoś biednego drugiego syna i wróci do domu z tytułem, który nada blask ich majątkowi.

A zatem to jest Lucy Fairchild. Mój brat rzuciłby się na tory, żeby przyciągnąć jej uwagę. Zresztą pewnie każdy mężczyzna by to zrobił.

- Piękna.

- Absolutnie doskonała – podpowiada tęsknym tonem panna Kataryna.

Chyba liczyłam to, że powie, iż się mylę: „Nie, wcale nie wydaje mi się taka ładna. Ma dziwną szyję i nos o osobliwym kształcie”. Tymczasem jej uroda zyskuje potwierdzenie. Ale dlaczego rzuca to na mnie tak gęsty cień, że moje wewnętrzne światło całkowicie gaśnie?

Panna Kataryna ciągnie wątek:

- Krążą pogłoski, że już się zaręczyła.

- Z kim?

Moja towarzyszka chichocze.

- No wiecie co! Oczywiście, że z Simonem Middletonem. Piękna z nich para, nieprawdaż?

Zaręczyny. Podczas Bożego Narodzenia Simon zabiegał o mnie, ale go odrzuciłam. Zastanawiam się teraz, czy nie postąpiłam zbyt pochopnie.

- Ale to tylko pogłoski – zauważam.

Panna Kataryna rozgląda się ukradkiem, po czym osłania nas swoją parasolką.

- Cóż, nie powinnam tego rozgłaszać, ale tak się akurat składa, że wiem, iż fortuna nie sprzyja Middletonom. Potrzebują pieniędzy. A Lucy Fairchild jest niezwykle zamożna. Spodziewam się, że lada dzień ogłoszą zaręczyny. Och, jest panna Hemphill! – woła z podnieceniem.

Dostrzegłszy kogoś o wiele ważniejszego ode mnie, odchodzi bez słowa, za co, jak przypuszczam, moje uszy powinny być jej wdzięczne.

Podczas gdy babcia gawędzi z jakąś starszą panią na temat ogrodnictwa, reumatyzmu i innych kwestiach, które można by znaleźć w elementarzu pod nagłówkiem *O czym muszą rozmawiać stare kobiety*, ja stoję przy Rotten Row, patrząc na konie i użalając się nad sobą.

- Wesołych świąt, panno Doyle. Dobrze pani wygląda. – Podchodzi do mnie Simon.

Silny, urodziwy, z dołeczkami w policzkach – i bez towarzystwa.

- Dziękuję. Cieszę się, że znów pana widzę – odpowiadam.

- Ja również się cieszę.

Chrząkam cicho. *Powiedz coś dowcipnego, Gemmo. Coś niebanalnego, na litość boską!*

- Cudowny mamy dziś dzień, nieprawdaż?

Simon parska śmiechem.

- No tak. Spróbujmy... Wygląda pani cudownie. To cudownie, że się spotkaliśmy. I, oczywiście, pogoda jest cudowna. Ufam, że omówiliśmy już cudowność wszystkich cudownych zjawisk.

Rozśmiesza mnie. Ma do tego talent.

- Okropna ze mnie rozmówczyni.

- Wcale nie. Właściwie śmiem twierdzić, że jest pani cudowną rozmówczynią.

Przemyka obok nas kilka koni, a Simon okrzykiem zachęca je do szybszego biegu.

- Podobno niedługo będzie można panu pogratulować. – To zdecydowanie zbyt śmiała uwaga z mojej strony.

Simon unosi brew. Jego usta układają się w szelmowski uśmiech, który czyni go takim atrakcyjnym.

- Czego, jeśli można wiedzieć?

- Powiadają, że bardzo poważnie zabiega pan o rękę panny Fairchild – odpowiadam, patrząc na ścieżkę, na której domniemana narzeczona właśnie dosiada konia.

- Dochodzę do wniosku, że to nie krykiet jest najpopularniejszym sportem w Londynie – mówi Simon – lecz plotki.

- Nie powinnam była tego powtarzać. Przepraszam.

- Nie trzeba, przynajmniej ze względu na mnie. Lubię, gdy ludzie są nieuprzejmi. – Szelmowski uśmiech wraca i wywiera magiczny wpływ. Czuję się lżejsza. – Ale prawdę mówiąc, moje serce rzeczywiście podbiła pewna dziewczyna.

Mój żołądek zwija się w kulkę.

- Och?

- Tak. Nazywa się Bonnie. Jest tam. – Wskazuje na kasztankę o lśniącej sierści, którą prowadzą na linię startu. – Niektórzy twierdzą, że ma zbyt wielkie zęby w stosunku do twarzy, ale ja się z nimi nie zgadzam.

- A ile pan zaoszczędzi na ogrodniku dzięki temu, że Bonnie zajmie się trawnikiem – dorzucam.

- Tak. To będzie szczęśliwy związek. Przemkniemy przez życie galopem – mówi, czym znów mnie rozśmiesza.

- Jest pewna sprawa, którą chciałam z panem omówić, jeżeli można – zaczynam z wahaniem. – Dotyczy pańskiej matki.

- Doprawdy? – Wygląda na rozczarowanego. – Co zrobiła tym razem?

- Chodzi o pannę Worthington.

- Ach, Felicity. A co o n a zrobiła tym razem?

- Lady Markham ma ją przedstawić na dworze – kontynuuję, ignorując docinek – ale wygląda na to, że pańska matka ma coś przeciwko temu.

- Moja matka nie jest wielbicielką pani Worthington, a wasz bożonarodzeniowy figiel z panną Bradshaw nie zmienił jej nastawienia. Matka poczuła, że ugodził on również w jej reputację.

- Przykro mi, ale Felicity musi mieć debiut. Czy mogłabym zrobić coś, co by jej pomogło?

Simon obrzuca mnie figlarnym spojrzeniem, a ja czuję, jak rumieniec oblewa moją szyję.

- Proszę dać sobie z tym spokój.

- Nie mogę – odpowiadam tonem pełnym desperacji.

Simon kiwa głową, zastanawiając się.

- A zatem muszą panie zagwarantować sobie przychylność lady Markham. Proszę przykazać Felicity, że ma oczarować starą jędzę i jej synalka, Horace'a. To powinno zapewnić jej zwycięstwo... i dziedzictwo. Tak – potwierdza, widząc moją winę – wiem, że musi zadebiutować, aby otrzymać spadek. Wszyscy o tym wiedzą. I wiele osób w Londynie wolałoby, żeby zuchwała Felicity dostała się jednak pod opiekę ojca.

Na drugim końcu Ladies' Mile amazonki ustawiają wierzchowce w jednej linii. Siedzą prosto w siodłach, stanowiąc uosobienie opanowania i elegancji, a ich konie z klapkami na oczach parskają i tańczą. Są gotowe, by pobiec i pokazać, co potrafią.

- Cieszę się, że panią widzę, Gemmo. – Simon delikatnie gładzi mnie po ramieniu. – Zastanawiałem się, co u pani słyhać, czy nadal ma pani szkatułkę o podwójnym dnie, którą pani podarowałam, i czy trzyma w niej pani jeszcze swoje sekrety.

- Mam ją nadal – odpowiadam.

- Tajemnicza Gemma Doyle.

- A czy panna Fairchild ma jakieś sekrety? – pytam.

Spogląda w kierunku ścieżki, na której stoi wierzchowiec z wyprostowaną Lucy Fairchild.

- Ona jest... beztroska.

Beztroska. Niefrasobliwa. Jej dusza nie ma ciemnej podszewki.

Rozlega się sygnał do startu. Konie ruszają. Wzbijają tuman pyłu nad drogą, ale kurz nie może ukryć nagiej ambicji na twarzach jeźdźców, zawziętości w ich oczach. Zamierzają wygrać. Koń Lucy Fairchild przekracza linię mety jako pierwszy. Simon spieszy, by jej pogratulować. Twarz Lucy tuż po bitwie jest zakurzona, ale jej oczy płoną, przez co wydaje się jeszcze piękniejsza. Lecz gdy tylko zauważa Simona, szybko ukrywa swoją zaciekłość. Przybiera minę słodkiej nieśmiałości i delikatnie gładzi konia po szyi. Simon proponuje jej pomoc, a ona, choć bez problemu mogłaby zsiąść sama, pozwala, by on się nią zajął. Wykonują to *pas de deux* bezbłędnie.

- Moje gratulacje – mówię, wyciągając do niej rękę.

- Panno Doyle, pozwoli pani, że przedstawię pannę Lucy Fairchild z Chicago w stanie Illinois.

- Miło mi panią poznać – dodaję.

Badawczo przyglądam się jej buzi w poszukiwaniu jakiegokolwiek skazy, ale jej nie znajduję. To prawdziwa róża.

- Panno Doyle – odzywa się słodko – bardzo mi miło, że mogę poznać przyjaciółkę Simona.

Simona. Mówi do niego po imieniu.

- Pięknie pani jeździ – chwałę ją.

Skłania głowę.

- To zbytek uprzejmości, jeżdżę za ledwie znośnie.

- Gemmo!

Z radością dostrzegam Felicity, która zmierza w naszą stronę. Włożyła niewielki aksamitny kapelusz przybrany bukiecikiem jedwabnych kwiatów, który stanowi urocze tło dla jej twarzy.

- Nadchodzą kłopoty – mówi cicho Simon, maskując swoje słowa uśmiechem.

Felicity wita mnie ciepło.

- Wesółych świąt! Kazanie ciągnęło się w nieskończoność. Mówiąc szczerze, zupełnie nie wiem, czemu w ogóle zawracamy sobie głowę chodzeniem do kościoła. Witaj, Simonie – dodaje, rozmyślnie lekceważąc etykietę. – Jaki zawadiacki kapelusik! Zabrałeś go z podium dla orkiestry?

- Wesółych świąt, panno Worthington. Proszę powiedzieć, kiedy lady Markham wydaje przyjęcie na pani cześć, bo nie słyszałem, żeby matka o tym wspominała.

Wzrok Felicity płonie.

- Z pewnością już wkrótce.

- Oczywiście – zgadza się Simon z triumfalnym uśmiechem.

- Simonie, chyba nie przedstawiłeś mnie swojej czarującej towarzysze – mruczy Fee, cały urok osobisty kierując na Lucy Fairchild.

- I słusznie.

- Simonie – szepcze z udręką Lucy.

Uznaję, że należy wkroczyć na scenę.

- Felicity, to panna Lucy Fairchild. Panno Fairchild, pozwolę sobie przedstawić pannę Felicity Worthington.

- Bardzo mi miło – Lucy wyciąga dłoń, a Fee ujmuje ją zdecydowanie.

- Ogromnie się cieszę, że panią poznałam. Musi się pani zgodzić, żebyśmy wraz z panną Doyle odpowiednio się panią zaopiekowały podczas pobytu w Londynie. Jestem pewna, że Simon... pan Middleton chciałby, abyśmy się z panią zaprzyjaźniły, prawda, Simonie?

- To bardzo uprzejme z pani strony – odpowiada Lucy Fairchild.

Felicity wprost promienieje po tym zwycięstwie, a Simon lekko kiwa głową w uznaniu swojej porażki.

- Proszę uważać, panno Fairchild. Przyjęcie „odpowiedniej opieki” ze strony panny Worthington oznacza mniej więcej to samo co dobrowolne włożenie głowy w paszczę lwa.

Felicity wybucha śmiechem.

- Och, nasz Simon jest taki dowcipny, nieprawdaż, panno Fairchild?

- Chętnie byśmy jeszcze pogawędzili, ale czeka na nas matka. – Simon unosi brwi. – Życzę powodzenia w pani krucjacie, panno Doyle.

*

- O co mu chodziło? – pyta Felicity, gdy idziemy przez park w odpowiedniej odległości za naszymi rodzinami.

Jest piękny dzień. Gromadka dzieci toczy po alejce drewnianą obręcz, a barwne wiosenne kwiaty kołyszą się w powiewach wiatru.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to poprosiłam Simona o radę w kwestii jego matki i lady Markham. Nie pomagasz w naszej sprawie, prowokując go w taki sposób.

Felicity wygląda, jakbym powiedziała, że powinna się żywić larwami i chutneyem.

- Mam zabiegać o łaskę Middletonów? Nigdy. Ona jest podła, a on to rozpustnik i dobrze zrobiłaś, odprawiając go.

- Chcesz dostać spadek, tak? I zyskać wolność?

- Niech moja matka zabiega o łaski, ja się mogę kłaniać tylko królowej – oświadcza Fee, kręcąc parasolką w dłoni. Spogląda gniewnie w stronę lady Denby. – Gemmo, nie możemy rzuć czaru, żeby się obudziła z bujnym wąsem?

- Nie, nie możemy.

- Chyba nie zależy ci nadal na Simonie? Powiedz, że to nieprawda.

- To nieprawda – mówię.

- Zależy ci! Och, Gemmo. – Felicity kręci głową.

- Co się stało, to się nie odstanie. Dokonałam wyboru.

- Mogłabyś go odzyskać, gdybyś zechciała.

Zerkam na Simona. Wraz z Lucy spacerują po parku, uśmiechając się do wszystkich witanych osób. Wydają się tacy zadowoleni. I beztroszy.

- Nie wiem, czego chcę – odpowiadam.

- A wiesz, czego ja chcę? – pyta Fee, zatrzymują się, żeby zerwać stokrotkę.

- Czego?

- Żeby była tu Pip. – Obrywa płatki jeden po drugim. – Miałymy wiosną pojechać do Paryża. Tak bardzo by się jej tam podobało.

- Przykro mi – mówię.

Twarz przyjaciółki pochmurnieje.

- Niektórych rzeczy nie możemy w sobie zmienić, choćbyśmy nie wiem jak tego pragnęły.

Nie mam pojęcia, co Fee ma na myśli, ale nie daje mi czasu na rozważania. Z tajemniczym uśmiechem wrywa ostatni płatek stokrotki.

- Kocha mnie – oznajmia.

Pada na nas cień. Jej ojciec, admirał Worthington, stoi na ścieżce, zasłaniając słońce. To przystojny mężczyzna o miłym sposobie bycia i gdybym nie wiedziała tego, co wiem, uległabym jego urokowi, tak jak wszyscy inni. Trzyma za rękę swoją podopieczną, Polly, która ma zaledwie siedem lat.

- Felicity, zajmiesz się Polly przez momencik? Guwernantce upał dał się we znaki, a matka jest w tej chwili zajęta.

- Tak, oczywiście, papo – zgadza się Fee.

- Grzeczna dziewczynka. Uważajcie na słońce – ostrzega admirał, a my posłusznie unosimy parasolki.

- No to chodźmy – zwraca się Felicity do dziecka, gdy jej ojciec się oddala.

Polly idzie dwa kroki za nami, ciągnąc lalkę po ziemi. Dostała ją na Boże Narodzenie, a zabawka już jest w opłakanym stanie.

- Jak twoja lala ma na imię? – pytam, przez chwilę udając, że nie jestem zupełnie beznadziejna w kontaktach z dziećmi.

- Ona nie ma imienia – odpowiada ponuro dziewczynka.

- Nie ma? – dziwię się. – A dlaczego?

Polly brutalnie przeciąga lalkę przez kamień.

- Bo jest podłą dziewczynką.

- Wcale nie wygląda na taką złą. Czemu sądzisz, że jest podła?

- Bo opowiada kłamstwa o wujku.

Felicity błednie. Przykuca tak, że obie chowają się pod jej parasolką.

- Czy robiłaś tak, jak ci przykazałam, Polly? Zamykałaś drzwi, żeby potwory nie mogły wejść do środka?

- Tak. Ale potwory i tak przychodzą. – Polly rzuca lalkę na ziemię i kopie ją. – To dlatego, że ona jest taka podła.

Fee podnosi lalkę i ociera jej brud z twarzy.

- Ja też kiedyś miałam taką lalkę. I mnie też mówili, że jest podła, a wcale nie była. Była dobrą i prawdomówną lalką. Tak jak twoja, Polly.

Usta dziewczynki drżą.

- Ale ona kłamie.

- To świat kłamie – szepcze Felicity. – A nie ty i ja.

Podaje lalkę dziewczynce, a mała tuli ją do piersi.

- Pewnego dnia będę bogatą kobietą, Polly. Zamieszkam w Paryżu bez mamy i taty, a ty przyjedziesz do mnie. Chcesz?

Dziecko kiwa głową i ujmuje Fee za rękę, po czym ruszają razem alejką, witając znajomych z podniesionym czołem mimo świeżych ran.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Stowarzyszenie Hipokratesa ma siedzibę w uroczym, choć nieco zaniedbanym budynku w Chelsea. Kamerdyner zabiera płaszcz i wprowadza nas przez obszerny salon – gdzie kilku dżentelmenów pali cygara, gra w szachy i dyskutuje o polityce – do największej biblioteki, jaką w życiu widziałam. Jej kąty wypełnia zbieranina niepasujących do siebie krzesel, z których kilka ustawiono też przed buzującym na kominku ogniem, jakby dopiero co odbyła się tam porywająca dyskusja. Podłogę pokrywają perskie dywany tak stare, że miejscami przetarte na wylot. Wszystkie biblioteczki wypchane są po brzegi i widać, że nie pomieszczą już ani jednego tomu więcej. Znajdują się tam teksty medyczne, rozprawy naukowe, dzieła greckie i łacińskie. Mogłabym wieki całe siedzieć tu i czytać.

Wita nas doktor Hamilton, mężczyzna około siedemdziesiątki o siwych włosach mocno przerzedzonych na czubku głowy.

- A, jesteście państwo. To dobrze. Nasz kucharz przygotował prawdziwą ucztę. Nie każmy mu czekać.

Do stołu zasiada nas dwanaścioro, w większości lekarzy, pisarzy, filozofów i ich żon. Od razu rozpoczyna się ożywiona konwersacja. Dżentelmen w okularach po drugiej stronie stołu zajadle spiera się z doktorem Hamiltonem.

- Mówię ci, Alfredzie, socjalizm jest ustrojem przyszłości! Już to sobie wyobrażam! Ekonomiczna i społeczna równość ludzi. Żadnych klas, a może nawet koniec ubóstwa. Absolutna społeczna harmonia. Mamy utopię w zasięgu ręki, a nazywa się ona socjalizm.

- Trzymaj się lepiej pisania powieści fantastycznych, mój drogi. Nawet mi się podobała ta historia o podróży w czasie. Choć pod koniec z tymi Elojami zrobiło się nieco dziwnie.

Głos zabiera mężczyzna o rumianych policzkach i wydatnym brzuchu.

- Wells, może nas pomyliłeś z Towarzystwem Fabiańskim?

Wszystkich bardzo to bawi. Niektórzy unoszą w górę kieliszki.

- Słusznie prawi! – wołają.

Mężczyzna w okularach zbiera się do wyjścia.

- Przykro mi, że muszę już iść i nie mogę dalej z wami dyskutować. Ale podejmiemy rozmowę przy następnym spotkaniu.

- Kim był ten człowiek? – staram się zadać to pytanie jak najdyskretniej.

- Pan Herbert George Wells – odpowiada ten o rumianych policzkach. – Może go pani znać jako H.G. Wellsa, powieściopisarza. Dobry człowiek, wielki umysł, ale myli się co do socjalizmu. Życie bez królowej? Bez właścicieli ziemskich, za to ze spółdzielniami? Powiadam wam: anarchia. Czyste szaleństwo. A, jest deser.

Milczący kamerdyner stawia przed nami duży suflet śmietankowy, a on z lubością nabiera go na łyżkę.

Rozprawiamy o nauce i religii, literaturze i medycynie, o sezonie towarzyskim, a także o polityce. Ale tak naprawdę przy stole króluje mój dowcipny ojciec i jego opowieści o Indiach.

- Mógłbym przedstawić jeszcze historię o tygrysie, ale obawiam się, że już zbyt długo absorbowałem państwa uwagę – mówi tato, a w jego oczach czai się wesoły błysk.

Lecz goście chcą, by zaspokoił ich ciekawość.

- O tygrysie! – nalegają. – Musi pan ją opowiedzieć.

Zadowolony tato pochyla się do przodu i ścisłym głosem zaczyna snuć opowieść.

- Przenieśliśmy się na miesiąc do domu w Lacknow, żeby uciec od panujących w Bombaju upałów.

- Lacknow! – wykrzykuje dżentelmen o wełniastych włosach. – Mam nadzieję, że nie natknęliście się na zbuntowanych hinduskich sipajów!

Towarzystwo pogrąża się w dyspacie na temat słynnego powstania sprzed dziesięcioleci.

- I pomyśleć, że ci barbarzyńcy mordowali niewinnych brytyjskich obywateli, a po tym wszystkim jeszcze spełnialiśmy ich roszczenia! – oburza się jedna z żon.

- Wina leżała po naszej stronie, droga pani. Jak można było kazać hinduskim i mużułmańskim żołnierzom konserwować amunicję świńskim oraz wołowym tłuszczem, co brutalnie godziło w ich religijne przekonania? – replikuje doktor Hamilton.

- Ależ, stary, chyba nie usprawiedliwiasz masowego mordu? – protestuje ten o wełniastych wąsach.

- Z pewnością nie – odpowiada pan Hamilton. – Ale jeśli chcemy pozostać wielkim imperium, musimy wykazywać większe zrozumienie wobec serc i umysłów innych narodów.

- Chciałam posłuchać historii pana Doyle'a o tygrysie – wtrąca dama w diademie, przypominając nam o tacie.

Goście milkną, a ojciec podejmuje opowieść.

- Nasza Gemma miała nie więcej niż sześć lat i uwielbiała bawić się w przylegającym do lasu ogrodzie, podczas gdy gospodyni, Sarita, zajmowała się praniem i pilnowała jej. Tej wiosny po prowincji rozniosła się niepokojąca wieść: widziano w okolicy tygrysa bengalskiego, który niczego się nie bał. Odważniak zniszczył targ w Delhi i na śmierć przeraził stacjonujący tam regiment. Za jego pojmanie wyznaczono nagrodę w wysokości stu funtów szterlingów. Nie przyszło nam nawet do głowy, że mógłby dotrzeć aż do nas.

Wszystkie głowy zwrócone są w stronę taty, który pławi się w zainteresowaniu słuchaczy.

- Pewnego dnia Sarita jak zwykle zajmowała się praniem, a Gemma bawiła się w ogrodzie. Była rycerzem i miała drewniany mieczyk. Budziła respekt, zapewniam, choć wówczas nie wiedziałem jeszcze jak wielki. Siedziałem w gabinecie, gdy wtem usłyszałem dobiegający z zewnątrz krzyk. Natychmiast pobiegłem sprawdzić, co się dzieje. Wołała mnie przerażona Sarita. „Och, proszę pana, niech pan popatrzy!”. W naszym ogrodzie znajdował się tygrys, który szedł prosto do Gemmy wymachując drewnianym orężem. Stojący obok mnie służący, Raj, wyciągnął sztylet tak bezszelestnie, że wydawało się, iż broń pojawiła się w jego dłoni za sprawą magii. Ale Sarita chwyciła go za rękę. „Jeśli pobiegiesz na niego z nożem, rozdrażnisz go – ostrzegła. Musimy czekać”.

Wokół stołu zapada cisza. Goście są zafascynowani opowieścią taty, a jego cieszy, że ma publiczność. Doskonale odnajduje się w roli uroczego gawędziarza.

- Muszę wyznać, że to był najdłuższy moment w moim życiu. Nikt nie śmiał się poruszyć. Nikt nie śmiał odetchnąć głębiej. Przez cały ten czas Gemma bawiła się w najlepsze, niczego nie zauważając, dopóki wielki kot nie znalazł się tuż obok. A wtedy stanęła z nim twarzą w twarz. Patrzyli na siebie, jakby zastanawiali się, co począć z tym drugim, jakby wyczuwali bratnią duszę. W końcu Gemma oparła czubek miecza o ziemię. „Drogi tygrysie – powiedziała – możesz przejść, jeśli masz pokojowe zamiary”. Bestia spojrzała na miecz, potem znów na Gemmę i nie wydając żadnego dźwięku, poszła dalej, po czym zniknęła w dżungli.

Goście śmieją się z ulgą i gratulują ojcu daru opowiadania. Jestem z niego taka dumna w tej chwili.

- A co na to pańska żona? Z pewnością słyszała krzyk – odzywa się jedna z dam.

Twarz mego ojca odrobinę się zapada.

- Szczęśliwie moja żona odwiedzała akurat szpitalny oddział dla biednych, czym często się zajmowała.

- Musiała być dobrą i pobożną osobą – dodaje ta sama pani współczującym tonem.

- W rzeczy samej. Nie można złego słowa powiedzieć o pani Doyle. Wszystkie serca miękły na wzmiankę o jej imieniu, w każdym domu witano ją z otwartymi ramionami.

Cieszyła się nieskazitelną reputacją.

- Co za szczęście, że miała pani taką matkę – odzywa się kobieta po mojej prawej stronie.

- Tak – potwierdzam, zmuszając się do uśmiechu. – Wielkie szczęście.

- Opiekowała się chorymi – opowiada ojciec. – Wybuchła epidemia cholery, „Panie Doyle – rzekła moja żona – nie mogę siedzieć bezczynnie, podczas gdy inni cierpią. Muszę im pomóc”. Szła do nich codziennie, z modlitewnikiem w ręku. Czytała im i ocierała spoczone czoła, aż sama zachorowała.

To brzmi jak jedna z jego podkoloryzowanych historyjek, ale w tej nie ma ani krzty prawdy. Wiele można powiedzieć o mojej matce: była silna, lecz próżna, czasami czuła, a czasami bezwzględna, ale na pewno nie taka przesłodzona – pełna oddania święta, dbająca o rodzinę i chorych bez chwili wahania i bez słowa skargi. Spoglądałam na ojca, żeby sprawdzić, czy czymś się zdradzi, ale nie, on w to wierzy, w każdziuteńkie słowo. Sam sobie wmówił, że to prawda.

- Jaka dobra i szlachetna osoba – komentuje kobieta w diademie, poklepując babcię po dłoni. – Ucieleśnienie prawdziwej damy.

- Nie można złego słowa powiedzieć o mojej mamie – dodaje Tom, niemalże dosłownie powtarzając wypowiedź ojca.

Zapomnisz o bólu. To powiedziałam, biorąc ojca za rękę wczoraj w salonie, i powtórzyłam to dziś. Ale nie miałam na myśli czegoś takiego. Na przyszłość muszę być uważniejsza. Jednak nie moc magii ani to, że wszyscy, co do jednego, przyjęli słowa ojca za prawdę, przeraża mnie najbardziej. Nie, najbardziej niepokoi mnie to, jak bardzo sama chcę w nie wierzyć.

*

Podjeżdżają powozy, co stanowi sygnał do zakończenia wieczoru. Zbieramy się przed wejściem. Ojciec, Tom i doktor Hamilton zawzięcie nad czymś dyskutują. Babcia wybrała się na zwiedzanie klubu z kilkoma paniami i jeszcze nie wróciła. Odchodzę kawalek, żeby obejrzeć ogród, gdy nagle ktoś wciąga mnie w cień.

- Śliczna nocka, co?

Łotr ma kapelusz naciągnięty nisko na oczy, ale rozpoznaję ten głos, podobnie jak wściekle czerwoną bliznę przecinającą policzek. Pan Fowlson, wierny pies Rakshana.

- Nie krzycz – ostrzega, biorąc mnie za ramię. – Chcę tylko zamienić słówko w imieniu moich pracodawców.

- Czego chcecie?

- Au, ostra, co? – Jego uśmiech zamienia się w groźny grymas. – Magii. Wiemy, że związałaś ją ze sobą. Chcemy ją dostać.

- Oddałam ją. Teraz Zakon nią włada.

- No, no, znowu opowiadasz androny? – W jego oddechu czuć piwo i dorsza.

- Skąd pan wie, że nie mówię prawdy?

- Wiem więcej, niż sądzisz, słonko – odpowiada szeptem.

Ostrze noża lśni blade w chłodzie nocy. Oglądam się na ojca, który wesoło konwersuje z doktorem Hamiltonem. Tak bardzo przypomina tatę, za którym tęskniłam. Nie zrobię nic, co mogłoby zniszczyć ten kruchy spokój.

- Czego chcecie ode mnie?

- Powiedziałem ci. Chcemy magii.

- A ja panu odpowiedziałam. Nie mam jej.

Fowlson przesuwając płaską stronę ostrza po moim ramieniu, aż po skórze przebiega mi dreszcz.

- Jak sobie chcesz. Ale nie tylko ty potrafisz pogrywać w różne gierki. – Zerka w stronę mojego ojca i Toma. – To miło, że twój tato ma się lepiej. I braciszek też. Słyszałem, że chce

sobie wyrobić nazwisko. Stary Tom, dobry stary Tom. – Czubkiem noża odcina guzik przy mojej rękawiczce. – Może powinienem uciąć sobie z nim pogawędkę na temat tego, co wyprawia jego siostrunia, kiedy jej nie pilnuje. Wystarczy, że szepnę mu słówko, a wylądujesz w Bedlam.

- Nie zrobiłby tego.

- Taka jesteś pewna? – Fowlson odcina kolejny guziczek, który ze stukiem toczy się po bruku. – Widziałem dziewczątka, które nie umiały same zapiąć guzika po ostrej terapii, jaką im zalecono dla uleczenia umysłu. A może wolałybyś spędzać całe dnie w zamkniętym pokoiku, wyglądając na świat przez maleńkie okno?

Magia rozpała się we mnie i muszę wyteńczyć wszystkie siły, żeby ją powstrzymać. Fowlson nie może się dowiedzieć, że nią dysponuję. To nie jest bezpieczne.

- Oddaj mi magię. Dopilnuję, żeby odpowiednio o nią zadbane.

- To znaczy dla pańskiej korzyści?

- A jak się ma nasz przyjaciel Kartik?

- Chyba wiecie to lepiej niż ja, ponieważ od dawna go nie widziałam – kłamię. – Okazał się równie fałszywy jak wy wszyscy.

- Dobry stary Kartik. Kiedy znów go zobaczysz, to znaczy j e ś l i go zobaczysz, powiedz mu, że stary Fowlson o niego pytał.

Kartik mówił, że Rakshana uważają, iż on nie żyje. Ale skoro Fowlson sądzi inaczej, to Kartik może być w niebezpieczeństwie.

Nagle łotr chowa nóż do pochwy.

- Chyba zajechał wasz wóz, panienko. Niedługo znów się zobaczymy. Możesz na to liczyć.

Lekko wypycha mnie z cienia. Tom nieświadom tego, co się właśnie stało, kiwa na mnie ręką.

- Chodź, Gemmo.

Lokaj rozkłada schodki.

- Już idę – odpowiadam.

Gdy się odwracam, Fowlsona nie ma. Zniknął w ciemnościach, jakby nigdy go tu nie było.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Budzę się i widzę babcię, który z uśmiechem pochyla się nad moim łóżkiem.

- Wstawaj, Gemmo! Idziemy dzisiaj na zakupy!

Przecieram oczy, bo chyba nadal śnię. Nie, ciągle tam stoi. U ś m i e c h n i ę t a.

- Wybierzemy się do Castle'a i Synów zamówić suknię. A potem pójdziemy do cukierenki pani Dolling.

Babcia chce mnie zabrać do miasta. To fantastyczne! Teraz groźba Fowlsona wydaje mi się równie rzeczywista jak mgła. Próbuje mnie przestraszyć, co? Posiadam całą magię międzyświata i ani Zakon, ani Rakshana nie dowiedzą się o tym, dopóki nie osiągnę tego, czego pragnę. W końcu dokonałam już cudu we własnej rodzinie, czyż nie?

- Och, nie byłam u pani Dolling od wieków. Tyle tam ciastek! – Babcia mruga gwałtownie. – A dlaczego tam nie byłam? Nieważne. Pójdziemy dzisiaj i zamówimy, co tylko będziemy chciały, i... Gemmo! Dlaczego jeszcze nie jesteś ubrana? Mamy tyle do zrobienia!

Nie musi tego powtarzać. Zrywam się, aby się przygotować, i szukam w sukni w takim pośpiechu, że całą zawartość szafy przewracam do góry nogami.

*

Spędzam razem z babcią przecudowny dzień. Nie jest surowa i przerażająca jak zwykle, lecz po prostu wesoła. Z wszystkimi – począwszy od chłopca, który pakuje dla nas ciasto, po obcych na ulicy – wita się uśmiechem. Klepie po głowie pucybuta, który zupełnie nie wie, jak się zachować w obliczu takiego babcinego gestu, zwłaszcza że od dawna ma już więcej niż osiem lat.

- Och, spójrz tylko na te kapelusze, Gemmo! Jakie piękne pióra! Odwiedzimy modystkę i zamówimy sobie takie cuda? – Rusza do drzwi, a ja mocno chwytam ją pod ramię.

- Może innego dnia, babciu.

Powóz był już tak wypełniony jej nabytkami, że nie miałyśmy gdzie siedzieć. Babcia wysłała woźnicę z powrotem do domu, dając mu kilka dodatkowych szylingów, i uparła się, że wrócimy do Belgravii wynajętą dorożką.

- Wspaniale, prawda? Nie rozumiem, czemu nie zrobiłyśmy tego wcześniej? – Klepie mnie po ramieniu. – Dzień dobry! – woła wesoło do mleczarza, który przygląda jej się czujnie, jakby była czyjąś ekscentryczną ciotką na chwilę wypuszczoną ze strychu. – Rety, niezbyt rozmowny jest, co? Powiedziałam „dzień dobry”, proszę pana!

- Dzień dobry pani. – Mleczarz uśmiecha się ostrożnie i uchyla kapelusza, ale w jego wzroku nadal czai się podejrzliwość.

- No, o wiele lepiej. – Babcia uśmiecha się. – Widzisz? Potrzebują tylko odrobiny zachęty, żeby powychodzić ze swoich skorup.

Pracownia krawiecka Castle i Synowie, w której zamierzamy obstalować suknię na mój debiut, mieści się przy Regent Street. Znękana pomocnica z fryzurą na granicy pełnej katastrofy wynosi bele białego jedwabiu, które babcia dokładnie ogląda. Potem szwaczka zdejmuje ze mnie miarę. Gdy opasuje centymetrem mój biust, kręci głową i uśmiecha się do mnie współczująco. Moja życzliwość natychmiast wyparowuje. Nie możemy wszystkie być dziewczętami Gibsona. Gdy już każdy fragment mego ciała zostaje zmierzony i opisany, siadam obok babci na sofie. Pomocnica prezentuje kolekcje guzików oraz koronki, wstążki i pióra, a babcia wszystko odrzuca. Obawiam się, że będę miała najprostszy strój w całym Londynie.

W końcu szwaczka pokazuje najśliczniejszą suknię, jaką kiedykolwiek widziałam. Wymyka mi się ciche westchnienie. Ma krótkie, bufiaste rękawki ozdobione kokardami, a na jednym ramieniu bukietik jedwabnych róż. Spódnicę zdoła haft z delikatnych różowych koralików, a tren, który zdaje się długi na kilka kilometrów, jest wykończony delikatną falbaną. To suknia dla księżniczki i marzę o tym, by taką mieć.

Babcia przesuwając dłoń po wyszywanym koralikami jedwabiu.

- Co o niej sądzisz, Gemmo? – Nigdy nie pytała mnie o zdanie w żadnej kwestii.

- To najśliczniejsza suknia, jaką widziałam w życiu – odpowiadam.

- Prawda? Dobrze, uszyjemy taką.

Chętnie bym ją ucałowała.

- Dziękuję, babciu.

- No cóż, jestem pewna, że będzie o wiele za droga – narzeka. – Ale w końcu jest się dziewczęciem tylko raz.

Gdy o piątej wychodzimy od krawca, zapada już zmrok, a nad londyńskimi ulicami unosi się gazowy opar, który przyprawia mnie o kaszel. Nie przejmuję się tym. Jestem dziewczyną, które będzie miała u sukni jedwabne róże, a w dłoni wachlarz ze strusich piór. I kupimy ciastka w cukierni. Niech duszące lampy gazowe dokonują swego straszliwego dzieła!

Na rogu przechodzimy przez ulicę, kierując się do cukierni pani Dolling, i wtedy świat staje na głowie. Moja skóra się rozgrzewa, a na czole perli się pot. Magia płynie moimi żyłami jak wezbrana rzeka. Zalewają mnie myśli, cierpienia, pragnienia, tajemnice. Każda osobista tęsknota naciera na moją duszę.

...długie dni bez końca. A kiedyś mnie kochał...

...zbudujemy piękny dom z uroczym ogrodem od frontu...

Nie mogę myśleć. Oddychać. Muszę to powstrzymać. Nie...

...spuścić manto tobie podobnym...

Obracam głowę, ale nie potrafię określić, z której strony nadchodzi atak – muszę walczyć na zbyt wielu frontach naraz.

...oświadczę się dziś wieczorem i będę najszczęśliwszym człowiekiem na świecie...

...moje biedne dzieciątko złożone na wieczny spoczynek, a oni nie wiedzą, że ja wewnątrz też umieram...

...nowa suknia z odpowiednim kapeluszem...

Proszę, dość już. Nie mogę. Nie mogę oddychać. Ja...

Wszystko wokół mnie zwalnia do żółtego tempa. Idąca obok babcia zamiera z nogą uniesioną w pół kroku. Siedzący na krawężniku kataryniarz porusza miechami instrumentu z rozdzierającą powolnością. Jedna nuta trwa wieczność, a rozlegające się w tle powolne bicie Big Bena sprawia, że melodia przypomina marsza żałobnego. Koła wozów i dorożek, damy i dżentelmeni, sprzedawca mazideł zachwalający cudowne medykamenty – wszyscy wyglądają jak w sennej pantomimie.

- Babciu? – pytam, ale ona mnie nie słyszy.

Kątem oka dostrzegam gwałtowny ruch. Kobieta w lawendowej sukni maszeruje w moją stronę. Jej oczy lśnią gniewnie. Chwyta mnie mocno za nadgarstek, a moja skóra parzy pod jej brutalnym dotykiem.

- Czego p-pani chce? – pytam.

Podwija rękaw, żeby pokazać przedramię. Na jej skórze pojawiają się wyryte słowa:
Dlaczego mnie ignorujesz?

Czuję na języku metaliczny smak strachu.

- Nie ignoruję pani, tylko nie rozumiem, czego...

Wyciąga mnie brutalnie na ulicę.

- Chwileczkę – protestuję, wrywając się jej. – Dokąd pani mnie zabiera?

Kładzie dłoń na moich oczach i łączę się z nią w wizji. Wszystko dzieje się szybko, za szybko. Rząd reflektorów na scenie wodewilu. Iluzjonista. Dama pisząca na tabliczce: *Drzewo Wszystkich Dusz żyje. Prawdę odnajdziesz w Kluczu*. Kobieta w herbaciarni. Odwraca głowę i uśmiecha się. To panna McCleethy.

Nagle słyszę stukot końskich kopyt na bruku. Dama z wizji podrywa głowę i rozgląda się w panice. Czarny powóz ciągniony przez cztery lśniące rumaki wyłania się z londyńskiego mroku i pędzi ulicą. W jego oknach powiewają czarne zasłonki.

- Stój! – wołam, ale konie nabierają prędkości. Powóz jest tuż przed nami. Zostaniemy stratowane. – Puść mnie! – wołam i dama zmienia się w chmurę liści, które porywa wiatr.

Powóz przejeżdża przeze mnie, jakbym była zrobiona z powietrza i znika we mgle. Świat wskakuje na swoje miejsce, a ja stoję na środku ulicy wśród wozów i dwukółek, które próbują mnie ominąć. Jakiś lokaj krzyczy, żebym zeszła z drogi.

Babcia patrzy na mnie z przerażeniem.

- Gemmo Doyle, co ty robisz?

Udaje mi się wrócić na chodnik.

- Nie widziałaś? – sapię. – Czarny powóz pojawił się nagle znikąd, a potem równie szybko zniknął.

Konsternacja babci walczy z magią w jej wnętrzu.

- Nie pójdziemy na ciastka. – Wydyma wargi.

- Naprawdę go widziałam – upieram się.

Nadal rozglądam się w poszukiwaniu jakiegoś śladu po powozie i tamtej pani. Nigdzie ich nie ma, a ja nawet nie mogę być pewna, czy naprawdę ich widziałam. Ale co do jednego nie mam wątpliwości: w wizji pojawiła się panna McCleethy. Kimkolwiek była dama w lawendowej sukni, znała moją nauczycielkę.

*

Zostaję skazana na wygnanie do mojego pokoju, ale ratuje mnie tato, prosząc, żebym z nim posiedziała w małym gabinecie na drugim piętrze. Pełno tam książek i dokumentów, a także map dalekich miejsc, do których podróżował przy różnych okazjach. Na biurku stoją tylko trzy zdjęcia: mały dagerotyp mamy w dniu ślubu, moje i Thomasa jako dzieci oraz ziarnista fotografia przedstawiająca tatę i jakiegoś Hindusa jak z ponurymi i zaciętymi minami rozbijają obóz podczas polowania.

Ojciec unosi wzrok znad swojego dziennika obserwacji ornitologicznych, w którym zrobił właśnie nowy wpis. Palce ma poplamione atramentem.

- Słyszałem, że jakiś londyński woźnica wpadł w szaf i go poniosło.

Widzę, że babcia szybko podzieliła się nowinami.

Mam mu powiedzieć prawdę? Jak by zareagował?

- Pomyliłam się. W tej mgle ledwie cokolwiek widać.

- W Himalajach ludzie gubią drogę, gdy napływają chmury. Człowiek jest zdezorientowany i widzi rzeczy, które w rzeczywistości nie istnieją.

Siadam u stóp ojca. Nie robiłam tego, od kiedy przestałam być dzieckiem, ale teraz potrzebuję pocieszenia. Delikatnie poklepuje mnie po ramieniu, zajmując się dziennikiem.

- Czy to zdjęcie na biurku zrobiono w Himalajach?

- Nie, podczas wyprawy łowieckiej w pobliżu Lacknow – odpowiada zdawkowo.

Przyglądam się fotografii mamy, szukając swoich rysów w jej twarzy.

- Co wiedziałaś o mamie, zanim ją poślubiłeś?

Ojciec puszcza do mnie oko.

- Wiedziałem, że jest na tyle niemądra, by przyjąć moje oświadczenia.
- Znałeś jej rodzinę? Albo wiedziałeś, gdzie wcześniej mieszkała? – dopytuję się.
- Jej rodzina zginęła w pożarze. Tak mi powiedziała. Nie chciała poruszać

nieprzyjemnych wspomnień, więc nie nalegałem.

Tak już jest w mojej rodzinie. Nie rozmawiamy o nieprzyjemnych sprawach. One nie istnieją. A jeśli wystawią z dziury swą paskudną twarz, szybko je zakrywamy i odwracamy się.

- Mogła więc mieć swoje tajemnice.

- Hm?

- Mogła mieć tajemnice.

Ojciec ubija tytoń w fajce.

- Wszystkie kobiety mają swoje tajemnice.

Przytulałem się policzkiem do jego nogi.

- A zatem jest możliwe, że wiodła podwójne życie. Może była klaunem w cyrku. Albo piratem. – Przełykam z trudem. – Albo czarodziejką.

- Och, to by mi się podobało! – Ojciec rozpala fajkę. Pokój wypełnia mgiełka słodkiego aromatu.

- Tak – podejmuję temat, trochę ośmielona. – Czarodziejką, która ma dostęp do tajemnego świata. Posiadała wielką moc, tak wielką, że przekazała ją mnie, swojej jedynej córce.

Ojciec ujmuję mnie pod brodę.

- To prawda, przekazała.

Serce bije mi szybciej. Mogłabym mu powiedzieć. Mogłabym mu wszystko powiedzieć.

- Ojczy...

Tato zanosi się kaszlem.

- Przeklęty tytoń! – rzuca, szukając chusteczki.

Wchodzi gospodyni i bez pytania podaje ojcu kieliszek brandy.

- Ach, pani Jones – wzdycha tato, upijając kojący łyk. – Pojawia się pani niczym anioł miłosierdzia.

- Czy ma pan teraz ochotę na kolację, sir? – pyta gospodyni.

Ojciec nie jadł z nami dziś wieczorem. Twierdził, że nie jest głodny. Ale wygląda na tak wychudzonego, że mam nadzieję, iż w końcu coś zje.

- Myślę, że wystarczy talerz zupy – odpowiada tato.

- Oczywiście, proszę pana. Babcia prosi, żeby panienska dotrzymała jej towarzystwa w salonie.

- Dziękuję – odpowiadam, a moje serce drży, bo jeszcze nie mam siły na konfrontację.

Pani Jones opuszcza pokój bezgłośnie, jakby nawet jej suknia nie śmiała zaszeleścić w obawie, że przyciągnie uwagę tej, która ją nosi.

Ojciec podnosi wzrok znad dziennika. Twarz ma lekko zarumienioną po ataku kaszlu.

- Chciałaś mi powiedzieć coś jeszcze, kotku?

Mam moc, tato – ogromną moc, której zupełnie nie pojmuję. To błogosławieństwo, a zarazem klątwa. I obawiam się, że gdybyś o tym wiedział, już nigdy nie byłabym twoim kotkiem.

- Nie, nic takiego – wycofuję się.

- Ach, dobrze. Zmykaj zatem. Babcia nie powinna na ciebie zbyt długo czekać.

*

Babcia siedzi w fotelu, pochłonięta szyciem, a ja próbuję ustawić domek z kart.

- Twoje dzisiejsze zachowanie bardzo mnie zdenerwowało, Gemmo. A gdyby zobaczył cię ktoś znajomy? Musisz myśleć o swojej – i naszej – reputacji.

Ustawiam kolejną kartę na piętrze, które zbudowałam.

- Czy nie ma rzeczy ważniejszych niż opinie innych ludzi?

- Reputacja to najcenniejsze, co posiada kobieta – wyjaśnia babcia.

- To dość marne życie. – Na samej górze stawiam królową kier. Karciane ściany drżą i zapadają się pod jej ciężarem.

- Nie wiem, po co w ogóle się wysilam! – parska babcia.

Igła nabiera wściekłego tempa. Kiedy babcia nie potrafi zmusić mnie do posłuszeństwa wymówkami, nagina mnie do swojej woli poczuciem winy.

Próbuję znów ustawić karty, doskonaląc swoje wyczucie równowagi.

- Stójcie – szepczę. Kładę ostatnią kartę na szczycie i czekam.

- Czy tylko tym potrafisz się zajmować? Domkami z kart? – pyta pogardliwie babcia.

Wzdycham, a delikatny podmuch powietrza rujnuje całą moją pracę. Karty bezwładnie opadają na stos. Nie mam na to wszystko nastroju. Wydarzenia tego popołudnia były wystarczająco nieprzyjemne i nawet jeśli nie mogę znaleźć pocieszenia, potrzebuję przynajmniej spokoju. Odrobina magii wymaże jej i moje rozczarowania.

- Zapomnisz o wszystkim, co się wydarzyło dzisiaj po wyjściu od krawcowej, babciu.

Jestem twoją ukochaną wnuczką i wszyscy tworzymy bardzo szczęśliwą rodzinę – informuję.

Babcia spogląda bezradnie na robótkę leżącą na jej kolanach.

- Ja... zgubiłam ścieg.

- Daj, pomogę ci – proponuję i prowadzę jej rękę, dopóki znów nie wpada w rytm.

- Och, Boże. Dziękuję ci, Gemmo. Jesteś dla mnie wielkim oparciem. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Babcia uśmiecha się, a ja zmuszam się, by odpowiedzieć tym samym, choć głęboko w moim sercu rodzą się wątpliwości, czy nie przehandlowałam jednego życia w kłamstwie za inne.

*

Budzi mnie głośne pukanie do drzwi frontowych. Przecierając zaspane oczy, schodzę na dół. To mój brat robi takie zamieszanie. Wrócił w radosnym nastroju. Prawdę mówiąc, wkracza do bawialni ze śpiewem na ustach. To zjawisko niezgodne z naturą, jakbym patrzyła na psa, który jedzie na rowerze.

- Gemmo! – woła wesoło. – Nie śpisz!

- No cóż, trudno by było spać w takim hałasie.

- Przepraszam. – Kłania się i zbyt szybko rusza naprzód, przez co wpada na stoliczek i przewraca wazon z kwiatami. Woda wylewa się na babciny cenny perski dywan. Tom próbuje uratować wazon, który chybcze się niebezpiecznie.

- Tom, co ty wyprawiasz?

- To biedne naczynie nie czuje się dobrze. Wymaga leczenia.

- To nie jest pacjent – zauważam, odbierając mu wazon.

Mój brat wzrusza ramionami.

- Mimo to nie czuje się dobrze.

Opada na krzesło i próbuje zachować resztki godności, poprawiają przekrzywiony krawat. W jego oddechu bardzo mocno czuć zapach alkoholu.

- Jesteś pijany – mówię szeptem.

Tom unosi palec, jak prawnik zwracający się do świadka.

- To bardzo obrus... obrus... obreś... niesprawiedliwe posądzenie.
- Obrażliwe – podpowiadam mu.

Kiwa głową.

- No właśnie.

Obudził mnie idiota. Wróć do łóżka i zostawię go, żeby dręczył służących, a następnego ranka wił się pod ich oskarżycielskimi spojrzeniami. Najwyraźniej cała magia, jaką obdarzyłam Toma, rozproszyła się, a on znów jest tym samym nieznośnym bufonem.

- No dalej, spytaj mnie, co robiłem dziś wieczorem – nalega o wiele zbyt głośno.
- Tom, mów ciszej – szepczę.

Brat kiwa głową.

- No właśnie, właśnie. Cichy jak mysz pod miotłą, to ja. Już. Pytaj. – Zakłada ręce na piersi, niemalże dając sobie fangę w nos.

- Proszę bardzo – ulegam. – Jak ci minął wieczór?

- Zrobiłem to, Gem. Dowiodłem swojej wartości. Poproszono mnie, bym wstąpił do bardzo prestiżowego klubu. – Słowo „prestiżowy” brzmi bardziej jak „spiżowy”. Tom marszczy czoło, widząc moją zdumioną minę. – Wiesz, mogłabyś mi pogratulować.

- Czy chodzi o Ateneum? Myślałam...

Jego twarz pochmurnieje.

- Ach, tamto... - zbywa moje przypuszczenie machnięciem ręki. – Nie przyjmują takich jak ja. Nie wiesz? Nie jestem dla nich dość dobry. – Alkohol tylko wzmacnia jego rozgoryczenie. – Nie. To stowarzyszenie jest inne. Jak zakon templariuszy. Ludzie z misją! Ludzie czynu! – Macha gwałtownie rękami, niemalże znów strącając wazon. Szybko usuwam go poza zasięg Toma.

- Chyba raczej ludzie pierwotni – mruczę pod nosem. – No dobrze, zaintrygowałeś mnie. Cóż to za świątobliwy klub?

- Nie, nie mogę powiedzieć. Jeszcze nie. Na razie to sprawa poufna – odpowiada Tom.

Przykłada palce do ust, a potem drapie się po nosie. – Tajemnica.

- Zapewne właśnie dlatego omawiasz ją ze mną tak otwarcie.

- Kpisz ze mnie!

- Tak, a nie powinnam, bo to o wiele za łatwe.

- Nie wierzysz, że jakiś klub mnie wybrał? – Powieki mu ciężą, a głowa opada do przodu. Za chwilę straci świadomość. – No, tak się składa, że dziś wieczorem...

- Dziś wieczorem... - podpowiadam.

- ...dali mi upominek. Odznaczenie. Powiedzieli, że mnie ochroni przed... niewłaściwymi... wpływami...

- Przed czym? – pytam, ale nie ma to sensu.

Tom już chrapie. Wzdychając ciężko, biorę koc z sofy i owijam mu nogi. Podciągam okrycie pod jego brodę i krew zamarza mi w żyłach. W kłapie marynarki dostrzegam dobrze znaną mi szpilkę – czaszkę i miecz, insygnia Rakshana.

- Tom! – mówię, potrząsając nim. – Tom, skąd to masz?

Lekko odwraca się w fotelu, nie otwierając oczu.

- Mówiłem ci, że zaproponowano mi członkostwo w klubie dla dżentelmenów. W końcu dam ojcu powód do dumy i dowiodę, że jestem mężczyzną...

- Tom, nie możesz im ufać – szepczę, mocno ściskając go za rękę.

Próbuję za pomocą magii połączyć nasze myśli, ale alkohol, który mój brat wypił, zaczyna działać też na mnie. Kręci mi się w głowie i zataczam się.

Fowlson dotrzymał obietnicy. Gorycz podchodzi mi do gardła i ogarnia mnie strach. Wciągnął mnie w swoją rozgrywkę. Jeżeli zdradzę Tomowi mój sekret, brat uzna, że oszalałam. Jeżeli zastosuję magię, Rakshana dowiedzą się, że nadal nią dysponuję, i przyjdą po mnie, zanim zdolałam zrobić to, co muszę.

Na razie nie wolno mi ufać własnemu bratu. Jest jednym z nich.

*

Następnego ranka Tom odwozi mnie na dworzec, gdzie mam się spotkać z niejaką panią Chaunce, znajomą babci, która za niewielką opłatą pojedzie ze mną aż do Spence. Mój brat ma potężnego kaca. Nie jest pijakiem, czego dowodzi bladłość jego twarzy. Ma fatalny humor, i dobrze mu tak.

Co chwila zerka na zegarek kieszonkowy, bezustannie zrzedzając.

- Gdzie ona jest? Ach, te kobiety. Nigdy nie przychodzą punktualnie.

- Tom, ten klub, do którego przystałeś... - zaczynam, ale akurat wtedy pojawia się pani Chaunce, a Tom błyskawicznie przekazuje opiekę nad mną.

- Buźka, Gemmo. Miłej podróży.

Po krótkiej wymianie uprzejmości pani Chaunce, która dzięki Bogu interesuje się mną równie mało jak ja nią, zajmuje się walizkami. Proponuje bagażowemu pensa za fatygę. Chłopak patrzy na monetę ze wzgardą, więc wyciągam z portmonetki jeszcze dwie. Pani Chaunce nie jest zbyt dobrą opiekunką, gdyż natychmiast mnie gubi. Na szczęście zauważam, jak wsiada do pociągu, i pędzę, żeby za nią zdążyć.

- Chyba coś pani upuściła, panienko.

Odwracam się i staję twarzą w twarz z Fowlsonem, który trzyma w dłoni damską chusteczkę. Nie należy ona do mnie, ale to nie ma żadnego znaczenia. Chodziło tylko o pretekst, żeby się odezwać.

- Niech się pan trzyma z dala od mojego brata, bo...

- Bo co, laleczko?

- Bo pójdę na policję.

Śmieje się.

- I co im powiesz? Że twój brat zapisał się do klubu dla dżentelmenów, którego ty nie aprobujesz? Natychmiast wsadzą mnie do Newgate!

Ściszam głos, który brzmi teraz jak syk:

- Niech pan go zostawi w spokoju, bo... bo...

Zamiast uśmiechu pojawia się kamienne spojrzenie.

- Bo co? Porazisz mnie swoją mocą? Ale przecież już jej nie masz, co, laleczko?

Magia staje we mnie dęba, jak konie gotowe do biegu, i muszę powstrzymać ją z całej siły. Nie mogę dopuścić jej do głosu, nie teraz.

Pani Chaunce woła mnie przez otwarte okno, kaszląc i rozgarniając parę ręką.

- Panno Doyle! Panno Doyle! Proszę się pospieszyć!

- Miły chłopak z tego twojego brata. Bardzo łąknie szacunku, zna dobry grunt. Ambicja stanowi niezłą pożywkę dla magii. Bezpiecznej podróży, panno Doyle. Z pewnością niedługo się zobaczymy.

Siadam w przedziale obok pani Chaunce, a pociąg po chwili rusza. Groźba Fowlsona ciągle rozbrzmiewa w mojej głowie. Bardzo bym chciała komuś się zwierzyć. W pociągu pełno jest ludzi, którzy pragną już dotrzeć do celu albo cieszą się, że właśnie wyjechali. Wszyscy ze sobą rozmawiają. Matki podają dzieciom smakołyki, żeby maluchy nie marudziły. Ojcowie patrzą na nie z uwielbieniem. Podróżujące razem damy z uśmiechem podziwiają widoki za oknem. Nie mogę już powstrzymać magii i przez ciągły nacisk ich myśli obawiam się, że zaraz zwariuję. Próbuję nad nią zapanować, ale okazuje się to zbyt trudne przy tylu bodźcach, więc robię jedyne, co potrafię: wypowiadam życzenie, żeby nic nie słyszeć. Wkrótce choć życie nadal pulsuje wokół mnie, jestem sama w kokonie ciszy.

I zastanawiam się, co dobrego po tej mocy, skoro sprawia jedynie, że czuję się coraz bardziej samotna.

AKT III

ZMIERZCH

Władza absolutna demoralizuje absolutnie.
LORD ACTON

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Dwa dni później
Akademia Spence

Znów spadł deszcz. Przez dwa dni trzymał nas jako zakładników, zalewając lasy i zamieniając trawnik w gęste błoto. Zaciną w okno mojej sypialni, gdy w końcu zdejmuję przemoczoną, czerwoną chustkę, którą wywiesiłam po powrocie z Londynu. Potem ukrywam ją pod poduszką, gdzie nikt jej nie zobaczy. Do tej pory Kartik zawsze przychodził, gdy go wzywałam. Najpierw przeraziłam się, że pojechał do Bristolu i bez pożegnania zaokrętował się na Orlando. Ale wczoraj widziałam go przez okno. Zauważył czerwoną chustkę i odszedł, nawet się nie obejrzawszy.

Od tamtej pory już trzy razy zaczynałam do niego pisać.

Mój Drogi Kartiku!

Obawiam się, że muszę zakończyć naszą znajomość. Załączam chustkę, byś mógł nią osuszyć łzy, o ile masz nad czym płakać, bo zaczynam w to wątpić.

Pozdrawiam serdecznie
Gemma

Drogi Kartiku!

Bardzo mi przykro, że oślepieś. Niewątpliwie to właśnie się stało, gdyż w innym wypadku zauważyłabyś czerwoną chustkę, którą przywiązałam pod oknem mojej sypialni jako prośbę o pilny kontakt. Mimo że jesteś niewidomy jak pan Rochester, pozostanę Twoją przyjaciółką i dołożę starań, by Cię odwiedzić w Twej pustelni.

Z wyrazami współczucia
Gemma Doyle

Szanowny Panie!

Doprawdy nędzny z Pana przyjaciel. Gdy zostanę wielką damą, minę Pana na ulicy, nawet nie skinąwszy głową. Jeśli będzie Pan choćby w połowie tak się troszczył o Orlando, okręt z pewnością zatonie.

Łączę wyrazy ubolewania
Panna Doyle

Pióro znów zawisa nad kartką, gdy szukam słów, które oddadzą moje uczucia, ale znajduję jedynie te: „Drogi Kartiku... Dlaczego?”. Drę list na drobne kawałki i karmię nimi świeczkę, obserwując, jak moje cierpienie czernieje i zwija się, a potem rozpada się w popiół.

*

Po powrocie Ann i Felicity spotykamy się w wielkim salonie. Fee relacjonuje przebieg wizyty u lady Markham, a Ann opowiada o koszmarnym zachowaniu Lottie i Carrie. Ja jedna błędzę myślami gdzie indziej. Kłopoty z Kartikiem, Fowlsonem i Tomem wprawiły mnie w ponury nastrój.

- A potem pani Markham przedstawiła swojego syna Horace'a, który ma tyle wdzięku co konewka. Właściwie jestem pewna, że konwersacja z konewką byłaby ciekawsza.

Ann śmieje się.

- Naprawdę było aż tak fatalnie?

- Naprawdę. Ale uśmiechałam się słodko, starałam się nie robić zeza i wszystko poszło jak po maśle. Ufam, że udało mi się zdobyć uczucia lady Markham oraz jej patronat.

- A wiecie, co powiedziała do mnie Charlotte? – pyta Ann. – „Gdy zostaniesz moją guwernantką, będę robiła to, co zechcę. Jeśli nie będziesz mnie słuchała, powiem mamie, że widziałam, jak ruszasz jej biżuterię. Wtedy mama bez żadnych ceregieli wyrzuci cię na ulicę.”

Nawet Felicity jest wstrząśnięta.

- Diabelskie nasienie! Powinnyśmy ją powiesić za palce u nóg. Nie cieszysz się, że w końcu nie będziesz jej guwernantką?

- Tylko jeśli poradzę sobie na spotkaniu z panem Katzem – odpowiada Ann, obgryzając paznokcie. – Mam nadzieję, że list przyjdzie niedługo.

- Na pewno – pociesza ją Fee i ziewa.

- A jak tobie minęły święta, Gemmo? – interesuje się Ann.

- Spotkałam się z Fowlsonem – odpowiadam. – Zamierza mnie szantażować, żebym oddała magię, więc postanowił zwerbować mojego brata do stowarzyszenia Rakshana. Boję się tego, co mogą mu zrobić, że dobrać się do mnie.

- Rakshana! – Ann jest poruszona.

- Czemu nie zmienisz Fowlsona w wielką ropuchę albo nie pošlesz go głęboko w indyjską dżungłę? – złości się Felicity.

- Nie rozumiecie? Gdy tylko zdradzę, że posiadam magię międzyświata, odbiorą mi ją. Za żadne skarby nie mogą się o tym dowiedzieć.

- Więc co zrobisz? – denerwuje się Ann.

- Stało się jeszcze coś. Miałam w Londynie kolejną wizję i widziałam w niej pannę McCleethy. – Opowiada im o damie i o widmowym powozie. Cienie wiją się po ścianach namiotu Fee jak demony.

- Panna McCleethy... - mówi Ann, drżąc. – Ale co to znaczy?

- Właśnie, co nam po posłańcu, którego nie rozumiemy? – narzeka Felicity. – Czy choć raz któraś z tych zjaw nie mogłaby powiedzieć po prostu: „Serwus, Gemmo, strasznie przepraszam, że cię niepokoję, ale powinnaś wiedzieć, że należy się wystrzegać pani X... bo chce ci wyrwać serce z piersi! No to czołem!”?

Przewracam oczami ze zniecierpliwieniem.

- Bardzo jesteś pomocna, dziękuję. Obawiam się, że moje wizje tak nie działają. Muszę sama rozszyfrować ich znaczenie. Choć teraz zupełnie nie mam pojęcia, o co chodzi. Ale jest ktoś, kto może nam pomóc. Musimy wybrać się na pokaz w Egyptian Hall i odnaleźć tego doktora Van Ripple'a. Zaczę urabiać LeFarge najszybciej, jak to możliwe.

- Zgoda – popierają mnie przyjaciółki.

- Chcę wam coś pokazać. – Felicity otwiera pudełko i rozchyła warstwy czarnej bibułki. W środku znajduje się wyjątkowo piękna peleryna z aksamitu w kolorze nocnego granatu, przy szyi lamowana futrem i wiązana na jedwabne wstążki.

- Och! – Ann aż wstrzymuje oddech z zachwytem. – Szczęściara z ciebie.

Felicity trzyma w pelerynę w wyciągniętych dłoniach.

- Ojciec chciał zabrać małą Polly na wycieczkę. Sprzeciwiłam się, a on kupił mi to.

- Dlaczego się sprzeciwiłaś? – dziwi się Ann, nadal z uwielbieniem wpatrując się w pelerynę.

Spoglądamy na siebie z Felicity, ale szybko odwracamy wzrok. Obie wiemy, co dla admirala znaczy zabranie małej podopiecznej na wycieczkę. Groza odbiera mi mowę.

- Zamierzam dać ją Pip – mówi Fee, starannie układając zwój materii w pudle.

Wstrząśnięta Ann szeroko otwiera usta.

- Twoja mama nie będzie zła?
- A niech będzie – odpowiada Felicity, zaciskając wargi w wąską linię. – Powiem, że zniszczyła ją praczka. Zezłości się i zarzuci mi, że nie dbam o swoje rzeczy. A ja jej odpowiem, że ona o swoje też nie dba.
- Felicity wsuwa pudło pod fotel.
- A co z dzisiejszym wieczorem? Gemmo, idziemy do międzyświata?
- Patrz na mnie z nadzieją.
- No cóż... - Odchylam zasłonę i przyglądamy się pannie McCleethy, która siedzi z panią Nightwing i mademoiselle LeFarge, popija herbatę i wesoło z nimi gawędzi. Nightwing zerka ukradkiem na zegar, a ja wiem, że marzy o wieczornym kieliszku sherry. Przynajmniej możemy mieć pewność, że twardo przesypia nasze przygody. Ale McCleethy to całkiem inna sprawa. Czeka, abym popełniła błąd, abym dała jej dowód na to, że posiadam magię. A teraz po wizji moja podejrzliwość wobec niej wzrosła w dwójnasób.
- Przeklęta McCleethy – zżyma się Fee. – Wszystko zepsuje.
- Ann w zamyśleniu skubie dolną wargę.
- A gdybyśmy rzuciły na nią czar? Mogłybyśmy ją uśpić tak, żeby nie wstawała z łóżka przez kilka dni.
- Felicity prychnie z pogardą.
- Oszalałaś? Pewnie obdarłaby nas ze skóry, i to żywcem!
- Nie – protestuję. – Jeżeli skierujemy na nią choć odrobinę magii, zorientuje się. Nie wolno nam teraz ryzykować. Nie może niczego podejrzewać. Obawiam się, że będziemy musiały po prostu poczekać, aż zaśnie, zanim wybierzemy się do międzyświata.
- Wcale nie wygląda na śpiącą – lamentuje Ann.
- Mademoiselle LeFarge wstaje z krzesła.
- Osłaniajcie mnie – proszę, także wstając.
- Dopadam nauczycielkę w bibliotece, gdzie przegląda półki w poszukiwaniu jakiejś książki.
- *Bonsoir, mademoiselle LeFarge* – udaje mi się powiedzieć. – *Et, comment allez-vous?* Poprawia moją wymowę, nawet nie podnosząc wzroku:
- *Comq tale wu.*
- Tak, powinnam bardziej się starać.
- Byłabym szczęśliwa, panno Doyle, gdyby się pani w ogóle starała.
- Uśmiecham się jak pajac.
- Słusznie. – Nasza pogawędka zaczęła się wprost fantastycznie. Mogłabym jeszcze pokieroszować inny język, skrytykować jej suknię albo, Boże broń, zaśpiewać. – Piękny mamy wieczór, prawda?
- Leje deszcz – zauważa nauczycielka.
- Tak, owszem. Ale deszcz przecież jest potrzebny, prawda? Dzięki niemu kwiatki rosną ładnie i...
- Powstrzymuje mnie mądre spojrzenie mademoiselle LeFarge.
- Słucham, o co pani naprawdę chodzi, panno Doyle?
- Widzę, że zaręczyny z inspektorem Kentem rozbudziły w niej żyłkę detektywistyczną.
- Chciałam prosić, żeby zabrała nas pani na pokaz.
- Rozkładam ulotkę reklamującą spektakl Egyptian Hall i podaję ją nauczycielce. Kobieta przesuwa ją do lampy.
- Pokaz latarni magicznej? Jutro po południu!
- Zapowiada się wspaniale! I wiem, jak bardzo pani lubi takie przedstawienia!
- To prawda... - Z westchnieniem składa ulotkę. – Lecz nie są zbyt pouczające.
- Och, ale...

- Obawiam się, że muszę odmówić, panno Doyle. Za kilka miesięcy pójdzie pani do Londynu na sezon i będzie pani mogła oglądać, co tylko zechce. A teraz powinna pani raczej poświęcić więcej czasu na doskonalenie ukłonu. W końcu ma się pani zaprezentować przed królową. To najważniejsza chwila w pani życiu.

- Mam nadzieję, że nie – oponuję cicho.

Uśmiecha się do mnie uprzejmie, a ja przeklinam swojego pecha. Jak teraz dostaniemy się do Egyptian Hall i doktora Van Ripple'a?

Mogłabym ją zmusić, żeby zrobiła to, czego chcę. Nie, to potworne. Ale inaczej nie spotkamy się z doktorem Van Ripple'em. Dobrze, tylko ten jeden, jedyny raz.

- Droga mademoiselle LeFarge... - mówię, ujmując ją za rękę.

- Panno Doyle? Co...

Magia ją ucisza.

- Chce pani zabrać Felicity, Ann i mnie do Egyptian Hall jutro po południu. Chce pani tego nade wszystko. To będzie... pouczające. Obiecuję – zaklinam ją.

Rozlega się pukanie i przerywam kontakt z mademoiselle LeFarge akurat w porę, by ujrzeć w drzwiach pannę McCleethy.

- Gemmo, powinnaś być już w łóżku – mówi ona.

- T-tak, w-właśnie szłam na górę – dukam.

Ręce mi drżą. Magia w moim wnętrzu została poruszona i chce znaleźć ujście.

Rozpaczliwie usiłuję utrzymać ją pod kontrolą.

Mademoiselle LeFarge macha ulotką nad głową, jakby to był list od ukochanego.

- Czyż to nie wspaniałe? Jutro w Egyptian Hall odbędzie się pokaz latarni magicznej.

Poproszę panią Nightwing o pozwolenie, żeby zebrać dziewczęta. Widowisko zapowiada się bardzo pouczająco.

- Pokaz latarni magicznej? – Panna McCleethy śmieje się. – Nie wydaje mi się...

- Niech pani sama zobaczy: bracia Wolfsonowie! – Mademoiselle wciska ulotkę w rękę panny McCleethy. – Jestem bardzo wdzięczna pannie Doyle, że mi to pokazała. Natychmiast porozmawiam z panią Nightwing. Proszę mi wybaczyć.

Zostaję sama z panną McCleethy.

- Pójdę już do łóżka.

- Chwileczkę – zatrzymuje mnie, gdy próbuję się prześlizgnąć obok. – Źle się pani czuje, panno Doyle?

- N-nie – chrypię.

Nie śmiem na nią spojrzeć. Czy się zorientowała? Czy potrafi czytać w mojej twarzy? Czy wyczuwa magię jak zapach perfum?

- To dość nagły pomysł. Zastanawiam się, dlaczego mademoiselle LeFarge tak się nim przejęła?

- Mademoiselle LeFarge uwielbia takie w-wydarzenia – udaje mi się z trudem wydukać.

Pot perli się na moim czole. Magia chce się wydostać. Oszaleję, próbując ją okiełznać!

Przez najdłuższą chwilę w moim życiu żadna z nas nic nie mówi. W końcu panna McCleethy przerywa milczenie.

- W porządku. Skoro to ma być taki pouczający spektakl, to może ja też powinnam się na niego wybrać.

Niech to gęś!

W końcu uwolniona spod władzy spojrzenia panny McCleethy idę chwiejnym krokiem do swego pokoju, niemalże wymiotując z powodu wstrzymywanej mocy. Otwieram okno na oścież i przykucam na parapecie, pozwalając, żeby delikatny deszcz zrosił moją zwróconą ku górze twarz, ale to nic nie pomaga. Magia mnie wzywa.

Leć! – woła.

Staję na wąskim parapecie, mocno trzymając się framugi, a moje ciało wygina się w łuk. Rozluźniam uchwyt. Moje ramiona przemieniają się w lśniące czarnoniebieskie skrzydła kruka, a ja wzbijam się w niebo wysoko nad Spence. Co za cudowne uczucie, mogłabym na zawsze pozostać we władaniu tej mocy.

Robię pętle nad obozem robotników. Część mężczyzn gra w karty, a część się boksuje. Kawalek drogi dalej wędruje trupa nietrzeźwych aktorów, którzy podają sobie z rąk do rąk butelkę whisky. Lecę nad cygańskim taborem, gdzie Ithal trzyma wartę, a matka Elena śpi niespokojnie w namiocie, mamrocząc imię, które istnieje już tylko we śnie.

W hangarze na łodzie świeci się światło i wiem, kogo tam zastanę. Ląduję miękko jak płatek śniegu i zrzucam z siebie kształt kruka. Przez brudne okno widzę go z latarnią i książką. Czy dostanę to, czego chcę?

Wsuwam się przez drzwi, a Kartik mierzy mnie wzrokiem – dostrzega moją zarumienioną twarz i włosy w kompletnym nieładzie.

- Gemma? Co się stało?

- Śniesz – mówię, a jego powieki opadają.

Gdy znów otwiera oczy, znajduje się w krainie zmierzchu, między przebudzeniem a snem.

- Dlaczego do mnie nie przyszedłeś? – pytam.

Jego głos dobiega jakby z oddali.

- Stanowią zagrożenie dla ciebie.

- Mam już dosyć bezpieczeństwa. Pocałuj mnie – mówię i postępuję krok do przodu. –

Proszę.

Przemierza dzielącą nas odległość dwoma susami, a siła jego pocałunku zapiera mi dech w piersiach. Wplata dłonie w moje włosy, odchylając moją głowę, a jego usta przesuwają się po mojej szyi.

To wyłącznie magia, nie rzeczywistość. Nie, nie myśl o tym. Myśl tylko o pocałunku. Istnieje tylko to. Tylko to. Pocałunek.

Kartik wsuwa język do moich ust, a ja cofam się przestraszona. Lecz on przyciąga mnie do siebie w kolejnym pocałunku, tym razem jeszcze bardziej wygłodniałym. Delikatnie bada wnętrze moich ust końcem języka. Przesuwa rękę w dół, a potem w górę. Obejmuje dłonią moją pierś i jęczy cicho. Z trudem łapię oddech. Czuję, że nie panuję już nad tą mocą i nad własnymi emocjami.

- Przestań! – proszę. Wypuszcza mnie, a ja walczę ze sobą, żeby nie przyciągnąć go z powrotem. – Teraz śpij.

Kładzie się na podłodze i zamyka oczy.

- Będiesz miał same przyjemne sny – dodaję.

Wymykam się z hangaru, dotykając palcami ust opuchniętych od pocałunków. I choć posiadam wielką moc, nie mogę pohamować pełnego zadowolenia uśmiechu, który na nich zakwita.

*

Gdy docieramy do Krainy Granicznej, dziewczęta ze szwalni wydają znany nam okrzyk. Odpowiadamy im podobnie, a one wyłaniają się spomiędzy drzew i krzewów jak za sprawą magii. Na spódnicach Mae i Bessie widać ciemnoczerwone smugi.

- Złapałyśmy bazanta – wyjaśnia Bessie, zauważając moje spojrzenie. – Wyobrażacie sobie? – Uśmiecha się, ukazując ostre zęby.

- Wróciłyście! – woła Pippa. Zawinęła spódnice i wetknęła jej rąbek pod pasek, tworząc wór, który obwisa pod ciężarem jagód. Obejmuje nas po kolei, a kiedy dociera do mnie, szepcze mi prosząco na ucho: - Idziemy do kaplicy?

- Pip, mam dla ciebie prezent – mówi Felicity, wyciągając pudełko.

- Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę. Za minutkę wrócimy!

Twarz Felicity chmurzy się, gdy Pippa prowadzi mnie do rozpadającego się zamku, wesoło nucąc pod nosem. Gdy już znajdujemy się za butwiejącym gobelinem, przesypuje jagody do dużej misy, po czym chwyta mnie za rękę.

- Dobrze, jestem gotowa na magię.

Cofam dłonie.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, Pip.

- Gemmo – mówi, obejmując mnie ramionami w talii – wiesz chyba, jak bardzo cię kocham, prawda?

- Mnie kochasz czy magię?

Zraniona Pippa odchodzi pod ołtarz, wrywając po drodze nagietki wyrastające między płytami na podłodze i rozrzucając je na boki.

- Nie odmówisz mi chyba odrobiny szczęścia, Gemmo? Jestem tu uwięziona na wieczność, mając za towarzyszkę jedynie te nieokrzesane, proste dziewczuchy.

- Pippo – przemawiam do niej łagodnie – chcę twojego szczęścia, naprawdę chcę. Lecz już niedługo będę musiała oddać magię Świątyni i stworzyć sojusz, który będzie czuwał nad jej bezpieczeństwem. Nie zawsze będę ją miała w palcach na zawołanie. Zastanawiałaś się nad tym, co będziesz robiła później?

W jej oczach wzbierają łzy.

- A czy ja nie mogę należeć do waszego sojuszu?

- Nie wiem – odpowiadam. – Ty nie... - Gryzę się w język, zanim powiem coś więcej.

- Nie żyję? Nie należę do żadnego plemienia? – Wielka łza spływa po jej policzku. – Nie należę do waszego świata i należę do ich świata. Nie jestem też częścią Krainy Zimy. Nigdzie nie mam swojego miejsca, tak?

Uderzyła w najbardziej wrażliwy punkt, gdyż sama czułam się tak niezliczoną ilość razy.

Pip ukrywa twarz w dłoniach.

- Nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Zawsze odliczam godziny do waszej ponownej wizyty.

- My czujemy to samo – zapewniam ją.

Bo gdy jesteśmy razem, wszystko wydaje się możliwe i wieczne. Po prostu chciałybyśmy, żeby tak było zawsze, żebyśmy zawsze tańczyły, śpiewały i biegały ze śmiechem po lesie. Ta myśl wystarcza, bym wzięła przyjaciółkę za rękę i podzieliła się z nią magią.

- Chodź – mówię, wyciągając ramiona, a ona rzuca się biegiem w moją stronę.

*

- Pip, mam dla ciebie prezent! – powtarza Felicity, gdy wracamy. Rozkłada lamowaną futrem pelerynę.

- Och – wzdycha Pippa, tuląc do siebie materiał. – Jest wspaniała! Kochana Fee! – Daje przyjaciółce gorącego całusa w policzek, a Felicity uśmiecha się, jakby była najszczęśliwszą dziewczyną na świecie.

Bessie Timmons wciska się między nie. Unosi pelerynę, oglądając ją dokładnie.

- Wcale nie wygląda jakoś wyjątkowo.

- Przestań, Bessie – strofuje ją Pippa, zabierając prezent. – Tak nie można. Dama powinna mówić miłe rzeczy albo wcale się nie odzywać.

Bessie opiera się o marmurową kolumnę, z której licznych pęknięć wyrastają chwasty.

- No to ja się lepiej przymknę.

Pippa unosi włosy, pozwalając Felicity zawiązać wstążki peleryny na swojej smukłej szyi, a potem chodzi w niej dumna jak paw.

Ann wraz z dziewczętami siedzi pod ołtarzem i opowiada im *Makbeta*. W jej ustach brzmi on po prostu jak historia o duchach, bo tym chyba w gruncie rzeczy jest.

- Nigdy nie byłam w prawdziwym teatrze – wyznaje Mae Sutter, gdy Ann kończy.

- Założymy tu własny teatr – obiecuje Pippa. Zasiada na tronie, jakby się do tego urodziła.

Felicity znajduje starą draperię i jednym dotknięciem przemienia ją w taką samą pelerynę, jaką dostała od niej Pip. Jest śliczna, ale kiedy Fee znajduje się obok przyjaciółki, widać, że to tylko iluzja bez porównania gorsza od prawdziwej.

- Nasza Ann będzie miała przesłuchanie przed Lily Trimble.

- No jasne! – śmieje się Mae.

- Naprawdę – potwierdza Ann. – Na West Endzie.

- W Londynie... - mówi Mercy z mieszaniną podziwu i zazdrości. – Pamiętasz frytki, które dostawałyśmy w środy, Wendy?

- Ta, tłuste były.

- Ociekające tłuszczem i gorące jak ogień! – Uśmiech Mercy blednie. – Brakuje mi ich.

- E, mnie nie. – Bessie Timmons zrywa się z miejsca i przepycha naprzód. – Wieczna niedola. Praca od świtu do zmierzchu. W domu też nic dobrego nie czeka, tylko matka i zbyt wiele gąb do wykarmienia.

Mercy wbija wzrok w buty.

- Nie żyło się aż tak źle. Moja siostra Gracie była bardzo słodka. A ja miałam wielkie marzenia. – Dziewczyna pociąga nosem i wyciera oczy.

Bessie kuca przed nią i warczy jej prosto w twarz:

- Ból brzucha i palce sztywne z zimna – oto co miałaś, Mercy Paxton. Nie płacz za tym. Mae wtrąca się do rozmowy.

- Tutaj mamy wszystko, Mercy. Nie widzisz?

- Mercy, podjedź do mnie – rozkazuje Pippa. Dziewczyna podnosi się niezdarnie z podłogi i zbliża się nieśmiało. Pip obejmuje jej twarz dłońmi, uśmiechając się. – I tak nie ma wyjścia, więc otrzyjmy łzy. Postaramy się, żeby było tutaj jak w naszych najśmielszych marzeniach. Zobaczysz.

Mercy wyciera nos rękawem, tym jednym ruchem ujawniając swój prawdziwy wiek. Nie ma więcej niż trzynaście lat. Potworna jest myśl, że harowała w szwalni od rana do nocy.

- No więc kto ma ochotę na wesołą przygodę? – pyta Pippa.

Dziewczęta wydają entuzjastyczne okrzyki. Nawet Mercy się uśmiecha.

- Jaką przygodę? – chce wiedzieć Ann.

Pippa chichocze.

- Będiesz musiała mi zaufać. A teraz zamknijcie oczy i chodźcie za mną. Nie wolno podglądać!

Pip prowadzi, a my idziemy gęsiego za nią, trzymając się za ręce. Wychodzimy z zamku. Czuję na skórze chłód od strony Krainy Granicznej.

- Otwórzcie oczy! – wydaje polecenie Pippa.

Przed nami wyrasta wielgachny żywopłot, wysoki na ponad cztery metry. Przy jednym końcu dostrzegam wejście.

Ann uśmiecha się szeroko.

- To labirynt!

- Tak – potwierdza Pip, klaszcząc w ręce. – Czyż nie wspaniały? Kto się chowa?

- Ja – oświadcza Bessie Timmons. Biegnie za róg i znika we wnętrzu labiryntu.

- I ja. – Mae podąża za nią.

- Uwielbiam zabawę w chowanego. Znajdź mnie, Fee! – To powiedziawszy, Pip zadziera spódnicę, a Felicity ze śmiechem rzuca się w pogoń za nią.

Wchodzę jako ostatnia. Nie wiem, jak pozostałe mogły uciec mi tak szybko. Mijam zakręt za zakrętami, ale widzę tylko błysk koloru i nic więcej. Ściany zrobione są z najdziwniejszego żywopłotu, jaki w życiu widziałam – wygląda jak ciasno utkana koniczyna z małymi czarnymi kwiatkami. Mogłabym przysiąc, że się przesuwają, a gdy patrzę do tyłu, ich układ się zmienia. Osamotnienie sprowadza mój umysł na dziwne manowce, więc przyspieszam kroku.

- Ann! – wołam.

- Tutaj! – odpowiada.

Dźwięk dochodzi jednocześnie zewsząd i kompletnie nie mam pojęcia, dokąd iść. Słyszę szept. Czy dobiega gdzieś z przodu?

Gdy mijam kolejny róg, widzę Felicity i Pip, które ze splecionymi dłońmi stoją blisko siebie, dotykając się czołami. Rozmawiają ściszymi głosami i dolatują do mnie tylko pojedyncze słowa i frazy.

- ...jest sposób...

- ...ale jak...

- ...mogłybyśmy... razem... rozumiesz?

- ...Pip...

- ...obiecuj mi...

- ...obiecuję...

Nadeptuję na złamaną gałąź, która pęka z głośnym trzaskiem. Przyjaciółki natychmiast puszczają swoje ręce i czarują mnie sztucznymi uśmiechami.

- Nie powinnaś się tak zakradać, Gemmo – karci mnie Fee, ale dłoń przyciska do serca, a na twarzy ma rumieniec.

Pippa podskakuje, rozpluwając się w uśmiechach.

- Fee uczyła mnie, jak się dyga przed królową. To okropnie trudne, ale ona doskonale sobie z tym radzi, prawda, Fee?

Jakby na dany znak Felicity wykonuje ukłon, rozpościerając rękami spódnicę i nisko opuszczając głowę. Zerka na mnie zimnymi oczami.

- Rozmawiałyście o dygnięciu – powtarzam tępo.

- Tak. – Uśmiech Pippy to kłamstwo.

- Nieważne. Nie musicie mi mówić – odpowiadam, odwracając się.

- Gemmo, nie bądź niemądra! – woła za mną Felicity. – Naprawdę mówiłyśmy o dygnięciu!

Słyszę jak szepczą za moimi plecami, gdy się oddalam. Dobra. Niech sobie mają swoje sekrety. Skręcam kilka razy i kluczę po labiryncie. Magia wiruje i burzy się we mnie. Mogłaby pożreć świat, pochłonać go w całości. Muszę biec. Uderzać. Ranić i leczyć w równej mierze.

M u s z ę, więcej już niż potrafię znieść.

Na miękkich nogach wbiegam do lasu. We wszystkich miejscach, których dotykam rękami, rodzi się coś nowego. Dziwne kwiaty wysokie jak mężczyźni. Chmara motyli o lśniących żółtych skrzydłach obrzeżonych czernią. Ciemnofioletowe owoce na gałęziach, ciężkie i jędrne. Wyciskam jeden w dłoń, a sok zmienia się w czerw. Szybko go odrzucam. Odrażające stwory wkopują się w ziemię, a ziemia rodzi ład dzikich kwiatów.

Wśród drzew migoczą światełka i pojawia się wrózkopodobna istota.

- Co za moc! – powiada ze zdumieniem.

Głowa mam lekką i jestem wprost spęczniała od magii. Nagle chcę już tylko się jej pozbyć.

- Proszę – mówię, kładąc dłoń na jej głowie.

Jest zimna jak śnieg i dostrzegam przepaścistą ciemność, zanim cofam rękę. Stwór zatacza koło, zostawiając za sobą smugę iskier.

- Aaach, teraz cię znam – mruczy i przesuwa palcem po moim sercu.

Potrząsam przecząco głową.

- Nikt mnie nie zna.

Istota krąży powoli wokół mnie, aż zaczyna mi się kręcić w głowie.

- Jest takie miejsce, w którym zostaniesz poznana. Będiesz kochana. – Zimnym oddechem muska moje ucho. – Chciana. Musisz tylko pójść za mną.

Ulatuje w tumany mgły, które przesłaniają Krainę Zimy, a ja biegnę za nią, pozwalając, by mgła mnie połknęła, aż śmiech moich przyjaciółek staje się ledwie bladym wspomnieniem dźwięku. Jestem dalej, niż kiedykolwiek byłam. Lepkie pnącza ślizgają się po moich bosych stopach jak węże, które wypełzły na powierzchnię ziemi. Staję, wstrzymując oddech.

Wróżka zawisa nieopodal mojego ramienia. Oczy ma jak czarne klejnoty.

- Słuchaj... - szepcze.

Tuż przy uchu słyszę głos z Krainy Zimy, miękki niczym pocałunek matki na dobranoc.

- Zdradź nam swoje lęki i pragnienia...

Coś głęboko we mnie pragnie odpowiedzieć. Ogarnia mnie taka tęsknota, jakbym odnalazła fragment siebie, choć do tej pory nawet nie odczuwałam jego braku.

Głos rozlega się ponownie.

- Tu jest twoje miejsce, tu znajduje się twoje przeznaczenie. Nie ma się czego bać...

Usta wróżki układają się w uśmiechu.

- Słyszysz to?

Kiwam głową, lecz nie mogę mówić. Nie mogę się oprzeć temu wezwaniu. Chcę tylko iść, połączyć się z tym, co czeka po drugiej stronie.

- Mogłabym pokazać ci drogę do Drzewa Wszystkich Dusz – mówi istota o lśniących złocistych skrzydłach. – Poznałabyś wtedy prawdziwą moc. Nigdy już nie byłabyś samotna.

Pnącza pieszczą moje kostki, a jedno wspina się wyżej po łydcie. Mgła się rozstępuje. Wzywa mnie brama do Krainy Zimy. Robię krok w jej stronę.

Małeńki stwór zagania mnie chudymi palcami.

- Tak jest, idź dalej.

- Gemmo! – Słyszę swoje imię, które przepływa przez mgłę, i cofam się o krok.

- Nie słuchaj! Idź naprzód! – syczy wróżka, ale przyjaciółki znów mnie wołają, a tym razem słyszę coś jeszcze: tętent galopujących koni.

Odwracam się plecami do Krainy Zimy oraz do małej istoty i biegnę, aż mgła się przerzedza i znajduję się znów koło zamku. Dziewczęta wyłaniają się z labiryntu.

- Co to? Co się dzieje? – woła Ann. Trzyma Wendy pod ramię.

- Tam! – woła Felicity i rzucamy się pędem do ściany jeżyn.

Na ścieżce pojawia się grupa centaurów, której przewodzi Kreostus. Zwalniają na nasz widok.

Kreostus wskazuje na mnie.

- Kapłanko! Jedziesz z nami.

- Nigdzie z wami nie pojedzie – oświadcza Felicity, stając po mojej prawicy jak żołnierz. Centaur stąpa powoli na mocnych nogach.

- Wzywa ją Filon. Musi się wytłumaczyć.

- Będziemy ci towarzyszyły, Gemmo – przyrzeka Ann.

- Ale tak dobrze się bawiłyśmy. – Pippa wydyma usteczka.

- Mamy iść? – pyta Felicity, lecz nie puszcza dłoni Pip.

Przypomina mi się, jak te dwie szeptały za moimi plecami, dzieliły się sekretami, odtrąciły mnie. No cóż, może ja też będę miała swoją tajemnicę.

- Nie. Pójdę sama – odpowiadam i daję nura przez jeżyny na drugą stronę.

- Tak, Gemma wszystko wyjaśni, prawda? – szczebiocze Pippa, znów ciągnąc Fee w stronę labiryntu.

Kreostus mierzy Wendy głodnym wzrokiem.

- Chciałbym zabrać cię ze sobą i uczynić moją królową. Jechałaś kiedyś na grzbiecie centaura?

Mae odciąga Wendy dalej od niego.

- Uważaj sobie, sir. Jesteśmy damami.

- Tak, wiem. Damy. Mój ulubiony gatunek.

- Kreostusie, jeżeli skończyłeś już zalecać się do panny Wendy, pójdę z tobą do Filona – przerywam, zastanawiając się, co może być takiego pilnego, że Filon mnie wzywa.

Grzmiący śmiech Kreostusa wywołuje gęsią skórę na moich ramionach. Centaur podchodzi bliżej.

- Zazdrosna, kapłanko? Chcesz walczyć o moje względy? Chciałbym to zobaczyć.

- Nie wątpię. Ale prędzej zdechniesz, więc jedźmy do Filona, jeśli łaska.

- Ona mnie uwielbia – mówi, puszcżając oko.

Miałabym ochotę włożyć mu czepek na głowę, namalować jego portret, jak tańczy do dźwięku dud, a potem powiesić go w salonie jakiejś modnej damy.

- Kreostusie, jedziemy czy nie?

Ociera się o mnie ciałem.

- Tęsknisz za tym, by zostać ze mną sam na sam, co?

- Zamienię cię w biedronkę. Chcesz sprawdzić?

Zupełnie bez wysiłku centaur wrzuca mnie sobie na plecy. Ruszamy w stronę lasu, a ja z całych sił obejmuję go w pasie. Niezależnie od wszystkiego powód tego wezwania nie może być dobry. Zauważam na rzece gorgonę, która płynie pełną prędkością, próbując nas dogonić.

Nie, wcale nie jest dobrze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Dzisiaj w lesie panuje inna atmosfera. Stworzenia nie odpoczywają bez troski, dzieci się nie bawią. Zamiast tego wszyscy ciężko pracują. Jedni ostrzą drewniane kije, inni wypróbowują prymitywne kusze. Nad moją głową przelatuje grad strzał, więc odruchowo się pochylam. Trafiają w miękką korę odległych drzew. Gorgona przybija do brzegu, a ja biegnę prosto do niej.

- Gorgono, co się dzieje?

- Nie wiem, Wasza Wysokość. Ale szykują się kłopoty.

Filon zmierza w naszą stronę długimi krokami, odziany w przepiękny płaszcz z gałązek i liści z wysokim kołnierzem i rękawami o trójkątnych mankietach, które kończą się tuż nad czubkami jego długich palców. Na mój widok mruży kocie oczy.

- Zdradziłeś nas, kapłanko.

- Co ty mówisz? Ja was zdradziłam? Jak?

Leśni ludzie zbierają się wokół Filona. Niektórzy dzierżą włócznie. Neela wskazuje na grzeb Kreostusa, wydymając usta w wyrazie niesmaku.

- Widziano cię w Świątyni, gdzie prowadziłeś potajemne rozmowy z Hajinami – oskarża mnie Filon.

- To nieprawda! – protestuję.

Filon i Kreostus wymieniają spojrzenia. Czy Filon mnie oszukuje? Czy to podstęp albo jakiegoś rodzaju sprawdzian?

- Zaprzeczasz, że odwiedziłaś Świątynię?

Poszłam tam, żeby zobaczyć się z Kirke, ale tego nie mogę im powiedzieć.

- Odwiedziłam ją – potwierdzam ostrożnie. – Tam przecież mamy podać sobie ręce i zawrzeć sojusz, czyż nie?

Neela wspina się na pień i przykuca na nim. Gdy mówi, jej włosy przechodzą od błękitu do czerni i z powrotem.

- Ona zawrze z nimi sojusz i zdradzi nas na rzecz Zakonu! Znowu odnowią runy! – krzyczy. – Brudasy Hajini rządzą makowymi polami i musimy się z nimi targować o zbiory. Szmer niezadowolenia przebiega wśród zebranych.

Neela uśmiecha się znacząco.

- Filon każe nam czekać, a tymczasem Niedotykalni zaraz zawrą sojusz z Zakonem i dostaną całą moc. Będzie tak jak zawsze i znowu leśny lud będzie musiał cierpieć.

- *Nyim syatt!* – grzmi Filon, ale głos przywódcy leśnego ludu zagłuszą wzburzone okrzyki członków plemienia. Wołają: „Co z naszym udziałem?” i „Nie damy się znowu oszukać!”.

- Ile potrwa, zanim przyjdą po naszą ziemię? Zanim zabiorą tę resztkę mocy, która nam została? – pyta ze złością jakiś centaur.

Neela wraca na grzbiet Kreostusa.

- Walczmy! Zmusimy kapłankę siłą, żeby zawarła z nami sojusz.

Filon przygotowuje fajkę. Długimi, ciemnymi palcami ugniata w niej czerwone płatki.

- Co odpowiesz na te zarzuty, kapłanko?

- Dałam wam słowo, że uszanuję prawa plemienia, i zamierzam go dotrzymać.

Neela zwraca się do tłumu:

- Słyszycie, jak gładko kłamie?

- Nie kłamie! – wołam.

Kreostus staje za moimi plecami, odcinając mi drogę ucieczki.

- Mówiłem ci, że nie można jej ufać, Filonie. Jest jedną z nich, a one nigdy chętnie nie rozstają się z magią. Zakon! – parska pogardliwie. Przechadza się, mówiąc, jakby zwracał się

do swoich żołnierzy. – Pamiętam, jak Zakon ukarał moją rodzinę. Pozbawił nas wszystkiego. Nasi ojcowie zostali wygnani do Krainy Zimy, a nasza rasa nie toleruje chłodu. Ci, których nie zabiły żywioły, ponieśli śmierć z rąk tamtejszych stworzeń. Byli torturowani i jeszcze gorzej. Zginęło całe pokolenie centaurów. Nie pozwolimy, żeby to się powtórzyło. Nigdy więcej!

Centaury uderzają kopytami w ziemię i wznoszą okrzyki.

- Odebrali mi ojca. Honor każe mi wziąć w odwecie życie dwojga z nich.

- Honor – syczy gorgona z laguny. – Co ty możesz wiedzieć o honorze?

Kreostus niepostrzeżenie przesuwa się do wielkiej bestii na dziobie statku.

- Więcej niż ktoś, kto jest ich sługusem. Opowiedziałaś jej, jak zdradziłaś własny lud?

- Dostyc gadania – ucina gorgona.

- Filonie, jeżeli Hajini spiskują z Zakonem przeciwko nam, powinniśmy uderzyć, póki jeszcze możemy, póki nie odebrali nam wszystkiego – przekonuje Neela.

- Niedotykalni są nastawieni pokojowo – oponuję.

- To zdrajcy i tchórze. – Neela przytula się do Filona, zaciąga się fajką i wydmuchuje dym prosto w jego usta. – Dlaczego wszystkie maki należą do tych brudnych kalek, Filonie?

Dlaczego musimy z nimi handlować?

- Takie mają prawa od czasu rebelii – odpowiada Filon.

- Bo wzięli stronę Zakonu. A teraz spiskują przeciwko nam! Zakon zabierze to, co nasze, i odda Niedotykalnym! Nic nam nie zostanie!

- Zupełnie we mnie nie wierzysz, Neelo? – Filon mruży oczy.

- Nie widzisz wyraźnie całej sytuacji. Za dużo wiary pokładasz w tej dziewczynie.

Rozpoczęła się bitwa o międzyświat. Oni chcą nas zniszczyć. Musimy uderzyć w obronie własnej.

- Oni nas nie zaatakowali pierwsi.

- Zapomniałeś, co nam zrobili? – woła Kreostus.

Rozlegają się kolejne gniewne okrzyki, coraz bardziej zapalczywe, aż w końcu tłum wpada w amok.

- Zabiorą naszą ziemię! Zabiją nasze dzieci! Musimy zaatakować!

Strzała rozszczenia powietrze nad moją głową i opada na ziemię przede mną.

- *Nyim!* - grzmi Filon. – Nie prowadzimy wojny z Niedotykalnymi ani z Zakonem.

Jeszcze nie. Jeśli chodzi o ciebie, kapłanko, uznam, że brak mi wystarczających dowodów winy. Na razie. Ale musisz udowodnić, że działasz w dobrej wierze.

- Jak?

Spojrzenie Filona jest nieprzeniknione.

- Wymagam aktu dobrej woli. Powiedziałaś, że możesz obdarowywać magią. Dobrze więc, zgadzam się. Obdarz mnie, abym miał własną magię.

Rzeczywiście powiedziałam tak, ale teraz już nie jestem pewna, czy to słuszna decyzja.

- Do czego ją wykorzystasz? – chcę wiedzieć.

Filon mierzy mnie zimnym wzrokiem.

- Ja nie pytam, do czego ty ją wykorzystujesz.

Nie ruszam się z miejsca, a Kreostus zakłada ręce na piersi i uśmiecha się znacząco.

- Waha się. Jakiego jeszcze dowodu potrzebujesz?

- Magia nie utrzymuje się zbyt długo – mówię, grając na zwłokę. – Co wam to da?

- Tak jest, bo nałożyłaś na nią zaklęcie! – wścieka się Kreostus.

- Nie! Nie mam nad nią żadnej kontroli.

- Zobaczymy. – Oczy Filona są szkliste. – Obdarzysz nas? Czy rozpoczynamy bitwę?

Leśny lud czeka na moją odpowiedź. Wcale nie jestem pewna, czy to najlepsze rozwiązanie, ale jaki mam wybór? Jeżeli nie dam im magii, będzie wojna. Jeżeli dam, nie wiadomo, do czego jej użyją.

Ale nikt nie mówi, że mam im dać wiele.

Na chwilę ujmuję dłonie Filona. Kiedy się cofam, spogląda na mnie znacząco zimnymi oczami.

- Czy to wszystko, kapłanko?

- Mówiłam ci, że nie mam kontroli nad magią – odpowiadam.

Podaje mi rękę na pożegnanie, jednocześnie szepcząc do ucha:

- To twoje pierwsze kłamstwo. Nie możesz sobie pozwolić na następne.

Gdy się oddalam, Neela woła za mną:

- Wam, wiedźmom, nie wolno ufać! Już niedługo przestaniemy żyć w waszym cieniu!

*

Gorgona obiera kurs z powrotem do ogrodu. Siadam obok niej, wsłuchując się w łagodny szum wody omywającej wysokie burty statku. Od kiedy opuściłyśmy las, gorgona nie odezwała się ani słowem.

- O czym mówił Kreostus? – pytam.

- O niczym ważnym. Kreostus znał mnie jeszcze jako wojowniczkę.

- A dlaczego postanowiłaś pozostać w niewoli?

Głos gorgony nabiera głębokich nut.

- Mam swoje powody.

Znam ten ton, który oznacza, że rozmowa do niczego nie prowadzi. Ale w obecnym nastroju trudno będzie mnie powstrzymać. Chcę wiedzieć więcej.

- Przecież mogłabyś być wolna...

- Nie – przerywa mi z rozgoryczeniem. – Nigdy nie będę naprawdę wolna. Nie zasługuję na to.

- Oczywiście, że zasługujesz!

Węże zakrywają twarz gorgony, więc nie widzę jej oczu.

- Posiadam wiele osobowości, Wasza Wysokość, i nie wszystkie są szlachetne.

Jeden wąż wysuwa się do przodu i muska moją skórę cienkim różowym językiem.

Odruchowo cofam rękę, ale nadal czuję jego niebezpieczny pocałunek.

- Nie powinniśmy rozmawiać o przeszłości, lecz o przyszłości międzyświata.

Wzdycham.

- Plemiona nie potrafią się dogadać między sobą. Jak mają zawrzeć sojusz, skoro chcą jedynie walczyć?

- To prawda, że walczyły ze sobą od wieków, ale wspólna sprawa może je połączyć.

Niezgoda nie musi stanowić przeszkody. Z różnic można czerpać siłę.

- Nie wiem jak. Głowa mnie boli, kiedy ich słucham. – Przeciągam się, a na mojej twarzy osiadają krople wody z rzeki, chłodne i przyjemne. – Och, dlaczego taki pokój jak teraz nie może panować zawsze?

Gorgona zerka na mnie z ukosa, zaciskając usta.

- Pokój nie wynika ze zbiegu okoliczności. To żywy ogień, który trzeba cały czas podsycać. Trzeba go bardzo pilnować, bo inaczej wygasa.

- Dlaczego ta moc spadła na mnie? Z trudnością panuję nad sobą samą. Czasami czuję, że mogłabym tańczyć ze szczęścia, a potem równie nagle ogarniają mnie czarne myśli, jestem zagubiona i przestraszona.

- Pytanie nie brzmi „dlaczego”, Wasza Wysokość, ale „co”. Co zrobisz ze swoją mocą?

Docieramy do wąskiego przesmyku obrzeżonego omszałymi głazami. Woda lśni od opalizujących łusek. Ławica wodnych nimf wynurza się spod powierzchni. To egzotyczne

stworzenia, półsyreny, które mają tyse głowy, błony między palcami i oczy odbijające głębiny oceanu. Śpiewają tak pięknie, że potrafią oczarować każdego śmiertelnika, a kiedy wezmą go w niewolę, odzierają ze skóry.

Miałam już jedno spotkanie z tymi damami i ledwie uszłam z życiem, aby o nim opowiedzieć. Nie zaryzykuję po raz drugi.

- Gorgono – ostrzegam, idąc po sieci, które zwieszają się z burty statku.

- Tak, widzę je – odpowiada mi.

Ale nimfy nie ruszają w naszą stronę. Zamiast tego ponownie nurkują i widzę tylko srebrzyste łuski ich pleców, gdy odpływają.

- Dziwne – stwierdzam, patrząc za nimi.

- W obecnych czasach dzieje się wiele dziwnych rzeczy, Wasza Wysokość – komentuje gorgona, jak zawsze tajemnicza.

Wracam na swoje miejsce obok jej głowy. Zbliżamy się do Krainy Granicznej. Powietrze jest tu bardziej mgliste, a niebo w oddali ma kolor ołowiu.

- Gorgono, co wiesz o Krainie Zimy?

- Niewiele, a jednak zbyt dużo.

- Czy słyszałaś może o Drzewie Wszystkich Dusz?

Gorgona podrywa głowę. Węże syczą, zaskoczone nagłym poruszeniem.

- Gdzie usłyszałaś tę nazwę?

- A więc wiesz coś! Muszę się czegoś dowiedzieć o tym drzewie. Powiedz mi! – rozkazuję jej, ale wojowniczką jest nieporuszona jak głaz. – Gorgono, niegdyś byłaś zobowiązana mówić wyłącznie prawdę członkiniom Zakonu!

Wykrzywia usta w pogardliwym grymasie.

- Zaledwie parę minut temu przypominałaś mi o mojej wolności.

- Proszę.

Nabiera głęboko powietrza, a potem powoli je wypuszcza.

- To tylko legenda przekazywana z pokolenia na pokolenie.

- Która mówi, że...? – zachęcam ją.

- Podobno głęboko w Krainie Zimy znajduje się ukryte miejsce o ogromnej mocy, drzewo posiadające magię równie potężną jak Świątynia.

- Ale skoro tak jest – zastanawiam się – to dlaczego istoty z Krainy Zimy nie wykorzystały go, żeby przejąć władzę nad międzyświatem?

- Może nie potrafią użyć tej mocy. Może powstrzymywała je pieczęć runów lub Świątynia. – Gorgona zwraca na mnie żółte oczy. – A może ono wcale nie istnieje. Gdyż nikt, kogo znam, nigdy go nie widział.

- A jeżeli jednak istnieje? Czy nie powinniśmy się wybrać do Krainy Zimy i same się przekonać?

- Nie – syczy gorgona – to zakazane.

- To było zakazane! Ale teraz ja mam magię.

- I to właśnie mnie martwi.

Docieramy do Krainy Granicznej. Zaczyna padać lekki śnieg. Płonące pochodnie oświetlają scenę upiornym światłem.

- Zapomnij o Krainie Zimy. Nie wyniknie z tego nic dobrego.

- Skąd wiesz? Nigdy jej nie widziałaś – mówię z goryczą. – Nikt jej nie widział.

- Nikt, komu można zaufać – poprawia mnie Gorgona, a mnie natychmiast przychodzi na myśl Kirke.

- Gemmo! – woła Felicity z brzegu.

Ma na sobie kolczugę, a Pippa piękną pelerynę i obie lśnią jak fałszywe klejnoty.

Gorgona opuszcza trap.

- Wasza Wysokość, im szybciej zawrzesz sojusz i podzielisz się magią, tym lepiej.

Patrzy uważnie w niebo nad Krainą Zimy.

- Czego wypatrujesz? – pytam.

Węże wiją się nerwowo. Nieprzeniknione zazwyczaj oblicze gorgony posępnieje.

- Kłopotów.

*

- Hurra! Gemma wróciła! – woła Pippa, niemalże ciągnąc mnie do lasu, gdzie dziewczęta grają w krokieta.

Po kolei uderzają młotkami w piłkę. Ann spoczywa na kocu ze srebrnych nici, na których brzdąka jak na harfie, wydobywając przepiękną melodię. Wendy siedzi obok i głaszcze zmierzwiłone futerko Pana Darcy'ego.

- I jak tam straszny leśny lud? – rzuca pytanie Felicity, przygotowując się do strzału.

- Zły. Zniecierpliwiony. Myśli, że zamierzam go zdradzić – odpowiadam, siadając z Wendy i Ann.

- Cóż, poczeka sobie, aż będziemy gotowe, prawda? – Felicity uderza piłkę, która przelatuje idealnie przez sam środek bramki.

- Bessie, kiedy trzy dziewczyny w bieli prowadziły was do Krainy Zimy, wspominały może po drodze o Drzewie Wszystkich Dusz? – pytam.

Bessie potrząsa głową.

- Nie były za bardzo gadatliwe.

- A wy nadal nie widziałyście żadnych istot z Krainy Zimy? – zwracam się do wszystkich.

- Ani jednej – odpowiada Pip.

Chciałabym czerpać pociechę z tej wiadomości, ale cichy głosik w moim wnętrzu przypomina mi, że Pippa i jej koleżanki nadal tu przebywają i że pod ich iluzoryczną urodą kryją się blade policzki i ostre zęby.

Ale przecież nie są takie jak potworni tropiciele, te odrażające widma, które kradną dusze. Czym więc są? „Nie musi się zdeprawować.”. Tak powiedziała gorgona. Czy da się tego uniknąć? I czy tego właśnie chcę? Gdybym dziś wieczorem oddała moc pannie McCleethy i Zakonowi, nie musiałabym się o to martwić. Ona podejmowałaby decyzje, nie ja. I z pewnością wygnałaby Pip do Krainy Zimy. Nie, to ja muszę dokonać wyboru. Muszę doprowadzić sprawę do końca.

- Nad czym się zastanawiasz, Gemmo? – pyta Felicity.

Kręcę głową, próbując się otrząsnąć z wywołanego zmęczeniem odrętwienia.

- Nad niczym. Ja też chcę zagrać.

Chwytam młotek i uderzam w piłkę, która leci daleko w napływającą z Krainy Zimy mgłę.

*

Nasza wizyta dobiega końca, więc idziemy dobrze nam już znaną ścieżką do sekretnych drzwi, po czym wchodzimy w kiepsko oświetlony korytarz. Mam dziwne wrażenie, jakby ktoś był tu z nami.

- Słyszycie coś? – pytam szeptem.

- Nie – zaprzecza Felicity.

Cichy szelest, jakby liści. Albo skrzydeł. Udaje nam się ujść może kilka metrów, gdy znów go słyszę. Obracam się szybko i zauważam niewielki punkt światła przypominający świetlika. Pozostaje widoczny na tyle długo, bym dostrzegła skrzydła i zęby. A potem nagle znika.

- Wiem, że tu jesteś – odzywam się. – Widziałam cię.

Fee i Ann spoglądają w ciemność.

- Ja tam nic nie widzę – rzuca Felicity, wzruszając ramionami.

- Widziałam coś – powtarzam, okręcając się wokół. – Przysięgam, że widziałam!

- No dobra! Pokaż się! – żąda Fee. Odpowiada jej jedynie ciemność. – Gemmo, nic tam nie ma, zapewniam cię. Chodźmy dalej.

- Dobrze – zgadzam się.

Felicity podśpiewuje rymowaną, której się nauczyła od Pippy, a Ann jej wtóruje.

- Hej, lubego mam, lubego grubego, co czeka tam...

Ostatni raz zerkam za siebie. Wrózkopodobna istota z Krainy Granicznej siedzi ukryta pod krokwią, obnażając zęby w brzydkim uśmiechu. Świeci jasno jak płonący węgiel, potem szybko całkowicie czernieje.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Egyptian Hall mieści się w imponującym budynku przy Picadilly. Od frontu przypomina antyczny grobowiec wykopany z piasków egipskiej pustyni. Wejście zdobią ogromne posągi Izdy i Ozyrysa. Nad nimi wisi afisz reklamujący pokaz braci Wolfsonów o godzinie trzeciej i ósmej, a obok drugi z Dudley Gallery, gdzie artyści wystawiają swoje prace.

Wewnątrz budowla wygląda jak replika świątyni z Dalekiego Wschodu. Wchodzimy do wielkiej Sali z rzędami kolumn w stylu egipskim, nawet ozdobionych hieroglifami. Nie zdziwiłabym się, gdyby wśród publiczności przechadzała się Kleopatra.

Przy wejściu otrzymałyśmy program dzisiejszego wieczoru. Bracia Wolfsonowie przedstawieni są po bokach okładki, a w środku widnieją rysunku dziwnej metalowej skrzyni na trzech nogach, lewitującego stołu, przerażającej zjawy i kościotrupa grającego w piłkę własną głową. Pierwsza strona zapowiada przeżycia, o których łatwo nie zapomnimy.

Bracia Wolfsonowie prezentują WIOSENNE RYTUAŁY Fantasmagoria i wywoływanie duchów na waszych oczach!

- Jakie to podniecające! – wykrzykuje mademoiselle LeFarge. – Tak się cieszę, że pani Nightwing pozwoliła nam tu przyjść. Podobno to coś całkiem innego niż oglądanie fotografii. Obrazy poruszają się, jakby były żywe!

- Chciałabym to zobaczyć – wyznaje Ann.

- Już niedługo – burczy z pogardą panna McCleethy, bez zainteresowania przeglądając program.

Poirytowana Felicity mocno chwyta mnie za ramię.

- Jak znajdziemy doktora Van Ripple'a z nią na karku? – pyta.

- Nie wiem jeszcze – odpowiadam.

Kilku ludzi korzysta z możliwości promowania się w hallu. Wystawili stoliki – jedni wyszukanie, inni skromne – i prezentują swoje dobra. Nawołują do nas jak naganiacze na targu, więc nie wiemy, gdzie patrzeć najpierw.

- Kazałbym ich wszystkich postawić przed sędzią pokoju przy Bow Street – narzeka pod nosem inspektor Kent, mając na myśli słynny londyński sąd.

- Och, sir – mityguje go mademoiselle LeFarge.

- Panie inspektorze, podobno można panu pogratulować. – Policjant podaje rękę inspektorowi, a ten przedstawia go swej przyszłej żonie.

To idealny moment, żeby się wymknąć, jeśli uda mi się jakoś odwrócić uwagę panny McCleethy. Czy naprawdę się domyśli, jeżeli użyję magii? Czy będzie umiała zdemaskować stworzoną przeze mnie iluzję? I czy nie będę się bała zaryzykować?

- Gemmo, co robimy? – ponagla mnie szeptem Felicity.

- Myślę – odpowiadam jej.

McCleethy przygląda nam się podejrzliwie.

- O czym tak szepczecie, dziewczynki?

- Chciałybyśmy zobaczyć wystawy – odpowiadam. – Możemy?

- Oczywiście. Ja też chętnie je obejrzę.

- Świetnie – burczy Felicity. – Nie odstąpi nas na krok.

- Powiedziałaś przecież, że myślę, prawda?

- Widziałam tu już wiele cudów – jakaś starsza kobieta wraca się do swojego towarzysza.

- Gdy byłam mała, tato przyprowadził mnie tu, abym zobaczyła słynnego Tomcia Palucha. Sięgał mi zaledwie do pasa, a byłam przecież dzieckiem.

- Tomcio Paluch! – woła Ann. – To cudowne!

- W tej sali odbyło się mnóstwo niezwykłych pokazów – wygłasza prelekcję McCleethy. – W roku 1826 pokazywano tu powóz Napoleona, a później cudowności z grobowca Setiego Pierwszego.

- Och, i co jeszcze? – Ann, mądra dziewczynka, wciąga naszą nauczycielkę w rozmowę, dzięki czemu ja mam chwilę spokoju, żeby się zastanowić. Co mogłoby odwrócić uwagę panny McCleethy od nas? Ryczący i szczerzący kły lew? Nie, pewnie przywitaliby się serdecznie jako bratnie dusze. A niech to! Co przerazi nieulęklą McCleethy?

Moje usta wykrzywiają się w paskudnym uśmiešku. Potrzebny nam tu pewien stary przyjaciel. Zaczynam przyzywać moc i przerywam. A jeśli magia zawładnie mną za bardzo? Jest taka nieprzewidywalna. McCleethy mówiła, że zorientuje się, kiedy użyję mocy.

Chyba jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Oddycham głęboko i próbuję się uspokoić. Głosy nauczycielki i moich przyjaciółek, nawoływania wystawców i ogólny harmider przechodzą w cichy pomruk. Czuję mrowienie w palcach, które po chwili wędruje wzdłuż ramion aż do serca. *Spokojnie, Gemmo. Skoncentruj się na celu.* Po kilku sekundach w tłumie pojawia się Fowlson, gdyż to jego właśnie przyzwałam, a przynajmniej jego iluzję.

- Panno McCleethy, ten pan chyba czegoś od pani chce – odzywam się, wskazując głową wymyślanego Fowlsona.

Na twarzy nauczycielki odmalowuje się wstrząs, gdy potworny człowiek przyzywa ją skiniemy palca. Robię, co w mojej mocy, żeby zachować opanowanie. Wdech, wydech. Doprawdy nic prostszego pod słońcem.

- Jak on śmie... - Panna McCleethy patrzy na niego gniewnie. – Panienki, obawiam się, że muszę was na chwile odprowadzić do mademoiselle LeFarge.

- Nie możemy tu poczekać, proszę pani? Błagam! Nie oddalimy się nawet na krok – przekonuje Felicity.

„Fowlson” kieruje się na tyły sali.

- No dobrze, dobrze, ale bądźcie grzeczne – ulega McCleethy. – Zaraz wracam.

- Co się stało? – pyta Felicity, gdy nauczycielka oddala się pośpiesznie.

Uśmiechając się od ucha do ucha, opowiadam im, co zrobiłam.

- Wiemy już, że kłamie. Nie potrafi wyczuć, kiedy przywołuję magię, bo właśnie to zrobiłam, a ona niczego się nie domyśliła.

- Wiedziałam! – Fee nie posiada się z radości.

- A teraz miejcie oczy szeroko otwarte – polecam im. – Doktor Van Ripple to wysoki, chudy mężczyzna o ciemnych włosach i starannie przyciętej koziej bródce.

Obserwowane przez obojętnych bogów wędrujemy po hallu, szukając człowieka, którego widziałam w wizjach i który może rzucić światło na dziwne przesłania, jakie otrzymuję.

- Czy mają panienki ochotę zobaczyć Księgę Zmarłych? – pyta dżentelmen z czerwonym nosem.

Siedząca za nim żona układa książki na stole. Tom, który mężczyzna trzyma w ręku, ma na okładce grawiurę przedstawiającą boga z głową szakala.

- Księgę Zmarłych? – Twarz Ann rozjaśnia się na samą wzmiankę o tym cudzie.

Wyczuwając okazję, mężczyzna otwiera książkę i kartkuje ją tak szybko, że widzimy tylko biel.

- Księga Zmarłych. Dzięki wiedzy zawartej w tym świętym dziele starożytni Egipcjanie mumifikowali zmarłych i przygotowywali ich na życie po śmierci. Niektórzy twierdzą, że potrafili nawet wskrzeszać ich z martwych.

Felicity marszczy czoło.

- Czy jest tam wzmianka o gorgonach albo o nimfach wodnych? Albo podpowiedz, jak pokonać istoty z Krainy Zimy?

Mężczyzna śmieje się, ale widać, że jest speszony.

- Oczywiście, że nie, panienko.

- A zatem nie ma z niej wielkiego pożytku, prawda?

Człowiek w turbanie proponuje, że za dwa szylingi przepowie nam przyszłość.

- Nie chciałabyś znać swojego losu, Gemmo? – pyta Ann, a ja domyślam się, że zamierza pożyczyć ode mnie pieniądze na wróżbę. – Przecież mógłby ci przepowiedzieć, że wyjdiesz za mąż za przystojnego nieznanego.

- A jeśli mi powie, że umrę otoczona mnóstwem kotów i porcelanowych lalek? Nie po to tu przyszliśmy – gaszę entuzjazm przyjaciółki, a ona ściąga usta.

- Musicie to zobaczyć! – przywołuje nas Felicity.

Pospiesznie zmierza do kąta, w którym znajduje się niewielkie stoisko należące do tęgiego mężczyzny o sumiastych wąsach. Zebrała się wokół niego grupka dam.

- Proszę podejść bliżej, niech panie nie będą nieśmiałe! – woła wesoło wystawca. – Brinley Smith, fotograf, do usług.

Fotografie. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego Felicity uznała to za ekscytujące i dlaczego chce tracić cenny czas.

- Mam tutaj coś, co wprawi panie w zdumienie. W tym pudełku znajduje się dowód na to, że życie trwa dalej po śmierci.

Śmiem twierdzić, że orientujemy się w tej materii o wiele lepiej niż drogi pan Smith. Fotograf otwiera pudełko ze zdjęciami i daje jedno do obejrzenia pani w pierwszym rzędzie. Usiłujemy zajrzeć jej przez ramię. To nic ciekawego – po prostu zdjęcie mężczyzny siedzącego za biurkiem i piszącego list. Ale gdy zerkam ponownie, dostrzegam coś jeszcze. Obok niego stoi widmowa postać w bieli, kobieta przejrzysta jak koronka.

- To prawdziwe zdjęcia zjaw, drogie panie. Przyjrzyjcie się, jak świat duchów ożywa na waszych oczach. Oto niepodważalny dowód na ich istnienie, na życie po śmierci!

- Mogę zobaczyć? – pyta dama po naszej prawej.

- Zobaczyć? Droga pani, za marne dziesięć pensów może pani mieć tę fotografię na własność. Zaskoczyć przyjaciół i rodzinę! Akurat to zdjęcie zrobiłem podczas seansu w Bristolu. – Zniża głos do znaczącego szeptu. – To, co tam ujrzałem, odmieniło moje życie. Duszy pośród nas!

Damy zdumiewają się i cicho wymieniają uwagi. Jedna z nich wyciąga portmonetkę.

- Chciałabym taki dowód, jeśli można.

- Którykolwiek sobie pani życzy, można wybierać.

Poganiam przyjaciółki.

- Nie mamy na to czasu. Musimy...

Za naszymi plecami rozlega się władczy głos.

- Proszę nie wierzyć w jego słowa, drogie panie. To tylko złudzenie optyczne, nic więcej.

Zbliża się do nas elegancki dżentelmen z gęstwiną czarnych, przetykanych siwizną włosów i schludne przyciętą kocią bródką. Wokół jego oczu i ust widać głębokie zmarszczki. Opiera się na lasce i choć jest starszy niż w moich wizjach, nie mam wątpliwości, że to człowiek, którego szukamy: doktor Theodore Van Ripple.

- To on – informuję szeptem przyjaciółki.

Doktor podchodzi bliżej.

- Ta upiorna istota jest takim samym duchem jak panie czy ja. To zwykła fotografia zbyt długo trzymana w wywoływaczu. Taka sztuczka.

- Nazywa mnie pan kłamcą? – obrusza się pan Smith.

Dżentelmen kłania się.

- Pan wybacz, ale nie mogę pozwolić, żeby ktoś karmił te miłe, zycziwe damy nieprawdą.

Pan Smith wyczuwa, że narastające zwątpienie klientek może pozbawić go zarobku.

- Drogie panie, zapewniam, że widziałem te duchy na własne oczy! Oto dowody, proszę mi zaufać!

Ale jest już za późno. Kobieta z pierwszego rzędu odchodzi, kręcąc głową, lecz inne zajmują jej miejsce. Nadal chcą wierzyć.

Felicity przepycha się w stronę doktora Van Ripple'a.

- Czy to rzeczywiście złudzenie, proszę pana?

- Tak, oczywiście. Znam wiele różnych rodzajów iluzji. Sam pracuję w świecie dymu i luster. Jestem z zawodu magikiem. Występowałem dziś wieczorem. Przez chwilę – dodaje z gorczyką. – Ale paniom mogę zaprezentować specjalny pokaz.

Wyjmuje z kieszeni talię kart.

- Zademonstruję pani. Proszę wybrać kartę. Dowolną. Może ją pani pokazać przyjaciółkom, ale nie mnie.

Rozglądam się wokół, ale ponieważ nie widzę nigdzie panny McCleethy, wybieram kartę – asa pik – i pozwalam na nią zerknąć Felicity oraz Ann, a potem ukrywam ją w dłoni. Doktor Van Ripple podaje talię panu Smithowi.

- Czy mógłby pan potasować te karty, sir?

Fotograf z irytacją tasuje talię. Oddaje ją doktorowi Van Ripple'owi, który miesza karty jeszcze kilkakrotnie, cały czas prowadząc uprzejmą konwersację, jak urodzony artysta estradowy. W końcu kładzie na talii dłoń w białej rękawiczce i oświadcza:

- Trzyma pani asa pik, nieprawdaż?

Zaskoczona pokazuję mu asa.

- Jak pan tego dokonał?

W oczach mężczyzny pojawiają się wesołe iskierki.

- O zasadach magii, szanowna pani, lepiej nie dyskutować. Bo gdy już rozumiemy, na czym polega iluzja, przestajemy w nią wierzyć.

- Karty są oznaczone – odzywa się oburzony pan Smith. – Zwykle oszustwo.

Doktor Van Ripple uchyla kapelusza i wyjmuje z niego żabę, która wskakuje na ramię mocno przestraszonego pana Smitha.

- Ach! Oślizgła bestia! – Fotograf niemalże przewraca stół, próbując uciec. Tłum wybucha śmiechem.

- Mój Boże! – wzdycha Van Ripple. – Może powinniśmy przenieść się gdzieś indziej.

Doktor kuśtyka naprzód, a mu podążamy za nim, mijając różne atrakcje. Malowana głowa Turka wypływa wróżby z mechanicznych ust. Tancerka trzyma na ramionach ogromnego węża, który wije się i skręca, gdy ona powoli wykonuje falujące ruchy. Mężczyzna z wypchaniem ptakiem w rękę zachwala ekspozycję wędrownego muzeum historii naturalnej. Zauważam nawet madame Romanoff, skądinąd znaną jako Sally Carny z Bow's Bells, prowadzącą seans spirytystyczny. Kiedyś przez przypadek zabrałam tę fałszywą spirytystkę ze sobą do międzyświata. Nasze oczy spotykają się i Sally nagle wypada z roli.

Doktor Van Ripple zatrzymuje się pod posągiem Ozyrysa, żeby otrzeć czoło chusteczką.

- Pan Smith to zwykły „fałszygraf”, można powiedzieć.

- Ta sztuczka z kartą była imponująca! – chwali go Ann.

- Nazbyt pani uprzejma. Panie pozwolą, że przedstawię się jak należy. Doktor Theodore Van Ripple, mistrz iluzjonista, naukowiec i dżentelmen, do waszych usług.

- Cieszę się, że pana poznałam. Jestem Gemma Dowd – podają panięskie nazwisko mojej matki. Ann pozostaje przy „Nan Washbrad”, podczas gdy Fee przeradza się w pannę M.I. Santropię.

- Już o panu słyszałam, doktorze – zaczynam. – Zdaje się, że moja mama była kiedyś na pańskim pokazie.

W jego oczach pojawia się błysk zainteresowania.

- A! Tutaj, w Londynie? Czy może w Wiedniu lub Paryżu? Występowałem zarówno przed książętami, jak i przed gawiedzią.

- To się wydarzyło na pewno w Londynie – odpowiadam. – Tak, powiedziałam, że przedstawienie było cudowne. Zadziwił ją pan swoimi talentami.

Doktor wyraźnie rozkwita po tych pochlebstwach.

- Wspaniale! Wspaniale! Proszę powiedzieć, która iluzja podobała jej się najbardziej: znikająca lalka czy kieliszek rubinowego dymu?

- Aa... tak, hm, obie bardzo przypadły jej do gustu.

- To moje specjalności. Jakże się cieszę! – Odwraca się, spoglądając w tłum. – A czy pani droga matka jest tu może dzisiaj?

- Niestety nie – mówię. – Wspominała o tym, że jedna iluzja zachwycała ją znacznie bardziej niż pozostałe. Ta, w której piękna kobieta została wprowadzona w trans i zapisywała na tabliczce przesłania z zaświatów.

Doktor Van Ripple przygląda mi się czujnie. W jego głosie pojawia się chłód.

- Iluzję, o której pani mówi, przedstawiała moja asystentka. Była kimś w rodzaju medium. Nie pokazuję już jej sztuczki, od kiedy zaginęła w tajemniczych okolicznościach trzy lata temu.

- Zniknęła podczas przedstawienia? – Ann aż zapiera dech z zachwytu.

- Boże drogi, skąd! – zaprzecza doktor Van Ripple. Poprawia kołnierzyk, a ja dochodzę do wniosku, że w młodości musiał być prawdziwym dandysem.

- Co się z nią stało? – dociekam.

- Moi współpracownicy sugerują, że uciekła z marynarzem albo może dołączyła do trupy cyrkowej. – Kręci głową. – Ale ja tak nie uważam, ponieważ utrzymywała, że dręczą ją ciemne moce. Jestem przekonany, że została zamordowana.

- Zamordowana! – powtarzamy jednym głosem.

Doktor Van Ripple przykuwa uwagę publiczności, nawet opowiadając historię tak nieprawdopodobną, na jaką ta się zapowiada.

- W rzeczy samej. Miała mnóstwo tajemnic i, mówię to z przykrością, okazała się niegodna zaufania. Przyszła do mnie, gdy była niespełna dwudziestoletnim dziewczęciem, i wiedziałem o niej niewiele ponad to, że jest sierotą i jakiś czas przebywała w szkole dla panien.

- Nie opowiadała o swojej przeszłości? – pytam.

- Nie mogła, droga pani, ponieważ była niema. Miała godny uwagi talent do rysunków i pisma automatycznego. – Doktor bierze szczyptę tabaki z emaliowanego puzderka i kicha w chusteczkę.

- Co to jest pismo automatyczne? – docieka Ann.

- Medium wpada w trans, komunikuje się z duchami i otrzymuje przesłania z zaświatów, które następnie zapisuje. Nieźle zarabialiśmy... - Kaszle nerwowo. – To znaczy, pomagaliśmy tym biednym, pogrążonym w żałobie nieszczęśnikom, pragnącym porozumieć się z ukochanymi osobami, które odeszły do świata duchów. Aż nagle pewnego dnia przyszła do teatru w bardzo wesołym nastroju. Gdy zapytałem, czemu jest taka zadowolona, napisała na tabliczce – gdyż tak się porozumiewaliśmy – że odwiedziła ją ukochana siostra i zamierzają odbudować to, co już zbyt długo pozostawało w zapomnieniu. Nie wiem, co miała na myśli, i nie wyjaśniła mi tego. Zdumiała mnie wzmianka o siostrze, gdyż nie wiedziałem, że ma jakąkolwiek rodzinę. Wydaje się, że wspomniana dama była umiłowaną przyjaciółką z lat szkolnych. Gdy spytałem, czy będę mógł poznać siostrę, zaczęła zawodzić mnie i kluczyć. „To niemożliwe” – odpisała w końcu z uśmiechem. A ponieważ lubowała się w drobnych okrucieństwach, więc doszedłem do wniosku, że uważa, iż nie dorównuję pozycją społeczną jej drogiej przyjaciółce. Lecz wkrótce jej nastrój się zmienił. Pewnego dnia zastałem ją w warsztacie wśród naszych sprzętów i rekwizytów kurczowo ściskającą tabliczkę. „Moja

siostra oszukała nas – napisała. – Ona jest potworem. Co za podły, nikczemny plan”. Gdy spytałem, co ją tak zdenerwowało, odpisała, że miała wizję: „Najstraszniejszą wizję tego, co ma nadejść, gdyż to, co brałam za piękne, jest szpetne, i wszystko przepadnie”.

- Czy zdradziła, co ujrzała w wizji? – pytam.

- Niestety nie. – Doktor marszczy czoło. – Muszę powiedzieć, że miała pewien niedobry nawyk: słabość do kokainy. Nie mogła się bez nie obyć. Wydaje mi się, że to zaczęło ją niszczyć, tak duszę, jak i ciało.

Myślę o moim ojcu i żołądek zwija mi się w twardą kulę na wspomnienie jego wizyt w palarni opium.

- Ale kokaina jest zupełnie nieszkodliwa – zauważa Ann. – Stanowi składni wielu tynktur i pastylek.

Doktor Van Ripple uśmiecha się powściągliwie.

- Tak mówią, ale ja jestem innego zdania, droga pani. Widziałem, jak nałóg wyniszczał tę dziewczynę, aż nie umiała już rozpoznać, co jest prawdą, a co złudzeniem. Była skrajnie podejrzliwa, widziała upiora w każdym cieniu. Twierdziła, że tylko ona może powstrzymać realizację jakiegoś potwornego planu, i do późna w nocy pisała sekretny dziennik, który jej zdaniem miał ogromną wagę. Raz zaskoczyłem ją, gdy po północy robiła notatki w pracowni, a świeczka prawie całkiem się wypaliła. Przestraszyła się i szybko zakryła tekst. Nie chciała mi go pokazać. Podejrzywałem, że zamierza ujawnić tajemnice mojej magii. Zwolniłem ją więc i nie widziałem jej przez wiele miesięcy, aż do pewnego wiosennego dnia trzy lata temu. Akurat skończyłem kolację, gdy zapukała do drzwi. Z trudem ją rozpoznałem, tak wstrząsająco wyglądała. Miała oczy osoby skazanej na śmierć. Od jakiegoś czasu w ogóle nie spała i nie jadła. Gestem poprosiła o papier i pióro, więc je przyniosłem. „Jestem niegodziwa” – napisała. Naturalnie uznałem, że słabuje na umyśle, i poprosiłem, by u mnie została. Ale upierała się, że ciemne siły nie próżnują. „Powstrzymają mnie przed ujawnieniem prawdy. Muszę działać szybko, zanim mnie odnajdą”.

- Jakie siły miała na myśli? – chce wiedzieć Ann.

Doktor rozprostowuje długie palce na ręczce laski, wypinając pierś jak kogut.

- Tego chyba nigdy się nie dowiemy. Opuściła mój dom... i zniknęła.

- Co się stało z jej zapiskami? – pytam.

Wciąga powietrze głęboko do płuc.

- Nie umiem powiedzieć. Być może ten straszny sekret, który budził jej lęk, umarł wraz z nią. A może nawet w tej chwili realizowany jest jakiś diaboliczny plan, a my pozostajemy zdania na czyjąś łaskę. – Doktor uśmiecha się jak miły wujek. Podaje mi kartę wizytową. – Dla pani matki. Może będzie potrzebowała iluzjonisty, żeby kiedyś wieczorem zabawił jej gości. – Przyjmuję kartę, a on zamyka moje dłonie w swoich. – Niech je pani otworzy.

Gdy to robię, okazuje się, że są puste. Wizytówka zniknęła.

- Jak pan...

Wyciąga kartę zza mego ucha i podaje mi ją triumfalnym gestem.

- Ach, tutaj była! Obawiam się, że mam dość figlarne wizytówki. – Doktor Van Ripple klepie się po kieszeniach, ściągając brwi. – O, rety! A niech mnie!

- Co się stało? – niepokoi się Felicity.

- Chyba zapodziałem gdzieś portfel. Nie chciałby się narzucać, ale czy mogłyby panie pożyczyć staremu człowiekowi kilka szylingów? Daję słowo dżentelmena, że oddam co do pensa jutro...

- Tutaj jesteście! No wiecie co, dziewczynki, martwiłam się o was! – woła mademoiselle LeFarge, energicznym krokiem zmierzając w naszą stronę.

Za nią podąża wściekła McCleethy. Mam szczerą nadzieję, że pokaz latarni magicznej okaże się prawdziwym cudem, gdyż inaczej może to być moja ostatnia noc na ziemi.

Doktor Van Ripple uśmiecha się uprzejmie.

- Proszę się nie obawiać, szanowna pani. Pani córki są pod dobrą opieką i nic im nie grozi, zapewniam.

- Te młode damy nie są moimi córkami, lecz podopiecznymi – odpowiada zasapana mademoiselle LeFarge. – Naprawdę się o was martwiłam, dziewczęta.

- Jakież kłopoty, moja droga? – Inspektor Kent staje u boku narzeczonej. Obrzuca doktora przenikliwym spojrzeniem, które jako policjant doprowadził do perfekcji, a iluzjonista robi się błądy jak prześcieradło.

- No to ja już będę się zbierała – mówi szybko.

- Chwileczkę, znam pańską twarz. Bob Sharpe. Trochę lat minęło, ale widzę, że czas nie wszystko w panu zmienił. – Inspektor patrzy twardo na doktora Van Ripple’a. – Chyba nie zamierzał pan wyłudzić pieniędzy od tych młodych dam, prawda?

- Panie inspektorze, rani pan moje uczucia – oburza się Van Ripple. – Opiekowałem się nimi jak kwoka piskletami.

Policjant zakłada ręce na piersi i pochyla się w stronę magika.

- Chyba raczej jak lis strzegący kurnika. Panie Sharpe, ufam, że nie pragnie pan wrócić do więzienia i że już pana nie zobaczę dziś wieczorem?

- Tak się składa, że mam umówione spotkanie gdzie indziej.

- Przepraszam, mademoiselle, oddaliłam się tylko na chwilę – odzywa się McCleethy, a jej wzrok niemalże zatrzymuje mi krążenie.

- Drogie panie – zaczyna nas łajac nauczycielka francuskiego – jeżeli jeszcze kiedykolwiek chcecie opuścić mury Spence...

- Powiada pani Spence? Akademia Spence dla Młodych Dam? – dopytuje się doktor Van Ripple.

Mademoiselle LeFarge kiwa głową.

- Ta sama, sir.

Iluzjonista lekko nas popycha.

- No cóż, nie chcę się chyba panie spóźnić na pokaz. Lepiej już zająć miejsca. Życzę państwu miłego wieczoru. Panie inspektorze – z tymi słowy starszy pan, kuśtykając, oddala się najszybciej, jak może.

LeFarge kręci głową.

- Przedziwny osobnik.

- Doktor Theodore Van Ripple, urodzony jako Bob Sharpe. Magik, złodziej i oszust. Czy zaprezentował panienko jakąś fantastyczną historię, a potem twierdził, że zapomniał portfela? – pyta inspektor.

Potwierdzamy z zażenowaniem.

- Opowiedział nam o kobiecie, która zaginęła. Była jego asystentką – dodaje Ann. – Sądzi, że została zamordowana.

Panna McCleethy marszczy czoło.

- Wystarczy już tego.

- Tak, zaręczam, że doktor Van Ripple to prawdziwy sztukmistrz, jeśli chodzi o opowieści, i nie wolno mu ufać – kontynuuje inspektor Kent. – Idziemy podziwiać cud ruchowych obrazków?

Wygląda na to, że doktor Van Ripple jest zwykłym oszustem. Nie rozumiem, dlaczego wizje doprowadziły mnie do tego podstarzałego magika z żywą wyobraźnią i w płaszczu równie zszarganym jak jego reputacja. Pomyśleć, że przez niego zaryzykowałam i użyłam magii.

- Znalazła pani swojego znajomego? – Fee zwraca się do panny McCleethy, a ja chętnie bym ją za to kopnęła.

- Owszem – odpowiada nauczycielka. – Początkowo myślałam, że wzrok mnie zawodzi, gdyż zniknął w tłumie, ale na szczęście znów go spotkałam.

Jestem zbита z tropu. Jak mogła się spotkać z Fowlsonem, jeżeli był nie bardziej realny niż eter? Albo kłamie, albo Fowlson naprawdę znajduje się wśród nas.

*

Zajmujemy miejsca. Fotele ustawiono tak, by widzowie siedzieli twarzami do ściany. W przejściu na środku zostaje ustawione dziwne urządzenie – pudło na metalowych nogach, podobne do aparatu fotograficznego, tylko większe. Jeden z braci Wolfsonów we fraku i cylindrze staje przed publicznością, niecierpliwie zacierając dłonie w białych rękawiczkach.

- Panie i panowie, witam was w Egyptian Hall, gdzie za chwilę staniecie się świadkami zdumiewającego widowiska z udziałem duchów, zjaw i gnomów, które ujrzycie na własne oczy! Braci Wolfsonowie, mistrzowie magicznej latarni, oszołomią was i wprawią w zdumienie pokazem iluzji! Choć czy to naprawdę jest iluzja? Niektórzy mogliby przysiąc, że duchy mieszkają wśród nas, a to urządzenie zasilane gazem i światłem jedynie pomaga ukazać je naszym oczom. Ale ocenę pozostawiam państwu. Moim obowiązkiem jest zaś przestrzec, że w samym tylko Paryżu nie mniej niż czternaście dam zemdłało w kilku pierwszych minutach, a jeden dżentelmen zupełnie osiwił z przerażenia!

Ku satysfakcji konferansjera na widowni rozlegają się westchnienia i podekscytowane szepty.

- Cóż, nawet wielcy Maskelyne i Cooke, znamienici iluzjoniści i nasi czcigodni gospodarze w tym sławetnym przybytku tajemnic, uznali spektakl za ekscytujący ponad wszelkie wyobrażenia. Jeżeli zatem znajduje się wśród państwa ktoś chory na serce albo ogólnie niezdrów na ciele lub umyśle, muszę poprosić, by opuścił pokaz, gdyż kierownictwo nie ponosi odpowiedzialności za nagłe wypadki.

Z sali zostają wyprowadzone trzy damy i jeden dżentelmen, co dodatkowo podgrzewa atmosferę.

- Dobrze. Doprawdy nie wiem, co się wydarzy dzisiejszego popołudnia, czy duchy okażą się życzliwe... czy złe. Witam wszystkich serdecznie i życzę szczęścia!

Światła przygasają, aż w sali robi się prawie zupełnie ciemno. Żelazna machina w środkowym przejściu ożywa z pomrukiem i sykiem. Rzuca na ścianę obraz przedstawiający uroczą dziewczynkę na łące. Dziewczątka schyla się, by zerwać kwiatek, i wacha go. Rusza się! Och, to prawdziwy cud. Zachwycona publiczność bije brawo.

Ann ściska mnie za rękę.

- Wydaje się taka prawdziwa, jakby tu była z nami.

Pojawia się następny obraz, tym razem regiment wojska na koniach. Rumaki kroczą dumnie, ich nogi poruszają się w górę i w dół. Potem widzimy anioła unoszącego się nad łóżkiem, w którym spokojnie śpi dziecię. Każdy kolejny obraz jest bardziej widowiskowy niż poprzedni i wszyscy wpatrują się w nie z zachwytem.

Na ścianie migocze następny wizerunek. Jest to biała jak kreda kobieta w koszuli nocnej, która lunatykuje. Nagle zaczyna się zmieniać – z ramion znika ciało, a jej twarz przeobraża się w śmiertelną maskę – aż stoi przed nami upiorny kościotrup. Westchnienia, które teraz słuchać, brzmią zupełnie inaczej. Zwłaszcza że szkielet zdaje się do nas zbliżać.

W ciemności rozlegają się pełne strachu okrzyki. Ktoś woła:

- Moja siostra zemdłała! Przerwać pokaz!

Inspektor Kent pochyla się w naszą stronę.

- Niech się panie nie martwią. To wszystko należy do przedstawienia.

Muszę wyznać, że jestem mu wdzięczna za tę uwagę.

- Duchy! – nawołuje pan Wolfson. – Zostawcie nas!

Zjawy rozciągają się na ścianie, a ich oblicza z dobronuduszych stają się przerażające.

- Proszę nie opuszczać miejsc! Obawiam się, że duchy nie chcą już słuchać braci Wolfsonów! Nie wykonują naszych poleceń! Proszę zachować ostrożność, gdyż nie wiem, co się teraz może wydarzyć!

Atmosfera jest gęsta od podniecenia i lęku. I nagle zjawy znikają. Robi się coraz mniejsza, aż staje się małą dziewczynką trzymającą w wyciągniętej ręczce kwiatek. Publiczność wybucha pełnym ulgi śmiechem.

- A to ci historia! – Mademoiselle LeFarge chichocze.

I właśnie wtedy zauważam, że krzesło panny McCleethy jest puste. Na pewno nie przestraszyła się pokazu latarni magicznej. Ona niczego się nie boi. Dostrzegam ją, jak pośpiesznie opuszcza galerię.

- Gemmo – szepcze Felicity – dokąd się wybierasz?

- Do gotowalni dla pań, gdyby ktoś pytał.

McCleethy wchodzi do długiego pokoju, po czym wślizguje się za zasłonę, która skrywa kręcone schody. Biorę głęboki wdech i podążam za nią w bezpiecznej odległości. Kiedy docieram do stóp schodów, ogarniają mnie obawy, że ją zgubiłam, ale po chwili słyszę kroki. Starając się zachowywać jak najciszej, ruszam dalej. Chyba znajdujemy się w tunelu pod hallem, gdyż nad sobą nadal słyszę szum i harmider.

Panna McCleethy wchodzi do dużego, słabo oświetlonego pomieszczenia, w którym znajdują się przeróżne rupiecie – posągi, egzotyczne kostiumy, magiczne urządzenia, plakat braci Wolfsonów z wypisanym w poprzek słowem „dranie”. Chowam się za popiersiem jakiejś egipskiej bogini, z dumą unoszącą głowę lwa.

McCleethy kłoci się z kimś skrytym w cieniu.

- Okłamałeś mnie, a ja nie znoszę kłamców. To nie jest zabawa! Uratowałam ci życie, jesteś moim dłużnikiem. Czy może już o tym zapomniałeś?

Nie słyszę odpowiedzi i nie mogę zobaczyć nic więcej, nie zdradzając swojej obecności.

- Od teraz chcę wiedzieć wszystko – oświadcza zdecydowanym tonem nauczycielka. – Nie muszę ci chyba przypominać, że zabiliby cię natychmiast, gdyby tylko wiedzieli, że jesteś tu ze mną. Jeżeli chcesz je ocalić, musisz ze mną współpracować. To jedyny sposób. – Przygląda włosy i poprawia broszkę przy kołnierzyku. – Przez dwadzieścia pięć lat byłam zupełnie oddana sprawie. Nie zamierzam przegrać z Rakshanami czy z szesnastolatką. Idź, zanim ktoś cię zobaczy.

Postać w cieniu wycofuje się. Kulę się za wielką statua, a panna McCleethy pośpiesznie oddala się drogą, którą tu przyszła. Czekam, aż ucichnie echo jej kroków, a wtedy wracam do sali, gdzie widownia zachwyca się wesołym obrazem skaczącego psa i klauna żonglującego piłkami.

Zerkam ukradkiem na pannę McCleethy. Satysfakcję, którą czułam wcześniej, oszukując ją, wypiera nieufność. Z kim ona mogła rozmawiać? Czy to był Fowlson? Czy jest jej szpiegiem w szeregach Rakshana? „Okłamałeś mnie” – powiedziała. W jakiej sprawie? I kogo chcieli ocalić?

W końcu pan Wolfson wyłącza lampę, która ożywia magiczną latarnię. W pomieszczeniu znów zapalają się światła, a zjawy znikają ze ścian. Lecz moje wewnętrzne upiory nie chcą odejść tak łatwo.

- Dziękuję za uwagę, panie i panowie! – rozbrzmiewa głos Wolfsona. – Te obrazy wyglądają na czary, ale to iluzje, złudzenia zrodzone z gazu i światła. Naci zacni gospodarze, Maskelyne i Cooke, postawili sobie za cel demaskowanie wszelkich oszustw. Radzę, by zachowali państwo czujność wobec różnych form kłamstw i szalbierstw ukrytych pod pozorami prawdy. Kolejne przedstawienia odbędą się dziś o ósmej oraz jutro o trzeciej i o ósmej. Życzymy państwu miłego wieczoru!

Wychodzimy z sali w zbitej ciżbie podekscytowanych ludzi, którzy postanawiają coś jeszcze kupić w ostatniej chwili. Staram się zachować bezpieczną odległość od panny McCleethy, mocno trzymając przyjaciółki pod rękę.

- Gdzie byłaś, Gemmo? – pyta Felicity.
- Śledziłam McCleethy. Miała potajemne spotkanie.
- Z kim? – chce wiedzieć Ann.

Oglądam się za siebie, ale nauczycielka jest pogrążona w rozmowie z LeFarge i Kentem.

- Nie widziałam, kto to był. Może ktoś ze stowarzyszenia Rakshana albo z Zakonu – odpowiadam, po czym relacjonuje im całe zajście.

Na ulicach panuje zgiełk i ruch, jest mnóstwo ludzi i powozów. W programie spektaklu obiecano, że dorożki podjadą o piątej, ale w kolejce stoi zbyt wiele osób jak na tak małą liczbę powozów, więc pewnie będziemy musiały długo czekać.

- No dobrze – odzywa się inspektor Kent – zobaczymy, co może działać prawo.

Zdecydowanym krokiem rusza w stronę człowieka, który kieruje podjeżdżającymi dorożkami.

- Przykro mi, że panią tak zostawiam, mademoiselle LeFarge – mówi panna McCleethy. – Na pewno poradzi sobie pani z dziewczętami?

- Oczywiście – odpowiada LeFarge, poklepując McCleethy po rękę.
- Opuszcza nas pani? – wtrąca się Felicity.
- Tak, umówiłam się z przyjacielem na kolację – odpowiada nauczycielka.
- Z jakim przyjacielem? – pyta Fee, odrzucając wszelkie pozory przyzwoitości.
- Ależ, panno Worthington, to chyba nie jest pani sprawa? – upomina ją mademoiselle

LeFarge i Fee milknie.

Panna McCleethy nie zaszczycza jej odpowiedzią na to impertynenckie pytanie.

- Ufam, że nie będziecie sprawiały kłopotów mademoiselle LeFarge, panienki – mówi. – Do zobaczenia jutro.

- Nie wiedziałam, że panna McCleethy ma jakichś przyjaciół – mruczy pod nosem Ann, gdy nauczycielka odchodzi.

Ja również, ale panna McCleethy jest dzisiaj pełna niespodzianek.

Londyńska mgła otula nas mrokiem. Ludzie wyłaniają się z niej jak duchy, jak istoty stworzone z pary, a fragmenty ich strojów – cylindry, płaszcze, kapelusze – dopiero po chwili nabierają kształtów. Wrażenie jest równie przerażające jak iluzje wyczarowywane przez magiczną latarnię braci Wolfsonów.

Ann, Felicity i LeFarge pochłania występ niejakiego pana Pinkneya, „Ludzkiej Kaliope”, który imituje ustami dźwięki instrumentów, jednocześnie grając na bębnie.

Z mgły wyłania się doktor Van Ripple, szybko kuśtykając o lasce. Wpada na jakiegoś dżentelmena.

- Pan wybacz, to przez nogę i wilgoć.
- Nic się nie stało – odpowiada dżentelmen.

Gdy pomaga doktorowi Van Ripple’owi stanąć prosto, widzę, jak magik wsuwa mu rękę do kieszeni i uwalnia go od ciężaru złotego zegarka. Mistrz iluzji, w rzeczy samej. Chyba raczej należy powiedzieć mistrz kradzieży kieszonkowej.

- Przepraszam, przepraszam! – Przeciska się między elegancko ubranymi dżentelmenami i damami.

Zastępuję mu drogę, a ona spogląda na mnie z przestrawieniem.

- Podobał się pani pokaz, moja droga?
- O który pokaz pan pyta? – mówię słodko. – Braci Wolfsonów? Czy ten, którego właśnie byłam świadkiem, gdy zabrał pan zegarek temu dżentelmenowi?
- To jakaś pomyłka – zapewnia Van Ripple z paniką w oczach.

- Nikomu nie powiem – uspokajam go. – Ale oczekuję czegoś w zamian. Zbladł pan, gdy panna LeFarge wspomniała o Spence. Dlaczego?

- Doprawdy, muszę już iść...

- Czy mam zawołać konstabla?

Doktor Van Ripple patrzy na mnie gniewnie.

- Moja asystentka uczęszczała do Akademii Spence.

- Była uczennicą naszej szkoły?

- Tak twierdziła.

Przyglądam mu się badawczo.

- Skąd mam wiedzieć, że mówi pan prawdę?

Przykłada dłoń do serca.

- Ręczę swoją reputacją dżentelmena...

Przerywam mu.

- Pańska reputacja dżentelmena budzi poważne wątpliwości, sir.

Spogląda mi w oczy.

- A zatem moją reputacją magika. Przysięgam, że to prawda.

Nasz powóz podjechał.

- Wsiadamy, dziewczęta! – woła mademoiselle LeFarge.

- Niech pani nie każe jej czekać – radzi iluzjonista, chowając do kieszeni skradziony zegarek.

Czy mogę ufać słowu złodzieja?

- Doktorze Van Ripple... - zaczynam, ale pogania mnie, machając laską. – Proszę, sir, chcę tylko poznać jej nazwisko, nic więcej, i wtedy zostawię pana w spokoju. Obiecuję.

Widząc, że nie zamierzam się poddać, wzdycha ciężko.

- No dobrze. Miała na imię Mina. Panna Wilhelmina Wyatt.

*

Mina, panna Wilhelmina Wyatt, autorka *Historii tajemnych stowarzyszeń* i dama z moich wizji była uczennicą Spence, którą zdradziła jedna z sióstr.

W drodze powrotnej gdy tylko mademoiselle zasypia, pograżamy się w cichej rozmowie.

- Wilhelmina Wyatt! I pomyśleć, że mamy jej książkę zawierającą niebezpieczne tajemnice! – emocjonuje się Ann.

- Przecież ją przeczytałyśmy – zauważam. – Co mogło nam umknąć? Nie było w niej nic niebezpiecznego.

- Chyba że groźba uśpienia czytelnika. – Felicity ziewa.

- Dowiedziałyśmy się paru rzeczy na temat Zakonu – broni się Ann. – Bez tej książki, Gemmo, nigdy byś nie odkryła prawdziwej tożsamości Kirke – zauważa nie bez słuszności.

Rzeczywiście z tego dzieła dowiedziałyśmy się, że członkinie Zakonu często ukrywały swoje nazwiska pod anagramami, a Hester Asa Moore, nazwisko naszej zaufanej mentorki, stanowiło anagram Sarah Rees-Toome.

Felicity bębni palcami po siedzeniu.

- Pewna kwestia od początku nie daje mi spokoju. Jaki cel miała panna McCleethy, kupując tę książkę? Skoro jest członkinią Zakonu, to po co jej potrzebowała?

W Boże Narodzenie śledziłyśmy pannę McCleethy do księgarni Złoty Świt na Strandzie. Kupiła książkę, więc zrobiliśmy to samo, ale do dziś uważałam to po prostu za jedno z jej dziwactw. Nie przypuszczałam, by krył się za tym jakiś głębszy czy mroczniejszy powód.

- Przez moment widziałam jej twarz w jednej wizji – przypominam. – Może jest tą siostrą, o której wspominał Van Ripple?

- Tak, chociaż mówiłaś, że dostrzegłaś tylko jej twarz – podkreśla Fee. – Nie widziałaś ich razem.

Za oknami nagie gałęzie drapią o boki powozu. Noc ma szpony, ale uciekamy, podskakując na wybojach, aż w zasięgu naszego wzroku znowu pojawia się Spence. Nie pogaszono jeszcze świateł i rozłożysta budowla lśni jasno w czerni nocy. Tylko Wschodnie Skrzydło jest ciemne. Chmury rozpraszają się i księżyc pokazuje swoje oblicze. Na dachu siedzą gargulce o głodnym wzroku, a wysokie łuki ich skrzydeł rzucają przerażające cienie. Kamienne bestie wyglądają na spięte i gotowe. Przez chwilę wspominałam te okropne złudzenie tamtego dnia, gdy jechałam powozem z Felicity – otwarta paszcza, błysk ostrych zębów, cienka strużka krwi – i czuję, że muszę odwrócić wzrok.

- No cóż, nadal sądzę, że gdyby w tej książce znajdowała się jakaś wielka tajemnica, już byśmy ją odkryły – upieram się.

Ann zerka na rozgwieżdżone niebo.

- Może nie wiedziałyśmy, gdzie szukać.

*

Godzinę później w pokoju Felicity pochylamy się nad naszym egzemplarzem *Historii tajemnych stowarzyszeń*, próbując czytać przy słabym świetle świecy.

- Szukajcie jakichkolwiek wzmianek o Drzewie Wszystkich Dusz – instruję przyjaciółki. – Może za pierwszym razem przeoczyłyśmy je, bo nie miały dla nas żadnego znaczenia?

Czytamy frustrująco pokrętny tekst strona po stronie, aż słowa zaczynają się nam rozmazywać przed oczami. Potem czytamy po kolei na głos. Analizujemy fragmenty na temat druidów, gnostyków, czarodziejstwa i pogaństwa oraz kilka ilustracji, które niczego nie wnoszą. Znowu przeglądamy rozdziały o Rakshanach i Zakonie, ale nie trafiamy na żadne nowe interesujące fakty. Nie ma ani słowa o Drzewie Wszystkich Dusz.

Odwracam kartkę, a na kolejnej stronie znajduje się rysunek wieży.

- „Wzgórze Glastonbury, Stonehenge, Iona w archipelagu Hebrydów, wielkie piramidy oraz Sfinks w Gizie. Wszystkie te miejsca przesycone są magią powstała w wyniku przymierza ziemi z gwiazdami – czytamy, ziewając. – Święte punkty na ziemi wskazują różne znaki, takie jak kościoły, cmentarze, kamienne kręgi, lasy czy zamki, żeby wymienić tylko kilka przykładów. Arcykapłanki, sędziwi druidzi, szlachetni pogaanie wierzyli, że tam właśnie pojawiają się duchy”.

- Gemmo, nie ma tu nic więcej – zrzędzi Felicity. Przewiesza głowę i ramiona przez krawędź łóżka jak znudzone dziecko. – Możemy iść do międzyświata? Pip czeka.

- Ta książka ma pięćset stron – popiera ją Ann. – Stracimy na nią całą noc, a ja chcę się trochę pobawić magią.

- Macie rację – zgadzam się, zamykając tom. – Do międzyświata!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Panna McCleethy, skoro już wróciła do szkoły, dba o to, żeby jej obecność była wyraźnie odczuwalna. Strzela batem przy każdej okazji. Istnieje dobra i zła metoda robienia różnych rzeczy i wychodzi na to, że dobra metoda jest zawsze metodą McCleethy. Jednak mimo żelaznej woli nauczycielka ma słabość do spacerów, a ponieważ świat robi się coraz bardziej zielony, czujemy wdzięczność za każdą sposobność ucieczki z dusznych sal Spence.

- Dzisiaj będziemy malowały na dworze – oświadcza.

Jako że dzień jest pogodny, przyjmujemy tę nowinę entuzjastycznie. Przywdziewamy kapelusze, aby chronić jasną cerę przez piegami, choć w moim wypadku szkoda zachodu. Pamiętam, że w Indiach w piękne gorące dni biegałam boso po spękanej ziemi, a słońce wytatuowało wspomnienie tych chwil małymi brązowymi plamkami, jakby bogowie rzucili garść piasku na moje wilgotne policzki i nos.

- Słońce cię pobłogosławiło – mawiała Sarisa. – Spójrz, zostawiło ślady pocałunków na twojej buzi, żeby wszyscy mogli je widzieć i zazdrościć ci.

- Ciebie kocha bardziej – odpowiadałam, pocierając dłońmi jej suche ramiona koloru starej tytkwy na wino, a ona się śmiała.

Ale to nie Indie i piegi nie są tu w cenie. Słońcu nie wolno okazywać uczuć.

Wędrujemy za panną McCleethy po błotnistym trawniku, zupełnie niszcząc sobie buty.

- Dokąd idziemy? – jęczy Elizabeth z tyłu.

- Panno McCleethy, daleko jeszcze? – pyta Cecily.

- Spacer dobrze pani robi, panno Temple. Nie chcę słyszeć słowa skargi – gasi ją panna McCleethy.

- Ja się nie skarżę – fuka Cecily, ale żadna z nas nie bierze jej strony. Gdyby zorganizowano mistrzostwa w jęczeniu, z łatwością zdobyła by puchar zwycięzcy.

Nauczycielka prowadzi nas przez las, wzdłuż jeziora, w którym odbija się szare niebo, i dalej wąską, krętą drogą, której nigdy wcześniej nie widziałyśmy. Wije się przez pewien czas, zanim dociera do wzgórza. Na jego szczycie widać niewielki cmentarzyk i tam właśnie wiedzie nas nauczycielka. Rozkłada obrus między nagrobkami i stawia na nim kosz piknikowy.

Elizabeth mocno tuli płaszcz do piersi.

- Dlaczego przyszyliśmy w takie okropne miejsce, proszę pani?

- Żeby sobie przypomnieć, że życie jest krótkie, panno Poole – odpowiada nauczycielka, przelotnie spoglądając mi w oczy. – Jest to również urocze miejsce na piknik. Kto ma ochotę na ciasto i lemoniadę.

Teatralnym gestem otwiera koszyk, z którego unosi się niebiański aromat szarlotki Brigid. Każda z nas bierze sobie solidną porcję i nalewa lemoniadę. W leniwym nastroju robimy szkice i posilamy się. Panna McCleethy sączy napój. Spogląda na falujące zielone wzgórza, na zagajniki przypominające kępki niesfornych włosów na głowie łysiejącego mężczyzny.

- Ta kraina ma w sobie coś wyjątkowego.

- Jest śliczna – zgadza się Ann.

- Ale błotnista – narzeka Cecily z ustami pełnymi ciasta. – Nie jest tu tak ładnie jak w Brighton.

Wyobrażam już sobie, jak poleruje swój puchar.

- Brigid powiedziała – rozkręca się Ann – że być może sam pan Jezus wędrował po tych wzgórzach ze swoim kuzynem Józefem z Arymatei, a podobno gnostycy też przebywali w tych okolicach.

- Kim są gnostycy? – chichocze Elizabeth.

- Mistyczną sektą wczesnych chrześcijan, właściwie bardziej pogan niż chrześcijan – wyjaśnia panna McCleethy. – Słyszałam tę historię, panno Bradshaw. Wielu Brytów wierzy, że w tej okolicy znajdował się Camelot i że Merlin wybrał to miejsce, ponieważ ziemia jest tu przesycona magią.

- Jak ziemia może być zaczarowana? – dziwi się Felicity.

Mówi z pełną buzią, więc nauczycielka posyła jej groźne spojrzenie.

- Panno Worthington, nie jesteśmy dzikusami, zechce pani zauważyć – napomina ją, podając serwetkę. – W dawnych czasach wierzono, że na ziemi istnieją punkty skupiające niezwykłą moc. Dlatego powstawały tam miejsca kultu.

- Czy to znaczy, że jeśli postoję na środku Stonehenge, będę równie potężna jak król Artur? – pyta Cecily ze śmiechem.

- Nie, sądzę raczej, że mocy nie otrzymywałeś każdy bez wyjątku, lecz władali nią ci, którzy posiadali odpowiednią wiedzę – odpowiada uszczypliwie nauczycielka. – Nawet z baśni czy legend dowiadujemy się, że korzystanie z magii zawsze podlega ściśle określonym zasadom, gdyż inaczej zapanowałby chaos. Spójrzcie tam. Co widzicie? – Panna McCleethy macha dłonią w stronę zielonego horyzontu.

- Wzgórza – odpowiada Ann. – Drogi.

- Kwiaty i zarośla – dodaje Cecily. Spogląda na nauczycielkę, jakby czekała na pochwałę za dobrą odpowiedź.

- To, co widzimy, stanowi dowód, że człowiek może podbić przyrodę, że potrafi opanować chaos. Widzicie dowód na znaczenie porządku, prawa. Ponieważ naszym obowiązkiem jest panować nad chaosem. A jeżeli dostrzegamy go w sobie, musimy go wykorzenić i zastąpić nieugiętą dyscypliną.

Czy naprawdę można tak łatwo zapanować na chaosem? Gdyby tak było, czyż nie potrafiłabym okiełznać tego pandemonium w mojej duszy, przekształcając je w rzecz prostą i schludną, zamiast gmatwaniny chęci, potrzeb i obaw, przez którą cały czas mam wrażenie, że nie pasuję do żadnego krajobrazu?

- Ale przecież jest wiele ogrodów pięknych dzięki swojej niedoskonałości – odzywam się, zerkając na nauczycielkę. – Czy dziwne, nowe kwiaty, które wyrastają przez przypadek albo przez pomyłkę, nie są równie miłe dla oka jak te planowane i celowo sadzone?

Elizabeth wydyma usteczka.

- Czy my rozmawiamy o sztuce?

Panna McCleethy uśmiecha się szeroko.

- Doskonale przejście do interesującego tematu. Przyjrzyjcie się dziełom mistrzów, a zobaczycie, że zostały skomponowane ściśle według określonych zasad dotyczących linii, światła i palety barw. – Patrzy mi w oczy, jakby dała mi mata. – Sztuki nie da się tworzyć bez porządku.

- W takim razie co z paryskimi impresjonistami? Wydaje się, że oni niczego nie porządkują, lecz po prostu czują pędzlem – mówi Felicity, jedząc ciasto palcami.

- Zawsze muszą istnieć radykałowie i rebelianci – zgadza się McCleethy – którzy żyją na obrzeżach społeczeństwa. Ale w jaki sposób oni się przyczyniają do funkcjonowania tego społeczeństwa? Zbierają owoce jego działań, nie ponosząc żadnych kosztów. Nie. Twierdzą, że lojalni, ciężko pracujący obywatele, którzy rezygnują z egoistycznych pragnień dla dobra ogółu, są ostoją świata. A gdybyśmy wszyscy postanowili uciec i żyć swobodnie, nie dbając o zasady społeczne? Cywilizacja by się rozpadła. Obowiązek daje radość, a znając swoje miejsce, zyskujemy poczucie bezpieczeństwa. Taką drogę obiera Anglia. I jest to jedyna słuszna droga.

- Święte słowa, proszę pani – mówi Cecily, ale czego można się po niej spodziewać?

Wiem, że to ma być koniec dyskusji, lecz nie mogę na to pozwolić.

- Ale gdyby nie radykałowie i rebelianci, nikt nie popychałby świata naprzód. Nie byłoby postępu.

Panna McCleethy w zadumie kręci głową.

- Prawdziwy postęp może się dokonać dopiero wtedy, gdy zapewni się ludziom poczucie bezpieczeństwa.

- A jeśli poczucie bezpieczeństwa to tylko złudzenie? – pytam, myśląc na głos. – A jeśli ono w ogóle nie istnieje?

- To oznacza koniec. – Nauczycielka ściska resztkę swego ciastka, które rozpada się na kawałki. – Chaos.

Biorę kęs szarlotki.

- A może to początek czegoś nowego? Może gdy przestaniemy się stosować do norm, wszyscy zyskamy wolność?

- Zaryzykowałyby pani, panno Doyle? – Panna McCleethy patrzy mi w oczy tak długo, że jest w końcu zmuszona odwrócić wzrok.

- O czym my tak naprawdę mówimy? – irytuje się Elizabeth.

- Proszę pani, ziemia jest taka twarda. Czy nie mogłybyśmy już wrócić do Spence? – jęczy Martha.

- Proszę bardzo. Panno Worthington, przekazuję pani dowodzenie. Dziewczęta, proszę iść za panną Worthington. – Nauczycielka zgarnia okruchy w serwetkę i starannie ją zawiązuje. – Porządek. Oto klucz. Panno Doyle, proszę mi pomóc zebrać rzeczy.

Wymieniamy z Felicity spojrzenia. Fee przeciąga palcem po gardle jak nożem, a ja notuję sobie, żeby później przedstawić jej moją opinię na temat tego dowcipu. Panna McCleethy bierze bukiet polnych kwiatów i kiwa na mnie, żebym poszła za nią w głąb cmentarza. Na sam szczyt wzgórza prowadzi stroma ścieżka. Wiatr wieje tu mocno. Wyrywa nauczycielce z koka kosmyki włosów, które jak szalone smagają ją po twarzy, przez co wydaje się mniej surowe. Widzę stąd dziewczęta, które idą gęsiego między drzewami. Ann zamyka pochód. W oddali Akademia Spence wyrasta z ziemi, jakby stanowiła jej część, jakby istniała od zawsze, tak jak drzewa, krzewy czy odległa Tamiza.

Nauczycielka składa kwiaty na prostym nagrobku: Eugenia Spence, ukochana siostra, 6 maja 1812 – 21 czerwca 1871.

- Nie wiedziałam, że jest tu grób pani Spence.

- Tak chciałyby, że ją wspominano – po prostu, bez ceremonii.

- Jaka ona była? – pytam.

- Eugenia? Miała bystry umysł i talent do magii. W swoim czasie była najpotężniejszą członkinią Zakonu. Serdeczną, lecz stanowczą. Uważała, że należy przestrzegać zasad bez żadnych odstępstw, gdyż jakikolwiek wyjątek to prowokowanie katastrofy. Ta szkoła stanowiła dzieło jej życia. Bardzo dużo się od niej nauczyłam. Była moją mentorką. Kochałam ją z całego serca.

Otrzepuje dłonie z ziemi i wciąga rękawiczki.

- Współczuję z powodu starty – mówię. – Przykro mi, że moja mama....

Panna McCleethy szybko zapina pelerynę.

- Zabił ją chaos, panno Doyle. Dwie dziewczyny, które złamały zasady, pozbawiły życia naszą ukochaną nauczycielkę. Proszę o tym pamiętać.

Przełykam wstyd, ale rumieniec na moich policzkach nie pozostaje niezauważony.

- Przepraszam – dodaje. – Za ostro to ujęłam. Przyznam szczerze, że kiedy dowiedziałam się, iż to córka Mary jest kluczem do międzyświata, poczułam się rozczarowana. Że ta, której błąd doprowadził do śmierci Eugenii, mogła powić kogoś, kto nas zbawi... - Kręci głową. – Wydawało się, iż los spletał nam okrutnego figła.

- Nie jestem aż taka zła – protestuję.

- Co innego, gdy ktoś przygotowuje się na wielkość, a co innego, gdy spadnie ona na niego niespodziewanie. Bałam się, że krew matki skłoni panią do podejmowania pochopnych decyzji... - Patrzy w stronę Spence, gdzie budowniczy stukają młotkami, odnawiając zrujnowane Wschodnie Skrzydło. – Nadal nie udał się panie wejść do międzyświata i odzyskać magii Świątyni?

- Niestety nie. – Przyglądam się nagrobkowi Eugenii Spence, mając nadzieję, że panna McCleethy nie zauważy, iż kłamstwo wywołało jeszcze mocniejszy rumieniec na mojej twarzy.

Zastanawiam się, czemu tak trudno mi w to uwierzyć.

- Czy nie ma innego sposobu wejścia do międzyświata? – zmieniam temat.

- Ja go nie znam – odpowiada nauczycielka. Przesuwa dłonią po moich włosach, zakładając zabłąkany lok za ucho. – Musimy być cierpliwi. Jestem pewna, że pani moc wróci.

- Chyba że międzyświat mnie nie wybrał – przypominam jej.

Uśmiecha się z wyższością.

- Wątpię w to, panno Doyle. Chodźmy, zapakujemy rzeczy.

Rusza z powrotem, a ja za nią.

Uwalniam lok, który tak pieczołowicie doprowadziła do porządku. Powiewa na wietrze wolny i dziki.

- Proszę pani, czy gdyby jednak magia obudziła się we mnie... i gdybym moigła znów wejść do międzyświata... czy wtedy Zakon zawarłby przymierze z innymi plemionami?

W jej oczach zapala się ogień.

- Ma pani na myśli przymierze z tymi, którzy przez wieki dążyli do naszej zagłady?

- Ale skoro wszystko się zmieniło...

- Nie, panno Doyle. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Cierpiałymy prześladowania z powodu naszej wiary i mocy zarówno w międzyświecie, jak i poza nim.. Nie odstąpimy tak łatwo. Nasza misja polega na tym, by związać magię ze Świątynią, odnowić runy i przywrócić międzyświat do takiej postaci, w jakiej funkcjonował, zanim ta okropna tragedia zagroziła naszemu bezpieczeństwu.

- Czy naprawdę kiedyś było tam bezpiecznie? Nie wygląda na to.

- Oczywiście, że tak. I znów może być, jeśli uda nam się wrócić do dawnego porządku.

- Ale nie da się wrócić. Można tylko iść na przód – oświadczam, ze zdumieniem zauważając, że z moich ust znów padają słowa panny Moore.

Panna McCleethy wybucha gorzkim śmiechem.

- Jak mogło do tego dojść? Pani matka prawie zniszczyła Zakon, a teraz pani wbija gwóźdź do naszej trumny. Proszę mi pomóc zapakować koszyk.

Podaję jej szklankę po lemoniadzie, która wypada mi i tłucze się na malutkie kawałeczki.

- Przepraszam – mówię, zbierając je.

- Wprowadza pani zamęt w najprostsze czynności, panno Doyle. Proszę mnie zostawić. Sama się tym zajmę.

Wycofuję się, lawirując między wiekowymi nagrobkami, wystawionymi tym, którzy są ukochani, dopiero gdy odejdą.

*

Gdy wracam, okazuje się, że we Wschodnim Skrzydle wybuchł bunt. Felicity wciąga mnie w grupkę dziewcząt, które obserwują rozwój wypadków z bezpiecznej kryjówki pośród

drzew. Mężczyźni opuścili budowę. Stoją obok siebie w kapeluszach, z rękami założonymi na piersi, podczas gdy czerwony na twarzy pan Miller wykrzykuje do nich polecenia:

- Ja tu jestem majstrem i mówię wam, że mamy robotę do wykonania, bo inaczej nie dostaniecie złamanego pensa! A teraz wracać do pracy!

Mężczyźni szurają nogami. Nerwowo poprawiają kapelusze. Jeden pluje na trawę. Wysoki robotnik o posturze boksera wychodzi przed szereg. Zerka niespokojnie na towarzyszy.

- Coś jest nie tak, psze pana.

Pan Miller przykłada zwiniętą dłoń do ucha i marszczy czoło.

- Co mówisz?

- Zgadaliśmy się z kumplami. Coś jest nie tak w tym miejscu.

- Nie tak jest to, że nie dostaniecie zapłaty! – wrzeszczy brygadzysta.

- No to gdzie zniknął Tambley? A Johnny? Też poszedł zeszłej nocy i jeszcze nie wrócił dziś rano! – woła inny mężczyzna. Wydaje się, że jest bardziej przestraszony niż zły. – Poszli i wyparowali bez śladu, a pan uważasz, że nie ma w tym nic dziwnego?

- Pewnie ich wystraszyło takie gadanie. I krzyż im na drogę. Tchórze. Jeśli mnie pytacie, uważam, że powinniśmy oczyścić las z brudnych Cyganów. Nie zdziwiłbym się, gdyby to oni maczali w tym palce. Przyjeżdżają do naszego kraju i zabierają pracę porządym Anglikom. Zgadacie się bez walki, żeby rzucali na nas klątwy?

- Pana ludzie piją. To jest ich klątwa.

Dumnie wyprostowany Ithal schodzi ze wzgórza, prowadząc kilkunastu kamratów, w tym Kartika. Moje serce przyspiesza. Ekipa budowniczych jest znacznie liczniejsza od Cyganów.

Miller rzuca się biegiem w stronę Ithala. Bierze zamach, lecz Ithal robi unik niczym doświadczony bokser. Dwaj mężczyźni wdają się w bójkę, zagrzewani do boju przez swoich ludzi. Ithal wyprowadza silny cios w szczękę majstra, który mocno się po nim chwieje. Kartik trzyma dłoń w pobliżu sztyletu ukrytego w cholewie buta.

- Co to ma być? Natychmiast przerwać tę burdę! – woła Brigid.

Cała szkoła wylega na trawnik, żeby oglądać walkę. Padają kolejne ciosy. Teraz już wszyscy się angażują.

- A dlaczego nikt z waszej bandy nie zniknął? – krzyczy ktoś z brygady pana Millera.

- To niczego nie dowodzi – odpowiada Ithal, uchylając się przed atakiem.

- Jak dla mnie dowodzi! – ryczy kolejny mężczyzna.

Wskakuje Ithalowi na plecy i jak oszalałe zwierzę drze w strzępy jego koszulę. Kartik ściąga go na ziemię. Budowniczy próbuje go złapać, a on szybko jak błyskawica postawia mu nogę, przez co napastnik traci równowagę. Teren przed szkołą zostaje ogarnięty przez absolutny chaos.

- Ekscytujące, co? – odzywa się Felicity z błyskiem w oku.

Pojawia się pani Nightwing. Kroczy przez trawnik niczym królowa Wiktoria zamierzająca udzielić nagany swoim żołnierzom.

- Tak się nie godzi, panie Miller! Tak się naprawdę nie godzi!

Na polanę chwiejnym krokiem wchodzi matka Elena. Woła do mężczyzn, żeby przestali. Jest tak słaba, że musi opierać się o drzewo, aby stać prosto.

- To miejsce zabrało moją Caroline! Zawołajcie Eugenię, poproście, żeby z tym skończyła.

- Kompletnie stuknięta kobiecina – komentuje ktoś pod nosem.

Następuje przerwa w bijatyce. Kartik wychodzi naprzód. Ma świeże skaleczenie na dolnej wardze.

- Jeśli połączymy siły, łatwiej nam będzie odnaleźć przyczynę tych kłopotów. Moglibyśmy czuwać, gdy wy śpicie...

- Wy macie stać na warcie? Obudzilibyśmy się z pustymi kieszeniami i poderżniętymi gardłami! – krzyczy jeden z robotników.

Rozlegają się głośne krzyki. Padają oskarżenia i grozi nam wybuch kolejnej bójki.

Pani Nightwing wkracza do akcji.

- Panowie! To rozsądna propozycja. Wieczorem Cyganie będą stawali na warcie, żeby pańscy ludzie mogli spokojnie odpocząć.

- Nie zgadzam się, żeby nas pilnowali – protestuje pan Miller.

- Ale będziemy to robili – upiera się Ithal. – Dla własnego bezpieczeństwa.

- Co za awantura – dyrektorka cmoka z dezaprobatą. – Dziewczęta! Co tak stoicie z otwartymi buziami jak stado gęsi? Natychmiast do klas!

Mijam Kartika, patrząc tylko na koleżanki. *Nie zwracaj na niego uwagi, Gemmo. Nie odpowiedział na wezwanie. Idź dalej.*

Udaje mi się dotrzeć do drzwi Spence i dopiero wtedy pozwalam sobie przelotnie zerknąć do tyłu. Kartik odprowadza mnie wzrokiem.

*

- Listy! Listy! – Pojawia się Brigid z cotygodniową pocztą, którą odebrała z wioski. Zapomniawszy o nauce, oblegamy ją, wyciągając ręce po wieści z domu. Młodsze panienki płaczą i pociągają nosami nad listami od matek, tak bardzo tęsknią za domem. Natomiast my, starsze dziewczyny, liczymy na ciekawe ploteczki.

- Aha! – Felicity triumfalnie unosi zaproszenie nad głowę. – Syćcie swoje oczy.

- „Serdecznie zapraszamy na bal na cześć panny Felicity Worthington, który odbędzie się w domu lorda oraz lady Markhamów o godzinie ósmej wieczorem” – czytam na głos. – Och, Fee, to cudownie!

Przyjaciółka przyciska zaproszenie do piersi.

- Niemalże czuję smak wolności. A ty co dostałaś, Gemmo?

Zerkam na adres nadawcy.

- List od babki – dopowiadam i wtykam go między karty książki.

Felicity unosi brwi.

- Czemu go nie otworzysz?

- Zrobię to później – zapewniam i zerkam na Ann.

Tylko ona nic nie dostała. Za każdym razem, gdy przychodzi poczta, przeżywa nieszczęście, bo żadna czuła dusza nie napisze, że za nią tęskni.

Brigid unosi kopertę do światła.

- No, temu człowiekowi we łbie się pomieszało. To nie do nas. Panna Nan Washbrad. U nas takiej nie ma.

Ann niemalże rzuca się na kopertę.

- Mogę zobaczyć?

Brigid odsuwa rękę.

- No, no. Pani Nightwing postanowi, co z tym zrobić.

Bezradnie patrzymy, jak Brigid dokłada długo wyczekiwany list od panny Trimble do korespondencji dla pani Nightwing, po czym wszystko chowa do kieszeni fartucha.

- To na pewno od pana Katza. Musimy go odzyskać – mówi Ann z rozpaczą.

- Ann, gdzie Brigid zostawia listy dla dyrektorki? – pytam.

- Na jej biurku – odpowiada przyjaciółka, przetykając z trudem. – Na górze.

*

Okoliczności zmuszają na, byśmy czekały aż do wieczornej modlitwy, zanim spróbujemy odzyskać list do Ann. Podczas gdy pozostałe uczennice biorą szale i modlitewniki, my zakradamy się do gabinetu pani Nightwing. Pokój jest stary, ponury i, podobnie jak turniura przy sukni dyrektorki, okropnie niemodny.

- Pospieszmy się – mówię.

Wyciągamy szuflady i szukamy jakiegokolwiek śladu po liście do Ann. Otwieram małą biblioteczkę i zaglądam do niej. Półki są zastawione książkami: *Prawdziwa miłość* pióra panny Mabel Collins, *Żyłam i kochałam* niejakiej pani Forrester, *Wielka namiętność*, *Honor Trinie*, *Zbrodnia niewidomej Elsie*, *Wielki galop*, *Zwycięska cierpliwość*.

- Nie uwierzycie, co znalazłam – mówię, chichocząc. – Romanse! Wyobrażacie sobie?

- Gemmo, daj spokój – napomina mnie Felicity z posterunku przy drzwiach. – Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Zawstydzona zamykam drzwi do biblioteczki, kiedy zauważam jakiś list. Na datowniku widnieć rok 1893, czyli list jest o wiele za stary, by miał być tym, którego szukam. Jednak pismo wydaje mi się dziwnie znajome. Odwracam kopertę i po drugiej stronie widzę złamaną woskową pieczęć z księżycowym okiem, więc wyciągam list. Nie ma żadnego zwrotu grzecznościowego na powitanie.

Zlekceważyłaś moje ostrzeżenie. Jeżeli nie zrezygnujesz ze swojego planu, zdemaskuję cię.

- Znalazłam! – Ann nie posiada się z radości.

W głosie Felicity słychać panikę:

- Ktoś idzie po schodach! – woła.

Pospiesznie odkładam wszystko na miejsce i zamykam szafkę. Ann zabiera lisy i szybko ruszamy korytarzem.

Przy obitych suknem drzwiach wita nas zagniewana Brigid.

- Przecież wiedzą, że nie wolno im tu wchodzić!

- Wydawało nam się, że słyszemy hałas – gładko kłamie Fee.

- Tak, okrutnie się przestraszyłyśmy – dodaje Ann.

Brigid spogląda na korytarz, okazując zarazem podejrliwość i niepokój.

- No to zawołam panią Nightwing i...

- Nie! – protestujemy wszystkie jednocześnie.

- Nie ma potrzeby – mówię. – To tylko jeź, który jakimś cudem dostał się do środka.

Brigid błędnie.

- Jeź? Idę po miotłę! Żaden jeź nie będzie biegał po moim domu!

- Dobre podejście, Brigid – wołam za nią. – To był chyba francuski jeź!

- Francuski jeź? – powtarza Felicity z rozbawioną miną.

- *Oui* – potwierdzam.

Ann tuli list do piersi.

- Mamy to, po co przyszłyśmy. Chodźcie, chcę poznać swój los.

Gdy idziemy do kaplicy, dzień jeszcze trwa, ale słońce szybko chowa się za horyzontem.

- I co? – Felicity próbuje zerknąć do listu, ale Ann nie chce go jeszcze pokazać.

- Ann! – protestujemy obie z Fee.

- No dobrze, dobrze. – Przyjaciółka podaje nam kartkę, a my chwytamy ją chciwie. –

Czytajcie na głos. Chcę się upewnić, że to nie sen!

- „Droga panno Washbrad – zaczynamy z Felicity unisono. Ann z zamkniętymi oczami i uśmiechem powtarza bezgłośnie każde słowo. – Mam nadzieję, że list mój zastanie Panią w dobrym zdrowiu. Rozmawiałam z panem Katzem, który proponuje spotkanie w następnym poniedziałek o drugiej po południu. Radzę się nie spóźnić, Moja Droga, gdyż nic nie wpędza

go w gorszy nastrój niż brak punktualności. Zarekomendowałam Pani talent, gdyż uroda Pani mówi sama za siebie. Pozdrawiam serdecznie. Lily Trimble”.

- Ann, to cudownie – Oddaję jej list, który ukrywa pod sukienką blisko serca.

- Tak, tak, cudownie, prawda? – Radość odmienia naszą przyjaciółkę. Ta odrobina nadziei sprawia, że prostuje się dumnie.

Trzymając się za ręce, biegniemy do kaplicy, a dzień wyzwala się z pęt i w końcu wsiąka w ziemię, pozostawiając po sobie rozjarzony różowy ślad.

*

Jedna z młodszych dziewczynek stoi na ambonie i czyta Pismo Święte. Jest mała, ma nie więcej niż dziesięć lat, i wyraźnie sepleni, przez co grozi nam, iż lada chwili nasza modlitwa przerodzi się w historyczny chichot.

- „Ftedy zekł wąż do niefiasty: >>Na pefno nie umzecie<<”.

- Gemmo – Ann zwraca się do mnie Szpetem – nie mogę pójść na spotkanie z panem Katzem.

- Co masz na myśli? – pytam cicho, zasłaniając twarz Biblią.

Jej twarz posępnieje i poprzednia radość gaśnie.

- On uważa, że jestem Nan Washbrad.

- To tylko nazwisko. Lily Trimble zmieniła swoje.

Cecily ucisza mnie, a ja ostentacyjnie ją lekceważę.

- Ona napisał: „Uroda pani mówi sama za siebie”. Nie rozumiesz? Ja nie jestem tą dziewczyną. Stworzyć iluzję to jedno, ale trwać w niej przez całe życie?

- „Ale fie Bóg, ze gdy spozyjecie ofoc s tego dzewa, otfozą się fam ocy i tak jak Bóg będziecie snali dobro i sło”.

- Będziemy snali dobro i sło – w zadumie powtarza Felicity i nagle w naszym rzędzie rozlega się gwałtowne kasłanie, którym staramy się zamaskować wybuch śmiechu.

Panna McCleethy odwraca się i patrzy na nas zmrużonymi oczami. Unosimy wyżej Bible, jakbyśmy należały do szkółki misyjnej. Wędruję spojrzeniem do pani Nightwing, która siedzi prosto, ze wzrokiem skierowanym przed siebie i miną równie nieprzeniknioną jak sfinks.

Wracam myślami do listu schowanego w biblioteczce. Jakie ostrzeżenie mogła zignorować dyrektorka? O jaki plan chodzi?

Nagle słowa w mojej Biblii rozmazują się, a świat znów zwalnia i staje. Milknie męcząca recytacja dziewczynki z ambony. Robi się duszno, moja skóra pokrywa się potem.

- Ann? Felicity? – wołam, ale one należą do innego czasu.

Po kaplicy niesie się echem syk gęsty jak syrop.

- F-fee – szepczę, lecz ona mnie nie słyszy.

Syk rozlega się ponownie, tym razem głośniej. Dobiega z prawej strony. Odwracam się wolno, a moje serce łomocze coraz gwałtowniej. Mój wzrok pokoju ogromną odległość między podłogą a witrażem z aniołem i głową gorgony.

- O Boże...

W panice zaczynam się cofać, ale zastygłe w bezruchu dziewczyny blokują mi drogę, więc mogę tylko z przerażeniem obserwować, jak witraż ożywa. Niczym na pokazie magicznej latarni braci Wolfsonów anioł rusza w moją stronę, trzymając w górze odciętą głowę gorgony. Nagle głowa otwiera oczy i przemawia, sycząc:

- Strzeż się majowych narodzin.

Z głośnym jękiem rzucam się w tył, a świat znów nabiera zwykłego tempa. Wpadam na Ann, która popycha Felicity, a ona kolejne dziewczęta niczym kostki domina.

- Gemmo! – protestuje Ann, ponieważ trzymam się jej z całej siły.
- P-przepraszam – dukam, ocierając pot z czoła.
- Fuj. Masz. – Felicity podaje mi chusteczkę.

Organy rozbrzmiewają fałszywymi nutami, zachęcając nas do podjęcia pieśni. Mam nadzieję, że głośne tony zagłuszą szalone bicie mojego serca. Uczennice otwierają śpiewniki i dziewczęce głosy bez cienia wątpliwości twierdzą, że Bóg jest nam orężem i zbroją. Poruszam ustami, ale nie mogę śpiewać. Cała drzę i spływam zimnym potem.

Nie patrz. Ale muszę, muszę...

Ostrożnie kieruję wzrok w prawo, gdzie przed chwilą krwawe trofeum anioła wysyczało ostrzeżenie, którego nie rozumiem. Lecz teraz anielska twarz jest spokojna, a głowa gorgony śpi. To tylko obraz w oknie, tylko kolorowe szkło.

*

Nie mogę się uspokoić, więc siedzę w samotności i czytam list z domu. Zwykle głupoty od babci na temat jakiegoś przyjęcia, wizyt towarzyskich i najświeższych ploteczek, ale nie mam do tego teraz głowy. Ze zdumieniem czytam, że Simon Middleton pytał o mnie, i moje przygnębienie się rozprasza, choć nienawidzę siebie za to, że zainteresowanie mężczyzny może tak łatwo poprawić mi nastrój. Równie szybko zapominam o tym, że powinnam się za to nienawidzić, i czytam to zdanie trzy razy.

Tuż pod listem od babci znajduje się dopisek od Toma:

Droga Gemmo, damo o ostrym języku. Piszę to pod przymusem, bo babcia nie daje mi spokoju. Trudno, muszę sprostać braterskim obowiązkom. Ufam, że masz się dobrze, bo ja czuję się wprost wyśmienicie, lepiej bym chyba nie mógł. Klub dla dżentelmenów wyraził szczere zainteresowanie moją kandydaturą. Dowiedziałem się, że przejdę surową inicjację w ich święte rytuały jeszcze przed rozpoczęciem sezonu. Byli nawet tak mili, że zadali sporo pytań na Twój temat, choć nie pojmuję dlaczego. Opowiedziałem im dokładnie, jaka potrafisz być nieprzyjemna. Widzisz więc, że Ty i ojciec myliliście się co do mnie, ale postaram się zachowywać kulturalnie o witać was skinieniem głowy na ulicy, gdy już zostanę arystokratą. A teraz, skoro dopełniłem obowiązku, żegnam Cię. Czule na tyle, na ile jest to możliwe, biorąc pod uwagę Twój paskudny temperament.

Thomas

Zgniatam list w kulkę i wrzucam do ognia. Rozpaczliwie potrzebuję porady – na temat brata, Zakonu, Wilhelminy Wyatt, międzyświata i tej magii wewnątrz mnie, która mnie zdumiewa i przeraża zarazem. Jest tylko jedna osoba, do której mogę się zwrócić po odpowiedzi na wszystkie pytania i zamierzam się do niej wybrać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Zostawiam przyjaciółki przy ścianie jeżyn. Ann przysuwa twarz do kolców, które nas dzielą.

- Nie idziesz?

- Później. Mam sprawę do załatwienia.

Felicity robi się podejrzliwa.

- Jaką?

Wzdycham teatralnie.

- Muszę porozmawiać z Ashą o stosunkach między Niedotykalnymi i leśnym ludem. O sporze.

- Brzmi okropnie nudno – uznaje Fee. – Powodzenia.

Ramię w ramię ruszają w stronę zamku, który wystaje z kłębowiska pnączy jak koścista zjawa.

Kadzielnice przy drodze do Świątyni plują kolorowym dymem. Zazwyczaj pachną słodko, ale dzisiaj woń jest inna, ostra i nieprzyjemna. Hajini wyglądają na zaniepokojonych. Tak jakby czekali na zapowiedzianą burzę.

- Pani Nadziejo – wita mnie Asha z ukłonem.

- Muszę się zbliżyć do studni wieczności – mówię i idę dalej, nie zatrzymując się.

Asha dotrzymuje mi kroku w labiryncie korytarzy.

- Pani Nadziejo, moi ludzie się boją. Leśny lud oskarża nas o kolaborację z Zakonem...

- I ma rację?

- Chyba w to nie wierzysz?

Już sama nie wiem, w co wierzę. Zakon ma jakiś plan i zanim stąd odejdę, chcę dowiedzieć się więcej na ten temat. Docieramy do Grot Westchnień.

- Asho, muszę zostać sama.

Kłania się znów, spuszczać wzrok.

- Jak sobie życzysz, pani Nadziejo.

Kirke unosi się w studni pod przypominającą szkło powierzchnią wody. Wydaje się nieważka, a jednak odczuwam ciężar jej obecności tak dotkliwie, że z trudem oddycham.

- A więc w końcu wróciłaś.

Potrzebuję pomocy. Choć bardzo się staram, nie potrafię wydusić z siebie tych słów.

- Coś wisi w powietrzu i chcę wiedzieć, co to!

Kirke ma głos osoby umierającej.

- Znasz... cenę... za moją radę?

Przełykam głośno. Gdy to zrobię, nie będzie już odwrotu. A jeżeli dam jej magię, jak tego chce, skąd mam wiedzieć, że nie zrobi mi krzywdy?

- Tak, znam.

- I zapłacisz ją... z własnej, nieprzymuszonej woli?

- A jaki mam wybór? – ripostuję, po czym śmieję się z rozgoryczeniem, gdyż doskonale wiem, co na to odpowie. – Tak, wiem, zawsze jest jakiś wybór. Proszę bardzo. Decyduję się dać to, czego pani chce, w zamian za to, czego ja potrzebuję.

- Z własnej woli...

- Tak, dam to z własnej, nieprzymuszonej woli! – złoszczę się.

- A zatem zbliż się do mnie – rozlega się szept, nie głośniejszy niż szelest jedwabiu.

Podchodzę do studni, w której jej ciało unosi się pod wodną pieczęcią. Muszę zebrać wszystkie siły, żeby spojrzeć w te szeroko otwarte oczy.

- Słuchaj uważnie, Gemmo – mówi powolnym, ochryplym szeptem. – Rób dokładnie to, co ci powiem, inaczej mnie zabijesz i niczego się nie dowiesz.

- Słucham.
- Przyłóż dłoń do powierzchni studni i obdarz ją mocą...
- Ale wydawało mi się, że to panią zabije...
- Tylko na tyle, by złamać pieczęć i oczyścić wodę.

Moje palce spoczywają na krawędzi cembrowiny. *No dalej, Gemmo. Zrób to.* Powoli opuszczam trzęsące się dłonie i przykładam je do powierzchni. Jest jak cienka warstwa wody, która topnieje pod moim dotykiem. Woda rozjaśnia się i Kirke się unosi, aż jej twarz prawie dotyka powierzchni.

- Dobrze, dobrze – szepcze. – A teraz połóż dłoń na moim sercu i daj mi odrobinę magii. Ale tylko trochę. Jestem słaba i nie mogę przyjąć więcej.

Zanurzam dłoń w wodzie i sięgam do przemoczonego stanika sukni Kirke. Powstrzymuję krzyk.

- Teraz – wzdycha.

Po chwili magia przepływa między nami niewidzialną nicią. W ogóle nie wyczuwam jej myśli, wracają do mnie tylko moje własne.

- Proszę – mówię, cofając się szybko.

Panna Moore wypływa, aż w końcu unosi się spokojnie na powierzchni. Jej policzki i usta nabierają blad różowego odcienia. Niewidzące oczy mrugają po raz pierwszy. Głos nabiera mocy.

- Dziękuję, Gemmo – mówi.

- Zrobiłam, o co pani prosiła. Teraz proszę dać mi odpowiedzi na moje pytania.

- Oczywiście.

Mówiąc, krążę wokół studni, bo nie chcę na nią patrzeć.

- Dlaczego pani twierdziła, że Zakon spiskuje przeciwko mnie? Jak mogę powstrzymać Rakshana? Co powinnam wiedzieć o międzyświecie, o istotach z Krainy Zimy i o magii? No i o Pippie. Co pani wie o...

- Tak wiele pytań – mówi cicho. – A odpowiedź jest bardzo prosta. Skoro chcesz się bronić przed Zakonem i Rakshanami, najlepiej zrobisz, jeśli najpierw zajrzysz do swojego wnętrza, Gemmo.

- Co pani ma na myśli? – ostrożnie zbliżam się do studni.

- Naucz się panować nad sobą, rozumieć zarówno swoje lęki, jak i pragnienia. To jest klucz do magii. Wtedy nikt nie będzie miał nad tobą władzy. Pamiętaj... - Bierze głęboki, charczący wdech. – Magia... to żywa istota, związana z tym, kogo dotknie, a także przez niego kształtowana.

Przemierzam pomieszczenie, uważając, żeby na nią nie patrzeć.

- Mam prawie siedemnaście lat. Wydawałoby się, że coś już o sobie wiem.

- Musisz dowiedzieć się wszystkiego, nawet o najciemniejszych zakamarkach swej duszy. Zwłaszcza o nich.

- Może ich nie mam.

Ze studni dobiega słaby, ochryply śmiech.

- Gdyby to była prawda, byłabym tam na zewnątrz, a ty tutaj w środku.

Chcę odpowiedzieć, ale brakuje mi argumentów.

- Musisz wiedzieć, ile magia będzie cię kosztowała.

- Kosztowała? – powtarzam.

- Wszystko ma swoją cenę. – Kirke oddycha konwulsyjnie. – Nie mówiła tak dużo... od wieków. Muszę teraz odpocząć.

Podbiegam do studni, w której pływa. Jej oczy już się zamykają.

- Proszę poczekać! Co z Tomem i Rakshanami, i z Pippą, i z Krainą Zimy? Mam więcej pytań! Obiecała pani, że mi pomoże!

- I zrobiłam to – odpowiada, zapadając się w głębię. Przeszukaj te ciemne zakamarki, Gemmo. Zanim się okaże, że zostałam w nich uwięziona.

Nie mogę uwierzyć, że dałam tak wiele, a tak mało otrzymałam w zamian. Nie powinnam była ufać Kirke.

- Przyjdę tu dopiero po to, by oddać magię Świątyni, w dniu pani śmierci – oświadczam, wychodząc w gniewie.

Gdy wyłamiam się zza kurtyny, natykam się na Ashę. Siedzi ze skrzyżowanymi nogami na niewielkiej macie i łuska jasnopomarańczowy groszek, który wrzuca do miski. Za nią kilku pariasów przegląda zawartość koszy z makami, wybierając tylko najpiękniejsze kwiaty, a resztę odrzucając.

Asha kiwa na mnie.

- Mogę prosić na słówko, pani Nadziejo?

Siadam koło niej, ale z trudem zachowuję spokój. Jestem bardzo poruszona po rozmowie z Kirke i zła na siebie za to, że jej zaufałam.

- Rozważałam twoją propozycję – mówi Asha. – Uważam, że dla Niedotykalnych lepiej będzie nie przystępować do sojuszu.

- Nie przystępować? Dlaczego?

Palce Ashy starannie oddzielają groszek od bezużytecznych łupin.

- Nie chcemy się angażować w taką walkę. To nie nasza droga.

- Ale mając udział w magii, twoi ludzie mogliby stać się ważną siłą w międzyświecie. Moglibyście odmienić swój los. Moglibyście wyleczyć...

Gryzę się w język, nie chcąc jej urazić. Hajini rzucając mi zaciekawione spojrzenia. Asha odprawia ich kiwnięciem głowy, a oni kłaniają się i odchodzą.

- Dawniej, w mrocznych czasach, byliśmy prześladowani. Traktowano nas jak niewolników. Mordowano dla zabawy – opowiada Asha. – Potem nastął Zakon, który zapewnił na bezpieczeństwo. Od kiedy pojawiła się perspektywa sojuszu, to bezpieczeństwo stoi pod znakiem zapytania. Nasz lud jest prześladowany na polach i poza nimi. Nad rzeką centaury wychłostały Hajini. A wczorajszej nocy ukradziono zbiór maków, tylko niewielki koszyk, ale to wystarczy.

Zaciskam dłonie w pięści.

- Tak nie może być! Natychmiast porozmawiam z Filonem!

Asha kręci głową.

- Nie. Wycofamy się. Tutaj, z dala od wszystkich, jesteśmy bezpieczni.

Rozglądam się po obskurnych jaskiniach, w których od wieków żyją na wygnaniu. Jesteście zmuszeni do życia w tych grotach. Gdzie tu bezpieczeństwo?

Asha wygląda sari na pokrytych pęcherzami nogach.

- Nie należy tego kwestionować.

- Podejmiesz taką decyzję za wszystkich swoich ludzi?

Groszek wpada do miski z głuchym stukotem.

- Nie muszą wiedzieć wszystkiego, To by tylko budziło niezadowolenie.

- Czyje?

- Tak będzie lepiej – powtarza jak mantrę.

Zbliża się do nas jedna z Niedotykalnych. Twarz ma naznaczoną zmartwieniem.

- To nie jest dobry zbiór, Asho – mówi przepraszająco. – Straciliśmy wiele kwiatów przez mróz i śnieć.

Asha marszczy czoło.

- Przez mróz?

Niedotykalna otwiera owrzodziałą dłoń, żeby pokazać pomarszczony i niebieski od zimna mak.

- Nie wytrzymują tego.

- Proszę – mówię i przykładam dłoń do kwiatu, z którego wyrastają nowe maki, pełne i czerwone. – Moglibyście robić to sami, gdybyście chcieli.

Dziewczyna patrzy z nadzieją na Ashe, która kręci głową.

- To tylko złudzenie – odpowiada. Wyjmuje płatki maku z dłoni Niedotykalnej i rzuca je na stertę śmieci.

*

Znów idę ścieżką wśród wierzb. Majestatyczne gałęzie rozkładają się jak wachlarze nad moją głową, a ja wędruję pod ich osłoną. Jakie plany ma Zakon wobec mnie? Czy mógł zabić Wilhelminą Wyatt, żeby ją uciszyć, a jeżeli tak, to jaki sekret, wart morderstwa, mogła skrywać? Jak mogę pomóc w rządzeniu międzyświatem, skoro istoty mające zawrzeć przymierze nie ufają sobie nawzajem?

Nie cieszy mnie nawet perspektywa spotkania się z Pip i pozostałymi w Krainie Granicznej. Nie będą chciały słuchać o moich kłopotach. Chcą tylko tańczyć, bawić się wesoło, robić suknie balowe z powietrza i peleryny z wytartych gobelinów. A kiedy Felicity i Pippa są razem, reszta z nas mogłaby równie dobrze nie istnieć. Ich przyjaźń jest samowystarczalna. Zazdroszczę im tej bliskości i nie lubię siebie za to. Nie potrafię zdecydować, co jest gorsze – zazdrość czy to, że czuję się przez nią podła i małostkowa.

Nad drogą pojawia się chmura kurzu, a w chwilę potem rozlega się tętent końskich kopyt. Moje serce bije szybciej. Jeździec zbliża się szybko i nie mam szans przed nim uciec. Próbuje ukryć się za wierzbą, ale nie osłania mnie. Magia. Ale co zrobić? Zamaskować się. Jak, jak, jak? Nie mogę myśleć. Iluzja, jakaś iluzja. Ale jaka? *Rozejrzyj się, Gemmo. Co widzisz?* Drogę. Niebo. Kurz. Wierzby. Wierzba!

Jest coraz bliżej.

Zapomnij o strachu. Zapomnij. Zapomnij. Czuję, jak magia płynie przeze mnie, i mogę tylko mieć nadzieję, że będzie mi posłuszna. Gdy spoglądam na swoje ręce, okazuje się, że wyglądają jak gałęzie. Tak! Zamaskowałam się.

Jeździec zwalnia do truchtu, a potem zatrzymuje się. Ze strachu ledwie mogę oddychać. To Amar. Nosi pelerynę ze skór zwierząt – ich oczy nadal się poruszają – i hełm z ludzkich czaszek. Znowu muszę stłumić krzyk. *Pamiętaj o swoim celu, Gemmo. Spokojnie, spokojnie...*

Jego koń jest upiorną bestią o oczach takich, jakie czasami miewa Pippa. Parska i obnaża zęby, podczas gdy Amar uważnie rozgląda się po ścieżce.

- Wiem, że tu jesteś! – woła brat Kartika. – Czuję twoją moc. Twoją niewinność.

Moje serce bije tak szybko, że mogę tego nie wytrzymać. Czarny ptak przelatuje z drzewa na drzewo, a ja truchleję ze strachu, że mnie odkryje. Jednak on podlatuje do Amara i siada mu na ramieniu.

- Nadchodzi czas. Strzeż się majowych narodzin.

Spina konia i odjeżdża w tumanie pyłu.

Czekam w ukryciu, licząc do stu, a potem ile sił w nogach biegnę do Krainy Granicznej.

Chcę opowiedzieć przyjaciółkom o Kirke. Ale jak mogłabym im wyznać, że ona nadal żyje? Że poszłam do niej po radę? Że dałam jej magię? Niedobrze mi, gdy pomyślę o tym, co zrobiłam i ile zaryzykowałam. I po co? Dla bzdur. Napomnień, żebym poznała swoje mroczne strony, jakby ona nie była najgorszą osobą, jaką spotkałam w życiu.

Gdy docieram do zamku, gdzie przyjaciółki śmieją się i bawią w berka, mój nastrój znacznie się poprawia. Popełniłam błąd, idąc do Kirke, ale to się już nie powtórzy. Nie wrócę

tam, zanim nie nadejdzie pora, by oddać magię i zawrzeć przymierze, a tego dnia ona odejdzie ze świata na zawsze.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Budzimy się w przepiękny niedzielny poranek, pełen barw i skąpany w miękkim świetle, wydobywającym z krajobrazu paletę kolorów, która mogłaby zachwycić Moneta. Po obrzydliwie nudnym nabożeństwie – pozdrowienia dla półżywego wielebnego Waite’a – pani Nightwing proponuje nam nagrodę za świeżą cierpliwość w formie pomocy w przygotowaniach do balu maskowego. Zostajemy wyprawione na dwór w fartuchach malarskich i z pędzlami w kieszeniach. Na trawniku za szkołą ustawiono stoły, a na nich położono wielkie płachty płótna. Wiadra z farbą służą do przytrzymania narożników. Panna McCleethy każe nam malować sielankowe sceny, które wykorzystamy jako dekoracje do występów podczas balu. Jedyna scena, jaka przychodzi mi na myśl, to groteskowy baraszkujący Pan w pantalonach z obrazu w londyńskim domu mojej babki. Postanawiam jednak nie malować tego dziwoląga, choć perspektywa odziania go w gorset jest kusząca.

Felicity ciężko pracuje. Jej pędzel wędruje z wiadra do wiadra, a kiedy zauważam, że z płótna wylania się zamek, dodaję w tle urwiste góry z Krainy Zimy. Panna McCleethy przechadza się między stolikami z rękami założonymi za plecy. Nanosi poprawki swoim pędzlem, tu korygując krzak, a tam kwiatek. To bardzo denerwujące i nachodzi mnie chęć, żeby domalować jej wąsy.

- Co to jest? – pyta na widok naszego dzieła przedstawiającego Krainę Graniczną.

- Bajka – odpowiada Fee, domalowując fioletowe owoce na drzewie.

- Bajki potrafią być zwodnicze. Jak ta się kończy?

Felicity uśmiecha się prowokacyjnie.

- Żyli długo i szczęśliwie.

- Dostyc ponuro to wygląda. – Nauczycielka chwyta pędzel i muska jaskrawym różem skłębioną szarość mojego dalekiego nieba nad Krainą Zimy. Nie poprawia to jego wyglądu, a jedynie zmienia w burą plamę z domieszką zupełnie niepasującego koloru.

- Tak lepiej – oświadcza. – Pracujcie dalej.

- Harpia – mruczy Felicity pod nosem. – Obiecuj, że nie dasz jej ani odrobiny magii, Gemmo.

- Nie podzieliłabym się z nią, nawet gdyby od tego zależało moje życie – deklaruję.

*

Po południu Cyganki przynoszą kosze z dżemami i innymi słodkościami. Panna McCleethy pyta, czy któryś z Cyganów mógłby porąbać drewno do kominka i chwilę później przychodzi Kartik. Moje policzki pokrywa gorący rumieniec. Młodzieniec zdejmuje płaszcz, podwija rękawy koszuli i chwyta siekiere.

Panna McCleethy zostawia nas, żeby sprawdzić, jak postępują prace we Wschodnim Skrzydle, więc dyskretnie podchodzę do Kartika. Wilgotna koszula klei się do jego ciała. Podaję mu wodę. Zerka w stronę nauczycielki, która nie zwraca na nas najmniejszej uwagi. Z zadowoleniem wypija wodę i ociera czoło wierzchem dłoni.

- Dziękuję – mówi, uśmiechając się tajemniczo.

- Co cię tak bawi? – pytam.

- Przypomniał mi się pewien przedziwny sen. – Pociera kciukiem dolną wargę.

Rumieniec zaczyna się od palców nóg i błyskawicznie dociera do mojej twarzy.

- No cóż – mówię, nerwowo gmerając przy wiadrze na wodę. – To był tylko sen.

- Może pamiętasz, że ja wierzę w sny – odpowiada i patrzy na mnie w taki sposób, że muszę odwrócić wzrok, żeby natychmiast nie rzucić się na niego i nie zacząć go całować.

- Ja... chcę z tobą porozmawiać o pewnej pilnej sprawie – wyjaśniam. – Fowlson złożył mi wizytę w Londynie. Nasza rodzina została zaproszona na kolację do Stowarzyszenia Hipokratesa, a on czekał przed budynkiem.

Kartik wyciąga siekierkę z pieńka, w który była wbita. Zaciska zęby.

- Czego chciał?

- Magii. Powiedziała mu, że oddałam ją Zakonowi, ale mi nie uwierzył. Zagroził, że narobi mi kłopotów, a kiedy następnego wieczoru Thomas wrócił do domu, chwalił się, że zaproponowano mu członkostwo w ekskluzywnym klubie dla dżentelmenów. W kłapie marynarki miał znaczek Rakshana.

- Nie dostał go bez powodu. Zabiegają o niego – zauważa Kartik.

- Muszę się spotkać z Rakshanami – oznajmia. – Możesz to załatwić?

- Nie. – Opuszcza siekierę z nową determinacją.

- Chcą skrzywdzić mojego brata!

- Jest dorosły.

- Jak możesz być taki bezwzględny? Sam miałeś brata.

- Kiedyś. – Znów uderza siekierą i kłoda rozczepia się na dwie części.

- Proszę...

Kartik zerka znów na Wschodnie Skrzydło, a potem skinieniem wskazuje budynek pralni.

- Nie tutaj. Tam.

Czekam w środku. Praczek dzisiaj nie ma, więc kamienny budynek jest pusty.

Niecierpliwie przechadzam się, mijając piecem na którym leżą w szeregu dusze żelazek do podgrzania. Podchodzę do dużych miedzianych balii i uderzam kłykciami o zebrowane tary leżące w środku, mijam haki, na których wiszą kijanki, czyli drewniane deseczki do prania bielizny. Kręcę kołem maglownicy. Wiem, że czyni cuda z mokrymi ubraniami, wyciskając z nich wodę co do kropli, gdy przesuwają się między jej bębni. Tak bardzo bym chciała wyżyć w tym urządzeniu moje myśli i pozbyć się ciężaru, który mnie przytłacza.

Kartik w końcu przychodzi. Staje tak blisko, że czuję od niego zapach trawy i potu.

- Nie wiesz, do czego Rakshana są zdolni – ostrzega.

- Tym bardziej powinnam trzymać ich z dala od Toma!

- Nie! Nie wolno ci się zbliżać do Fowlsona i Rakshanów. Gemmo, spójrz na mnie.

Odwracam głowę, więc Kartik ujmuje moją twarz w dłonie i zmusza mnie, żebym popatrzyła mu w oczy.

- Jeżeli twój brat będzie chciał dalej kroczyć tą głupią drogą, musisz o nim zapomnieć.

Nie zabiorę cię do Rakshanów.

Do oczy napływają mi łzy gniewu. Mrugam, żeby je powstrzymać.

- Widziałam Amara. W międzyświecie.

Cofa się, jakby go uderzyła.

- Kiedy? Gdzie?

Rozluźnia uścisk, a ja odsuwam się na bezpieczną odległość.

- W międzyświecie.

- Opowiedz mi wszystko. Muszę to wiedzieć! – Zbliża się, ale ja manewruję tak, żeby oddzielała nas wanna.

- Najpierw mi pomóż. Zorganizuj spotkanie z Rakshanami, a ja pomogę ci odnaleźć Amara.

- To szantaż.

- Tak. Wiele się od ciebie nauczyłam.

Uderza pięścią w ścianę, aż trzęsie się wisząca na niej tara, a ja też drzę. Czasami miewa nastrój równie posępny jak ja i równie żywy temperament.

- Potrzebuję czasu – odpowiada matowym tonem. – Gdy wszystko zorganizuję, zawieszę szalik na bluszczu pod twoim oknem.

- Rozumiem. Dziękuję.

Nawet nie raczy skinąć głową.

- Kiedy tylko ta sprawa się zakończy, odchodzę. Nigdy się już nie zobaczymy.

Wychodzi z pralni i po chwili słyszę, jak rąbie drzewo na drzazgi. Odczekuję kilka minut. To wystarczy, by jego słowa osiadły w moim żołądku niczym płynny ołów, usztywniając całe ciało.

- Gemmo, gdzieś ty była? – pyta Elizabeth, gdy wracam do stołu.

- Dama nie powinna wszem wobec ogłaszać, że wybiera się do wygodki, prawda? – odpowiadam, rozmyślnie ją szokując.

- Och! Oczywiście, że nie. – I nie odzywa się do mnie już ani słowem, co bardzo mi odpowiada.

McCleethy miała rację: we wszystko wprowadzam zamęt. Zanurzam pędzel w jaskrawożółtej farbie i maluję wielkie, szczęśliwe słońce w samym środku jej różowego, błotnistego nieba. Jeśli chcą słonecznej pogody, to służę.

Ann przysuwa się do mnie ukradkiem.

- Podśledzałam właśnie rozmowę panny McCleethy z panem Millerem – informuje mnie z przejęciem. – Zniknął kolejny mężczyzna. Wezwano inspektora, żeby zajął się sprawą. Jak myślisz, co się dzieje?

- Nie mam pojęcia – odpowiadam opryskliwie.

Zerkam na Kartika, który rąbie pień drzewa na kawałeczki, zupełnie go unicestwiając. Powiew wiatru przewraca fioletową farbę, która rozchlapuje się na płótnie i niszczy pejzaż z zamkiem.

- A to pech – mówi Ann. – Teraz będziecie musiały zacząć od nowa.

*

Inspektor Kent przyjeżdża wieczorem i choć chwali nasze obrazy schnące przy ogniu, wiemy, że nie jest to w żadnej mierze wizyta towarzyska. Zniknięcie trzech ludzi to nie przelewki. Rozmawia już z pracownikami Millera i z Cyganami, a teraz czyści buty z błota. Zaczyna dyskretnie rozpytywać między młodszymi dziewczętami, robiąc z tego coś w rodzaju gry, i sprawdza, czy któraś słyszała lub widziała cokolwiek nietypowego, choćby najmniejszy drobiazg. W końcu nadchodzi nasza kolej i zostajemy poproszone do małej, przytulnie umeblowanej bawialni, w której płonie ogień na kominku. Brigid przynosi inspektorowi herbatę.

W jego oczach zawsze widać wesoły błysk, ale tym razem występuje jako oficjalny przedstawiciel Yardu, więc te oczy zdają się przenikać mnie na wskroś i dostrzegać wszystkie moje grzechy. Przełykam głośno i siadam na krześle. Inspektor wesoło z nami gawędzi o tym, jak nam minął dzień, o przyjęciach, na które wkrótce się wybieramy, o zbliżającym się balu maskowym w Spence. Ma nas to zrelaksować, ale we mnie budzi jedynie większą czujność.

W końcu wyjmuję niewielki notatnik. Zwilża kciuk i przerzuca karki, aż tafia na stronę, której szuka.

- A, mam to. Tak. Drogie panie, czy słyszałyście coś niezwykłego... jakieś dziwne dźwięki późno w nocy? Zauważyłyście może coś dziwnego? Coś podejrzanego?

- N-nic – jąka się Ann.

Ogryza skórkę przy paznokciu, aż Felicity chwyta ją za rękę i zapewne ściska na tyle mocno, by odciąć dopływ krwi.

- Śpimy w nocy, panie inspektorze. Skąd możemy wiedzieć, co się dzieje z ludźmi pana Millera? – odzywa się Fee.

Ołówek zawisa nieruchomo nad kartką. Policjant przenosi wzrok z Ann na mocno splecione dłonie przyjaciółek. Uśmiecha się ciepło.

- Najdrobniejszy szczegół może stanowić ważną wskazówkę. Nie muszą panie się wstydzić.

- Czy ma pan jakieś podejrzenia? – pytam.

Inspektor patrzy mi w oczy o sekundę dłużej niż należy.

- Nie. Ale utwierdzam się w przekonaniu, że ci ludzie pod wpływem alkoholu oddalili się od obozu, żeby odespać libację, a potem w obawie przed gniewem majstra zdecydowali się w ogóle nie wracać. Albo może próbują rzucić podejrzenia na Cyganów.

- A może to naprawdę Cyganie? – ripostuje szybko Felicity. Mam ochotę ją kopnąć.

- To by było dogodne, choć zauważyłem, że dziś rano brakowało też jednego z nich. – Kartik. Odszedł już. – Cóż, prawda wyjdzie na jaw. Zawsze wychodzi. – Inspektor Kent sący herbatę. – Tak, oto rzecz, dla której warto żyć: filiżanka dobrej herbaty.

*

Gdy wracamy do międzyświata, czuję się nieswojo. Kłopoty z bratem, wizyta u Kirke i kłótnia z Kartikiem – wszystko to bardzo mnie przytłoczyło. Lecz pozostałe dziewczęta są radosne i gotowe na wielkie przyjęcie. Felicity ujmuje dłonie Pippy i przyjaciółki wirują po grubym dywanie z pnączy, śmiejąc się wesoło. Zazdroszczę im. Wkrótce reszta też rusza w tan. Mae i Mercy biorą Wendy za ręce. Nawet Pan Darcy kica po klatce, jakby szukał partnerki. Tylko ja stoję z boku. I w duchu obawiam się, że na zawsze już tak pozostanie: będę samotna, bez swojego miejsca, swojego plemienia, zawsze przyglądająca się zabawie innych z zewnątrz. Próbuję odepchnąć tę myśl, ale moja dusza już poznała prawdę. I ta prawda o smutnym losie osoby niezależnej miesza się z moją krwią, która płynie żyłami z gwałtownym, pulsującym refrenem: *Jesteś sama, sama, sama.*

Felicity szepcze coś Pippie na ucho. Przyjaciółki zamykają oczy i po chwili Pip woła:

- Gemmo, ktoś do ciebie!

Osoba stojąca za moimi plecami klepie mnie po ramieniu. Odwracam się i widzę Kartika ubranego w czarny płaszcz. Moje serce na moment zamiera. To mógłby być on, ale nie jest. Dziewczęta śmieją się z żartu Pip. Ja nie jestem rozbawiona. Kładę mu dłoń na ramieniu, przywołując własną magię i młodzieniec przemienia się w starego, zgrzybiałego pirata z drewnianą nogą.

- Tamta – mówię, wskazując na Pippę. – Ona ma ochotę na taniec. Ruszaj.

To bardzo wesołe przyjęcie, wszystkie dziewczyny śmieją się, śpiewają i tańczą, więc nie zauważają nawet, kiedy wymykam się nad rzekę. Spozstrzegam gorgonę, która wraca z jakiejś wyprawy.

- Gorgono! – wołam, gdyż uświadamiam sobie, że bardzo za nią tęskniłam.

Przybija do brzegu i opuszcza dla mnie trap. Wchodzę na pokład uradowana, że widzę wijące się węże, które wysuwają w moją stronę rozdwojone języki.

- Wasza Wysokość, chyba ucieka ci przyjęcie – odzywa się gorgona, kiwając głową w stronę zamku.

- Znużyło mnie to już. – Kładę się na plecach i patrzę na promienie światła przebijające się przez chmury. – Czułaś się kiedyś, jakbyś była zupełnie sama na świecie? – pytam cicho.

Głos gorgony jest przepojony pełnym rezygnacji smutkiem.

- Jestem ostatnią przedstawicielką swojego gatunku.

Z zamku dobiega wysoki śmiech, który sprawia wrażenie, jakby pochodził z całkiem innego świata. Za rozwodnionym atramentowym niebem Krainy Granicznej wśród ciemnoszarych chmur Krainy Zimy rozlega się odległy grzmot.

- Nie opowiedziałas mi tej historii – przypominam jej.

Bierze głęboki wdech.

- Jesteś pewna, że chciałabyś ją poznać?

- Tak – odpowiadam.

- Usiądź więc obok mnie.

Wykonuję jej polecenie i sadowię się tuż koło ogromnej zielonej twarzy.

- Wydarzyło się to wiele pokoleń temu – rozpoczyna i na chwilę przymyka oczy. – Wszyscy obawialiśmy się istot z Krainy Zimy i chaosu, który wprowadzały. Kiedy więc moc Zakonu zaczęła rosnać, ucieszyliśmy się. Zakon zjednoczył plemiona i przez pewien czas dobrze nam się powodziło, a ogrody rozkwitały. Wywieraliśmy wpływ na ludzi w twoim świecie i zmienialiśmy bieg historii. Ale istoty z Krainy Zimy nadal polowały i przeciągały sporo dusz na swoją stronę. Zakon próbował zażegnać niebezpieczeństwo, coraz bardziej przejmując nad wszystkim kontrolę. Pozbawiono nas pewnych swobód dla naszego dobra, jak się dowiedzieliśmy, a nasze moce zaczęły zanikać, bo ich nie używaliśmy. Natomiast Zakon wzrastał w siłę.

Przerywam jej:

- Zgubiłam się. Myślałam, że Zakon był dobry i że magia była dobra.

- Moc zmienia wszystko, aż trudno odróżnić, kto jest bohaterem, a kto złoczyńcą – odpowiada. – A magia sama w sobie nie jest ani dobra, ani zła. Nasze intencje czynią ją taką lub taką.

Zamek kipi muzyką i śmiechem, jednak światło padające z okien nie dociera do nas. Siedzimy z gorgoną w kałuży cienia.

- Zaczęło rosnać niezadowolenia – gorgona podejmuje opowieść po krótkiej ciszy. – Wybuchł bunt, a każde plemię walczyło o własne przetrwanie, nie zważając na pozostałe. W końcu wygrał Zakon, co pociągnęło za sobą pewne konsekwencje. Nie pozwalał już plemionom czerpać magii z runów. Istoty przebywające w waszym świecie zostały tam uwięzione. A mój lud... - Milknie i mocno zaciska powieki, jakby cierpiała ból. Mijają długie minuty, gdy nie słychać nic prócz muzyki z zamku.

- Twój lud zginął w bitwie – podpowiadam, ponieważ nie mogę już znieść jej milczenia.

Gorgona spogląda w dół.

- Nie – zaprzecza. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby miała tak smuty głos. – Niektórzy przeżyli.

- Ale... gdzie oni są? Dokąd poszli?

Opuszcza wielką głowę, a węże zwieszają się jak wierzbowe witki.

- Zakon postanowił uczynić ze mnie przykład.

- Tak, wiem. Kapłanki uwięziły cię na statku i zobowiązały, byś mówiła im tylko prawdę.

- Owszem, ale zrobiły to później, karząc mnie za grzech, który popełniłam.

Czuję zimny ucisk w brzuchu. Gorgona nigdy mi o tym nie mówiła i wcale nie wiem, czy chcę to teraz usłyszeć.

- Byłam wówczas wielką wojowniczką. Przywódczynią mego ludu. I byłam dumna. – Wypluwa to słowo. – Nie chciałam, żebyśmy żyli jak niewolnicy. Byliśmy plemieniem wojowników i śmierć stanowiła jedyne honorowe wyjście. Jednak mój lud przystał na podyktowane przez Zakon warunki kapitulacji. Nie było to zgodne z naszym kodeksem. Czulałam wstyd za ich decyzję, a gniew stał się moją sprawiedliwością. – Odchyła głowę do tyłu, jakby chciała wystawić twarz do słońca, którego nie ma.

- Co się stało?

Węże z jej fryzury wiją się niespokojnie we śnie.

- Wykorzystałam te same czary, których tak często używałam przeciwko swym wrogom. Zniewoliłam mój lud, wprowadziłam w trans. Potem zamieniłam wszystkich w kamień i jeden po drugim ginęli od mojego miecza. Zabiłam ich bez pardonu. Nie oszczędziłam nawet dzieci. Moja zbrodnia wyszła na jaw. Ale jako że byłam ostatnią gorgoną, wiédźmy mnie nie straciły. Zamiast tego uwięziły mnie na statku. W rezultacie straciłam lud, wolność i nadzieję.

Gorgona otwiera żółte oczy, a ja odwracam głowę, bojąc się spojrzeć jej w twarz, teraz gdy znam już prawdę.

- Ale zmieniłaś się – mówię szeptem. – Prawda?

- Naturą skorpioną jest żądlić. Tylko dlatego, że nie ma sposobności, nie oznacza, że nie może. – Wężę budzą się z płaczem, a ona koi je, delikatnie kołysząc głową. – Dopóki pozostanę na tym statku, będę bezpieczna. To moje przekleństwo i zbawienie.

Kieruje na mnie żółte oczy, a ja, choć wcale tego nie chcę, odwracam wzrok.

- Widzę, że ta opowieść jednak wpłynęła na twoją opinię o mnie – mówi z lekkim smutkiem.

- To nieprawda – protestuję, lecz w moim głosie słychać fałsz.

- Powinnaś wrócić na przyjęcie. Są tam twoje przyjaciółki i chyba jest im wesoło.

Opuszcza trzeszczący trap. Wychodzę po nim na brzeg w smugę światła, w której wirują płatki śniegu.

- Przez jakiś czas nie będziemy się widziały, Wasza Wysokość – mówi gorgona.

- Dlaczego? Dokąd się wybierasz?

Kątem oka widzę, jak odwraca majestatyczną głowę w stronę nieba nad Krainą Zimy.

- Daleko w dół rzeki, o wiele dalej, niż kiedykolwiek dotarłam. Jeżeli coś się szykuje, nie dam się zaskoczyć. Ty też musisz mieć się na baczności.

- Tak, wiem. We mnie jest cała magia – odpowiadam.

- Nie – poprawia. – Musisz się mieć na baczności, bo nie chcemy cię stracić.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Następnego ranka tuż po śniadaniu zakradamy się razem z Ann do pralni.

- Zupełnie nie mogłam spać – mówi przyjaciółka – Dziś po południu mój los może się zupełnie odmienić.

Większą część kilku ostatnich dni spędziłam na doskonaleniu planu dzisiejszej wyprawy do teatru. Fee sfałszowała list od swojej „kuzynki” Nan Washbrad, w którym prosi, byśmy towarzyszyły jej w wyjeździe do Londynu, a pani Nightwing wyraziła zgodę.

- Myślisz, że się uda? – pyta Ann, przygryzając wargę.

- To zależy przede wszystkim od ciebie. Jesteś gotowa?

Ann uśmiecha się szeroko.

- Jak najbardziej!

- Dobrze. Zaczynamy więc.

Pracujemy razem, a magia przepływa między nami. Czuję podniecenie Ann, jej zdenerwowanie i niepohamowaną radość. Lekko mnie to odurza i nie mogę powstrzymać chichotu. Gdy otwieram oczy, Ann jest w trakcie zmian. Przechodzi od jednej postaci do drugiej jak dziewczyna przymierzająca różne suknie. W końcu stabilizuje się w wyglądzie, którego szukała. Nan Washbrad powróciła. Wiruje w nowej sukni z satyny w kolorze indygo, przybranej koronką przy kołnierzu i wokół rąbka. Pod szyją ma wysadzaną klejnotami szpilkę. Włosy ściemniały jej do barwy hebanu. Nosi wysoko upiętą fryzurę jak wielka dama.

- Och, jak miło znów być Nan. Jak wyglądam? – pyta i klepie się po policzkach, po czym ogląda swoje dłonie i suknie.

- Jak osoba, która powinna występować na scenie – odpowiadam. – A teraz sprawdzimy twój talent aktorski.

Kilka minut później Nan Washbrad przybywa do szkoły i zostaje wprowadzona do bawialni, gdzie pani Nightwing zabawia ją przyjacielską rozmową, nie mając pojęcia, iż jej modny gość to tak naprawdę Ann Bradshaw, biedna studentka na zapomodze. Felicity i ja z trudem maskujemy wredną radość.

- To było cudowne – orzeka Fee z chichotem, gdy czekamy na pociąg. – Niczego nie podejrzewała. Ani przez moment. Nabrałaś panią Nightwing, Ann. Jeżeli to ci nie doda pewności siebie przed spotkaniem z panem Katzem, to już nic nie pomoże.

*

- Która godzina? – pyta Ann już po raz dwudziesty, od kiedy opuściliśmy Victoria Street i ruszyliśmy na spotkanie.

- Pięć minut później niż wtedy, gdy pytałaś po raz ostatni – zrzędzę.

- Nie mogę się spóźnić. Panna Trimble jasno to napisała w swoim liście.

- Nie spóźnisz się, skoro teraz jesteśmy na Strandzie. Widzisz? Tam jest Gaiety. – Felicity wskazuje na okazały narożny fronton słynnego teatru muzycznego.

Wychodzą z niego trzy piękne, młode dziewczyny. W kapeluszach przybranych przyciągającymi wzrok piórami, w długich czarnych rękawiczkach i modnych sukniach ozdobionych bukietami kwiatów – po prostu nie da się ich nie zauważyć.

- O, to dziewczęta z Gaiety! – woła Ann. – Najpiękniejszy chórek kobiecy na świecie, prawda?

Rzeczywiście mężczyźni podziwiają ich urodę, ale wydaje się, że w przeciwieństwie do pani Worthington, dziewczęta nie żyją tylko dla uznania. Mają pracę i zarabiają pieniądze. Gdy idą ulicą, wydaje się, że świat do nich należy.

- Pewnego dnia ludzie będą mówić: „Patrz, tam idzie wielka Ann Bradshaw! Jakaż ona jest cudowna!” – zapewniam ją.

Ann nerwowo poprawia szpilkę przy kołnierzyku.

- Jeżeli nie spóźnię się na spotkanie.

Trzymając kartkę w dłoni, wędrujemy Standem w poszukiwaniu podanego adresu. W końcu znajdujemy niepozorne drzwi, a na nasze pukanie odpowiada tyczkowaty młody mężczyzna w spodniach na szelkach, w meloniku i bez kamizelki. W zębach trzyma papierosa. Przygląda nam się ostrożnie.

- Mogę paniom w czymś pomóc? – pyta z amerykańskim akcentem.

- T-tak, jestem umówiona z panem Katzem. – Ann podaje mu list. Młodzieniec czyta go, po czym szeroko otwiera drzwi. – W samą porę. Spodoba mu się to. – Ścisza głos. – Pan Katz potrafi obciąć pensję za spóźnienie. Charlie Smalls, tak przy okazji. Miło mi.

Twarz Charliego Smallsa ożywia się w uśmiechu, który ukazuje przerwę między przednimi zębami. Jest to tego typu uśmiech, którego nie można nie odwzajemnić, i cieszę się, że akurat on nam otworzył.

- Jest pan aktorem? – pyta Ann.

Młodzieniec kręci głową.

- Kompozytorem. To znaczy, mam nadzieję nim być. Na razie pracuję jako akompaniator.

- Uśmiech powraca, szeroki i ciepły. – Zdenerwowana?

Ann potakuje.

- Nie trzeba. Proszę. Oprowadzę panie. Witam w Tadż Mahal – zartuje, obejmując gestem skromny pokój.

W rogu stoi pianino, a obok wiszą zasłony, które imitują kurtynę na scenie. Jest nieco ciemno, gdyż jedyne źródło światła stanowi małe okienko, które oferuje nam widok końskich nóg i kół powozów na ulicy. Kłęby kurzu wirują w słabym świetle, a ja kicham na ten widok.

- *Gesundheit!* – woła żylasty mężczyzna o cienkim wąsiku, wchodząc do pokoju. Ma na sobie prosty czarny garnitur, a w ręku trzyma zegarek kieszonkowy. – Charlie? Gdzie, u licha, jest ten list od George'a?

- Od pana Shawa, sir? Na biurku.

- Dobra, świetnie.

Charlie chrząka cicho.

- Przyszła się z panem zobaczyć pewna młoda dama, sir. Panna Nan Washbrad.

Zegar wybija drugą i pan Katz odkłada zegarek.

- Fantastycznie. W samą porę. Miło mi panią poznać, panno Washbrad. Lily mówiła, że nieźla z pani kobietka. Sprawdźmy, czy nie myli się również co do pani talentu. – Pan Katz potrząsa moją dłoń, aż wibruje mi całe ramię. – A kim są te urocze damy?

- Jej siostrami – odpowiadam, oswabadzając się.

- Siostrami, akurat. To kumpele ze szkoły, Marcusie. I pilnowałabym portfela na twoim miejscu. – Do pokoju wślizguje się Lily Trimble w szmaragdowozielonej sukni, która podkreśla wszystkie jej krągłości. Na ramiona zarzuciła lamowaną futrem pelerynkę. Opada na fotel, który wygląda na najwygodniejszy w tym pomieszczeniu. – Nie denerwuj się, Nannie. To nie Henry Irving.

- Henry Irving! – Pan Katz krzywi się na wzmiankę o wielkim aktorze i dyrektorze Lyceum. Nie ma bowiem w teatrze człowieka cieszącego się większą sławą. Królowa Wiktoria nawet nadał mu szlachectwo. – Ten stary snob być może pomaga zmienić naszą profesję, ja za to kieruję ją tam, dokąd należy. Do wodewilu. Tańczących girlasek i powszechnej rozrywki. Tego chcą ludzie i ja zamierzam im to dać.

- Możemy przełożyć przemówienia na później, Marcusie? – pyta Lily, wyjmując małe lusterko z torebki.

- Zgoda. Charlie! – wrzeszczy pan Katz.

Charlie siada przy pianinie.

- Co pani śpiewa, panno Washbrad?

- Hm, eee...

Boję się, że zdenerwowanie przyjaciółki posieje zamęt w jej iluzji i śpiewie.

No dalej, mówię bezgłośnie. Uśmiecham się do niej serdecznie, a ona odwzajemnia uśmiech jakoś tak, jakby była obłąkana.

Felicity zrywa się z miejsca:

- Zaśpiewa *Po balu!*

Lily Trimble, zerkając w lusterko, pudruje nos.

- Rozumiesz już, co mówię, Marcusie? Panna Washbrad może nie potrzebować twoich usług jako impresaria, mając do dyspozycji te dwie panienki.

- Drogie panie, będziecie się musiały zamknąć, jeżeli chcecie zostać w tym pokoju – oświadcza pan Katz.

- Co za wulgarność – szepcze Fee, ale siada posłusznie.

- *Po balu?* – upewnia się Charlie, a Ann kiwa głową. – W jakiej tonacji?

- Ehm, ja... C? – udaje się wydukać Ann.

Mam wrażenie, że zaraz zemdleję z nerwów. Muszę zagryźć chusteczkę, żeby powstrzymać się od wydawania niekontrolowanych dźwięków.

Charlie zaczyna brzdąkać walca na klawiaturze. Gra cztery takty i spogląda na Ann. Dziewczyna jest zbyt przerażona, żeby zacząć, więc pomaga jej i gra kolejną frazę, ale ona mimo to się waha.

- Nie marnujmy czasu, panno Washbrad! – woła pan Katz.

- Marcusie – ucisza go Lily Trimble.

Ann jest sztywna jak Big Ben. Jej pierś unosi się i opada przy każdym płytkim wdechu. *No dalej, Annie, pokaż im, co potrafisz.* To mnie przerasta. Nie mogę nawet patrzeć. W chwili gdy myślę, że zaraz na pewno umrę od tych męczarni, głos Ann zaczyna płynąć nad brzękiem pianina i dymem z cygara. Początkowo jest delikatny, ale potem zaczyna nabierać siły. Siedzimy z Felicity bez ruchu i obserwujemy ją. Wkrótce śpiew przyjaciółki wypełnia cały pokój, jest słodki, czysty i czarujący. To nie magiczna sztuczka, lecz talent Ann, jej dusza poślubiona muzyce. Wszyscy jesteśmy zauroczeni.

Ann wyciąga ostatnią nutę z całych sił, a kiedy kończy, pan Katz wstaje i wkłada kapelusz. Czyżby zamierzał wyjść? Podobało mu się? Nie podobało? Nagle unosi mocne dłonie i głośno, wyraźnie bije brawo.

- To było wspaniałe! Po prostu fantastyczne! – woła.

Lily Trimble unosi brew.

- Niezła jest, co?

- Dobra robota – zgadza się Charlie.

- Zbyt państwo uprzejmi – protestuje Ann z rumieńcem.

Charlie przykładą dłoń do serca.

- Przysięgam na życie, śpiewa pani rewelacyjnie. Jak anioł! Gdy będę komponował mój musical, napiszę piosenkę specjalnie dla pani. – Charlie stuka w klawisze, budząc do życia wesołą melodyjkę.

- Dobrze już, Charlie, dobrze. Poflirtujesz kiedy indziej. Teraz panna Washbrad będzie czytała rolę.

Ann otrzymuje fragment *Dziewczyny ze sklepu* i jest w nim równie dobra jak panna Ellaline Terriss, a właściwie lepsza. Bez wątplenia wszyscy obecni są pod wrażeniem jej talentu, a ja czuję dumę z odcieniem zazdrości na myśl o sukcesie, który właśnie odniosła.

- Napiszę ten musical – szepcze Charlie do Ann. – I pani w nim wystąpi. Takiego głosu potrzebuję.

Pan Katz wyciąga rękę i pomaga Ann wyjść zza pianina.

- Panno Washbrad, czy zechce pani zostać najnowszą gwiazdą teatru Katz i Trimble?

- Ja... O niczym bardziej nie marzę, proszę pana! – woła Ann. Nigdy nie widziałam, żeby była taka rozradowana. Nawet w międzyświecie. – Jeżeli na pewno chce pan mnie przyjąć.

Pan Katz wybucha śmiechem.

- Moja droga, byłbym głupcem, gdybym nie chciał. Jesteś bardzo ładną dziewczyną.

Uśmiech Ann gaśnie.

- Ale nie to jest najważniejsze...

Pan Katz chichocze.

- No, to z pewnością nie zaszkodzi. Ludzie chętnie słuchają ładnego głosu, ale też lubią widzieć, skąd ten głos się wydobywa. A jeżeli wydobywa się z urodziwej osóbkki, to chętnie zapłacą więcej za bilet. Zgadza się, Lily?

- Nie nakładam różu bez powodu – odpowiada aktorka z rezygnacją.

- A mój talent się nie liczy? – Ann przygryza wargę, przez co robi się jeszcze bardziej urocza.

- Oczywiście, oczywiście – zapewnia ją pan Katz, ale nie przestaje się na nią gapić. – A teraz zajmijmy się pani kontraktem.

*

Gdy wyłaniamy się z ciemnej jaskini pana Katza, świat wydaje się nam miejscem, pełnym nadziei i podniet. Błoto i brud pokrywające rąbki naszych spódnic to n a s z e błoto i brud, stanowiące dowód, że tu byliśmy i załatwiłyśmy to, co zamierzałyśmy załatwić.

- Powinnyśmy wznieść toast za twój sukces! Wiedziałałam, że sobie poradzisz – piszczy Felicity.

- Przecież nie chciałaś jej nawet przesłuchać – przypominam jej. Nie powinnam tego robić, ale prowokuje mnie tym, że zawsze jest taka z siebie zadowolona.

- Zdaje mi się, że oczarowałaś Charliego Smallsa – szczebiocze dalej Fee.

Ann nie odrywa wzroku od chodnika.

- Chyba raczej Nan Washbrad go oczarowała.

- Nie mów tak. To wspomniały dzień. – Felicity kieruje uwagę na jakiegoś nieszczęśnika, który zamiata chodnik przed swoim sklepikiem. – Przepraszam, czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że stoi przed panem nowa pani Kendal? – pyta, wskazując na Ann i wymieniając nazwisko słynnej aktorki.

Mężczyzna patrzy na nią jakby uciekła ze szpitala wariatów.

- Felicity! – rozbawiona Ann mityguje przyjaciółkę. Odciąga Fee, ale mężczyzna kłania się przed nią lekko, wywołując uśmiech na jej ustach.

Big Ben wybija godzinę.

- Och – smutnieje Ann. – Powinnyśmy wracać. Nie chcę, żeby ten dzień już się kończył.

- Zatem nie kończmy go jeszcze – proponuje Felicity.

Wstępujemy do herbaciarni, żeby uczcić sukces. Szklanicami łaskoczącego w gardło imbirowego piwa wnosimy toast za Ann, a potem wielokrotnie powtarzamy jej, jaka była genialna. Przy pobliskim stoliku siedzą cztery sufrażystki i omawiają demonstrację przed Izba Gmin. Ze złożonymi u stóp transparentami o treści: *Głosy dla kobiet* stanowią widok godny uwagi. Rozmawiają z pasją i entuzjazmem. Niektóre damy obecne w lokalu spoglądają na nie z dezaprobatą, ale inne podchodzą nieśmiało, żeby wziąć ulotkę czy zadać pytanie. Jedna

przystawia sobie krzesło do ich stolika. Robią miejsce, przyjmując ją do swego grona. Widzę, że Ann nie jest jedyną kobietą, która zamierza coś zmienić w swoim życiu.

*

Po powrocie do Spence szukam chustki w bluszczu pod moim oknem, ale nie ma jej tam. Liczę na to, że Kartik niedługo przyniesie jakieś wieści.

- Widziałas Ann? – pyta Felicity, gdy zbieramy się w wielkim salonie. – Zniknęła po kolacji, a wydawało mi się, że mamy grać w karty.

- Nie widziałam – zaprzeczam. – Pójdę jej poszukać, chcesz?

Felicity potakuje.

- Będę w swoim namiocie.

Ann nie ma w żadnym z jej ulubionych miejsc, czyli w naszym pokoju, kuchni i bibliotece. Znam jeszcze tylko jedno takie miejsce i tam właśnie ją znajduję. Siedzi samotnie na tarasie na trzecim piętrze, z którego roztacza się widok na trawnik i las.

- Masz ochotę na towarzystwo? – pytam.

Wskazuje na balustradę obok siebie. Widać stąd do połowy ukończoną basztę i szkielet Wschodniego Skrzydła. Zastanawiam się, czy moja mama i jej przyjaciółka Sara doświadczyły kiedyś takiego szczęścia jak my dzisiaj. Ciekawa jestem, co by zmieniły, gdyby miały taką możliwość.

Wieje lekki wiaterek. W oddali dostrzegam światła w cygańskim taborze. Kartik... Nie, nie będę o nim teraz myślała.

- Sądziłam, że będziesz się pakowała przed wyprawą na światowe sceny – mówię.

- Wyjeżdżamy dopiero w przyszłym tygodniu.

- Ten dzień przyjdzie tak szybko, że się nawet nie zorientujesz. Co to? – wskazuję na zapieczętowaną kopertę na jej kolanach.

- Ach – wzdycha Ann, obracając ją w palcach. – Nie mogę się zdecydować, żeby go wysłać. To list do kuzynostwa, w którym informuję ich o mojej decyzji. Naprawdę dobrze mi dzisiaj poszło?

- Byłaś fenomenalna – zapewniam ją. – Oczarowałaś ich swoim głosem.

Ann niewidzącym wzrokiem wpatruje się w trawnik.

- Chcieli mnie posłuchać tylko dlatego, że spodobał im się mój wygląd. I nie próbuj mnie okłamywać i opowiadać, że ludzi sędzi się na podstawie charakteru, bo to bzdury. – Śmieje się, ale zupełnie bez wesołości. – Uroda to władza i moje życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdybym była tak ładna jak Nan Washbrad.

Ann naprawdę jest urocza, ale nie w taki sposób, jaki by jej odpowiadał. Dopiero po bliższym poznaniu zaczyna wydawać się atrakcyjna, lecz nie to chciałyby usłyszeć. Nawet gdybym zapewniła ją, że jest piękna, gdybym powiedziała to z serca, to czy by mi uwierzyła?

- Tak. Ludziom pięknym jest łatwiej – zgadzam się. – My, pozostali, musimy bardziej się starać.

Wygląda list na kolanach. Obawiam się, że moja szczerość ją zraniła.

Ściskam ją za rękę.

- Udało ci się, Ann. Odmieniłaś swoje życie. Będę to powtarzała wszystkim, którzy zechcą słuchać: Ann Bradshaw jest najodważniejszą dziewczyną na świecie.

- Gemmo, jak ja im to wyjaśnię? Albo będę musiała już zawsze podtrzymywać iluzję, albo znajdę sposób, żeby uwierzyli w Ann Bradshaw.

- Poradzimy sobie. Potrzeba nam tylko na tyle dużo magii, żeby ich przekonać, że zatrudnili Ann. Reszty dokona twój talent. On jest twoją magią. – Ale wiem, jak przyjaciółka

się czuje. Coraz trudniej wyobrazić sobie, że kiedyś zrezygnujemy z mocy. Chciałabym trzymając z całych sił i nigdy jej nie oddać.

- To był dobry dzień, prawda? – Delikatny uśmiech przegania smutek z twarzy dziewczyny.

- A nadejdą jeszcze lepsze.

Ann obraca kopertę w dłoniach.

- Chyba powinnam to wreszcie załatwić.

Podaję jej ramię jak adorator.

- Nie co dzień mam zaszczyt odprowadzać gwiazdę teatru.

- Dziękuję, lady Doyle – odpowiada, jakby miała wejść na scenę i złożyć ukłon. Idzie prosto do Brigid i podaje jej list, mówiąc szybko: - Brigid, możesz to dla mnie wysłać jutro?

- No pewno, że wysłę – zgadza się gospodyni, wtykając przesyłkę do kieszeni fartucha.

- No i załatwione – komentuję.

- Tak. Załatwione.

- Chodźmy więc. Felicity chce zagrać w karty, a ja postanowiłam, że nie dam sobie złoć skóry tak jak zwykle.

Sukces Ann podniósł nas na duchu, więc gramy rozdanie za rozdaniem, stawiając życzenia jak pieniądze: „Wchodzę za twoje marzenie, żeby zostać księżniczką Imperium Osmańskiego, i przebijam o jedną podróż na grzbiecie słonia do Bombaju!”. Ann wygrywa większość partii i nawet Fee to nie przeszkadza. Twierdzi, że to kolejny dowód na to, że szczęście wreszcie uśmiechnęło się do Ann i że teraz nic nas już nie powstrzyma.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Mija kilka dni, a nadal nie ma śladu po czerwonym szalu Kartika. Boję się, że spotkało go coś złego. Boję się, że kiedy wróci, nie będę umiała pomóc mu w sprawie Amara. Boję się, że w ogóle nie wróci, tylko pojedzie do Bristolu i zaokrętuje się na Orlando.

Wszystkie te zmartwienia wprawiają mnie w zły humor. Odbyliśmy już dzisiaj upokarzającą lekcję chodzenia do tyłu, do czego będziemy zmuszone po prezentacji przed Jej Królewską Mością w pałacu Świętego Jakuba. Potknęłam się dwukrotnie i po prostu nie mam pojęcia, jak sobie poradzę z trenem sukni przerzuconym przez lewe ramię i głową pochyloną w kierunku władczyni. Na samą myśl o tym boli mnie brzuch.

Teraz pani Nightwing usadziła nas przy stole w jadalni. Obok każdego nakrycia leży onieśmielający zestaw sztuców. Łyżki do zupy. Widelce do ostryg. Widelce do ryb. Noże do masła. Łyżeczki deserowe. Niemalże spodziewam się, że zobaczę harpun wielorybnika, a także nóż do seppuku z japońskich opowieści – na wypadek, gdybyśmy uznały, że to wszystko nas przerasta i gdybyśmy chciały umrzeć w sposób honorowy.

Pani Nightwing przemawia monotonnym głosem. Trudno mi się skupić i wyławiam tylko niektóre zdania: „Danie rybne... kości odsuwamy na brzeg talerza... nawiasem mówiąc, maślanka doskonale zmiękcza skórę dłoni...”.

Wizja spada na mnie niespodziewanie. W jednej chwili słucham głosu pani Nightwing, a w następnej czas się zatrzymuje. Dyrektorka trwa bez ruchu u boku Elizabeth. Felicity ze wzrokiem utkwionym w suficie ma na twarzy wyraz absolutnego znudzenia. Cecily i Martha również zamarły w czasie.

W otwartych drzwiach staje Wilhelmina Wyatt z ponurą miną.

- Panno Wyatt! – wołam. Zostawiam nieruchome towarzyszkę i biegnę za nią.

Zatrzymuje się u szczytu pierwszego biegu schodów, ale kiedy docieram na podest, wchodzi w portret Eugenii Spence i znika niczym duch.

- Panno Wyatt? – szepczę.

Zostaję nagle zupełnie sama. Mam wrażenie, że szkielet szkoły przemawia do mnie cichym głosem. Zakrywam uszy, ale nie udaje mi się zagłuszyć upiornych szeptów, zduszonych chichotów i syków. Tapeta w pawie pióra ożywa i oka zaczynają do mnie mrugać.

Na portrecie Eugenii Spence pojawia się pajęcze pismo Wilhelminy: *Drzewo Wszystkich Dusz. Drzewo Wszystkich Dusz. Drzewo Wszystkich Dusz*. Po chwili te słowa wypełniają cały obraz. Szept robi się głośniejszy. Przykładam dłoń do portretu i wpadam przezeń w inny czas i miejsce.

Znajduję się w wielkim salonie, ale wygląda on inaczej niż obecnie. Widzę pogrążone w głębokiej zadumie dziewczę, które z pewnością jest młodziutką panną Moore. Uśmiecha się do niego dziewczyna o zaskakująco zielonych oczach. Ze zdumieniem rozpoznaję w niej moją mamę.

- Mamo? – mówię, ale nie słyszy. Jest tak, jakby mnie tu wcale nie było.

Siedzi z nimi starsza kobieta o siwych włosach i niebieskich oczach. Ją też znam. To Eugenia Spence. Jej twarz tak przerażająca na portrecie, tutaj wydaje się bardzo miła. Pogodna i rumiana.

Jakaś dziewczynka przynosi jej jabłko i pani Spence uśmiecha się.

- Dziękuję ci, Hazel. Na pewno będzie przepyszne. A może pokroję je i podzielę się z wami?

- Nie, nie – protestuje dziewczynka. – To dla pani. W prezencie urodzinowym!

- W takim razie dobrze. Dziękuję ci. Uwielbiam jabłka.

Mała dziewczynka z tyłu nieśmiało podnosi rękę.

- Tak, Mino? – zachęca ją pani Spence.

Teraz dostrzegam w twarzy dziewczynki rysy kobiety, którą się stała. Mała Wilhelmina Wyatt ciężkim krokiem podchodzi do nauczycielki i daje jej w prezencie rysunek.

- Co to jest? – Twarz pani Spence chmurzy się na widok obrazka., Widać na nim idealnie oddane wielkie drzewo, które widywałam w snach. – Dlaczego to narysowałaś, Mino?

Wilhelmina zwiesza głowę, zawstydzona i zmartwiona.

- No słucham. Musisz mi powiedzieć. Kłamstwo to grzech i źle świadczy o charakterze dziewczynki.

Słyszę zgrzyt kredy na tabliczce, kiedy Wilhelmina pisze odpowiedź, a słowa powoli nabierają kształtu: *Drzewo Wszystkich Dusz*.

Pani Spence pospiesznie wyjmuję kredę z palców podopiecznej.

- Dość już, Mino.

- Co to jest Drzewo Wszystkich Dusz? – pyta jakaś uczennica.

- To mit – odpowiada Eugenia Spence i wyciera tabliczkę ściereczką.

- Znajduje się w Krainie Zimy, prawda? – chce wiedzieć Sara. Jej oczy błyszczą psotnie. – Jest bardzo potężne? Proszę nam o nim opowiedzieć!

- Wszystko, co powinnaś obecnie wiedzieć, znajduje się na stronach książki do łaciny, Saro Rees-Toome – żartobliwie karci ją pani Spence.

Wrzuca rysunek do ognia, a z oczu małej Miny płyną łzy. Pozostałe dziewczęta naśmiewają się z niej. Pani Spence palcem bierze małą pod brodę.

- Narysujesz dla mnie inny obrazek, hm? Może śliczną łąkę albo naszą szkołę. Wytrzymaj oczka. Musisz mi obiecać, że będziesz grzeczną dziewczynką i nie będziesz słuchała niedobrych podpowiedzi, bo mogą pochodzić od zdeprawowanych istot, Mino.

Obraz zmienia się i widzę jak Wilhelmina wyciąga inkrustowany klejnotami sztylet z jakiejś szuflady i wsuwa go do kieszeni. Następnie zmienia się z upływem lat, po czym staje przede mną z sztyletem w dłoni już jako dojrzała kobieta. Twarz ma wykrzywioną w furii. Unosi nóż.

- Nie! – krzyczę. Wyciągam rękę, żeby zablokować cios.

Nadal wrzeszczę, gdy dochodzę do siebie w jadalni. Wszyscy gapią się na mnie z przerażeniem. Ból. W dłoni. Strużki krwi spływają po mojej ręce na adamaszkowy obrus. Nóż obok talerza. Ścisnęłam go za mocno i zraniłam się w rękę.

- Panno Doyle! – oburza się pani Nightwing.

Wyprowadza mnie do kuchni, gdzie Brigid trzyma gazę i maści lecznicze.

- Zaraz się tym zajmimy – mówi gospodyni. Przemycza moją dłoń, a rana mocno piecze. – Niezbyt głęboko, Bogu dzięki. Zwykle draśnięcie i kupa strachu, tyle tego. Zaraz to opatrzymy.

- Jak to się stało, panno Doyle? – pyta dyrektorka.

- Ja... Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Patrzy mi w oczy odrobinę za długo.

- Ufam, że w przyszłości będzie pani ostrożniejsza.

*

Felicity i Ann czekają na mnie w pokoju. Fee zaanektowała moje łóżko i zdjęła z półki *Dumę i uprzedzenie*. Na mój widok odrzuca książkę jak jednego ze swych licznych adoratorów.

- Traktuj ja z szacunkiem, jeśli łaska. – Ratuję biedne dzieło, wygładzam kartki i odkładam na półkę.

- Co, u licha, się stało? – pyta Felicity.
- Miałam bardzo wyraźną wizję. – Opowiadam im o scenie w szkole, którą pokazała mi Wilhelmina Wyatt. – Sądzę, że ona próbuje mi powiedzieć, że Drzewo Wszystkich Dusz naprawdę istnieje. Chyba chce, żebyśmy je odnalazły. Nadszedł czas, abyśmy wybrały się do Krainy Zimy.
- Felicity siada prosto. Zapłonął w niej ogień.
- Kiedy?
- Najszybciej jak to możliwe – odpowiadam. – Dziś w nocy.

*

Jeden z ludzi pana Millera patroluje las. Chodzi tam i z powrotem z pistoletem w dłoni. Jest nerwowy jak kot.

- Jak mamy się dostać do drzwi, żeby nas nie zauważył? – pyta Ann.
- Koncentruję się i nagle w lesie pojawia się widmo kobiety. Mężczyzna dygocze na ten przeraźliwy widok.
- K-kto tam? – Roztrzęsioną ręką kieruje pistolet w jej stronę. Zjawa znika za drzewem, po czym pojawia się kawałek dalej. – B-będziesz się tłumaczyła p-rzed majstrem – grozi robotnik i rusza za nią w bezpiecznej odległości.
- Zjawa zaprowadzi go na cmentarz, gdzie zniknie, a on będzie zachodził w głowę, co właściwie się stało. Natomiast my znajdziemy się już wówczas w międzyświecie.
- Idziemy – mówię, szybko ruszając do sekretnych drzwi.
- Felicity z uśmiechem unosi spódnicę.
- Och, bardzo mi się to podoba.
- Po drugiej stronie witają nas wysokie kamienne płyty z rzeźbami kobiet. Ale one nie potrafią udzielić mi odpowiedzi, której szukam. Może to zrobić tylko jedna osoba, choć przyznaję to z niechęcią.
- Idźcie do zamku. Wkrótce do was dołączę – mówię.
- Co planujesz? Dokąd idziesz? – dopytuje się Ann.
- Zapytam Ashę, czy może nam zapewnić jakąś ochronę – wyjaśniam i czuję się okropnie z powodu tego kłamstwa.
- Pójdziemy z tobą – deklaruje się Fee.
- Nie! To znaczy, powinniście przygotować Pippę i pozostałe. Zbierzcie je razem.
- Felicity kiwa głową.
- Słusznie. Wracaj szybko.
- Postaram się – zapewniam i przynajmniej to jest prawdą.
- Biegnę przez zakurzone korytarze Świątyni i kieruję się prosto do studni wieczności. Kirke czeka, unosząc się pod powierzchnią, blada istota wydobyta z głębin i wystawiona na działanie światła.
- Czy czas mojej śmierci nadejdzie niedługo? – pyta głosem silniejszym niż poprzednio. Ledwie hamuję gniew.
- Dlaczego nie powiedziała mi pani, że znała Wilhelminę Wyatt?
- Nie pytałaś.
- Mogła mi pani powiedzieć!
- Jak mówiłam, wszystko ma swoją cenę. – Wypuszcza powietrze z lekkim westchnieniem.
- Z tego, co wiem, to pani ją zabiła – oskarżam, podchodząc bliżej do studni.
- Po co tu wróciłaś? Żeby mnie wypytywać o dawną szkolną koleżankę?

- Nie – zaprzeczam. Nienawidzę siebie za to, że przyszłam, ale ona już była w Krainie Zimy, tak napisała moja mama w pamiętniku. Jest jedyną osobą, którą mogę o to spytać. – Chcę, żeby opowiedziała mi pani o Krainie Zimy.

W jej głosie pobrzmiwa czujność.

- Dlaczego?

- Idziemy tam – wyjaśniam. – Chcę zobaczyć to miejsce na własne oczy.

Milczy przez dłuższy czas.

- Nie jesteś gotowa na wizytę w Krainie Zimy.

- Jestem – zapewniam ją.

- Przeszukałaś już swoje mroczne zakamarki?

Przesuwam palcami po wypolerowanych kamieniach cembrowiny.

- Nie wiem, o co pani chodzi.

- Przez nie możesz wpaść w pułapkę.

- Męczę mnie pani zagadki – pryham. – Albo opowie mi pani o Krainie Zimy, albo nie.

- Dobrze – odzywa się po chwili. – Zbliź się.

Znów wkładam rękę do studni, wyczuwając moc nadal drżącą w kamieniach i kładę ją na sercu Kirke. Tym razem przychodzi mi to jakoś łatwiej. Potrzeba, by dowiedzieć się czegoś o Krainie Zimy i by odnaleźć Drzewo Wszystkich Dusz, jest silniejsza niż strach. Przez kilka sekund Kirke jarzy się mocą. Cień uśmiechu muska jej różowiejące wargi. Dzięki temu drugiemu darowi stała się ładniejsza i bardziej ożywiona – bardziej przypomina nauczycielkę, którą kochałam. Widok jej twarzy przeraża mnie. Wycieram wilgotną dłoń w koszulę nocną, jakbym chciała zetrzeć wszelki ślad po niej.

- Dałam pani magię, o którą pani prosiła. Teraz Kraina Zimy, proszę.

W jaskini rozlega się szept Kirke.

- Przy bramie zadadzą ci pytania. Musisz odpowiedzieć na nie zgodnie z prawdą, inaczej nie wejdiesz.

- Jakie pytania? Czy są trudne?

- Dla niektórych – mówi. – Potem podążaj wzdłuż rzeki. Nie wchodź w żadne układy, nie składa obietnic. Nie zawsze możesz ufać temu, co widzisz i słyszysz, gdyż jest to kraina zarówno czarów, jak i ułudy. Będziesz musiała odróżnić jedno od drugiego.

- Coś jeszcze? – pytam, gdyż niewiele tego na początek.

- Tak – odpowiada. – Nie idź tam. Nie jesteś na to przygotowana.

- Na pewno nie popełnię tych błędów, co pani – ripostuję. – Proszę zdradzić mi jeszcze jedno: czy Drzewo Wszystkich Dusz żyje?

- Mam nadzieję, że wrócisz i mi to powiesz – odzywa się w końcu.

Ze studni dobiega cichutki plusk wody. Ale to niemożliwe – Kirke jest uwięziona. Zaglądam do środka, żeby to sprawdzić, ale wydaje się zupełnie nieruchoma.

- Gemmo! – woła mnie.

- Tak?

- Dlaczego Wilhelmina chce, żebyś poszła do Krainy Zimy?

- Ponieważ... - milknę, gdyż to tej pory nie zadawałam sobie tego pytania, a teraz obudziło we mnie wątpliwości.

I znów to samo, delikatny szum wody. Po ścianach jaskini spływają wilgotne strużki i to na pewno one wydają ten dźwięk.

- Uważaj na siebie, Gemmo.

*

Pippa i pozostałe czekają na mnie w niebieskim lesie. Jagody dojrzały już na drzewach. Wszędzie stoją do połowy wypełnione koszyki. Poplamiony sokiem przód sukni Pip przypomina fartuch rzeźnika.

- Zaproponowała nam jakąś ochronę? – pyta Ann, gdy do nich podchodzę.

- Co? – Zupełnie zbija mnie z tropu.

- Asha – wyjaśnia.

Widzę w myślach bladą twarz Kirke.

- Nie, nic z tego. Poradzimy sobie same.

Pippa klaszcze z zachwytem.

- Wspaniale! W końcu prawdziwa przygoda. W Krainie Granicznej zrobiło się już nudno.

Będę ją nazywała Krainą Nudniczną!

Spoglądam w stronę skłębioną nieba nad Krainą Zimy i bramy, która nas od niej dzieli.

- A co z tymi strasznymi istotami, panienko? – To Wendy, która trzyma się mocno spódnicy Mercy.

Pippa bierze Felicity pod ramię.

- Razem damy sobie radę. W końcu jesteśmy bystrymi dziewczynami.

- Tylko w ten sposób możemy się czegoś dowiedzieć – dodaje Ann.

- Nie wrócę, dopóki się nie upewnię, że Drzewo Wszystkich dusz istnieje – oświadczam.

Między drzewami migocze światełko, które robi się coraz większe w miarę zbliżania się do ziemi. To podobna do wróżki istota o złocistych skrzydłach.

- Chcecie zobaczyć Krainę Zimy? – szepcze ochryłym głosem.

- A tobie co do tego? – ostro pyta Felicity.

- Mogę oświetlić wam drogę – mruczy wróżka.

Mae Sutter odgania stworzenie.

- Sio! Zostaw nas.

Niezrażona istota przelatuje z gałęzi na gałąź, aż ląduje na moim ramieniu.

- Po Krainie Zimy podróżuje się niełatwo. Ktoś, kto zna drogę, może okazać się przydatny.

Przypominają mi się słowa Kirke: „Nie wchodź w żadne układy”.

- Nic ci za to nie dam – oświadczam.

Jej usta wyginają się w szyderyczym uśmiechu.

- Nawet odrobiny magii, której sama posiadasz tak wiele?

- Ani odrobiny – odpowiadam.

Wróżka zgrzyta zębami.

- I tak was zaprowadzę. Może pewnego dnia nagrodzisz mnie za to. Tę dziewczynkę zostawcie. Tylko będzie przeszkadzała – radzi i uderza Wendy skrzydłem po policzku.

Mała raptownie wciąga powietrze i przykłada rękę do buzi. Wróżka zanosi się śmiechem.

- Przestań! – krzyczę, a ona się cofa.

- Nie chcę sprawiać kłopotów – mówi cicho Wendy, zwieszając głowę.

Biorę ją za rękę.

- Pójdiesz z nami.

Wróżka okazuje niezadowolenie.

- To zbyt niebezpieczne.

- Wendy, zostań tutaj – wydaje polecenie Bessie.

- Chcę iść – odpowiada mała. – Chcę się dowiedzieć, skąd dochodzi ten krzyk.

- Tylko nas spowolni – narzeka Pippa, jakby dziewczynka nie stała tuż obok.

- Albo pójdziemy wszystkie razem, albo w ogóle nie pójdziemy – oświadczam stanowczo.

- Teraz muszę się narodzić z towarzyszkami. Sio! Zmykaj stąd!

Stworzenie zawisa w powietrzu, trzepocząc złotymi skrzydłami. Gdy odlatuje ze świstem kilka metrów dalej i obserwuje nas czuje, w jego oczach widać nienawiść.

Przyglądam się swoim towarzyszkom. Stanowimy barwną gromadkę: dziewczęta ze szwalni w nowych wytwornych strojach, Bessie trzymająca kurczowo długi drąg, Pippa w królewskiej pelerynie, Ann i ja w koszulach nocnych, a Fee również w koszuli, ale prócz tego w kolczudze oraz z nagim mieczem w dłoni.

- Nie wiemy, czy temu przerośniętemu świetlikowi można ufać, więc zachowajmy czujność- ostrzegam. – I zapamiętajmy drogę, bo być może będziemy musiały wrócić samodzielnie. Gotowe?

Felicity poklepuje miecz.

- Jak najbardziej.

- Zaczynam się nudzić, śmiertelniczko – narzeka Złotoskrzydła. – Tędy!

Porzucamy bezpieczny las i ruszamy przez pokrytą pnączami równinę Krainy Granicznej. W oddali wysoka, najeżona kolcami brama do Krainy Zimy wyłania się z mgły jak ostrzeżenie. Nie widać, co znajduje się za nią, poza skrzyconymi stalowoszarymi sznurami chmur. Niosę pochodnię skleconą z patyków i magii, która otacza nas głęboką kałużą światła. Wróżka przysiadła na moim ramieniu. Drobnymi pazurkami na stopach i dłoniach wpija się w moją koszulę. Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że cienki materiał uchroni mnie przed bolesnymi zadrapaniami.

Mur dzielący Krainę Graniczną od Krainy Zimy to przerażająca konstrukcja. Jest wysoki niczym kopia katedry Świętego Pawła i ciągnie się w obie strony jak daleko sięgnąć wzrokiem. Zdaje się lśnić w mroku.

Przykładam dłoń do długich palików. Są gładkie.

- To kości – szepcze wróżka.

Unoszę pochodnię. Światło wychwytuje zarys dużej kości, prawdopodobnie udowej. Odskakuję do tyłu. Kości powiązane powrozami z włosów. Kwitnące na czerwono pnącza, które przepłotły się między nimi, wyglądają jak krwawe rany. To naprawdę makabryczny widok. Wróżka parska śmiechem rozbawiona moim zdenerwowaniem.

- Łatwo cię przestraszyć jak na kogoś tak potężnego.

- Jak dostaniemy się do środka? – pyta Mercy. Jej twarz skrywa się w głębokim, niebieskawym cieniu.

Skrzydlaty stwór zawisa przede mną.

- Brama znajduje się w pobliżu. Musicie odnaleźć ją dotykiem.

Kładziemy dłonie na kościach o spletanych włosach, szukając wejścia. Żołądek mi się przewraca i mam ochotę natychmiast się wycofać.

- Znalazłam! – woła nagle Pippa.

Gromadzimy się wokół niej. Brama ma zamek wykonany z klatki piersiowej. Ostre końce zeber łączą się w taki sposób, że nie da się określić, gdzie kończy się jedna strona, a zaczyna druga. Najbardziej odrażające jest to, że w środku bije serce. Jego cichy odgłos rezonuje w moim brzuchu.

- Co to jest? – Ann wstrzymuje oddech.

- Wejście – odpowiada Złotoskrzydła. Podlatuje do bijącego serca, po czym wraca do nas.

- Mówcie prawdę – ostrzega – inaczej was nie wpuści.

- Czy chcecie wejść do Krainy Zimy?

Głos jest miękki jak jedwab i w sumie nie mam pewności, czy w ogóle go usłyszałam.

- Też to słyszałyście? – pytam.

Dziewczęta potakują. Serce połyskuje głęboką fioletową czerwienią jak zaogniona rana. Znów się rozlega głos:

- Czy chcecie wejść do Krainy Zimy?

To serce przemawia do nas.

- Tak – odpowiada Pippa. – Jak mamy to zrobić?

- Zdradźcie nam swoje tajemnice – słyhać szept. – Swoje największe pragnienie i najgłębszy lęk.

- Tylko tyle? – kpi Bessie Timmons.

- To wszystko – potwierdza wróżka.

Bessie postępuje krok naprzód.

- Moim największym marzeniem jest zostać damą. I boję się ognia.

Od strony Krainy Zimy nadlatuje potężny zimny podmuch. Kości klekoczą na wietrze. Serce zaczyna bić szybciej i świeci jasno w mroku. Klatka piersiowa rozsuwa się, a potem rozchylają się skrzydła ogromnych drzwi.

- Możesz przejść – zwraca się serce do Bessie.

Dziewczyna przechodzi na drugą stronę, a brama zatrząskuje się za nią.

- To nie było wcale trudne – uznaje Felicity. Podchodzi do bramy. – Pragnę być potężna i wolna.

- A czego się boisz? – pyta serce.

Fee milczy przez chwilę.

- Usidlenia.

- To nie jest cała prawda – oznajmia serce. – Dręczy cię inny lęk, potężniejszy od wszystkich. Strach osłonięty pragnieniem, pragnienie osłonięte strachem. Wypowiesz je na głos?

Felicity wyraźnie blednie.

- Zupełnie nie mam pojęcia, o co chodzi – odpowiada.

- Musisz mówić prawdę! – syczy wróżka.

Serce znów przemawia:

- Czy mam nazwać twój strach?

Fee wyraźnie się waha. Nie wiem, co może ją tak przerażać.

- Boisz się prawdy o tym, kim jesteś. Boisz się, że inni się dowiedzą.

- No i dobrze. Skoro już to wiemy, to teraz mnie przepuście.

Drzwi otwierają się na oścież.

Pozostałe dziewczęta odpowiadają po kolei. Jedna po drugiej wyznają pragnienia i lęki: poślubić księcia, samotność, śliczny dom z kwiatkami przy ścieżce, ciemność, niekończące się przyjęcie, głód. Pippa wyznaje, że boi się stracić urodę. Zdradzając swoje pragnienie, patrzy prosto na mnie,

- Chciałabym wrócić.

I drzwi otwierają się szeroko.

Ann jest tak zawstydzona, że szepcze, więc brama prosi ją, żeby mówiła głośniej.

- Wszystko. Boję się wszystkiego – mówi, a serce wzdycha.

- Możesz przejść – oświadcza.

W końcu nadchodzi moja kolej. Serce bije wyczekująco. Moje łomocze równie gwałtownie.

- A ty? Jaki jest twój największy lęk.

Kirke przestrzegła, że muszę odpowiadać szczerze, ale nie wiem, co powiedzieć. Boję się, że mój ojciec nie wyzdrowieje. Boję się, że Kartikowi na mnie nie zależy, i równie mocno boję się, że zależy. Że nie jestem piękna, chciana, kochana. Boję się, że stracę magię, którą zaczęłam bardzo cenić, że będę zwykłym człowiekiem. Boję się tak wielu rzeczy, że nie umiem wybrać.

- No dalej! Wyrzuć to z siebie! – Lśniący stwór opiera dłonie na biodrach w niecierpliwym geście i szczerzy do mnie zęby.

Felicity przybliży bladą twarz do kościanej bramy.

- No, Gemmo, powiedz cokolwiek!

- Czego się boisz? – pyta ponownie serce.

Zimny wiatr wieje od drugiej strony, chłodząc mnie. Ciemne chmury piętrzą się i kłębią.
- Boję się Krainy Zimy – odpowiadam ostrożnie. – Boję się tego, co tam znajduje.
Lodowaty oddech bramy wydobywa się w pełnym zadowoleniu westchnieniu, jakby wyczuwała mój Stach i rozkoszowała się nim.
- A twoje pragnienie?
Nie odpowiadam od razu. Ostry wiatr chłostuje mnie po policzkach, aż dostaję kataru.
Serce Krainy Zimy niecierpliwi się.
- Pragnienie – syczy nagłaco.
- Ja... nie wiem.
- Gemmo! – błaga Felicity z drugiej strony.
Wróżka wiruje wokół mnie, aż zaczyna mi się kręcić w głowie. Nagle zatapia pazury w moim ramieniu.
- Mów! Mów!
Strzepuję ją, a ona szczyrzy na mnie zęby.
- Nie wiem! Nie wiem, czego chcę, ale chciałabym to wiedzieć. To najbliższa prawdy odpowiedź, jakiej mogę udzielić.
Serce bije szybciej. Brama klekocze i jęczy, aż boję się, że ją zezłościłam, więc się cofam. Jednak ona otwiera się przy wtórze grzechotu kości poruszonych ostrym wiatrem.
Felicity uśmiecha się i wyciąga do mnie rękę.
- Chodźmy, zanim zmieni zdanie!
Moja stopa zawisa nad progiem, a potem staje na skalistym gruncie po drugiej stronie. Oto Kraina Zimy. Nie ma tu kwiatów ani zielonych drzew, są za to czarny piach i twarda skała, w większości pokryta śniegiem oraz lodem. Wiatr jęczący i wijący wśród szczytów skał szczypie mnie w policzki. Po horyzoncie suną ogromne chmury. Na ich spotkanie unoszą się kłęby pary, tworząc falującą mgłę, która pokrywa wszystko cienką warstwą szarości. Jest w tym krajobrazie poczucie dogłębnej samotności, które rozpoznaję też w sobie.
- Tędy! – Wróżka kiwa, żebyśmy poszły za nią w stronę urwistych, upstrzonych płachciami lodu gór, które strzegą horyzontu.
Nasze stopy zostawiają niewyraźne ślady w czarnym piachu.
- Jaka melancholijna kraina – zauważa Ann.
Jest jałowa i żałobna, ale ma w sobie dziwne, hipnotyczne piękno.
Nigdzie w zasięgu wzroku nie ma nikogo prócz nas. Wygląda tu upiornie, jak w opustoszałym mieście. Przez chwilę wydaje mi się, że widzę blade stworzenia obserwujące nas z oddali. Ale gdy zapalam pochodnie, znikają jak miraż z mgły i zimna.
Słyszę wodę. Wąskim, przecinającym skały wąwozem płynie rzeka. „Trzymaj się rzeki” – powiedziała Kirke, ale wydaje się, że to pewna śmierć. Prąd jest silny, a ścieżki po obu stronach wyglądają na nie szersze niż moja stopa.
- Jest inna droga? – pytam wróżkę.
- Ja jej nie znam – odpowiada.
- Zdaje się, że miałaś być przewodnikiem – mruczy pod nosem Fee.
- Nie jestem wszechwiedząca, śmiertelniczko – pyskuje Złotoskrzydła.
Stąpam ostrożnie po skałach, uważając, żeby się nie poślizgnąć na płatach gładkiego jak szkło lodu, który odbija nasze blade twarze niczym widmowe lustro. Biorę Wendy za rękę, żeby jej pomóc.
- Patrzcie! – woła Ann. – Tam!
Z mgły wypływa piękna łódź, która osiada na czarnym piasku przy brzegu. Jest długa i wąska, a z dulek w obu burtach wystają wiosła. Przypomina łódź wikingów.
- Jesteśmy uratowane! – krzyczy Pippa.
Zadziiera spódnicę i rusza w stronę łodzi. Dziewczęta z fabryki podążają za nią. Chwytam Felicity za ramię.

- Poczekaj. Skąd się tu wzięła ta łódź. I dokąd płynie? – pytam Złotoskrzydłą.
- Jeśli chcesz się dowiedzieć, to będziesz musiała zaryzykować – odpowiada, ukazując ostre zęby.
- Chodź, Gemmo – prosi Felicity, patrząc, jak Pippa i pozostałe wchodzą na pokład.
- Nic nam się nie stanie – popiera ją Ann i bierze ode mnie pochodnię, gotowa pobiec.
- To może być niebezpieczne dla niewidomej. – Wróżka unosi pukiel włosów Wendy i przykłada go do nosa, wachając, po czym przesuwa po nim językiem. – Zostawcie ją tutaj. Ja się nią zajmę.
- Wendy mocno przywiera do mojego ramienia.
- Nie licz na to – odpowiadam.
- Stworzenie trzepocze skrzydłami tuż przy moich ustach.
- Ona tylko opóźni wasz marsz.
- Mam cię chyba dosyć. – Dmucham mocno, a zielona lśniąca bestyjka wywija koziołki w powietrzu.
- Przeklina mnie, gdy unoszę koszulę i biegnę do łodzi, ciągnąc za sobą Wendy.
- Dobra – mówię, stając na rozkołysanym pokładzie. – Jesteśmy zdane wyłącznie na siebie. Miejmy się na baczności. Mogą czyhać na nas różne pułapki. Możemy spotkać tropicieli albo coś jeszcze gorszego.
- A co z twoją mocą, panienko? – pyta Mae.
- Felicity siada, opierając miecz między stopami.
- No właśnie. Jeżeli będą na tyle głupi, żeby sprawić nam kłopot, zapłacą za to.
- Nie wiemy, czy stanowię dla nich godnego przeciwnika – ostrzegam. – Tak naprawdę nic nie wiemy o Krainie Zimy. A ja nie zawsze panuję nad magią i nie chcę z niej korzystać, dopóki nie będzie to konieczne.
- Spoglądam na poważne twarze moich przyjaciółek i czuję się nagle bardzo mała. Chciałabym, żeby ktoś inny poniósł to brzemień. Rzeki przed nami prawie nie widać. Mgła osiada ciężko na wodzie i mam tylko nadzieję, że nie popełniamy potwornego błędu.
- Gotowe? – woła Bessie. Stoi jedną stopą na łodzi, a drugą na wąskiej półce skalnej.
- Ann znów oddaje mi pochodnię. Przywiązuję ją koło dziobu, żeby oświetlała nam drogę.
- Odepchnij nas, Bessie – proszę.
- Dziewczyna wypycha nas mocno i łódź wypływa na rzekę z dala od bezpiecznej przystani. Zajmujemy miejsca przy wiosłach. Pippa staje na dziobie i próbuje dojrzeć coś we mgle. Felicity, Wendy i ja machamy jednym wiosłem, stękając z wysiłku. Z trudem zagarniamy nim wodę, ale po pewnym czasie zaczynam sunąć z nurtem. Mgła się rozwiewa i ze zdumieniem patrzymy na potężne masywy lśniących skał wznoszące się po obu stronach rzeki niczym ogromne zwietrzałe dłonie zapomnianego boga.
- Jedyny kolor w tym ponurym krajobrazie pochodzi z prymitywnych malowideł ciągnących się wzdłuż klifów. Mijamy wizerunku przerażających zjaw, które rozpostarły płaszcze, aby ukazać pochłonięte przez siebie dusze, wodnych nimf zdzierających skórę z ofiary przykutej do skały, Makowych Wojowników w postrzępionych rycerskich tunikach i zardzewiałych kolczugach. Ze skały spogląda też na nas podobizna Amara – na białym koniu i w upiornym hełmie – żałuję, że ją zobaczyłam. Jest tu tak wiele malowideł opowiadających całą historię, że nie mam szans wszystkiego przyswoić. Lecz jeden obraz przyciąga mój wzrok. Ukazuje stojącą przed potężnym drzewem kobietę z ramionami wyciągniętymi w geście powitania. Mgła znów gęstnieje i nie widzę nic więcej.
- Coś jest przed nami! – woła Pippa. – Zwolnijcie tempo!
- Nie jestem... marynarzem... ani piratem – sapie Ann między kolejnymi pociągnięciami wiosła.
- Odwracamy się na ławkach, żeby zobaczyć, co to może być. W poprzek wąwozu spoczywa wielka formacja skalna. Ma dwa otworu u góry i jeden na dole jak krzyżująca twarz.

- Celujcie w usta! – Pippa przekrzykuje szum wody.

Łódź z pluskiem spada z niewielkiego skalnego progu, po czym porywa ją szybszy prąd. Mercy krzyczy, gdy fala rozbija się o burtę. Niewiele możemy zrobić wobec tak silnego nurtu. Łódka chwieje się i wiruje wokół własnej osi, aż dostajemy zawrotów głowy.

- Rozbijemy się! – woła Pippa. – Zwolnijcie!

- Musimy wiosłować prosto we wlot! – piszczy Felicity.

- Oszalałaś! Musimy się zatrzymać – protestuję.

Pryska na mnie woda pachnąca siarką.

- Jestem córką admirała i mówię wam, że musimy wiosłować we wlot! – rozkazuje Felicity, jakby była komandorem.

- Zbliżamy się! – woła Pippa. – Zróbcie coś!

- Słyszałyście Felicity: wiosłujcie w sam środek! – krzyczę. – Z całej siły. Nie wahajcie się!

Napieramy na wiosła, a moc naszych serc i ramion zdumiewa mnie. Wyrównujemy rytm i wkrótce udaje nam się wyprostować łódź, a potem skierować ją w wąskie gardło wąwozu. Cztery mocne pociągnięcia i jesteśmy po drugiej stronie. Woda uspokaja się, niosąc nas głęboko w Krainę Zimy.

Krzyczy z uniesienia wywołanego zwycięstwem nad rzeką, a ponieważ nie ma tu nikogo, kto kazałby nam panować nad sobą, nasza radość niesie się echem przez długą chwilę.

- Popatrzcie! – woła Pippa.

Barwne światło płynie strugami po smutnym niebie. Ponure chmury ustępują przed wirami fioletu i granatu, różu i złota. I widać gwiazdy! Kilka z nich leci szybko, po czym spada. Niebo wydaje się ogromne. Czuję się mała i nieważna, a jednak w jakiś sposób większa niż kiedykolwiek przedtem.

- Piękne – odzywam się.

Pippa wyrzuca ramiona w górę.

- I pomyśleć, że mogłyśmy tego nie zobaczyć.

- Jeszcze nie wróciłyśmy – przypominam.

Wodne nimfy falistym ruchem płyną pod powierzchnię rzeki, a miękko zaokrąglone łuki ich srebrzystych pleców błyskają jak odbicie rozgwieżdżonego nieba nad nami.

- A co to? Syreny? – pyta Mae, wpatrując się w wodną głębinę, żeby lepiej zobaczyć.

Ann odciąga ją od burty łodzi.

- Nie chcesz tego widzieć.

- Kiedy one są takie piękne! – Dziewczyna wyciąga dłoń w stronę wody.

- Wiesz dlaczego? Bo odzierają ludzi ze skóry i kąpią się w niej – wyjaśnia Ann.

- O kurczę! – Mae z przerażoną miną cofa dłoń i wraca do wiosłowania.

Wpływamy w zakole rzeki. Mgła znów opada, gęsta i biała jak chmury. Łódź osiada na zamarznętym brzegu.

- Widzicie coś? – pyta Pippa. Przykłada dłoń do oczu i próbuje przebić wzrokiem mgłę.

- Nic – odpowiada Bessie, która mocno trzyma swój drąg.

- Wszystko może tu na nas czyhać – zauważa spokojnie Ann.

Łódź nie popłynie dalej. Wygląda na to, że wybrała cel podróży za nas. Trap opada, a my wychodzimy na ląd. Łódź cofa się pod osłonę mgły i znika.

- Co teraz zrobimy? – pyta Mae. – Jak wrócimy?

Bessie klepie ją mocno w ramię.

- Przestań! Idziemy przed siebie.

Mgła jest tu cięższa. Elementy krajobrazu wyłaniają się z niej jak widma. Idziemy przez jałowy las z drzewami przypominającymi skarłale duchy. Powykręcane gałęzie przebijają mgłę tu i tam. Panuje martwa cisza. Nie dociera do nas żaden dźwięk poza urywaną melodią naszych oddechów.

Coś niespodziewanie ociera się o moje ramię. Obracam się, ale nic nie widzę. Znowu. Tym razem nade mną. Unoszę wzrok i moim oczom ukazują się rozkołysana bosa stopa.

- O Boże! – jęczę.

Z konara zwisa ciało kobiety. Ostre gałęzie owinęły się wokół jej szyi, wiążąc ją z drzewem. Skóra nabrała szarobrazowego koloru kory, a paznokcie stały się krzywe i poźółkłe. Stwierdzam z ulgą, że oczy ma zamknięte.

Ale jest tu nie tylko ona. Widzę je teraz we mgle wszędzie wokół nas. Ciała wiszą na drzewach niczym upiorne owoce, I straszliwy plon.

- G-Gemmo – szepcze Ann.

Oczy ma szeroko otwarte i wyczuwam krzyk, który w sobie dławi, ten sam krzyk, który wszystkim powstrzymujemy.

Pippa patrzy na ciała z mieszaniną odrazy i smutku.

- Nie jestem taka. Nie jestem – mówi i wybucha płaczem.

Felicity przyciąga ją do siebie.

- Oczywiście, że nie.

- Chcę wrócić. Wrócić do Spence. Do życia. Nie mogę tu już dłużej przebywać. Nie mogę! – Pippa jest na granicy hysterii.

Fee głaszcze ją po włosach i próbuje pocieszyć cichymi słowami.

- To tutaj przywiodłyby nas te upiory gdyby nie panienka Pippa – mówi Bessie. Jednym szarpnięciem odrywa kawałek brudnego materiału z sukni trupa, owija go wokół swoje drąga i podaje Ann. – Niech panienka zapali, żebyśmy coś widziały. Ja nie lubię ognia.

Ann wyjmuje zapaliki z kieszeni. Próbuje zapalić cztery kolejne, lecz bezskutecznie.

- Musiały zamoknąć w łodzi.

Bessie jest nieugięta.

- Nie pójdę dalej bez pochodni.

Przykładam dłoń do kija i pobudzam magię do działania. Pochodnia świeci jasnym blaskiem. Choć czuję odrazę, muszę to wiedzieć. Wyciągam rękę do rozhuśtanego ramienia jednego z ciał. Dotykam zimnej, twardej dłoni i ze strachu wymyka mi się odrobina magii. Trup drga gwałtownie, a ja odskakuję do tyłu.

- Gemmo... - jęczy Ann.

Nagły wiatr porusza ciałami wśród drzew, kołysząc nimi jak liśćmi. Ich oczy otwierają się, czarne jak smoła i obrzeżone krwią. Koszmarny chór wysokich pisków i jęków oraz niskich, słych pomruków nagle obudzonych upiorów narasta w lesie, jazgocze w naszych uszach. Pod tym wszystkim słyszę przeraźliwy refren, który odciska się w mojej duszy: „Ofiara, ofiara, ofiara”.

- Gemmo, coś ty zrobiła? – zawodzi Ann.

- Zawracamy! – wołam.

Udaje nam się przejść ledwie kilka kroków, gdy ścieżka pod naszymi stopami znika.

- Dokąd teraz? – piszczy Mercy, kręcąc się w kółko.

Wendy potyka się i gorączkowo machając rękami, sprawdza pustą przestrzeń przed sobą.

- Nie zostawiajcie mnie!

- Nie wiem – odpowiadam Mercy. Kirke mówiła, żeby trzymać się rzeki, ale o czymś takim w ogóle nie wspominała. Albo kłamała, albo nie wiedziała. Tak czy siak, jesteśmy same i zdanie wyłącznie na siebie.

Nagle przez hałas napływa czysty, spokojny głos:

- Tędy. Szybko...

Wśród lodu i zamrożonej trawy pojawia się świetlista ścieżka.

- Chodźcie! Tutaj! – wołam.

Wywijając pochodnię pędzę między drzewami za cieniutką wstążką światła. Trupy kopią i łapią nas, a ja z całej siły powstrzymuję krzyk. Jakiś mężczyzna wyciąga ręce po Pippę, ale miecz Felicity jest szybszy. Odcięta dłoń leci w powietrzu, a on ryczy z wściekłości.

Sama chętnie bym ryknęła, ale mam wrażenie, że ze strachu oniemiałam.

- Naprzód! – chrypię, gdy w końcu udaje mi się wydobyć z siebie głos.

Popycham przyjaciółki i biegnę za nimi, wbijając wzrok w ich plecy, bo nie mam odwagi patrzeć na boki na odrażające postacie, które zwisają z drzew. Wreszcie docieramy do skrajnie makabrycznego lasu. Harmider przeradza się w szept, a potem w ciszę, jakby upiory znów zapadły w sen. Przez chwilę odpoczywamy, opierając się o siebie i wciągając chłodne powietrze do płuc.

- Co to były za stwory? – udaje się Pippie wykrztusić między kolejnymi sapnięciami.

- Nie wiem – rzęzę. – Może zmarli. Dusze zwabione tu przedtem.

Mae potrząsa głową.

- Nie byli tacy jak my. Nie mieli w ogóle dusz. Mam nadzieję.

Bessie wskazuje naprzód.

- A jak przedostaniemy się przez to?

Naszą drogę blokuje ściana z czarnej skały i lodu równie wysoka jak szeroka. Z tego, co widzę, nie da się jej obejść.

Wiatr znowu szepcze:

- Przyjrzyjcie się dokładniej...

U stóp ogromnego urwiska znajduje się wejście do tunelu zawieszzone szmatami nasączonymi krwią.

- Idźcie... - ponagla wiatr.

- Słyszałyście to? – pytam, żeby się upewnić.

Felicity kiwa głową.

- Mówi, że mamy iść.

- Ale dokąd? – Ann zagłada podejrzliwie do ciemnego przejścia.

Nikt nie spieszy się naprzód. Żadna z nas nie chce jako pierwsza odsunąć cuchnących szmat i wejść w wąską szczelinę.

- Dotarliśmy tak daleko – odzywa się Pippa. – Chcecie zatrzymać się teraz? Mae? Bessie?

Mae cofa się, a Bessie przestępuje z nogi na nogę.

- Troszku tam ciemno, co? – mówi w końcu Mae.

- Myślę, że powinnyśmy zawrócić – szepcze Wendy. – Pan Darcy będzie głodny.

- Przystaniesz głądzić o tym króliku? – warczy na nią Bessie. Kiwa głową w moją stronę.

- To był panienki pomysł, co nie? Szukanie tego drzewa? To niech panienka prowadzi.

Cuchnący wiatr unosi szmaty w naszą stronę. Ciemność w tunelu przypomina bezgwiezdną noc. Nie można odgadnąć, co nas tam czeka, a już przeżyliśmy jedną paskudną niespodziankę. Ale Bessie ma rację: powinnam pójść pierwsza.

- Słusznie – odzywam się. – Idziemy dalej. Trzymajcie się blisko mnie. Gdy wam powiem, biegnijcie z powrotem najszybciej, jak się da.

Wendy udało się mnie odnaleźć i znów kurczowo trzyma się mojego rękawa.

- Czy jest tam potwornie ciemno, panienko?

Zabawne, że boi się ciemności, skoro jej nie widzie, ale to chyba tego rodzaju strach, który jest zakorzeniony głęboko w każdej duszy.

- Nie martw się, Wendy. Pójdę pierwsza. Mercy cię poprowadzi, dobrze?

Mercy kiwa głową i bierze dziewczynkę za rękę.

- Jasne. Trzymaj się mnie mocno, mała.

Moje serce tłucze się o żebra. Robię krok naprzód. Tunel jest tak ciasny, że nie mogę się wyprostować i muszę iść pochylona.

- Uważajcie na głowy – ostrzegam towarzyszek.

Macam rękami przed sobą. Ściany są zimne i wilgotne. Przez chwilę mam wrażenie, że znalazłam się w przetyku jakiejś gigantycznej bestii. Cała drzę i mam ochotę krzyknąć.

- Gemmo? – To głos Fee.

W smolistej czerni nie potrafię określić, gdzie ona jest. Brzmi, jakby znajdowała się całe kilometry stąd, ale wiem, że to niemożliwe.

- T-tak – udaje mi się wykrztusić. – Idźcie naprzód.

Modłę się, żeby to trwało jak najkrócej, ale tunel zdaje się ciągnąć w nieskończoność. Słyszę cichy pomruk w skale. Brzmi jak syczenie, dużo w nim „s”, choć mogłabym przysiąc, że słyszę też słowo „ofiara”, a raz nawet „uratuj nas”. Za to nie słyszę już kroków przyjaciółek i zaczynam wpadać w panikę. Wtedy wreszcie moim oczom ukazuje się smuga bladego światła. Widzę wyjście. Zalewa mnie ulga. Potykając się, wychodzę przez wąską szczelinę, a dziewczęta za mną.

Pip wyciera błoto z rękawów.

- Koszmarny tunel. Czułam na karku gorący oddech jakiejś plugawej istoty.

- To byłam ja – wyznaje Ann.

- Gdzie my jesteśmy? – pyta Felicity.

Wyszliśmy na smagane wiatrem wrzosowisko otoczone kręgiem skalistych szczytów. Pada lekki śnieg. Płatki przylegają do naszych rzęs i włosów. Wendy unosi twarz w górę, jakby przyjmowała błogosławieństwo.

- Och, jak miło – wzdycha.

Ciężkie ciemne chmury zawisły nad skałami. Na ich tle pulsują ostre żyły światła, po czym rozlega się grzmot. Poprzez cienki woal mgły dostrzegam drzewo: stary, pokrzywiony jesion, szeroki jak dziesięciu mężczyzn i wysoki jak dom, wznosi się majestatycznie na niewielkim skrawku zielonej trawy. Jego gęsta korona rozkłada się na wszystkie strony. Jest bardzo imponujący i nie mogę oderwać od niego wzroku. Wiem, że to drzewo z moich snów. Wilhelmina Wyatt chciała, abym je odnalazła.

- Drzewo Wszystkich Dusz – mówię z szacunkiem. – Znalazłyśmy je.

Śnieg topi się na mojej twarzy, ale nie zwracam na to uwagi. Magia mruczy we mnie słodko, jakby coś ją przyzywało. Dźwięk owija się wokół moich ścięgien, pulsuje w mojej krwi nowym refrenem, którego jeszcze nie umiem zaśpiewać, ale bardzo tego pragnę.

- Przyszłaś wreszcie – nuci miękko jak matka kołysankę. – Chodź do mnie. Musisz tylko dotknąć mnie, a zobaczysz...

Odłamki światła przecinają niebo nad nami. Moc tego miejsca jest wielka, a ja chcę być jej częścią. Przyjaciółki też ją czują. Widzę to po ich twarzach. Przykładamy dłonie do prastarej kory, która wydaje się szorstka w dotyku. Moje serce przyspiesza. Drzę pod naporem tej nowej mocy, aż padam pokonana.

Stoi przede mną, skąpana w łagodnym świetle, a ja rozpoznaję ją od pierwszego wejrzenia. Białe włosy. Niebieskie oczy. Barwna suknia. Świat rozpada się, aż nie istnieje nic prócz nas dwóch płonących jasno na pustkowiu.

Tylko Eugenia Spence i ja.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

- Tak długo na ciebie czekałam – mówi. – Już prawie straciłam nadzieję.
- Pani Spence? – odzywam się, gdy w końcu odzyskuję głos.
- Tak. A ty jesteś Gemma, córka Mary. – Uśmiecha się. – Liczyłam na twoje przybycie.

Tylko ty możesz uratować nas i międzyświat.

- Ja? Jak...

- Powiem ci wszystko, ale mamy niewiele czasu. Nie mogę ci się ukazywać w tej postaci zbyt długo. Pójdiesz ze mną?

Wyglądam na zmieszaną, więc wyciąga do mnie bladą dłoń.

- Weź mnie za rękę. Chodź ze mną. Pokażę ci wszystko.

Powoli wyciągam do niej dłoń i muskam chłodne czubki palców. Eugenia mocno chwytła moją rękę. Spływa na nas lśniące blade światło. Po chwili gaśnie, a my stoimy razem na omiatanej wiatrem równinie. Śnieg, błyskawice, moje przyjaciółki – wszystko to istnieje na zewnątrz miejsca, w którym jestem. Eugenia wydaje się tu bardziej rzeczywista. Ma zaróżowione policzki, a błękit jej oczu staje się znacznie cieplejszy.

- Myślałam, że pani... - Przeżyłam z trudem. – Nie żyje.

- Nie całkiem – odpowiada smutno.

- Co się stało w noc pożaru – pytam – po tym, gdy zapieczętowała pani drzwi?

Składa dłoń jak do modlitwy.

- Ta odrażająca bestia przyprowadziła mnie tutaj, do Krainy Zimy. Wszystkie istoty przysły, by zobaczyć słynną Eugenię Spence, najwyższą kapłankę Zakonu, a teraz pokornego jeńca Krainy Zimy. Chciały mnie złamać, zdeprawować i wykorzystać do swych podłych celów – mówi, a oczy jej lśnią. – Ale moja moc była większa, niż się spodziewały. Oparłam się im, lecz za karę uwięziły mnie we wnętrzu Drzewa Wszystkich Dusz.

- Czym jest drzewo? – pytam.

Uśmiecha się.

- Jedyne miejsce w tej przeklętej krainie, które należy do międzyświata, do Zakonu.

- Ale jak to możliwe?

- Jeżeli chcesz zrozumieć teraźniejszość, musisz poznać przeszłość.

Zakreśla ręką szeroki łuk i otoczenie się zmienia. Przed nami jak scenografia w teatrze rozciąga się nowo narodzona kraina.

- Na długo zanim się pojawiliśmy na tym świecie, różowi i skamłacy, istniał międzyświat. Istniała magia. Pochodziła od samej ziemi i do ziemi wracała w niekończącym się cyklu. Wszystko pozostawało w równowadze. Była tylko jedna nienaruszalna zasada: umarli, którzy przechodzili przez tę krainę, nie mogli w niej pozostać. Musieli przejść na drugą stronę albo ulegali deprawacji. Lecz niektórzy z nich nie potrafili zerwać kontaktu z przeszłością. Wystraszeni i źli uciekali, szukając schronienia w najbardziej opustoszałej części międzyświata – w Krainie Zimy. Ale to nie koło ich tęsknoty za tym, czego nie mogli mieć. Chcieli wrócić, a do tego potrzebowali magii międzyświata. Wkrótce oczekiwanie zmieniło się w pożądanie. Chcieli ją zdobyć za wszelką cenę. Chyba słyszałaś o buncie i o tym, co się wtedy stało?

- Istoty z Krainy Zimy pojmały kilka nowicjuszek z Zakonu i złożyły je tutaj w ofierze. To była pierwsza krwawa ofiara – odpowiadam.

- Tak, ale to nie wszystko. Musisz to zobaczyć.

Eugenia przesuwając dłońmi nad moimi oczami. Gdy je otwieram, widzę młode kapłanki, mniej więcej w moim wieku, kulące się przed bandą koszmarnych stworzeń. Jednej udało się uciec, chowa się teraz za głazem i obserwuje.

- Ten sztylet jest przesycony magią – mówi przerażona kapłanka, ofiarowując prześladowcom wysadzany klejnotami nóż. – Można mu nadać dowolny kształt. Weźcie go w zamian za naszą wolność.

Widmo z Krainy Zimy warczy na nią:

- Chcesz nas zjednać czymś takim? – Wrywa jej sztylet. – Skoro ma taką moc, to wykorzystamy ją od razu!

Potwory otaczają przerażone dziewczyny. Odrażające widmo unosi ostrze i opuszcza je raz za razem, aż widać tylko umazaną krwią dłoń wyciągniętą w stronę nieba, a potem nawet ona znika.

Tam gdzie rozlewa się krew kapłanek, ziemia pęka. Wyrasta potężne drzewo, jałowe i powykręcane jak serca potworów – i pełne magii. Istoty chylą przed nim głowy.

- W końcu mamy własną moc – oświadcza widmo.

- Zrodzoną dzięki ofierze – syczy inne.

- To, co powstało z krwi, krwi wymaga. Będziemy płacili drzewu duszami i nagniemy jego moc do naszych potrzeb – mówi widmo.

- Ale nie wszystko przypadło – szepcze Eugenia i znów macha dłonią, a ja widzę młodą kapłankę nadal ukrytą za skałą.

Kiedy monstra rozkoszuje się swoją nową mocą, ona kradnie sztylet i szybko ucieka do Zakonu. Relacjonuje całą historię, a arcykapłanki słuchają jej z ponurymi minami. Powstają runy, zasłona między światami opada, a sztylet przez pokolenia przechodzi z kapłanki na kapłankę.

- Zakon chronił sztylet. Nie śmiałyśmy też wspominać o drzewie w obawie, że ktoś może poczuć pokusę. Wkrótce jego istnienie przerodziło się w mit. – Eugenia usuwa obraz machnięciem ręki. – Byłam ostatnią strażniczką sztyletu, lecz nie wiem, co się z nim stało.

- Widziałam go w wizji z pani była uczennicą Wilhelminą Wyatt! – wrywa mi się.

- Mina pojawia się w twoich wizjach? – dziwi się Eugenia. Na jej twarzy maluje się troska. – Co ci pokazuje?

Kręcę głową.

- Większość z tego nie ma dla mnie sensu. Ale widziałam sztylet w jej ręku.

Eugenia w zadumie kiwa głową.

- Zawsze pociągała ją ciemność. Mam nadzieję, że można jej ufać... - W oczach nauczycielki pojawia się stalowy błysk. – Musisz odnaleźć sztylet. To najważniejsza sprawa.

- Dlaczego?

Teraz znajdujemy się na szczycie góry. Szarpie nami porywisty wiatr, grożąc, że zamieni moją fryzurę w lwią grzywę. W dolinie daleko pod nami widzę przyjaciółki, małe jak ptaki.

- Przypuszczam, że znów wybuchnie bunt. Odnawiają się stare przymierza pomiędzy plemionami z międzyświata a istotami z Krainy Zimy – wyjaśnia Eugenia. – A jedna z nas zawarła podły pakt w zamian za moc. Wcześniej nie wierzyłam, że to możliwe, i ta naiwność dużo mnie kosztowała – dodaje.

Ogarnia mnie wstyd za to, co zrobiły moja mama i Kirke. Chcę jej powiedzieć o Kirke, ale nie mogę się do tego zmusić.

- Myślałam, że istoty z Krainy Zimy odeszły – mówię zamiast tego.

- Są gdzieś tutaj, nie ludź się. Prowadzi ich przerażający przywódca, były brat Rakshana.

- Amar – szepczę.

- Ma wielką moc. Ale ty również. – Ujmuje mnie pod brodę chłodną dłonią. Atramentowe niebo na horyzoncie znów pulsuje dziwnymi, pięknymi światłami. – Musisz uważać, Gemmo. Jeżeli Zakon został w jakiś sposób zdeprawowany, może użyć swojej mocy przeciwko tobie.

Błyskawica rani niebo, pozostawiając krótkotrwałe blizny ze światła w moich oczach.

- Jak to?

- Może sprawić, że będziesz widziała to, co chce, żebyś widziała. Zacznesz się zachowywać, jakbyś oszalała. Musisz być cały czas czujna. Nie ufaj nikomu. Strzeż się. Bo jeśli ty się poddasz, przepadniemy na zawsze.

Bicie mojego serca dorównuje gwałtowności burzy.

- Co mam zrobić?

W pulsującym świetle dostrzegam twardą determinację w oczach Eugenie.

- Bez sztyletu nie mogą związać mojej mocy z drzewem. Musisz go odnaleźć i przynieść mi do Krainy Zimy.

- I co pani z nim zrobi?

- To, co muszę, żeby przywrócić ład i pokój – odpowiada, ujmując mnie za rękę.

Nagle stoimy na brzegu jeziora i mgła się rozwiewa. Pojawia się prom, a na nim trzy kobiety. Staruszka o twarzy zniszczonej przez czas długim drągiem pcha barkę po nieruchomej wodzie. Druga kobieta, młoda i piękna, unosi lampę, by oświetlić drogę. A trzecia trzyma róg obfitości. Przeplływają obok, nie zwracając na nas uwagi.

- Te kobiety... Widziałam ich podobiznę na kamieniach strzegących sekretnych drzwi. Kim one są?

- Mają wiele imion: Mojry, Parki, Norny, Wyrd, Los czy Badb. My zawsze znałyśmy je jako Trójcę. Gdy śmierć jest bliska, kapłanka przechodzi przez mgłę czasu, by na rozdrożu spotkać Trójcę. Ma wówczas prawo do ostatniego życzenia i do wyboru.

- Wyboru? – powtarzam, nic nie rozumiejąc.

- Może postanović, że popłynie barką do świata piękna i zaszczytów. Gdy dotrze tam bezpiecznie, jej podobizna pojawi się na nieśmiertelnych kamieniach jako testament.

- A więc wszystkie te kobiety przedstawione na kamieniach...

Uśmiecha się i jest tak, jakby słońce zaświeciło tylko dla mnie.

- Były niegdyś kapłankami tak jak ty i ja.

- Powiedziała pani, że kapłanka ma wybór. Dlaczego miałyby nie chcieć udać się w takie miejsce?

- Może uznać, że nie dopełniła jakiegoś ważnego obowiązku. Jeżeli odmówi, wraca do tego życia, aby dokończyć zadanie, ale zrzeka się chwały.

Staruszka prowadzi barkę w głąb jeziora, a kłęby mgły skrywają ją powoli.

Eugenia patrzy za nimi, aż zupełnie znikają.

- Chciałabym się uwolnić, zająć wreszcie swoje miejsce w tamtej krainie i na kamieniach, które opiewają naszą historię. – Czułym matczynym gestem gładzi mnie po głowie. – Przyniesiesz mi sztylet?

Spowija nas mgła.

- Tak – odpowiadam i znów stoimy pod Drzewem Wszystkich Dusz.

Chłonę jego majestat: trzy mocne konary, tysiące mniejszych gałązek rozkładających się na wszystkie strony, delikatne żyły pod skórą drzewa. Moje przyjaciółki stoją nieruchomo, przykładając dłonie do pnia, a na ich twarzach maluje się uniesienie. Wygląda to tak, jakby wsłuchiwały się w głosy, których ja nie słyszę. Czuję się samotna i odrzucona.

- Co się dzieje z moimi przyjaciółkami? – chcę wiedzieć.

- To magia drzewa. Pokazuje sekrety ich serc – wyjaśnia Eugenia. – Muszę już odejść, Gemmo.

- Nie, proszę, chcę się dowiedzieć...

- Nie wolno ci wracać bez sztyletu. Jedynie wówczas będziemy bezpieczne.

- Proszę nie odchodzić! – wołam.

Próbuję ją chwycić, ale jest niematerialna jak powietrze. Znika w pniu. Drzewo ją pochłania i zaczyna pulsować, jakby jego żyły szybciej pompowały krew.

- Chcesz widzieć? – pyta zdławionym szeptem.

Moje przyjaciółki obejrzały już te cuda w jego wnętrzu, a ja mam dość stania z boku.

- Tak – odpowiadam wyzywającym tonem. – Chcę.
- Spójrz więc – mruczy drzewo.

Przyciskam dłonie do szorstkiej kory i przepadam.

Obrazy tańczą wokół mnie jak szkiełka w kalejdoskopie. W jednym odłamku Mae siedzi za stołem obficie zastawionym jedzeniem. Gdy kończy jedno danie, natychmiast pojawia się następne. Pod stołem siedzą chude psy, wygłodniałe i pełne nadziei. Walczą za sobą o odpadki, gryząc przeciwników do krwi, ale Mae nie zwraca na nie uwagi. Już nigdy nie będzie głodna.

Widzę Bessie w eleganckiej sukni, utkanej ze złotych nici i ozdobionej klejnotami, z gronostajową peleryną na ramionach. Idzie wzdłuż rzędów brudnych, odzianych w łachmany kobiet pracujących w szwalni, w której straciła życie, aż dociera do właściciela – tłustego faceta z cygarem w ustach. Policzkuje go z całej siły, znowu i znowu, aż mężczyzna kuli się u jej stóp niczym przestraszone zwierzę.

Ann jest skąpana w blasku reflektorów. Kłania się widzom, upajając się ich zachwytem. Wendy ma mały domek z ogródkiem różanym. Podlewa kwiatki, a one rozkwitają pięknie na czerwono i różowo. Mercy jedzie w powozie z eleganckim mężczyzną. Widzę Felicity, która tańczy z Pippą w zamku. Śmieją się z im tylko znanego żartu, a potem Pippa z płonącym wzrokiem zasiada na tronie.

Pippa obok mnie uśmiecha się ekstatycznie.

- Tak – mówi do kogoś, kogo nie widzę. – Wybrana, wybrana...
- Przyjrzyj się bliżej – szepcze drzewo, a moje powieki trzepoczą. Wszystko, co tak mocno w sobie skrywałam, ujawnia się.

Otwieram drzwi i wracam do Indii. To jeszcze nie jest lato, gdyż mama i tato piją herbatę na dworze. Ojciec czyta na głos „Puncha”, doprowadzając mamę do śmiechu. Tom jako mały chłopiec przebiega obok, trzymając dwóch drewnianych rycerzy, którzy walczą ze sobą zawzięcie, a niesforny lok jak zawsze opada mu na oczy. Sarisa łaje go za to, że prawie przewrócił antyczną urnę taty. Ja też tam jestem. Stoję pod długą wstęgą jasnoniebieskiego nieba bez ani jednej chmurki. Rodzice uśmiechają się na mój widok, a ja czuję się ich częścią. Nie jestem odrzucona i samotna, jestem kochana.

- Chodź do mnie, Gemmo! – woła mama.

Szeroko otwiera dla mnie ramiona, a ja puszczam się biegiem, gdyż czuję, że jeśli zdążę do niej dotrzeć, wszystko będzie dobrze. Muszę uchwycić ten moment i trzymać go mocno. Ale im szybciej biegnę, tym bardziej ona się oddala. A potem znajduję się w zimnym, ciemnym salonie w domu babki. Ojciec siedzi w gabinecie, Tom wychodzi, babcia jak zawsze składa komuś wizytę. Żadne z nas nie zauważa pozostałych. Wszyscy jesteśmy samotni jak niedobrane koraliki nanizane na nić smutku, przyzwyczajenia, obowiązku. Łza spływa powoli po moim policzku. Prawda tej magii przypomina truciznę, której nie mogę wypluć.

Małe, blade stwory wypełzają spod gładów i kamieni. Dotykają rąbka mojej spódnicy, gładzą mnie po ramionach.

- Tutaj jest twoje miejsce, tutaj jesteś potrzebna, skarbie – mówią. – Kochaj nas tak, jak my kochamy ciebie.

Odwracam głowę i widzę Kartika z nagim torsem, jak idzie w moją stronę. Ujmuję jego twarz w dłonie, po czym całuję go mocno, nie bacząc na zasady. Chcę wpełznąć pod jego skórę. Ta magia nie przypomina magii, którą bawiłyśmy się przedtem. Jest surowa i nagła, nie można się skryć za żadną fasadą. To coś, czego dama nie powinna czuć i poznawać.

- Pocałuj mnie – szepczę.

Kartik przyciska mnie do drzewa. Zakrywa ustami moje wargi. Nasze ręce są wszędzie naraz. Chcę się zatracić w tej magii. Nie ma ciała. Nie ma mnie. Nie ma trosk. Już nikt nigdy mnie nie zrani.

Drzewo Wszystkich Dusz odzywa się w moim wnętrzu.

- Chcesz więcej?

Przez chwilę walczy we mnie magia Świątyni. Widzę siebie, jak stoję przed drzewem, a Kartik woła mnie po imieniu. Czuję się, jakbym próbowała się otrząsnąć z narkotycznego snu.

- Tak – odpowiada ktoś i nie jestem to ja.

Próbuję dostrzec, kto to się odezwał, ale gałęzie trzymają mnie mocno. Drzewo tuli mnie jak matka i mruczy cicho:

- Śpij, śpij, śpij...

Spadam przez kolejne piętra siebie, czekając, aż ktoś mnie złapie, ale nikogo takiego nie ma. Spadam więc dalej w ciemność, która nie ma końca.

Później – nie wiem kiedy, gdyż czas stracił wszelkie znaczenie – słyszę głos, który mówi, że pora już iść. Nagle uświadamiam sobie, że jest zimno. Szczękam zębami. Widzę, że na rzęsach moich przyjaciółek osiadł szron. Bez słowa odwracamy się od drzewa i potykając się, wracamy drogą, którą tu przyszlęśmy. Mijamy ciała zwieszające się z drzew jak upiorne dzwonki, a wiatr niesie ich błagalny szept:

- Pomóż nam...

*

Dalsza część podróży z Krainy Zimy jest podobna do snu, z którego niewiele pamiętam. Ramiona mam podrapane, ale nie przypominam sobie, jak do tego doszło. Zwilżam językiem posiniaczone usta i czuję popękaną skórę. Gdy przekraczamy otulony mgłą próg, pragnienie, by zawrócić, szarpie mną aż do bólu. Dziwne półmroczne piękno Krainy Granicznej nie budzi już ekscytacji. Moje przyjaciółki też to czują, poznają to po sposobie, w jaki oglądają się za siebie. Idziemy po pnączach, które nadpełniają od Krainy Zimy. Wyciągają ramiona, podchodząc coraz bliżej i bliżej do zamku.

Bessie mówi jak ogłuszona:

- Jakbym stała się nową osobą. Naprawdę nową. Widziałam siebie i byłam damą. Nie na niby, ale prawdziwą i szanowaną.

- Bez strachu – mruczy Felicity, wyciągając ramiona nad głowę. – Bez kłamstw.

Pippa wiruje, coraz szybciej i szybciej, aż w końcu upada ze śmiechem.

- Nareszcie wszystko nabrało sensu. Rozumiem wszystko.

Gorgona czeka na nas na rzece. Próbuję jej umknąć, ale zauważa mnie, gdy wślizguję się za wysoką ścianę kwiatów.

- Wasza Wysokość, szukałam cię.

- No to chyba mnie znalazłaś.

Mruży oczy. Zastanawiam się, czy wyczuwa zapach zakazanego na mojej skórze jak cudzy pot. Pozostałe dziewczęta szaleją. Mają w sobie nowy ogień, który budzi błysk w ich oczach i rumieniec na policzkach. Felicity wybuchła śmiechem, który brzmi niczym wezwanie do broni. Chcę być z nimi, wspólnie przeżywać naszą przygodę w Krainie Zimy, a nie wić się pod baczynym spojrzeniem gorgony.

- O co chodzi? – pytam.

- Zbliź się – żąda lepki jak syrop głos.

Stoję na trawie dobre pięć metrów od miejsca, w którym gorgona unosi się na wodzie. Odwraca głowę i przygląda mi się: włosy w nieładzie, ramiona podrapane, koszula podarta. Węże tańczą hipnotycznie.

- Widzę, że byłeś tam – mówi.

- I co z tego? – pytam buntowniczo. – Musiałam sama się przekonać, gorgono. Jak mogę rządzić, nic nie wiedząc? Drzewo Wszystkich Dusz istnieje i posiada ogromną moc!

Węże wokół jej twarzy skręcają się i syczą.

- Obiecuj, że nie wrócisz w to miejsce, dopóki nie zawrzesz przymierza. Wasza Wysokość, twoja moc...

- Tylko tym jestem? Magią? Nikt nie dostrzega mnie. Wszyscy widzą jedynie to, czego chcą, co mogę dla nich zrobić. To, kim jestem, co czuję, nie ma najmniejszego znaczenia! – Zaczynam płakać, i nienawidzę siebie za to. Odwracam głowę, czekając, aż łzy wyschną, a kiedy znów spoglądam na gorgonę, jestem już inną dziewczyną, taką, której nikt nie będzie mówił, co ma robić i dokąd iść.

- Możesz odejść, gorgono. Nasza rozmowa dobiegła końca.

Choć raz dumna wojowniczką wydaje się mniej pewna siebie, co mnie cieszy.

- Wasza Wysokość...

- Nasza rozmowa dobiegła końca – powtarzam. – Jeżeli będę miała ci coś do powiedzenia, odnajdę cię.

Wesoła zabawa na trawie trwa w najlepsze. Felicity szturcha Bessie, która oddaje jej jeszcze mocniej.

- Nie pokonasz mnie – prowokuje Bessie.

Jej oczy lśnią. Śmiech Fee brzmi szorstko.

- Już to zrobiłam, nie zauważyłaś?

Wyjąc jak potępione i śmiejąc się, obejmują się ramionami i walczą, próbując wywrócić rywalkę, podczas gdy Pippa je dopinguje. Wpadam na nie z impetem i przewracam je jak kręgle, rozcinając sobie wargę. Nikt nie śmieje się głośniejsze ode mnie, gdy surowy, metaliczny smak wypełnia moje usta, a krople krwi opadają na moją koszulę niczym bezlitosny deszcz.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Chociaż bal maskowy ma się odbyć dopiero za kilka tygodni, pani Nightwing nalega, abyśmy już zajęły się przygotowaniem programu rozrywkowego dla gości.

- W ten sposób wyrazicie im uznanie, a także udowodnicie, że jesteście prawdziwymi młodymi damami, do tego utalentowanymi – przekonuje, a ja przypuszczam, że pokazywanie nas w roli tresowanych małpek ma raczej potwierdzić talenty naszej dyrektorki, nie nasze.

Przydzielono nam różne zadania: Cecily, Martha i Elizabeth mają przygotować balet. Felicity zagra menueta. Ponieważ ja nie mam żadnych uzdolnień w dziedzinie śpiewu, tańca, francuskiego czy gry na instrumentach, pytam panią Nightwing, czy mogę wyrecytować wiersz, a ona zgadza się, najwyraźniej czując ulgę, że chcę zaprezentować coś, co nie będzie na przykład tresurą zwierząt czy grą na cymbałach trzymanyh między kolanami. Rzecz tylko w tym, żebym wybrała odpowiedni poemat i nie potykała się o słowa. Niestety, Ann nie otrzymuje pozwolenia, aby zaśpiewać dla gości. Taka jest cena za nasz spiszek w Boże Narodzenie, gdyż pani Nightwing nie może sobie pozwolić na to, by drażnić dobroczyńców szkoły, a do tej pory wszyscy już zdążyli się dowiedzieć o tamtym skandalu.

Ann znosi tę niesprawiedliwość ze stoickim spokojem, a ja z utęsknieniem czekam na dzień, w którym oświadczy im wszystkim, że będzie występowała na scenie w zespole pana Katza pod opieką samej Lily Trimble.

Felicity siada do pianina i gra menueta.

- To tylko małe przyjęcie, nie większe niż proszona herbatka. Jedynie kostiumy dodają mu szyku – zrzędzi. – Zapowiada się zupełnie blado w porównaniu z balem, który wyda na moją cześć lady Markham. Wspominałam wam, że będą połykacze ognia?

- Chyba tak, raz czy dwa.

Albo dwanaście. Przeglądałam tom wierszy, który dała mi pani Nightwing. Są tak przesłodzone, że aż bołą mnie zęby. Nie przebrnę przez żaden z nich, nie parszkając śmiechem.

- Ten o niesieniu światła nie jest taki zły – sugeruje Ann.

Krzywię się.

- Chodzi ci o ten, w którym Florence Nightingale pojawia się na polu bitwy jako anioł, czy ten, w którym admirał Nelson zostaje porównany do greckiego boga?

Felicity wstaje od pianina i siada z nami na podłodze.

- Nie mogę przestać myśleć o ostatniej nocy. To była nasza najbardziej ekscytująca przygoda w międzyświecie.

- Mówisz o Krainie Zimy? – szepcze Ann. – I naprawdę widziałas tam Eugenię Spence, Gemmo?

- Nam się nie ukazała. – Fee pociąga nosem, a ja zaczynam mieć obawy, że powstanie z tego coś w rodzaju rywalizacji.

- Wszystko wam dokładnie opowiedziałam – zapewniam obronnym tonem. – Zdajecie sobie sprawę z tego, że możemy uratować ją i cały międzyświat?

Felicity składa usta w ciup.

- To znaczy ty możesz.

- My możemy – poprawiam ją. – Ale najpierw musimy odnaleźć sztylet, który zabrała Wilhelmina, a nie mam pojęcia, gdzie go szukać.

- Może tutaj, w Spence? – sugeruje Ann.

- Nie wiemy nawet, czy Wilhelminie można zaufać. W końcu przecież go ukradła, no nie? – zastanawia się Fee.

- Sądzę, że popełniła błąd, a teraz chce zadośćuczynić i pomóc mi w odnalezieniu sztyletu – wyjaśniam.

- Ale po co w ogóle go zabierała? – dziwi się Felicity.
- Powiniście przygotowywać się do występów! – napomina nas Cecily, wspierając się na biodrach.

- Przyjaciółki pomagają mi wybrać wiersz – odpowiadam z największą pogardą, na jaką mnie stać.

Pani Nightwing energicznie otwiera drzwi. Boję się, że przyszła skarcić nas za to, że nie dość ciężko pracujemy, ale ona woła Ann:

- Panno Bradshaw, czy mogę panią prosić?

Ann ze zwieszoną głową wychodzi za nią. Nie mam pojęcia, w jakie kłopoty znowu się wpackowała.

- Nareszcie – rzuca rozpromieniona Cecily.

- Wiesz coś o tym? – pyta Fee.

Cecily kręci piruet.

- Przyjechali kuzynostwo ze wsi, żeby ją zabrać. Brigid już pakuje jej walizkę.

- To niemożliwe! – wołam. Wymieniamy z Felicity przerażone spojrzenia.

- Uznali, że już czas. Najwyższy czas, jeśli chcecie znać moje zdanie.

- Wcale nie chcemy! – warczę.

Cecily ze zgrozą otwiera szeroko usta i akurat w tej chwili pojawia się panna McCleethy. Przeklinam swoje doskonale wyczucie czasu.

- Proszę pani, czy pozwoli pani, żeby panna Doyle odzywała się do mnie w taki sposób?

Nauczycielka kieruje na mnie spojrzenie.

- Panno Doyle? Chyba winna jest pani przeprosiny.

- Wybacz mi, droga Cecily. – Uśmiech mam tak fałszywy jak medykamenty ulicznego handlarza.

Cecily znów wspiera dłonie na biodrach.

- Proszę pani!

Spiesznie podchodzę do panny McCleethy.

- Czy to prawda? Czy kuzynostwo Ann przyjechali po nią?

- Tak – potwierdza.

- Ale nie mogą tego zrobić! – protestuję. – Ona nie chce z nimi jechać! Nie może zostać guwernantką. Ona...

Na twardej twarzy panny McCleethy maluje się coś, co przypomina prawdziwą troskę.

- Panna Bradshaw sama o to prosiła.

Mam takie wrażenie, jakby nauczycielka wypowiadała te słowa pod wodą. Ledwie rozumiem ich sens, a zimny strach ściska mój żołądek.

Biegnę po schodach, przeskakując po dwa naraz. Felicity krzyczy za mną, a panna McCleethy mityguje ją. Gdy zupełnie bez tchu docieram do naszego pokoju, Ann siedzi na łóżku w ponurym brązowym kostiumie podróżnym i w skromnym wełnianym kapelusiku. Układa w schludną stertę tanie gazetki i magazyn o modzie, który dostała po Felicity. Program *Makbeta* kładzie na samym wierzchu. Brigid upycha w walizce ostatnie sztuki jej ubrań.

- Brigid – sapię – czy mogę zostać na chwilę sama z Ann?

- No dobra – odpowiada gospodyni, pociągając nosem. – Zamknij porządnie wieko. I nie zapomnij rękawiczek, kochanieńka.

Po czym mija mnie, osuszając chusteczką wilgotne oczy. Zostajemy same.

- Powiedz mi, że to kłamstwo – proszę.

Ann zamyka walizkę i stawia ją u swoich stóp na podłodze.

- Zostawiłam ci gazetki. Na pamiątkę po mnie.

- Nie możesz tam pojechać. Masz zapewnioną posadę w zespole pana Katza. Czekają na ciebie światowe sceny!

Na twarzy Ann maluje się udręka.

- Nie. Tę posadę ma otrzymać Nan Washbrad, której uroda mówi sama za siebie, a nie na Ann Bradshaw. Dziewczyna, której chcą, nie istnieje. Nie naprawdę.

Ciskam jej walizkę na łóżko, otwieram i zaczynam rozpakowywać.

- Znajdziemy sposób. Użyjemy magii, żeby wszystko się ułożyło.

Ann kładzie dłoń na mojej ręce, powstrzymując mnie.

- Nie rozumiesz, Gemmo? To się nigdy nie uda. Nie mogę na zawsze pozostać taką, jaką chcą we mnie widzieć.

- Bądź więc kimś innym. Bądź sobą!

- To nie wystarczy. – Mnie rękawiczki w dłoniach, zwijając je w kulkę i znów rozprostowując. – Dlatego wysłałam list z prośbą, by kuzynostwo po mnie przyjechali.

Wracam myślami do dnia, w którym Ann była na przesłuchania, i do listu w jej rękach, przed którego wysłaniem tak się wahała. Nigdy nie zamierzała wyjechać z Lily Trimble i panem Katzem. Opadam na jej łóżko. Walizka leży między nami. Ann z powrotem wkłada do niej swoje rzeczy i zamyka wieko.

- Powiedz mi więc, po co było to całe zamieszanie? – z trudem wypowiadam poszczególne słowa.

- Przepraszam, Gemmo. – Próbuje mnie dotknąć, lecz odsuwam się. – Jeżeli wyjadę teraz, zapamiętam ten dzień takim, jak był. Zawsze pozostanie mi wiara, że jednak mogłam to zrobić. A jeżeli zaryzykuję, jeżeli pójdę do nich jako ja i nie uda mi się... Nie zniosę tego.

Felicity wpada do pokoju i zasłania drzwi własnym ciałem.

- Nie martw się, Ann. Nie pozwolę, żeby cię zabrali.

Ann naciąga rękawiczki i chwyta rączkę walizki.

- Odsuń się, proszę.

Fee otwiera usta, by zaprotestować.

- Ale...

- Puść ją, Fee.

Mam ochotę kopnąć Ann za to, że nawet nie próbuje. Za to, że rezygnuje z siebie i z nas.

Jej twarz twardnieje w wyćwiczoną maskę, która nie zdradza żadnych emocji. Mogła wykorzystać ten talent do uwodzenia publiczności na całym świecie. A zamiast tego użyje go, by wpasować się w życie swego kuzynostwa i stać się tak niewidoczną, jakby w ogóle nie istniała. Widzę teraz, że mogłaby być równie dobrym magikiem jak aktorką, bo doskonale potrafi zniknąć.

Ann z walizką w dłoni po raz ostatni maszeruje schodami na dół. Ramiona ma proste, plecy sztywne, ale oczy bez wyrazu. Zaczęła już nawet poruszać się jak guwernantka. Słyszę, że w salonie gra fonograf, a panna McCleethy uczy dziewczęta tańczyć.

Pani Wharton czeka u dołu schodów w towarzystwie pani Nightwing i Brigid. Ma na sobie przesadnie strojną suknię wyszywaną koralikami i przybraną piórami.

- A, idzie Annie. Właśnie mówiłam pani Nightwing, jak bardzo ci się spodoba nasz dom na wsi. Nazwaliśmy go z panem Whartonem Wiosennym Balmoral, ponieważ Balmoral jest ulubioną rezydencją Jej Królewskiej Mości.

- Co za idiotyczna nazwa dla domu na wsi – zżyma się pod nosem Felicity. – Nigdy nie byli wiosną w Balmoral? Zetknięcie z nią sprawia, że człowiek zaczyna tęsknić za angielską zimą.

Pani Wharton trąkocze o tym, jaki to kłopot utrzymać wiejską rezydencję na odpowiednim poziomie i jak marnuje życie na ciągłe doglądanie służących. Brigid podaje Ann chusteczkę, choć sama chyba bardziej jej potrzebuje.

- Służba to nie wstyd – pociesza ją, ujmując delikatnie pod brodę. – Pamiętaj o starej Brigid.

- Do widzenia, Ann – mówi Felicity. – Bez ciebie już nie będzie tak samo.

Ann odwraca się do mnie. Wiem, że czeka na jakiś objaw cieplejszych uczuć – pocałunek, uścisk, choćby uśmiech. Ale nie mogę się do tego zmusić.

- Będzie z ciebie dobra guwernantka. – Moje słowa są jak policzek.

- Wiem – odpowiada, sama się policzkując.

Dziewczęta tłoczą się w hallu. Pochlipują i przymilają się do niej, czego nigdy nie robiły, dopóki tu była, czyli wtedy, gdy mogło to mieć znaczenie. Nie potrafię tego znieść, więc wymykam się do wielkiego salonu i podpatruję zza kotary, jak Ann i jej nagłe wielbicielki wychodzą na zewnątrz.

Lokaj wkłada walizkę, po czym pomaga pani Wharton, a następnie Ann wsiąść do powozu. Przyjaciółka wystawia głowę przez okienko, mocno przytrzymując swój jedyny porządny kapelusz. Mogłabym popędzić za nią, pocałować ją w policzek, postarać się o czułe pożegnanie. Mogłabym. Dla nie miałyby to ogromne znaczenie. Ale nie mogę ruszyć się z miejsca. *Chociaż powiedz „do widzenia” jak należy, Gemmo. Tylko tyle.*

Woźnica trzaska lejcami. Konie wzbijają kurz kopytami. Powóz, kołyszając się, zawraca na podjeździe i rusza w stronę drogi. Robi się coraz mniejszy i mniejszy, aż wygląda jak małeńka ciemna plamka.

- Do widzenia – szepczę w końcu, gdy nie ma to już żadnego znaczenia i nie słyszy mnie nikt prócz okna.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Nieobecność to dziwna sprawa. Gdy przyjaciele są nieobecni, ich osobowość zdaje się potęgnić, aż w końcu ich brak staje się dominującym elementem naszego życia. Teraz gdy Ann wyjechała, pokój sprawia wrażenie za dużego. Choć bardzo się staram, nie potrafię wypełnić przestrzeni, która po nie pozostała. Odkrywam, że brak mi chrapania, które tak mnie irytowało. Tęsknię za jej ponurym charakterem, głupimi, romantycznymi poglądami i uwielbieniem dla makabry. Kilka razy dziennie przychodzą mi do głowy drobne obserwacje, którymi chciałabym się z nią podzielić – na przykład dygresja na temat Cecily czy owsianki, dzięki której obie byłoby łatwiej znieść. Ale od razu uświadamiam sobie, że jej tu nie ma i mnie nie wysłucha. Nadchodzi chwila dogłębnego smutku, który da się rozproszyć tylko wielkim gniewem.

Postanowiła odejść – przypominam sobie, gdy wbijam igłę w haft, śpiewam hymn lub ćwiczę dygnięcie przed królową. Ale skoro wina leży po jej stronie, to czemu tak bardzo mnie to dręczy? Dlaczego jej przegraną przeżywam jak własną?

Cieszę się, gdy panna McCleethy, tym razem występująca w roli nauczycielki wychowania fizycznego, woła nas na dwór, żebyśmy zajęły się sportem. Kilka dziewcząt oddaje się grze w tenisa na trawniku. Niektóre nieustraszone dusze podejmują się fechtunku, a przewodzi nimi Felicity z zaciętym błyskiem w oku. Niewielka grupka optuje za krykietem – „Tak jak w szkole dla chłopców!” – ale ponieważ nie mamy kijów ani pałek, wywiązuje się dyskusja i panienki, zrzędząc pod nosem, muszą się zadowolić krokietem.

Ja jestem za hokejem na trawie. Bieganie po trawniku z kijem, turlanie piłki po boisku, podawanie jej do koleżanek z drużyny, krzyczenie ile sił w płucach, cały czas z wiatrem na twarzy i słońcem na plecach, bardzo mnie ożywia. Potrzebuję odrobiny hokeja, żeby oczyścić umysł i wyostrzyć zmysły, by zapomnieć o stracie. Mam ochotę przywalić w coś kijem.

Panna McCleethy pokrzykuje do nas bez żadnych zahamowań.

- To się nie uda! Pani koleżanki potrzebują pomocy, panno Temple – szybsza reakcja! Musicie współpracować, drogie panie, by osiągnąć wspólny cel! Pamiętajcie: wdzięk, urok i siła!

Może przekonywać innych, bo ja skończyłam z pomaganiem. Próbowałam pomóc Ann, ale bez skutku. Gdy piłka znów jest w grze, Cecily i ja rzucamy się po nią w tym samym momencie. Przeklęta spódnica płacze mi się między nogami – och, co ja bym oddała za spodnie! – i Cecily zyskuje przewagę. Być może jest bliżej, ale ja się nie poddam. Chcę zdobyć tę piłkę. A co ważniejsze, nie pozwolę, by ona ją zdobyła, bo przez tydzień będzie zadzierała nosa.

- Ja ją wezmę! – wołam.

- Nie, nie, ja! – odkrzykuje.

Zwieramy się kijami, po czym Cecily uderza swoim w mój. Jedna z naszych przeciwniczek, korpulentna, ruda dziewczyna, wykorzystuje zamieszanie. Sięga między nami i przejmuje piłkę, po czym fantastycznie ją rozgrywa.

- Mówiłam, że ją mam, Gemmo – odzywa się Cecily z zaciętym uśmiechem.

- Ale jej nie miałaś – odpowiadam, uśmiechając się równie fałszywie.

- Była moja.

- Wcale nie! – upieram się.

Panna McCleethy wchodzi na boisko i rozdziela nas.

- Drogie panie! Nie można tego nazwać właściwą postawą sportową. Wystarczy, albo obie dostaniecie nagany z zachowania.

Tocząc wokół gniewnym wzrokiem, wracam na pozycję. Chciałabym pokazać Cecily – i im wszystkim – na co mnie stać. Ledwie formułuję tę myśl, magia burzy się we mnie z nową

mocą i widzę jedynie piłkę. Jestem nieustraszona jak Ryszard Lwie Serce, gdy pędzę przez boisko i podstępnie ogrywam przeciwników. Tym razem ja poprowadzę rozgrywkę.

Jednak Cecily jest szybka. Znajduje się już prawie przy piłce.

- Ja mam...

Wpadam na nią z całym impetem i przewracam ją. Rozciąga się na trawie i zaczyna zawodzić. Panna McCleethy natychmiast pojawia się obok.

- P-proszę p-pani! – bełkocze Cecily. – Ona rozmyślnie na mnie wpadła!

- Wcale nie! – protestuję, ale rumieniec zadaje kłam moim słowom.

- Tak! – wyje Cecily.

- Zachowujesz się dziecinnie – odpowiadam, składając winę na jej barki.

- Dobrze, dość tego! Panno Temple, jedną z cech prawdziwego sportowca jest opanowanie. – Cecily szeroko otwiera usta, a ja się raduję. – A pani, panno Doyle, ma chyba zbyt gorący temperament. Proszę go ochłodzić poza boiskiem.

- Ale ja...

- Pani lekkomyślność może wywołać znacznie poważniejsze szkody – kontynuuje panna McCleethy, a ja wiem, że nie mówi tylko o grze.

Policzki mnie palą, gdy słyszę chichot koleżanek.

- Nie jestem lekkomyślna.

- Koniec dyskusji. Proszę nie wracać na boisko, dopóki się pani nie uspokoi.

Zażenowana i zła mijam uśmiechające się pod nosem uczennica oraz rozbawionych robotników i idę prosto do szkoły, nie przejmując się tym, że demonstruję wprost zatrwajający brak sportowej postawy.

Cholerna McCleethy! Gdyby wiedziała to, co ja – że Eugenia Spence żyje w Krainie Zimy i ufa mi, a nie jej – nie odzywałaby się do mnie w ten sposób. No i dobrze, mam ważniejsze sprawy na głowie. Wchodzę do namiotu Fee, gdzie został nasz egzemplarz *Historii tajemnych stowarzyszeń*, po czym wyciągam się na sofie w salonie i zaczynam czytać książkę od nowa w nadziei, że znajdę jakąś wskazówkę na temat sztyletu. Z westchnieniem godzę się z tym, że będę musiała ją przejrzeć kartka po kartce, choć pięćset dwie strony to bardzo dużo. Przeklinam pisarzy, którzy tworzą takie rozwlekłe tomiszczą, gdy wystarczyłoby zaledwie kilka stron zwartej prozy.

Pierwsza jest strona tytułowa, a po niej wiersz *Róża wojny* Williama Butlera Yeatsa.

- „Różo nad Różami, jedyna w całym świecie! – czytam na głos. – I ty przybyłaś tam, gdzie przyływ fale miecie w zamglony, smutny brzeg, i usłyszałaś dzwon, co wzywa nas swym biciem; daleki słodki ton”.

Odnoszę wrażenie, że to całkiem dobry wiersz, ponieważ nie boją mnie od niego zęby, więc postanawiam, że wyrecytuję go na balu maskowym.

Na stronie obok znajduje się jedna z ilustracji zdobiących książkę. Spoglądałam na nią pewnie kilkanaście razy, tak naprawdę jej nie widząc. To prosty rysunek tuszem przedstawiający pokój z jedną lampą i obrazem marynistycznym na ścianie. Z rosnącym podnieceniem uświadamiam sobie, że przypomina on pokój, który widywałam w wizjach. Czy to może być to samo miejsce? A jeżeli tak, to gdzie ono się znajduje? Tutaj, w Spence? I czy w nim właśnie Wilhelmina Wyatt mogła ukryć sztylet? Przesuwam palcami po napisie pod spodem: *Prawdę odnajdziesz w Kluczu*.

Szybko przerzucam strony w poszukiwaniu kolejnych ilustracji. Następna przedstawia wieżę i zastanawiam się, czy tak mogło niegdyś wyglądać Wschodnie Skrzydło. Kilka stron dalej widzę patrzącego z ukosa gargulca pod napisem *Strażnicy nocy*. Inny obrazek ukazuje wesołego magika, podobnego do doktora Van Ripple’a, który wkłada jajko do pudełka, a na ilustracji obok widać, że jajko zniknęło. Tytuł brzmi: *Ukryty obiekt*.

Z tego, co zauważyłam, rysunki nie mają związku z tekstem. Tworzą jakby odrębną całość, rodzaj szyfru. Ale jakiego? I dla kogo jest on przeznaczony?

Do salonu wchodzi wściekła McCleethy.

- Panno Doyle, nie będę tolerowała takiego skandalicznego braku dyscypliny i sportowego ducha. Jeżeli nie ma pani ochoty grać, to proszę siedzieć poza boiskiem i dopingować koleżanki.

- To nie są moje koleżanki – odpowiadam, odwracając stronę.

- Mogłyby nimi być, gdyby pani tak rozpaczliwie nie hołubiła przekonania, że jest pani najbardziej samotną osobą na świecie.

Szkoda, że panna McCleethy nie zajęła się strzelaniem z broni palnej, gdyż strzela bardzo celnie.

- Znudziła mnie gra – kłamię.

- Nie, znudziły panią zasady. Co wyraźnie weszło już pani w nawyk.

Przewracam stronę.

Nauczycielka podchodzi bliżej.

- Cóż to za pasjonująca lektura, dla której postanowiła mnie pani ignorować?

- *Historia tajemnych stowarzyszeń* pióra Wilhelminy Wyatt. – Patrzę na nią ze złością. –

Zna pani tę książkę?

Jej twarz robi się biała jak prześcieradło.

- Nie. Nie wydaje mi się.

- A jednak kupiła ją pani w księgarni Złoty Świt w Boże Narodzenie.

- Szpieguje mnie pani, panno Doyle?

- A czemu nie? Pani mnie szpieguje.

- Ja się panią opiekuję – poprawia mnie i za to kłamstwo nienawidzę jej jeszcze bardziej.

- Wiem, że znała pani Wilhelminę Wyatt – drążę.

Panna McCleethy ściąga rękawiczki i rzuca je na stół.

- Mam pani opowiedzieć o Wilhelminie Wyatt? Okryła hańbą Zakon i pamięć Eugenii Spence. Była kłamczuchą. Złodziejką. Nędznym nałogowcem. Próbowалаm jej pomóc, a ona... - Stuka palcem w książkę. – Napisała te kłamstwa, żeby nas pogrążyć, wyłącznie dla pieniędzy. Wszystko dla pieniędzy. Wiedziała pani, że próbowała nas szantażować tą książką, abyśmy nie zbierały funduszy na odbudowę Wschodniego Skrzydła?

- Po co miałyby to robić?

- Bo była złośliwa i nie miała ani krzty honoru. A jej dzieło, panno Doyle, to zwykłe dyrdymały. Nie, to coś bardziej niebezpiecznego, gdyż jest przewrotne, przekręca prawdę. Napisała je zwykła zdrajczyni, żeby sprzedać temu, kto da więcej.

Zamyka tom z głośnym trzaskiem i wyrывa mi go z rąk, po czym maszeruje prosto do kuchni. Zrywam się i doganiam ją akurat w chwili, gdy otwiera drzwi do pieca.

- Co pani robi? – pytam osłupiała.

- Wyprawiam tej książce odpowiedni pogrzeb.

- Chwileczkę...

Zanim udaje mi się ją powstrzymać, panna McCleethy wrzuca *Historię tajemnych stowarzyszeń* do pieca i zamyka drzwiczki. Przez sekundę kusi mnie, żeby jej powiedzieć to, co wiem – że widziałam Eugenię Spence i że ta książka może ją uratować – ale McCleethy nie można ufać. Mogę tylko stać obok, patrząc, jak nasza największa nadzieja płonie.

- Kosztowała nas cztery szylingi – mówię przez ściśnięte gardło.

- Niech to będzie dla pań nauczka, by w przyszłości mądrzej wydawać pieniądze. – Panna McCleethy wzdycha. – Doprawdy, panno Doyle, wystawia pani moją cierpliwość na wielką próbę.

Mogłabym jej powiedzieć, że to dość powszechna opinia na mój temat, ale nie wydaje mi się to rozsądne. Nagle uderza mnie nowa myśl.

- Powiedziała pani, że ona „była” – mówię z namysłem.

- Proszę?

- Powiedziała pani, że Wilhelmina była nałogowcem, kłamczuchą i zdrajczynią. Sądzi pani, że ona nie żyje? – sonduję.

Twarz panny McCleethy znowu blednie.

- Nie wiem tego, ale nie wyobrażam sobie, biorąc pod uwagę stan jej zdrowia, by jeszcze żyła. Takie postępowanie zbiera żniwo. – Wygląda na spłoszoną. – Jeśli w przyszłości będzie pani chciała dowiedzieć się czegoś o Zakonie, wystarczy mnie spytać.

- Żeby powiedziała mi pani tylko to, co powinnam usłyszeć? – prowokuję ją.

- Pani i tak słyszy tylko to, w co chce wierzyć, czy jest to prawdą, czy nie. To nie ma zupełnie nic wspólnego ze mną. – Pociera skronie. – A teraz proszę dołączyć do pozostałych uczennic. Może pani odejść.

Wypadam z kuchni, przeklinając pod nosem pannę McCleethy. Dziewczęta schodzą z boiska. Mają rumieńce i zapach dość dojrzały, ale są odurzone podnieceniem, jakie budzą sporty wymagające zaciętej rywalizacji. Rzadko pozwala nam się popuścić cugle duchowi współzawodnictwa, choć buzuje on w nas równie mocno jak w mężczyznach. Na mój widok Cecily unosi brodę do góry. Ona i jej zauszniczki spoglądają na mnie z miażdżącą pogardą, co chyba uważają za najwyższą formę obrazy. Kpiącym gestem przykładam dłoń do serca i wzdycham teatralnie, a one na nowo obrażone, odchodzą, wymieniając szeptem uwagi.

Na mój widok Felicity staje nisko na nogach jak fechtmistrz i wywija floretem w powietrzu.

- Nikczemniku! Odpowiesz za zdradę przed królem!

Delikatnie odsuwam na bok długie, cienkie ostrze.

- Mogę prosić na słówko, d'Artagnanie?

Kłania się nisko.

- Prowadź, kardynale Richelieu.

Zakradamy się do małej bawialni na parterze. To tutaj nastąpiło słynne wydarzenie, gdy Pippa odrzuciła zaloty pana Bumble'a, zanim międzyświat zabrał ją na zawsze. Stratę Pippy odczuwam dzisiaj szczególnie dotkliwie.

- Co, u licha, zrobiłaś Cecily? – Felicity opada na fotel i przerzuca nogi przez oparcie w sposób bardzo nieprzystający damie. – Opowiada wszystkim, którzy chcą słuchać, że należałoby cię powiesić o świcie.

- Gdybym dzięki temu miała już nigdy więcej nie usłyszeć jej głosu, sama chętnie włożyłabym głowę w pętlę. Ale nie o tym chcę rozmawiać. Jeszcze raz przejrzałam książkę Wilhelminy Wyatt. Za pierwszym razem coś nam umknęło: rysunku. Myślę, że to właśnie są wskazówki.

Felicity robi minę.

- Jakie?

Wzdycham.

- Nie wiem. Ale jeden z nich chyba przedstawiał basztę we Wschodnim Skrzydle. A na samym początku książki był pokój, który widuję w wizjach.

- Myślisz więc, że on znajdował się we Wschodnim Skrzydle? – pyta Fee.

- Oj! – Czuję się jak przekłuty balon. – Nie pomyślałam o tym. Jeżeli tak, to dawno już nie istnieje.

- Przyjrzyjmy się tym ilustracjom – proponuje Felicity.

- Nie możemy, panna McCleethy wrzuciła książkę do pieca – wyjaśniam.

Felicity otwiera usta ze wzburzenia.

- Dałyśmy za nią cztery szylingi.

- Tak, wiem.

- A dzisiejsza kolacja będzie dziwnie smakowała drukiem. – Przytyka czubek floretu do podłogi i wydrapuje na niej małe F.

- Jest w tym coś podejrzanego – podejmuję temat, chodząc po pokoju i obgryzając paznokcie. Powinam zerwać z tym nawykiem i zrobię to. Jutro. – Nie ufam McCleethy. Na pewno coś ukrywa. Wiesz, co? Opowiadała o Wilhelminie Wyatt w czasie przeszłym. Może McCleethy wie, że Wilhelmina nie żyje? A jeśli tak, to skąd może to wiedzieć?

- Doktor Van Ripple powiedział, że Wilhelminę zdradziła przyjaciółka – dodaje Felicity.
– Czy to mogła być McCleethy?

Odgryzam paznokieć, robiąc zadziór. Boli mnie palec i natychmiast żałuję, że to zrobiłam.

- Musimy znów porozmawiać z doktorem Van Ripple'em. Może wie coś więcej. Na przykład gdzie jest ukryty sztylet. Wchodzisz w to?

Usta Fee wyginają się w szelmowskim uśmiechu. Dotyka floretem mojego ramienia, jakby pasowała mnie na rycerza.

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. – Nagle rzędzie jej mina. – Jak myślisz, dlaczego to zrobiła?

- McCleethy czy Wyatt? – pytam.

- Ann. – Wspiera się na rękojeści floretu. – Wolność była w naszym zasięgu. Dlaczego się od niej odwróciła?

- Może to co innego za nią tęsknić, a co innego jej doświadczyć.

- Śmieszne. – Z parsknięciem znów wyciąga się na fotelu, jedną nogę opierając na podłodze, a drugą przerzucając przed podłokietnik.

- No to nie wiem – odpowiadam nie bez irytacji.

- Ja nie zrezygnuję z wolności. Mogę ci to obiecać. – Dźga powietrza ostrzem. – Gemmo?

- Słucham? – Wzdycham ciężko.

- Co się stanie z Pip? Gdy zjednoczyłam się z drzewem, widziałam...

- Tak?

- Widziałam ją żywą i szczęśliwą. Widziałam nas obie w Paryżu, Sekwana lśniła jak marzenie. A ona śmiała się tak jak kiedyś. Jak mogłam to wiedzieć, jeżeli... Myślisz, że to może być prawda? Że ona może wrócić?

Odwraca głowę w moją stronę, a ja dostrzegam w jej oczach nadzieję. Chcę powiedzieć „tak”, ale coś głęboko we mnie mówi „nie”. Nie sądzę, by tak miało być.

- Myślę, że istnieją pewne prawa, których nie można łamać – odpowiadam najłagodniej, jak potrafię – niezależnie od tego, jak bardzo chcielibyśmy to zrobić.

Felicity przecina powietrze floretem.

- Myślisz czy wiesz?

- Wiem, że gdyby to było możliwe, jutro sprowadziłabym moją mamę z powrotem.

- Dlaczego tego nie robisz?

- Ponieważ – odpowiadam, szukając właściwych słów – wiem, że ona odeszła. Tak jak wiem, że ten czas, który spędziłyśmy razem w Indiach, też minął i nigdy nie wróci.

- Ale jeżeli magia się zmienia, jeżeli wszystko się zmienia, to może... - Milknie, a ja nie chcę rozwiewać jej złudzeń. Czasami moc zawarta w „może” wystarcza, by podtrzymać nas na duchu. Nie zamierzam jej tego odbierać.

Słyszę, jak w hallu Brigid podśpiewuje pod nosem, fałszując, i przychodzi mi do głowy pewien pomysł.

- Fee, gdyby ktoś chciał dowiedzieć się czegoś o jakimś mieszkańcu domu, na przykład o byłej uczennicy, do kogo powinien się zwrócić po najbardziej wiarygodne informacje?

Felicity z uśmiechem wygina floret w rękach.

- No cóż, wydaje mi się, że służba posiada taką wiedzę.

Otwieram drzwi i wystawiam przez nie głowę.

- Brigid, można cię prosić na słówko?

Gospodyni oburza się.

- A co one robią w bawialni? Nie dalej jak wczoraj Emily tam sprzątała. Nie pozwolę robić bałaganu.

- Oczywiście – uspokajam ją, po czym przygryzam wargę, robiąc minkę, która w moim mniemaniu wygląda na smutną. – Obie z Felicity bardzo cierpimy po wyjeździe Ann. Wiemy, że ty także ją kochałaś. Posiedzisz z nami przez chwilę?

Trochę mi wstyd, że tak gram na jej uczuciach, zwłaszcza że okazuje się to skuteczne.

- Och, kochanieńka, ja też za nią tęsknię. Ale nic jej nie będzie. Tak jak starej Brigid.

Wchodzi do pokoju i poklepuje mnie serdecznie po ramieniu. Czuję się naprawdę podle.

- Niech no panienska usiądzie porządnie – łaje Felicity.

Fee z głośnym tupnięciem stawia obie stopy na podłodze, a ja błagam ją wzrokiem, żeby zachowywała się przyzwoicie. Brigid sprawdza palcem, czy półka nad kominkiem nie jest zakurzona, i krzywi się.

- A to co ma być?

- Brigid – zaczynam – pamiętasz dziewczynę, która uczyła się w naszej szkole...

- Dużo dziewcząt się tu uczyło – przerywa. – Nie mogę pamiętać wszystkich.

- No tak, ale ona przebywała tutaj, gdy jeszcze żyła pani Spence, przed pożarem.

- O, to dawno. – Gospodyni cmoka z dezaprobatą i bierze się do wycierania półki rąbkiem fartucha.

Felicity chrząka, patrząc na mnie wymownie. Chyba sądzi, że pomaga.

- Ta dziewczyna była niema. Nazywała się Wilhelmina Wyatt.

Brigid odwraca się w naszą stronę, a minę ma bardzo dziwną.

- Rety, a po co pytają akurat o nią?

- Ann się nią interesowała. Miała książkę jej autorstwa. I... no... zastanawialiśmy się, jaka ona była. – Kończę z uśmiechem, który w najlepszym wypadku zasługuje na miano wątpliwego.

- No to było dawno temu – powtarza gospodyni. Wyciera fartuchem orientalny wazonik. – Ale pamiętam ją. Panienska Wilhelmina Wyatt. Pani Spence mówiła, że jest jakoś wyjątkowa, że widzi, czego my nie widzimy. „Ona widzi w ciemnościach”, tak mawiała. No, nie udawałam, że rozumiem, o co chodzi. Biedactwo nawet gadać nie mogło, Panie zmiłuj się nad nią. Zawsze nosiła taki kajecek, ciągle tylko pisała w nim i rysowała, jak chciała się porozumieć.

Doktor Van Ripple też tak twierdził.

- Skąd się tu wzięła? Z tego, co wiemy, nie miała żadnej rodziny – podpowiadam.

Brigid marszczy czoło.

- No jakże, pewno że miała!

- Myślałam...

- Wilhelmina Wyatt to rodzona krewna pani Spence. Była jej siostrzenicą.

- Siostrzenicą? – powtarzam zdziwiona, że Eugenia o tym nie wspomniała.

- Przyszła do nas, kiedy jej matka odumarała, świeć Panie nad jej duszą. Pamiętam ten dzień, kiedy pani Spence pojechała po nią do miasta. Mała Mina samiutka musiała płynąć statkiem aż do Urzędu Ceł. Bidulka. Pewno była wystraszona. A tu działa jej się niewiele lepiej.

Brigid odstawia wazon i bierze się do polerowania pierwszego z pary świeczników.

- Co masz na myśli? – pyta Felicity.

- Niektórzy dziewczuchy się na nią uwzięły. Ciągały ją za warkocze, żeby sprawdzić, czy zagada.

- Nie miała żadnych przyjaciółek?

Brigid marszczy czoło.

- Czasami przesiadywała z nią ta paskuda Sara Rees-Toome. Słyszałam, jak pytała Minę, czy naprawdę widzi w ciemnościach i jak tam jest, ale pani Spence zbesztła ją za to i nie pozwoliła im się razem bawić.

- Czy panna Wyatt miała jakieś ulubione miejsce, na przykład kryjówki? – docieka Felicity.

Brigid zastanawia się przed chwilę.

- Lubiła siedzieć na trawniku i rysować gargulce. Czasami na nie patrzyła z uśmiechem, jak sobie urządzali podwieczorek czy co.

Przypomina mi się dziwna halucynacja, którą miałam, gdy wyjeżdżałam ze szkoły na Wielkanoc: gargulec z czarnym ptakiem w paszczy. Przechodzi mnie dreszcz na myśl o tym, że Wilhelmina uśmiechała się do tych obrzydliwych kamiennych stworów. Strażnicy nocy, w rzeczy samej.

Brigid odkurza trochę wolniej.

- Pani Spence martwiła się o Minę, bo miała zaczęła malować paskudne rzeczy, i pani Spence bała się, że ktoś ma na nią zły wpływ. Tak powiedziała. A niedługo potem wybuchł pożar, no i pani dyrektor zginęła w nim razem z tymi dwiema dziewczuchami, Boże błogosław ich dusze. – Z westchnieniem odstawia świecznik i bierze następny.

- A co się stało z Wilhelminą? Dlaczego odeszła?

Brigid liże kciuk i ściera plamę brudu ze srebra.

- Po pożarze zachowywała się dziwnie. Pewnie z żałoby, jakby mnie kto pytał, ale nikt nie spytał.

Felicity interweniuje szybko.

- Tak, na pewno masz rację, Brigid – mówi, przewracając oczami. – Co się stało później?

- No – podejmuje wątek gospodyni – Mina zaczęła straszyć inne uczennice. Pisała i rysowała te paskudne rzeczy w kajecie. Pani Nightwing powiedziała jej: „Nie liczy się, krewna czy nie krewna, bo jeśli nie przestaniesz, to cię wyrzucę”. Lecz zanim to zrobiła, Mina sama odeszła w środku nocy i ukradła coś cennego.

- Co to było? – Felicity zrywa się z miejsca.

- Nie wiem wszystkiego, panno Wścibiulińska – złości się Brigid.

Bezgłośnie mówię „panno Wścibiulińska” do Fee, która wygląda, jakby chciała mnie udusić.

- Nieważne, co to było – ciągnie gospodyni – ale pani Nightwing bardzo się o to rozgniewała. Nigdy nie widziałam, żeby była taka zezłoszczona. – Odstawia świecznik na miejsce. – No, już lepiej. Będę musiała się rozmówić z tą Emily. A panienki niech idą na modlitwę, zanim pani Nightwing je też wyrzuci, a mnie zaraz potem.

*

- Jak myślisz, co to wszystko znaczy? – pyta Fee, gdy dołączamy do pozostałych uczennic, które wygładzają spódnice i biorą modlitewniki. Tłoczą się wokół za małych luster, udając, że poprawiają włosy, gdy tymczasem przyglądają się sobie w poszukiwaniu oznak rozkwitającej urody.

- Nie wiem – odpowiadam z westchnieniem. – Można ufać Wilhelminie czy nie?

- Pojawia się w twoich wizjach, to chyba coś znaczy – uznaje Felicity.

- Tak jak dziewczęta w bieli, które okazały się potworami i zwiódły mnie na manowce – przypominam jej.

Te same dziewczyny, które chciały zwabić Bessie i jej przyjaciółki do Krainy Zimy w nie wiadomo jakim celu, przychodziły też do mnie w wizjach, karmiąc mnie mieszaniną prawdy i kłamstw. W rezultacie powiodły nas prosto w szpony straszliwych Makowych Wojowników.

- Kim więc jest panna Wyatt? – zastanawia się Felicity. – Damą czy tygrysem?

Kręcę głową.

- Naprawdę nie wiem. Ale zabrała sztylet, to pewne, a my musimy go odnaleźć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Wyprawa do międzyświata bez Ann nie jest już taka wesoła. Nawet magia nie poprawia nam nastrojów. Dziewczęta ze szwalni przyjmują jej odejście szczególnie ciężko.

- Takie jak my nie mają szans – zwraca się Mae do Bessie.

- Same musicie stwarzać sobie szanse – ripostuje Felicity.

Bessie spogląda na nią twardo.

- A ty co możesz o tym wiedzieć?

- Nie kłóćmy się. Chcę tańczyć i bawić się magią. Gemmo? – Pippa patrzy na mnie porozumiewawczo.

Z westchnieniem ruszam wydeptaną ścieżką do kaplicy, a ona za mną. Tym razem gdy łączymy się w magii, wciąga mnie bardzo mocno. Jest tak, jakbym wpadła w nią za głęboko. Stanowię część jej smutku, zazdrości, rozgoryczenia – uczuć, których wołałabym nie widzieć. Gdy zrywam kontakt, czuję się zmęczona. Magia śwędzi mnie pod skórą jak pełzające robactwo.

Za to Pip promienieje. Staje u mojego boku i obejmuje mnie ramionami w talii jak mała dziewczynka.

- Cudownie jest czuć się wyjątkowym, choćby tylko przez kilka godzin, prawda?

- Tak – potwierdzam.

- Gdybym była tobą, nie oddałabym tej mocy, lecz zatrzymała ją na zawsze.

- Czasami też mam na to ochotę.

Pippa przygryza wargę i wiem, że coś ją trapi.

- O co chodzi? – pytam.

Wyjmuje jagody z misy i przesuwa je w palcach.

- Gemmo, wydaje mi się, że nie powinnaś tym razem dawać tak wiele mocy Bessie i pozostałym.

- Dlaczego?

- To są robotnice z fabryki – odpowiada z westchnieniem. – Nie przywykły do takiej władzy. Bessie zrobiła się okropnie pewna siebie.

- Nie wydaje mi się, by to...

- Chciała znów iść do Krainy Zimy. Bez ciebie – wyznaje Pip.

- Naprawdę?

Przyjaciółka bierze mnie pod ramię. Stąpamy ostrożnie po skrzypiących pnączach wijących się po podłodze.

- Lepiej będzie, żebym ja dysponowała większą mocą, nie sądzisz? W ten sposób będą miały kogoś, kto nimi pokieruje, kto je poprowadzi. To jeszcze takie dzieci. Zaopiekuję się nimi dla ciebie.

Brzmi to zabawnie w ustach Pippy, ale informacja o Bessie wzbudziła mój niepokój.

- Dobrze, niech tak będzie. Dam im mniej – zgadzam się.

Pip całuje mnie w czoło. Wrzuca do ust jagody, którymi się bawiła – jedną, drugą, trzecią.

- Powinnaś je jeść? – pytam.

W jej oczach pojawia się błysk.

- A jakie to ma teraz znaczenie? Szkoda już się stała.

Wrzuca czwarty owoc do ust i ociera sok wierzchem dłoni. Potem odsuwa gobelin wołając: „Witajcie, kochane!”, niczym królowa, która pozdrawia swoje poddane.

*

Tak jak obiecałam, daję dziewczętom z fabryki dość magii, by miały czystą skórę oraz ładne sukienki, ale nie na tyle, aby dokonały znaczącej zmiany. Tym razem nie mają prawdziwej mocy, a jedynie pożyczoną iluzję.

- Dzisiaj jakoś nie działa tak dobrze – narzeka Bessie. – Dlaczego?

Niepokój ściska mnie za gardło, ale Pippa jest całkowicie opanowana.

- Tak już jest międzyświat, Bessie. Akceptuje tylko niektórych. Zgadza się, Gemmo?

- Tak słyszałam – potwierdzam, uważając, czy Bessie się z czymś nie zdradzi, ale dostrzegam tylko jej rozczarowanie.

- Może to dlatego, że nie mamy odpowiedniej pozycji – zauważa Mercy.

- Tutaj pozycja się nie liczy. To właśnie mi się podoba. A poza tym zawsze akceptował panienkę Ann, a ona wcale nie jest lepsza od nas – zauważa Bessie.

- Bessie, dość tego – Pippa wyraża dezaprobatę, a Bessie, kuląc się, siada przy palenisku. Karmi ogień małymi kwiatkami, po czym patrzy, jak iskrzą się i płoną. – No już, nie dąsajmy się. Chcę tańczyć!

Nie jestem w nastroju na tańce i nie mogę się zmusić do udawania. Zamiast tego idę na spacer. Chłodne powietrze działa odświeżająco, mroczne niebo zdaje się zapewniać bezpieczeństwo. Wędruję przez kłębiącą się mgłę, pozwalając, by prowadziła mnie tęsknota. Chcę jeszcze raz przyłożyć dłonie do Drzewa Wszystkich Dusz, połączyć się z nim, jakbyśmy stanowili jedność.

Tym razem brama otwiera się bez słowa. Dostała ode mnie to, czego chciała. Moje stopy grzęzną w czarnym piachu. Napiera na mnie powietrze, zimne i ostre. Wystawiam język, żeby poczuć jego smak. Ruszam w stronę, z której dobiega szum rzeki. Przy brzegu czeka łódeczka, wsiadam więc do niej i kieruję się do serca tej krainy. Wiem już, że nie należy walczyć z prądem, więc moja mała łódka gładko pokonuje bystrza, ale okolica wydaje mi się obca. Nie tędy płynęłyśmy ostatnim razem. Zaczyna ogarniać mnie panika. Gdzie ja jestem? Jak to możliwe, że się tak zgubiłam?

Tuż obok rozlega się plusk. Z wody wynurza się wodna nimfa i delikatnie gładzi burtę. Ruchem głowy wskazuje jaskinię po prawej, a potem płynie w jej stronę, jak wąż przecinając wodę falistym ruchem.

Dobra. Nie pozwolę się skrzywdzić. Jeżeli będzie trzeba, użyję magii. Znajduję pociechę w tej myśli, więc skręcam i wiosłuję za nią, żeby wpłynąć w wydrążoną skałę. Nad moją głową jak wielkie lodowe ostrza wiszą stalaktyty. Jaskinia jest obrzeżona dwoma wąskimi paskami skalistego łądu, które zapewne znikają podczas przyływu, gdyż na ścianach widać linię przyboju. Wysoko po obu stronach znajdują się skalne półki.

Nimfa błoniastą dłonią gładzi mnie po kostce. Z obrzydzeniem strząsam jej rękę. Na mojej nodze pozostają kolorowe łuski jak wysadzany klejnotami odcisk dłoni.

- Nie dostaniesz mojej skóry bez walki – ostrzegam, a słowa odbijają się echem w pustce jaskini.

Nimfa odsuwa się i zanurza w wodzie, aż widać tylko jej lśniące czarne oczy i gładką łysą głowę. Ogarniają mnie nowe obawy. Na półce coś się rusza. Twarze upiornych białych stworów przeciskają się przez szczeliny w skale jak główki ciem. Nie mają oczu, ale węższą, coraz bardziej zbliżając się do krawędzi.

Moje serce zaciska się jak pięść. Cichutko zawracam łódkę i wiosłuję do wylotu jaskini, gdy nagle otwór znika. To niemożliwe. Chwilę później słyszę parsknięcie, stukot kopyt, po czym pojawia się Amar na wspaniałym białym rumaku. Jedzie wąskim paskiem łądu pod ścianą jaskini, aż zrównuje się z łódką. Oddech więźnie mi w płucach. Z bliska widać, że ma takie same pełne usta i dumną postawę jak Kartik. Ale jego oczy to czarne wiry obrzeżone czerwienią. Ich spojrzenie mnie paraliżuje, nie mogę odwrócić wzroku, nie mogę krzyknąć ani uciec.

Użyj magii, użyj magii – błaga moje serce, ale nie potrafię jej rozpalić. Za bardzo się boję.

- Wiem, że widziałaś kapłankę. Co ci powiedziała? – pyta Amar. Zęby ma ostre jak szpilki.

- Nigdy się nie dowiesz – udaje mi się wydusić.

Oczy Amara migoczą i na chwilę stają się brązowe jak oczy Kartika.

- Powiedz mojemu bratu, żeby nigdy nie zapomniał o swym sercu. Tam odnajdzie honor i przeznaczenie. Powiedz mu to.

A potem szybko znów przeistaczają się w tę przerażającą czarną otchłań otoczoną czerwienią.

- Dopadniemy cię jeszcze. Strzeż się majowych narodzin.

Mój oddech wydobywa się małymi obłoczkami, jakby strach materializował się w kontakcie z zimnem.

- Wypuść mnie! – krzyczę.

Nagle znów widać wylot jaskini, więc z całych sił wiosłuję w jego stronę, zostawiając za sobą Amara i te blade, ślepe stwory. Zapominam o drzewie. Chcę tylko wrócić bezpiecznie do Krainy Granicznej.

Słaniając się i z trudem łapiąc oddech, wchodzę do błękitnego lasu. Z ulgą witam widok światła wylewających się z okien zamku i przeganiających mrok. Cieszę się też, że słyszę śmiech przyjaciółek, i bardzo chcę do nich dołączyć.

Rozlega się cichy grzmot, a gdy odwracam się, by spojrzeć na niebo nad Krainą Zimy, całe skąpane jest w czerwieni.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Dzisiejszy dzień w Spence jest bardzo nudzący. Przez całą lekcję francuskiego odmieniamy czasowniki. Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, jak powiedzieć „spożywałam ślimaki na obiad” czy „będę spożywała ślimaki na obiad”, gdyż nie zamierzam nigdy wziąć ślimaka do ust, więc cała ta nauka nie ma sensu. Potem tak długo powtarzamy kroki kadryla, że chyba potrafiłabym odtworzyć je przez sen. Ćwiczymy rachunki, żebyśmy mogły pewnego dnia prowadzić księgi w domu i przynosić pożytek naszym mężom. Pod kierunkiem panny McCleethy szkicujemy nawzajem swoje profile. Elizabeth protestuje, że dorysowałam jej nos wielki jak dom, gdy tymczasem potraktowałam ją zbyt łagodnie. Ale jeśli chodzi o sztukę, każdy może być krytykiem i stąd cały ambaras.

Gdy nie ma w pobliżu nauczycieli, podekscytowane dziewczęta trajkoczą o zbliżających się debiutach. Otrzymują sterty zaproszeń – tych kuszących obietnic romansu, wyszukanych uczt i nowych sukien, wypisanych schludnym pismem na kremowych bilecikach. Powinna myśleć o swoim debiucie, ale pochłaniają mnie inne kwestie. Tamten czas zdaje się istnieć w innym świecie, a ja na razie nie widzę w nim swojego miejsca.

Zamiast pić herbatę z innymi i słuchać opowieści o jakimś przyjęciu czy balu, wymawiam się pod pretekstem ćwiczenia ukłonu, po czym przeczesuję wszystkie kąty w szkole w nadziei, że znajdę sztylet ukradziony przez Wilhelminę Wyatt albo jakieś wskazówki co do tego, gdzie mogła go ukryć. Niestety, znajduję tylko kurz, puste szuflady, zagracone kredensy, a także wkładam rękę w niefortunną niespodziankę w postaci rozpakowanej ciągutki. Zrobiła się z niej kleista maź, która nawet po trzykrotnym myciu mydłem pokrywa moje palce lepką warstwą. Czuję się zagubiona, zwłaszcza że panna Wyatt przestała mi się ukazywać w snach i wizjach. Tak jakby się ze mną bawiła. Przypomina mi się uwaga doktora Van Ripple’a, że lubowała się w drobnych okrucieństwach. Rzuca to cień na jej wiarygodność.

Już mam zrezygnować i wrócić do towarzystwa, gdy w bluszczu zauważam chustkę Kartika. Odwiązuję ją od gałęzi i znajduję przyczepiony do niej liścik: *Załatwione. Spotkajmy się w pralni o północy. Przynieść pięć funtów. Ubierz się odpowiednio.*

Dziś w nocy. Będę musiała mu podziękować, że dał mi tyle czasu na przygotowania. Ale zaaranżował spotkanie i jeżeli będę mogła porozmawiać z przedstawicielem Rakshana o moim bracie, to pójdę niezależnie od pory.

Felicity nie cieszy się z moich planów. Liczyła na kolejną wizytę w międzyświecie i jest pewna, że Pip nie wybaczy jej nieobecności, ale rozumie, że muszę pomóc Tomowi. Proponuje mi nawet floret, gdybym musiała kogoś dźgnąć. Zapewniam ją, że to nie będzie konieczne, i mam nadzieję, że się nie mylę.

Tuż przed północą przygotowuję się na spotkanie z Kartikiem w pralni. Napisał, żebym ubrała się odpowiednio, a ponieważ będziemy podróżowali nocą po ulicach Londynu, uznaję, że istnieje tylko jedno sensowne wyjście.

Za pomocą magii zapewniam sobie spodnie, koszulę, kamizelkę i płaszcz. Skracam włosy, a mój wygląd mnie zdumiewa – same oczy i piegi. Niezły ze mnie chłopak, chyba ładniejszy niż dziewczyna. Kaszkiet dopełnia iluzji.

W pralni jest ciemno. Nic nie widzę ani nie słyszę, więc zastanawiam się, czy Kartik w ogóle przyszedł.

- Spóźniałaś się – mówi, wychodząc zza słupa.

- Też się cieszę, że cię widzę – ripostuję.

- Napisałem wyraźnie, że o północy. Jeżeli mamy dotrzeć na czas do Londynu, musimy wyruszyć natychmiast. Masz pieniądze?

Wyciągam sakiewkę i potrząsam nią.

- Pięć funtów, jak kazałeś. Po co mi one?

- Informacje kosztują – odpowiada. Zauważa moje spodnie. – Całkiem odpowiedni strój. – Spogląda wyżej, po czym odwraca wzrok. – Zapnij płaszcz.

Mój biust rysuje się wyraźnie pod koszulą. Tej części ciała nie ukryłam. Zawstydzona zapinam guziki płaszcza.

- Masz – mówi Kartik i owija szalikiem moją szyję. Końce zwisają luźno, przesłaniając dekolt.

Kartik prowadzi mnie do miejsca, w którym czeka przywiązana Freya. Uspokajająco klepie klacz po nosie, po czym wskakuje na nią i wciąga mnie, bym usiadła w siodle za jego plecami. Ruszamy gwałtownie. Obejmuję go ramionami w talii, a on nie protestuje.

Odnoszę wrażenie, że jedziemy bardzo długo – całe siedzenie mam obolałe – aż w końcu w oddali zaczynają migotać światła Londynu. Tuż przed wjazdem do miasta zsiadamy i Kartik przywiązuje Fredę do drzewa, zapewniając ją, że niebawem wrócimy. Podaje jej marchewkę, po czym włączamy się w puls nocnego życia w mieście. Ulice wcale nie są takie spokojne, jak sądziłam. Wydaje się, że nocne miasto wymknęło się na zewnątrz, podczas gdy jego odpowiednik, zwykłe miasto dzienne, śpi. To inny Londyn, bardziej śmiały i nieznany.

Kartik łapie dorożkę. Puka w dach, a woźnica rusza. Z młodzieńcem siedzącym obok mnie powóz wydaje się bardzo ciasny. Kartik trzyma dłonie nieruchomo na udach, a ja wciskam się jak najdalej w kąt powozu.

- Gdzie mamy się spotkać?

- Obok Tower Bridge.

Noc rozjaśniają plamy mglistego światła. Kartik znajduje się tak blisko, że mogłabym go dotknąć. Koszulę pod szyją ma rozpiętą i widzę delikatne wygięcie jego szyi i płytkie wgłębienie u jej nasady. W dorożce jest ciepło. Głowę mam lekką jak puch. Muszę się czymś zająć, zanim oszaleję.

- Jak udało ci się zorganizować spotkanie?

- Istnieją sposoby.

Nie mówi nic więcej, a ja nie zadaję pytań. W powozie znów robi się cicho, słychać tylko szybki stukot końskich kopyt, w którego rytm lekko podskakujemy. Kolano Kartika dotyka mojego. Czekam, żeby się odsunął, ale tego nie robi. Moje dłonie, złożone na podołku, drżą. Kątem oka widzę, jak wygląda na ulicę. Ja też to robię, ale niczego nie zauważam. Jestem świadoma tylko ciepła jego kolana. Wydaje się niemożliwe, żeby układ kości i ścięgien wywoływał tak piorunujący efekt.

Woźnica zatrzymuje się i wysiadamy na ulicy tuż pod Tower Bridge. Most działa dopiero od dwóch lat i stanowi naprawdę imponujący widok. Dwie wielkie wieże wznoszą się niczym średniowieczne baszty. Między nimi wysoko nad Tamizą rozpięte jest przejście dla pieszych. Sam most podnosi się, umożliwiając wpłynięcie do portu statkom, których przystanie na rzece są pełne.

Stara żebraczka siedzi w błocie na chodniku. Potrząsa poobijaną puszką z jednym pensem w środku.

- Proszę, panie, rzuć miedziaka.

Kartik wkłada do puszeki suwerena, a ja wiem, że to prawdopodobnie cały jego majątek.

- Dlaczego to zrobiłeś? – pytam.

Kopie po ziemi kamień, przerzucając go zwinnie między stopami, jakby to była piłka.

- Potrzebowała go.

Ojciec twierdzi, że nie należy dawać pieniędzy żebrakom. I tak wydadzą je niemądrze na alkohol i inne używki.

- Może za to kupić piwo.

Wzrusza ramionami.

- To będzie miała piwo. Nie moneta się liczy, lecz nadzieja. – Kopie kamy, który leci wysokim łukiem, a potem spada po kamiennych schodkach. – Wiem, jak to jest walczyć o rzeczy, które inni uznają za należne im bezwarunkowo.

Docieramy do basenu portowego, w którym znajduje się mnóstwo łodzi różnego rodzaju, od małych szalup po duże okręty. Nie mam pojęcia, jak wpływają i wypływają, gdyż stoją w takim ścisku, że można by spokojnie przechodzić z jednej na drugą. Cumują wzdłuż brzegu i doków w oczekiwaniu na wyładunek lub załadunek.

W dół nabrzeża prowadzą strome schodki. Czekam, aż Kartik poda mi rękę. Zamiast tego schodzi na dół z dłońmi wciśniętymi w kieszenie płaszcza.

- Na co czekasz? – pyta.

- Na nic – odpowiadam, ruszając szybko po schodach.

Kartik unosi twarz do nieba.

- Dlaczego kobiety nie chcą niczego wyjaśniać, kiedy są złe? Specjalnie uczycie się tej umiejętności? To okropnie denerwujące.

Zatrzymuję się i staję z nim twarzą w twarz w słabym niebieskawym świetle.

- Skoro musisz wiedzieć, to mogłeś podać mi rękę na górze.

Wzrusza ramionami.

- Dlaczego? Masz dwie własne.

Staram się zachować stoicki spokój.

- Do dobrego tonu należy, by džentelmen pomagał damie zejść ze schodów.

Uśmiecha się sarkastycznie.

- Nie jestem džentelmenem. A ty nie jesteś dziś damą.

Chcę zaprotestować, ale stwierdzam, że nie potrafię, więc bez słowa ruszamy wzdłuż Tamizy. Wielka rzeka uderza o nabrzeże z rytmicznym chlupotem. Unosi się, opada i znów unosi, tak jakby ona też chciała dziś w nocy wyrwać się na wolność. Z dołu dobiegają głosy.

- Tędy – odzywa się Kartik, zmierzając w ich stronę.

Głosy stają się wyraźniejsze. Akcent jest twardy i szorstki. Błoto gęstnieje, a mgła się unosi. Na płyciźnie stoi kilkanaście różnych osób – od staruszek po brudne dzieciaki. Jedna ze starszych kobiet śpiewa żeglarską pieśń, milknąc tylko wtedy, gdy gwałtowny kaszel wstrząsa całym jej ciałem. Ubranie ma w strzępach. Jest tak upaprana błotem, że niknie w mroku jak cień. Śpiewając, zanurza płaską patelnię w rzece, po czym ją wyciąga. Potrzęsa nią, równocześnie grzebiąc zręcznymi palcami w jej zawartości w poszukiwaniu nie wiadomo czego.

- To szabrownicy – wyjaśnia Kartik. – Szukają w Tamizie wszystkiego, co ma jakąkolwiek wartość i co będą mogli sprzedać lub zatrzymać: szmat, kości, blachy lub węgla z przepływającego statku. Jeśli dopisze im szczęście, może nawet znajdą sakiewkę jakiegoś marynarza, który źle skończył. To znaczy, jeżeli nie wyłowił go przed nimi szabrownik rzeczny.

Krzywię się.

- Ale grzebać w Tamizie...

Kartik wzrusza ramionami.

- To o wiele lepsze niż być ściekarzem, zapewniam cię.

- Kto to, na Boga, ściekarz?

- Taki szabrownik, który przeszukuje rynsztoki.

- Co za godna pożałowania egzystencja.

W głosie Kartika brzmiały twarde tony.

- To sposób na życie. A życie nie zawsze jest sprawiedliwe.

Ta uwaga ma zabość i boli. Milkniemy.

- To ty ciągle mówisz o losie i przeznaczeniu. Jak więc wytłumaczysz ich los? Czy zasłużyli na takie cierpienie?

Kartik wsuwa ręce do kieszeni.

- Cierpienie nie jest przeznaczeniem. Podobnie jak niewiedza.

Kobięcy głos przebija się przez mgłę.

- Co ci rzeka dzisiaj dała?

- Trochę jabłek i donic! – odpowiada inny.

Wybuchają głośnym śmiechem.

- Znaleźli tu jabłka i donice? – dziwię się.

Kartik się uśmiecha.

- To rym w slangu. Ostatnie słowo rymuje się z tym, które mają na myśli. „Trochę jabłek i donic” naprawdę oznacza „Nie dostałam nic”.

- Hej! Kartik! – Jeden z uliczników wychodzi z rzecznego mułu. – Czekałem na ciebie, kolego.

- Coś nas zatrzymało, Toby. – Z ukłonem przeprosza utyłanego błotem chłopaka.

Toby zbliża się do nas, a wraz z nim jego zapach, który jest koszmarną mieszaniną zastałej rzecznej wody, śmieci i czegoś znacznie gorszego. Nie śmiem zastanawiać się nad tym, co żyje w jego łachmanach. W żołądku mi się przewraca i czuję, że muszę oddychać przez usta, żeby nie zemdleć.

- Jak idzie poszukiwanie skarbów? – pyta Kartik. Sprytnie przykładą dłoń do podbródka, zasłaniając palcami nos.

- Nie najlepiej i nie najgorzej. – Toby wyciąga dłoń. Leży na niej przedziwna zbieranina: mała bryłka węgla, dwie spinki do włosów, zęb i szyling. Wszystko oblepione mułem. Chłopak uśmiecha się szeroko, pokazując braki w uzębieniu. – Kupi się za to pół litra piwa. – Mierzy mnie podejrzliwym wzrokiem. – Kobitka w męskich gaciach?

Na mojej twarzy na pewno odbija się przerażenie.

Kartik unosi brew.

- Nie wszystkich da się nabrać.

Toby pobrażkuje swoim łupem w dłoni.

- Nie jest zbyt piękna, kolego, ale wygląda czysto. Ile?

Nie od razu rozumiem, ale kiedy już dociera do mnie znaczenie jego słów, ogarnia mnie ślepa furia.

- No nie...

Kartik kładzie dłoń na mojej zaciśniętej pięści, żeby mnie powstrzymać.

- Przykro mi, stary. Ta pani jest ze mną – mówi.

Toby wzrusza ramionami i poprawia brudną czapkę.

- Bez urazy.

Big Ben wybija godzinę. Dźwięk wielkiego dzwonu przedziera się przez mgłę i czuję, jak rezonuje w moim brzuchu.

- Przejdziemy się? – proponuje Toby.

- Co za tupet – mamrocę pod nosem.

„Nie jest zbyt piękna, kolego”. Wziął mnie za prostytutkę, więc dlaczego akurat to zdanie zabolowało mnie najbardziej?

Z mroku wyłania się młody chłopak. Ma owrzodzone usta i głębokie cienie pod oczami. Głos mu się jeszcze nie zmienił – czyli nie może mieć więcej niż dziesięć lat – ale brzmi w nim już pustka, jakby w środku nikogo nie było.

- Szukasz towarzystwa, szefie? Dwa pensy.

Kartik kręci głową i chłopiec wycofuje się, by czekać na następnego przechodnia.

- Znajdą się inni, którzy przyjmą to, co oferuje – mówi do mnie Kartik.

Toby prowadzi nas na nabrzeże zastawione pustymi skrzyniami, w rozmazane światło jedynej latarni.

- Tu będzie dobrze – uznaje.

Kartik rozgląda się wokół.

- Nie ma stąd jak uciec. Łatwo by było cię tutaj przyprzeć do muru.

- Niby jak? – pyta Toby. – Wszędzie łodzie.

- A ludzie na nich śpią lub są pijani. Albo należą do takich, których należy omijać z daleka.

- Myślisz, że jestem głupi? – pyta chłopak prowokacyjnym głosem.

- Kartik! – ostrzegam.

- Dobra. – Kartik się poddaje. – Gemmo, pieniądze.

Daję mu małą sakiewkę z pięcioma funtami. To wszystko, co mam, i ciężko mi się z tym rozstać. Przekazuje ją Toby'emu, który zagląda do środka, przelicza monety i chowa do kieszeni.

- A teraz – mówi Kartik – powiedz, czego się dowiedziałeś o panu Doyle'u.

Przenoszę wzrok z Kartika na Toby'ego i z powrotem.

- To z nim przyszliśmy się spotkać?

- Toby czasami wynajmuje się jako chłopak na posyłki. Wie, jak wymieniać wiedzę za pieniądze.

Hultaj uśmiecha się szeroko.

- Umiem dowiedzieć się wszystkiego. Ręczę głową.

- Ale mieliśmy się spotkać z kimś z Rakshana – protestuję. Chcę odzyskać pieniądze.

- Najpierw zbierzemy informacje, żeby wiedzieć, gdzie uderzyć – wyjaśnia Kartik. –

Gdybyśmy po prostu zaproponowali spotkanie, z całą pewnością by nas złapali. Byłem jednym z nich, więc wiem.

- Skoro tak twierdzisz – odpowiadam z niezadowoleniem.

Łódki na Tamizie kołyszą się, poruszane falą. Jest w tym widoku coś znajomego i pocieszającego.

- Wciągają go w swoje szeregi. Przygotowują inicjację i wszystko – mówi Toby. – Nie wiem tylko, ile mu powiedzieli.

- Czy to Fowlson go wprowadza? – chce wiedzieć Kartik.

Toby kręci głową.

- Fowlson jest jedynie jego opiekunem. Poprosił o to ktoś, kto stoi wyżej. Jakiś dżentelmen. – Wskazuje palcem niebo. – Z bardzo wysoka.

- Wiesz kto?

- Nie. To wszystko, co wiem.

- Chcę znaleźć tego dżentelmena – nalegam.

- Fowlson składa mu raporty. On wie, kto to.

We mgłę za nami niosą się echem kroki. Dołącza do nich beztrioskie pogwizdywanie, które mrozi mi krew w żyłach. Kartik mruży oczy.

- Toby?

Brudy łobuz wzrusza ramionami i wycofuje się z uśmiechem.

- Przepraszam, kolego. Dali mi sześć funtów, a moja matula okropnie choruje.

- No, no, no, kogo my tu mamy? Wstałeś z martwych, bracie?

Para czarnych butów błyszczy w świetle lampy. Z cienia wyłania się Fowlson w towarzystwie potężnego mężczyzny. Z drugiej strony nabrzeża zmierza w naszą stronę kolejnych dwóch bandziorów. Za plecami mamy Tamizę. Otoczyli nas.

Kartik staje przede mną.

Fowlson uśmiecha się pogardliwie.

- Osłaniasz swoją kochankę?

- Jaką kochankę? – dziwi się Kartik.

Fowlson wybuchają śmiechem.

- Może sobie nosić spodnie i płaszcz, ale po oczach i tak poznać. One nie kłamią.

- Daj mi słowo jako brat, że nie zrobisz jej krzywdy – mówi Kartik, ale widzę, że ogarnia go strach.

Fowlson zaciska usta z nienawiścią.

- Opuściłeś stado, bracie. Nie obowiązuję nas już honor i nie muszę ci niczego przyrzekać. Wyciąga nóż z kieszeni. Otwiera go, a ostrze lśni w słabym świetle latarni gazowej.

Wpatruję się w nabrzeże, szukając kogoś, kto mógłby usłyszeć moje krzyki i przyjść nam z pomocą. Ale mgła robi się coraz gęstsza. Poza tym każdy raczej by uciekł, niż zbliżył się na widok takiej rozróby. Magia. Mogę ją przywołać w razie konieczności, lecz wtedy z całą pewnością będą wiedzieli, że kłamałam, iż już nią nie dysponuję.

Jeden z oprychów rzuca Fowlsonowi jabłko, które ten zwinnie łapie jedną ręką. Wbija w nie nóż i odcina skórkę długimi obierkami, które opadają u jego stóp.

Przełykam z trudem i postępuję krok naprzód.

- Chciałabym, żebyście zostawili w spokoju mojego brata.

Fowlson uśmiech się do mnie wrednie.

- Naprawdę?

- Tak – potwierdzam, pragnąc, by mój głos brzmiał bardziej zdecydowanie. – Proszę.

- No cóż, to zależy od ciebie, panno Doyle. Masz coś, co należy do nas.

- Co takiego? – Mimo lęku udaje mi się wydobyć z siebie głos.

- Ajajaj, spryciara z ciebie, co? – Uśmiech zmienia się w grymas złości. – Magię.

Postępuje krok do przodu, a my się cofamy. Stoimy nad samą rzeką.

- Mówiłam panu, że już jej nie mam.

Kartik rozgląda się w lewo i prawo, a ja mam nadzieję, że znajdzie jakąś drogę ucieczki.

- Kłamiesz! – prycha Fowlson.

- Skąd wiesz, że kłamię? – pyta Kartik.

Fowlson uśmiecha się z pogardą.

- Niech mówi sama za siebie.

- Rakshana powinni chronić międzyświat i magię, a nie kraść ją. – Muszę zyskać na czasie.

- Tak było, laluniu, ale wszystko się zmieniło. Wiedźmy miały już swoje pięć minut.

Fowlson unosi nóż do ust i zdejmując zębami kawałek jabłka ostrza. Jesteśmy w pułapce. Jedyną drogą ucieczki stanowi Tamiza.

- Ja to widzę tak: przyprowadzę was oboje i zostanę bohaterem. – Wskazuje nożem Kartika. – Ty zdradziłeś bractwo, a ty – przesuwając ostrze w moją stronę – możesz rozwiązać wszystkie nasze problemy.

- Dasz radę skoczyć? – pyta szeptem Kartik i wskazuje wzrokiem łódkę zakotwiczoną za nami. Kiwam głową.

- O czym tak sobie, gołąbki, gruchacie? – interesuje się Fowlson.

- Na trzy – dodaje Kartik. – Raz, dwa...

Jestem zbyt przerażona, żeby czekać. Skaczę na dwa, pociągając Kartika za sobą.

Spadamy na dziób łódki poniżej z łomotem, który wstrząsa całym moim ciałem.

- Mówiłem na trzy – jęczy Kartik, jakby pękły mu płuca.

- P-przepraszam – rzęzę.

Fowlson woła coś z nabrzeża i widzę, że szykuje się do skoku.

- Idziemy.

Kartik podrywa mnie na nogi i ruszamy na rufę, gdzie zacumowano drugą, mniejszą łódkę. Dzieli je niewielka odległość, ale w ciemnościach, z pluskającą poniżej Tamizą, wydaje mi się, że to cały kilometr. Łódź unosi się na fali, przez co skok staje się jeszcze bardziej karkołomny.

- Skacz! – woła Kartik i daje susa przez wodę, ciągnąc mnie za sobą.

- Co, u diabła?! – woła zaskoczony marynarz, gdy wpadamy na jego łódź.

- Niespodziewana kontrola! – odpowiada Kartik, po czym uciekamy dalej.

Kolejny skok i znów znajdujemy się na nabrzeżu. Pędzimy po śliskim wale na złamanie karku, starając się nie upaść. Fowlson i jego bandziory są tuż za nami. Pod ulicą znajduje się otwór prowadzący do kanału ściekowego.

- Idziemy tędy! – woła Kartik, a jego słowa odbijają się echem.

W ścieku śmierdzi tak potwornie, że chce mi się wymiotować. Przyciskam wierzch dłoni do nosa.

- Chyba nie dam rady – mówię, dławiąc się.

- To jedyne wyjście.

Wchodzimy do ohydnej, cuchnącej dziury. Po ścianach ścieka wilgoć. Dnem kanału płynie odrażająca maź, która wsiąka w moje buty i osiada na pończochach, a ja muszę walczyć z podchodzącą do gardła żółcią. Poza tym w tunelu panuje ożywiony ruch. Tłuste czarne szczury biegają na krótkich nóżkach, wydostając się nagle ze szczelin w ścianach. Od ich pisku dostaję gęsiej skórki. Mam wrażenie, że coś po mnie pełźnie. Jeden odważny koleś wystawia nos tuż przy mojej twarzy, a ja krzyczę ze strachu. Kartik zakrywa mi usta dłonią.

- Ciii – szepcze, ale nawet ten dźwięk niesie się echem po kanale.

Stoimy objęci w wilgotnym, cuchnącym tunelu i nasłuchujemy. Słychać monotonne kapanie i obrzydliwe skrobanie szczurzych pazurów. I coś jeszcze.

- Hej, kochani! Wiemy, że tam jesteście.

Kartik rusza naprzód, ale dalej panuje absolutna ciemność, która mnie przeraża. Nie mogę iść.

- Zamknij oczy. Ja cię poprowadzę – szepcze. Wraca i obejmuje mnie ramieniem w talii.

Stoję jak wrośnięta w ziemię.

- Nie. Nie mogę. Ja...

- Mamy was!

Bandziory Fowlsona dopadają nas błyskawicznie. Łapią Kartika i wykręcają mu ramię do tyłu, aż krzywi się z bólu.

- Zdenerwowaliście mnie – mówi Fowlson, powoli idąc w naszą stronę.

- Oddałam magię Zakonowi – zapewniam pospiesznie. – Miał pan rację, skłamałam wcześniej. Ale dziś rano spotkałam się z panną McCleethy, a ona mnie przekonała do swoich racji. Zabrałam ją do międzyświata i teraz naprawdę Zakon posiada moc. Przysięgam!

Fowlsonowi rzednie mina. Wygląda na zmartwionego i zmieszanego.

- Dziś rano?

- Tak – potwierdzam.

Stoi tak blisko mnie, że czuję od niego zapach jabłka i widzę, jak ze złości zaciska zęby.

- Skoro to prawda, nic mnie już nie powstrzyma od podejrzenia gardła Kartikowi. –

Przyciska nóż do szyi chłopaka. – Biedny brat Kartik. Powiedzieć ci, panienko, co mu się przytrafiło?

Kartik próbuje wyrwać się spod ostrza.

- Złapaliśmy go. A wiesz, jak długo człowiek potrafi znieść nasze przesłuchanie? –

Fowlson przysuwa usta do mojego ucha, aż czuję jego gorący oddech. – Łamałem ludzi w niecały dzień, ale nasz Kartik nie chciał się ugiąć. Nie chciał powiedzieć, co wie o tobie i o międzyświecie. Jak długo to trwało, Kartiku? Pięć dni? Sześć? Straciłem rachubę. Lecz w końcu złamał się, tak jak się spodziewałem.

- Zabiję cię – dyszy Kartik z nożem na gardle.

Fowlson śmieje się.

- To twoja słaba pięta, koleś? Nie chcesz, żeby ona się dowiedziała? – Wyczuł strach Kartika i łaknie krwi. Mocno przyciska ostrze do gardła chłopaka, ale jego słowa tną znacznie głębiej. – W końcu kompletnie mu się pomieszało. Zaczął widzieć Amara w głowie. Starszy brat przekazał mu wiadomość: „Będziesz jej śmiercią, bracie”. To, co ujrzał potem, musiało

być naprawdę przerażające, bo wrzeszczał i wrzeszczał, aż zupełnie stracił głos. I wtedy pojąłem, że go w końcu złamałem. – Usta Fowlsona rozciągają się w okrutnym uśmiechu. – Ale rozumiem, czemu nie chciał ci opowiedzieć tej historii.

Oczy Kartika są wilgotne. Znowu wydaje się pokonany, a ja chętnie zabiłabym Fowlsona za to, co zrobił. Ale nie pozwolę mu kolejny raz zranić Kartika, zwłaszcza że mogę go powstrzymać.

- Achillesowa – odzywam się.

Ręka Fowlsona z nożem zamiera na chwilę.

- Co?

- Achillesowa pięta, a nie słaba pięta, cholerny durniu!

Szeroko otwiera oczy i wybucha śmiechem.

- Ale masz niewyparzoną gębę, laleczko. Kiedy już skończę z nim, chętnie ci ją poszerzę.

- Chyba raczej nie.

Błyskawicznym ruchem kładę mu rękę na ramieniu. Moc przelewa się przeze mnie jak wody Tamizy. Ostre światło wypełnia tunel, ukazując wyraz strachu i zaskoczenia na twarzy Fowlsona. Jego myśli pulsują we mnie.

Furia oprawcy i okrucieństwo płynie moimi żyłami ledwie przez sekundę. Wypiera je ulotne wspomnienie – mały chłopiec, ciemna kuchnia, garnek wody i duża zagniewana kobieta z pogardliwie zaciśniętymi ustami. Nie wiem, co to znaczy, ale czuję lęk dziecka. Mój żołądek skręca się ze strachu, który jednak szybko mija i magia znowu w pełni we mnie ożywa.

- Tak – mówię – skłamałam. A teraz jestem zmuszona prosić, żeby pan się stąd nie ruszał.

Ujarczmiam magię, żeby ukształtowała myśl w głowach bandziorów. *Nie możecie iść*. Nie wypowiadam słów na głos, ale efekt jest taki sam. Fowlson ze zdumieniem odkrywa, że nogi go nie słuchają. Przyrosły do podłoża. Nóż wypada z jego palców, ręce bezradnie zwisają wzdłuż ciała, a Kartik jest wolny. Bandyci tylko spoglądają po sobie, jakby szukali wytłumaczenia. Choćby nie wiem jak próbowali, nie mogą nawet drgnąć.

- Co ty ze mną robisz, wiedźmo?! – wścieka się Fowlson.

- Sam pan jest sobie winien – odpowiadam. – Ma pan zostawić mojego brata w spokoju. Fowlson walczy, żeby się wyzwolić.

- Puść mnie, bo rozedrę cię na strzępy!

- Dość tego! Niech pan obieca.

Uśmiecha się, a jego opór doprowadza mnie do furii.

- Oto jedyne, co mogę ci obiecać: nic mnie już nie obchodzi. Jesteśmy tylko ty i ja.

Dopadnę cię, ty mała jędzo! Będziesz błagała mnie o litość.

Magia burzy się we mnie. Nie jestem już sobą. Czuję tylko gniew tak potężny, że mnie zaślepia. Chcę go zranić, nagiąć do mojej woli. Chcę, by wiedział, kto tu mam moc.

Pożałujesz...

Fowlson szeroko otwiera oczy ze strachu. Powoli opada na kolana, a jego twarz nieubłagalnie zbliża się do wodnistej mazi na dnie kanału. Nie może się odezwać, mój gniew na to nie pozwala. Gwałtownie trzepoczę powiekami. Kartik próbuje przemówić mi do rozsądku, ale ja nie chcę go słuchać. Chcę tylko pławić się w zemście.

Coś błyska w mojej duszy. Chłopiec w kuchni. Rozżłoszczona kobieta zakasuje rękawy. Mały kuli się przed jej straszonym gniewem. „Ty nędzny bękarcie! – przeklina go. – Już ja cię nauczę moresu. Rozerwę cię na strzępy!”. Wcisną jego głowę do wiadra z wodą i trzyma mocno, gdy malec się miota. „Będziesz błagał o litość!”. Chłopiec podnosi się, z trudem łapiąc powietrze, a ona znowu wpycha mu głowę do wody. Czuję jego lęk, gdy się wynurza, jeszcze raz i jeszcze raz. Jest bliski poddania się i przez moment rozważa tę myśl, zastanawia się, czy nie wciągnąć wody do płuc, żeby ją uszczęśliwić, żeby przyznać jej rację. Ale nie może tego zrobić. Nie potrafi. Kobieta podnosi jego głowę o kilka centymetrów i udaje mu się

wykrztusić jedno słowo: „Litości”. Uderza go z całej siły, pierścieniem rozcinając mu policzek. Chłopiec kuli się w kącie kuchni, przyciskając rękę do głębokiej rany, ale nie śmie się odezwać. Jutro postara się bardziej. Jutro ona go pokocha. Jutro nie będzie jej nienawidził tak mocno.

Czuję, jakby mnie to uderzyło. Magia waha się. Słaniam się na nogach i opieram dłonie o mokrą ścianę, żeby nie upaść. Twarz Fowlsona zawisa tuż nad ściekiem. *Przestań* – mówię do siebie. *Przestań*. Magia we mnie uspokaja się niczym pies układający się do snu. Boli mnie głowa i drżą mi ręce.

Fowlson podrywa się roztrzęsiony i z trudem łapie oddech.

- Przepraszam – mówię, a głos mam schrypnięty. – Pańska matka... to ona pana zraniła. To po niej ta blizna.

Fowlson z trudem dobywa z siebie głos:

- Ani słowa o mojej matce! Ona była święta!

- Nie – oponuję szeptem. – Była potworem. Nienawidziła pana.

- Zamknij się! – wrzeszczy, a w kącikach jego ust gromadzi się ślina.

- Nie chciałam tego – zapewniam go. – Proszę mi wierzyć.

- Pożałujesz tego, laleczko! – Zwraca się do Kartika: - Mam nadzieję, że sporo się u nas nauczyłeś, bracie, bo będzie ci to potrzebne.

Fowlson rzuca się w moją stronę, choć jestem poza jego zasięgiem. Potrzebuje tego gestu, to jedyne, co mu pozostało.

- Zmiażdżę cię, suko!

Powinam go za to uderzyć, ale nie chcę. Widzę jedynie tego małego chłopca w kącie kuchni.

- Magia nie utrzyma się długo. Godzinę, najwyżej dwie. A gdy będzie pan już wolny, niech nas pan nie szuka, bo znowu spuszczę swoją moc ze smyczy.

Kartik bierze mnie za rękę i wyprowadza z kanału. W ciemnościach za nami zostaje Fowlson, który miota się i klnie.

*

Spacer wzdłuż brudnej Tamizy przynosi mi ulgę. Powietrze znad rzeki, które godzinę temu wydawało się cuchnące, teraz pachnie słodko w porównaniu z duszącym odorem ścieku. Dręczący kaszel i niemelodyjne piosenki rzecznych szabrowników płyną przez mgłę jak zjawy. Rozlega się nagły krzyk. Ktoś znalazł bryłę węgla, a pozostali przyjmują wiadomość z ekscytacją i głośno rozchlapują wodę, pędząc w szczęśliwe miejsce. Ale okazuje się, że to zwykły kamień. Słyszę donośny plusk, gdy ląduje z powrotem w korycie rzeki, tym grobie nadziei.

- Muszę usiąść – odzywam się.

Idziemy jeszcze kawałek i przysiadamy na nabrzeżu, spoglądając na łódki podskakujące na rzece.

- Nic ci nie jest? – pytam po długiej chwili milczenia.

Wzrusza ramionami.

- Wiesz, co się stało. I możesz mną za to gardzić.

- Nieprawda – oponuję. – Amar powiedział... - Milknę, wspominając ostateczne spotkanie z bratem Kartika w międzyświecie. Nie jestem jeszcze gotowa, żeby je ujawnić. – W twoim śnie powiedział, że sprowadzisz na mnie śmierć. To dlatego trzymałeś się z dala?

Nie odpowiada od razu.

- Tak, między innymi dlatego.

- I dlaczego jeszcze?

Twarz Kartika się chmurzy.

- Ja... to nic ważnego.

- Dlatego nie chciałeś brać udziału w sprzymierzeniu? – dopytuję się.

Kiwa głową.

- Jeżeli nie wejdę do międzyświata, sen się nie spełni. Nie będę mógł zrobić ci krzywdy.

- Mówiłeś, że niewiedza nie wpływa na przeznaczenie – przypominam mu. – Jeżeli nie wejdiesz do międzyświata, to po prostu nie będziesz w międzyświecie. Poza tym istnieją setki innych sposobów, żeby mnie zgładzić tutaj, jeśli zechcesz. Możesz utopić mnie w Tamizie. Zastrzelić w pojedynku.

- Powiesić się na wnętrznościach jakiegoś dużego zwierzęcia – proponuje, z uśmiechem włączając się do gry.

- Na zawsze porzucić u pani Nightwing, żeby zadziobała mnie na śmierć.

- O, to zbyt okrutne, nawet jak na mnie. – Kartik ze śmiechem kręci głową.

- Tak cię bawi moja bliska śmierć? – prowokuję.

- Nie, nie chodzi o to. Załatwiłaś Fowlsona – odpowiada, uśmiechając się od ucha do ucha. – To było... fantastyczne.

- Wydawało mi się, że moja moc cię przeraża.

- Przerażała. Przeraża. Trochę – przyznaje. – Ale, Gemmo, ty mogłabyś zmieniać świat.

- Do tego trzeba czegoś więcej niż moja moc – protestuję.

- To prawda, ale nie wszystkie zmiany muszą się dokonać naraz. To mogą być drobne gesty. Pojedyncze chwile. Rozumiesz? – Patrzy teraz na mnie inaczej, choć nie umiem określić jak. Wiem tylko, że muszę odwrócić wzrok.

Maszty statków przebijają się przez mgłę, dając nam znać o swojej obecności. W oddali rozlega się syrena okrętowa. Jakiś statek wypływa w morze.

- Jaki smutny dźwięk. Taki samotny – zauważam, przyciskając kolana do piersi. – Czujesz się tak czasami?

- Samotny?

Szukam odpowiednich słów.

- Niespokojny. Jakbyś jeszcze sam siebie nie spotkał. Jakbyś minął się we mgle, a twoje serce drgnęło nagle: „Hej, to ja! Tego fragmentu mi brakowało!”. Ale wszystko dzieje się zbyt szybko i część ciebie znów znika. I szukasz jej przez resztę swoich dni.

Kiwa głową, jakby chciała mnie uspokoić. Jest mi głupio, że to powiedziałam. Zachowałam się sentymentalnie i ujawniłam tę część swojego oblicza, której nie powinnam była pokazywać.

- Wiesz, co myślę? – pyta w końcu Kartik.

- Co?

- Czasami możesz odnaleźć ją w kimś innym.

I pochyla się w tym samym momencie co ja. Spotykamy się w pocałunku, który nie jest kradziony, lecz ofiarowany. Kartik kładzie dłoń na moim karku, a ja ujmuję jego twarz. Przyciągam go bliżej. Pocałunek pogłębia się. Kartik zsuwa dłoń z mojej szyi na plecy i przytula mnie do swojej piersi.

Z doków dochodzi hałas. Odsuwamy się od siebie, lecz ja chcę więcej. Kartik uśmiecha się. Usta ma lekko nabrzmiałe od pocałunków, ciekawe, czy ja też.

- Zostanę aresztowany – mówi, wskazując głową moje chłopięce przebranie.

Majestatyczny dzwon Big Ben przypomina nam, że pora jest już późna.

- Lepiej chodźmy – proponuje Kartik. – Czar nie potrwa długo, a wolałbym znajdować się daleko stąd, kiedy Fowlson i jego ludzie odzyskają wolność.

- Racja.

Mijamy płyciznę, którą przeszukują szabrownicy. Wyzwałam magię zaledwie na kilka sekund.

- Oj! Niech mnie gęś kopnie! – krzyczy jakiś chłopak w rzece.

- Znalazłeś konopie? – woła staruszka.

Szabrownicy wybuchają śmiechem.

- To nie są śmieci! – zapewnia malec.

Wybiega z mgły, niosąc coś w dłoniach. W pozostałych zwycięża ciekawość. Tłoczą się wokół, żeby zobaczyć jego zdobycz. Chłopak trzyma garść rubinów.

- Jesteśmy bogaci, ludzie! Ciepła kąpiel i pełne brzuchy dla wszystkich!

Kartik podejrzliwie mierzy mnie wzrokiem.

- Dziwny uśmiech losu.

- Rzeczywiście.

- To chyba nie twoja sprawka?

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – odpowiadam.

Oto jak następuje zmiana. Przez jeden gest. Jedną osobę. Jedną chwilę.

*

Freya wiezie nas do Spence. Księżyc w nowiu nieszczególnie nam pomaga, ale klacz zna drogę, więc nie mam wiele do roboty. Możemy jechać spokojnie i odpoczywać po nocnych przygodach.

- Gemmo – odzywa się Kartik po dłuższej chwili – dotrzymałem swojej części umowy.

Teraz ty musisz mi powiedzieć, co wiesz o Amarze.

- Rozmawiał ze mną. Powiedział, żebym przekazała ci wiadomość.

- Jaka?

- Żebyś nigdy nie zapominał o swoim sercu. Tam odnajdziesz honor i przeznaczenie.

Rozumiesz coś z tego?

- Powtarzał mi to od czasu do czasu: że można zwieść oko, ale serce zawsze wyczuje prawdę.

- A zatem jakaś część twoje brata żyje nadal.

- Lepiej by było, gdyby umarła.

Znów milkniemy. Droga robi się mnie wyboista. Jestem tak zmęczona, że moja głowa opada na ramię Kartika.

- Przepraszam – mówię, ziewając.

- Nic nie szkodzi – odpowiada miękko, a ja znów przytulam głowę do jego pleców.

Powieki mam ciężkie. Mogłabym spać kilka dni. Mijamy cmentarz po lewej. Czarne ptaki przysiadają na nagrobkach i tuż przed zamknięciem oczu wydaje mi się, że widzę delikatne lśnienie. Ptaki znikają w nim, a wzgórze staje się ciemne i nieruchome niczym śmierć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Ranek nadchodzi z wściekłym hałasem. Na trawniku rozlega się głośny krzyk. Szykują się kłopoty, a kłopoty przyciągają nas jak zaproszenie do wesołego miasteczka. Gdy otwieram okno i wystawiam głowę, zauważam co najmniej dwanaście innych otwartych okien, w tym od pokoju Felicity. Jest tak wcześnie, że panna McCleethy nadal występuje w koszuli nocnej i w czepku. Natomiast pani Nightwing jest jak zawsze ubrana w ciemną suknię z nedorzeczną turniurą. Jestem pewna, że w niej sypia. Musiała się chyba urodzić w mocno zasznurowanym gorsecie.

Pan Miller jedną ręką trzyma matkę Elenę za ramię, a w drugiej dzierży jej krwawe wiadro.

- Złapaliśmy wandala i tak jak mówiłem, to jedna z nich! – krzyczy.

- Bardzo proszę, niech pan ją natychmiast puści – rozkazuje mu dyrektorka.

- Nie będzie pani taka stanowcza, kiedy się pani dowie, co ona zrobiła. To ona malowała te magiczne znaki. I kto wie, co jeszcze wyprawiała.

Matka Elena wygląda mizernie w zbyt obszernej sukni.

- Próbuję chronić nas wszystkich!

Cyganie zbliżają się od strony obozowiska, zwabieni hałasem. Za nimi spieszy Kartik w rozpiętej do połowy koszuli, po drodze naciągając szelki. Czuję, jak w moim brzuchu rozlewa się ciepło.

Jedna z Cyganek wychodzi naprzód.

- Ona jest chora.

Pan Miller nadal trzyma matkę Elenę.

- Nie puszczę jej, dopóki Cyganie mi nie powiedzą, gdzie są Tambley i Johnny.

- Nie porwaliśmy ich. – Ithal maszeruje po trawniku, podwijając rękawy, jakby szykował się do bójki. Ujmuje matkę Elenę pod drugie ramię.

Pan Miller szarpie staruszkę, aż ta się zatacza.

- Jacy ludzie nie potrafią nigdzie osiąść? – woła. – Tacy, którym nie można zaufać, ot co! Nie lepsi od dzikusów z dżungli! Pytam po raz kolejny: gdzie są moi robotnicy?

- Dostyc tego! – Pani Nightwing ryczy pełnym dyrektorskim głosem i przed szkołą zapada cisza. – Panie Miller, matka Elena nie czuje się dobrze i należy pozwolić, żeby zajęli się nią towarzysze. Gdy będzie w stanie ruszyć w drogę, spodziewam się, że więcej jej tu nie zobaczę. – Spogląda w oczy Ithalowi. – Cyganie nie są już mile widziani na naszej ziemi. A jeśli o pana idzie, panie Miller, to ma pan chyba pracę do wykonania, czyż nie?

- Odzyskam moich ludzi, zanim wyjedziecie – majster grozi Ithalowi – albo wezmę w zamian waszych.

Później tego dnia pani Nightwing łagodnieje i prosi, abyśmy pomogły Brigid w przygotowaniu kosza z żywnością i medykamentami dla matki Eleny.

- Matka Elena była tu, od kiedy pamiętam – mówi dyrektorka, ostrożnie wkładając do koszyka słoik konfitur śliwkowych. – Pamiętam, jak Ithal był małym chłopcem. Przykro mi na myśl, że odejdą. – Brigid poklepuje ją po ramieniu, a ona cała sztywnieje w reakcji na ten współczujący gest. – Ale nie należy puszczać płazem wandalizmu.

- Biedna, stara wariatka – komentuje Brigid. – Wygląda na wymiętą jak moja chusteczka do nosa.

Na twarzy naszej dyrektorki przez chwilę maluje się żal. Dokłada do kosza dodatkową puszkę landrynek.

- No dobrze, czy ktoś zgłosi się na ochotnika, żeby to zanieść...

- Ja! – wołam natychmiast i zakładam kosz na ramię, zanim ktoś inny zdąży go chwycić.

Niebo grozi deszczem. Chmury gromadzą się w gniewnej masie, gotowe dać upust swojej furii. Spieszę przez las do taboru, mocno trzymając kosz. Cyganki nie okazują zachwytu na mój widok. Zakładają ręce na piersi i podejrzliwie mierzą mnie wzrokiem.

- Przyniosłam jedzenie i lekarstwa dla matki Eleny – wyjaśniam.

- Nie chcemy waszego jedzenia – odzywa się starsza kobieta ze złotymi monetami wplecionymi w długi warkocz. – Jest *marime*, nieczyste.

- Chcę tylko pomóc – zapewniam je.

Kartik przemawia do nich po romsku. Rozpoczyna się gorąca dyskusja. Słyszę słowo *gadzie* wypowiedane z goryczą, a kobiety co jakiś czas zerkają na mnie ze złością. Ale w końcu ta z warkoczem zgadza się, żeby odwiedziła matkę Elenę, więc idę pospiesznie do wozu staruszki i szarpnię za dzwonek przywiązany do gwoźdźca.

- Wejść – odzywa się słaby głos.

W środku pachnie czosnkiem. Kilka główek leży na stole obok moździerza i tłuczka. Ściany wozy są zawieszane półkami z różnymi tynkturami i ziołami w szklanych słojach. Dostrzegam również małe metalowe amulety. Zaskakuje mnie widok statuetki Kali wetkniętej pomiędzy dwie butelki, choć słyszałam, że Cyganie dawno, dawno temu przybyli z Indii. Przesuwam palcami po figurce – cztery ramiona, długi język, głowa demona w jednej ręce i zakrwawiony miecz w drugiej.

- Na co patrzysz? – pyta matka Elena.

Spoglądam na nią przez wielką butlę, a szkło wykrzywia jej rysy.

- Na Kali – odpowiadam.

- Mroczna Matka.

- Bogini zniszczenia.

- Zniszczenia niewiedzy – poprawia mnie Cyganka. – Ona pomaga nam przejść przez ogień wiedzy, poznać nasze ciemne strony, byśmy się nie obawiali, lecz wyzwolili się od nich, gdyż jest w nas zarówno chaos, jak i porządek. Podejdz tak, żebym cię widziała.

Siedzi w łóżku, z roztargnieniem tasując talię kart do tarota. Oddycha ciężko.

- Dlaczego przysłałaś?

- Przyniosłam lekarstwa i poczęstunek od pani Nightwing. Ale powiedziano mi, że matka nie będzie tego jadła.

- Jestem starą kobietą. Zrobię to, co zechcę. – Kiwnięciem głowy daje mi znak, żebym otworzyła kosz.

Podaję jej ser, który wacha, po czym robi straszliwą minę. Natychmiast go odkładam i wyciągam chleb, a matka z aprobatą kiwa głową. Sękatymi palcami odłamuje drobne kawałeczki.

- Próbuję ich ostrzec – mówi nagle.

- A przed czym matka próbuje ich ostrzec?

Unosi dłoń do włosów, którym przydałoby się porządne szczotkowanie.

- Carolina zginęła w pożarze.

- Wiem – odpowiadam, przetykając łaskotanie z tyłu gardła. – To było dawno temu.

- Nie. To, co minęło, nigdy nie mija. Nie jest skończone – mamrocze staruszka.

Zakrztusiła się chlebem, więc nalewam wody do szklanki i pomagam jej pić małymi łydkami, dopóki kaszel nie ustanie. – To, co otwiera się w jedną stronę, można otworzyć i w drugą – szepcze, trzymając talizman, który ma na szyi.

- Co matka ma na myśli?

Psy szczekają. Słyszę, że Kartik je uspokaja, a jakaś Cyganka napomina go, że jest dla nich zbyt pobłażliwy.

- Jedna z nich sprowadza do nas zmarłych.

Po plecach przebiega mi zimny dreszcz.

- Ktoś sprowadza zmarłych? – powtarzam. – Kto?

Matka Elena nie odpowiada. Odwraca kartę do tarota. Widnieje na niej wysoka wieża, w którą uderza piorun. Płomienie buchają z okien, a dwóch nieszczęśników spada na skały poniżej.

Przykładam palce do strasznej karty, jakbym chciała ją powstrzymać.

- Zniszczenie i śmierć – wyjaśnia matka Elena. – Zmiana i prawda.

Drzwi otwierają się tak nagle, że podskakuję ze strachu. Cyganka z długim ciemnym warkoczem przygląda mi się podejrzliwie. Oстрыm tonem zadaje matce Elenie pytanie w ich rodzimym języku. Matka odpowiada. Kobieta unosi zasłonę w drzwiach.

- Wystarczy. Matka nie czuje się dobrze. Musisz iść. Zabierz ze sobą koszyk.

Rumieniąc się z upokorzenia, sięgam po koszyk, a matka Elena łapie mnie za rękę.

- Drzwi muszą pozostać zamknięte. Powiedz im to.

- Dobrze, powiem – zgadzam się i szybko wychodzę z wozu.

Mijają Kartika, kiwam mu głową. Idzie za mną z psami, aż znajdujemy się w takiej odległości od obozu i od Spence, że nikt nas nie zobaczy.

- Co miała do powiedzenia matka Elena? – pyta.

Psy obwąchują ziemię. Są niespokojne. Gdzieś daleko rozlega się cichy grzmot. W powietrzu unosi się miedziany zapach deszczu. Zrywa się wiatr, który bez opamiętania szarpie moimi włosami.

- Wierzy, że Wschodnie Skrzydło jest przeklęte i że przywoła zmarłych. Że ktoś chce ich tu sprowadzić.

- Kto?

- Nie wiem. Nie rozumiem tego, co mówi.

- Jest bardzo chora – usprawiedliwia ją Kartik. – Słyszała wołanie sowy w nocy. To zwiastun śmierci. Może nie dożyć lata.

- Przykro mi – mówię.

Jeden z psów opiera się łapami o moją spódnicę i nadstawia łeb, żebym go pogłaskała. Delikatnie drapię go za uszami, a on liże mnie po ręce. Kartik gładzi go po grzbiecie i nasze palce stykają się na chwilę. Przebiega mnie prąd.

- Miałem znów sen ostatniej nocy – wyznaje, rozglądając się, czy nikt nas nie widzi. Gdy się upewnia, że w pobliżu nikogo nie ma, przysuwa się do mnie i całuje mnie w czoło, powieki, a w końcu w usta. – Byłem w ogrodzie. Z drzew spadały białe kwiaty. To było najpiękniejsze miejsce, jakie widziałem w życiu.

- Opisałeś międzyświat – odpowiadam, usiłując mówić, choć jego usta przykrywają moje. – Ja też byłem w tym śnie?

- Tak – potwierdza, nie wyjaśniając nic więcej, jedynie znacząc ślad pocałunków na mojej szyi, od czego trochę kręci mi się w głowie.

- Czy było strasznie? – pytam, bo nagle boję się, że tak mogło być.

Powoli kręci głową, a jego usta wykrzywia szelmowski uśmiech.

- Być może zechcę zobaczyć ten międzyświat na własne oczy.

Grzmot rozlega się bliżej. Cienkie smużki światła przecinają niebo. Krople deszczu spadają między drzewami i rozpryskują się na mojej twarzy. Kartik śmieje się i wierzchem dłoni wyciera wodę z moich policzków.

- Lepiej wracaj pod dach.

Zanim udaje mi się dotrzeć na łąkę, rozpętuje się prawdziwa ulewa, ale nie dbam o to. Uśmiecham się jak idiotka. Wyrzucam ramiona w górę i wystawiam twarz na jej mokre pocałunki. *Witaj, ulewo! Życzę ci szczęśliwej wiosny!* Z impetem wchodzę w świeżą kałużę i śmieję się, gdy błoto chłapie na przód mojej sukni.

Ludzie pana Millera nie są tacy szczęśliwi. Pospiesznie wkładają płaszcze i kapelusze, wtulają uszy w ramiona, żeby osłonić przed siekącym wiatrem spocone z wysiłku karki. Zbierają narzędzia i nawołują do siebie, przekrzykując burzę.

- Nie jest tak źle, naprawdę – zapewniam ich, jakby mogli mnie usłyszeć. – Powinniście się trochę pochłapać. Dobrze by wam zrobiło, gdybyście...

To spada na mnie tak gwałtownie, że ledwie mogę oddychać. W jednej chwili widzę basztę i ludzi, a w następnej obraz rozjeżdża się na boki. Pędzę szybko tunelem. A potem zaczyna się wizja.

Znajduję się w małym pokoiku, w którym unosi się silny, duszący zapach. Nieopodal krzyczą ptaki. Wilhelmina Wyatt, opętana kobieta, pisze po ścianach. Jest za ciemno, więc słowa, które widzę, skaczą jak mechaniczne zabawki. *Ofiara, kłamstwa. Potwór. Majowe narodziny.*

Scena zmienia się, a jej głównymi bohaterkami są mała Mina oraz Sara Rees-Toome.

- Co widzisz w ciemności, Mino? Pokaż mi.

Mina na trawniku za Spence uśmiecha się do gargulców. A potem rysuje Wschodnie Skrzydło i świecące linie, które widziałam na ziemi. Scena rozplywa się i teraz Wilhelmina pisze list, kreśląc słowa pełnymi złości pociągnięciami. *Zignorowałaś moje ostrzeżenia... Zdemaskuję cię...*

- Panienko? Panienko!

Zaledwie na sekundę otwieram oczy i widzę ludzi pana Millera zebranych wokół mnie na trawniku, po czym znów ląduję w mrocznym pokoju. Wilhelmina siedzi na podłodze ze sztyletem w ręku. Sztylet! Wyjmuje niewielki skórzany rulon, rozwiązuje go i wyciąga strzykawkę oraz fiołki. Starannie zwija sztylet w skórzany pokrowiec. A więc tam jest! Muszę tylko...

Wilhelmina podwija rękaw, obnażając ramię. Poklepuje palcami żyłę w zagięciu łokcia. Wbija igłę i naciska tłoczek, a ja czuję w sobie nagłą lekkość.

- Panienko! – woła ktoś.

Wracam na trawnik za szkołą w ulewnym deszczu. Serce bije mi dziko i zgrzytam zębami. Ogarnia mnie dziwne rozbawienie.

- Uśmiecha się, więc pewnie nic jej nie jest – mówi ktoś.

Czuję się bardzo niezwykle. Kokaina. Połączyłam się z Wilhelminą Wyatt. Czuję to, co ona. Ale jak? Przez magię. Ona powoduje zmiany. Zmienia wszystkie moje doznania.

Mężczyźni zarzucają sobie moje ręce na ramiona i pół mnie wloką, pół niosą do kuchni.

- Maryjo, matko Boża, a cóż to się stało? – denerwuje się Brigid. Sadza mnie na krześle przy ogniu i wygania mężczyzn.

- Znaleźlim ją w lesie, chyba ma jakiś atak czy co – mówi jeden z nich.

Atak. Jak Pippa. Tak, właśnie. Miałam atak. Śmieję się, choć wyczuwam, że nie powinnam tego robić.

- Co z nią? – pyta inny, wracając.

- Niech sobie idą stąd. Niech się biorą do swojej męskiej roboty, a takie sprawy zostawią kobietom.

Brigid cmoka z dezaprobatą, a ja widzę po ich twarzach, że z ulgą pozbywają się problemu. Kuchnia. Śmiech. Atak. Tajemnice znane tylko kobietom.

Gospodyni otula moje ramiona kołdrą. Nastawia czajnik. Słyszę, jak zapala zapałką ogień na kuchni.

- Wierci się panienska jak kot – upomina mnie.

Zostaje wezwana pani Nightwing. Podchodzi blisko do mnie, a ja instynktownie się cofam. List w wizji: widziałam go w jej gabinecie. Czy Wilhelmina próbowała mnie ostrzec przed panią Nightwing?

- No i co to za zamieszanie? – pyta dyrektorka.

- Nic takiego – burczę.

Próbuje przyłożyć dłoń do mojego czoła. Odsuwam się poza zasięg jej ręki.

- Proszę się nie ruszać, panno Doyle, jeśli łaska – rozkazuje tonem, w którym brzmi groźba.

- Chcę, żeby Brigid się mną zajęła – odpowiadam.

- Doprawdy? – Jej oczy się zwężają. – Brigid nie jest dyrektorką Akademii Spence. Ja nią jestem.

Nalewa na łyżkę cuchnącą ciecz.

- Proszę otworzyć usta.

Nie robię tego, więc Brigid siłą rozchyła moje wargi. Gęsta, oleista ciecz spływa mi do gardła, aż zbiera mi się na wymioty.

- Otruła mnie pani! – wołam, ocierając usta dłonią.

- To tylko tran z dorsza – uspokaja mnie Brigid, ale ja przewiercam wzrokiem panią Nightwing.

- Zdemaskuję panią – oświadczam głośno.

Dyrektorka okręca się na pięcie.

- Co pani powiedziała?

- Zdemaskuję panią – powtarzam.

Chwilowe zaskoczenie na jej twarzy przeradza się w spokój.

- Sądzę, że panna Doyle powinna spędzić dzień w łóżku i dojsć do siebie, Brigid.

Chociaż zostaję położona do łóżka, nie mogę spać. Czuję, jakby po mojej skórze biegały roje mrówek. Po południu zaczynają boleć mnie mięśnie i dudni mi w głowie, ale w końcu wyzwalam się ze szponów nałogu Wilhelminy. Nie podobała mi się ta wizja i boję się kolejnej.

Pani Nightwing osobiście przynosi mi tacę z podwieczorkiem.

- Jak się pani czuje?

- Lepiej. – Zapach tostu z masłem dociera do moich nozdrzy i nagle uświadamiam sobie, jak bardzo jestem głodna.

- Cukru? – pyta, a łyżeczka zawisa nad cukiernicą.

- Tak. Trzy... dwie łyżeczki, poproszę.

- Mogę wsypać trzy, jeżeli sobie pani życzy.

- Poproszę więc o trzy. Dziękuję – mówię, pochłaniając tost szybciej, niż przystoi.

Pani Nightwing rozgląda się po pokoju i w końcu przysiadła na brzeżku krzesła, jakby siedzenie miało kolce.

- Co miała oznaczać ta uwaga wcześniej? – pyta, przesywając mnie wzrokiem. Tost zmienia się nagle w lepką bryłę w gardle.

- Jaka uwaga? – dziwię się.

- Nie pamięta pani swoich słów?

- Obawiam się, że nic nie pamiętam – kłamię.

Patrzy mi w oczy jeszcze przez chwilę, a potem proponuje mleka do herbaty. Przyjmuję propozycję.

- Czy matka Elena wyjaśniła, dlaczego malowała te znaki? – Pani Nightwing zmienia temat.

- Wierzy, że one nas ochronią – odpowiadam ostrożnie. – Wydaje jej się, że ktoś próbuje przywołać zmarłych.

Dyrektorka nie okazuje żadnych emocji.

- Matka Elena nie czuje się dobrze – orzeka, zamykając kwestię.

Nakładam konfiturę na tost.

- Dlaczego odbudowuje pani Wschodnie Skrzydło?

Pani Nightwing nalewa sobie filiżankę herbaty, bez mleka i cukru na osłodę.

- Obawiam się, że nie rozumiem, o co pani chodzi.

- Od pożaru minęło dwadzieścia pięć lat – wyjaśniam. – Dlaczego akurat teraz?

Dyrektorka zdejmuje jakiś kłaczek ze spódnicy i wygładza materiał.

- Całe lata trwało gromadzenie funduszy, inaczej zrobiłybyśmy to wcześniej. Mam nadzieję, że odbudowa Wschodniego Skrzydła zetrze pajęczyny z naszej reputacji i sprawi, że szkoła zostanie na nowo doceniona. – Popija herbatę i krzywi się, ale choć napój niewątpliwie jest zbyt gorzki, nie sięga po cukiernicę. – Co roku tracę uczennice na rzecz nowych szkół, takich jak panny Pennington. Akademia Spence uważana jest za podstarzałą debiutantkę, której szanse są coraz mniejsze. A ta szkoła to dzieło mojego życia, muszę zrobić wszystko, co się da, żeby istniała dalej. Panno Doyle? – Znów patrzy na mnie przenikliwie. Z wysiłkiem przybieram uprzejmy wyraz twarzy. – Nie zamierzam mówić tak swobodnie, ale czuję, że można pani zaufać. Ma pani za sobą ciężkie doświadczenia. One umacniają człowieka, utwardzają charakter. – Uśmiecha się do mnie smutno.

- Czy ufa pani również pannie McCleethy? – Trzymam mocno filiżankę, unikając jej wzroku.

- Cóż za pytanie! Oczywiście – odpowiada.

- Czy tak jak siostrze? – naciskam.

- Raczej jak przyjaciółce i koleżance – prostuje pani Nightwing.

Mimo herbaty mam zupełnie sucho w gardle.

- A co z Wilhelminą Wyatt? Jej pani ufała?

Tym razem ośmielam się na nią zerknąć. Usta ma zacisnięte w wąską linię.

- Skąd pani zna to nazwisko?

- Była uczennicą tej szkoły, prawda? Siostrzenicą pani Spence?

- Była – przyznaje dyrektorka, nadal mocno zaciskając usta. Nie wydobędę z niej informacji tak łatwo.

- Dlaczego nas nie odwiedza? – pytam, zgrywając niewiniątko. – Jako jedna z dumnych cór Spence.

- Nie była jego dumną córą, lecz gorzkim rozczarowaniem, obawiam się. – Pani Nightwing pociąga nosem. – Próbowwała nas powstrzymać przed odbudową Wschodniego Skrzydła.

- Dlaczego jej na tym zależało?

Dyrektorka starannie składa serwetkę i kładzie ją na tacy.

- Nie wiem. W końcu to ona jako pierwsza zasugerowała, żebyśmy rozpoczęli remont.

- Panna Wyatt to zasugerowała? – pytam zbity z tropu.

- Tak. – Pani Nightwing popija herbatę. – I zabrała coś, co należało do mnie.

- Należało do pani? – powtarzam. – A co takiego?

- Pamiątkę powierzoną mojej pieczy. Cenny przedmiot. Jeszcze herbaty? 0 Unosi zachęcająco imbryk.

- Czy to był sztylet? – naciskam.

Dyrektorka blednie.

- Panno Doyle, przyszedł wypić z panią herbatę, a nie podawać się przesłuchani. Czy Am pani jeszcze ochotę na herbatę, czy nie?

- Nie, dziękuję – odpowiadam, odstawiając filiżankę na tacę.

- A więc dobrze. – Zbiera zastawę. – Proszę odpoczywać. Jestem pewna, że jutro rano będzie pani zdrowa jak ryba.

Z tymi słowy pani Nightwing zabiera tacę, pozostawiając mnie z większą liczą pytań niż odpowiedzi, jak zawsze.

*

Jestem zbyt niespokojna, żeby zasnąć. Boję się snów, a do tego perspektywa kolejnej wizji przeraża mnie wprost śmiertelnie. A ponieważ zjadłam tylko tost, umieram z głodu. Gotowa jestem spałaszować prześcieradło.

Oślaniając dłonią płomień świecy, idę na paluszkach przez zimne, ciche i ciemne korytarze do kuchni. Nadal znajduje się tam dziwaczna kolekcja talizmanów Brigid. Liście jarzębiny na parapecie, krzyż na ścianie. Mam nadzieję, że nie zostawiła całego jedzenia dla skrzatów. Przeszukuję spiżarnię i znajduję jabłko, które jest tylko trochę obite. Pochłaniam je ogromnymi kęsami. Zaczynam się właśnie dobierać do kawałka sera, gdy docierają do mnie jakieś hałasy. Zdmuchuję świecę i skradam się korytarzem. Słabe światło wycieka przez wąską szczelinę w drzwiach do wielkiego salonu.

Ktoś idzie po schodach. Dają nura w cień pod nimi i drzę w ciemnościach, zastanawiając się, kto to może być o tej porze. Na dół schodzi panna McCleethy w koszuli nocnej i ze świecą w dłoni. Włosy opadają jej swobodnie na ramiona. Rozpłaszczam się na ścianie tak mocno, że mam wrażenie, iż kręgosłup zaraz mi pęknie.

Nauczycielka wślizguje się do pokoju i zostawia drzwi lekko uchylone.

- Pozwoliłem sobie wejść. – Męski głos.

- Zauważyłam – odpowiada McCleethy.

- Ona już w łóżku, śni o niebieskich migdałach?

- Tak.

- Jesteś tego pewna? – powątpiewa mężczyzna. – Miałem z nią miłe spotkanie nad Tamizą wczoraj w nocy. Z nią i z bratem Kartikiem.

Fowlson!

- Okłamała cię, Sahiro. Ta panienska dysponuje magią. Przekonałem się o tym na własnej skórze. – Fowlson stoi, widzę jego cień na ścianie.

- Myślisz, że tego nie wiem? – mówi McCleethy, a w jej głosie pobrzmiwają stalowe nuty. – Wydobędziemy ją od niej. Cierpliwości.

- Ona jest niebezpieczna, Sahiro. Lekkomyślna. Doprowadzi nas do zguby – przestrzega Fowlson.

Cień panny McCleethy zbliża się do niego.

- To tylko młoda dziewczyna.

- Nie doceniasz jej – odpowiada, ale jego głos łagodnieje.

Ich cienie zbliżają się do siebie.

- Gdy wybudujemy basztę Wschodniego Skrzydła, sekretne drzwi rozświetlą się dla nas. A wtedy znów zawładniemy międzyświatem i magią.

- A potem? – pyta Fowlson.

- Potem...

Cień głowy Fowlsona pochyla się do panny McCleethy. Ich twarze stykają się i zlewają w jedną plamę na ścianie. Mój żołądek napina się z nienawiści do nich obojga.

- Jesteś trochę szalona, Sahiro – przyznaje Fowlson.

- Podobało ci się to we mnie – mruczy nauczycielka.

- Nadal tak jest.

Ich głosy przycichają do westchnień i pomruków. Oblewam się rumieńcem.

- To dla mnie ważne, Sahiro – mówi miękko Fowlson. – Jeżeli pozostanę jedynym, który wejdzie tam z tobą i Zakonem, będę mógł stawiać warunki. Będą mnie za to nazywali wielkim człowiekiem. Nie chcę być wiecznie ich popychadłem. Chcę, jak należy, zasiadać za stołem i mieć udział we władzy.

- I tak będzie. Obiecuję. Zostaw to mnie – odpowiada panna McCleethy.

- Brat Kartik stanowi problem. Próbował zwołać spotkanie. A jeśli mój pan się dowie, że puściłem Kartika, zamiast go zabić, jak mi kazali?

- Twój pracodawca się nie dowie, a ja potrzebuję teraz Kartika.

Wstrzymuję oddech. Może zamierzają go skrzywdzić? Muszę do niego pędzić, ostrzec...

- Zawarłam z nim umowę – mówi dalej McCleethy. – Nie wolno mu zapomnieć, że to ja wytargowałam u ciebie jego życie, ja dawałam mu schronienie w Londynie przez te wszystkie miesiące, zanim nie wydobrzeał. Teraz ma wobec mnie dług i musi go spłacić.

- Miał szpiegować dziewczynę, przekazywać nam wszystko, co usłyszy i zobaczy, a nie kręcić za naszymi plecami.

- Rozmówię się z nim – przyrzeka nauczycielka.

Ciężar ich słów sprawia, że powoli osuwam się w dół przy ścianie. Panna McCleethy w Egyptian Hall. Postać w ciemności. To był Kartik. Wysłała go, żeby mnie szpiegował. Żółć, gorąca i kwaśna, podchodzi mi do gardła.

- Trzeba czegoś więcej niż słowa. Pozwól, żebym znów spuścił mu lanie. Tak się załatwia sprawy, Sahiro.

- Ty tak załatwiasz sprawy – ripostuje McCleethy. – Ja będę stosowała swoje metody.

- Jesteś pewna, że ona niczego nie podejrzewa?

Głos panny McCleethy brzmi pewnie jak zawsze.

- Absolutnie niczego.

Rozlega się skrzypienie butów na posadzce. Siedzę odrętwiała w ciemności, gdy nauczycielka odprowadza Fowlsona do drzwi, a potem idzie na górę do łóżka. Nawet wtedy nie wstaję, bo nie mogę się ruszyć. A gdy znów odzyskuje wadzę w nogach, maszeruję prosto do hangaru na łodzie, bo wiem, że tam go znajdzie.

Nie jestem zawiedziona. Siedzi i czyta Homera przy świetle latarni.

- Gemmo! – woła, ale jego uśmiech zamiera, gdy widzi wyraz mojej twarzy. – Co się stało?

- Okłamałeś mnie i nie próbuj zaprzeczać! Wiem wszystko! – odpowiadam. – Pracujesz dla nich!

Tak jak się spodziewałam, nie usiłuje udawać niewiniątka ani szukać dla siebie usprawiedliwień.

- Jak się dowiedziałaś? – pyta.

- To chyba nie jest najistotniejsze, prawda? – warczę. – To ta druga sprawa, o której nie chciałeś mi powiedzieć, kiedy siedzieliśmy na nabrzeżu, tuż zanim mnie...

Pocałowałaś.

- Tak – potwierdza.

- Więc równocześnie szpiegowałaś dla nich i całowałaś mnie?

- Nie chciałem pracować dla nich – broni się. – Ale chciałem cię pocałować.

- Powinnaś teraz zemdleć z zachwyty?

- Nic nie powiedziałem panie McCleethy. Dlatego trzymałem się z dala od ciebie, abym nie musiał niczego mówić. Wiem, że jesteś na mnie zła, Gemmo. Rozumiem, ale...

- Naprawdę? – Iskra magii zapala się w moim brzuchu. Mogłabym to wszystko wymazać, ale tak naprawdę nie zniknęłoby. Nie na dobre. Nadal bym wiedziała. Całą siłę skupiłam na tym, by stłamsić magię, która w końcu zwija się we mnie jak śpiący wąż. – Powiedz mi tylko dlaczego.

Siada na podłodze, opierając ramiona na zgiętych kolanach.

- Amar był wszystkim, co miałem na tym świecie. Był dobrym człowiekiem, Gemmo.

Dobrym bratem. Świadomość, że jest uwięziony w Krainie Zimy, przeklęty na wieki... -

Milkanie. – A potem miałem potworną wizję, kiedy Fowlson... - Przełyka z trudem. –

Torturował mnie. Byłby mnie zabił, ale w tamtej chwili to nie miało znaczenia. Powstrzymała go panna McCleethy. Powiedziała mi, że z jej pomocą mógłbym uratować Amara. Że mógłbym uratować ciebie. Ale musiała zorientować się, co zamierzasz, a wiedziała, że sama jej tego nie powiesz.

- Nie bez powodu – prychnam.

- Myślałem, że mogę uratować was oboje – dodaje.
- Nie potrzebuję, żebyś mnie ratował! Chcę ci ufać!
- Przepraszam – mówi po prostu. – Ludzie popełniają błędy, Gemmo. Robimy złe rzeczy kierowani dobrymi pobudkami i dobre rzeczy ze złych pobudek. Jeśli chcesz, pójde jutro do McCleethy i powiem jej, że nie ma już nade mną władzy.
- Wysłała Fowlsona – ostrzegam go.
Wzrusza ramionami.
- Niech przyjdzie.
- Nie ma potrzeby, żebyś rozmawiał z McCleethy – mówię, ciągnąc luźną nitkę, aż odpruwa mi się obrąbek spódnicy. – Wtedy dowie się, że ja wiem. Poza tym nie powierzę ci żadnych tajemnic. I mylisz się, Amar nie był wszystkim, co miałeś na tym świecie – oświadczam i mocno mrugając, unoszę wzrok na drewniane krokwie w hangarze. – W ogóle we mnie nie wierzyłeś.
Kiwa głową, przyjmując cios, potem wyprowadza własny:
- A czy ty pozwalasz sobie wierzyć w kogokolwiek?
Przypominają mi się słowa Kirke: „Przyjdiesz do mnie, gdy nie zostanie ci już nikt, komu będziesz mogła zaufać”.
- Idę. I nie wrócę.
Ruszam do drzwi. Pcham je z całej siły, pozwalając, by uderzyły w ścianę hangaru. Kartik wychodzi za mną i bierze mnie za rękę.
- Gemmo – mówi – nie jesteś jedyną zagubioną duszą na tym świecie.
Kusi mnie, żeby mocno trzymać się jego dłoni, ale nie mogę.
- Mylisz się.
Uwalniam rękę z jego uścisku, zwijam ją w pięść i przyciskam do brzucha, po czym biegnę w stronę tajemnych drzwi.
Mijam Neelę, Kreostusa i dwa inne centaury na makowym polu w drodze do Świątyni. Kłóca się z Hanijami o cenę kosza maków.
- Idziesz znów wdawać się w układy z Niedotykalnymi? – prycha Neela.
- Nie powinno cię to interesować – ripostuję.
- Obiecałaś nam udział – mówi, zamieniając się w doskonałą replikę mnie, a potem znowu w siebie.
- Dam go wtedy, kiedy zechcę – odpowiadam. – J e ś l i zechcę. Bo skąd mam wiedzieć, że się nie sprzymierzyliście z istotami z Krainy Zimy?
Neela rozciąga wargi, jakby chciała warknąć.
- Oskarżasz nas?
Kiedy nie odpowiadam, Kreostus robi krok do przodu.
- Jesteś taka sama jak one.
- Idźcie sobie! – złoszczę się, ale to ja odchodzę.
Ruszam pod górę do studni wieczności. Kładę dłonie na cembrowinie i wpatruję się w nieruchomą twarz Kirke.
- Chcę wiedzieć wszystko o Zakonie i Rakshanach. Proszę niczego nie pomijać – odzywam się. – Ma mi pani powiedzieć, jak zapanować nad tą magią.
- Co się stało? – pyta.
- Miała pani rację. Spiskują przeciwko mnie. Wszyscy. Nie pozwolę odebrać sobie mocy.
- Cieszę się.
Przysiadam na brzegu studni i przyciągam kolana do piersi. Rąbek mojej sukni unosi się na wodzie, przywodząc mi na myśl pogrzebowe kwiaty wrzucane do Gangesu.
- Jestem gotowa – mówię bardziej do siebie niż do niej.
- Najpierw chcę się czegoś dowiedzieć. Gdy cię widziałam ostatni raz, kierowałaś się do Krainy Zimy. Powiedz, znalazłaś Drzewo Wszystkich Dusz?

- Tak.

- I było tak potężne jak Świątynia?

- Tak – potwierdzam. – Jego magia jest inna. Ale równie potężna.

- Co ci pokazało? – pyta, a ciche westchnienie niesie się echem po jaskini.

- Eugenię Spence. Ona żyje – odpowiadam.

Kirke jest tak cicho, że zastanawiam się, czy aby na pewno ona także jest wśród żywych.

- Czego chciała? – pyta w końcu.

- Żeby coś dla nie znalazła. Sztylet.

Przez chwilę milczy.

- I znalazłaś go?

- Odpowiedziałam już na dość pytań. Teraz ja chcę odpowiedzi – stawiam się. – Niech mnie pani uczy.

- To będzie cię kosztowało kolejną porcję magii – przypomina cicho.

- Zapłacę. Po co ona pani? – dziwię się. – Co chce pani z nią zrobić, skoro nie może pani opuścić studni?

Jej głos unosi się z głębin.

- A co ci to przeszkadza? To rozgrywka szachowa, Gemmo. Chcesz wygrać czy nie?

- Chcę.

- A zatem słuchaj uważnie.

Siedzę u boku Kirke przez wiele godzin i słucham, aż w końcu rozumiem, aż przestaję się bać mojej mocy, aż coś głęboko we mnie wydostaje się na swobodę. A kiedy wychodzę ze Świątyni, nie obawiam się już mocy, która żyje we mnie. Czczę ją. Zamierzam zamknąć swe granice i bronić ich bezlitośnie.

Idę między wierzbami i słyszę za sobą tętent kopyt wierzchowca Amara. Nie biegnę. Staję i odwracam się do niego. Podjeżdża bardzo blisko. Lodowaty oddech konia chłodzi moją twarz.

- Nie dam się przestraszyć – ostrzegam.

- Majowe narodziny, śmiertelniczko. Tego powinnaś się bać – odpowiada i odjeżdża w chmurze pyłu.

Czarne ptaki lądują wśród wierzb. Idę między nimi jak królowa mijająca poddanych, a one trzepoczą ciemnymi skrzydłami i kraczą do mnie. Ich krzyk narasta i porusza drzewami niczym wołanie przeklętych.

AKT IV

PÓŁNOC

Palec mię świerzbi, to dowodzi,
Że jakiś potwór tu nadchodzi.

WILLIAM SHAKSPEARE, *Makbet*

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

W maju doroczna wystawa w Królewskiej Akademii Sztuki tradycyjnie już wyznaczy początek londyńskiego sezonu. Zbierze się parlament, a tabuny ludzi rozpoczną najazd na nasze piękne miasto, żeby brać udział w podwieczorkach, koncertach, wyścigach i rozrywkach wszelkiego rodzaju. Lecz nieoficjalny początek tych atrakcji stanowi bal, który lady Markham wydaje z okazji debiutu Felicity. Wynajęła na tę okazję wspaniałą salę na West Endzie, która została luksusowo umeblowana, w stylu godnym sultana. Wyprawianie przyjęć to rodzaj sportu i panie zawzięcie rywalizują między sobą, która zorganizuje wydarzenie bardziej luksusowe i wystawne. Lady Markham zamierza ustawić poprzeczkę naprawdę wysoko.

Wzdłuż ścian sali balowej stoją ogromne palmy. Stoły zostały nakryte białym lnem i srebrami, które połyskują niczym pirackie skarby. Orkiestra gra dyskretnie za wysokim, czerwonym parawanem pomalowanym w chińskie smoki. Zapewniono też rozliczne atrakcje. Ubrany w turban połycacz ognia z twarzą zabarwioną na niebiesko wypuszcza z ust wielki pomarańczowy płomień, a goście aż wzdychają z zachwytu. Trojaczki syjamskie w wyszywanych koralikami sukniach i błyszczących pantofelkach na nogach przedstawiają powolny, wyszukany taniec. Wyglądają jak jedna postać z mnóstwem wijących się ramion. Dżentelmeni gromadzą się wokół tancerek, zafascynowani sprawnością ich ciał.

- Jakie to wulgarnie – oburza się pani Tuttle, moja przyzwoitka.

Babcia zapłaciła niezłą sumkę za jej usługi, a ja szybko uznałam, że jest to najgorszy rodzaj przyzwoitki, jaki mógł mi się trafić: punktualna, bezwzględna i nadmiernie czujna.

- Mnie się nawet podobają – przyznaję. – Chyba też się nauczę tak tańczyć. Może już dzisiaj.

- Nie zrobi pani niczego podobnego, panno Doyle – oświadcza, jakby to załatwiało sprawę, choć wcale tak nie jest.

- Zrobię, co będę chciała, proszę pani – mówię słodko.

Dyskretnie przesuwam dłonią nad jej spódnicą, która unosi się, ukazując halki i pantalony. Kobieta z jękiem przytrzymuje przód sukni, ale wtedy podnosi się tył.

- Ojej! – Gdy sięga do tyłu, znów unosi się przód. – Mój Boże! To... to... Proszę mi na moment wybaczyć.

Pani Tuttle spieszy do gotowalni dla dam, próbując okiełznać niesforną spódnicę.

- Z niecierpliwością czekam na pani powrót – mruczę za nią.

- Gemmo!

To Felicity w towarzystwie przyzwoitki, wysokiej, chudej jak patyk damy z nosem niczym ptasi dziób.

- Czyż to nie jest cudowne? Widziałaś połycacza ognia? Tak się cieszę, że to będzie najgłośniejsze przyjęcie w tym sezonie. Nie wyobrażam sobie, żeby jakieś inne mogło z nim konkurować!

- Jest wspaniałe, Fee, naprawdę.

- Przynajmniej nie muszę się już martwić o spadek – szepcze. – Ojciec zaprzyjaźnił się z lady Markham. Nawet mamę potraktowała dość uprzejmie.

Bierze mnie pod ramię i ruszamy wzdłuż sali, a jej przyzwoitka – Francuska, madame Lumiere – podąża trzy kroki za nami.

- Mama uparła się, żeby wynająć dziś przyzwoitkę – mówi szeptem Felicity. – Wydaje jej się, że przez to będziemy wyglądali na ważniejszych.

My się przechadzamy, a mężczyźni taksują nas wzrokiem, jakbyśmy były krajami do zdobycia, albo przez negocjacje, albo w bitwie. Rozmawiają o polowaniu i parlamencie, koniach i majątkach ziemskich, ale wzrokiem ciągle wracają do nas. Trzeba zawrzeć umowy,

trzeba obsiać pola. Tak się zastanawiam: gdyby kobiety nie były córkami i żonami, matkami i młodymi damami, kandydatkami na żony lub stare panny, gdyby nie były postrzegane przez oczy innych, czy w ogóle by istniały?

- Możemy zabić czas przy deserze – sugeruje madame Lumiere.

Nie chcę zabijać czasu. Chcę chwytać go mocno i odciskać swój ślad na świecie.

- Och, biedna madame Lumiere. Proszę się poczęstować. Panna Doyle i ja poczekamy tu na pani powrót – mówi Fee, obdarzając ją jednym ze swych najbardziej promiennych uśmiechów.

Madame Lumiere obiecuje, że wróci *tout de suite*⁵. W chwili gdy znika nam z pola widzenia, oddałyśmy się szybko, żeby odkrywać bez skrupowania cuda balu.

- Będiesz tańczyła z kimś interesującym? – pytam, zauważając karnecik przyjaciółki.

- Z samymi potworami! Ze starym panem Carringtonem, który śmierdzi whisky. Z Amerykaninem, który spytał mnie wprost, czy moja rodzina posiada ziemię. I kilkoma innymi konkurentami, z których żadnego nie uratowałabym przed utonięciem, nie wspominając o wyrażeniu zgody na małżeństwo. No i oczywiście jest jeszcze Horace. – Felicity warczy cicho. – Łazi za mną wszędzie jak żalosny szczeniak.

- Oczarowałaś go – mówię ze śmiechem.

- Simon powiedział, że mam być czarująca, więc czarowałam na każdym spotkaniu z lady Markham i jej synem, ale wydaje mi się, że nie dam rady już dłużej znieść jego atencji.

- Lepiej się przygotuj, bo właśnie nadchodzi.

Kiwam głową w stronę tłumu złożonego z trzech setek osób, przez który przeciska się w naszym kierunku Horace Markham, unosząc dłoń jak człowiek, który chce przywołać dorożkę. Jest wysoki i smukły, ma dwadzieścia trzy lata, jak twierdzi Felicity. Jego chłopięcą twarz często pokrywa rumieniec. Wystarczy mi jedno spojrzenie na niego – lekko pochyła się do przodu, jakby zawstydzony – żeby stwierdzić, że nie ma w sobie odwagi, a właściwie ognia potrzebnego, aby dotrzymać kroku mojej przyjaciółce.

- O rety – mamrocę pod nosem.

- W rzeczy samej – potwierdza Fee.

- Panno Worthington – odzywa się zadyszany Horace. Pojedynczy lok przykleił mu się do wysokiego, błyszczącego czoła. – Wygląda na to, że znów się spotykamy.

- Tak, na to wygląda. – Fee zerka na niego spod spuszczonej powiek. Na jej ustach igra skromny uśmieszek. Nie dziwota, że biedny chłopak zgłupiał na jej punkcie.

- Następną chyba jest polka. Czy zechce pani ze mną zatańczyć? – pyta i brzmi to jak błaganie.

- To bardzo uprzejme z pańskiej strony, ale tańczyliśmy już razem tyle razy, że boję się, co ludzie powiedzą – odpowiada Fee, zgrywając się na porządną, a ja z całej siły powstrzymuję śmiech.

- Niech mówią, co chcą. – Horace obciąga kamizelkę, jakby szykował się do pojedynku w obronie honoru rodziny.

- Boże mój – mruczę cicho.

Felicity spogląda na mnie z ukosa, jakby mówiła: „Nie masz nawet pojęcia”. Lady Denby siedzi za stołem i je ciasto. Patrzy na nas z dezaprobatą, co nie umyka uwagi mojej przyjaciółki.

- Jaki pan odważny – wyraża uznanie Felicity, pozwalając, by Horace poprowadził ją na parkiet tuż przed nosem lady Denby.

- Przypuszczam, że nie ma pani już w karnecie wolnego miejsca na jeden taniec?

Odwracam się, a przede mną stoi uśmiechnięty Simon Middleton. W białym krawacie, we fraku i z tym szelmowskim błyskiem w oku wygląda równie przystojnie jak zawsze.

⁵ *Tout de suite* (fr.) – zaraz, natychmiast (przyp. tłum.).

- Miałam zatańczyć z niejakim panem Whitfordem – wyrażam obiekcje.
Simon kiwa głową.

- A, starszerek Whitford. Nie tylko chodzi o lasce, ale też ma słabą pamięć. Zapewne zapomniał o pani, przykro mi to mówić, a nawet jeżeli nie, zdążymy zatańczyć i wrócić, zanim tutaj dokuśtyka.

Śmieję się, rozbawiona jego poczuciem humoru.

- W takim razie zgadzam się.

Wchodzimy na parkiet, przeciskając się obok Toma, który próbuje oczarować swoją partnerkę.

- Doktor Smith i ja wyleczyliśmy biedaka z omamów, ale śmiem twierdzić, że to moja opinia doprowadziła do przełomu...

- Naprawdę? – pyta ona, chłonąc powieść, a ja w ostatniej chwili powstrzymuję się, by nie dorobić mu króliczych uszu.

Pani Tuttle wróciła z gotowalni dla dam. Niesie dwie szklanki lemoniady. Dostrzega, że tańczę z Simonem, a na jej twarzy maluje się wyraz zgrozy, gdyż jej obowiązkiem jest dopilnować, aby każdy dżentelmen, który chce mnie adorować, przeszedł musztrę. Ona dzierży klucze do bramy. Ale została zwolniona z obowiązku, czy wie o tym, czy nie. *Nie, pani Tuttle. Chce pani tam zostać. Nic mi nie grozi w ramionach Simona. Nie potrzebuję opieki. Proszę zająć się lemoniadą.* Zmieszana pani Tuttle gwałtownie mruga oczami i pociąga lemoniadę z obu szklanek.

- Pani przyzwoitka wygląda na trochę zdezorientowaną. Czy ona pije? – interesuje się Simon.

- Tylko lemoniadę – odpowiadam.

Simon posyła mi kokietyjny uśmiech.

- Mam wrażenie, że zaszła w pani jakaś zmiana.

- Tak?

- Hm. Nie potrafię jej sprecyzować. Panna Doyle i jej tajemnice. – Przesuwa po mojej sylwetce taksującym spojrzeniem, które jest o wiele zbyt śmiałe i, muszę przyznać, bardzo przyjemne. – Ale wygląda dziś pani uroczo.

- Czy panna Fairchild przyszła na bal?

- Owszem – odpowiada Simon, a ja nie potrzebuję mocy międzyświata, żeby wyczuć w jego głosie ciepło.

Nagle przepelnia mnie żal, że go odrzuciłam. Jest przystojny i wesoły. Uważał mnie za piękność. A jeśli już nigdy nie znajdę nikogo takiego jak on?

A może go odzyskam?

- Panna Fairchild jest Amerykanką. Przypuszczam, że będzie chciała wrócić do domu, gdy tylko sezon się skończy – mówię i przysuwam się do niego trochę bliżej.

- Być może, choć twierdzi, że Anglia bardzo jej się podoba. – Dłoń Simona naciska odrobinę mocniej na podstawę moich pleców. – A pani jakie ma plany, panno Doyle? Czy wiąże pani swoją przyszłość z kimś szczególnym?

Przypominam sobie o Kartiku, ale szybko wyrzucam tę myśl z głowy, zanim zepsuje mi nastrój.

- Nie.

Kciuk Simona delikatnie przesuwa się po mojej sukni. Plecy łaskoczą mnie pod jego dotykiem.

- To dobra wiadomość – mówi cicho.

Taniec dobiega końca, przepraszam więc i udaję się do damskiej gotowalni, żeby trochę schłodzić rumieńce na policzkach. Garderobiane czekają w gotowości, ale nie potrzebuję ich. Włosy, które wymknęły się z upięcia, doprowadzam do porządku jednym machnięciem ręki.

Uznaję, że nie będę się przejmowała ponownym zapinaniem rękawiczek, więc z dala od wścibskich oczu daję sobie nową parę. Uśmiecham się na myśl o swym dziele.

- Dobry wieczór, panno Doyle.

Obok mnie staje Lucy Fairchild.

- Panna Fairchild – mówię.

Uśmiecha się do mnie niezwykle ciepło.

- Wspaniały bal, prawda? Musi być pani bardzo szczęśliwa ze względu na swoją przyjaciółkę, pannę Worthington.

- Tak – odpowiadam, odwzajemniając uśmiech. – Jestem.

- Patrzyłam, jak pani tańczy. Porusza się pani z ogromnym wdziękiem – mówi dalej, a ja rumienię się na myśl o dłoni Simona na moich plecach i o tym, jak się w niego wtulałam.

- Dziękuję. Chociaż mój wdzięk to wątpliwa sprawa i jestem pewna, że Sim... pan Middleton woli tańczyć z panią.

Niezręcznie uśmiechamy się do siebie w lustrze. Panna Fairchild szczypie się w policzki, żeby nadać im kolor, choć wcale nie ma takiej potrzeby. Wygląda uroczo.

- Cóż... - odzywam się i wstaję, żeby wyjść.

- Miłej zabawy – mówi z pełną szczerością Lucy.

- Pani również tego życzę.

Rozbrzmiewa gong wzywający gości do sali balowej. Lord Markham chwiejnym krokiem wychodzi na środek parkietu. Sądząc po czerwonym kolorze jego nosa, musiał już sporo wypić.

- Panie i panowie, nasi szacowni goście – przemawia nieco niewyraźnie – moja droga żona przygotowała na dzisiejszy wieczór niezwykle ekscytujący występ. Wirujący derwisze z Konyi przybyli do nas jako uchodźcy z Imperium Otomańskiego, w którym niedawnymi czasy armia sułtana dokonała niewyobrażalnej masakry ludu armeńskiego. Trzeba skończyć z tym bestialstwem! Musimy...

Rozlegają się głośne chrząknięcia, a damy gwałtownie machają wachlarzami. Lady Markham błagalnie patrzy na męża, prosząc niemo, żeby nie mówił już więcej o polityce, a on nagle zbity z tropu potulnie kiwa głową.

- Przedstawiam państwu derwiszy z Konyi!

Na parkiet wychodzi ośmiu mężczyzn w bardzo wysokich nakryciach głowy. Blask kryształowych żyrandoli sprawia, że biel ich długich kapłańskich szat aż lśni. Rozlega się hipnotyczna muzyka. Tancerze kłaniają się sobie, po czym powoli zaczynają się kręcić. Muzyka robi się głośniejsza, tempo narasta, a ich długie spódnice otwierają się jak dzwony.

Taniec nabiera ekstatycznego impetu, który burzy mi krew. Derwisze wirują w transie, wyciągając dłonie do nieba, jakby mogli musnąć Boga palcami, ale tylko wtedy, gdy nie przestaną się kręcić.

Goście przyglądają im się z zachwytem, pochłonięci ekstazą wirujących derwiszy. Nagle po prawej zauważam Fowlsona w stroju służącego z tacą w ręku. Nie patrzy na tancerzy, lecz na mojego brata. Kilka sekund później wychodzi z pokoju. Dziś wieczorem tak łatwo go nie puszczę. Zamierzam śledzić każdy jego krok. Albo da spokój Tomowi, albo zazna mojego gniewu.

Idzie na górę i puka do drzwi salonu dla dżentelmenów. Ukrywam się za wielką paprocią w donicy. Chwilę później z pokoju wychodzi lord Denby.

- Tak, Fowlson?

- Ogląda taniec, sir – raportuje oprych. – Nie spuszczam go z oka, jak pan kazał.

Lord Denby klepie Fowlsona po ramieniu.

- Dobra robota.

- Chciałem spytać, czy możemy zamienić słówko.

Lord Denby przestaje się uśmiechać.

- Nie miejsce ani czas po temu, mój drogi.

- Sir, pan wybaczy, ale tak jest zawsze, a chciałem tylko zapytać, kiedy mógłbym awansować w szeregach Rakshana, jak o tym rozmawialiśmy. Mam pewne przemyślenia...

Lord Denby wtyka cygaro do ust.

- Wszystko we właściwym czasie.

- Jak pan każe – poddaje się Fowlson i zwiesza głowę.

- Potrzeba nam więcej dobrych żołnierzy takich jak ty – pociesza go lord Denby. – A teraz wracaj do swoich obowiązków, dobrze?

- Tak, sir – zgadza się Fowlson. Zawraca na pięcie i idzie do sali balowej, gdzie będzie pilnował mojego brata.

Lord Denby należy do Rakshana! Pełne znaczenie tego faktu odbieram jak cios pięścią w brzuch. Należał do nich od samego początku. A ja byłem w jego domu. Całowałam jego syna. Simon... Rośnie we mnie gniew, wściekły i bezwzględny. Ten człowiek odpowie za to, i za mojego brata.

Nie zawracam sobie głowy pukaniem. Otwieram drzwi i wchodzę do salonu, w którym siedzą sami panowie, paląc fajki i cygara. Twarde błyski w ich oczach jasno świadczą o tym, że jestem tu intruzem. Zbieram się w sobie i maszeruję wśród grup wrogo milczących mężczyzn prosto do lorda Denby, który przywołuje na twarz fałszywy uśmiech.

- Ależ, panno Doyle, obawiam się, że to pokój jest wyłącznie dla dżentelmenów. Jeżeli się pani zgubiła, mogę panią odprowadzić...

- Muszę z panem porozmawiać – przerywam mu.

- Obawiam się, że nie mogę teraz odejść od stołu, moja droga – odpowiada.

Zaraz odejdziesz w podskokach, ty nędzny draniu! Zmuszam się do uśmiechu słodkiego jak miód i ściszam głos.

- To pilna sprawa. Ci mili dżentelmeni z pewnością zechcą poczekać. A może powinnam sprawdzić, czy pan Fowlson odniesie się do mojej prośby z większą przychylnością?

- Panowie – zwraca się do swych towarzyszy – wybaczcie na moment. Wiecie, jakie potrafią być damy, gdy im na czymś zależy. – Dżentelmeni bawią się moim kosztem, a ja z trudem się powstrzymuję, by nie potraktować ich swędzącą wysypką.

Lord Denby prowadzi mnie do prywatnej biblioteki. W normalnych warunkach widok tylu pięknych książek przyniosłby mi pociechę, ale teraz jestem zbyt rozżłoszczona. Przypuszczam też, że książki są tu takie jak ludzie – nikt się w nich nie zagłębia i pełnią funkcję czysto dekoracyjną.

Lord Denby zajmuje miejsce w nadmiernie wypchanym skórzanym fotelu przy stoliku szachowym, po czym wydmuchuje kłęb ciężkiego dymu, przez który zanoszę się kaszlem.

- Chciała pani ze mną rozmawiać, panno Doyle?

- Wiem, kim pan jest, lordzie Denby. Wiem, że należy pan do stowarzyszenia Rakshana, i wiem, że próbuje pan zwabić w swoje sidła mojego brata.

Mężczyzna koncentruje uwagę na szachownicy, przesuwając bierki za siebie i za wymyślnego przeciwnika.

- I co z tego?

- Proszę, żebyście zostawili mojego brata w spokoju.

- Moja droga, obawiam się, że to nie leży w mojej gestii.

- Kto stoi wyżej od pana w hierarchii? Proszę mi powiedzieć, a pójdę...

- W szeregach Rakshana znajdują się najważniejsi i najbardziej wpływowi ludzie na świecie: mężowie stanu i wielcy przedsiębiorcy. Ale nie o to mi chodziło. Miałem na myśli to, że ta decyzja zależy od pani, moja droga. – Wypuszcza kolejny kłęb dymu. Jego ręka zawisa nad pionkiem na ułamek sekundy przed atakiem, po czym chwyta go płynnie i przenosi na inne pole. – Musi pani tylko oddać nam magię i kontrolę nad międzyświatem, a pani brat będzie zupełnie bezpieczny, zapewniam panią. A właściwie zostanie wielkim

człowiekiem, parem, równym nam pozycją. Dobrze się nim zaopiekujemy, jak i całą waszą rodziną. Pewien jestem, że lady Denby wyda bal z okazji pani debiutu, który przyćmi wszystkie inne. Będzie na nim obecna królowa we własnej osobie.

- Sądzi pan, że przyszedłam rozmawiać o przyjęciach? Że jestem dzieckiem, które można przekupić nowym kucykiem? Nie ma pan w ogóle honoru, sir? – Oddycham głęboko. – Rakshana mieli chronić międzyświat i Zakon. Była to godna szacunku funkcja. Teraz z nami walczyacie. Chce mnie pan zastraszyć i zdeprawować mojego brata. Co się z wami porobiło?

Lord Denby zbija wieżę swojego wyimaginowanego przeciwnika i stawia na jej miejsce gońca.

- Czasy się zmieniły, panno Doyle. Minęły dni, gdy szlachcic opiekował się tymi, którzy uprawiali jego ziemię. Rakshana też muszą się zmienić, przekształcić z łagodnego rycerskiego bractwa w twarde dochodowe przedsiębiorstwo. Wyobraża sobie pani, jak wielkie posiadalibyśmy wpływy, gdybyśmy mieli pod kontrolą moc taką jak pani? Niech pani myśli jak Angielka, panno Doyle! Co ta moc mogłaby zrobić dla Imperium, dla przyszłych synów Anglii!

- Zapomina pan, że nie wszyscy jesteśmy Anglikami i mężczyznami – odpowiadam i wtrącam się w jego rozgrywkę szachową. Przesuwam pionek, zaskakując jego gońca. – Co z Amarem, Kartikiem i innymi? Co z kobietami albo ludźmi o pozycji pana Fowlsona? Czy ktokolwiek z nas zasiądzie przy waszym stole?

- Jedni rządzą, przeznaczeniem innych jest być poddanymi. – Jego skoczek zbija królowkę i zagraża mojemu królowi. – Co pani na to, panno Doyle? Możemy całą pani przyszłość zaaranżować zgodnie z pani upodobaniami. Wszystko, czego pani zapagnie. Proszę wybrać sobie narzeczonego, choćby mojego syna.

Lodowate palce ściskają moje serce.

- Zaaranżował pan moje spotkanie z Simonem? To była część pańskiego planu?

- Nazwijmy to szczęśliwym zbiegiem okoliczności. – Lord Denby atakuje mojego króla. – Szach-mat, moja droga. Czas, bym ja wrócił do stolika, a pani na tańce. – Gasi cygaro. Mdły dym unosi się w powietrzu, gdy Denby długimi krokami zmierza do drzwi. – Proszę przemyśleć naszą ofertę. Przedstawiamy ją po raz ostatni. Pewien jestem, że zrobi pani to, co leży w naszym – i pani – najlepszym interesie.

Mam ochotę rzucić w niego dogasającym cygarem. Mam ochotę się rozplakać. Przyciskam palce do powiek, żeby zapanować nad łzami. Zachowałam się tak koszmarnie głupio, nie doceniając wpływów Rakshana i ufając Simonowi Middletonowi. Nigdy mu na mnie nie zależało. Traktował mnie jak pionka, a ja chętnie dałam się wykorzystać.

Cóż, już zawsze będę się mieć na baczności.

- Panno Doyle! – Gdy wchodzę do sali balowej, pani Tuttle rzuca się w moją stronę z gniewem w oczach. – Panno Doyle, nie wolno pani tak uciekać. To niewłaściwe. Moim obowiązkiem jest dopilnować, by w każdym momencie zachowywała się pani odpowiednio....

- Och, niechże się pani zamknie – warczę.

Zanim zacnie się burzyć, rzucam czar.

- Chce się pani pić, pani Tuttle. Jeszcze nigdy w życiu nie była pani tak spragniona. Niech pani zajmie się lemoniadą i zostawi mnie w spokoju.

- Mam chętkę na lemoniadę – mówi przyzwoitka, przykładając drżącą dłoń do gardła. – Boże mój, usycham z pragnienia. Muszę się czegoś napić.

Zostawiam ją i obserwuję bal zza kolumny. Jestem samotna, pełna magii i nienawiści, które łączą się w nową siłę. Niedaleko mnie lady Denby plotkuje z lady Markham i kilkoma innymi wpływowymi damami.

- Bardzo się do niej przywiązałam w ciągu tych kilku tygodni, jakby była moją córką – wyznaje lady Denby.

- Jest dla niego idealną partią – zgadza się inna dama.

Lady Denby kiwa głową.

- Simon nie zawsze wykazywał się właściwym osądem w tych kwestiach. Dawaliśmy się zwieść już wcześniej. Ale panna Fairchild to wspaniała młoda dama: dobrze wychowana, miła, bez skazy i pochodzi z dobrej rodziny.

Korpulentna matrona, na której ciele trudno by było znaleźć centymetr nieozdobiony koralikami lub klejnotami, skrywa twarz za wachlarzem.

- Lady Markham, czy podjęła już pani decyzję w tej drugiej sprawie, dotyczącej młodej Worthingtonówny?

- Owszem. – Gospodyni balu pociąga nosem. – Rozmawiałam dzisiaj z admirałem i wszystko ustalone: panna Worthington zamieszka u mnie, abym mogła opiekować się nią podczas sezonu. Jej matka nie będzie miała nic do powiedzenia w tej kwestii.

Lady Denby klepie ją po dłoni.

- Tak powinno być. Pani Worthington musi zapłacić za swoją hańbę, a jej córka jest istotą zdecydowanie zbyt śmiałą i porywczą. Weźmie pani dziewczynę pod swoje skrzydła i ukształtuje z niej damę, którą wszyscy zaakceptują.

- W rzeczy samej – potwierdza lady Markham. – Uważam to za swój obowiązek, zważywszy że jej matka tak sromotnie zawiodła. – Kobiety rzucają spojrzenia na panią Worthington, która tańczy z mężczyzną o połowę młodszym. – I nie zapominajmy o znacznym spadku młodej panny Worthington. Jeżeli uda się ją ujarzmić, będzie cenną żoną dla każdego mężczyzny.

- Może dla twojego Horace'a? – szczebiocze lady Denby.

- Może – zgadza się lady Markham.

Wyobrażam sobie Felicity jako rozpieszczoną debiutantkę w salonie lady Markham, a nie jako wolnego ducha na poddaszu w Paryżu, jak tego pragnie. Będzie bezsilna i godna współczucia, a tego właśnie nienawidzi najbardziej na świecie. Nigdy do tego nie dojdzie. Sama o to zadbam, jeśli okaże się to konieczne.

- A, jest nasza panna Fairchild – zauważa lady Denby.

Simon prowadzi pannę Fairchild do swojej matki. Lady Denby wyraźnie nadskakuje dziewczynie, podczas gdy on otacza obie pełną czułości uwagą. Rozpala się we mnie przeraźliwa tęsknota. Bo choć twierdzę, że ich nienawidzę, zazdroścę im tego, jak idealnie zdają się do siebie pasować, jak łatwo toczy się ich wyważone życie. Cecily miała rację: niektórzy ludzie po prostu nie pasują. I ja do nich należę.

Piekielne bestie. Oto czym są. Przypominają mi się słowa Ann: „To oni mają władzę”. Ale nie dzisiaj, gdyż moc międzyświata płonie we mnie i nie zamierzam jej powstrzymać. *Nie walczy ze mną, lotry. Bo to ja wygram.* I chcę wygrać. Chcę wygrać w czymkolwiek.

Zamykam oczy, a kiedy je otwieram, Simon porzuca swoją matkę, pannę Fairchild i resztę kompanii. Idzie w moją stronę zdecydowanym krokiem z pragnieniem wypisanym na twarzy. Wyciąga do mnie dłoń wnętrzem do góry, ale ręka mimo to wydaje się zaciśnięta w pięść. W linii jego szczęki widać determinację, a głos ma schrypnięty, gdy mówi po prostu:

- Zatańcz ze mną, Gemmo.

Używa mojego imienia, co wprawia w osłupienie osoby stojące na tyle blisko, żeby go słyszeć. Pani Tuttle wygląda, jakby miała wypuścić lemoniadę z rąk. Przez chwilę nie wiem, co odpowiedzieć. Powinnam czuć wyrzuty sumienia, ale zamiast tego przepływa przeze mnie potworna, podniecająca satysfakcja. Wygrałam. A zwycięstwo, nawet tanio kupione, cieszy.

- Zatańcz ze mną, Gemmo – powtarza Simon głośniejszym i bardziej nagłym głosem.

Przyciąga uwagę innych gości. Tancerze zwalnają, żeby przyjrzeć się scenie. Rozlegają się szepty. Lady Denby z niedowierzaniem otwiera usta.

Lord Denby wreszcie zauważa, co się dzieje. Napotykam jego wzrok i nie może mieć żadnych wątpliwości co do moich intencji. *Chcesz zdeprawować mojego brata, tak? Najpierw zgotuję ci piekło, sir.*

Uśmiecham się do Simona niczym upadły anioł. Młodzieniec chwytam mnie za nadgarstek i niemalże wlecze na parkiet. Robi z siebie przedstawienie. Szorstkim gestem ustawia mnie w pozycji do walca. Rozlega się muzyka i zaczynamy wirować. Łączy nas widoczny dla wszystkich żar. Przy każdym mocniejszym nacisku ręki Simona na mój krzyż, wydaje się, że chciałby pożreć mnie żywcem. Wywołałam w nim to pragnienie. Niech wszyscy widzą, jaką posiadam moc. Niech uważają mnie za piękność, otwarcie pożądaną przez ważnego dżentelmena. I niech przy okazji hańba spadnie na lorda i lady Denby. Nie mogę pohamować pełnego satysfakcji uśmiechu. Kontroluję sytuację i jest to odurzające uczucie. Wściekły lord Denby obserwuje nas z obrzeża parkietu. Nie powinien był we mnie wątpić.

Jakiś starszy dżentelmen stuka Simona w ramię, dając znak, że chciałby ze mną zatańczyć, ale Simon tylko obejmuje mnie mocniej. Wirujemy dalej, przyciągając coraz więcej i więcej uwagi, a kiedy już wystarczy – kiedy ja uznaję, że już wystarczy, bo dowiodłam, czego chciałam – kończę przedstawienie. *Czas się opamiętać, Simonie. Dobranoc, słodki księżę.*

Simon, gwałtownie mrugając, dochodzi do siebie i dziwi się zdumiony bardzo, widząc mnie w swoich ramionach.

- Dziękuję za taniec, panie Middleton – mówię, robiąc krok do tyłu.

Na jego ustach pojawia się blady, pełen zmieszania uśmiech.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Natychmiast zaczyna szukać Lucy w tłumie.

Plotka rozprzestrzenia się jak zakaźna choroba. Damy wymieniają szeptem uwagi i zerkają zza rozpostartych wachlarzy, gdy schodzę z parkietu.

Magia zalewa mnie jak fala. Duszę się pod jej naporem. Otacza mnie niczym choroba, zarażając każdego, kto ma ze mną kontakt, i budząc jego ukryte pragnienia. Jakiś dżentelmen podaje mi ramię i ten gest go gubi. Po chwili zwraca się do starszego pana, który siedzi w pobliżu:

- Co mówiłeś wcześniej, Thompson? Odpowiesz za to!

Starszy mężczyzna zaciska usta.

- Fenton, oszalałeś?

- Szaleństwem jest uznać, że nie dam się dłużej szantażować długami wobec ciebie? Nie jestem twoją własnością. – Kładzie dłoń na ramieniu Thompsona i w ten sposób magia przenosi się dalej.

Starszy mężczyzna wstaje.

- Słuchaj, kolego, śmiem twierdzić, że gdyby nie moja dobroć, twoja reputacja ległaby w gruzach, a rodzina poszła pracować do fabryki.

Cisza, cisza - myślę. – Zapomnijcie. Wracajcie do brandy i cygar. Znów biorą kieliszki do rąk. Zapomnieli o tym, co zostało powiedziane, ale gorzka uraza pozostała, więc przyglądają się sobie czujnie.

Przechyliłam się w stronę przyzwoitki, starej panny z podopieczną, i widzę ból w jej sercu. To dręczące pragnienie, które czuje do swego żonatego pracodawcy, niejakiego pana Beadle'a.

- On nie wie – mówi z nagłym pośpiechem. – Muszę mu powiedzieć. Muszę natychmiast wyznaczyć mu moje uczucia.

Udaje mi się ją chwycić za rękę i trzymać, dopóki pragnienia nie zastąpi inne, które ja wpajam.

- Zjemy ciasto? – zwraca się do swojej zmieszanej podopiecznej. – Naszła mnie nagle ochota na ciasto.

Czoło mam zroszone szczypiącym potem. Magia płonie w moich żyłach.

Lord Denby przysuwa się do mnie niepostrzeżenie. Twarz ma zarumienioną, a w oczach ogień.

- Prowadzi pani bardzo niebezpieczną grę, panno Doyle.

- Nie słyszał pan jeszcze? Jestem bardzo niebezpieczną dziewczyną.

- Nie ma pani pojęcia, co możemy pani zrobić – mówi tonem bez wyrazu, ale jego wzrok płonie.

Szeptę mu cicho do ucha:

- Nie, sir. To wy nie macie pojęcia, co ja mogę zrobić wam.

W jego oczach miga strach i wiem, że tę rundę wygrałam.

- Zostawcie mojego brata albo poniesiecie konsekwencje – ostrzegam.

- Dzięki Bogu, znalazłam cię! – szczebiocze Felicity. – Dobry wieczór, lordzie Denby.

Czy będzie pan miało coś przeciwko temu, że porwę pannę Doyle?

Lord Denby rozptywa się w uśmiechu.

- Ależ w najmniejszym stopniu, moja droga.

- Gdzie się podziewałaś? Musisz mnie uratować – panikuje Fee, mocno trzymając mnie pod ramię.

- Przed czym?

- Przed Horace'em Markhamem – odpowiada ze śmiechem. Zerkam ponad ramieniem przyjaciółki na Horace'a, który nerwowo rozgląda się wokół. Z całej siły ściska jej wachlarz, jakby to była Felicity we własnej osobie. – Jak on się do mnie łąsi! – skarży się Fee, krzywiąc się zabawnie. – Ohyda.

Śmieję się szczęśliwa, że wróciłam do jej świata, w którym wszystko, od zakochanego konkurenta po wybór kapelusza, stanowi osnowę dramatu.

- Nie powinnaś być aż tak czarująca – droczyć się z nią.

- No cóż – odpowiada, odrzucając głowę do tyłu – przecież nic nie mogę na to poradzić, prawda?

Znajdujemy schronienie na tarasie wychodzącym na ulicę. Na dole woźnice stoją w zwartej grupie. Jeden z nich opowiada dowcip. Po sposobie, w jaki pozostali się do niego pochylają, rozpoznaję, że musi być nieprzyzwoity. Wybuchają śmiechem, ale szybko pierzchają na widok zbliżających się osób. Wkładają kapelusze i prężą się, gdy Lucy Fairchild mija ich w drodze do powozu. Simon biegnie za nią, ale przyzwoitka nie pozwala mu się do niej zbliżyć. Woźnica pomaga paniom zająć miejsca i natychmiast rusza, zostawiając Simona na chodniku.

- Pysznie! – woła Felicity. – Skandal! Na moim balu... i nie dotyczy *moi*. Zdumiewające!

- Tak, to zdumiewające, że bywają wydarzenia, które nie mają z tobą nic wspólnego, prawda? – dogryzam jej.

Felicity wspiera ręce na biodrach i uśmiecha się szelmowsko.

- Miałam zaproponować ci lemoniadę, ale teraz wypiję ją sama. A ty możesz mi się przyglądać i cierpieć.

Odchodzi wolnym krokiem, a ja delektuję się chłodnym nocnym powietrzem. Na dole lord Denby pociesza syna. Wymieniają uwagi, których nie słyszę. Ojciec tłumaczy coś Simonowi, a w końcu obaj wracają na bal.

Gdy przechodzą pod tarasem, lord Denby przeszywa mnie wściekłym wzrokiem, a ja muskam palcami usta i posyłam mu całusa.

*

Niedzielę po balu spędzam z rodziną. Przyszła szwaczka, żeby dopasować suknię i zrobić drobne poprawki. Stoję przed lustrem w do połowy uszytej kreacji, a ona w jednym miejscu zbiera materiał, w innym dodaje. Babcia kręci się w pobliżu, wydając polecenia i czepiając się każdego detalu. Nie zwracam na nią uwagi, gdyż dziewczyna spoglądająca na mnie z lustra zaczyna przeobrażać się w kobietę. Nie potrafię sprecyzować, o co chodzi. Tego nie da się nazwać. Wiem tylko, że tam jest, wyłania się ze mnie, jak rzeźba z bryły marmuru, a ja bardzo bym chciała już ją poznać.

- Wyglądasz jak twoja matka. Na pewno chciałyby być przy twoim debiucie – mówi babcia i zupełnie niszczy nastrój chwili. To, co miało się wyłonić z marmuru, przepadło.

Nie wspomnisz więcej o mojej mamie – myślę, zamykając oczy. – Powiedz mi, że pięknie wyglądam. Powiedz, że jesteśmy szczęśliwi. Powiedz, że będę kimś i że czekają mnie same pogodne dni.

Gdy otwieram oczy, babcia uśmiecha się do mojego odbicia w lustrze.

- Boże mój, wyglądasz zjawiskowo w tej sukni!

- Uosobienie uroku – wtóruje jej szwaczka.

No właśnie. O wiele lepiej.

*

- Babcia twierdzi, że będziesz najśliczniejsza debutantką w Londynie – mówi tato, gdy przychodzę do gabinetu. Szpera w szufladach, jakby czegoś szukał.

- Mogę ci pomóc? – pytam.

- Hm? Och, nie, słoneczko – odpowiada z roztargnieniem. – Tylko trochę sprzątam. Muszę jednak zadać ci nieprzyjemne pytanie.

- O co chodzi? – Siadam i tato robi to samo.

- Doszły mnie słuchy, że Simon Middleton zdecydowanie za bardzo się z tobą spoufalał wczoraj na balu.

- Nieprawda – zaprzeczam i usiłuję się roześmiać lekceważąco.

- Podobno panna Fairchild nie chce go widzieć – dodaje, a ja czuję ukłucie wyrzutów sumienia, które staram się zignorować.

- Może panna Fairchild nie była odpowiednią partią?

- Mimo to... - Ojciec milknie, bo dostaje ataku kaszlu. Robi się czerwony na twarzy i dobrą minutę rżęzi, dopiero potem zaczyna oddychać lżej. – Londyńskie powietrze. Za dużo sadzy.

- Zapewne. – Jestem zaniepokojona. Ojciec wygląda na zmęczonego. Na chorego. Nagle ogarnia mnie potrzeba, żeby usiąść przy nim jak w dzieciństwie i żeby pogładził mnie po głowie.

- Więc mówisz, że Simon Middleton nie ma się z czego tłumaczyć? – dopytuje się.

- Nie, na pewno nie – odpowiadam zupełnie szczerze.

- No dobrze. – Ojciec kiwa głową. Wraca do swoich poszukiwań, a ja czuję się odprawiona.

- Tato, zagramy w szachy?

Przerzuca dokumenty i zagląda za książki.

- Nie mam teraz głowy do szachów. Może sprawdzisz, czy babcia nie wybiera się na spacer?

- Mogę pomóc ci szukać tego, co zgubiłeś. Mogę...

Odgania mnie machnięciem ręki.

- Nie, słonko. Potrzebuję odrobiny prywatności.

- Ale jutro wyjeżdżam – jęczę. – A potem zacznie się sezon. A potem...
- Nie lamentujmy, dobrze? – napomina mnie ojciec.

Otwiera szufladę, w której dostrzegam brązową buteleczkę. Od razu wiem, że to laudanum. Moje serce zamiera. Biorę tatę za rękę i wyczuwam jego smutek.

- Pozbędziemy się tego, prawda? – mówię na głos.

Zanim zdąży odpowiedzieć, sycę go szczęściem jak opiatem, aż jego czoło się wygładza, a na ustach pojawia się uśmiech.

- A, tego szukałem. Gemmo, słoneczko, mogłabyś wyrzucić to do śmieci? – pyta.

Łzy szczypią mnie w oczy.

- Tak, tato. Oczywiście. Natychmiast.

Całuję go w policzek, a on obejmuje mnie ramionami i po raz pierwszy w życiu ja odsuwam się pierwsza.

Przy kolacji Tom zachowuje się niczym oczekujący narodzin dziecka ojciec, któremu puszcza nerwy. Podczas posiłku trzęsie nogą tak gwałtownie, że zaczynają mi szczekać zęby, a raz nawet przez przypadek mnie kopie.

- Czy mógłbyś się trochę uspokoić? – pytam, rozcierając goleń.

Tato unosi wzrok znad kolacji.

- Thomasie, co się dzieje?

Mój brat przesuwa jedzenie po talerzu, nie biorąc niczego do ust.

- Miałem dziś wieczór pójść do mojego klubu dżentelmenów, ale nie dostałem żadnej wiadomości.

- Absolutnie żadnej? – pytam, smakując zwyczajstwo wraz z ziemniakami.

- Jakbym przestał dla nich istnieć – skarży się Tom.

- Niezbyt szlachetne zachowanie – komentuje ojciec między kęsami przepiórki, a ja cieszę się, że je cokolwiek.

- Tak, bardzo nieuprzejme – wyraża dezaprobatę babcia.

- Może powinieneś się dzisiaj wybrać do Hipokratesa? – sugeruję. – Wiesz, że masz do nich nieustające zaproszenie.

- Doskonały pomysł – przyklaskuje mi tato.

Tom przesuwa groszek na krawędź talerza.

- Może tak zrobię – odpowiada. – Choćby po to, żeby na chwilę wyjść.

Ta nowina tak mnie cieszy, że zjadam na deser dwa kawałki ciasta. Gdy babcia narzeka, że przez mój apetyt trzeba będzie ponownie wezwać szwaczkę, wybucham śmiechem, a kiedy zaszczipiam jej ten pomysł, ona też się śmieje. Wkrótce śmiejemy się wszyscy, a służący patrzą na nas, jakbyśmy kompletnie poszaleli. Nie obchodzi mnie to. Mam to, czego chciałam. Mam to i nie pozwolę tego odebrać. Ani lordowi Denby, ani nikomu innemu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Adres na karcie wizytowej doktora Van Ripple'a wskazuje dom na obskurnym małym osiedlu, przypominającym wygodny hotel, któremu przydałaby się zmiana tapicerki. Szeregowe domy nie są szczególnie dobrze utrzymane. Nie mają żadnych aspiracji poza zapewnieniem lokum swoim mieszkańcom.

- Czarująca okolica – komentuje Felicity, gdy idziemy wąską, słabo oświetloną ulicą.

- Ale dzięki temu wyszłaś z domu, prawda?

Obok nas przebiegają dzieciaki. Bawią się po ciemku, bo ich matki są zbyt zmęczone, żeby się tym przejmować.

- Cóż, moja mama nadal sądzi, że siedzę przy pianinie. To była imponująca sztuczka, Gemmo. Powiedz mi, czy dzięki mocy wyczuwasz już bliskość domostwa doktora Van Ripple'a?

- Do tego potrzebne mi tylko oczy i adres – oponuję.

Mijamy pub, z którego wylewają się robotnicy. Niektórzy są pochylenia pod brzemieniem wieku, inni nie mają więcej niż jedenaście, dwanaście lat. Matki trzymają niemowlęta przy piersi. Na skrzynce tu przed pubem staje mężczyzna. Przemawia z energią i z przekonaniem, przykuwając uwagę słuchaczy.

- Mamy pracować dla wyzyskiwaczy po czternaście godzin dziennie za marne grosze? Powinniśmy postąpić tak jak dziewczęta z Bryant and May i nasi bracia w dokach!

Rozlegają się pomruki, jedne wyrażają aprobatę, inne sprzeciw.

- Zagłodzą nas! – woła robotnik z zapadniętymi policzkami. – Nic nie będziemy mieli.

- Już nic nie mamy, to jedyne, czego nie chcę więcej! – woła jakaś kobieta i wszyscy wybuchają śmiechem.

- Strajk! Wesprzyjmy nasze siostry w fabryce Beardona. Czerpmy odwagę z ich postawy, bracia i siostry. Godziwa płaca, godziwy czas pracy, godne życie w Londynie!

Rozlegają się wiwaty, tłum bije brawo, czym zwraca uwagę konstabla.

- Spokój! – woła, podchodząc. – Co tu się dzieje?

Mężczyzna schodzie ze skrzynki, wyciągając przed siebie kapelusz.

- Bry wieczór, panie władzo. Zbieramy na biednych. Da pan grosik?

- Zaraz dam wam pokój na noc, w Newgate.

- Nie może nas pan aresztować za zgromadzenie – oponuje mężczyzna.

- Prawo może wszystko, na co ma ochotę! – odpowiada konstabl, machając pałką.

Rozgania tłum, ale nie może uciszyć jego przekonań. Ludzie nadal wymieniają uwagi podekscytowanym szeptem.

- A wy, alianckie panienki – atakuje nas kobieta z dzieckiem – przyszłyście pogapić się na biedaków?

- Na pewno nie – odpowiada Felicity, brmiąc dokładnie tak, jak damulka, która gotowa jest wynająć dorożkę i pojechać z przyjaciółmi pooglądać sobie biedaków.

- No to zmywajcie się. Nie będziecie się bawić naszym kosztem. Znam takie jak wy.

- Niech pani...

Biorę Fee pod ramię.

- Ani słowa.

Skręcamy za róg i okazuje się, że jesteśmy na miejscu. Przygotowałyśmy sobie historyjkę, żeby wpuszczono nas do środka, ale zmęczona dozorczyńni wie, że nie należy zadawać pytań damom odwiedzającym lokatorów, bo jeszcze odkryje, że jej podejrzenia to naga prawda.

Dwukrotnie puka do drzwi magika i zapowiada nas znużonym tonem.

Doktor Van Ripple szeroko otwiera oczy ze zdumienia. Ma na sobie znoszoną bonżurkę.

- Proszę wejść, proszę wejść. Boże drogi, nie spodziewałem się dzisiaj gości!

Zamyka drzwi i prosi, żebyśmy usiadły. W kącie pokoju majaczy ogromny obraz w pozłacanej ramie. Przedstawia znacznie młodszego doktora Van Ripple'a w turbanie na głowie, wyciągającego palce w stronę kobiety, którą wprowadził w trans. Plakat opatrzony jest podpisem: *Doktor Theodore Van Ripple, mistrz iluzji! Magiczne wyczyny, musisz to zobaczyć, by uwierzyć!*

Na ścianie znajduje się portret starszej kobiety o ciemnych włosach i oczach doktora Van Ripple'a. Obok portretu wisi pamiątka po zmarłej w postaci wianka. Ten zrobiono ze zwiniętego wyblakłego warkoczyka z brązowych, przetykanych siwizną włosów.

- Moja matka – mówi magik, zauważając, na co patrzę. – Nawet najlepszy iluzjonista nie może oszukać śmierci.

Wskazuje nam miejsca na wysiedzianej sofie przykrytej starym szalem w turecki wzór. Siadam na czymś twardym. To książka, *Portret Doriana Greya* pióra Oscara Wilde'a.

- Ach, więc tu jest! Nie wiedziałem, gdzie się zapodziała – wykrzykuje doktor Van Ripple, wyrywając mi książkę.

Felicity krzywi się.

- Pan Wilde został skazany za nieobyczajność. Papa mówi, że to bardzo niemoralny człowiek.

- To Queensberry i jemu podobni są „nieobyczajni” – oświadcza doktor Van Ripple, odnosząc się do człowieka, który wysunął zarzuty przeciwko Wilde'owi.

- Dlaczego pan tak sądzi, sir? – Felicity jest zaintrygowana.

Doktor Van Ripple odwraca kwiat z butonierki w stronę nosa i głęboko wzdycha jego zapach.

- Prawdziwe uczucie i miłość mają w sobie czystość, która zawsze góruje nad bigoterią.

- Nie przyszłyśmy tu dyskutować o ciężkim losie pana Wilde'a – pośpiesznie przerywa mu Fee, zachowując się zdecydowanie niegrzecznie, ale magik nie wygląda na urażonego jej szorstkim obejściem.

- Zapewne. A czemu zawdzięczam tę niespodziewaną wizytę?

- Potrzebujemy pańskich usług – wyjaśniam.

- Aha. Przykro mi, że muszę panią rozczarować, ale niedawno przeszedłem na emeryturę jako iluzjonista. Mam do zaoferowania jedynie stare sztuczki wykonywane przez starego człowieka. Nie tego chcą obecnie ludzie. Oni chcą trywialnych emocji – narzeka. – Jak ten cały Houdini, który uwalnia się z łańcuchów i skrzyni. To tania, tandetna rozrywka. W czasach swojej świetności grywałem w najlepszych teatrach, od Wiednia do Sankt Petersburg, od Paryża po Nowy Jork. Ale teraz epoka magii niestety dobiega końca. Teraz światem rządzi przemysł. Przemysł i chciwość. – Bierze głęboki wdech i wypuszcza powietrze z westchnieniem. – Ale nie przyszłyście po to, by słuchać o latach chwały starego magika, moje drogie. Muszę was zatem pożegnać.

- Oczywiście zapłacimy panu – odzywam się.

W oczach doktora Van Ripple'a błyska zainteresowanie.

- Aha. Tak. Dobrze. Może dałbym się przekonać, żeby pomóc damom w potrzebie za skromną sumkę.

- Jak skromną? – pyta Felicity.

- Panno Worthington – mówię, zmuszając się do uśmiechu – jestem przekonana, że doktor Van Ripple potraktuje nas sprawiedliwie. Nie chciałybyśmy go urazić.

- Bez urazy – zapewnia staruszek. – Co stary magik może zrobić dla dwóch uroczych młodych dam? – pyta, rozplývając się w uśmiechach.

- Chciałybyśmy się dowiedzieć czegoś więcej o Wilhelminie Wyatt – wyjaśniam.

Doktor Van Ripple marszy czoło.

- Nie bardzo rozumiem, jak mogę paniom w tym pomóc.

- Jestem pewna, że pan może – mówię słodko.

Podnoszę sakiewkę, a usta magika znów wyginają się w uśmiechu. Ustalamy stawkę i choć jest to więcej, niż chciałabym zapłacić, chyba tylko w ten sposób możemy dobić targu. Doktor Van Ripple natychmiast chowa monety do kieszeni. Przypuszczam, że chciałby sprawdzić ich autentyczność zębami.

- Czy panna Wyatt miała jakiś sztylet? – Ku mojemu niezadowoleniu Felicity od razu przystępuje do rzeczy.

- Nie przypominam sobie niczego takiego. A z pewnością zapamiętałbym podobną broń. – Iluzjonista w zadumie gładzi się po brodzie.

- Czy mówi panu coś zwrot: „Prawdę odnajdziesz w Kluczu”? – pytam.

Doktor Van Ripple wydyma usta i zastanawia się.

- Obawiam się, że nie.

- Czy panna Wyatt kiedykolwiek wspominała o kluczu, jakimkolwiek kluczu, który byłby dla niej ważny? – naciska Felicity.

- Nie, nie – zaprzecza doktor.

- Czy zostawiła coś po sobie? – pytam, ale moja nadzieja szybko się rozwiewa.

- Zostało kilka sukien, ale sprzedałem je. Zatrzymałem tylko jedną rzecz, która do niej należała: tabliczkę.

- Możemy ją zobaczyć? – proszę.

Doktor Van Ripple grzebie w kredensie i wraca z tabliczką, którą widywałam w snach i wizjach. Ogarnia mnie podniecenie. Tabliczka jest spora, ma może trzydzieści na trzydzieści centymetrów, i spoczywa na drewnianej podstawie. Przesuwam palcami po jej powierzchni, wyczuwając powstałe przez lata wyżłobienia.

- Czy możemy ją od pana odkupić? – pytam ośmielona.

Kręci głową.

- Boże mój, ma dla mnie tak wielką wartość sentymentalną, że nie mógłbym...

- Ile? – przerywa mu Felicity.

- Może pięć funtów? – proponuje magik.

- Pięć funtów! – Felicity aż zatchnęło z wrażenia.

- Cztery? – ustępuje Van Ripple.

Nie ma znaczenia cztery czy pięć, i tak tyle nie mamy. A może mamy? Macham dłonią nad sakiewką. Wiem, że później będę siebie za to nienawidziła, ale to będzie później.

- Proszę, sir – mówię, otwierając sakiewkę, i ku zdumieniu Fee odliczam funty.

Przyjaciółka bierze tabliczkę od iluzjonisty.

- Proszę pana – odzywam się – wspominał pan o tym, że Wilhelmina była w kontakcie z siostrą, przyjaciółką, której już nie ufała. Na pewno nie przypomina pan sobie jej imienia?

Magik potrząsa głową.

- Jak mówiłem, nigdy mi jej nie przedstawiono. Ta dama nie odwiedzała nas i z tego, co wiem, nie bywała też na naszych spektaklach. Wiem jedynie, że Wilhelmina bała się jej, a ona rzadko czuła strach.

Zimny dreszcz przebiega mi wzdłuż kręgosłupa.

- Dziękuję, że poświęcił pan nam czas – mówię, a magik odprowadza nas do wyjścia.

Przy drzwiach sięga za ucho Felicity i wyciąga idealną czerwoną różę, którą jej podaje.

- To chyba ulubiony kwiat pana Wilde'a.

- A zatem go nie przyjmę – odpowiada moja przyjaciółka opryskliwie.

- Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni, moja droga – mówi doktor Van Ripple ze smutnym uśmiechem, a policzki Fee płoną.

- Jak pan to zrobił? – pytam, bo trik wydaje mi się sympatyczny, nawet jeśli Felicity jest innego zdania.

- Prawdę mówiąc, to najprostsza sztuczka pod słońcem. Działa, ponieważ panie tego chcecie. Musi pani zapamiętać, moja droga, najważniejszą zasadę każdej udanej iluzji: przede wszystkim patrzący muszą chcieć wierzyć.

*

- To niewiarygodne, że zażądał aż pięć funtów! – oburza się Felicity, gdy znów okrywa nas mrok londyńskich ulic.

- Miejmy nadzieję, że wyda pieniądze szybko, zanim znikną – martwię się.

W nikłym blasku ulicznej lampy oglądamy tabliczkę, obracając ją na wszystkie strony, ale nie dostrzegamy niczego niezwykłego.

- Może słowa pojawią się, gdy będziemy się w nią intensywnie wpatrywały? – sugeruje Fee.

To absurdalny pomysł, ale i tak się wpatrujemy. Nie dzieje się zupełnie nic.

Wzdycham.

- Kupiliśmy sobie bezużyteczną tabliczkę.

- Ale za to czystą – żartuje Felicity, a mnie się nawet nie chce oczami okazać politowania.

Po drodze do metra mijamy strajkujące kobiety ze Szwalni Czepków Beardona. Twarze mają posępne. Opierają się nawzajem o siebie, trzymając tabliczki z hasłami opuszczone w dół, a przechodnie nie zwracają na nie najmniejszej uwagi albo, co gorsza, szydzą z nich i okrutnie wyzywają.

- Grosik na wsparcie naszej sprawy? – znużonym głosem pyta dziewczyna z puszką na pieniądze.

- Mogę dać nawet więcej – odpowiadam. Wytrząsam z sakiewki wszystkie prawdziwe monety, jakie mam, i wciskam jej do ręki, szepcząc: - Nie poddawajcie się.

Patrzę, jak magia iskrzy w jej oczach.

- Tragedia w Szwalni Czepków Beardona! – woła, gdy rozpala się w niej ogień. – Sześć osób zamordowanych dla zysku! Nie zareaguje pan, sir? Odwróci pan wzrok?

Jej towarzyszki broni znów wysoko unoszą transparenty.

- Godziwa płaca, godziwe warunki! – wołają. – Sprawiedliwość!

Ich głosy narastają w grzmot, który przetacza się przez ciemne ulice Londynu, aż nie można go już dłużej ignorować.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Ledwie przyjeżdżamy do Spence i zanosimy walizki do pokojów, kiedy pojawia się pani Nightwing, wymachując zaproszeniem.

- Ma się odbyć przyjęcie urodzinowe na cześć kuzyna panny Bradshaw, pana Whartona, w Wiosennym Balmoral – mówi, smakując nazwę posiadłości na języku, jakby to było wino, które przemieniło się w ocet.

- Na pewno sądzą, że dzięki nam będą lepiej widziani w towarzystwie – Felicity rzuca szeptem uwagę przeznaczoną tylko dla moich uszu.

- Przyjęcie odbędzie się jutro w południe, choć zaproszenie przyszło zaledwie dwa dni temu – mówi pani Nightwing i słyszę, jak mruczy pod nosem: - Potworne maniery. – A po chwili dodaje: - Wiem, że tęsknią panie za panną Bradshaw. Mają panie ochotę się tam wybrać?

- Och, tak, prosimy! – wykrzykuje Felicity.

- Dobrze. Musicie być gotowe wcześniej rano – oświadczają, a my obiecujemy, że się postaramy.

Wieczorem Felicity siedzi w gronie koleżanek, pławiąc się w komplementach na temat swojego balu.

- A podobał się wam taniec derwiszy? – pyta z jaśniejącym wzrokiem.

- Bardzo ładny. I jak na tak długi występ wcale nie był nużący – ocenia Cecily i udaje jej się zaprawić komplement jadłem, w czym jest wprost doskonała.

- Mama zgodziła się urządzić dla mnie jedynie podwieczorek – narzeka Elizabeth, wydymając usteczka. – To wydarzenie na pewno nikomu nie zapadnie w pamięć.

Zostawiam je i zamykam się w swoim pokoju, żeby dokładnie obejrzeć tabliczkę Wilhelminy Wyatt. Obracam ją w dłoniach i analizuję małe wgłębienia, jakbym mogła z nich odczytać historię zapisanych słów. Przykładam do niej ucho w nadziei, że szeptem opowie o swych tajemnicach. Nawet sięgam po odrobinę magii, każąc jej wszystko ujawnić, jakbym była doktorem Van Ripple'em. Ale jeśli tabliczka panny Wyatt kryje jakieś sekrety, to nadal pozostają nieujawnione.

- Prawdę odnajdziesz w Kluczu – mówię do siebie. – Kluczu do czego?

Do niczego, z tego, co widzę. Zostawiam tabliczkę obok łóżka i podchodzę do okna, żeby spojrzeć w stronę obozu Cyganów i lasów za szkołą. Zastanawiam się, co robi teraz Kartik. Czy nadal dręczą go sny o Amarze i o mnie?

Na dole dostrzegam światło. To Kartik z latarnią w ręku patrzy w moje okno. Serce mi podskakuje i muszę mu przypomnieć, że nie powinno bić szybciej dla człowieka, któremu nie można ufać. Zaciągam zasłony, gaszę lampę i wpełzam do łóżka. Potem mocno zamykam oczy i powtarzam sobie, że nie wolno mi wstać i podejść do okna, choćbym nie wiem jak tego chciała.

*

Nie potrafię wyjaśnić, co mnie budzi. Dźwięk? Zły sen? Wiem tylko, że się budzę przestraszona. Mrugam, przyzwyczajając wzrok do ciemności. Słyszę hałas. Ale dźwięk nie dochodzi z pokoju, lecz z daleka. Dach nade mną trzeszczy, jakby przesuwano się po nim coś bardzo ciężkiego. Długi cień pada na ścianę pokoju. Wstaję z łóżka.

Teraz słyszę coś jeszcze w korytarzu: ciche szuranie, jakby szelest suchych liści. Uchylam odrobinę drzwi, ale nic tam nie ma. Znowu to słyszę, dobiega z dołu. Na paluszkach podążam

za dźwiękiem przez korytarz i schodami na dół. Zatrzymuję się pod drzwiami wielkiego salonu. W głębi pokoju dźwięk wydaje się głośniejszy. Drapanie. Szepty. Jęki.

Nie patrz, Gemmo. Idź stąd.

Zaglądam przez dziurkę od klucza. Blask księżycy wpada do pokoju przez odsłonięte okno. Przyglądam się każdej płamie światła. Nagle jakaś zmiana przyciąga mój wzrok. Coś się rusza w ciemnościach. Zdmuchuję świecę i czekam, a kolana uginają się pod mną ze strachu. Odliczam w myślach – jeden, dwa, trzy – mijające sekundy. Nic się nie dzieje. Trzydzieści, trzydzieści jeden, trzydzieści dwa...

Znów rozlegają się szepty. Ciche i budzące dreszcz jak skrobanie szczyrzych pazurków o kamień. Przyglądam ponownie oko do dziurki od klucza, a serce tłucze mi się w piersi.

To kolumna. Porusza się.

Uwięzione w niej stworzenia powoli uwalniają się, unosząc pięści i delikatnie trzepocząc skrzydłami, które odzyskały zdolność ruchu. Sapiąc i gulgocząc, przeciskają się przez coraz cieńszą membranę kamienia, jakby rodziły się na nowo. Nie mogę krzyknąć, chociaż bardzo bym chciała. Nimfa wyrывa się na wolność z głośnym trzaśnięciem. Strząsa z ciała resztki kolumny i szybuje przez pokój. Głośno wciągam powietrze. Słyszy mnie i odwraca głowę.

Szybko niczym wiatr dociera do dziurki od klucza. Oczu ma wielkie jak łania.

- Nie możesz nas powstrzymać – szepcze. – Ziemia się obudziła, a my wraz z nią.

Wkrótce nadejdzie dzień, gdy twoja krew zostanie przelana i my będziemy rządzić na zawsze. Ofiara!

- Hola, a co panienka tu robi?

Cofam się z krzykiem i wpadam na kogoś, po czym się odwracam. Przede mną stoi Brigid z rękami wspartymi o biodra i w czepku nocnym na głowie.

- Powinna panienka być w łóżku! – mówi.

- U-usłyszałam ha-hałas – dukam, walcząc ze strachem.

Brigid marszczy czoło i otwiera drzwi. Zapala najbliższą lampę. W pokoju panuje cisza. Wszystko jest tak, jak było. Ale ja nadal słyszę to potworne drapanie. Czuję je pod skórą.

- Nie słyszysz tego? – pytam, a w moim głosie brzmi rozpacz.

Brigid znów się marszczy.

- A czego?

- Kolumna. Ożyła. Widziałam to.

Na twarzy gospodyni maluje się troska.

- No dobrze. Nie próbuje chyba przestraszyć starej Brigid, co?

- Widziałam to – upieram się.

- No to pozapalam wszystkie światła.

Brigid idzie szybko po zapałki.

Drapanie. Nad moją głową. Posłańcy piekieł. Unoszę wzrok i dostrzegam nimfę, która płasko przywarła do sufitu i uśmiecha się wrednie.

- Tutaj! – wołam.

Brigid podkręca lampę i nimfa znika. Gospodyni przykłada dłoń do piersi.

- Maryjo, matko Boża! Przestraszyła mnie panna na śmierć! Popatrzmy no na tę kolumnę.

Podchodzimy bliżej, choć mam ochotę uciec. Niemal oczekuję, że coś wciągnie Brigid do środka.

- No, dziwaczna jest, jak wszystko w tym domu, ale wcale nie żywa. Tylko paskudna.

Poklepuje kolumnę, która trwa nieruchomo. A może nie? Wydaje mi się, że widzę w marmurze puste miejsce, którego nie było wcześniej.

- Jadła panna kapustę? – pyta Brigid, skręcając płomień w lampach.

- Co? – nie rozumiem.

- Kapustę na kolację. Wywołuje silne wiatry i przerażające sny. Niech nie je więcej kapusty, jeśli chce znać moje zdanie.

Gasi ostatnią lampę i pokój znów pogrąża się w cieniach. Brigid zamyka drzwi na klucz. Gdy wchodzimy po schodach, objaśnia, jakie potrawy i napoje sprowadzają przyjemne sny, ale jej nie słucham. Nasłuchuję ciemności pod nami, z której dobiegają delikatne skrobanie i cichy chichot.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Następnego ranka pani Nightwing zgodnie z obietnicą wyrusza z nami w ośmiokilometrową podróż do Wiosennego Balmoral. Gdy powóz podskakuje na błotnistej drodze, uświadamiam sobie, że bardzo chcę znów zobaczyć Ann, i mam nadzieję, że wybaczy mi to, jak okrutnie się zachowałam, gdy wyjeżdżała.

W końcu docieramy na miejsce. Wiosenne Balmoral to prawdziwy koszmar – ten rodzaj wiejskiej posiadłości, który kupują ludzie mające nowe fortuny, stare i ambicje i absolutny brak gustu w każdej dziedzinie. Zastanawiam się, czy w całej Anglii został choćby jeden wolny służący, gdyż rzędy lokajów czekają na nasze powozy, a zastępy kamerdynerów i pokojówek stoją wzdłuż chodnika oraz krzątają się, usługując gościom.

Zwracam się szeptem do Fee:

- Widzisz Ann?

- Jeszcze nie – odpowiada, przeczesując ciźbę wzrokiem. – A cóż to jest, na Boga?

Wskazuje głową na kolosalną marmurową fontannę, na której pan Wharton jest wyobrażony jako Zeus, a pani Wharton jako Hera. Za ich plecami lśnią promienie spizowego słońca. Woda tryska z ust pana Whartona w dość niefortunny sposób, przez co dżentelmen wygląda, jakby pluł.

- Absolutnie zatrważające! – woła Felicity i klaszcze z zachwytem. – Jakie jeszcze cuda nas tu czekają?

Pani Nightwing ogarnia wzrokiem scenierię złożoną z fontanny, trawników, ceramicznych cherubinów w przeróżnych pozach stojących wśród przyszyrzonych krzewów oraz świeżo wybudowanego podium dla orkiestry.

- Boże litościwy – mamrocze do siebie.

Śmiech pani Wharton przebija się przez panujący wokół zgiełk. Jesteśmy ubrane w proste letnie suknie i słomkowe kapelusze, ale ona ma na sobie strojną, wyszywaną paciorkami kreację bardziej odpowiednią na bal. Szyję obwiesiła diamentami, choć jest dopiero popołudnie. A jej kapelusz sam w sobie stanowi kontynent. Jeden szybki obrót głowy i niemalże powala całe zastępy służących.

- Jak wspaniale, że mogły panie przyjechać! – wita nas. – Proszę poczęstować się kawiozem, ściągaliśmy go aż z Francji!

Początkowo nie rozpoznaję Ann. W sztywnej sukni, z włosami surowo zaczesanymi do tyłu nie przypomina dziewczyny, która nas opuściła kilka tygodni temu. Jest jedną z tych szarych zjaw nawiedzających obrzeża każdego przyjęcia, nie całkiem krewna, nie całkiem służąca, nie całkiem gość – ktoś pomiędzy, na kogo nikt nie zwraca uwagi. A gdy nasze spojrzenia się spotykają, nie zatrzymuje na mnie wzroku. Mała Charlotte ciągnie ją mocno za suknię.

- Annie, chcę się pobawić w ogrodzie różanym – marudzi.

- Ostatnim razem połamałaś różę, Lottie, a odpowiedzialność za to spadła na mnie – mówi spokojnie Ann.

- Och, Ann! – woła do niej kuzynka. – Pozwól jej pobawić się wśród róż. Tak bardzo je lubi.

- Nie traktuje ich z należytą ostrożnością – protestuje Ann.

- Twoim obowiązkiem jest tego dopilnować – przypomina jej pani Wharton.

- Tak, proszę pani – odpowiada Ann matowym głosem, a Charlotte uśmiecha się triumfalnie. Mogę sobie tylko wyobrażać, jakie jeszcze koszmary Ann musi tu znosić.

Podążamy za nimi w bezpiecznej odległości. Ann rozpaczliwie usiłuje zapanować nad okropnymi dziećmi. Carrie, która dopiero co skończyła cztery lata, cały czas dłubie w nosie, przerywa tylko po to, by obejrzeć swoje odrażające znaleźiska. Ale Charlotte jest o wiele

gorsza. Gdy nikt nie patrzy, szarpie róże, a ich piękne kwiaty zwisają smętnie na połamanych łodygach. Napomnienia Ann to rzucanie grochem o ścianę. Gdy tylko się odwraca, Charlotte kontynuuje masakrę.

- Ann! – wołamy, ale ona udaje, że nas nie widzi.

- Ann, proszę, nie ignoruj nas – błagam.

- Miałam nadzieję, że nie przyjedziecie – odzywa się.

- Ann... - zaczynam.

- Wszystko zawaliłam, co? – szepcze. – Carrie! – krzyczy. – Nie wolno jeść tego, co wyciągasz z nosa. Tak się nie robi.

Felicity patrzy wilkiem na dziewczynki.

- Faj! Nigdy nie będę miała dzieci. – Carrie podaje jej na palcu swoją odrażającą perłę. – Nie, dziękuję. Co za ohydna mała bestia. Jak możesz to znieść?

Ann szybko ociera łzę.

- Jak sobie pościeliłam... - zaczyna, ale nie kończy.

- To sobie odściel... - radzi jej Fee.

- Jak? – Ann wyciera drugie oko.

- Mogłabyś uciec – proponuje Felicity. – Albo udawać, że masz jakąś okropną dolegliwość, albo być tak niesympatyczną, że nawet najpotworniejsze dzieci nie chciałyby cię na guwernantkę.

- Gemmo? – Ann patrzy na mnie błagalnie.

Nie zapominam o odniesionych ranach tak łatwo.

- Proponowałam ci pomoc przedtem – odpowiadam. – Czy tym razem chcesz tego naprawdę?

- Tak – potwierdza, a po tym, jak zdecydowanie zaciska zęby, poznaję, że mówi zupełnie poważnie.

- O czym rozmawiacie? – pyta Charlotte, próbując się wcisnąć do naszej gromadki.

- O wielkim potworze, który pożera wścibskie małe dziewczynki i połyka ich kości bez żucia – syczy w odpowiedzi Felicity, a Ann wymyka się zdławiony śmiech.

- Poskarżę się na was mamie.

Felicity pochyła się, aż jej twarz znajduje się na równi z twarzą dziecka.

- Czyń swoją podłą powinność.

Charlotte wzdyga się. A potem zerka na Ann i pędzi do matki, zawodząc:

- Mamuniu, przyjaciółka Annie powiedziała, że zje mnie potwór!

- No to jestem załatwiona – wzdycha Ann.

- Tym bardziej powinnaś wprowadzić swój plan w czyn – doradzam.

*

Pani Wharton głośno beszta Ann za napad złego humoru córki – na oczach zakłopotanych gości – po czym każe jej wrócić do obowiązków. Idziemy tuż za nimi, podczas gdy Charlotte znów morduje róże. Schylam się i mówię słodko:

- Nie wolno łamać róż, Lottie.

Patrzy na mnie z nienawiścią.

- Nie jesteś moją matką.

- To prawda – przyznaję jej rację – ale jeśli nie przestaniesz, będę zmuszona powiedzieć o wszystkim twojej matce.

- A ja powiem, że to Annie połamała róże.

Żeby zademonstrować swą władzę, rzuca kwiat do moich stóp. Jak cudownie. Co za miłe dziecko.

- Proszę bardzo – szepczę Ann do ucha.

- Lottie, nie wolno krzywdzić róż – mówi Ann najśłodszym tonem, na jaki ją stać – bo inaczej róże mogą skrzywdzić ciebie.

- To głupie. – Dziewczynka łamie kolejny kwiat.

Podchodzi do następnego, a Ann odzywa się zdecydowanym tonem:

- Nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Przesuwa dłonią nad różą, przyzywając magię, którą jej przekazałam. Charlotte szeroko otwiera oczy, kiedy odłamane kwiaty odrywają się od łodyg. Unoszą się błyszczącą czerwoną spiralą. To wspaniały widok i sam w sobie wygląda imponująca, ale na tej małej bestii należy zrobić naprawdę duże wrażenie. Róże szybko podlatują do niej i przez sekundę wiszą przed jej zaskoczoną twarzą, a potem opadają w dzikim ataku, klując kolcami jej ramiona, dłonie, nogi i plecy. Charlotte krzyczy i ucieka do matki. Róże znów smętnie zwisają z łodyg. Widzę, jak dziewczynka szarpie matkę za ramię, równocześnie rozcierając obolałą pupę. Po chwili skomląca Charlotte wlecze mamę do nas. Za nimi podążają goście, żeby sprawdzić, co to za zamieszanie.

- Powiedz jej! – drze się Charlotte. – Powiedz, co zrobiły róże! Do czego je zmusiłaś!

Posyłamy pani Wharton urocze uśmiechy, ale uśmiech Ann stanowi prawdziwe ucieleśnienie niewinności.

- Ależ, Lottie, o czym ty mówisz, kochanie? – pyta, niezwykle zatroskana i przejęta.

Charlotte nic sobie z tego nie robi.

- Ona kazała różom latać! Kazała im mnie pokłuć! Kazała im latać! Naprawdę!

- Boże drogi, a jak tego dokonałam? – pyta łagodnie Ann.

- Jesteś wiedźmą! Ty też! I ty!

Goście chichoczą, a pani Wharton jest rozdrażniona.

- Charlotte! Co za wyobraźnia. Wiesz, że papa nie znosi zmyślania.

- Ale ja nie zmyślam, mamó! One to zrobiły! Naprawdę!

Ann zamyka oczy i rzuca jeszcze jeden czar.

- O mój Boże – wzdycha po chwili, oglądając twarz dziewczynki. – Co to za plamy?

I rzeczywiście na buzi dziecka pojawiają się małe czerwone kropki, które są tylko iluzją.

- Ależ to ospa! – jakiś dżentelmen stawia diagnozę.

- O! Ojej! – denerwuje się pani Wharton.

Goście odsuwają się z niepokojem. Nikt nie chce stać za blisko i choć pani Wharton nadal stara się być gospodynią idealnego przyjęcia, ster wymyka jej się z rąk. Już niektóre damy ciągną mężów za rękawy, mówiąc, że muszą wracać do domu.

A potem zaczyna padać deszcz, choć żadna z nas nie może przypisać sobie za to zasługi. Orkiestra dęta przerywa koncert. Podjeżdżają powozy. Goście się rozpierzchają, a pani Wharton zagania pociechy do pokoju dziennego. Ku naszej wielkiej radości zostajemy same.

- Och, chciałabym przeżywać tę chwilę ciągle na nowo – wyznaje Ann, gdy znajdujemy schronienie pod pergolą porośniętą winoroślą.

- Wiedźmy! – Felicity naśladuje Charlotte i chichoczymy, zakrywając twarze dłońmi.

- Chociaż – odzywa się Ann, a w jej głosie brzmi troska – to tylko dziecko.

- Nie – protestuję. – To demon sprytnie przebrany w fartuszek. A matka w pełni na nią zasługuje.

Ann zastanawia się nad tym.

- To prawda. Ale jeżeli jej uwierzy?

Felicity rozdziera źdźbło trawy na pół.

- Nikt nie słucha dzieci, nawet jeśli mówią prawdę – zauważa z goryczą.

*

Przyjeżdża doktor i stawia diagnozę: ospa wietrzna. Ponieważ Ann nigdy na nią nie chorowała, lekarz zaleca, żeby trzymała się z dala od dzieci i od tego domu przez trzy tygodnie. Pani Nightwing zgadza się wziąć ją pod swój dach, dopóki nie będzie mogła bezpiecznie wrócić, a nasza przyjaciółka pakuje się w ciągu kilku minut i wsiada do powozu.

Pani Wharton stanowczo sprzeciwia się jej wyjazdowi.

- Na pewno nie może zostać? – pyta, gdy walizka Ann zostaje umieszczona w powozie.

- Na pewno – upiera się lekarz. – Gdyby się zaraziła, sytuacja mogłaby być bardzo groźna.

- Ale jak ja sobie poradzę? – jęczy pani Wharton.

- No już, żono – uspokaja ją pan Wharton. – Mamy pielęgniarkę, a nasza Annie wróci tu za trzy tygodnie. Prawda, panno Bradshaw?

- Nawet państwo nie zauważycie, że mnie nie ma – odpowiada Ann i wydaje mi się, że te słowa sprawiają jej przyjemność.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Młodsze dziewczęta witają powrót Ann do Spence owacjami, po czym nie odstępują jej na krok. Teraz, po tym jak „wyjechała”, wydaje im się osobą intrygującą i egzotyczną. Nieważne, że przebywała poza szkołą zaledwie kilka tygodni i tylko w wiejskiej rezydencji kuzynki, ich zdaniem otacza ją aura światowego życia. Brigid obiecuje uczcić to wydarzenie puddingiem karmelowym. Wieczorem sadowimy się w namiocie niedaleko kominka i jest tak, jakbyśmy się nigdy nie rozstawały, a wyjazd Ann był tylko złym snem.

Jedynie Cecily, Elizabeth i Martha trzymają się na dystans, ale Ann najwyraźniej to nie przeszkadza. Opowiadamy jej o wszystkim – o wizycie u doktora Van Ripple’a, o tabliczce, o tym, jak się dowiedziałam, że McCleethy i Fowlson chcą przejąć władzę. O Kartiku. Ten fragment wpędza mnie w melancholię. Jedyne, czego nie zdradzam, to moje kontakty z Kirke, bo wiem, że przyjaciółki by tego nie zrozumiały. Sama z ledwością to pojmuję.

- A zatem – podsumowuje Ann – wiemy, że Wilhelminę zdradził ktoś, komu ufała i kogo znała z czasów w Spence.

Felicity nadgryza czekoladkę.

- Zgadza się.

- Zarówno Eugenia Spece, jak i matka Elena uważają, że ktoś sprzymierzył się z istotami z Krainy Zimy, a matka Elena boi się, że to współdziałanie sprowadzi do nas zmarłych.

- Świetnie ci idzie, mów dalej – komentuję, również częstując się czekoladką.

- Możliwe też, że plemiona z międzyświata weszły w układ z istotami z Krainy Zimy, by wszcząć bunt.

Kiwamy głowami.

- Żeby uwolnić Eugenię i przynieść pokój Krainie Zimy, musimy znaleźć sztylet, który Wilhelmina Wyatt ukradła ze Spence. A Wilhelmina, narkomanka, złodziejka i ogólnie osoba niezbyt godna szacunku, być może wskazuje nam poprzez wizje Gemmy, gdzie ten sztylet się znajduje. Ale równie prawdopodobne jest, że prowadzi nas w pułapkę.

- Tak właśnie. – Fee oblizuje palce.

- Panna McCleethy i, jak podpowiada rozsądek, pani Nightwing wiedzą o sekretnych drzwiach do międzyświata, ale sądzą, że można je otworzyć tylko po odbudowaniu wieży. Eugenia to potwierdza. A jednak Wilhelmina nie chciała, żeby zrekonstruowały basztę. – Ann milknie. – Dlaczego?

Felicity i ja wzruszamy ramionami.

- Stoi po stronie Gemmy? – sugeruje Fee, jakby to miało jakiś sens.

- Jest jeszcze kwestia zdania: „Prawdę odnajdziesz w Kluczu” – kontynuuje Ann. – Kluczu do czego? I jaką prawdę?

- Doktor Van Ripple twierdzi, że nic nie wie o żadnym kluczu ani o sztylcie – powtarzam. – A tabliczka nic nie zdradziła. To tylko zwykła tabliczka.

Ann raczy się czekoladką. Obraca ją w ustach, rozmyślając.

- Przede wszystkim, dlaczego Wilhelmina zabrała sztylet?

Przez chwilę w namiocie słychać jedynie, jak każda z nas bębni palcami w innym rytmie.

- Wiedziała, że jeśli sztylet wpadnie w niepowołane ręce, to doprowadzi do chaosu – podsuwam. – Nie ufała McCleethy ani Nightwing.

- Ale one czczą pamięć pani Spence. Jest dla nich jak święta – zauważa Ann. – Z jakiego powodu miałyby ją skrzywdzić?

- Chyba że nigdy im na niej naprawdę nie zależało. Czasami ludzie udają, że darzą nas uczuciem, podczas gdy nie jest to prawdą – dodaję z goryczą, mając na myśli Kartika.

Spoglądamy przez szczelinę w zasłonach na dwie pogrążone w rozmowie kobiety. Brigid podaje pani Nightwing sherry na srebrnej tacy.

- Nie wiem, jak mamy rozwiązać tę tajemnicę – narzeka Felicity.

Rozlega się głośne pukanie do drzwi. Brigid podchodzi do pani Nightwing.

- Przepraszam panią, ale pod drzwiami stoi trupa wędrownych aktorów. Powiadają, że mogą pokazać ładne widowisko, jeśli pani zezwoli.

Dyrektorka zrywa okulary z nosa.

- Wędrowni aktorzy? Na pewno nie. Możesz ich odprawić, Brigid.

- Dobrze, psze pani.

Ledwie udaje jej się z powrotem założyć okulary, gdy dziewczęta oblegają ją, błagając, by się jeszcze zastanowiła.

- Prosimy! – wołają. – Prosimy!

Ale dyrektorka jest stanowcza.

- Nie można im ufać. Gdy byłam dziewczynką, przepędzono ich z miasta. W najlepszym wypadku to żebracy i złodzieje albo i gorzej.

- Co może być gorszego od żebraków i złodziei? – pyta Elizabeth.

Pani Nightwing zaciska usta.

- Nieważne.

To wystarczy, żeby wszystkie uczennice sfłoczyły się przy oknach i zaczęły wpatrywać się w ciemność w nadziei, że choćby przelotnie ujrzą tych zakazanych mężczyzn.

Niebezpieczeństwo wzywa, a my odpowiadamy aż nazbyt gorliwie, przyciskając nosy do szyb. Aktorów nie da się tak łatwo odprawić. Umieszczają latarnie na trawie i rozpoczynają spektakl. Otwieramy okna i wystawiamy głowy na dwór.

- Życzymy miłego wieczoru, nadobne panie! – woła jeden z nich.

Żongluje kilkoma jabłkami naraz, gryząc jedno za każdym razem, gdy do niego wraca, aż ma pełne usta. Śmieje się, rozbawione tym figlem.

- Pani dyrektor, prosimy! – błagamy.

W końcu Nightwing ulega.

- No dobrze – mówi z głębokim westchnieniem. – Brigid! Miej baczenie na srebro i nikogo nie wpuszczaj do domu!

Wysypujemy się na trawnik. Świetliki mrugają do nas lśniącymi odwłokami. Wieczór jest pogodny i przyjemny, a nas bardzo cieszy, że zobaczymy przedstawienie. Mimo wszelkich obaw pani Nightwing aktorzy są raczej klaunami niż kryminalistami. Twarze mają uczernione spalonym korkiem, a kostiumy znoszone, jakby wędrowali przez Anglię od wielu tygodni. Wysoki mężczyzna w środku nosi tunikę z emblematem świętego Jerzego, a jego sąsiad ma na sobie orientálną suknię, jak Turek. Kolejny wygląda na kogoś w rodzaju medyka. Spod kostiumu smoka wystają stopy dwóch następnych.

Kierownik trupy postępuje naprzód. Jest wysokim, niezdarnym mężczyzną o włosach, którym przydałoby się strzyżenie, i o ostrych rysach osoby chudej i głodnej. Nosi cylinder, który pamięta lepsze czasy, a jego tunika jest mocno wyblakła. W dłoni trzyma drewniany miecz. Ma maniery aktorka z musicalu i terkoczące „r”.

- Jaką opowieścią mamy was zabawić, piękne panie? Czy ma to być historia słodkiej miłości? Czy przygody i śmierci?

W naszej barwnej gromadce rozlegają się pełne emocji westchnienia. Któraś prosi o miłość, ale szybko zostaje zakrzyczana.

- Przygoda i śmierć! – wołamy.

Urażona romantyczka wydyma usta, ale nie ma żadnych szans. Śmierć jest zdecydowanie bardziej ekscytująca.

- Może więc opowieść o tym, jak święty Jerzy pokonał smoka? O księżniczce, która miała zostać złożona w ofierze? Czy przeżyje? Czy może umrze? Przedstawimy wam dziś Bohatera, Medyka, Zwątpienie, Tureckiego Rycerza, no i oczywiście smoka. Ale najpierw potrzebna

nam księżniczka. Czy któraś z panienek zechce być naszą nadobną dziewicą skazaną na śmierć?

Dziewczęta natychmiast zaczynają walczyć o rolę. Machają rękami, by zwrócić na siebie uwagę, podczas gdy aktor przechadza się powoli, taksując nas wzrokiem.

- Może pani, dama o włosach jak u Tycjana. – Chwilę trwa, zanim uświadamiam sobie, że wskazuje na mnie. Wyróżniam się, bo jestem najwyższa i mam płomiennie rude włosy. – Czy zechce nam pani wyświadczyć zaszczyt o być naszą piękną dziewicą?

- Ale...

- No już, idź – mówi Felicity i wypycha mnie z tłumu.

- Och, dziękuję, nadobna panno. – Aktor wkłada mi koronę na głowę. – Nasza księżniczka!

Dziewczęta są rozczarowane, klaszczą wyraźnie bez entuzjazmu.

- Zaczniemy opowieść o sielankowym mieście-państwie, przez które płynie złota rzeka. Ale cóż to? Niestety! Smok założył tu swoje leże.

Aktorzy w kostiumie smoka idą naprzód, warcząc i parszkając. Trzymają przed sobą proporzec, który imituje ogień.

- Mieszkańcy żyją w śmiertelnym lęku. Nie mogą już czerpać wody z rzeki, tak bardzo boją się paskudnej bestii. Obmyślają więc rozpaczliwy plan: złożą smokowi w ofierze księżniczkę, by zaspokoić jego głód!

Młodsze dziewczęta głośno wciągają powietrze. Rozlegają się piski. Felicity woła:

- A to pech, Gemmo!

Starsze uczennice wybuchają śmiechem. Nawet panna McCleethy i mademoiselle LeFarge chichoczą, słysząc tę uwagę. Ależ mnie kochają, jak miło. Pałący oddech smoka robi się z każdą sekundą coraz bardziej przekonujący.

Aktor nie może pozwolić, by coś takiego popsuło mu przedstawienie. Używa najbardziej władczego tonu, który dudni w półmroku tak, że dostają gęsiej skórki na ramionach.

- Nadobna księżniczka woła o zmiłowanie!

Wskazuje na mnie i czeka. Reaguję na jego cierpliwość zmieszana miną.

- Proszę krzyczeć – szepcze.

- Aaach. – To najbardziej anemiczny krzyk w historii krzyków.

Aktor uśmiechem pokrywa irytację.

- Jest panna nadobną dziewicą, na którą czyha śmierć! Płomienny oddech straszliwego smoka niemalże liże już panny czerwonozłote loki! Spłonie panna jak suche igliwie! Niech panna krzyczy! Woła o ratunek!

Zadanie wydaje się proste, a jednak jestem tak zawstydzona, że nie mogę wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Publiczność czeka niespokojnie. Mogłabym im przypomnieć, że nie zgłaszałam się na ochotnika do tej roli. Wtem rozlega się rozdzierający duszę wrzask. Głośny i szczery, aż przechodzi mnie dreszcz. To Ann. Krzyczy z dłonią przy czole, grając jak sama Lily Trimble.

Aktorzy wiwatują.

- A oto nasza księżniczka!

Wyprowadzają Ann na środek i wkładają jej koronę, a ja zostaję wepchnięta w tłum bez słowa podziękowania za wszystkie wysiłki.

- Wcale nie byłam taka kiepska – zrzędzę, stając obok Felicity.

Fee poklepuje mnie po ramieniu, a gest ten znaczy: „Ależ byłaś”.

Mój ponury nastrój nie utrzymuje się jednak zbyt długo, gdyż Ann gra po prostu wspaniale. Oglądając ją, zapominam, że to ona. Jest naprawdę księżniczką, której grozi pożarcie. Aktorzy zakładają jej więzy na nadgarstki, a Ann wrywa się i błaga o litość. Krzyczy, gdy papierowy smok zbliża się do niej.

- Czy nikt nie uratuje tej damy? Czy spotka ją śmierć? – pogodnym tonem pyta aktor.

Ktoś dmie w zepsutą trąbkę sygnałową. Brzmi to bardziej jak ryk konającej krowy niż wezwanie do broni, ale święty Jerzy przybywa w ozdobionym piórami hełmie.

- A! Któż to? Przyjacielem jest czy wrogiem? Kto im prawdę powie?

- To święty Jerzy! – woła jakieś dziewczątko.

Aktor udaje, że nie dosłyszał.

- Słucham, kto to jest?

- Święty Jerzy! – krzyczymy wesoło.

- Czy to bohater... czy łotr?

- Bohater! – Kto śmiałby świętego patrona Anglii nazwać inaczej niż bohaterem?

- Och, któż mnie uratuje? – żalobnie zawodzi Ann.

Naprawdę jest niezła, ale aktor nie daje się zepchnąć ze sceny. Zdecydowanie ujmuje ją za ramię.

- Księżniczka, zdjęta trwożą, mdleje – podpowiada znacząco.

W spojrzeniu Ann błyska rozdrażnienie, ale zgodnie z poleceniem wzdycha teatralnie, zamyka oczy i pozwala, by jej ciało zwiotczało w papierowych łańcuchach. Święty Jerzy staje oko w oko ze smokiem.

- Ale cóż to? Nasz Bohater się waha. Zwątpienie znalazło drogę do jego serca.

U boku świętego Jerzego pojawia się aktor o twarzy pomalowanej tak, by jedna jej połowa wyrażała radość, a druga smutek.

- Panny nie da się uratować. Po co się dla niej poświęcać?

Przyjmujemy to głośnym buczeniem.

Aktor z pomalowaną twarzą, obraca się do nas uśmiechniętym profilem.

- Tak było zawsze. Zawsze składało się dziewicę w ofierze, żeby przebłagać bestię. Czy ośmielicie się to zmienić?

- Zwątpienie dręczy naszego Bohatera – grzmi wysoki aktor. – Będzie potrzebował pomocy pięknych i dobrych dam, które się tu zebrały, żeby odnaleźć w swym sercu odwagę i odnieść zwycięstwo. Czy dodacie mu otuchy?

- Tak! – wołamy.

Święty Jerzy udaje, że się namyśla, podczas gdy smok zbliża się do księżniczki z cichym pomrukiem. Głośno zagrzewamy rycerza do bitwy, a on zdecydowanym gestem wyciąga miecz. Wywiązuje się zażarta walka, w wyniku której smok zostaje pokonany, ale święty Jerzy odnosi rany. Chwytnąjąc się za bok, pada na ziemię, a my milkniemy.

- Co to? – pyta aktor, szeroko otwierając oczy. – Nasz Bohater otrzymał cios! Czy jest tu Medyk? – Nic się nie dzieje, a aktor wyraźnie zirytowany powtarza: - Pytam, czy jest tu Medyk?

- To ja. – Aktor o trzech zębach, który stoi obok nas, przypomina sobie o swojej roli. Spieszy naprzód, przytrzymując kapelusz na głowie, a w drugiej ręce wysoko unosząc szklaną fiolkę. – Jestem dobrym Medykiem. I mam tu magiczny napój, który przywróci zdrowie Bohaterowi. Ale by jego magia zadziałała, wszyscy musimy wierzyć – wierzyć i działać razem.

Z wielką powagą dobry Medyk podaje flaszeczkę wszystkim dziewczętom po kolei i prosi je, żeby dodały do niej swoje życzenie. Następnie zanoszą fiolkę do leżącego świętego Jerzego i przytyka mu ją do ust. Rycerz zrywa się na równe nogi, a my głośno wyrażamy aprobatę.

- Bohater wyzdrowiał! Wasza magia przywróciła mu poprzedni wigor! A teraz zobaczymy, co z nadobną księżniczką.

Święty Jerzy spieszy do Ann. Wyraźnie szykuje się, żeby pocałować ją w policzek, ale pani Nightwing chrząka bardzo głośno i aktor szybko zmienia zdanie. Zamiast tego muska ustami jej dłoń.

- Księżniczka jest uratowana!

Ann z uśmiechem odzyskuje przytomność. Znów wiwatujemy. Pojawiają się aktorzy grający papierowego smoka i stają przed Ann oraz świętym Jerzym w taki sposób, że wygląda, jakby dzielny rycerz i nadobna panna jechali na bestii. Machają do nas wesoło. Smok miauczy, a widownia wybucha śmiechem. To bardzo szczęśliwe zakończenie, i na takie właśnie liczyłyśmy. Aktorzy kłaniają się, a my bijemy brawo. Kierownik grupy kładzie kapelusz na ziemi, zachęcając nas do przekazania datków, w dowolnej wysokości. Oczywiście wrzucamy do niej monety, ku wyraźnej irytacji pani Nightwing.

- Dobrze, dobrze – mówi, zaganiając nas do szkoły. – Oby nikt nie złapał przeziębienia.

- Ann, byłaś cudowna! – wołam, kiedy przyjaciółka podchodzi do nas.

Policzki ma zaróżowione, a w oczach blask. Do twarzy jej z tą chwilą chwały.

- Gdy smok zbliżał się do mnie, czułam prawdziwy strach! To było bardzo ekscytujące. Chętnie występowałabym co wieczór przez całe życie i nigdy bym się tym nie znużyła. – Kręci głową. – Gdybym mogła w tej chwili zaśpiewać dla pana Katza, zrobiłabym to, i nie odrzuciłabym tej szansy. Ale już za późno, wyjechał na tournée.

Kilka młodszych dziewcząt przepycha się do nas, aby pogratulować Ann i powiedzieć jej, że była idealną księżniczką. Ann pławi się w ich podziw i uśmiecha się nieśmiało, słysząc komplementy.

Nagle moje uszy wypełnia narastający syk, który brzmi, jakby ktoś odkręcił do oporu zawór w lampie gazowej. Nie zostaje mi w płucach ani odrobina powietrza. Jest tak, jakby całe moje ciało zostało ściśnięte. Ogarnia mnie kompletny chaos. Czas zwalnia. Dziewczęta poruszają się tak powoli, że wstążki we włosach przeczą prawom grawitacji, gdy obracają głowy. Ich śmiech ma niskie i puste brzmienie. Ann mówi zbyt wolno, bym mogła zrozumieć jej słowa. Zdaje się, że jako jedyna poruszam się z normalną prędkością. Tak jakbym tyko ja żyła naprawdę.

Odwracam się w stronę lasu i chłód przenika moją duszę. Aktorzy nie zwolnili. Wchodzą między drzewa i widać już tylko zarysy ich sylwetek. Ku mojemu zdumieniu nagle przekształcają się w czarne ptaki i odlatują, a ich ciemne skrzydła łopoczą gwałtownie na spokojnym niebie. Potworny nacisk znika, ale czuję się wyczerpana, jakbym przebiegła wiele kilometrów.

Usta Ann wypluwają słowa:

- ...śmiem twierdzić, zgodzisz się? Gemmo? Masz dziwną minę.

Za mocno ściskam ją za ramię, aż się krzywi.

- Gemmo!

- Widziałaś to? – udaje mi się wykrztusić.

- Co?

- Aktorzy... oni... byli tu, a potem... potem zamienili się w ptaki i odlecieli.

W oczach Ann błyska uraza.

- Nie prosiłam, żeby wybrali mnie zamiast ciebie.

- Co? Nie, wcale nie o to chodzi – odzywam się spokojniej. – Mówię ci, w jednej chwili byli tu aktorzy, a w następnej zamienili się w ptaki, tak jak... - Czuję chłód w całym ciele. – Tak jak Makowi Wojownicy.

Ann spogląda w ciemność. Latarnie niesione przez aktorów przeświecają między drzewami i im są dalej, tym wydają się mniejsze.

- Czy ptaki noszą lampy?

- Ale... - Nie potrafię dokończyć. Nie jestem już pewna, co widziałam.

- Ann Bradshaw! Jak mogłaś nam nie powiedzieć, że jesteś tak genialna? – woła Elizabeth.

Ona, Martha i inne dziewczęta obsypują Ann pochlebstwami, a moja przyjaciółka przyjmuje je z zadowoleniem.

Stoję sama na trawniku, szukając jakiegoś znaku, że nie wyobraziłam sobie tego, co widziałam. Ale w lesie panuje cisza. Głos Eugenii odbija się echem w mojej głowie: „Mogą sprawić, że będzie widziała to, co chcą ci pokazać. Zaczynasz się zachowywać, jakbyś oszalała”. Odwracam się i widzę panią Nightwing oraz pannę McCleethy pogrążone w rozmowie. Na moim czole pojawiają się krople zimnego potu.

Nie. Nie będę tego słuchała. Nie jestem ich pionkiem i nie oszalałam.

- Ciemność płata figle, Gemmo – pocieszam się. – To nic nie było. Nic, nic, nic.
Powtarzam to słowo przy każdym kroku, aż zaczynam czuć, że to prawda.

*

- Czyż nie jest cudownie? Jak za dawnych czasów – mówi Ann, gdy szykujemy się do snu.

- Tak – potwierdzam, przesuwając szczotką po włosach. Moje dłonie nadal drżą i cieszę się, że Ann dziś wieczorem będzie spała obok.

- Gemmo – dodaje, zauważając mój niepokój – nie wiem, co ci się wydawało, ale w lesie niczego nie było. Musiałaś to sobie wyobrazić.

- Pewnie masz rację – odpowiadam.

I to przeraża mnie najbardziej.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Nie cieszę się, gdy nadchodzi czas, by wstać, ale nie tylko z powodu niewyspania. Czuję się źle. Boli mnie ciało i mam ociężały umysł, jakbym biegła tak szybko i długo, że teraz każdy krok wymaga ode mnie wielkiego wysiłku. Granice mego ciała rozmazują się i mieszają z innymi – z humorami i emocjami innych ludzi, ze sprawiającym ból światłem słonecznym, z tysiącem doznań – aż nie wiem, gdzie ja się kończę, a zaczyna się świat.

W Spence panuje ogólne podniecenie z powodu zbliżającego się balu maskowego. Dziewczęta nie potrafią się powstrzymać i przymierzają kostiumy. Wdzięczą się przed lustrami, przed którymi tłoczy się ich zbyt wiele, i walczą o lepsze miejsce, żeby choć przez chwilę podziwiać się w roli księżniczek i wrózek w ozdobnych maskach przybranych piórami lub koralikami. Widać im tylko oczy i usta. Kilka młodszych uczennic warczy na siebie, zginając palce jak szpony. Machają i okładają się łapami niczym dzikie tygrysy.

Pani Nightwing wchodzi i klaszcze w dłonie.

- Panienki, rozpoczynamy próbę!

Nauczyciele zaganiają młodsze dziewczęta, oddzielając tygrysy od wrózek. Każą im się na podłodze, podczas gdy pani Nightwing nadzoruje nasze występy z urokiem i serdecznością strażnika więziennego: „Panno Eton, czy pani gra na pianinie, czy je torturuje?, Panienki, macie dygać jak płatki śniegu spadające na ziemię. Miętko, miętko.! Panno Fensmore, to nie płatek śniegu, lecz lawina. Panno Whitford, proszę śpiewać głośniej. Być może podłoga panią słyszy, ale to tylko podłoga i nie potrafi bić braw”.

Gdy pani Nightwing wywołuje mnie, żebym wyrecytowała wiersz, żołądek mi się skręca ze strachu. Nie sprawia mi przyjemności to, że stoję przed nimi wszystkimi i znajduję się w centrum uwagi. Czuję, że nigdy nie przypomnę sobie tekstu. Dziewczęta patrzą na mnie z oczekiwaniem, potem ze znużeniem i z politowaniem. Dyrektorka chrząka, co brzmi jak strzał z pistoletu na starcie. Nagle ruszam i pędzę.

- Rózo nad Różami, jedyna w całym świecie...

Pani Nightwing przerywa mi.

- Boże drogi, panno Doyle! Czy to derby, czy recytacja wiersza?

Dziewczęta chichoczą cicho. Niektóre małe tygrysy śmieją się, zasłaniając pyski łapami.

Zaczynam od nowa, z całej siły starając się zapanować nad głosem i rytmem, choć serce bije mi tak mocno, że z trudem biorę choćby płytki oddech.

- Zawróćcie, wołam do nich, idących pospołu. / W porę zaniechajcie niepotrzebnych bojów. / Nie znajdą ukojenia w bitwach niebezpiecznych / Ci wszyscy, którzy słyszą miłości śpiew odwieczny.

Słowo „miłość” znów pobudza młodsze dziewczynki do śmiechu i muszę czekać, aż panna McCleethy zbeszta je za złe maniery i zagrozi, że nie dostaną ciasta, jeśli nie zaczną się dobrze zachowywać. Pani Nightwing kiwa głową, dając mi znak, że mogę kontynuować.

- Rózo nad Różami, jedyna w całym świecie! / I ty przybyłaś tam, gdzie przypląwa fale miecie / W zamglony, smutny brzeg, i usłyszałaś dzwon, / Co wzywa nas swym biciem; daleki słodki ton. – Przetykam raz i drugi. Patrzą na mnie z wyczekiwaniem, a ja czuję, że niezależnie od tego, co bym zrobiła, i tak je rozczaruję. – Hm... Piękno, zasmucone wiecznym trwaniem swoim... - Pod powiekami pieką mnie łzy, które chcą popłynąć z nieznanego powodu.

- Panno Doyle? – woła pani Nightwing. – Czy celowo robi pani tę dramatyczną pauzę? Czy może popadła pani w katatonię?

- N-nie. Tylko zapomniałam słów – mamroczę pod nosem. *Nie płacz, Gemmo. Na litość boską, nie tutaj!* – Piękno, zasmucone wiecznym trwaniem swoim, / Stworzyło Ciebie z nas, i z szarej morskiej toni. / Dumne nasze statki o masztach zamysłonych / Jednaki los podziela,

przez Boga im sądzony. / I kiedy, zwyciężone w wojnach Najwyższego. / Zatoną pod tym samym rozgwieżdzonym niebem, / Ustanie cichy szloch serc naszych, zdjętych trwogą, / Co żyć nie potrafią i umrzeć nie mogą.

Gdy schodzę ze sceny, rozlegają się niemrawe brawa. Pani Nightwing patrzy na mnie gniewnie nad ramkami okularów.

- Należ nad tym popracować, panno Doyle. Spodziewałam się czegoś więcej.

Wygląda na to, że wszyscy spodziewają się po mnie czegoś więcej. Jestem ogólnie bardzo rozczarowującą dziewczyną. Powinnam mieć wyszyte szkarłatne R na staniku sukni, aby ludzie wiedzieli, że nie należy mieć wobec mnie zbyt wielkich oczekiwań.

- Tak, proszę pani – odpowiadam i łzy znów wzbierają się w moich oczach, bo mimo wszystko chciałam ją jednak zadowolić, jeśli to możliwe.

- No dobrze – mówi dyrektorka nieco łagodniej. – Proszę jeszcze poćwiczyć. Panny Temple, Hawthorne i Poole, rozumiem, że są panie gotowe przedstawić swój balet.

- Będzie pani z nas naprawdę dumna, proszę pani – szczebiocze Cecily. – Bo bardzo dużo ćwiczyłyśmy.

- Cieszę się – komentuje pani Nightwing.

Przeklęta Cecily. Zawsze ma nade mną przewagę. Ciekawe, czy zdarzają jej się splamione krwią sny? Czy takie jak ona kiedykolwiek martwią się czymkolwiek? Żyją w luksusowym kokonie, do którego nie mają dostępu żadne problemy.

Cecily wiruje po parkiecie z absolutną gracją. Ramiona wygięte nad głową w idealny łuk wyglądają, jakby miały ją ochronić przed wszelkimi krzywdami. Nic nie mogę na to poradzić: nienawidzę jej za próżność i pewność siebie. Chciałabym mieć to, co ona, i nienawidzę za to również siebie.

Nie zdążam zareagować, gdy magia przepływa przeze mnie z rykiem. I zanim udaje mi się ją powstrzymać, Cecily potyka się, robiąc pełen wdzięku piruet. Upada, uderzając w podłogę z głuchym łoskotem, i boleśnie wykręca sobie kostkę.

Wszyscy wstrzymują oddech. Cecily sięga to do krwawiących ust, to do puchnącej kostki, jakby nie mogła się zdecydować, co boli bardziej. Wybucho płaczem.

- Boże drogi! – woła pani Nightwing.

Wszystkie dziewczęta prócz mnie biegną do Cecily. Ja tylko stoję i patrzę, bo magia nadal mnie obezwładnia. Ktoś jej podaje ścierkę do naczyń, żeby otarła usta. A ona łka, podczas gdy dyrektorka oferuje jej wątpliwą pociechę, mówiąc, że dama nie powinna tak histeryzować.

Moja skóra nadal swędzi od magii. Pocieram ramiona, jakbym mogła pozbyć się tego uczucia. Przytłaczają mnie krzyki, westchnienia, całe to zamieszanie, a pod tym, głęboko pod tym, słyszę nieprzyjemny szelest skrzydeł. Coś lśni w kącie, obok draperii. Podchodzę bliżej. To nimfa, którą widziałam wtedy w nocy, ta, która wyzwoliła się z kolumny. Teraz ukrywa się w fałdzie aksamitu.

- Skąd... skąd się tu wzięłaś? – pytam.

- Jestem tu? Widzisz mnie? Czy może twój umysł sądzi, że mnie widzi?

Przelatuje nad moją głową. Próbuję ją złapać, ale chwytam tylko powietrze.

- To, co zrobiłaś tej śmiertelniczce było zabawne. – Chichocze. – Podobało mi się.

- To nie było śmieszne – protestuję. – To było straszne.

- Wywołałaś jej upadek magią. Masz wielką moc.

- Nie chciałam, żeby upadała!

- Panno Doyle! Z kim pani rozmawia? – chce wiedzieć mademoiselle LeFarge.

Odciągnęłam ich uwagę od Cecily. Teraz przyglądają się mnie.

Odwracam się, ale nic tam nie ma. Tylko draperie.

- Ja... ja...

Po drugiej stronie pokoju panna McCleethy przenosi spojrzenie z Cecily na mnie i z powrotem, a na jej twarzy powoli zaczyna się malować niepokój.

- To twoja sprawka, tak? – Ika Cecily. W jej oczach widać prawdziwy strach. – Nie wiem, jak ona to zrobiła, proszę pani, ale to ona! Ona jest podłą dziewczyną!

- Podła. – Nimfa chichocze mi wprost do ucha.

- Milcz! – wrzeszczę na nią.

- Panno Doyle? – niepokoi się mademoiselle LeFarge. – Kto...

Nie udzielam odpowiedzi i nie czekam na pozwolenie. Wybiegam z sali, pędzę na dół, a potem na dwór, nie dbając o to, że dostanę sto nagan za złe zachowanie i że za karę będę musiała już zawsze szorować podłogi. Mijam zaskoczonych robotników, którzy próbują wymazać przeszłość Wschodniego Skrzydła świeżym wapieniem. Biegnę, aż docieram do jeziora, gdzie padam na trawę. Leżę zwinięta w kłębek, z trudem łapiąc oddech, i patrzę na wodę przez długie żdźbła trawy, które przyjmują moje łzy.

Nieśmiała brązowa klacz wyłania się spod osłony drzew. Przysuwa nos do wody, ale nie pije, tylko podchodzi bliżej. Czujnie się sobie przyglądamy, dwie zagubione dusze. Kiedy zbliża się do mnie, poznaję, że to Freya. Na jej silnym grzbiecie leży siodło. Skoro ją osiodłano, to gdzie jest jeździec?

- Cześć – odzywam się. Parska i nerwowo opuszcza łeb niżej. Głaszczę ją po chrapach, a ona na to pozwala. – Chodź – mówię, chwytając lejce. – Odprowadzę cię do domu.

Cyganie zazwyczaj nie cieszą się z moich wizyt, ale dziś wprost błędną na mój widok. Kobiety przykładają dłonie do ust, jakby nie chciały, żeby im się coś wymknęło. Jedna z nich woła Kartika.

- Freya, ty łobuzie! Martwiliśmy się o ciebie – mówi Kartik, przysuwając twarz do końskiego pyska.

- Znalazłam ją nad jeziorem – wyjaśniam chłodno.

Chłopak gładzie klacz po nosie.

- Gdzie byłaś, Freya? Gdzie jest Ithal? Widziałas go, Gemmo?

- Nie – odpowiadam. – Była sama. Zagubiona. – Bratnia dusza.

Kartik ponuro kiwa głową. Prowadzi klacz na miejsce i daje jej owies, którym Freya łapczywie się zajada.

- Ithal wyszedł pojeździć wczoraj wieczorem i do tej pory nie wrócił.

Matka Elena zwraca się do Cyganów w ich języku, a oni poruszają się nerwowo. Jakaś kobieta cicho krzyczy.

- Co oni mówią? – pytam Kartika szeptem.

- Mówią, że może być teraz duchem. Matka Elena nalega, by spalić wszystko, co do niego należało, żeby ich nie prześladował.

- Ty też sądzisz, że on nie żyje?

Kartik wzrusza ramionami.

- Ludzie Millera powiedzieli, że wezmą sprawiedliwość w swoje ręce. Będziemy go szukali. Ale jeśli nie wróci, Cyganie spalą wszystko, co po nim zostało.

- Jestem pewna, że się pojawi – uspokajam go i kieruję się z powrotem nad jezioro.

Kartik idzie za mną.

- Zawiązałam chustkę na bluszczu trzy dni temu. Czekałam na ciebie.

- Nie przyjdę.

- Zamierzasz karać mnie już zawsze?

Zatrzymuję się i staję twarzą do niego.

- Muszę z tobą porozmawiać – ciągnie. Pod oczami ma ciemne kręgi. – Znow mam sny. Znajduję się w spustoszonej miejscy. Jest tam drzewo, wysokie jak dziesięciu mężczyzn, przerażające i majestatyczne. Przed sobą widzę Amara i wielką armię nieumarłych. Walczę z nimi, jakby od tego zależały losy mojej duszy.

- Przestań. Nie chcę tego słuchać – proszę, ponieważ jestem zmęczona. „Tych cieni oczy znieść nie mogą” – przypomina mi się wiersz, którego nas uczyła panna Moore wiele miesięcy temu, *Pani z Shalott*.

- Ty też tam jesteś – dodaje cicho.

- Tak?

Kiwa głową.

- Stoisz u mojego boku. Walczymy razem.

- Stoję u twojego boku? – powtarzam.

- Tak – potwierdza.

Słońce pada na twarz Kartika pod takim kątem, że widzę maleńkie złote plamki w jego oczach. Jest taki przejęty, że przez chwilę mam ochotę objąć go i pocałować.

- A zatem nie masz się czym przejmować – mówię, odwracając się od niego – gdyż z całą pewnością jest to tylko sen.

*

Powiedzieć, że pani Nightwing jest ze mnie niezadowolona, to jak stwierdzić, że Maria Antonina została lekko drażniona w szyję. Daje mi trzydzieści minusów i za karę mam spełnić wszystkie jej polecenia przez tydzień. Na początek mam uporządkować bibliotekę, co nie jest taką torturą, jak sobie wyobraża, gdyż każda chwila spędzona w otoczeniu książek raduje moją duszę. To znaczy, jeśli w ogóle da się ją czymś uradować.

Wieczorem McCleethy wchodzi do mojego pokoju bez pukania i siada na jedynym krześle.

- Nie przyszła pani na kolację – mówi.

- Nie czuję się dobrze. – Podciągam koc pod szyję, jakby mógł mnie osłonić przed jej wścibstwem.

- Z kim pani rozmawiała w sali balowej?

- Z nikim – odpowiadam, nie patrząc jej w oczy. – Robiłam próbę.

- Powiedziała pani, że nie chciała, aby ona upadła.

Czeka na moją odpowiedź. Leżę na plecach i wpatruję się w płamę na suficie, gdzie złuszczyła się farba.

- Panna Temple ma skręconą kostkę. Nie wystąpi na balu. Szkoda, bo była całkiem dobra. Panno Doyle, mogłaby pani wyświadczyć mi tę uprzejmość i patrzeć na mnie, kiedy do pani mówię?

Kładę się na boku i patrzę prosto przez nią, jakby była zrobiona ze szkła.

- Może pani przestać udawać, Gemmo. Wiem, że nadal dysponuje pani magią. Czy to pani doprowadziła do jej upadku? Nie chcę pani karać, ale muszę znać prawdę.

Znów czuję gorącą pokusę, żeby jej o wszystkim powiedzieć. Mogłoby mi to przynieść ulgę. Ale znam McCleethy. Nęci, kusi, mówi, że chce znać prawdę, a tymczasem pragnie jedynie udowodnić, że ma rację, i wytknąć mi, gdzie się mylę. Nie mogę jej zaufać. Nikomu nie mogę zaufać. Nie zawiodę Eugenii.

Znów oddaję się fascynacji pęknięciem w suficie. Chciałabym pogrzebać w ranie w tynku. Zerwać go aż do desek i położyć na nowo. Pomalować na inny kolor. Zrobić zupełnie inny sufit.

- Przewróciła się – mówię pustym głosem.

Wzrok McCleethy spoczywa na mnie, badając i osądzając.

- A więc to był wypadek?

Przełykam z trudem.

- Wypadek.

Zamykam oczy i udaję, że zapadam w sen. Dopiero po niemożliwie długim czasie, słyszę szuranie krzesła po podłodze, sygnalizujące, że panna McCleethy wychodzi. Porusza się ciężko, przytłoczona rozczarowaniem.

*

Zasypiam. Sny mam niespokojne. Nieważne, czy biegnę po czarnym piachu, czy po świeżej trawie, nieważne, dokąd się skieruję – to, czego pragnę, zawsze znajduje się poza moim zasięgiem. Budzę się i widzę twarze Felicity oraz Ann zaledwie kilka centymetrów od mojej własnej. Wystraszyły mnie.

- Czas iść do międzyświata – odzywa się Fee. W jej oczach płonie oczekiwanie. – Minęły całe wieki, prawda, Ann?

- Tak się wydaje – zgadza się przyjaciółka.

- Dobrze. Dajcie mi chwilę.

- Co ci się śniło? – pyta Ann.

- Nie pamiętam. Dlaczego?

- Płaczesz – wyjaśnia.

Przykładam palce do wilgotnych policzków.

Felicity rzuca mi płaszc.

- Jeżeli nie wyruszymy szybko, to chyba stracę rozum.

Wkładam płaszc, po czym chowam place i łyżę głęboko do kieszeni, jakby wcale nie istniały.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Od pierwszej chwili wyczuwamy, że coś się zmieniło w Krainie Granicznej. Zdaje się nam, że panuje powszechny nieład. Warstwa pnączy sięga do kostek. Czarne ptaki, które przysiadły na szczytach jodeł, wyglądają jak kleksy atramentu. Gdy idziemy do zamku, podążają za nami, przelatując z gałęzi na gałąź.

- Zupełnie, jakby nas obserwowały – szepcze Ann.

Dziewczęta ze szwalni nie witają nas znajomym okrzykiem.

- Gdzie one są? Gdzie jest Pip? – denerwuje się Felicity, przyspieszając kroku.

Zamek jest opustoszały. I tak jak otaczające go tereny, cały pozarastany i zaniedbany. Kwiaty uschły, a po ich purpurowych łupinach pełzają robaki. Wdeptuję w płamę pleśni i z odrazą podnoszę but do góry.

Wędrujemy przez pokryte pnączami komnaty, wołając dziewczyny po imieniu, ale nikt nam nie odpowiada. Nagle słyszę za gobelinem cichy szelest. Odsuwam go i widzę Wendy z brudną, poznaczoną łzami buzią. Palce dziewczynki są pokryte niebieskimi plamami.

- Wendy? Co się stało? Czemu się ukrywasz?

- To przez ten krzyk, panienko. – Pociąga nosem. – Kiedyś był słaby, ale teraz słyszę go cały czas.

Felicity sprawdza za pozostałymi gobelinami w pokoju na wypadek, gdyby to była zabawa w chowanego.

- Raz, dwa, trzy, zaklepane! Pip? Pippa Cross! – W końcu opada na tron i wydyma usta. – Gdzie one wszystkie się podziały?

- Wygląda na to, że zniknęły. – Ann otwiera drzwi, ale za nimi widać wyłącznie pnącza.

Małą Wendy przebiega dreszcz.

- Czasami budzę się i mam wrażenie, że jestem tu jedyną duszą.

Sięga drżącą dłonią do kosza z jagodami, które zebrała Pip, jagodami, które skazały naszą przyjaciółkę na pobyt tutaj. Zauważam niebieskie plamy również na jej ustach.

- Wendy, jadłaś jagody? – pytam.

Na jej twarzy odbija się strach.

- Tylko to tutaj jest, panienko, a byłam bardzo głodna.

- Nie martw się – pocieszam ją, bo nic innego nie można już zrobić.

- Idę rozejrzeć się z wieży – oświadcza Fee, a po chwili słyszę szybkie kroki na rozpadających się schodach.

- Boję się, panienko – wyznaje Wendy i znów zaczyna płakać.

- No już, już. – Klepię ją po ramieniu. – Jesteśmy z tobą. Wszystko będzie dobrze. A co z Panem Darcym? Gdzie twój skoczny przyjaciel?

Usta dziewczynki drżą.

- Bessie powiedziała, że przegryzł się przez klatkę i uciekł. Wołałam go, ale nie przyszedł.

- Nie płacz. Zaraz obaczymy, czy uda się go wypłoszyć. Panie Darcy! – wołam. – Bardzo niegrzeczny z pana zwierzak!

Szukam wszędzie, gdzie mógłby się ukryć psotny królik – w koszach na jagody, pod spleśniałymi dywanami, za drzwiami. Na ołtarzu w kaplicy znajduje się klatka. Nie widać, by gałązki zostały przegryzione. Trzymają się mocno. Ale za to drzwiczki są otwarte.

- Szukasz przyjaciółek? – Wróżka lśni jasno w ciemnym kącie. – Może wróciły do Krainy Zimy?

Dokładnie w tym momencie wpada od pomieszczenia Felicity.

- Pippa nie poszłaby beze mnie.

- Masz absolutną pewność? – pyta skrzydlate stworzenie.

- Tak, mam – odpowiada Fee, ale zasępia się i szybko zerka w stronę bramy do Krainy Zimy.

- Ktoś nadchodzi – ostrzega wróżka. Szybko jak błyskawica wylatuje z zamku.

Felicity, Ann i ja biegniemy za nią do lasu. Z drugiej strony ściany jeżyn zbliża się do nas chmura pyłu. To rozpedzone centaury. Zatrzymują się, gdyż nie mają odwagi wejść do Krainy Granicznej.

Jeden z nich woła do mnie przez kolczaste gałęzie.

- Filon cię wzywa, kapłanko!

- Dlaczego? Co się stało?

- Chodzi o Kreostusa. Został zamordowany.

*

Pod drzewami oliwnymi w grocie, w której niegdyś stały Runy Wyroczni leży ciało Kreostusa z ramionami wyciągniętymi po bokach. Oczy ma otwarte, ale niewidzące. W jednej dłoni ściska piękny kwiat maku, który wygląda tak jak krwawa rana w piersi centaury. Nie przyjaźniłam się z Kreostusem – był na to zbyt porywczy – ale miał w sobie tyle życia, że trudno jest zaakceptować jego śmierć.

- Co wiesz na ten temat, kapłanko? – pyta Filon.

Nie potrafię odwrócić wzroku od pustych oczu Kreostusa.

- Jeszcze kilka minut temu nic o tym nie wiedziałam.

- Kłamczucha! – Neela wskazuje na głaz. – Wiesz, kto jest za to odpowiedzialny.

Przekształca się w Ashę: pomarańczowe sari, pokryte pęcherzami nogi, ciemne oczy.

- Uważasz, że zrobili to Hajini?

- Wiesz, że to prawda! Kreostus pojechał targować się o maki. Podstępne plemię oszukało go o cały buszel. A teraz znaleźliśmy go tutaj z kwiatem maku w dłoni. Kto inny mógł to zrobić? Brudni Hajini, wspomagani przez Zakon!

Głos Neeli aż się załamuje z emocji. Czule gładzi Kreostusa po twarzy. Z płaczem kładzie się na jego piersi, obejmując pozbawione życia ciało.

Od strony rzeki odzywa się gorgona.

- Zakon może i jest bezwzględny, ale nigdy nie zabijał. I zapominasz, że nie ma teraz wstępu do międzyświata. Nie ma tu żadnej władzy.

Neela przesywa mnie wzrokiem.

- A jednak widziałam, jak kapłanka szła do Świątyni, sama.

- Neela mówi prawdę, byliśmy z nią. Również widzieliśmy kapłankę – potwierdza jeden z centaurów.

- Kłamiecie! – krzyczy Felicity, stając w mojej obronie, ale oblewam się rumieńcem, co nie umyka uwagi Filona.

- Czy to prawda, kapłanko?

No to po mnie. Jeżeli powiem im to, co wiem, oskarżą mnie o nielojalność. Jeżeli skłamię i sami później odkryją prawdę, będzie jeszcze gorzej.

- Poszłam do Świątyni sama – potwierdzam. – Ale nie po to, by spotkać się z Hanijami.

Widziałam się z kimś innym. Z Kirke.

- Gemmo... - szepcze Ann.

Filon szeroko otwiera oczy ze zdumienia.

- Ze zdrajczynią? Przecież ona nie żyje. Zginęła z twojej ręki.

- Nie – zaprzeczam. – Nadal żyje. Jest uwięziona w studni wieczności. Musiałam się z nią zobaczyć, żeby zapytać o Krainę Zimy i...

Tłum faluje niespokojnie, po czym podchodzi bliżej. Felicity wpatruje się we mnie z przerażeniem. Neela zrywa się z ziemi, jej głos ocieka furją, a usta wykrzywia obłąkany uśmiech.

- Mówiłam ci, Filonie! Mówiłam, że nie można jej ufać! Że zdradzi nas tak jak tamte. Ale nie chciałeś mnie słuchać. A teraz Kreostus nie żyje. Nie żyje... - Ukrywa twarz w dłoniach.

- A zatem członkini Zakonu mieszka w Świątyni. Z Niedotykalnymi – mówi Filon.

- Nie, to nie tak. Ona nie należy do Zakonu. Zakon nie chce mieć z nią nic wspólnego...

- Ale ty chcesz? – warczy jeden z centaurów.

Neela zwraca się do zebranych. W oczach nie ma łez.

- Przyjmiecie słowa tej, która skłamała? Widzicie, że nawet jej przyjaciółki nie wiedziały o tym oszustwie. Kapłanka Zakonu i zdrajczyni spiskowały z Hanijami, żeby przejąć władzę! Może Kreostus wiedział za dużo i dlatego został zamordowany? Filonie! Nie zażadasz sprawiedliwości?

Centaury, leśny lud, gorgona, wszyscy zwracają twarze do Filona, który zamyka swoje kocie oczy i oddycha głęboko. Gdy znów je otwiera, widać w nich determinację i upór. Zaczynam się bać.

- Zaufałem ci, kapłanko. Bronilem cię przed moim ludem, a ty w zamian nic nam nie dałaś. Teraz poprę mój lud i zrobimy to, co konieczne, żeby siebie chronić. *Nyim nyatt e volaret.*

Centaury unoszą poległego brata i kładą jego martwe ciało na swych ramionach.

- Filonie, proszę... - próbuję coś powiedzieć,

Stwór odwraca się do mnie plecami. Jeden po drugim, jak zatrzasujące się drzwi, leśni ludzie też się odwracają, odtrącając mnie. Tylko Neela zauważa moją obecność. Gdy wychodzi ze swoimi pobratymcami z grotu, odwraca się i pluje mi w twarz.

Felicity brutalnie odciąga mnie na bok.

- Rozmawiałaś z Kirke?

- Potrzebowałam informacji. Musiałam dowiedzieć się czegoś o Krainie Zimy – wyjaśniam. – Tylko ona mogła wyjawić to, czego ja... czego my musiałyśmy się dowiedzieć.

- My? – Felicity zabija mnie wzrokiem. Ann bierze ją za rękę. – Kirke nie daje niczego za darmo. Co jej zaoferowałaś? – dopytuje się.

Nie odpowiadam i Ann robi to za mnie.

- Magię.

Śmiech Felicity jest okrutny.

- Niemożliwe! Powiedz, że tego nie zrobiłaś, Gemmo.

- Potrzebowałam informacji! Przeprowadziła nas bezpiecznie przez Krainę Zimy, prawda? – mówię i uświadamiam sobie, że to bardzo słaba linia obrony.

- Zapewne własnoręcznie zabiła Wilhelminę Wyatt! Wzięłaś to pod uwagę? – wścieka się Fee, a mnie przenika potworny chłód. Powiedziłam Kirke o Eugenii, o drzewie. A jeśli...

- To nie było tak – protestuję, ale z mniejszą pewnością siebie.

- Jesteś głupia! – krzyczy na mnie Felicity.

Odpycham ją.

- Skoro tak dużo wiesz o tym, jak należy postępować, może to ty powinnaś dysponować całą magią?

- Żałuję, że tak nie jest – warczy przez zaciśnięte zęby. – Sprzymierzyłabym się z Pip i przyjaciółkami, zamiast spiskować z wrogiem.

- Tak bardzo wierzysz w Pip? Więc gdzie ona teraz jest?

Felicity wymierza mi mocny policzek. Ból dociera aż do palców u nóg. Rozcięła mi wargę, czuję na języku smak krwi. Zalewa mnie magia. Felicity natychmiast sięga po miecz, ale wrywam go jej jak zabawkę.

- Nie jestem twoim wrogiem – mówi cicho.

Moje ciało drży. Mobilizuję się, żeby zapanować nad magią. Wysilek sprawia, że drzę i robi mi się niedobrze, jakbym nie spała od wielu dni. Stoimy z Fee naprzeciwko siebie i żadna nie chce przeprosić. Żołądek mi się skręca. Odwracam się i wymiotuję w krzaki, a Felicity zdecydowanym krokiem rusza ścieżką w stronę Krainy Granicznej.

- Nie powinnaś była mówić tak o Pip – upomina mnie Ann i podaje chusteczkę.

Odrącam jej rękę.

- Wy nie powinniście mi mówić, co mam robić.

Zaledwie przez chwilę widać na twarzy Ann, że poczuła się zraniona, a potem dobrze wyszkolona maska ukrywa prawdziwe uczucia. Wygrałam tę rundę, ale nienawidzę siebie za to.

- Chyba pójdę z Fee – mówi. Z pochyloną głową biegnie za przyjaciółką i zostawia mnie samą.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Gdy wracamy, Pippa i dziewczęta siedzą w starej kaplicy zamkowej. Obok stoi kosz dojrzałych jagód, które Pippa przebiera, część wrzucając do znalezionej kielicha. Dziewczęta wyglądają na bardziej znużone niż zazwyczaj. Włosy mają okropnie rozczochrane, a gdy światło pada na nie pod odpowiednim kątem, ich cera wydaje się plamiasta i żółtawa jak gnijący owoc.

Pippa nuci wesołą melodyjkę, ale milknie na widok naszych ponurych min.

- O co chodzi? Co się stało?

Felicity spogląda na mnie twardo, ale ani ona, ani Ann nie zdradzają, co zrobiłam. Boli mnie głowa i muszę trzymać dłonie pod pachami, żeby nie było widać, jak drżą.

- Kreostus został zabity – odpowiadam krótko.

- A, tylko tyle? – dziwi się, po czym wraca do sortowania jagód.

Mae i Bessie nawet nie podnoszą wzroku. Ich obojętność może doprowadzać do szału.

- Leśny lud mnie odtrącił.

Pippa wzrusza ramionami.

- Oni nie mają znaczenia. Żadnego.

- Kiedyś też tak myślałam, ale nie miałam racji. Naprawdę ich potrzebuję.

- Tych okropnych stworzeń? Mówiłaś, że przychodzili do naszego świata i robili sobie z ludzi zabawki. Koszmar! – Pippa delikatnie wybiera rozgniecioną jagodę i kładzie ją na ściereczce z innymi odrzuconymi owocami.

- Tak, to naganne postępowanie, które mi się nie podoba. Mogę im o tym powiedzieć. Ale Filon nigdy mnie nie okłamał. Gdy potrzebowałam pomocy, był moim sprzymierzeńcem. Jego lud prosił tylko o prawo głosu, o udział w rządach nad własną krainą, a ja ich zawiodłam. – Powoli wciągam powietrze do płuc i magia się trochę uspokaja.

- No cóż – mówi Pippa i otrzępuje spódnice z kurzu – nadal nie rozumiem, po co ich potrzebujesz, skoro masz nas. Bessie, kochanie, możesz to odstawić na bok?

Bessie bierze kosz z jagodami, spoglądając na nie tęsknie.

- A dlaczego odwrócili się od ciebie?

Pokój wydaje się za mały. Felicity i Ann unikają mojego wzroku.

- Sądzą, że Niedotykalni i ja mamy coś wspólnego z zamordowaniem Kreostusa.

- Dziwne, co? – Bessie wpatruje się we mnie. – A czemu tak myślą?

- Gemma odbywała sekretne pogawędki z Kirke – wyjaśnia w końcu Felicity.

- Och, Gemmo! – gani mnie Pippa. Jej fiołkowe oczy płoną, po czym tracą kolor i nabierają mętnej mlecznej bieli z Krainy Zimy. Ich spojrzenie wywołuje we mnie dreszcz.

- Kto to Kirke? – pyta Mae.

- Nikczemna osoba – wyjaśnia Pip. – Próbowała zabić Gemmę. Gotowa jest na wszystko, żeby zdobyć magię Świątyni i rządzić międzyświatem. Nie można jej ufać. – Patrzy na mnie gniewnie. – Tym, którzy się z nią zadają, też nie można ufać. Bo nie ma nikogo gorszego niż oszustka, która chce zdradzić przyjaciół.

- Nikogo nie zdradziłam! – krzyczę, a moc, którą uciszyłam, znów dudni we mnie, aż jestem zmuszona usiąść.

Felicity staje obok Pippy z założonymi rękami.

- Gdzie byłaś wcześniej? – pyta cicho.

Pippa zbywa ją wzruszeniem ramion.

- Na jagodach.

- Szukałyśmy cię w lesie – naciska Fee.

- Wygląda na to, że niedokładnie.

Bessie podchodzi do Pippy. Jest wyższa od Felicity prawie o głowę.

- Jakieś kłopoty, panienko?

Pippa nie wrywa się, żeby powiedzieć: „Spokojnie, Bessie, nie bądź niemądra, wszystko jest w porządku”. Pozwala, by groźba przez chwilę wisiała w powietrzu, i rozkoszuje się jej mocą.

- Nie, dziękuję, Bessie. – Opiera ręce na biodrach i zwraca się do Fee. – Mogłabym spytać, gdzie ty byłaś, ale pewnie zajmowałaś się swoim życiem. Po drugiej stronie.

- Pip... - Felicity próbuje spleść palce z palcami przyjaciółki, ale Pippa nie ma na to ochoty. Odsuwa się. – Przyniosłam ci prezent – dodaje Fee z nadzieją. Podaje jej cienką paczkę zapakowaną w brązowy papier.

Pippa otwiera pudełko i jej oczy się rozjaśniają. W środku znajdują się trzy strusie pióra.

- Żebyś miała swój debiut – mówi miękko Felicity.

- Och! Och, są wspaniałe! – Pippa zarzuca ramiona na szyję Fee, która się w końcu uśmiecha.

Bessie z głośnym tupotem odnosi kosz jagód, niemalże przewracając biedną Mercy.

- Pomóż mi je wpiąć – prosi Pip.

Felicity mocuje pióra z tyłu głowy przyjaciółki za pomocą gałązki zabranej z ołtarza.

- Jak wyglądam? – pyta Pippa.

- Pięknie – odpowiada Fee schrypniętym głosem.

- No to wspaniale! Tego nam potrzeba, żeby ożywić nastroje: wesołego przyjęcia.

Wszystkie dziewczęta będą miały debiut. Wydamy najwspanialszy bal, najwystawniejszy w historii. Mae? Mercy? Kto mi pomoże? Bessie, bawisz się z nami, prawda?

Dziewczęta aż podskakują z podniecenia. Mae zrywa kwiat wilczej jagody ze ściany i wtyka go sobie we włosy. Na podłogę z plaśnięciem spada robal i nie umiem powiedzieć, czy wypadł z kwiatka, czy z jej ucha.

- Gemmo? – Pippa wyciąga rękę. – Weźmiesz udział w balu z okazji naszego debiutu?

Śmierć Kreostusa rzuciła długi cień na moją duszę. Po raz pierwszy od bardzo dawna nie interesuje mnie zabawa. Nie chcę zapomnieć o moich problemach ani wypełniać głębokich ran ulotnymi iluzjami.

- Obawiam się, że nie jestem w rozrywkowym nastroju. Musicie urządzić przyjęcie beze mnie.

Spodziewam się kłótni. Min, łez i błagania, żebym zmieniła zamek w Tadź Mahal, a nasze spódnice w paryskie kreacje. Zamiast tego Pippa uśmiecha się promiennie.

- Gemmo, kochana, ty sobie odpocznij. Ja się wszystkim zajmę.

Zamyka oczy i stanowczo unosi ramiona w stronę prastarych belek na suficie. Na jej ustach pojawia się ekstatyczny uśmiech. Ciało Pippy drży, a zamek zaczyna się przemieniać. Brud znika z okien, a szyby lśnią. Pnącza odsuwają się, robiąc miejsce na parkiet do tańca. Nie ma już pleśni na ścianach i suficie, a zamiast niej pojawia się ciemnofioletowy dywan jagód i belladonny.

Oszołomiona Ann kręci się w kółko, chłonąc wzrokiem odnowioną kaplicę.

- Jak to zrobiłaś?

- Wygląda na to, że magia się zmienia. Nie tylko Gemma posiada moc – odpowiada Pippa.

- To nadzwyczajne – mówi Felicity, ale w jej głosie słychać nutę smutku. – Czy możesz obdarzać nią innych tak jak Gemma?

Pippa sięga w płataninę jagód i wybiera największą, którą zjada.

- Nie. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Ale gdy będę potrafiła, możesz być pewna, że podzielę się nią bezzwłocznie. A teraz musimy się przygotować do debiutu!

- Pippo – odzywam się nieco bardziej szorstko niż zamierzałam – czy mogę zamienić z tobą słowo?

Pippa na użytek pozostałych dziewcząt wydyma usta i przewraca oczami, a one parszają śmiechem.

- To zajmie tylko chwilę – mówi. – Możecie w tym czasie poćwiczyć ukłon.

Idziemy w górę krętymi schodami. Mysz złapała się w pajęczą sieć. Leży uwięziona w lśniącym jedwabistym kokonie i ledwie się porusza, zna już swój los. Docieramy do szczytu schodów i wyczuwam w powietrzu chłód. Z oddali przyzywają nas cienie Krainy Zimy, ale dzisiaj ich syreni śpiew nie działa na mnie ze zwykłą mocą. Mam świeżo odcisnięty w pamięci widok Kreostusa leżącego na ziemi.

Pippa staje przy oknie. Jej sylwetkę otacza wirujący mrok Krainy Zimy. Z enigmatycznym półśmiechem na ustach jest nawet jeszcze piękniejsza niż zazwyczaj.

- Muszę stwierdzić, Gemmo, że nie wydajesz się uszczęśliwiona.

- Jestem tylko zbita z tropu. Jak zdobyłaś tę moc? Minęło już wiele dni, od kiedy ostatnio...

- To nie ma nic wspólnego z tobą – odpowiada i słyszę nienawiść w jej głosie. – Magia zakorzeniła się we mnie. Nie umiem wyjaśnić dlaczego. Ale możesz się cieszyć. Właściwie powinnaś się cieszyć. Nie jesteś teraz taka samotna.

Powinnaś. To słowo, podobnie jak gorset, służy do naginania nas do odpowiedniego kształtu. Pippa wychyla się ze sklepionego okna i szeroko rozkłada ramiona, pozwalając, by podtrzymał ją wiatr wiejący od Krainy Zimy.

- Och, jak przyjemnie! – Chichocze.

- Pip, cofnij się – proszę z troską.

Jej oczy robią się mlecznobiałe.

- Dlaczego? Nic mi się nie stanie. Jestem nieśmiertelna.

Oddała się od okna. Jej loki tworzą prawdziwą płataninę.

- Gemmo, chcę, byś wiedziała, że choć nie aprobuję twoich konszachtów z Kirke, jestem gotowa ci wybaczyć.

- Ty... wybaczyć mi? – pytam powoli.

- Tak. Gdyż narodziłam się na nowo i widzę wszystko wyraźnie. Dokonają się tutaj zmiany. – Uśmiecha się, całuje mnie w policzek, a ja czuję w tym miejscu mrowienie.

- Pip, co ty mówisz?

Te jej oczy lśnią jak miraż – fiołkowe, białobłękitne, fiołkowe, białobłękitne – aż nie potrafię określić, co jest prawdą, a co tylko fałszywą nadzieją.

- Ja też miałam wizję. W międzyświecie powstanie nowe imperium. Ci, którzy nie są z nami, są przeciwko nam. Pozostaje jeszcze kwestia tych, którzy po prawdzie nie nadają się do nowego świata czyli chorych i biednych. Tych, którzy nigdy nic nie osiągną. – Twarz ma zaciętą. – Degeneratów.

Bierze mnie pod ramię, a ja muszę się powstrzymać, żeby się jej nie wyrwać i nie uciec.

- Przyznam, że nie wiem, co zrobić z biedną Wendy – kontynuuje z westchnieniem. – Stała się prawdziwym utrapieniem.

Mój głos jest ledwie szeptem.

- Co masz na myśli?

Pip wydyma poplamione jagodami usta.

- Ciągłe skarży się na jakiś nieistniejący krzyk. Żadna z nas niczego takiego nie słyszy. Kazałam jej przestać. Nawet wymierzyłam jej za to policzek.

- Uderzyłaś Wendy?

W głosie Pippy brzmi twarda determinacja.

- Budzi lęk w pozostałych dziewczętach, a wtedy nie chcą się bawić. Nie ma żadnego krzyku, ona tylko jest przekorna.

- To, że go nie słyszysz, wcale nie oznacza, że go nie ma.

Twarz Pip układa się w dziecinny uśmiech.

- Gemmo, kiedy znów pójdziesz ze mną do Krainy Zimy? To taka wspaniała zabawa. Płynąć łódką przez wąwóz, biec przez wrzosowisko i pozwalać, by Drzewo Wszystkich Dusz szeptało nam, kim rzeczywiście jesteśmy, kim naprawdę możemy się stać.

- To brzmi tak, jakbyś chodziła tam bez nas.

Znów wraca dziwny półśmiech.

- Oczywiście, że nie. Nie poszłabym bez was.

Przez okno wpada powiew chłodnego wiatru. Koszmarna myśl toruje sobie drogę do mojego umysłu.

- Co się stało z Panem Darcym? – pytam szeptem i dziwi mnie, jak szybko i niepewnie kołacze moje serce.

Pip spogląda mi w oczy przez długą chwilę.

- To był tylko królik. Nikt nie będzie za nim tęsknił.

Z dołu dobiega wesoły śmiech. Ktoś woła:

- Chodź, Pip!

I Pippa się uśmiecha.

- Moje poddane czekają.

Rusza schodami dół i odwraca się dopiero wtedy, gdy orientuje się, że nie drgnęłam z miejsca.

- Nie idziesz?

- Nie – odpowiadam. – Nie mam ochoty na tańce.

Oczy Pip nabierają koloru Krainy Zimy.

- Szkoda.

Gdy wychodzę z wieży, dziewczyny bawią się w kaplicy. Fee i Pip siedzą na tronach jak para królewska. Pippa trzyma patek w dłoni niczym berło i ma na sobie pelerynę, którą Felicity dała jej kilka tygodni temu. Wydaje się, że od tamtej szczęśliwej chwili minęło wiele miesięcy. Ann poprawia tren Mercy. Mae naciąga długie rękawiczki, a Bessie z trzaskiem zamyka wachlarz z kości słoniowej. Tylko Wendy siedzi sama, przyciskając do siebie klatkę Pana Darcy'ego.

- Nareszcie macie szansę stać się prawdziwymi damami i nikt nie ma prawa powiedzieć, że nie dorównujecie najwyższej postawionym! – woła Pippa.

Oczy dziewcząt lśnią. Pip nosi dumnie strusie piór jak debiutantka, którą nigdy nie będzie w naszym świecie.

- Panna Bessie Timmons! – woła Fee, a ściany jęczą. Pod iluzją, którą widzimy, pnąca dalej przypuszczają szturm.

Jedna po drugiej dziewczęta suną uroczyście w stronę Pip. Składają głęboki ukłon, a ona z powagą kiwa głową, dając w ten sposób znak, że mogą się wyprostować. Gdy wracają na swoje miejsca, twarze mają jasne i przepelnione radością. Z całego serca wierzą, że stały się damami.

A w niepokojących oczach Pip widzę, że ona wierzy bez żadnych zastrzeżeń, iż jest królową.

*

Biegnę przez pokryte kurzem korytarze Świątyni, mijam zaskoczoną Ashę i kieruję się prosto do studni wieczności. Kirke unosi się na wodzie tak, jak za każdym razem, gdy tu przychodziłam.

Za każdym razem. Nie zdawałam sobie sprawy, że tak często tu bywałam.

- Centaur Kreostus został zamordowany – mówię. – Miała pani z tym coś wspólnego?

- Jak mogłabym tego dokonać, będąc tutaj? – pyta, czym wcale mnie nie uspokaja.
- Muszę wiedzieć, co się dzieje – nalegam. Trochę brak mi tchu. Powietrze jest wilgotne i ciepłe. Bolał mnie od niego płuca. – Obiecała mi pani odpowiedzi.

- Nie. Obiecałam pomóc ci zrozumieć twoją moc w zamian za magię.

- Tak, za magię! Po co ona pani? Skąd mam wiedzieć, że jej pani nie używa, żeby wywoływać kłopoty? Równie dobrze mogła pani wyjść ze studni. Mogła pani zamordować Kreostusa. Mogła pani sprzymierzyć się ze stworami z Krainy Zimy.

Zaczynam sobie w pełni uświadamiać, co narobiłam. Z jękiem kopię w cembrowinę, od której odpada kawałek kamienia.

W głosie Kirke brzmi stal.

- Nie musisz wyzywać się na studni. Nic ci nie zrobiła. W czym rzecz? Chodzi o Eugenię?

- N-nie – jąkam się. Nie powiem jej nic więcej o pani Spence. To był błąd. Podnoszę odłamek kamienia i obracam go w palcach. – Chodzi o Pip. Ma własną magię. Nie obdarowywałam jej już od dłuższego czasu, ale może jakieś resztki...

- Przestań się okłamywać. Wiesz, skąd ją ma. Zawarła pakt z Krainą Zimy.

Prawda zapada we mnie powoli.

- Jedna z dziewcząt miała królika – mówię miękko. – Pip powiedziała, że zaginął.

- Następnym razem to nie będzie królik – ostrzega Kirke. – A co z naszą znamienitą Eugenią? Z Drzewem Wszystkich Dusz? Znalazłaś już sztylet?

- Jeszcze nie, ale go znajdę – zapewniam. – Dlaczego tak bardzo jej pani nienawidziła?

- Bo tak – odpowiada z trudem. – Nie potrafiła patrzeć we własny mrok, więc jak mogła rozumieć serca innych? Przypuszczam, że śmierć centaura oznacza, iż nie dojdzie do sojuszu.

- Raczej nie – przyznaję, dopiero teraz rozumiejąc, jakie czekają nas kłopoty. Dałam obietnicę i jej nie dotrzymałam. Teraz mam wrogów. – Przysięga pani, że nie miała nic wspólnego z zamordowaniem Kreostusa? – pytam ponownie, przesuwając kamyk w palcach.

- Jakim sposobem? – odpowiada.

Gdy wyłaniam się zza zasłony wodnej, czeka na mnie Asha. Składa szybki ukłon.

- Pani Nadziejo, musimy porozmawiać – mówi z naciskiem.

- O co chodzi?

Prowadzi mnie do sali, w której Niedotykalni siedzą na pryczach, nawlekając koraliki na sznurki. Czerwony dym wydobywa się z miedzianych naczyń.

- Czy to prawda, że jeden z centaurów został zamordowany i leśny lud obwinia o to Hajinów?

- Tak – potwierdzam. – Gdy go znaleziono, ścisnął w dłoni kwiat maku.

- Nie mieliśmy nic wspólnego z tym morderstwem. – Pociera kciukiem wewnątrz dłoni, jakby gładziła kamień szczęścia. – Nie chcieliśmy się mieszać do całej tej polityki. Chcemy tylko, żeby zostawiono nas w spokoju, żebyśmy mogli żyć bezpiecznie...

- Do cholery, nie istnieje coś takiego jak bezpieczeństwo! – krzyczę. – Kiedy to zrozumiesz? Czy twoi ludzie przynajmniej wiedzą, że proponowałam wam udział w magii i że odmówiłaś w ich imieniu?

Niedotykalni unoszą wzrok znad swoich robótek.

- Czy to prawda, Asho? – pyta jakaś dziewczyna.

- To nie jest nasza droga ani przeznaczenie. Zajmujemy się tylko obowiązkami plemienia – wyjaśnia spokojnie Asha. – Wiecie o tym.

- Ale moglibyśmy w końcu mieć prawo głosu – rzecze stanowczo jakiś Hajin.

Dym się rozwiewa. Asha stoi obok naczynia, doskonale widoczna.

- Czy użyłbyś magii, by zmienić to, kim jesteśmy? Tutaj zaakceptowaliśmy naszą chorobę. Znaleźliśmy pociechę w sobie nawzajem. A gdybyśmy nagle zyskali moc pozwalającą na usunięcie wszelkich niedoskonałości? Czy nadal dostrzegalibyśmy w innych piękno? Teraz przynajmniej stanowimy jedną kastę.

Hajini rozważają jej słowa. Niektórzy podejmują pracę, naciągając ubrania na znieskształcone nogi, żeby je ukryć.

- Zawsze tak było. Przyjmujemy dziedzictwo naszych przodków – mówi dalej Asha z uśmiechem, ale w tym uśmiechu nie widzę ciepła ani mądrości, lecz strach.

- Boisz się, że stracisz wpływ na nich – oświadczam zimno.

- Ja? Nie mam żadnej władzy.

- Nie? Jeżeli będziesz ich trzymała z dala od magii, nigdy się nie dowiedzą, jakie mogłoby być ich życie.

- Będą bezpieczni – upiera się Asha.

- Nie – zaprzeczam. – Po prostu nie poznają pokus.

Jedna z kobiet wstaje niepewnie, mocno wpijając palce w spódnicę.

- Powinniśmy mieć prawo głosu, Asho. Już czas.

W oczach Ashy błyska iskra gniewu.

- Zawsze żyliśmy w ten sposób. I nadal będziemy tak żyć.

Dziewczyna siada, ale nie kłania się, jak to leży w zwyczaju. W jej oczach odbijają się bliźniacze bóstwa wątpliwości i pragnienia. Gdy spódnica się rozchyła, ukazując pokryte bliznami i wrzodami nogi, nie poprawia jej pospiesznie.

Kręcę głową.

- Nadchodzą zmiany, Asho. Czy jesteś na nie gotowa, czy nie.

*

Kiedy zmierzam w stronę Krainy Zimy, w moim umyśle panuje mętlik. Kto mógł zamordować Kreostusa i dlaczego? Czy Kirke mówi prawdę? Czy Pippa zawarła układ z istotami z Krainy Zimy w zamian za magię, a jeśli tak, to jak wielką posiada moc? Jak mam skłonić Fee, żeby w to uwierzyła? Słusznie uzna, że to mnie nie należy ufać, bo spotykałam się z morderczynią. I nadal nie odszyfrowałam tajemniczycy przekazów od panny Wyatt. Och, jestem ostatnią idiotką!

Nie. Nadal istnieje szansa, by wszystko naprawić. Eugenia. Znajdę sztylet i uratuję ją. Wprowadzę porządek w międzyświecie i w Krainie Zimy, a potem... co potem? Będę się o to martwiła kiedy indziej.

Na zakręcie przed ścianą jeżyn zauważam coś dziwnego. Owoce na drzewach, które ożywiłyśmy pierwszego dnia po powrocie do międzyświata, zmieniły się w matowe łupiny. A kwiaty stały się suche i sine, jakby umarły. Wszystko co do jednego nie żyją.

Przechodzę przez jeżynową ścianę i idę szybko ścieżką przez błękitny las do zamku.

Uu-uuu. Dźwięk rozlega się w pobliżu. Bessie zastępuje mi drogę, dzierżąc w dłoni kij przygotowany do ataku.

- Bessie, odsuń się, proszę. Nie chcę cię skrzywdzić. Wiesz o tym.

- Nie mogłaby mnie panienska skrzywdzić, nawet gdyby chciała – odpowiada dziewczyna, która wyraźnie nade mną góruje.

Wołam po imieniu Pip, a także Felicity i Ann.

- Widzi panienska? Już panienska nie chcą – parska Bessie.

Drzwi zamku otwierają się i wynurza się z nich Fee, za którą podążają Ann, Pip i pozostałe.

- O co chodzi, Gemmo? – woła Felicity.

- Bessie nie chce mnie przepuścić – wyjaśniam.

Pippa robi figlarną minkę do Bessie.

- Czy to prawda?

- Nie wiadomo, gdzie była – wyjaśnia dziewczyna.
- Pippa obraca w palcach nagietek.
- To prawda, Gemmo. Jeśli nie chcesz, by w ciebie wątpiono, nie powinnaś włóczyć się sama.
- Słusznie – zgadzam się, a mój niepokój rośnie. Boję się jej i zastanawia mnie, czy ona wyczuwa ten lęk. – Czas wracać do Spence.
- Ale ja nie jestem jeszcze gotowa – narzeka Felicity.
- To nie idź. Zostań tutaj ze mną – zachęca Pippa, jakby proponowała wakacje, a twarz Fee promienieje ze szczęścia.
- Nie możemy wrócić bez Gemmy – przypomina z goryczą Ann.
- Jutro – mówi miękko Felicity.
- Jutro. – Pip delikatnie całuje Fee w policzek i kieruje się do zamku, a dziewczęta ze szwalni podążają za nią jak orszak dam dworu. Nikt nie proponuje pomocy Wendy.
- Dziewczynka idzie po omacku, aż udaje jej się chwycić za mój rękaw.
- Panienko? Może mnie panienka zabrać ze sobą?
- Przykro mi, Wendy. Nie mogę cię wziąć do mojego świata – odpowiadam, pomagając jej dotrzeć do zamku.
- Boję się, panienko. Nie podoba mi się tutaj. Zamek w nocy jest taki cichy bez Pana Darcy'ego. Gdy wołam, nikt nie odpowiada...
- Wendy! – Bessie wraca po nią. Stoi jak wojownik z kijem u boku. – No chodź już. Panienka Pippa czeka. – Patrzy, jak Wendy idzie niepewnie w jej stronę, a gdy dziewczynka się zbliża, uskakuje na bok. – Nie trafiłaś!
- Wybucha śmiechem i bezceremonialnie prowadzi ją do bramy.

*

- Gdzie się podziewałaś? Poszłaś zobaczyć się z Kirke? – prowokuje mnie Felicity. Przesuwa dłońmi po ścianach korytarza, który prowadzi do naszych sekretnych drzwi.
- Tak – potwierdzam, bo jestem zmęczona kłamstwami.
- Niezły z ciebie numer, wiesz? Nie ufasz Pippie, ale ufasz tej... tej kreaturze, która zamordowała twoją matkę!
- I tak nie zrozumiesz – odpowiadam i przeciskam się przez lśniące światło sekretnych drzwi do Wschodniego Skrzydła.
- Felicity obraca mnie, żebym stanęła twarzą do niej.
- Oczywiście, że nie. Bo jestem tylko twoją przyjaciółką, której na tobie zależy.
- Czy zależałoby ci na mnie, gdybym nie miała magii?
- To tak, jakbyś pytała: „Czy lubiłabyś mnie, gdybym nie była sobą?”. Magia stanowi część ciebie, a ty jesteś moją przyjaciółką – odpowiada.
- Po tych słowach łzy stają w moich oczach i czuję się okropnie z powodu tego, jak ją wcześniej potraktowałam, że jej nie zaufałam i że będę musiała jej powiedzieć o Pip.
- O nie! – odzywa się nagle Ann, klepiąc się po ramionach. – Mój szal! Musiał mi spaść. Nie zastanawiając się w ogóle, wyciąga rękę i trawnik zalewa światło, gdy drzwi otwierają się przed nią.
- Ann, jak to zrobiłaś? – pyta Fee z szeroko otwartymi oczami.
- Nie wiem – odpowiada. – Po prostu chciałam przejść i... stało się.
- Odsuń się – wydaje polecenie Felicity. Tym razem ona przykłada dłoń do drzwi, a na jej twarzy pojawia się wyraz najwyższej koncentracji. Portal do międzyświata znów otwiera się na całą szerokość. Fee uśmiecha się, jakby to był bożonarodzeniowy poranek. – Wiecie, co to

oznacza? Gemma nie jest jedyną drogą do międzyświata! Każdy może otworzyć te drzwi. Możemy wchodzić i wychodzić, kiedy zechcemy!

Poskakują rozentuzjasmowane.

- Przyniosę ci szal, dobrze? – proponuję.

Ann śmieje się.

- Sama mogę go sobie przynieść. – Otwiera drzwi i wraca z szalem, nieprzytomnie szczęśliwa. – Czy to nie cudowne?

No już, Gemmo. Powiedz: „Tak, to wspaniałe, że mnie już tak bardzo nie potrzebujecie”.

- Późno już – mówię. – Musimy wracać.

Odwracam się i słyszę je za plecami, szczęśliwe i rozchichotane. Ruszam w stronę szkoły w nadziei, że zechcą pójść za mną, choć wiem, że wcale nie muszą.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Przez cały dzień dręczy mnie silny niepokój. Kreostus został zamordowany. Leśny lud już mi nie ufa i nie mogę go winić za podejrzliwość, bo co niby zrobiłam, żeby zasłużyć na zaufanie? Widzę widma i cienie, których nie ma. Wilhelmina zniknęła jak w magicznej sztuczce. A magia i międzyświat zmieniają się: drzwi otwierają się bez mojej pomocy, a Pippa...

Magia się w niej zakorzeniła, a teraz się umacnia. Za każdym razem, kiedy próbuję zapanować nad rosnącym strachem przez Pip, przypomina mi się Pan Darcy.

Prawdę odnajdziesz w Kluczu. Chciałabym mieć ten klucz, bo jestem zagubiona i rozpaczliwie potrzebuję prawdy.

Jeden błąd mogę naprawić. Gdy pod wieczór kończymy nasze obowiązki, idę poszukać Cecily. Znajduję ją w bibliotece. Brigid ułożyła ją na szezlongu z kotką umieszczoną wysoko na poduszkach. Cecily, za co nie można jej winić, jest w wyjątkowo paskudnym nastroju, ponieważ nie może wziąć udziału w balu maskowym. I nie cieszy się na mój widok. Kiedy podchodzę, unosi egzemplarz „La Mode Illustree”, tak że spoglądam na ilustrację eleganckiej kobiety prezentującej najmodniejszą suknię.

- Przyniosłam *Dumę i uprzedzenie*. Pomyślałam, że może ci poczytam – proponuję.

Cecily przerzuca strony czasopisma.

- Już od wielu lat czytam sobie sama.

- Jak twoja kostka? – pytam, siadając na krześle obok szezlongu.

- Boli. Nie wystąpię w balecie. Nie będę nawet mogła tańczyć. Mam zupełnie zepsuty wieczór – odpowiada, pociągając nosem.

- Pomyślałam, że może wyrecytujesz wiersz Yeatsa za mnie.

Cecily mruży oczy.

- Dlaczego?

- Jesteś w tym doskonała, o wiele lepsza niż ja i...

- Nie, dlaczego mi to proponujesz? Masz wyrzuty sumienia? – Cecily patrzy na mnie przenikliwie i uświadamiam sobie, że nie doceniłam jej daru obserwacji.

- To sprawiedliwa oferta – odpowiadam.

- Pokaż mi go – mówi po chwili, a ja podaję jej wiersz. Natychmiast zaczyna recytować, a kiedy ją zostawiam, czyta szeptem na swym łóżku boleści z takim ogniem, że wiem, iż będzie główną gwiazdą balu.

Panie Boże, zlituj się nad nami!

Ann zatrzymuje mnie w korytarzu. Trzyma w ręku kopię „Almanachu Ery”, zawierającego ogłoszenia dla artystów różnego rodzaju, a także dla kierownictw zespołów i teatrów.

- Popatrz, Gemmo. – Pokazuje mi ogłoszenie z Teatru Gaiety.

WESOŁE PANNY

Nowy, oryginalny musical, premiera przewidziana na lipiec.

Kompozytor: Charles Smalls.

Młode damy posiadające dobrą kondycję fizyczną i piękny głos proszone są o spotkanie z panem Smallsem w środę 29 kwietnia między godziną dwunastą a trzecią.

Próba taneczna.

- Pamiętasz Charliego Smallsa, akompaniatora? Podobał mu się mój śpiew – mówi, po czym zagryza wargę. – Gdybym mogła się z nim spotkać...

- Dwudziestego dziewiątego. To jutro – zauważam.

- Wiem, że nie powinnam o to prosić – dodaje. – Ale obiecuję, że tym razem nie zawiodę.

Kiwam głową.

- Dobrze. Uda nam się. Nie wiem jak, ale nam się uda.

*

Tuż po kolacji inspektor Kent przychodzi w odwiedziny do mademoiselle LeFarge. Ich ślub ma się odbyć już za kilka tygodni. Siedzimy w wielkim salonie, a inspektor zabawia nas opowieściami o brawurowych wyczynach pracowników Scotland Yardu. Chcemy się dowiedzieć czegoś o Kubie Rozpruwaczu, ale uprzejmie odmawia dyskusji na ten temat. Tymczasem mademoiselle LeFarge siedzi obok dumna, że ten mężczyzna będzie należał do niej.

- Proszę nam jeszcze coś opowiedzieć! – błagamy.

- Obawiam się, że po tej historii nie będziecie mogli zasnąć – mówi z szelmowskim uśmiechem.

To nam wystarczy, żeby rozpaczliwie błagać o więcej i gorąco się zarzekać, że nie będziemy się budziły nocy z wołaniem o pomoc.

Inspektor Kent upija łyk herbaty.

- To opowieść o trupie wędrownych aktorów, którzy zaginęli w tych okolicach.

- Boże litościwy – denerwuje się mademoiselle LeFarge. – Niedawno przyjęliśmy tu grupę aktorów.

- Mimo moich obiekcji – zrzędzi pani Nightwing.

- To przedziwna historia. Zdaje się, że ci panowie byli umówienia na spotkanie z inną grupą ich profesji w Dorset, ale tam nie dotarli. Tymczasem otrzymaliśmy doniesienia, że pojawiali się w różnych okolicznych wioskach niczym zjawy. A po każdej ich wizycie krążyły pogłoski o tym, że ktoś zaginął.

Dziewczęta są zachwycone tą historią, zwłaszcza gdy inspektor Kent porusza wymownie brwiami.

Ale mnie włosy na karku stają dęba.

- Czy oni są duchami?

Inspektor wybuchą grzmiącym śmiechem. Dziewczęta też chichoczą, jakby uważały mnie za idiotkę.

- Podczas dwudziestu lat pracy w Yardzie widziałem wiele różnych oszustw, ale nigdy nie natknąłem się na ducha. Powiem wam, co myślę. Uważam, że ci aktorzy o wątpliwej pozycji byli winni pieniądze tamtym pannom z Dorset. Dlatego się nie pojawili. A jeśli chodzi o doniesienia o zaginionych osobach, to w każdej wiosce znajdzie się ktoś, kto szuka sposobu ucieczki od swojej obecnej sytuacji życiowej.

- Jakiej sytuacji życiowej? – interesuje się Cecily.

- Nie powinno was to zajmować – wyraża zniecierpliwienie mademoiselle LeFarge, czym wywołuje jeszcze więcej domysłów.

Inspektor śmieje się cicho.

- Jesteście wszystkie takie dociekliwe, że powinniście dla mnie pracować.

- Damy nie mogą być detektywami – zauważa Martha. – Nie mają odpowiednich predyspozycji.

- Banialuki! – odpowiada inspektor, klepiąc się dłonią po udzie. – Moja droga matka wychowywała czterech chłopaków i biada temu z nas, który próbowałby ją oszukać! Mogłaby być naczelnym inspektorem, taki miała talent. Nadejdzie dzień, gdy kobiety też będą pracować w Scotland Yardzie. Zapamiętajcie moje słowa.

- Och, panie Kent – zaśmiewa się mademoiselle. – Dość już tego, bo dziewczęta nie będą mogły zasnąć. Porozmawiajmy o ślubie, dobrze?

- Jak sobie pani życzy – zgadza się inspektor.

- Pomyślałam, że może dziewczęta pomogą nam wybrać hymny, które będziemy śpiewać.
– Marszczy brwi. – O Boże, zapomniałam przynieść śpiewnik z kaplicy. A pamiętałam o tym przez cały dzień.

- Ja przyniosę – ofiarowuje się inspektor i odstawia filiżankę.

Pani Nightwing powstrzymuje go.

- Nie, posłę po niego pannę Doyle. Według dziennika zostało jej jeszcze kilka dni kary. Dobrze jej to zrobi. Panno Poole, będzie pani towarzyszyła koleżance.

Przeklęta Nightwing!

Idziemy przez trawnik, a Elizabeth podskakuje na każdy szelest.

- Co to było? – szepcze. Żaba ucieka jej spod stopy, a ona wrzeszczy i chwyta mnie za ramię.

- To tylko żaba, Elizabeth. Jak będziesz tak histeryzowała, jeszcze uznasz ją za smoka – kpię z dziewczyny.

Uda je nam się ująć ledwie kilka metrów, gdy Elizabeth wydaje głośny jęk i niemalże wskakuje mi na rękę.

- O co teraz chodzi? – pytam, odpychając ją.

- Nie wiem – odpowiada ze łzami w oczach. – Jest tak ciemno! Nienawidzę ciemności! Zawsze nienawidziłam. Przeraza mnie.

- No cóż, nie mogę ci pomóc – ucinam, a ona wybucha płaczem. – No dobrze. – Wzdycham ciężko. – Idź się schowaj w kuchni. Przyniosę śpiewnik i wrócę po ciebie.

Kiwa głową i biegnie się schronić w domu, nawet nie podziękowawszy. Ruszam szybko w stronę kaplicy, oświetlając sobie drogę lampą. Nocne zwierzęta stroją swoją orkiestrę, świergocząc i rechocząc. Dziś wieczorem ich muzyka nie brzmi pocieszająco, za to przypomina, że w ciemnościach żyje wiele stworzeń. Psy w cygańskim taborze szczekają chórem, a ich ujadanie przechodzi po chwili w skomlenie, które mnie niepokoi.

No dobra. Nie będę zwlekała. Idę po śpiewnik i zamierzam się z tym szybko uwinąć. Zabytkowe dębowe drzwi do kapicy są bardzo ciężkie. Pcham z całej siły, a one ze skrzypieniem uchylają się tylko odrobinę. W środku panuje mrok i cisza. Może tam na mnie czekać wszystko. Moje serce przyspiesza. Podpieram drzwi kamieniem, żeby się nie zamknęły, i wchodzę.

Atramentowy błękit wczesnego zmierzchu wlewa się przez witraże, kładąc wzory na podłodze. Lampa rzuca na nie odłamki światła. Nie widzę żadnych śpiewników z tyłu, więc jestem zmuszona pójść środkową nawą, daleko od wyjścia i możliwości szybkiego odwrotu. Oświetlam lampą ławki, aż w końcu znajduję to, czego szukam, w połowie jednej z nich. Nagły przeciąg zatrzaskuje drzwi. Upuszczam śpiewnik i słyszę, jak wpada pod ławkę.

A niech to!

Z sercem bijącym jeszcze szybciej kucam na podłodze i szukam po omacku książeczki. Gdy w końcu ją znajduję, w ciemności rozbrzmiewa głos ostry jak dźwięk paznokci stukających o metal.

- Zostań tu...

Okręcam się tak szybko, że płomień w lampie przygasa.

- Kto tam?

W kaplicy panuje cisza, słychać tylko wiatr, który uderza w zamknięte teraz drzwi. Pospiesznie chwytam śpiewnik i biegnę nawą, ciężko oddychając.

- Nie wolno ci iść...

Znów okręcam się wokół jak szalona. Lampa rzuca wściekłe cienie na ściany.

- Wiem, że tu jesteś. Pokaż się.

- W lesie nie jest teraz bezpiecznie.

Okna wyginają się i falują. Obrazy na witrażach poruszają się. Ożywają.

- My cię obronimy, Wybranko...

Głos dochodzi z dziwnego witraża, który przedstawia anioła w zbroi, dzierżącego w jednej dłoni zakrwawiony miecz, a w drugiej odciętą głowę gorgony. Przynajmniej zawsze uważałam tę postać za anioła. Teraz w gęstniejących ciemnościach, nie jestem już niczego pewna. Anioła staje się coraz większy w swym szklanym więzieniu. Jego ciało rozpiera ramę okienną, a twarz wydaje się ogromna jak księżyc.

- Oni są w lesie...

- Nie jesteś prawdziwy – mówię na głos.

Z głowy gorgony na podłogę kaplicy kapie krew. Słyszę budzące mdłości bębnienie, monotonne jak deszcz. Żółć podchodzi mi do gardła. Oddycham przez nos, a w ustach czuję pieczenie.

- Jeżeli złożą cię w ofierze w Krainie Zimy, magia przypadnie im i wszystko będzie stracone. Nie wychodź teraz z kaplicy!

Za późno. Porzucam lampę oraz śpiewnik i pędzę w stronę drzwi. Napieram na nie całym ciałem i otwierają się na oścież. Nocna armia przyszła się zemścić. Ledwie widzę drogę i przeklinam siebie za to, że zostawiłam lampę. Psy nie przestają ujadać.

Biegnę w dół ścieżką, nie zważając na nic. Gałąź drzewa uderza mnie w twarz, więc zaczynam się trochę rozglądać. Z trudem łapię oddech. Coś się porusza między drzewami. Zza wielkiej jodły wychodzi dwóch mężczyzn, na których widok krzyczę. Rozpoznaję ich dopiero po chwili – to Tambley i Johnny, zaginieni pracownicy pana Millera.

- Przeraziliście mnie na śmierć – udaje mi się wykrztusić. Serce bije mi szybko jak zajądowi.

- Przepraszamy, panienko – odpowiada Johnny spokojnym głosem.

- Nie mieliśmy zamiaru – dodaje Tambley.

Jest w nich coś dziwnego. Wydają się niematerialni jak kurz, dwa cienie mężczyzn, a kiedy stają w smudze księżycowego światła, mogłabym przysiąc, że widzę, jak spod ich skóry prześwitują kości.

- Wszystkim nam napędziliście strachu – mówię, cofając się. – Powiedziano nam, że zniknęliście.

- Zniknęliśmy? – powtarza Johnny, jakby nie rozumiał.

Drzewa drżą od trzepotu skrzydeł. Kilka ptaków przysiada na gałęziach i przygląda nam się w milczeniu. Łekliwy głos w moim wnętrzu podpowiada: *Ukryj się, Gemmo.*

- Powinniście się natychmiast zgłosić do pana Millera. Martwi się o was.

Wyciągam rękę, szukając pnia drzewa. Z prawej strony dobiega mnie jakiś dźwięk. Spoglądam tam i widzę Johnny'ego. Przed sekundą stał gdzie indziej. Jak to możliwe, że...?

Tambley celuje we mnie palcem. Kości zdają się świecić pod powierzchnią skóry, która jest biała jak brzuch ryby na dnie stawu.

- Wróciliśmy – mówi. – Po ciebie.

Ptaki robią wrzawę, przeraźliwie kracząc. Johnny chwyta mnie za pelerynę. Odpinam ją i zostawiam w jego palcach. Nie tracę czasu. Odwracam się i rzucam w stronę ścieżki. Biegnę z całych sił w stronę, z której przyszłam, gdyż odcięli mi drogę do Spence. Za mną wzmaga się wiatr, który niesie śmiechy i szept, drapanie szczurzych łap i trzepotanie skrzydeł. Wrzaski ptaków brzmią jak wołanie z piekieł. Wydaje mi się, że krzyczę razem z nimi.

Przede mną majaczy kaplica, podskakując w rytm nierównych kroków. To coś, co jest z tyłu, zbliża się szybko, a teraz słyszę też konie, choć nie mam pojęcia, skąd się wzięły. Wpadam na drzwi do kaplicy. Ciągnę z całych sił, ale nie chcą się otworzyć. Kurz ze ścieżki wiruje i unosi się wokół mnie.

Psy. Słyszę szczekanie psów gdzieś w pobliżu. Pył opada, jakby nigdy nic. Dźwięki wydawane przez konie i ptaki cichną, a potem zupełnie znikają. Pochodnie migoczą i dymią w lesie. Zbliżają się Cyganie, niektórzy piechotą, a niektórzy konno.

- Gemmo! – To głos Kartika.

- Widziałam... Widziałam... - Przyciskam dłoń do brzucha. Nie mogę mówić. Nie mogę złapać tchu.

- Spokojnie – prosi Kartik, chwytając mnie za rękę. – Co widziałaś?

Kilka haustów powietrza i wraca mi głos.

- Mężczyzn... w lesie. Ludzi Millera... tych, którzy zniknęli.

- Jesteś pewna? – pyta Kartik.

- Tak.

Cyganie natychmiast rozpraszają się wokół. Psy węszą, wyraźnie zaniepokojone.

- Pani Nightwing wysłała mnie do kaplicy po śpiewnik – wyjaśniam.

- Samą? – Kartik unosi brwi.

Kiwam głową.

- W kaplicy... witraże ożyły – szepczę. – Ostrzegaly mnie, żebym nie szła do lasu!

- Witraże cię ostrzegaly – Kartik powtarza powoli, a ja wiem, że to brzmi, jakbym oszalała. I chyba tak właśnie jest.

- Anioł, ten z głową gorgony w ręce... ożył i przestrzegł mnie: „W lesie nie jest bezpiecznie”. I to wszystko. Mówił coś o ofierze: „Jeżeli złożą cię w ofierze w Krainie Zimy, magia przypadnie im i wszystko będzie stracone”.

Kartik w zadumie przygryza wargę.

- Jesteś pewna, że to nie była wizja?

- Raczej nie. A potem na ścieżce zobaczyłam tych ludzi, wyglądali jak widma.

Powiedzieli, że przyszli po mnie.

Nagły, pełen lęku krzyk rozlega się od strony obozu Cyganów. Po nim rozbrzmiewają następne.

- Poczekaj tutaj! – rozkazuje mi Kartik.

Nie ma takiej możliwości, żebym została tu sama. Pędzę tuż za nim. Z każdym krokiem w mojej głowie brzmi głos anioła: „W lesie nie jest bezpiecznie”. W obozie panuje chaos, słychać krzyki, przekleństwa, nawoływania. Nie ma tu żadnych duchów. To pan Miller i jego ludzie. Wywlekają kobiety z namiotów i pładrują wozy, napychając sobie kieszenie wszystkim, co znajdują. Gdy Cyganki próbują chronić swoją własność, ludzie Millera grożą im pochodniami. Jedna z nich rzuca się na zbira drobnej postury i okłada go pięściami, dopóki inny nie wymierza jej ciosu w twarz.

Psy zostają spuszczone ze smyczy. Atakują jednego z napastników i powalają go na ziemię, gdzie kuli się i krzyczy. Mężczyźni dobywają sztyletów.

- Inspektor Kent przyszedł w odwiedziny do Spence. Pobiegnę po niego – mówię, ale kiedy myślę o niespokojnym lesie, gdzie mogą czekać upiorne istoty, nogi ciężą mi jak ołów. Waham się, a w tym momencie pan Miller unosi pistolet i dwukrotnie strzela w powietrze.

- Dobra, kto chce dostać kulkę w brzuch? Muszę się dowiedzieć, gdzie są moi ludzie.

Celuje w jednego z Cyganów. Nie ma czasu na inspektora. Trzeba działać natychmiast.

- Stop! – wołam.

Pan Miller osłania oczy dłonią, spoglądając w ciemność.

- Kto to powiedział?

- Ja – mówię, wychodząc naprzód.

Majster najpierw uśmiecha się szeroko, a potem wybucha śmiechem.

- Panna? A czy panna nie jest uczennicą ze Spence? I co panna mi zrobi? Obleje mnie herbatą?

- Odwiedził nas dzisiaj inspektor Kent ze Scotland Yardu – informuję go i mam nadzieję, że w moim głosie brzmi znacznie większa pewność siebie niż ta, którą czuję naprawdę, bo moje wnętrzości zamieniły się w galarete. – Jeżeli nie odejdziecie natychmiast, pošlę po niego. Zresztą bardzo możliwe, że już tu idzie.

- Nigdzie panna nie pójdzie. – Miller kiwa głową i zbliża się do mnie dwóch robotników.

Kartik staje im na drodze. Wymierza każdemu solidny cios, ale kolejny budowniczy włącza się do bójki. Mają przewagę liczebną. Któryś uderza Kartika w sutą. Z rozbitej wargi cieknie mu krew.

- Przestańcie! – warczę.

Miller znów się dziko uśmiecha.

- Mówiłem pani Nightwing, że ci brudni Cyganie splugawią jej dziewczęta. Chyba miałem rację.

Nienawidzę go za to. Chciałabym pokazać mu, jak bardzo, i natychmiast magia przegryza się przeze mnie z potworną prędkością. Odwiedzam głowę majstra jako niechciany gość.

Wiem, czego się boisz i czego pragniesz.

Miller gwałtownie okręca się wokół.

- Kto to powiedział? Które z was?

Te lasy znają twoje sekrety. Ja też je znam. Lubisz zadawać ból. Bardzo to lubisz.

- Pokaż się! – głos majstra jest ochryply ze strachu.

Kiedys utopiłeś kociaka. Szarpał się i drapał, walcząc o życie, a ty ściskałeś coraz mocniej. Ściskałeś, aż zawisł bezwładnie w twoich rękach.

- Nie słyszycie tego?! – krzyczy Miller do swoich ludzi.

Patrzą na niego jak na wariata, bo rzeczywiście niczego nie słyszą.

Zemsta z łoskotem przetacza się przez moją duszę. Sprawiam, że wiatr zbiera siły i potrząsa liśćmi. Miller rzuca się biegiem, a robotnicy za nim, zapominając o jakiegokolwiek odpłacie. Magia uspokaja się, a ja odpadam na kolana, ciężko dysząc. Cyganie przyglądają mi się czujnie, jakbym budziła w nich lęk.

- To ty sprowadzasz klątwę – odzywa się matka Elena.

- Nie – zaprzeczam, ale nie jestem pewna, czy w to wierzę.

Kobiety natychmiast zaczynają oczyszczać obóz ze zła, które my, obcy, przynieśliśmy. Wylewają wodę ze wszystkich dzbanów. Zauważam, że kilka z nich wkłada do kieszeni kawałeczki chleba, co – jak wyjaśniła nam Brigid – chroni przed pechem.

Kartik podaje mi rękę, a ja ją przyjmuję.

- Ci, których widziałas w lesie... rozumiesz teraz, że nie byli widmami, lecz ludźmi z krwi i kości. Przyszli szukać zemsty na Cyganach.

Chcę mu wierzyć. Dałabym wszystko, żeby wyjaśnić to prostymi zdaniami, jakie oferuje guwernantka, poklepując wystraszone dziecko po głowie.

- A witraże?

- Wizja. Dość niezwykła. Sama mówiłaś, że wszystko się zmienia.

Kartik przeczesuje palcami swoje gęste loki. Wiem, że robi to zawsze, gdy się nad czymś zastanawia. Odkrywam, że mi tego brakowało. Tęskniłam za nim.

- Kartiku... - zaczynam.

Między drzewami migocze światło lamp. Przyszedł inspektor Kent z Nightwing, McCleethy i dwoma stajennymi. Za nimi wlecze się Elizabeth. Wykrzykują moje imię, które brzmi całkiem obco – to imię dziewczyny, która kilka tygodni temu bawiła się wesoło z przyjaciółkami w międzyświecie. Nie pamiętam już jej. Stałam się kimś innym i wcale nie wiem, czy zdrowym na umyśle.

- Jestem tutaj! – wołam, bo i tak mnie znajdują.

Na twarzy dyrektorki maluje się mieszanina ulgi i wściekłości. Teraz gdy mnie znalazła całą i zdrową, wygląda, jakby chciała mnie zabić za kłopoty, których im przysporzyłam.

- Panno Doyle, to było wysoce nieuprzejme z pani strony uciec w taki sposób i porzucić pannę Poole – udziela mi reprimendy. Elizabeth kryje się za jej plecami.

Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale nie warto.

- Słyszeliśmy strzały! – odzywa się inspektor, przejmując dowodzenie.

Teraz nie jest mężczyzną z chochlikami w oczach, który popija herbatę przy naszym kominku. Jest twardym przedstawicielem prawa. Zaskakujące, że człowiek może mieć dwa tak różne oblicza.

- Ludzie Millera przyszli skrzywdzić Cyganów – wyjaśniam, a Kartik opowiada dokładnie, co się wydarzyło.

- Porozmawiam sobie z panem Millerem – oświadcza ponuro inspektor Kent. – Odpowie za to. A pani twierdzi, że widziała jego zaginionych ludzi w lesie?

- Tak – potwierdzam szeptem.

- Sprawdzi pan, czy trzymają w swoim obozie Ithal? – pyta Kartik. – Nadal nie wrócił.

- Zaginał? Kiedy? Dlaczego mnie o tym nie zawiadomiono? – irytuje się inspektor.

Kartik zaciska zęby.

- Nikogo nie obchodzi jeden zaginiony Cygan.

- Bzdura! – warczy inspektor. – Zajmę się tym bezzwłocznie. Przewrócę obóz do góry nogami, jeśli to będzie konieczne. Pan Miller musi się wytłumaczyć z wielu rzeczy.

Pani Nightwing i inspektor Kent prowadzą nas przez las. To miejsce nie sprawia już wrażenia, że służy nam, dziewczętom, do spacerów i zabaw. Budzi takie wrażenie, jakby zajął je ktoś inny.

- Pani Nightwing była chora ze zmartwienia. Nigdy nie pozwoliłaby pani iść do kaplicy, gdyby wiedziała, że istnieje jakiekolwiek niebezpieczeństwo – zwraca się do mnie panna McCleethy, ale ja jej nie słucham. Nikomu z nich nie ufam.

Na chwilę zza chmur wynurza się plasterek księżyca i oświetla dach Spence. Zwalniam kroku. Odnoszę wrażenie, że dzieje się tam coś dziwnego, choć nie umiem tego sprecyzować. Widzę iglice, cegły, mnóstwo załamania na dachu, gargulce. Zarys ogromnych rozłożonych skrzydeł odcina się na tle bladej księżycowej poświaty. Kamienna bestia stoi wyprostowana.

P o r u s z a s i ę.

- Panno Doyle? – Panna McCleethy przenosi wzrok ze mnie na dach i z powrotem. – Coś się stało?

Mogą sprawić, że będziesz widziała to, co chcą ci pokazać. Zaczynasz się zachowywać, jakbyś oszalała. Eugenia mnie ostrzegła, czyż nie?

- Nie, nic takiego – odpowiadam, ale ręce mi się trzęsą i słyszę w myślach słowa Neeli: „Jak będziesz walczyć, skoro jesteś ślepa?”.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

- Jak się dzisiaj czujesz, Gemmo? – pyta Ann.

Siedzi na skraju łóżka z radosnym uśmiechem na ustach. Włożyła rękawiczki i swoją najlepszą suknię. Dostała ją w spadku po Felicity, a Brigid popuściła ją w szwach.

- Jestem zmęczona – odpowiadam, pocierając bolącą głowę. – Dlaczego się tak ubrałaś?

- Dziś wielki dzień – mówi. – Nie pamiętasz? Charlie Smalls? Gaiety? Między dwunastą a trzecią?

- O nie! – wołam, gdyż zupełnie o tym zapomniałam w natłoku wydarzeń.

- Ale pojedziemy, tak? – niepokoje się Ann.

Prawdę mówiąc, wołałabym dziś nie używać magii, nie po wczorajszej nocy. Nie z tak osłabionym umysłem. Ale chodzi o Ann. O moją przyjaciółkę. Chce wziąć życie w swoje ręce i wierzę, że tym razem jej się uda. Ale do tego potrzebna jej jest moja pomoc – a mnie jej.

Odrzucam kołdrę na bok.

- Idź po Felicity. Będzie musiała nas wesprzeć.

*

Razem opracowujemy plan. Wszystkie wysiłki kierujemy w stronę Brigid. Każę jej wierzyć, że ja i Ann cierpimy na comiesięczną przypadłość i nie należy nam przeszkadzać. Będzie powtarzała tę historyjkę całe popołudnie, bo zakodowałam ją w jej mózgu bardzo mocno. I oczywiście Felicity upiększa opowiadanie, jak to ma w zwyczaju, aż wszyscy w Spence będą się bali choćby zbliżyć się do naszych drzwi. Ale potrzeba czasu, żeby to osiągnąć, więc gdy w końcu łapiemy pociąg do Londynu i dojeżdżamy dorożką na Piccadilly, jesteśmy całą godzinę spóźnione. Niecierpliwimy się po drodze do teatru, a kiedy docieramy na miejsce, Charlie Smalls właśnie wychodzi w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

- Och, nie – jęczy Ann. – Co ja teraz zrobię?

Przez sekundę kusi mnie, żeby cofnąć wskazówki, usunąć wszelkie przeszkody i wszystko załatwić, ale zmieniam zdanie. To ma być przedstawienie Ann. Niech ona je poprowadzi.

- Rób, co musisz – odpowiadam.

- Panie Smalls! – woła Ann.

Charlie Smalls przygląda nam się. Przenosi wzrok z Ann na mnie i w końcu w jego oczach pojawia się błysk rozpoznania.

- Koleżanka panny Washbrad, tak?

- Tak, owszem – potwierdzam. – A to moja przyjaciółka, panna Bradshaw.

Panowie unoszą ręce do kapeluszy w geście powitania.

- A cóż się stało z panną Washbrad? Pan Katz i panna Trimble czekali, ale ona się nie pojawiła.

Policzki Ann czerwienieją.

- Uciekła.

Muzyk z uśmiechem kiwa głową.

- Wyszła za mąż, co? Panna Trimble tak twierdziła, i pewnie miała rację.

- Czytałam w „Erze” o pańskim dziele – odzywa się Ann. – Panna Doyle mówi, że jest pan niezwykle utalentowany.

Jego twarz rozjaśnia się jeszcze bardziej.

- Ekscytująca historia, prawda? Mój pierwszy musical zostanie wystawiony w Gaiety w lipcu. *Wesołe panny*.

- Jestem śpiewaczką – dodaje Ann tak cicho, że ledwie ją słysząc przez turkot wozów i rżenie koni na ulicy. – Chciałabym dla pana zaśpiewać.

Kompan Charliego ogląda Ann od stóp do głów, po czym trąca kolegę łokciem.

- Raczej nie ma na czym zawiesić oka.

- To mają być *Wesołe panny*, Tony, a nie *Kuszące ślicznotki* – odpowiada szeptem Charlie, a ja boję się, że Ann się obrazi i zrezygnuje.

- To prawda, że nie wyglądam jak dziewczyna z Gaiety – mówi Ann – ale mogę zaśpiewać, co tylko pan zechce. A także jestem aktorką!

- Proszę nie zwracać na niego uwagi, nie chciał zrobić pani przykrości – zapewnia ją Charlie. – Niech pani spojrzy na mnie, jakie mam wielkie uszy i długą trąbę. – Ciągnie się za nos.

- Przesłuchania odbywały się od dwunastej do trzeciej – zauważa Tony, spoglądając na zegarek. – Jest po czwartej, prawie wpół do piątej.

- Przepraszam – mówi Ann. – Nie mogłyśmy złapać dorożki i...

- Inne dziewczęta zdążyły – ucina Tony. – Idziemy do pubu. Miłego dnia życzę.

- Przykro mi, panienko – odzywa się Charlie, muskając rondo kapelusza. – Mam nadzieję, że przyjedzie pani na przedstawienie.

- Tak, dziękuję – odpowiada Ann ze spuszczoną nisko głową.

Gdy panowie nas mijają, jej twarz układa się w pozbawioną emocji maskę i wiem już, że jest po sprawie. To koniec. Będzie Wiosenne Balmoral, mała Charlotte i napady wściekłości oraz Carrie i dłubanie w nosie. I nic nie mogę na to poradzić: jestem zła.

- Panie Smalls! – woła Ann, zaskakując mnie. Odwraca się i biegnie za kompozytorem. – Zaśpiewam dla pana tutaj! Teraz!

Charlie szeroko otwiera oczy, po czym uśmiecha się.

- Na ulicy?

- Nie warto marnować czasu, proszę pana – ripostuje Ann.

Muzyk wybucha śmiechem.

- Teraz mówi pani jak pan Katz.

- To wariatka. Chodźmy do pubu, stary – nalega Tony, ciągnąc Charliego za rękaw.

Ale muzyk zakłada ręce na piersi.

- No dobrze, panno... Przepraszam, zapomniałem, jak się pani nazywa.

- Bradshaw – odpowiada krótko Ann.

- No dobrze, panno Bradshaw. – Wskazuje gestem zaintrygowanych przechodniów. – Publiczność czeka. Posłuchajmy pani.

Zbiera się tłumek, żeby popatrzeć, jak młoda dama zarabia na kolację, śpiewając dla dwóch artystów na ulicy na West Endzie. Czuję, jak na moje policzki wypełza rumieniec, i nie mogę sobie wyobrazić, żeby Ann zdołała wydobyć z siebie choć jedną nutę. Ale ona zaczyna śpiewać i czegoś takiego jeszcze w życiu nie słyszałam.

Dźwięk, który się z niej wylewa, jest tak czysty jak zawsze, ale ma w sobie nową moc. W każdej nucie brzmi odwaga płynąca prosto z serca, a pieśń opowiada historię. To śpiewa nowa Ann Bradshaw, a kiedy kończy, tłum nagradza ją oklaskami i gwizdami – miód na serce każdego początkującego artysty.

Charlie Smalls uśmiecha się od ucha do ucha.

- To zabawne, bo śpiewa pani podobnie do panny Washbrad, tylko lepiej! Tony, chyba znaleźliśmy jedną z naszych wesołych panien!

Nawet gburowaty Tony z aprobatą kiwa głową.

- Próby zaczynają się pod koniec maja, a dokładnie dwudziestego piątego, w Gaiety o drugiej. Ale punktualnie o drugiej!

- Nie spóźnię się – obiecuje Ann.

- Nie ucieknie pani ode mnie, żeby wyjść za mąż jak panna Washbrad, co? – Drażni się z nią Charlie.

- Za nic na świecie – odpowiada Ann i w tym momencie jest o wiele piękniejsza niż dziesięć Nan Washbrad.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Cała Akademia Spence jest pochłonięta przygotowaniami do jutrzejszego balu maskowego. Wielka flota pokojówek została zaangażowana, żeby wystroić naszą starą szkołę, jakby to ona się szykowała do wystąpienia na małżeńskim targu. Wyciągają dywany na trawnik z tyłu i wytrzepują z nich każdą drobinę kurzu. Podłogi szorują i woskują na wysoki połysk. Czyszczą kominki. Odkurzają wszystkie zakamarki. A pani Nightwing popędza je, jakbyśmy spodziewały się wizyty Jej Królewskiej Mości, a nie garstki rodziców oraz opiekunów.

Nas wysyła na dwór – w obawie, że mogłybyśmy oddechem jakoś zanieczyścić nieskazitelne pokoje Spence – co bardzo nam odpowiada, gdyż dzień jest szczególnie pogodny. Koczujemy na omszałej skarpie nad rzeką. Otrzymujemy pozwolenie, by zdjąć buty oraz pończochy i biegać boso po chłodnej trawie, co samo w sobie już jest rajem.

Kawałek dalej na łagodnym wzniesieniu postawiono toporny słup majowy. Młodsze uczennice biegają wokół niego ze śmiechem, zawracając raz w tę, raz we w tę, a kwietne korony chwieją się niepewnie na ich lśniących włosach. Starsze, poważniejsze dziewczęta ganiają je, ponieważ próbując zapleść idealny warkocz. Przechodzą w przód i w tył, pod i nad ramionami towarzyszek, aż słup pokrywa się kolorową szatą ze wstążek.

Felicity, Ann i ja idziemy przez trawę na urwisko z widokiem na rzekę, mniejszą kuzynkę potężnej Tamizy. Pani Nightwing powinna wezwać tu pokojówki, gdyż wodę pokrywa warstwa mchu i opadłych liści. Ann i ja zanurzamy stopy w zimnej wodzie, a Felicity robi bukiet. Sukienkę ma poplamioną kwiatowym pyłkiem.

- Obawiam się, że jestem naznaczona. – Opada na ziemię obok nas. – Fiołka? – pyta.

Ann odpycha od siebie delikatny kwiatek.

- Gdybym go nosiła, uznaliby, że nie zamierzam wychodzić za męża. To właśnie oznaczają fiołki.

Felicity zdecydowanym gestem wsuwa kwiatek w srebrzyste włosy, na których tle lśni on jak światło ostrzegawcze.

- Skoro pani Nightwing pozwoli mi wziąć udział w balu, muszę mieć kostium – oznajmia Ann. – Chętnie bym się przebrała za lady Makbet.

- Mmm – mruczę, rzucając spojrzenie na dziewczęta bawiące się przy majowym sklepie, a potem w stronę obozu Cyganów. Nie widziałam Kartika od tamtej nocy w lesie.

Felicity muska moje czoło fiołkiem, a mnie wydaje się, że to pająk, i wrzeszczę ze strachu, co cieszy ją ponad wszelką miarę.

- Nie rób tego więcej – ostrzegam.

- No dobrze, Wasza Wysokość święta Marudo Zadumana – mówi. – Nad czym się tak głęboko zastanawiasz?

- Zastanawiam się, dlaczego Wilhelmina nie pokazała mi, gdzie znaleźć sztylet albo klucz, który zawiera prawdę. I przed czym chciała mnie ostrzec.

- Jeśli chciała się ostrzec – zauważa Felicity. – Może to była pułapka, a ty okazałaś się dość mądra, żeby w nią nie wpaść.

- Może – mówię. – A co z Eugenią?

- Jesteś pewna, że rzeczywiście ją spotkałaś? – dopytuje się Ann. – Bo żadna z nas jej nie widziała, a przecież byliśmy z tobą.

Ciekawe, czy to też sobie wyobraziłam. Czy potrafię jeszcze odróżnić prawdę od iluzji. Ale nie, widziałam ją – w y c z u w a ł a m ją. Była rzeczywista i rzeczywiste było grożące nam niebezpieczeństwo, ale klnę się na życie, że nie potrafię złożyć tych wszystkich elementów układanki w jedną całość.

- A co myślicie o McCleathy i Nightwing? – pytam.

Felicity wierzga nogami, rozpryskując wodę.

- Wiesz, że odbudowują Wschodnie Skrzydło, żeby korzystać z sekretnych drzwi. Ale to jedyne, co do czego możemy mieć pewność. Odbudowa zajmie całe wieki, a one nie mają pojęcia, że my już z nich korzystamy. Zanim się dowiedzą, zawrzemy sojusz i będzie za późno.

- Zapominasz, że Niedotykalni nie chcą się do nas dołączyć, a leśny lud mnie nie nienawidzi – dodaję.

Oczy Fee lśnią.

- Mieli swoją szansę. A może zawrzemy sojusz same, tylko nasza czwórka: ty, ja, Ann i Pippa?

- Skoro mowa o Pippie... - zaczynam ostrożnie.

Twarz Felicity pochmurnieje.

- Co znowu?

- Nie niepokoją cię zmiany, które w niej zaszły?

- Masz na myśli jej moc – poprawia mnie Fee.

- Sądzę, że bywała w Krainie Zimy – kontynuuję. – Wydaje mi się, że złożyła w ofierze królika Wendy. Może składała też inne ofiary.

Felicity miażdży fiołka w palcach.

- Powiedzieć ci, co ja myślę? Myślę, że jesteś niezadowolona, że ona ma moc. Albo że ja i Ann możemy wchodzić do międzyświata bez ciebie. Widziałam twoją minę, kiedy drzwi się dla nas otworzyły!

- Byłam tylko zaskoczona... - zaczynam, ale kłamstwo zamiera mi na ustach.

- Poza tym, to ty się dziwnie zachowujesz, Gemmo. Masz konszachty z Kirke i widzisz rzeczy, które nie istnieją. To z tobą jest coś nie tak! – Po raz ostatni uderza w wodę, a krople układają się w równy łuk, po czym spadają na mnie.

- Ja... po prostu wydaje mi się, że lepiej będzie chodzić do międzyświata razem – wyjaśniam. – Przynajmniej na razie.

Felicity patrzy mi prosto w oczy.

- Już o tym nie decydujesz.

- Daj spokój, Gemmo – wtrąca się Ann. – Chodźmy zatańczyć wokół majowego słupa. Nie mówmy już o tym.

Bierze Felicity za rękę i biegną się bawić. Krążą wokół słupa i ze śmiechem przeplatają wstążki, a ja żałuję, że nie mogę o wszystkim zapomnieć i do nich dołączyć. Ale nie potrafię. Mogę tylko mieć nadzieję, że z czasem wszystko uda mi się wyjaśnić. Idę wzdłuż jeziora na wzgórze, na którym leży stary cmentarz. Kamienne nagrobki witają mnie jak swoją, gdyż jestem odpowiednio ponura.

Kładę fiołek Felicity na grobie Eugenii Spence. *Ukochana siostra.*

- Przypuszczam, że nie wiesz, gdzie mogę znaleźć szyćlet – zwracam się do kamienia. Wiatr odpowiada mi, porywając kwiatek. – Tak myślałam.

- Rozmawiasz z nagrobkami? – To Kartik. Przyniósł sobie lunch w pojemniku. Promień słońca oświetla jego twarz, a ja na chwilę tracę mowę, uświadamiając sobie, jaki jest piękny, i jak bardzo się cieszę na jego widok. – Należy się martwić dopiero wtedy, gdy zaczną odpowiadać – dodaje. – Pójdę sobie, jeśli...

- Nie, zostań – przerywam mu. – Proszę.

Siada na grobie, na którym czas prawie zupełnie zatarł już napisy, i kiwa głową w stronę pokojówek z furją trzepiących dywany.

- Podobno ma się tu odbyć bal maskowy.

- Tak, jutro – potwierdzam. – Będę Joanną d'Arc.

- Pasuje do ciebie – Kartik ogląda dokładnie jabłko i kciukiem sprawdza obtłuczone miejsca. – Zakładam, że będzie obecnych wielu dżentelmenów. Angielskich dżentelmenów.

- Jestem pewna, że będzie obecnych wiele osób – odpowiadam ostrożnie.
Wgryza się w owoc. Zrywam liść z drzewa i drę go na maleńkie kawałeczki. Niezręczna cisza przeciąga się.

- Przepraszam – mówię w końcu.
- Nie musisz przepraszać. Okłamałem cię.
Siadam obok niego. Odległość między nami nie jest duża, a jednak wydaje się nieprzebyta.

- Przyjdź na bal – proszę miękko.
Kartik śmieje się.
- Żartujesz sobie.
- Nie, wcale nie. To bal maskowy. Kto się zorientuje?
Kartik podciąga rękaw, ukazując ciepły brązowy odcień swojej skóry.
- I tego też nikt nie zauważy? Hindusa wśród Anglików? – Wgryza się w owoc z głośnym chrupnięciem.

- Hinduski książę – sugeruję. – I będziesz miał zaproszenie. Dam ci je.
- Jeżeli nie mogę wystąpić jako ja, to nie zamierzam przychodzić – upiera się.
- Zastanów się nad tym. Jeśli zmienisz zdanie, powieś chustkę tam, gdzie zawsze, i spotkamy się w pralni jutro o wpół do siódmej.
Kartik patrzy w słońce, mrużąc oczy. Kręci głową.
- To twój świat, nie mój.
- A jeżeli... - Przetykam z trudem. – A jeżeli chciałabym, żebyś należał do mojego świata?

Kartik znów gryzie jabłko, po czym spogląda na spokojny, pagórkowaty krajobraz.
- Raczej do niego nie pasuję.
- Ja też nie – odpowiadam ze śmiechem, ale wymykają mi się dwie łzy i muszę szybko je wytrzeć. W moich palcach wibruje magia, kusząc: Mogłabyś go zatrzymać.

Uciszam ją.
- Więc chodź ze mną do międzyświata – proponuję. – Moglibyśmy poszukać Amara. Moglibyśmy...

- Nie. Nie chcę wiedzieć, czym się stał. Chcę go pamiętać takim, jaki był przedtem. – Wkłada jabłko z powrotem do pojemnika na śniadanie. – Wiele o tym myślałem przez kilka ostatnich dni i uważam, że najlepiej będzie, jeśli zaokrętuje się na Orlando. Nic mnie tu nie trzyma.

- Kartiku... - zaczynam, ale co mogę w sumie powiedzieć? – Musisz zrobić to, co uważasz za najlepsze.

- Będę cię wspominał w Indiach – dodaje. – Pomodłę się za twoją rodzinę w Gangesie.
- Dziękuję ci. – Coś mnie ściska za gardło i nie chce puścić.
Kartik bierze swój koszyk.
- Miłego dnia, panno Doyle.
- Miłego dnia, Kartiku.
Potrząsa moją dłońią i rusza w dół wzgórza. Zostaję sama na cmentarzu.
- I tak to się kończy – mówię, przyciskając wierzch dłoni do oczu. – Tylko umarli mają ochotę na moje towarzystwo.

Najpierw uginają się pode mną kolana. Siła wizji jest tak wielka, że opadam na ziemię, przyciskając dłonie do brzucha. Mięśnie mam napięte jak postronki. Niebo wydaje się rozdzierać na dwoje. Chmury są obrzeżone czerwienią.

Boże! Nie mogę oddychać. Nie mogę...

Wilhelmina Wyatt stoi wśród nagrobków z twarzą wykrzywioną wściekłością. Chwyta mnie za włosy i ciągnie. Kopię i wyrywam się, ale jest silna. Gdy docieramy do grobu

Eugenii Spence, popycha mnie brutalnie, a ja upadam, z przerażeniem patrząc, jak ziemia zamyka się nade mną.

- Nie, nie, nie! – Drapię paznokciami ściany dołu, wołając w rozpacz: - Wypuście mnie!

Ziemia osuwa się, a ja stoję na wrzosowisku w Krainie Zimy pod Drzewem Wszystkich Dusz. Widzę przestraszone oczy Eugenii.

- Uratuj nas... - błaga.

Kopię z całych sił. Grób się zapada, a ja zasłaniam oczy, gdy osypuje się po mnie ziemia.

Panuje cisza. Słyszę... rozbawione dziewczęta. Śmiech. Odejmuje ręce od twarzy i otwieram jedno oko. Leżę na plecach na cmentarzu. Wiatr przynosi spod skały odgłosy gry w krokieta. Buty i spódnicę mam pobrudzone ziemią. Wilhelmina zniknęła. Jestem sama. Grób Eugenii Spence wygląda na nienaruszony. Leży na nim fiołek, który tam złożyłam. Mogę jedynie płakać – ze strachu i frustracji.

Idę między mogiłami na miękkich nogach. Ptaki zlatują się jak czarne krople deszczu. Przysiadają na nagrobkach. Zakrywam uszy rękami, żeby nie słyszeć ich ohydnych wrzasków, ale wnikają pod moją skórę niczym trucizna.

Słaniając się, schodzę ze wzgórza, po czym przysiadam na ziemi, cicho płacząc i tuląc kolana do piersi. Gdybym nie wydostała się z tego grobu...

Ale czy w ogóle w nim byłam?

Tak, czułam, jak mnie ciągnęła za włosy, jak upadam i jak zamyka się nade mną ziemia. A potem było tak, jakby to się nigdy nie wydarzyło. Wilhelmina Wyatt przeraża mnie.

Ona widzi w ciemnościach. Tak powiedziała o niej kiedyś Eugenia. A jeżeli ona należy do ciemności? Jeżeli współdziała z potworami?

I nie mam już pojęcia, czy chce mi pomóc, czy chce mnie zabić.

Przyglądam się dziewczętom, biegającym wokół majowego słupa. Jutro przywdzieją kostiumy i będą tańczyły wokół niego jak skrzaty, zupełnie beztrudnie na pierwszomajowym balu maskowym. Czuję w żołądku chłód, który powoli ogarnia całe moje ciało.

Jutro. Początek maja. Pierwszy maja. „Narodziny” maja.

Strzeż się majowych narodzin.

*

Nie mogę się rozgrzać. To, czego bała się Eugenia, przed czym próbowała mnie ostrzec panna Wyatt, wydarzy się jutro, a ja nie mam pojęcia, co to jest ani jak to powstrzymać. Gdy widzę, jak pani Nightwing i panna McCleethy pochylają się ku sobie, by się naradzić, cała drzę. W każdym ich spojrzeniu, każdym uśmiechu, każdym geście, dostrzegam zagrożenie.

Wszędzie wokół kręcą się dziewczęta, upojone podnieceniem i nieświadome mojego strachu. Młodsze nie zdejmują kostiumów, a Brigid łaje je i ostrzega, że pobrudzą piękne stroje i co wtedy będzie? Z powagą kiwają głowami, po czym natychmiast o niej zapominają.

- Może panienka do nas dołączy, kochanieńka? – woła gospodyni na widok mojej smutnej miny.

Kręcę głową.

- Nie, dziękuję. Nie byłabym teraz dobrą towarzyszką zabawy.

Pani Nightwing zerka na mnie, lekko marszcząc czoło, a mnie mrowi skóra. Nie mogę tu zostać. Postanawiam się schronić w namiocie Felicity. Ku mojemu zaskoczeniu zastaję tam przyjaciółkę, zupełnie samą. Jej usta drżą.

- Fee?

Zdecydowanym gestem ociera łzy.

- No to się postarałam – mówi z pełnym gorczy uśmiechem. – Oczarowałam ich że hej.

- O czym ty mówisz?

Unosi w górę list.

- To od mojej matki. Lady Markham zgodziła się przedstawić mnie na dworze, jeśli poślubię jej Horace'a.

- Nie może tego zrobić.

- Może – odpowiada Felicity, wycierając kolejne łzy. – Chce mnie przerobić na porządną żonę. Jeśli jej się uda, będzie to ukoronowaniem jej kariery. Powiedziała ojcu, że dzięki mnie nasza rodzina może znów zyskać przychyłność towarzystwa. No i oczywiście w grę wchodzi pieniądze.

- Ale to t w ó j spadek... - milknę.

- Nie rozumiesz? Gdy wezmę ślub, wszystko przypadnie mojemu mężowi! Nie będzie żadnego poddasza w Paryżu,. Zdecydowali o mojej przyszłości za mnie. – Jest taka mała i krucha jak porcelanowa lalka.

- Przykro mi – mówię, choć to o wiele za mało.

Felicity ujmuję moje dłonie. Ścisną je tak mocno, że bołą mnie kości.

- Gemmo, widzisz, jak to jest. Zaplanowali całe nasze życie, poczynawszy od tego, w co mamy się ubierać, a skończywszy na tym, kogo mamy poślubić i gdzie mieszkać. Dostajesz jedną kostkę cukru do herbaty, czy to ci się podoba, czy nie, i masz się zawsze uśmiechać, nawet jeśli w środku umierasz z bólu. Jesteśmy jak piękne klacze i tak jak klaczom chcą nam włożyć klapki na oczy, żebyśmy się nie rozglądały na prawo i lewo, tylko patrzyły prosto, tak dokąd nas prowadzą. – Felicity przytula się czołem do mego czoła i trzyma moje dłonie między swoimi złożonymi jak do modlitwy. – Proszę, proszę, proszę, Gemmo, nie umierajmy wewnątrz, dopóki nie musimy.

- Co mogę zrobić?

- Obiecuję, że zachowamy magię odrobinę dłużej, dopóki nie zadbam o swoją przyszłość. Tylko do naszego debiutu.

- To jeszcze kilka tygodni – odpowiadam. – A ja muszę szybko naprawić stosunki z leśnym ludem. Powinniśmy zawrzeć przymierze.

- Gemmo, chodzi o całe moje życie – błaga, a jej rozpacz przeradza się w złość.

Dwie rozchichotane dziewczynki przebiegają obok namiotu w płataninie wstążek i koronek. Wirują jak oszalałe w strojach księżniczek, nabierając prędkości i śmiejąc się obłąkańczo. Nieważne, że te wytworzone suknie to tylko przebranie na jeden wieczór. One wierzą, a wiara zmienia wszystko.

Ujmuję Felicity za dłonie w geście obietnicy.

- Spróbuję.

*

Siedzę na łóżku i próbuję wszystko poukładać, ale nie potrafię, a już zaraz nadejdzie pierwszy maja. Żeby się trochę oderwać od rozmyślań, sprzątam swoje rzeczy i układam je porządnie w szafce: kościany słoń z dalekich Indii, pamiątnik mojej mamy, czerwona chustka Kartika, szkatułka z fałszywym dnem od Simona. Powinnam ją wyrzucić. Otwieram sekretną szufladę, która jest pusta, tak jak ja w środku. *Tutaj można ukryć wszystkie sekrety* - napisał mi. Na moje potrzebna by była większa skrzynka. Stawiam ją na łóżku Ann jako podarunek i wracam do porządków. Układam książki w jednym kącie. Rękawiczki i chusteczki. Tabliczka Wilhelminy Wyatt, niema jak jej właścicielka. Co z nią zrobić? Jest bezużyteczna. I ciężka. Obciąża ją ta gruba drewniana podstawka... Nagle uświadamiam sobie, jaka głupia byłam.

Ilustracja w książce podpowiadała, gdzie szukać. Ukryty przedmiot. Wilhelmina Wyatt była asystentką iluzjonisty, dysponowała wiedzą o różnych sztuczkach. Gdyby chciała coś ukryć...

Macam krawędzie tabliczki, aż zahaczam paznokciem o maleńki zatrzask w drewnie. Naciskam go i zwalnia się listewka z przodu podstawki. Gdy ją wysuwam, moim oczom ukazuje się skórzany rulon, który widywałam w wizjach. Drżącymi palcami rozwiązuje sznurki i rozchylam futerał.

W środku leży smukły sztylet z rękojeścią wysadzaną klejnotami.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY

1 maja

Słońce chyli się ku zachodowi i zapada zmierzch. Powietrze jest ciepłe. Ptaki dają ostatni koncert przed snem. W sumie jest to wymarzony wieczór na bal maskowy, ale ja nie zaznam spokoju, dopóki ta noc nie minie.

Na trawniku i daleko wzdłuż podjazdu poustawiano latarnie, żeby oświetlały drogę sznurowi pojazdów. Przybywają nasze rodziny. Służba pomaga Marii Antoninie i sir Walterowi Raleighowi, Napoleonowi oraz królowej Elżbiecie wysiąść z powozów. Po trawniku snują się przeróżne barwne postacie. Ich zamaskowane oblicza przydają przyjęciu nierealnej atmosfery. Muzyka wypełnia salę balową, wypływa przez otwarte okna i niesie się w las. Dziewczęta przemykają obok w warstwach tiulu i koronek. Nic z tego wszystkiego mnie nie cieszy.

Miałam nadzieję, że Kartik zrobi mi dziś niespodziankę, ale nie dał żadnego sygnału. Wyniosłam więc latarnię na frontowy trawnik, żeby czekać na przybycie rodziny. Najpierw zauważam tatę. Jest radzą w turbanie ozdobionym klejnotami. Babcia, która żyje w lęku, że mogłaby się kiedyś dobrze bawić, ubrała się w jedną ze swoich sukien, pozwalając sobie na odstępstwo jedynie w formie maski arlekina. Tom włożył czapkę błazna, choć nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo trafny jest to wybór.

- A oto i nasza Gemma – mówi tato, przyglądając się mojej tunice, wysokim butom... i wysadzanemu klejnotami sztyletowi za pasem. – Ale zaraz, to wcale nie nasza Gemma, lecz wielka przywódczyni! Święta od wieków!

- To Gemma d'Arc – kpi Tom.

- I błazen – ripostuję.

- Jestem trefnisiem, to wcale nie to samo. – Pogardliwie pociąga nosem. – Mam nadzieję, że podadzą jakąś kolację.

Ojcem wstrząsa atak kaszlu.

- Dobrze się czujesz, papo?

- Zdrów jak ryba. – Rzęzi głośno. Twarz ma czerwoną i spoconą. – Po prostu nie przywykłem jeszcze do tego wiejskiego powietrza.

- Doktor Hamilton twierdził, że dobrze ci robi – niepokoje się babcia.

- Wzywaliście doktora?

Ojciec poklepuje mnie po ręce.

- No już, już, koteczku. Nie ma się czym przejmować. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Zobaczmy, jakie nas dziś czekają rozrywki.

Pokojówka trzyma kosz wypełniony ozdobnymi maskami – ptaków, zwierząt, chochlików i arlekinów – które zamieniają każdy uśmiech w niebezpieczny grymas.

Felicity jest walkirią z lśniącymi jasnymi włosami spływającymi po srebrnej sukni z doszytymi skrzydłami. Jej matka pojawiła się jako pastreczka, a ojciec włożył mundur marynarki i maskę lisa. Markhamowie też przybyli, czym zachwycili panią Nightwing i unieszczęśliwili Felicity. Za każdym razem gdy Horace, w błękitnym stroju lorda Fauntleroya, przysuwa się do niej, wygląda, jakby zamierzała go udusić, przez co on tylko bardziej jej pragnie.

Chciałabym do niej podejść, zatańczyć i wypuścić magię na wolność, tak jak robiłyśmy wcześniej. Ale wewnątrz cały czas słyszę refren: *Strzeż się majowych narodzin*. Nie wiem, co ta noc przyniesie.

Pani Nightwing pragnie pokazać zebrany, dlaczego Spence słynie z wdzięku, uroku i piękna, jak obiecuje nasze motto. Przebrała się za Florence Nightingale, swoją bohaterkę. Mogłoby mi się to wydać zabawne, gdybym nie była wobec niej taka nieufna.

- Panie i panowie, dziękuję wam serdecznie za przybycie. Od samego początku swej działalności Akademia Spence słynęła jako instytucja, w której dziewczęta zmieniają się w wyrafinowane młode damy. Jednak przez wiele lat bolesna pamiątka przypominała o okrutnej tragedii, do której doszło w naszej szkole. Mam na myśli Wschodnie Skrzydło oraz pożar, który pochłonął życie dwóch uczennic i naszej ukochanej założycielki Eugenii Spence. To na jej cześć wskrzesiliśmy Wschodnie Skrzydło, co było możliwe dzięki waszym hojnym donacjom. Pokornie państwu dziękujemy. A teraz bez dalszej zwłoki chciałabym zaprezentować nasze cenne klejnoty. Klejnoty, o których mówię, to nie diamenty czy rubiny, lecz dobre i szlachetne uczennice Spence.

Pani Nightwing szybko ociera oczy i zajmuje swoje miejsce. Kilka młodszych dziewczynek – same księżniczki i wróżki – prezentuje taniec i oczarowuje gości słodką niewinnością.

Niepostrzeżenie przysuwa się do mnie jakiś mężczyzna. Maską zakrywa jego twarz, ale ten głos poznałabym wszędzie.

- Ładny wieczór na przyjęcie, nie?

- Co pan tu robi? – pytam, a moje serce przyspiesza.

- Zostałem zaproszony, laleczko. – Uśmiecha się paskudnie.

Warczę mu cicho do ucha:

- Jeżeli zrobi pan cokolwiek mnie, mojej rodzinie albo moim przyjaciółom, jeśli wykona pan jakikolwiek niewłaściwy ruch, użyję przeciwko panu magii w taki sposób, że już nigdy w życiu nikomu pan nie zagrozi.

Fowlson natychmiast szeroko się uśmiecha.

- Właściwa postawa, laleczko. – Przysuwa usta niebezpiecznie blisko mojej szyi. – Ale nie martw się. Nie po ciebie dziś przyszedłem. Jest tu twój przyjaciel, Kartik? Nie szkodzi, jeżeli go nie ma. I tak z pewnością go znajdę.

Kartik.

Odwracam się i wybiegam z sali w chwili, gdy małe dziewczynki dygają uprzejmie niczym śliczne lalki, którymi w rzeczy samej są, a goście biją im brawo. Brak mi tchu, gdy docieram do hangaru i Kartika.

- Fowlson jest tutaj. Chyba przyjechał po ciebie – sapię. – Żeby ci zrobić krzywdę.

Nie wydaje się zaniepokojony i w ogóle nie reaguje.

- Słyszałaś, co powiedziałam?

- Tak – odpowiada, zamykając książkę. – *Odyseja*. Skończyłem, może chcesz ją przeczytać?

Chwytam go za ramię.

- Trzeba cię ukryć. Mogłabym zamienić cię w kogoś innego albo...

- Nie zamierzam się znowu ukrywać – oświadczam. – I nie przejmuję się Fowlsonem.

- Nie?

Odkłada tom na wysoką półkę obok okna.

- Zmieniłem zdanie. Muszę wiedzieć, czy Amar... Muszę wiedzieć. Rozumiesz?

- Jesteś gotów, by zobaczyć międzyświat – odpowiadam.

- Nie wiem, czy jestem gotów – mówi z cichym, kpiącym śmiechem. – Ale pójdę tam.

Zobaczę go.

Podaję mu rękę.

- Zaufaj mi.

Kartik splata palce z moimi.

- Pokaż mi.

- Musimy być ostrożni – ostrzegam.

Wszyscy oglądają przedstawienie, więc na zewnątrz jest pusto i cicho, ale i tak nie chcę zwrócić nikomu uwagi. Przykucamy, po czym nisko pochyleni biegniemy wzdłuż skraju trawnika, aż docieramy do Wschodniego Skrzydła. Wyciągam rękę. W powietrzu rozlegają się trzaski. Naszym oczom ukazują się migoczące drzwi. Na twarzy Kartika odbija się nieklamane zdumienie.

- Niesamowite – szepcze.

- To jeszcze nic – zapewniam go. Chwytam go za rękę i prowadzę korytarzem, a gdy wychodzimy z drugiej strony, jest odmienionym człowiekiem. – Witaj w międzyświecie – mówię.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Najpierw pokazuję mu ogród, bo sama zaczęłam poznawać międzyświat od tego miejsca. Poza tym jest tak piękny, że chcę się podzielić tym widokiem. Kartik kręci się w kółko, odrzuciwszy głowę do tyłu. Białe kwiaty osiadają na jego włosach i rzęsach jak śnieg, a on unosi dłonie wnętrzem do góry.

- To jest ogród – oświadczam niemalże z dumą. – Tam płynie rzeka. A tutaj znajduje się grota, gdzie niegdyś stały Runy Wyroczni. Tym właśnie rządził Zakon, a wraz z nim Rakshana.

- Mam wrażenie, że śnię.

Kartik podchodzi do rzeki i przesuwa dłonią po śpiewającej wodzie. Srebrne, złote i różowe wiry rozkwitają na powierzchni w miejscach, w których jej dotknął.

- Spójrz na to.

Dmucha na żdźbła trawy, a one przemieniają się w chmurę motyli. Jeden z nich przed odlotem przysiadł na wyciągniętej dłoni Kartika. Nigdy nie widziałam, żeby Kartik był taki szczęśliwy i bez troski. Znajduje hamak, który utkałam kilka tygodni temu, i kładzie się w nim, słuchając słodkiej melodii jego nici. Podwija rękawy koszuli aż nad łokcie, a choć to nieprzyzwoite, nie mogę się powstrzymać, by nie zerkać na jego obnażone ręce.

- Masz ochotę usiąść? – Wskazuje wąski pasek miejsca obok siebie.

- Nie, dziękuję – udaje mi się odpowiedzieć. – Jest jeszcze tyle do zobaczenia.

*

Prowadzę go przez makowe pola poniżej Świątyni i pokazuję wysokie klify, które wznoszą się nad nami. Wyrzeźbiono w nich zmysłowe postacie półnagich kobiet, które wywołały rumieńce na moich policzkach, gdy zobaczyłam je po raz pierwszy. Kątem oka obserwuję Kartika, ciekawa, czy jemy też wydadzą się skandaliczne.

- Przypominają mi Indie – mówi.

- Tak, masz rację – potwierdzam z nadzieją, że nie zdradzam tonem swoich emocji.

Wzrok Kartika spoczywa na mojej szyi i nieśmiało ześlizguje się niżej.

- Pokażę ci Groty Westchnień – proponuję lekko schrypniętym głosem.

Prowadzę go przez wąski tunel w ziemi w na przełęcz, między misami, z których bucha kolorowy dym, aż na szczyt. Hajini kłaniają się nam, a Kartik z szacunkiem odpowiada na ich powitanie.

- Tutaj są Groty Westchnień. – Mijamy płaskorzeźbę przedstawiającą dwie złączone dłonie w środku okręgu. Kartik zatrzymuje się przed nią.

- To znak Rakshanów.

- Zakonu również – podkreślam.

- Wiesz, co oznacza? – pyta, podchodząc bliżej.

Kiwam głową i rumienię się.

- To symbol miłości.

Uśmiecha się.

- Tak, przypominam sobie. Dłonie wewnątrz kręgu. Widzisz? Krąg, symbol wieczności, chroni dłonie.

- Wieczności?

- Ponieważ nie da się powiedzieć, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy, ale nie ma to żadnego znaczenia.

Przesuwa palcem wzdłuż wzoru.

Cicho chrząkam.

- Powiadają, że można zobaczyć nawzajem swoje marzenia, jeśli położy się dłonie w kręgu.

- Naprawdę? – Opiera rękę tuż obok niego.

- Tak – potwierdzam.

Wiatr wieje w grotach, a one wzdychają. Kamienie mówią. *To jest miejsce marzeń dla tych, którzy chcą widzieć. Połóżcie dłonie wewnątrz kręgu i oddajcie się marzeniom.*

Opieram dłoń wewnątrz koła i czekam. Kartik nie patrzy na mnie i nie porusza się. Nie zrobi tego. Znam go. Moje serce zamiera pod brzmieniem tej wiedzy.

Kładzie dłoń w środku, obok mojej. Palce wskazujące i kciuki są skierowane ku sobie, ale się nie dotykają. Nasze dłonie to dwa kontynenty oddzielone przez wąziutki ocean. I nagle jego palce muskają moje. Kamienie znikają. Jasne białe światło zmusza mnie do zamknięcia oczu. Moje ciało zostaje gdzieś z tyłu, a ja zanurzam się w marzeniach.

*

Na moich ramionach połyskują złote bransolety, które odbijają światło. Dłonie i stopy mam pomalowane w wyszukane wzory, jak hinduska panna młoda. Noszę sari w kolorze fioletowej orchidei. Gdy się poruszam, fałdy materiału zmieniają barwę, mieniając się od oranżu do czerwieni i od błękitu po srebro.

Odbywa się uroczystość. Dziewczęta w jaskrawożółtych sari tańczą boso po dywanie z kwiatów lotosu. Uśmiechając się pogodnie, zanurzają dłonie w dużych glinianych misach i wyciągają garście różanych płatków, które wyrzucają wysoko w powietrze. Kolorowy deszcz pada powoli, płatki osiadają na moich włosach i nagich ramionach. Zapach przypomina mi mamę, ale ni czuję smutku. To zbyt radosny dzień.

Dziewczęta przygotowują dla mnie przejście. Biegną, rzucając kwiaty aż widzę przed sobą tylko wirujące czerwone i białe płatki. Ruszam w stronę błękitnego nieba i po chwili znajduję się w wejściu do potężnej kamiennej świątyni starej jak sam czas. Nade mną medytuje Sziwa, bóg zniszczenia i odrodzenia, którego trzecie oko widzi wszystko. Poda mną znajduje się pewnie ze sto stopni. Robię pierwszy krok i wszystko znika – świątynia, dziewczęta, kwiaty, wszystko. Jestem sama wśród piasków pustyni, stanowiąc jedyną barwną plamę w zasięgu wzroku. Wokół nie widać nic prócz nieba. Godziny wydają się trwać sekundy, a sekundy ciągną się jak godziny, gdyż czas jest tylko snem.

Zrywa się ciepły wiatr, a ziarna piasku delikatnie muskają moje policzki. I wtedy go dostrzegam. Jest ledwie kropką w oddali, ale wiem, że to on. Nagle znajduje się tuż przede mną. Ubrany w czarny, elegancki strój, z girlandą na szyi, siedzi na łaciatym koniu. Na środku czoła ma czerwony znak wykonany kurkumą, jak hinduski pan młody.

- Witaj – mówi.

Obdarza mnie uśmiechem jaśniejszym niż słońce. Wyciąga dłoń, a ja ją chwytam i świat znów się rozpada. Stoimy w ogrodzie wonnym od kwiatów lotosu wielkich jak łoża.

- Gdzie jesteśmy? – pytam. Mój głos brzmi dziwnie w moich własnych uszach.

- Tutaj – odpowiada Kartik, jakby to wszystko wyjaśniało, i tak w pewnym sensie jest. Wyjmuje nóż i na ziemi wokół mnie rysuje koło.

- Co robisz? – pytam.

- Ten krąg symbolizuje jedność naszych dusz – odpowiada.

Okrąża mnie kilkakrotnie, a za siódmym razem wstępuje do kręgu i staje naprzeciwko mnie. Ujmuje moje dłonie.

Nie wiem, czy śnię.

Kartik kładzie rękę na moim karku i delikatnie przyciąga mnie do siebie. Wplata place w moje włosy, pocierając pasma, jakby to był piękny jedwab, który pragnie kupić. Jego usta odnajdują moje: są wygłodniałe, poszukujące, władcze.

To całkiem nowy świat i chętnie wybiorę się w podróż po nim.

Nie wiem, co chciałabym usłyszeć: *Kocham cię. Jesteś piękna. Nigdy mnie nie porzucasz.* Wydaje mi się, że słyszę to wszystko, a jednak on mówi tylko jedno słowo – moje imię – i uświadamiam sobie, że nigdy przedtem nie wypowiedział go w taki sposób – jakby mnie dobrze znał. Przesuwam palcami po gładkiej skórze na jego piersi. Gdy muskam ustami wgłębienie nad obojczykiem, Kartik wydaje dźwięk, stanowiący coś pośredniego pomiędzy westchnieniem a warkotem.

- Gemmo...

Pokrywa mnie gorączkowymi pocałunkami. Moje usta, brodę, szyję. Wewnętrzzną stronę ramion. Kładzie dłonie na moim krzyżu i całuje mnie po brzuchu przez szorstki materiał sukni, rozpalając iskry w moich żyłach. Unosi moje włosy i ogrzewa ustami kark, znacząc szlak z pocałunków wzdłuż kręgosłupa, a dłońmi delikatnie obejmując moje piersi. Rozluźnia wiązania gorsetu. Mogę teraz swobodnie oddychać. Kartik zdjął koszulę. Nie pamiętam, kiedy do tego doszło, ale z jakiegoś powodu zapominam też, że powinno mnie to zawstydzić. Zauważam tylko jego piękno: gładki brąz skóry, szerokie ramiona, umięśnione ręce, tak różne od moich. Pokryta różami ziemia jest miękka i ugina się lekko pod ciężarem mojego ciała. Kartik przyciska się do mnie, a ja mam wrażenie, że mogłabym wsiąknąć w tę uległą ziemię. Zamiast tego przytulam się mocno do niego i czuję żar, od którego mogłabym umrzeć.

- Jesteś pewna?

Choć raz wiem, że nie stoję na uboczu. Całuję go znów, badając językiem ciepłe wnętrze jego ust. Kartik mruga, po czym szeroko otwiera oczy z wyrazem, którego nie potrafię nazwać: jakby nagle dostrzegł coś cennego, co uznawał za utracone. Przytula mnie mocno. Obejmuję go ramionami. Nasze usta i ciała mówią za nas w nowym języku, a drzewa strząsają z siebie deszcz płatków, które przylegają do nas jak druga skóra, którą będziemy już zawsze nosić. I tak zostaję odmieniona.

*

Gdy otwieram oczy, znajduję się znów w Grotach Westchnień. Moje palce ledwie muskają palce Kartika oparte o kamienną płytę. Oddycham ciężko. Czy on widział to, co ja? Czy śniliśmy ten sam sen? Nie śmiem na niego spojrzeć. Czuję pod brodą jego palec lekki jak kropla deszczu. Odwraca moją twarz w swoją stronę.

- Śniłeś? – pytam szeptem.

- Tak – odpowiada i całuje mnie.

Bardzo długo siedzimy w Grotach Westchnień, o niczym nie rozmawiając, a jednak mówiąc wszystko.

- Rozumiem, czemu moim bracia Rakshana chcieli zatrzymać dla siebie to miejsce – mówi. Gładzi palcami wewnętrzną stronę mojego ramienia. – Chyba trudno jest z niego zrezygnować.

Coś ściska mnie w gardle. Czy moglibyśmy tu zostać? Czy on by został, gdybym go poprosiła?

- Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłaś – dodaje.

- Proszę bardzo – odpowiadam. – Chcę się z tobą podzielić czymś jeszcze.

Biorę go za rękę. Nasze ciało mrowi tam, gdzie się dotykamy. Kartik unosi powieki i szeroko otwiera oczy, nagle rozumiejąc, że przekazałam mu magiczny dar.

Niechętnie cofam dłoń.

- Teraz możesz zrobić wszystko.

- Wszystko – powtarza.

Kiwam głową.

- No dobrze.

Przysuwa się jeszcze bliżej do mnie i nakrywa moje usta wargami. Są miękkie, ale pocałunek jest zdecydowany. Kartik delikatnie kładzie dłoń na moim karku, a drugą przyciąga do siebie moją twarz. Znowu mnie całuje, tym razem mocniej, ale równie cudownie. Jego usta są dla mnie czymś niezbędnym, nie wyobrażam sobie, jak mogę żyć, nie smakując ich bezustannie. Może tak właśnie upadają dziewczęta – nie w wyniku podstępnych działań jakiegoś podłego nicponia, który je zauroczył, a one są tylko niewinnymi ofiarami, mniemającymi nic do powiedzenia. Może po prostu są całowane i chcą odwzajemnić pocałunki. A może nawet całują pierwsze. Dlaczego nie?

Liczę pocałunki – jeden, dwa, trzy, osiem. W końcu odsuwam się, żeby złapać oddech i odzyskać przytomność umysłu.

- Ale... mogłeś mieć cokolwiek być zechciał.

- No właśnie – odpowiada, pocierając nosem moją szyję.

- Przecież – upieram się – mogłeś zamienić kamienie w rubiny lub jeździć eleganckim powozem.

Kartik opiera dłonie po obu stronach mojej twarzy.

- Każdemu jego własna magia – mówi i znowu mnie całuje.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Przy wejściu do Grot spotykamy Ashę.

- Pani Nadziejo, gorgona jest na dole. Chce z tobą rozmawiać. Mówi, że to pilne.

- Gorgona? – upewnia się zaskoczony Kartik i instynktownie sięga ręką do noża.

- Nie będziesz go potrzebował – uspokajam. – Najgorsze, co potrafi zrobić, to śmiertelnie cię zirytować. Może wtedy będziesz chciał zakończyć swoje męczarnie.

Gorgona czeka na rzece. Kartikowi zapiera dech w piersi na widok przerażającej zielonej twarzy, żółtych oczu i węży wijących się wokół jej głowy jak promienie jakiegoś zapomnianego boga-słońca.

- Gorgono! Wróciłaś! – wołam rozpromieniona. Uświadamiam sobie, że bardzo za nią tęskniłam.

- Przepraszam, Wasza Wysokość. Przykazałaś mi, żebym cię nie szukała, ale to sprawa najwyższej wagi.

Moje policzki pokrywa rumieniec.

- Nie miałam racji, zachowałam się niegrzecznie. Pozwól, że przedstawię ci Kartika, niegdyś członka Rakshana.

- Witaj – mówi gorgona.

- Witaj – odpowiada Kartik, nadal bardzo zdziwiony i nadal z ręką na nożu.

Oślizgły głos gorgony jest podszyty lękiem.

- Wybrałam się do Krainy Zimy szlakiem, który mój lud znał od dawna. Chciałabym wam pokazać, co widziałam.

- Więc zabierz nas tam – decyduję i wchodzimy na pokład.

Siadam obok masywnej szyi gorgony, unikając zetknięcia z węzami, które syczą i wiją się wokół jej głowy. Czasami zbliżają się do mnie za bardzo, przypominając, że nawet najbardziej zaufany sprzymierzeniec może nas zranić. Kartik trzyma się od nich z dala. Obserwuje dziwny, nieprzystępny świat Krainy Zimy. Po ziemi ściele się zielona mgła. Okręt wpływa cicho wąskim kanałem do jaskini. Przesuwamy się pod lodowymi stalaktytami długimi jak zęby morskiego węża i rozpoznaję to miejsce.

- W tej jaskini widziałam Amara – zwracam się do Kartika, a jego twarz pochmurnieje.

- To tutaj – odzywa się gorgona i zatrzymuje się. – Dokładnie tutaj.

Opuszcza trap, a my brniemy przez płytką wodę pod ścianę jaskini, gdzie rzeka wyrzuciła coś na brzeg. To nimfa wodna, która zaprowadziła mnie do Amara. Jej martwe oczy wpatrują się w nicość.

- Co jej się stało? – pytam. – Czy to jakaś choroba?

- Przyjrzyjcie się dokładniej – sugeruje gorgona.

Nie mam ochoty jej dotykać, ale robię to. Skórę ma zimną. Na palcach zostają mi łuski pokryte zaschniętą krwią. Zauważam głęboką, czerwoną szramę na szyi.

- Podejrzewasz istoty z Krainy Zimy? – pytam.

Głos gorgony niesie się po jaskini.

- To coś potężniejszego niż istoty z Krainy Zimy. To przerasta moją zdolność pojmowania.

Zamykam mętne oczy nimfy, tak że wydaje się, iż tylko śpi.

- Co robimy, Wasza Wysokość? – chce wiedzieć gorgona.

- Mnie pytasz?

- Tak, jeśli zechcesz objąć prowadzenie.

Jeśli zechcę objąć prowadzenie. Stoję w zapomnianej jaskini, obok mnie leży zimne ziało wodnej nimfy, za to moje przyjaciółki są bardzo daleko, i mam podjąć decyzję.

- Muszę zobaczyć więcej. Chcę wiedzieć. Możemy popłynąć dalej?

- Jak sobie życzysz.
- Nie musisz mi towarzyszyć – zwracam się do Kartika. – Mogę najpierw odprowadzić cię do obozu.
- Popłynę – odpowiada i sprawdza sztylet w cholewie buta.
- Wasza Wysokość – odzywa się gorgona, a w jej głosie brzmi troska. – Dotarliśmy tak daleko i nikt nas nie zauważył, ale dalej lepiej nie płynąć bez ochrony. Mądrze by było przyzwać na pomoc twoje moce.
- Zgoda – mówię. – Ale będę musiała cię obdarować, tak byśmy wspólnie postarali się osiągnąć efekt...
- Nie – przerywa mi. – Nie przyjmę magii nawet nie chwilę.
- Potrzebuję cię, gorgono – przekonuję ją. – Jesteśmy do tego potrzebni wszyscy.
- Nie wolno mnie wyzwolić – upiera się gorgona. – Musisz to zrozumieć.
- Rozumiem – zapewniam ją. – Zdecydujemy, jaką iluzję stworzyć, i skupimy się tylko na tym jednym celu. Zgoda?
- Kartik kiwa głową.
- Zgoda – syczy po chwili gorgona.
- Wchodzę na pokład i kładę jedną dłoń na grubej, pokrytej łuskami szyi gorgony, a drugą na ramieniu Kartika. Magia obejmuje naszą trójkę. Czuję się tak, jakby to była fala, na której grzbiecie siedzę i która nie wciąga mnie w głąb. Łączy nas wspólny cel i dzielimy się tym brzemieniem po równo. Wyobrażam sobie łódź wikingów, którą płynęliśmy przez Krainę Zimy – smukłe żagle, wiosła. Wyobrażam sobie siebie i Kartika jako widma w podartych ubraniach. Nasze serca biją jednym rytmem. Otwieram oczy i widzę, że udało nam się osiągnąć cel. Ja i Kartik wyglądamy jak zjawy. Gorgona przypomina statwę, a jej węże są nieruchome jak wykute z marmuru.
- Gorgono? – pytam niepewnie.
- Nic mi nie jest, Wasza Wysokość. Dobrze się spisałaś.
- Wszyscy dobrze się spisaliśmy – odpowiadam, a satysfakcja wcale nie jest mniejsza przez to, że z kimś ją dzielę. – Zobaczmy, co ukrywa Kraina Zimy.

*

Gorgona prowadzi po rzece, która wije się dnem kanionu pośród czarnych skał. Nad wodą unosi się szarozielona mgiełka, która przeredza się w miarę płynięcia, dzięki czemu mam okazję zobaczyć więcej tej dziwnej krainy, niż widziałam do tej pory. Postrzępione flagi z czerwonymi symbolami powiewają na szczytach urwistych gór. Łopoczą w porywistym wietrze, wydając dźwięki przypominające strzały. W czarnej skale wydrążono wgłębienia, w których dziesiątki czaszek leżą ułożone w sterty. Moje serce galopuje coraz szybciej. Chciałabym zawrócić, ale muszę się dowiedzieć, co się tutaj właściwie dzieje.

Na powierzchni wody unosi się ławica martwych srebrnych rybek.

- Może to nic takiego – odzywam się niepewnie.
- Może – syczy gorgona. – A może to coś bardzo złego. Wyczuwam działanie jakiejś straszliwej magii.

Nad naszymi głowami krąży ptak, jak wyraźny czarny odcisk palca na niebie.

- Płyn za nim – zwracam się do gorgony.

Wkrótce moje uszy wypełnia ryk. Docieramy do kanionu, w którym majestatyczne wodospady otaczają nas z obu stron. Woda kipi i miota nami na wszystkie strony. Kartik i ja mocno trzymamy się siebie i gorgony. Ostre skały wystają nad powierzchnią wody i boją się, że się na nich rozbijemy, ale gorgona prowadzi nas pewnie. Po chwili wypływamy z kanionu

do płytkiej zatoczki pokrytej cienką warstwą lodu, który jest zasłany kośćmi i truchłami małych zwierząt. Zimny wiatr nie jest w stanie rozpędzić odoru śmieci i rozkładu. Na brzegach płoną ogniska. Unosi się z nich gęsty, gryzący dym, od którego drapie mnie w gardle. Opadająca z nieba mieszanina popiołu ze śniegiem przywiera do mojej skóry. W oddali pod skalnym łukiem widać czarny piach równin.

Gorgona podpływa bliżej, a ja aż się dławie z strachu, gdyż za linią ognisk koczuje armia istot z Krainy Zimy – szkieletowi tropiciele w postrzępionych czarnych szatach, Makowi Wojownicy, blade stwory o skórze koloru kredy i oczach obrzeżonych na czarno. Tak wiele tu istot, nie miałam pojęcia, że jest ich takie mrowie. To chyba obóz rozbity pod osłoną klifów. Obok istot siedzą umarli, którzy wydają się ślepi i oszołomieni.

- Stać! – woła monstrum po mojej lewej. Dłoń Kartika zawisa nad rękonością sztyletu. Stwór jest szary jak śmierć. Rozciąga gnijące usta, ukazując żółte pieńki zębów. Powieki ma zaczerwienione, ale oczy w kolorze mlecznego błękitu jak Pippa. – Przybyliście na rytuał?

Kartik kiwa głową. Modłę się, żeby nasza iluzja się utrzymała.

Pod łukiem pojawia się sześciu tropicieli.

- Pójdźcie! – wołają ohydne bestie.

Potwory wstają, a martwi suną za nimi jak lunatycy. Rzucamy ostatnie spojrzenie na kamienną twarz gorgony i wraz z Kartikiem dołączamy do pozostałych.

Tropiciele przemierzają równinę, a my za nimi. Ziemia chrzęści jak muszle pod moimi stopami. Widzę kość nogi wystającą spod żwiru, więc szybko odwracam wzrok. *Spokojnie, Gemmo. Spokojnie. Podtrzymuj iluzję.*

Docieramy do wąskiego przejścia. Blade, pozbawione skóry istoty wyłaniają się spod skał i z rozpadlin, mrużąc oczy przed słabym światłem ze skłębionego szarego nieba. Potwór obok nas warczy i zgrzyta zębami do jednego z bladych stworów, a ten wślizguje się z powrotem pod skałę, aż widać tylko jego przerażone oczy.

Nad naszymi głowami krążą kraczące ptaki. Wychodzimy z rozpadliny i serce zaczyna mi bić gwałtownie, gdyż okazuje się, że znajdujemy się na wrzosowisku. Przed nami stoi Drzewo Wszystkich Dusz.

Wokół niego zbierają się istoty z Krainy Zimy. Kartik ściska mnie za rękę, a jazzuję, jak jego przerażenie miesza się z moim. Z tłumu zostaje wyprowadzonych troje umarłych – kobieta oraz dwaj mężczyźni. Kartik głośno wciąga powietrze: tuż za potworami widać Amara na wspaniałym rumaku.

- Im więcej składamy ofiar, tym bardziej rośnie nasza moc! – grzmi, a umarli zostają zmuszeni do klęknienia przed Drzewem Wszystkich Dusz.

- Czy oddajecie się chętnie ku waszej chwale? Czy chcecie złożyć swoje dusze w ofierze dla naszej sprawy? – pyta ich Amar.

- Tak – odpowiadają beznamiętnie.

- Ich dusze są gotowe – oświadcza brat Kartika.

Pnącza szybko niczym bicze owijają się wokół szyj ofiar, po czym ciągną je w stronę ogromnego drzewa jak bezwładne marionetki. Amar dobywa miecza z pochwy u boku. Odjeżdża, po chwili zawraca i pędzi na zmarłych jak rycerz na turnieju.

Zgromadzone na wrzosowisku istoty z Krainy Zimy przyglądają się temu. Niektóre kulą się ze strachu, a inne skandują z aprobatą.

- Ofiara, ofiara, ofiara...

Patrzemy z przerażeniem, jak miecz Amara opada na umarłych. Kartik wzdryga się, a ja mocno przywieram do jego ramienia. Krew ofiar rozpryskuje się i korzenie drzewa piją ją chciwie. Z potwornym wrzaskiem dusze zostają wchłonięte przez ogromny jesion. Na naszych oczach drzewo rozrasta się jeszcze bardziej. Jego potężne konary wyciągają się na wszystkie strony niczym gigantyczne szpony. Niebo krwawi czerwienią.

Amar i tropiciele przykładają dłonie do powykrećanego pnia, chłonąc krążącą w nim moc, a armia potworów przygląda się im.

- Pewnego dnia wy też się posilicie! – woła tropiciel. – Gdy złożymy ofiarę.

Istoty zgodnie kiwają głowami.

- Tak, tak będzie – odpowiadają, wierząc mu bez zastrzeżeń.

- Nasza sprawa jest słuszna! – woła kolejny tropiciel. Jego szaty rozchylają się, ukazując pod spodem wyjące duchy.

- Wolność leży wreszcie w naszym zasięgu! – grzmi Amar. – Ona zaczęła wdrażać w życie swój plan. Wszystko się dobrze układa. Gdy da nam znać, złożymy w ofierze ich arcykapłankę, a wtedy wszystko – międzyświat oraz świat śmiertelników – będzie należało do nas.

Stwory krzyczą i potrzęsają pięściami, wyobrażając już sobie zwycięstwo.

Jeden z tropicieli węszy w powietrzu.

- Coś jest nie tak – wyje. – Wyczuwam żywych wśród nas!

Warcząc i wrzeszcząc, potwory rozglądają się wokół, oskarżycielsko wskazując na towarzyszy. Jedna bestia wskazuje na plecy drugiej z okrzykiem: „Zdrajca!”, po czym zanurza zęby w jej szyi. Tropiciele próbują zapanować nad chaosem, ale w ogóle ich nie słyszą przez wrzawę.

- Kartiku – szepczę – musimy uciekać.

Nadal wpatruje się w swojego przekłętego brata, a oczy ma wilgotne. Nie czekam na jego odpowiedź. Szybko odciągam go z dala od tłumu i widoku tego monstrum, którym stał się jego brat. Przemykamy wśród potworów, z trudem unikając ciosów rozdawanych na prawo i lewo. Gdy docieramy do skalnej rozpadliny, słyszę, jak Amar nawołuje do porządku, przekrzykując chaos. Niebo wyje. Następną dusza została złożona w ofierze, a stwory wiwatują.

Kolejne bezskóre istoty wypełzają spod gładów. Chwytają nas za kostki dłońmi oślizgłymi i szybkimi jak ryby. Wyrывa mi się krzyk, który przez chwilę niesie się echem wśród skał. Boję się, że ktoś mógł go usłyszeć. Kopię najbliższe monstrum po ręce, a ono wślizguje się z powrotem do swojej kryjówki. Najszybciej, jak potrafię, ciągnę Kartika w stronę statku.

- Gorgono, musimy natychmiast ruszać – oświadczam.

- Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość. – Bierze kurs na granicę Krainy Zimy.

Opowiadam jej, co widzieliśmy, choć z uprzejmości nie wspominam o roli Amara. Burzowe niebo przechodzi w obojętny zmierzch Krainy Granicznej, następnie w jasny błękit koło Grot Westchnień, a potem w pomarańczowy zachód słońca w ogrodzie.

Przez całą podróż Kartik nie mówi ani słowa. Siedzi na pokładzie z kolanami przyciągniętymi do piersi, kryjąc twarz w dłoniach. Nie wiem, co powiedzieć. Żałuję, że mu tego nie oszczędziłam.

- To ona – mówię, kręcąc głową. – Zaczęła wdrażać w życie swój plan.

- Czyli kto? – pyta gorgona.

Rośnie we mnie gniew, jakiego nigdy nie zaznałam.

- Kirke. Dawno temu zawarła pakt z tymi istotami i chciała, abym uwierzyła, że to już przeszłość. Cały czas próbowała odzyskać władzę. Nie będę już dłużej jej pionkiem.

- Co mi rozkażesz, Wasza Wysokość?

- Płyn do Filona i leśnych ludzi. Wyjaśnij, co się stało, i powiedz, że dziś wieczorem podamy sobie dłonie. Wrócę z przyjaciółkami i spotkamy się w Świątyni. I złożę ponownie ofertę Niedotykalnym. Może jeszcze zmienią zdanie.

- Jak sobie życzysz.

- Gorgono! – wołam.

- Tak, Wasza Wysokość?

Nie wiem, jak zapytać o to, czego chcę się dowiedzieć.

- Jeżeli podzielę się magią, jeżeli zawrzemy sojusz, czy to rozwiąże wszystkie problemy? Gorgona powoli kręci głową.

- Nie wiem. Nadeszły dziwne czasy. Nic nie jest już takie jak przedtem. Nie obowiązują żadne zasady i nikt nie wie, co się stanie.

*

Prowadzę Kartika ścieżką przez Krainę Graniczną, a później korytarzem. Wydostajemy się przez sekretne drzwi na trawnik za Spence. Z otwartych okien nad nami dobiegają oklaski i szmer głosów. Pani Nightwing zapowiada pannę Cecily Temple, która wyrecytuje *Różę wojny*.

Wszystko wydaje się znajome, a jednocześnie zupełnie inne. Kartik nie patrzy na mnie, a ja żałuję, że nie możemy wrócić do tej chwili w Grotach Westchnień, gdy przyłożyliśmy dłonie do kamienia.

- Ten potwór karmiący duszami drzewo to był mój brat.

- Bardzo mi przykro. – Wyciągam dłoń, ale on się odsuwa. – Kartiku?

- Zawiodłem go. Zawiodłem...

Mija mnie i puszcza się biegiem.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY CZWARTY

Wracam na bal maskowy kompletnie roztrzęsiona. Jakiś mężczyzna w masce arlekina potrąca mnie, a ja podskakuję ze strachu.

- Serdecznie przepraszam – kaja się i posyła mi uśmiech, który wydaje się demoniczny z powodu tej paskudnej maski.

Wślizguję się z powrotem do sali balowej, gdzie dziewczęta prezentują swój recital. Dostrzegam Fee, która siedzi obok Ann w kostiumie lady Makbet.

- Muszę natychmiast z wami porozmawiać – mówię szeptem i przyjaciółki spieszą za mną do biblioteki.

Ann zaczyna kartkować tanią książkę *Mabel – opowieść o pewnej pensjonarce*. Nie wątpię, że przedstawia tę samą historię co wszystkie inne: biedna, ale przyzwoita dziewczyna stanowi obiekt okrutnych drwi ze strony szkolnych koleżanek, ale w końcu bogaty krewny wyzwala ją z opresji. Następnie małodusznie dziewczęta z całego serca żałują, że tak ją dręczyły. Mabel (albo Annabelle, albo Dorothy – wszystkie są takie same) wspaniałomyślnie uczą się czegoś cennego.

Chętnie cisnęłabym te śmieci do ognia.

- No dobra, Gemmo. Wyrzuć to z siebie – rozkazuje Felicity. – Przyjęcie nam ucieka.

- Istoty z Krainy Zimy wcale nie wymierają. Mają armię liczącą tysiące żołnierzy – mówię beładnie jak pacjentka z Bedlam. – Składały drzewu w ofierze dusze, żeby zyskać moc, ale nadal czekają na coś. Na kogoś. – Biorę głęboki oddech. – Wydaje mi się, że na Kirke.

- Teraz w to uwierzyłaś? – szydzi Fee.

Ignoruje przytyk.

- Musimy pójść do międzyświata, oddać sztylet Eugonii i zawrzeć sojusz.

- To znaczy oddać magię? – upewnia się Ann.

- Ona nie należy do nas. Tylko ją pożyczyliśmy...

Felicity przerywa.

- A co z Pip? Musimy jej powiedzieć!

- Fee – zaczynam – nie możemy. Jeżeli jest jedną z nich...

- Nie jest! Sama powiedziałaś, że to Kirke. – Felicity mruży oczy. – Jak się o tym dowiedziałaś, Gemmo?

Za późno uświadamiam sobie swój błąd.

- Poszłam do międzyświata. Sprawdzić.

- Sama? – naciska Fee.

- Nie. Z Kartikiem.

Ann wpatruje się we mnie z gniewem.

- Zabrałaś go tam, nic nam nie mówiąc?

- Musiałam mu pokazać...

- Międzyświat należy do nas, nie do niego! – złości się Felicity. – Zaledwie wczoraj upierałaś się, że nie powinnyśmy chodzić tam osobno. A teraz sama tak postąpiłaś!

- Tak, i przepraszam, ale to zupełnie inna sprawa – usprawiedliwiam się, choć nawet ja słyszę, jak marnie to brzmi.

- Skłamałaś! – krzyczy Felicity.

- Posłuchajcie mnie, proszę! Czy możecie posłuchać przez chwilę? Poprosiłam gorgonę, żeby zebrała Hajinów i leśny lud w Świątyni, abyśmy mogły podzielić się z nimi magią. Musimy pójść dzisiaj. Nie rozumiecie?

- Rozumiem, że nie obchodzi cię to, co myślą twoje przyjaciółki. I czego chcą. – W tym przebraniu Felicity jest w każdym calu wojowniczką. W jej oczach lśni uraza. – Pip ostrzegła mnie, że może do tego dojść.

- Co masz na myśli? Co mówiła? – dopytuję się.

- Dlaczego mam ci to zdradzić? Może spytasz Kartika. Masz do niego większe zaufanie niż do swoich przyjaciółek.

- Przecież jestem tutaj teraz z wami, prawda? – Zaczyna kiełkować we mnie złość.

- Powiedziała, że nie będziesz chciała dzielić się magią. Że nigdy nie zamierzałaś tego zrobić, nie w taki sposób, jak ona by to zrobiła – odpowiada Felicity.

- To nieprawda. – Ale nie mogę zaprzeczyć, że bardzo mi się podobało posiadanie czegoś, czego inni nie mieli.

Felicity bierze Ann za rękę.

- Nieważne – mówi, ciągnąc ją do drzwi. – Zapominasz, że możemy robić, co chcemy. Możemy wybrać się do międzyświata, kiedy zechcemy. Z tobą lub bez ciebie.

*

Wędruje po szkole jak w gorączce. Sala balowa rozkwita tancerzami. Ale ja nie jestem w nastroju do zabawy. Oczyma duszy cały czas widzę te okrutne stworzenia i Amara składającego ofiarę ze zmarłych. Widzę ból w oczach Kartika. Zastanawiam się, dokąd poszedł i kiedy wróci. Jeżeli w ogóle wróci.

Goście tłoczą się na parkiecie, wykonując skomplikowane kroki, ale nie dochodzi do żadnych nieszczęśliwych wypadków. Zazdroszczę im. Ponieważ ja nie wiem, jakie kroki wykonywać w tej podróży. Muszę wymyślić je sama. Nie należę do tego barwnego korowodu księżniczek i wrózek, błaznów i diablików, zjaw i złudzeń. Jestem taka zmęczona iluzjami. Potrzebuję kogoś, kto mnie posłucha, kto mi pomoże.

Ojciec. Mogłabym powiedzieć mu wszystko. Nadeszła pora prawdy. Spieszę z pokoju do pokoju, szukając taty. Fowlson, uśmiechnięty szyderczo, czai się w kącie.

- Joanna d'Arc. Ona zdaje się źle skończyła, co nie?

- Pan też może zaraz źle skończyć – szepczę z wściekłością i idę dalej.

W końcu dostrzegam ojca, który zabawia rozmową panią Nightwing, Toma i... lorda Denby. Idę prosto w paszczę lwa.

- Co pan tu robi? – pytam.

- Gemmo Doyle! – karci mnie ojciec. – Przeprosisz pana.

- Nie przeproszę. To potwór, ojcze!

Twarz Toma robi się czerwona. Wygląda, jakby chciał mnie zabić. Ale lord Denby tylko się śmieje.

- Oto, jakie są skutki pobłażania kobietom. Stają się niebezpieczne.

Prowadzę ojca do bawialni i zamykam drzwi. Tato sadowi się w fotelu, po czym wyjmuję z kieszeni fajkę, którą dałam mu na Boże Narodzenie, i mały kapciuch z tytoniem.

- Bardzo mnie rozczarowałeś, Gemmo.

Rozczarowałam. To słowo jest jak nóż prosto w serce.

- Wiem, ojcze, przykro mi, ale to naprawdę pilna sprawa. Musisz się dowiedzieć czegoś o mnie. I o mamie. – Moja krew krąży szybciej. Słowa więzną mi w gardle i palą. Mogłabym je przełknąć jak gorzką pigułkę, tak jak tyle razy wcześniej. Tak byłoby łatwiej, ale nie mogę. Znowu podchodzą mi do ust, a ja się nimi dławię.

- A gdybym ci powiedziała, że mama nie była tą osobą, za którą się podawała? Gdybym ci powiedziała, że naprawdę nazywała się Mary Dowd i była członkinią sekretnego stowarzyszenia czarodziejek?

- Odpowiedziałbym, że to nie najlepszy żart – mówi srogim tonem, ubijając tytoń w fajce. Kręcę głową.

- To nie żart. To prawda. Mama uczyła się w Spence wiele lat przede mną. To ona wywołała pożar, który strawił Wschodnie Skrzydło. Była członkinią stowarzyszenia czarodziejek o nazwie Zakon, które szkoliło swoje adeptki w Spence. Potrafiła otworzyć wejście do czarodziejskiej krainy nazywanej międzyświatem. To przepiękne miejsce, ojcze, choć czasami też przerażające. Mama posługiwała się tamtejszą magią, która krąży również w moich żyłach. I dlatego właśnie chcę mnie zabić – żeby przejąć moją magię.

Uśmiech ojca blednie.

- Gemmo, ta opowieść nie jest zabawna.

Nie mogę przestać, tak jakby każda prawda, którą trzymałam w tajemnicy, musiała wyjść na jaw.

- Ona nie zginęła przez przypadek. Znała tego człowieka w Indiach, Amara. Był jej obrońcą. Zginął, bo próbował ją ochronić przed morderczynią, czarodziejką o imieniu Kirke. Wzrok ojca jest twardy i budzi we mnie lęk, ale nie milknę. Nie mogę. Nie teraz.

- Widziałam ją tam, w międzyświecie, po tym jak umarła. Rozmawiałam z nią! Martwiła się o ciebie. Mówiła...

- Dostyc tego! – Słowa ojca są ciche, ale pełne napięcia, jak bicz gotowy do użycia.

- Ale to prawda – mówię, łykając łzy. – Mama nie odwiedzała dobroczynnych oddziałów w szpitalach ani nie opiekowała się chorymi! Nigdy tego nie robiła i wiesz o tym, papo!

- Tak chcę ją pamiętać.

- I nie ma znaczenia, że wcale taka nie była? Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego nic nie wiesz o jej przeszłości? Dlaczego zachowywała się tak tajemniczo? Nie pytałeś?

Tato wstaje i rusza do drzwi.

- Nasza rozmowa dobiegła końca. Przepraszam lorda Denby za swoje niegrzeczne zachowanie, Gemmo.

Jak dziecko podbiegam, żeby go zatrzymać.

- Lord Denby należy do spisku. Jest Rakshana i chce zwerbować Toma, żeby odebrać mi magię. On...

- Gemmo – ostrzega mnie.

- Ale papo! – głos mam zdławiony przez łkanie, które powstrzymuję. – Czy nie lepiej jest mówić prawdę, wiedzieć...

- Nie chcę wiedzieć! – krzyczy, a ja milknę.

On nie chce wiedzieć. O mamie, o Tomie i o mnie. I o samym sobie.

- Gemmo, słońce, zapomnijmy o tych bzdurach i wróćmy na przyjęcie, dobrze? – Kaszle gwałtownie, zasłaniając usta chusteczką. Wydaje się, że nie może zaczerpnąć tchu. Ale po chwili atak mija, a rumieniec na jego twarzy blednie jak słońce zachodzące za horyzont.

Nie mogę wydobyć z siebie słowa. Jest tak, jakby moją pierś przygniótł zimny, twardy ciężar. Wszyscy uważają mojego ojca za uroczonego mężczyznę. Gdyby zależało mi jedynie na uroku i na niczym głębszym, byłabym szczęśliwą dziewczyną. Chcę go znienawidzić za ten łatwy urok. Chcę, ale nie potrafię, ponieważ został mi tylko on. Jeżeli będę musiała, zmuszę go do tego, żeby zobaczył.

- Ojcze.

Zanim zdola zaprotestować, biorę go za rękę i łączymy się. Szeroko otwiera oczy. Próbuje się wyrwać z mojego uścisku. Nie potrafi zostać przy mnie – nawet przez tę krótką chwilę. I ta świadomość rani mnie dogłębnie.

- Zobaczysz, ojcze. Poznasz prawdę, nawet jeśli będę musiała cię do tego zmusić.

Im bardziej walczą, tym więcej magii muszę angażować. Pokazuję mu wszystko i czuję, jak się trzęsie w moich objęciach, słyszę ciche okrzyki zaprzeczenia. Wkrótce wyczuwam również jego sekrety, próżnostki, obawy. Jego życie przesuwa się przez mój umysł, jak szeroka wstążka rozwijająca się ze szpuli. Chciałabym odwrócić wzrok, ale nie mogę. Zaprzęgam do działania zbyt wiele magii. Już nad nią nie panuje. Jesteśmy połączeni w sposób niekontrolowany. Wiem o skrawku papieru z jego kieszeni z zanotowanym adresem we wschodnim Londynie, gdzie dostanie opium, którego tak łaknie. Znow się zaczęło. Czuję, jak walka zmienia się w postanowienie. Zrobi to i cykl rozpocznie się na nowo.

Rozpacz, lśniąca i ostra, kaleczy mnie od środka. Zbieram siły i staram się nic nie czuć. Nie przejmować się. Ale nie umiem. Wiem, że magia nie może leczyć, ale to mnie nie powstrzymuje przed próbami. Odbiorę mu te pragnienie, potem wykuruję Toma z zauroczenia Rakshanami i będziemy szczęśliwi jak przedtem.

Ojciec wydaje kolejny cichy okrzyk, a potem wszystkie obrazy z jego umysłu znikają. Moja ręka jest zimna w miejscu, w którym go dotykam. Zrywam kontakt, a tato osuwa się na podłogę i leży bez ruchu. Oczy ma otwarte, a usta wykrzywione. Oddycha z trudem.

- Ojcie! – wołam, ale mnie nie słyszy. Co ja zrobiłam?

Biegnę po panią Nightwing i Toma.

- Tato zasłabł! – wyrzucam z siebie. – Jest w bawialni.

Pospiesznie prowadzę ich z powrotem. Tom i dyrektorka sadzają ojca na fotelu. Oddech ma nadal urywany, a na dolnej wardze banieczkę krwi. Patrzy prosto na mnie oskarżycielskim wzrokiem.

- Co się, u licha, stało? – pyta Tom.

Nie mogę odpowiedzieć. Chce mi się płakać, ale jestem zbyt przerażona. Do pokoju wchodzi lord Denby.

- Czy mogę jakoś pomóc?

- Niech się pan nie zbliża do mojego ojca! – wołam. Magia znow zrywa się z rykiem i potrzebuję całej siły, żeby ją uciszyć.

- Gemmo! – napomina mnie Tom.

- Młoda dama jest owładnięta rozpaczą. Może powinniśmy odprowadzić ją do pokoju? – sugeruje lord Denby, wyciągając rękę, żeby wziąć mnie pod ramię.

- Nie! Niech mnie pan nie dotyka!

- Panno Doyle... - zaczyna pani Nightwing, ale nie zamierzam słuchać, co będzie dalej.

Jak najszybciej biegnę do sekretnych drzwi, a gdy, potykając się, brnę przez korytarz, mogłabym przysiąc, że widzę tam wróżkę z Krainy Granicznej, lecz nie zatrzymuję się. Magia wycieka porami mojej skóry. Nogi mi drżą, ale udaje mi się dotrzeć na górę, do studni wieczności i do Kirke.

- Asho, czy leśny lud przyszedł?

- Nie widziałam go – odpowiada. – Dobrze się czujesz, pani Nadziejo?

Nie. Nie czuję się dobrze. Jestem chora z nienawiści.

- Zostań w pobliżu. Może będę cię potrzebowała.

- Jak sobie życzysz, pani Nadziejo.

Staw czoło swoim lękom. Do tego służy studnia. Jestem gotowa. A po dzisiejszym dniu nie będę się już miała czego bać.

W grocie jest ciepło. Przytulnie. I podłoga wygląda na moką. Woda ścieka z drobnych pęknięć w cembrowinie.

- Kirke! – wołam.

- Witaj, Gemmo – odpowiada, a moje imię niesie się echem po jaskini.

- Wiem, że zawarłaś pakt z istotami z Krainy Zimy. Cały czas byłaś z nimi w zмовie. Ale teraz mam sztylet i wszystko naprawię.

Jest cicho, słychać tylko ciekącą wodę.

- Zaprzeczysz, że chciałaś posiadać moją moc?

- Nigdy temu nie przeczyłam – odpowiada, a jej głos nie brzmi już jak ostrożny szept. – Mówisz, że masz sztylet?

- Tak, i oddam go Eugenii, a twój spisek spełni się na niczym – oświadczam. – Wilhelmina Wyatt próbowała mnie ostrzec. Byłyście sobie bliskie, wiem to od Brigid. A Wilhelmina powiedziała doktorowi Van Ripple'owi, że zdradziła ją siostra, „potwór”. Nie znam nikogo, do kogo to określenie bardziej by pasowało. Ufała ci – mówię, walczą ze wzbierającą we mnie magią. – Tak jak moja mama. I jak ja przez pewien czas.

- I co teraz zrobisz?

- To, co powinnam była zrobić wcześniej. Leśny lud przybywa, żeby zawrzeć sojusz, Hajini również. Podamy sobie ręce przy studni. Oddam magię i związę ją. A ty umrzesz.

Ze studni dobiega chłopot, wyraźny i głośny. Coś się porusza. Jeden kamień wypada z cembrowiny i woda wylewa się strumieniem. Za nim wypadają kolejne, a potem niczym lewiatan z głębin, ze studni wynurza się Kirke, zaróżowiona i żywa.

- Jak...

- Jestem teraz częścią tego świata, Gemmo. Tak jak twoja przyjaciółka Pippa.

- Przecież zostałam uwięziona... - Milknę.

- Skłoniłam cię, żebyś najpierw dała magię studni, abym mogła z niej czerpać.

Wykorzystałam ją, by obluźnić kamienie. Ale tak naprawdę wszystko się rozstrzygnęło, gdy obdarzyłaś mnie po raz pierwszy, gdy dałaś mi magię z własnej woli. Tylko tego potrzebowałam, żeby się wyzwolić.

Przesuwam pochwę ze sztyletem, aby za bardzo nie rzucała się w oczy.

- To dlaczego nie zrobiłaś tego wcześniej?

- Potrzebowałam więcej magii – mówi, przechodząc przez rozpadający się murek. – I jestem cierpliwa. To nagroda za przeżycie bardzo wielu rozczarowań.

Cofam się o krok.

- Wiązałam z tobą większe nadzieje, Gemmo. Ta sprawa się przerosła. Sama zobaczę to Drzewo Wszystkich Dusz.

- Nie pozwolę ci – odpowiadam, a magia umacnia się we mnie. – Dość już dzisiaj straciłam.

Przywołuję moc i nagle Kirke leci do tyłu, po czym ląduje bezwładnie na podłodze.

Sapiąc, próbuje się pozbierać.

- Dobra robota.

Macham ręką nad kamieniami ze studni i motam nimi w jej stronę. Zatrzymuje je ledwie kilka centymetrów przed swoją twarzą, a one opadają na podłogę rozbite w pył.

- Posiadasz imponującą moc, Gemmo. Jakżeby mnie cieszyła prawdziwa przyjaźń z tobą – mówi, gdy krążymy wokół siebie.

- Nie jesteś zdolna do prawdziwej przyjaźni – ripostuję.

Sięgam po odłamek kamienia, który Kirke przemieniła w węża. Szybko go upuszczam.

- Nie możesz tylko reagować, Gemmo. Myśl. Przynajmniej w tej kwestii Zakon miał rację.

- Nie mówi mi, co mam robić! – zamieniam węża Kirke w bicz, którym chłoszczę ją po plecach.

Krzyczy z bólu, a w jej oczach pojawia się stalowy błysk.

- Widzę, że jednak zbadałaś te mroczne zakamarki.

- Powinnaś wiedzieć. Powstały dzięki tobie.

- Nie, ja tylko pomogłam ci je dostrzec – odpowiada, ale wtedy zmuszam ją, by padła na kolana, przygnieciona obcasem magii.

- Gemmo – słyszę głos Kartika.

Odwracam się, a on leży na podłodze z zakrwawioną twarzą. Zapominam o Kirke i biegnę do niego.

- Czy ona to zrobiła? Jak...

Kartik wybucha śmiechem.

- Ostrożnie.

Złudzenie znika sprzed moich oczu. Odwracam się, a Kirke wyzwała swą moc i przyszpila mnie do ściany.

- Ja też poznałam twoje mroczne zakamarki, Gemmo.

Próbuję walczyć, ale gdy magia się pojawia, nie mogę jej opanować. Odwraca się przeciwko mnie i atakuje iluzjami. Mój ojciec stoi obok Kirke, patrząc prosto przed siebie, z buteleczką laudanum w zaciśniętej dłoni. Widzę Felicity, Ann i Pippę tańczące w kręgu beze mnie. Toma wsłuchanego w lorda Denby. Zamykam oczy, żeby odegnać wizje, ale zbyt wiele przeżyłam tej nocy. Moje ciało drży. Nie mogę nawet zawołać Ashy. Nie mogę zrobić nic, tylko trwam bezwolnie w uścisku Kirke.

- Tej bitwy nie wygrasz, Gemmo. Ona należy do mnie. Idę do Krainy Zimy dokończyć to, co zaczęłam. Ale pozdrowię od ciebie Eugenię Spence.

- Zabiję cię – szepczę.

Ponownie próbuję przywołać magię i kolejny raz mój umysł zalewają wizje. Kirke wyciąga sztylet z pochwy i przez chwilę myślę, że mnie nim pchnie.

- Dziękuję ci za to – mówi szeptem.

Puszcza mnie, a ja opadam na podłogę, cała drżąc. Kuca obok mnie, spojrzenie ma czułe, a uśmiech smutny.

- Bywają chwile, kiedy chciałabym się cofnąć i odmienić bieg mego życia. Dokonać innych wyborów. Gdybym to zrobiła, może spotkałybyśmy się jako zupełnie różne osoby w innym życiu. – Gładzi mnie delikatnie po włosach, a ja nie potrafię się uchylić przed jej dotykiem. Nie wiem, czy to wina magii, czy mojej potrzeby. – Lecz przeszłości nie można zmienić i niesiemy nasze wybory ze sobą, w nieznaną. Możemy tylko iść do przodu.

Pamiętasz, jak ci to powiedziałam w Spence? Wydaje się, że to było wieki temu, prawda?

Pod ścianami jaskini nadal widzę mojego ojca i pozostałych, przyglądających mi się z dezaprobatą. Nagle rozpadają się na kawałki, które stają się gniazdem węży.

- Na twoim miejscu ostrożnie obchodziłabym się z magią, Gemmo. Bo podzieliłyśmy się nią. Zmieniła się, zmienił się też międzyświat, i trudno przewidzieć, co mogłabyś teraz wyczarować. – Kirke składa delikatny pocałunek na moim policzku. – Do widzenia, droga Gemmo. Nie bądź głupia i nie idź za mną. To nie skończy się dobrze.

Przesuwa nade mną dłonią i zapadam w zimną ciemność. Mam niejasne wrażenie, że zataczając się, mijam Ashę, a potem makowe pola. Moje ciało płonie, a umysł nie należy do mnie. Wszystko, co widzę, wygląda jak gra cieni na ścianie. Amar na białym rumaku, za nim rząd zjaw w pelerynach z krzyczącymi duszami. Robię unik przed tym obrazem tylko po to, by wpaść w ramiona Simona. „Zatańcz ze mną, Gemmo” – nalega, a ja wiruję, aż zaczyna mi się kręcić w głowie i rozpaczliwie pragnę się uwolnić. Wyzwalam się i widzę Pippę, która trzyma w rękach martwego królika, a usta ma umazane krwią.

Staję przy kamieniach obok sekretnych drzwi i patrzę z przerażeniem, jak znikają wszystkie co do jednej wybitne kobiety, a puste postumenty porastają chwastami. Wracam na przyjęcie, gdzie błąkam się niepewnie wśród zamaskowanych gości. Nie czuję się dobrze. Mam w sobie za dużo magii.

- Słyszę wasze myśli – informuję ludzi szeptem, a maski nie mogą ukryć ich zmieszania, ich pogardy.

Czarny ptak wlatuje przez otwarte okno i w mgnieniu oka przemienia się w wysokiego aktora, który zabawiał nas swoją grą na trawniku przed szkołą. Mrugam i widzę pomalowane

czarną kredką oczy i wytatuowaną w kwiaty skórę Makowego Wojownika. Uśmiecha się do mnie, po czym znika w tłumie.

Rzucam się za nim i potracam jakąś kobietę, która oblewa sobie suknię trzymanym w dłoni ponczem.

- Przepraszam – mamroczę pod nosem.

Widzę go. Kolczuga. Tunika. Maski z czarnych piór. Ujmuje damę pod ramię i wyprowadza z sali balowej do wielkiego salonu, gdzie tracę oboje z oczu. Nie ma ich wśród zebranych tam wróżek, chochlików i drapieżnego ptactwa.

Kolumna pulsuje życiem. Jedna z uwięzionych w niej bestyjek wrywa się na wolność, po czym przysiadła na ramieniu Cecily. Widzę, jak dziewczyna trzepocze powiekami, gdy paskudztwo liże ją po szyi.

- Wynocha! – wołam, szarżując na nią.

- Doprawdy, jesteś zupełnie nieokrzesana! – oburza się Cecily.

Lśniącą skrzydlata istota na suficie przykładła palec do ust. Mrugam raz po raz, ale ona nadal tam siedzi.

- To nie jest prawda! Nic a nic! Ona mi to zrobiła! – Słyszę swój śmiech, głośny rechot wielkiej wiedźmy, który mnie przeraża. Sięgam po sztylet, ale przypominam sobie, że go nie mam.

- Ona go zabrała – mówię.

- Ciii – uspokaja mnie wróżka i ciepło rozlewa się po moim ciele.

Czuję się, jakbym wypięła wino z miodem. Głowę mam ciężką. Słowa gości są jak długie aksamitne nici dźwięku, zbyt puszyste, by można je było usłyszeć. Jestem nastrojona tylko na szorstkie szepty małych istot. Ich głosy brzmią ostro niczym krzemień trąca po kamieniu, a każde słowo krzesze iskrę.

- Ofiara, ofiara, ofiara...

- Zostawcie mnie w spokoju! – wołam, a biesiadnicy spoglądają na dziewczynę, która postradała rozum.

- Podobno masz jakieś problemiki, panienko – mówi Fowlson.

Mój brat, lord Denby, babcia, McCleethy i Nightwing, również Brigid, wszyscy patrzą na mnie z troską. Albo z nienawiścią. Trudno to teraz określić.

- Nic mi nie jest – protestuję.

Czy nie ostrzegano mnie? *Ona jest oszustką. Wilhelmina bała się jej, ale okazuje się, że powinna była bać się bardziej. Strzeż się majowych narodzin.*

Brigid przykładła dłoń do mojego czoła.

- Bidulka, cała rozpalona.

- Gdzie tato? – pytam z rozpaczą.

- Nic się nie martw, moja droga. – Usta lorda Denby poruszają się za maską lisa. – Wezwaliśmy powóz. Twój brat i ja odwieziemy go bezpiecznie do Londynu, gdzie natychmiast zajmie się nim doktor Hamilton.

- A panna prosto do łóżka – rozkazuje Nightwing. W jej oczach widać prawdziwą troskę i żaluję, że nie mogę jej wszystkiego wyjaśnić.

Fowlson podtrzymuje mnie z jednej strony, a Brigid z drugiej, i kierują się w stronę schodów. Lord Denby obejmuje ramieniem mojego brata, jak ojciec, jakiego Tom zawsze pragnął mieć.

Uciekaj, Tom – myślę, ale słowa umierają w mojej głowie.

Nie poruszam stopami, więc Fowlson musi wziąć mnie na ręce. Na dole widzę Makowego Wojownika prowadzącego swoją damę prosto do lasu. W pokoju Brigid rozbiera mnie i otula kołdrą jak dziecko. Daje mi szklankę czegoś, co rozgrzewa od środka i usypia. Nie potrafię formułować słów.

Potykaçąc się, podchodzę do otwartego okna. Powietrze jest ciepłe i pachnie wiosną, wdycham je głęboko, jakby mogło mi pomóc. Pojawia się więcej czarnych ptaków.

Coś jasnego miga między drzewami i wydaje mi się, że dostrzegam na trawniku Pippe, idącą w stronę Spence, tak jak za życia. Jest blada jak księżycowy promień i ulotna jak prawda. Nie, nie ma jej tam. *Proszę, pomóż mi* – modłę się, choć nie wierzę w Boga z białą brodą, który wymierza sprawiedliwość bezbożnikom, a prawym niesie zmiłowanie. Widziałam nikczemników, którzy unikali kary, i cierpiących, którzy doświadczyli jeszcze większej udręki. Jeżeli taki Bóg istnieje, nie sądzę, bym zasłużywała na jego uwagę. Ale przez jedną krótką chwilę, gdy widzę, jak moja zmarła przyjaciółka przecina trawnik Spence niczym spadająca gwiazda, żałuję, że pociecha wiary nie jest mi dana, bo bardzo się boję.

Moja głowa płonie. Zakopuję się pod kołdrą i zaciskam mocno powieki, słuchając, jak serce bije w ostrzegawczym rytmie. Walczę w jedyny dostępny mi sposób. Powtarzam sobie, że to nie jest prawda.

Nie jesteś prawdziwa, Pippo Cross. Nie widzę cię, więc cię tu nie ma. Tak. Dobrze. Bardzo dobrze. Jeżeli to iluzja, to na dzisiaj już wystarczy.

Nadal nie otwierając oczu, nucę:

- Nie widzę cię...

Rozśmiesza mnie to, a mój chichot znów mnie przeraża. *Przestań, Gemmo, zanim oszalejesz.*

Czy może już oszalałam?

*

Unosi się kurtyna snu i na scenie pojawia się kalejdoskop obrazów. Wilhelmina Wyatt przesuwa dłońmi po tabliczce. Mój ojciec roześmiany i szczęśliwy, a zaraz potem mój ojciec na podłodze, patrzący na mnie oskarżycielskim wzrokiem. Lud Filona przygotowujący broń. Płonąca Świątynia. Pocałunek Kartika. Białoniebieskie oczy Pippy. Armia przemierzająca czarne piachy i kości Krainy Zimy. Wchodzę po schodach i staję przed portretem Eugenii Spence. Pnącza Krainy Zimy zaciskają się mocniej wokół gardeł i ciał zagubionych dusz przygotowanych do złożenia w ofierze. Ich twarze są szare. I widzę Kirke, która maszeruje między nimi do Drzewa Wszystkich Dusz.

Budzi mnie jakiś dźwięk. Ktoś jest w pokoju. W kącie lśni nimfa. Złapała mysz, którą przerzuca z ręki do ręki, za każdym razem sprawnie ją łapiąc.

- Zmartwiona? – Jej śmiech brzmi jak trzask łamanych kości. – Rozpoczęło się. Nie możesz już tego powstrzymać. Nadchodzi chwila złożenia ofiary.

- Cicho!

Jej szept owija się wokół mnie spiralą. Nimfa trzyma mysz za ogon i kołysze nią. Przerażony gryzoń bezradnie rozkłada małe łapki, a potem próbuje wspiąć się sam po sobie.

- Tak długo czekaliśmy, tak długo, tak długo! Teraz ona odzyskała wolność, podobnie jak my wszyscy. Taka umowa została zawarta dawno temu. Jedna dusza w zamian za drugą.

Zakrywam uszy.

- Przestań!

- Jak chcesz – odpowiada. Otwiera usta i zatapia zęby w karku zwierzaka.

Budzę się gwałtownie, moje czoło pokrywa pot. Wilgotna koszula przylega do mnie, jakby paliła mnie gorączka. Czekam, aż wzrok przywyknie do ciemności, a kiedy pokój nabiera kształtów, wiem, że tym razem naprawdę się obudziłam. Deszcz bębni o okno i boli mnie całe ciało. Jestem słaba jak nowo narodzone kocię. Uświadamiam sobie, że nie słykaç chrapania Ann.

- Ann?

Nie ma jej w łóżku. Domyślam się, że poszła do międzyświata z Felicity. Muszę ruszyć za nimi. Zataczając się, schodzę po schodach do kuchni, po czym kieruję się ku drzwiom. Podskakuję nerwowo, słysząc głośne stukanie w okno. Jest za ciemno, bym dojrzała, kto to, i prawdę mówiąc, boję się patrzeć. Stukanie rozlega się ponownie. Okno jest zaparowane. Przykładam dłoń do szyby i wyglądam w ciemność. Odskakuję przerażona, gdy z drugiej strony zbliża swoją twarz Ithal. Ithal! Spieszę, żeby otworzyć kuchenne drzwi. Chłopak stoi na progu w ulewnym deszczu.

- Ithal! Gdzie się podziewałeś? – Wygląda ponuro. – Co się stało?

- Chodzi o Kartika. Zabrali go. Musisz go uratować.

- Kto go zabrał?

- Nie ma czasu. Trzeba natychmiast iść.

Przypominam sobie o Ann i Felicity w międzyświecie.

- Ale...

Podaje mi pasek przemokniętego materiału z płaszcza Kartika. Oznaczono go insygniami Rakshana. Fowlson.

- Prowadź – decyduję, ponieważ jeżeli dotrę do Kartika, on mi pomoże odnaleźć przyjaciółki.

Idę w deszczu za Ithalem do miejsca, w którym czeka Freya. Nogi są słabe i potykam się kilkakrotnie. Oczy Ithal są tak zapadnięte, że wydają się zupełnie puste.

- Gdzie byłeś? – pytam ponownie. – Matka Elena okropnie się martwiła.

- Zabrali mnie.

- Ludzie Millera? Musisz o tym powiedzieć inspektorowi Kentowi! Nie pozwoli, żeby im to uszło na sucho – mówię, wspinając się na siodło Frei.

- Później. Teraz musimy jechać do niego.

Wskakuje na siodło za mną, a ja czuję na plecach jego chłodny dotyk. Lekko spina konia i ruszamy. Deszcz chłodzi mnie po policzkach i wsiąka we włosy, gdy galopujemy przez las, a potem skręcamy w lewo obok jeziora. Koń nagle staje jak wryty. Coś go spłoszyło. Parska głośno i przebiera kopytami na skraju wody, wyczuwając coś.

- Freya, *kele!* – rozkazuje Ithal.

Klacz nie chce iść dalej. Zamiast tego grzebie prawym kopytem w ziemi i wacha wodę, jakby szukała czegoś, co zgubiła.

Cygan szarpie mocno za lejce, a Freya odwraca się i rusza z kopyta. Po chwili gna pełnym galopem, a moje serce bije w równym rytmie z uderzeniami jej kopyt o ziemię. Czuję na szyi oddech nocy. Blask błyskawic między drzewami oświetla ścieżkę przed nami.

Skręcamy na cmentarz. Niebo wściekle pulsuje światłem i dźwiękiem. Freya kluczy między grobami. Jej kopyta grzęzną w błocie i nagle próbuje mnie zrzucić niebezpiecznie blisko ostrej krawędzi jednego z nagrobków. Z krzykiem chwytam się koszuli Ithal, a on ściąga lejce i wyprowadza konia na trawiastą ścieżkę, po której zwierzę porusza się pewniej.

- Dokąd jedziemy? – wołam.

Burza się nasila. Pioruny oślepiają mnie i muszę nisko pochylać głowę, żeby woda nie zalewała mi oczu. Ithal odpowiada, ale nie słyszę go przez bębnienie deszczu.

- Co powiedziałeś?

Brzmi to jak jednostajny pomruk lub modlitwa. Nie, to skandowanie. Słowa przelatują obok szybko jak deszcz niesiony wiatrem, przepełniając mnie lodowatym strachem.

- Ofiara, ofiara, ofiara...

Strzęp materiału w moich rękach zmienia się w węże. Krzyczę i gady obracają się w popiół. Przed nami widać rozkopany grób. Ithal prowadzi Freyę prosto do niego, nabierając prędkości. Dźgam go łokciami, ale nie zatrzymuję go, więc z całej siły wybijam się z siodła.

Ląduję boleśnie na mokrej ziemi w tym samym momencie, gdy Freya z rzeniem wpada do otwartego grobu. Nie słyhać, by uderzyła o dno.

Wstaję z trudem, a mięśnie pieką mnie od wysiłku. Nogi ledwie utrzymują mój ciężar, a bark i lewe ramię koszmarnie bołą. Roztrzęsiona przyglądam się nagrobkowi, wokół którego ziemia jest nienaruszona.

Dławię śmiech zmieszany z płaczem i próbuję się zmusić do przebudzenia, ale daremnie.

- Wkrótce się obudzisz, Gemmo – powtarzam sobie, kuśtykając przez ciemny cmentarz. – Zaśpiewaj coś, co podtrzyma cię na duchu. Szła dziewczeczka d-do laseczka, d-do zielonego...

Mijam nagrobek. Ukochana żona.

- D-do zielonego...

Rozlega się grzmot tak głośny, że aż klekoczą mi zęby.

- D-do zielonego...

Coś blokuje mi przejście. Błyskawica rozdziera niebo i oświetla Ithal. Tam, gdzie powinien mieć oczy, ma dwie głębokie czarne dziury.

- Ofiara... - mówi.

Nie jestem w stanie się ruszyć ani myśleć. Ze strachu nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Próbuję przywołać magię, ale jestem zbyt wyczerpana i przerażona. W mojej głowie dudni głos: *Uciekaj. Uciekaj, Gemmo.*

Najszybciej, jak potrafię, rzucam się biegiem przez labirynt nagrobków, a niebo eksploduje grzmotem. Kątem oka widzę, że Ithal znika za marmurowym aniołem i pojawia się ponownie po drugiej stroni. Zyskuje przewagę. Moja koszula nocna jest zupełnie przemoczona. Oblepia moje i tak słabe nogi, krępując swym ciężarem wszystkie ruchy. Szarpnię ją jak oszalała i podciągam nad kolana, żeby biec szybciej. Ithal jest cały czas tuż za mną. Zanim udaje mi się dotrzeć do jeziora, każdy oddech wydaje się jak ostrze brzytwy tnące moje płuca na plasterki.

W końcu dostrzegam szkołę: nad drzewami wznosi się jej sylwetka z ozdobnymi, poskręcanyimi iglicami. Wydaje mi się jakaś dziwna, ale nie potrafię określić dlaczego. Skupiam się wyłącznie na biegu. Silne światło księżycy odpycha chmury.

Dach jest pusty. Gargulce zniknęły. Czuję, jak ziemia usuwa mi się spod nóg. Ithal biegnie szybciej, odległość między nami się zmniejsza, a ja ledwie się poruszam. Mam wrażenie, że moje płuca zaraz eksplodują.

Coś ląduje za mną, uderzając o ziemię ciężko jak gład. Cała lodowacieję ze strachu. Powinnam się obejrzeć, ale nie potrafię. Nie mogę oddychać. Rozlega się taki dźwięk, jakby szpony drapały o kamień. To coś za mną wydaje niski warkot. *Nie odwracaj się, Gemmo. Jeśli się nie odwrócisz, to nie będzie prawdziwe. Zamknij oczy. Policz do dziesięciu. Jeden. Dwa. Trzy.* Jest pełnia. Widoczny na ścieżce cień, dużo większy od mojego, powoli rozkłada ogromne skrzydła.

Głowę mam lekką jak balon. Obawiam się, że zaraz zemdleję.

- Dzieweczka... laseczka... zielonego...

Głośny wrzask przeszywa noc. Gargulec zrywa się do lotu i z potężnym łupnięciem ląduje na ścieżce przede mną, niwecząc jakąkolwiek nadzieję na ucieczkę. Na widok górującej nade mną ogromnej kamiennej bestii opadam na kolana. Jej pysk to odrażająca żywa maska z ustami rozciągniętymi w makabrycznym uśmiechu i kłami długości moich nóg. Pazury ma przerażająco ostre. Krzyk zamiera mi w gardle. Bestia ze skrzekiem obejmuje mnie szponami, które zaciskają się zdecydowanie na mojej talii. Zaraz zemdleję.

- Trzymaj się mocno – rozkazuje zgrzytliwym głosem, a mnie ogarnia jeszcze większa panika.

Gargulec przyciska mnie do swojego torsu i podrywamy się do lotu. Trzymam się mocno jego przerażających pazurów. Dopiero po chwili zaczynam rozumieć, co się dzieje. On nie chce mnie skrzywdzić. Chce mnie chronić. Po niebie krążą skrzydlate bestie, które wrzeszczą

i warczą. Dźwięki odbijają się echem w moich uszach, ale nie mogę ich zasłonić, nie puszczając szponów gargulca. Zimne powietrze przenika przez przemoczoną koszulę nocną i owiewa moką skórę. Cała się trzęsę, gdy mijamy czubki drzew i lądujemy łagodnie na dachu Spence.

- Nie patrz – radzi gargulec.

Ale nie mogę odwrócić wzroku. Pozostałe gargulce osaczyły Ithala. Pikują i porywają go z ziemi, po czym lecą w stronę jeziora.

- Co zrobią? – pytam.

- To, co muszą. – Nie jest zbyt wylewny, a ja nie mam odwagi go wypytywać.

- K-kim jesteś?

- Jednym ze strażników nocy – odpowiada, a mnie przypomina się rysunek Wilhelminy. – Przez wieki chroniliśmy wasz rodzaj, gdy zasłona między światami nie miała pieczęci. Teraz pieczęć została złamana. Kraina znów jest zaczarowana. Ale boję się, że nie ochronimy was przed tym, co nadchodzi.

Niebo ciemnieje od skrzydeł. Nad nami krążą gargulce, a ich cienie przesuwiają się po mnie. Pikują i lekko jak anioły lądują na dachu. Podchodzi do nas gargulec z nosem smoka.

- Załatwione – mruczy. – Wrócił do martwych.

Ten, który mnie uratował, kiwa głową.

- Nie był tutaj ostatni. Przyjdą znów, i to silniejsi.

Od wschodu na niebie pojawia się różowa wstęga. Pozostałe gargulce zajmują miejsca na krawędzi dachu, po czym na moich oczach obracają się w kamień.

- Ja śnię – mówię szeptem. – To wszystko jest snem.

Główny gargulec rozkłada skrzydła, aż wszystko wokół mnie ogarnia ciemność. Głos ma głęboki jak sam czas.

- Tak, spałaś. Ale teraz czas się obudzić.

*

Otwieram oczy. Sufit nade mną nabiera konturów. Słyszę ciche pochrapywanie Ann. Jestem w swoim pokoju, tak jak powinnam. Dopiero co minął świt. Siadam, a ten wysiłek sprawia, że czuję ból w całym ciele. W lesie słychać jakieś hałasy. Nieubrane dziewczęta wychodzą z pokoi, żeby zobaczyć, co się stało. Cyganie z latarniami w ręku gromadzą się wokół jeziora w porannej mgle. Nagle rozlega się pełen rozpaczony krzyk.

Teraz widzę to, co oni. Ithal unosi się na wodzie twarzą w dół. To dlatego Freya zatrzymała się przy jeziorze, dlatego była taka niespokojna. Wiedziała, że jej pan nie żyje, a istota na jej grzbiecie to nieumarły, piekielny posłaniec z Krainy Zimy, który miał mnie uprowadzić.

Nie. Nie, to się nie stało. Wszystko to sobie wyobraziłam. Albo wyśniłam. Martwy człowiek nie przyszedł, żeby mnie porwać. Nie leciałam w objęciach gargulca.

Unoszę wzrok, szukając potwierdzenia. Gargulce siedzą na krawędzi dachu, milczące i ślepe. Obracam głowę, patrząc na nie pod różnymi kątami, ale nic się nie zmienia. *Oczywiście, że nie. Są z kamienia, niemądra dziewczyno.* Chichoczę, zwracając na siebie powszechną uwagę. Nie powinnam się śmiać, kiedy oni wyciągają z wody martwego człowieka.

Kartik też tam jest, zdrów jak ryba. Patrzy na mnie z niepokojem.

Mężczyźni przykrywają Ithal marynarką.

- Rozpalcie ogień – odzywa się matka Elena. – Spalcie go. Spalcie wszystko.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIĄTY

To zadziwiające, że choć w jeziorze znaleziono topielca, głównym tematem rozmów w Spence jest moje zachowanie na balu. Gdy wchodzę do jadalni na śniadanie, dziewczęta milkną. Śledzą mnie wzrokiem jak sępy mające nadzieję na kawałek padliny. Siadam przy stole dla starszych uczennic, ale one też przerywają rozmowy. Jakbym była samą Śmiercią z kosą wzniesioną do ciosu.

Słyszę, jak szepczą do siebie:

- Zapytaj ją.

- Nie, ty zapytaj!

Cecily chrząka.

- Jak się czujesz, Gemmo? – pyta z udawanym współczuciem. – Słyszałam, że miałaś okropną gorączkę.

Biorę do ust łyżkę owsianki.

- Czy to prawda? – naciska Martha.

- Nie – odpowiadam. – Zaszkodziła mi zbyt wielka ilość magii. Oraz kłamstwa i sekrety, z których zbudowane jest to miejsce, tak jak z kamieni i zaprawy.

Wstrząśnięte szeroko otwierają usta, a po chwili zaczynają niepewnie chichotać. Fee i Ann patrzą na mnie z niepokojem. Straciłam apetyt. Odsuwam krzesło od stołu i wychodzę z jadalni. Pani Nightwing zerka na mnie, ale nie próbuje mnie powstrzymać. Jakby wiedziała, że i tak nic nie da się dla mnie zrobić.

*

Felicity i Ann przychodzą mnie odwiedzić po południu. Ciekawość, czy naprawdę popadłam w obłąd, wygrywa ze złością. Felicity wyciąga z kieszeni torebkę ciążutek.

- Proszę. Pomyślałam, że dobrze ci zrobią.

Niewzruszona pozwalam im usiąść na łóżku.

- Poszłyście wczoraj w nocy do międzyświata, prawda?

Oczy Ann robią się okrągłe. To zadziwiające, że jest taką świetną aktorką, a tak fatalnie kłamie.

- Tak – potwierdza Felicity i jestem jej wdzięczna za szczerość. – Tańczyłyśmy, Ann śpiewała i było tak wesoło, że miałam ochotę nigdy nie wracać. Tam jest jak w raju.

- Nie można cały czas żyć w raju – zauważam.

Felicity chowa cukierki do kieszeni.

- Nie powstrzymasz nas przed bywaniem w międzyświecie – mówi, wstając.

- Wszystko się zmieniło. Kirke ma sztylet – wyznaję i opowiadam im to, co zapamiętałam z poprzedniej nocy. – Nie mogę dłużej zatrzymywać magii. Musimy zawrzeć sojusz i ruszyć za Kirke.

Twarz Felicity pochmurnieje.

- Obiecałaś, że oddamy magię dopiero po debiucie. Mówiłaś, że mi pomożesz.

- Może będziesz miała wystarczającą ilość własnej magii...

- A może nie! Znajdę się w pułapce! Proszę, Gemmo – błaga Felicity.

- Przykro mi – odpowiadam, z trudem przetykając. – Nic nie można na to poradzić.

Felicity uspokaja się, a jej opanowanie wydaje się o wiele bardziej przerażające niż złość.

- Nie tylko ty masz magię, Gemmo – przypomina mi. – Pip też posiada moc i robi się coraz silniejsza. A jeżeli ty mi nie pomożesz, ona zrobi to z pewnością.

- Fee... - chrypię, ale nie chce mnie słuchać.
Już jest za drzwiami, a Ann idzie tuż za nią.

*

Po południu robi się nagle chłodno, jakby zima wydawała ostatnie tchnienie przed nadejściem lata. Inspektor Kent przyjechał, żeby przeprowadzić śledztwo w sprawie śmierci Ithal. Jego ludzie przeczesują lasy w poszukiwaniu dowodów przestępstwa, ale niczego nie znajdują. Widma nie zostawiają śladów. Policjanci zabierają pana Millera z pubu na przesłuchanie, choć on zarzeka się, że jest niewinny, i twierdzi, że w lasach Spence straszą duchy.

Kartik zostawił swoją kartę wizytową – czerwoną chustkę – w bluszczu pod moim oknem razem z liścikiem: *Spotkajmy się w kaplicy*.

Wślizguję się do pustej kaplicy i patrzę na anioła trzymającego głowę gorgony.

- Już się ciebie nie boję. Rozumiem, że chciałeś mnie chronić.

Głęboki głos odpowiada:

- Idź naprzód i zwyciężaj.

Podskakuję ze strachu, a zza ambony wyłania się Kartik.

- Wybacz – mówi z zażenowanym uśmiechem. – Nie chciałem cię przestraszyć.

Wygłąda, jakby nie spał od kilku dni. Dobrana z nas para z tymi smutnymi minami i podkrążonymi oczami. Kartik przesuwając palcem po oparciu ławki.

- Pamiętasz, gdy cię tu zaskoczyłem za pierwszym razem?

- Owszem. Straszyleś mnie i kazałeś zamknąć umysł na wizje. Powinnam była cię posłuchać. Nie nadaję się do tego wszystkiego.

Opiera się o ławkę i zakłada ręce na piersi.

- To nieprawda.

- Nie wiesz, co zrobiłam, bobyś tak nie mówił.

- To może mi powiesz?

Wydaje się, że mijają całe wieki, zanim słowom udaje się przebrnąć przez gruzy w moim wnętrzu. Nie oszczędzam siebie. Opowiadam wszystko, a on słucha. Boję się, że mnie za to znienawidzi, ale kiedy kończę, tylko kiwa głową.

- Powiedz coś – szepczę. – Proszę.

- Ostrzegano cię przed majowymi narodzinami. Teraz chyba wiemy, co to znaczyło – odpowiada, analizując sytuację, a ja uśmiecham się nieśmiało, bo wiem, że mnie wysłuchał i zamierza mi pomóc. – Pójdziemy za nią.

- Tak, ale boję się, że jeżeli choćby zanurzę czubek palca w magii, to nawiążę kontakt z Kirke i z Krainą Zimy. Oszaleję tak jak wczoraj wieczorem.

- Tym bardziej powinniśmy ją powstrzymać. Może jeszcze nie związała mocy Eugenii z drzewem. Może uda nam się uratować międzyświat – mówi.

- Nam?

- Nie zamierzam już uciekać. To nie jest moje przeznaczenie.

Ujmuje mnie pod brodę, unosząc moją twarz, a ja całuję go pierwsza.

- Myślałam, że przestałeś wierzyć w przeznaczenie – przypominam mu.

- Nie przestałem wierzyć w ciebie.

Uśmiecham się mimo wszystko. Bardzo potrzebuję tej wiary.

- Myślisz... - zaczynam i natychmiast milknę.

- Co? – mruczy w moje włosy. Ma ciepłe usta.

- Myślisz, że gdybyśmy zostali w międzyświecie, moglibyśmy być razem?

- Nasze miejsce jest w tym świecie, Gemmo, na dobre i na złe. Wykorzystaj to najlepiej, jak potrafisz – odpowiada, a ja przyciągam go do siebie.

*

Po kilku tygodniach gorączkowych przygotowań do balu maskowego Spence kojarzy się teraz z przekłutym balonem. Dekoracje zostały zdjęte, kostiumy zapakowane w bibułę nasączoną kamforą, ale kilka młodszych dziewczynek nie zgodziło się oddać swoich strojów. Chcą być księżniczkami i wróżkami, jak najdłużej się da.

Inne, gotowe już wziąć udział w następnym przyjęciu, zadręczają mademoiselle LeFarge pytaniami na temat zbliżającego się wesela.

- Założy pani diamenty? – pyta Elizabeth.

Mademoiselle LeFarge rumieni się.

- Mój Boże, nie. Są zbyt cenne. Ale dostałam przepiękny naszyjnik z pereł na tę okazję.

- Spędzicie państwo miesiąc miodowy we Włoszech? Czy w Hiszpanii? – docieka Martha.

- Odbędziemy skromną podróż do Brighton – mówi nauczycielka, a dziewczęta czują się głęboko rozczarowane.

Brigid stuka mnie w ramię.

- Pani derektor wzywa panienkę – informuje mnie głosem pełnym współczucia, a ja boję się spytać, jaki jest powód jej nagłej serdeczności.

- Dziękuję – odpowiadam i podążam za nią przez obite suknem drzwi do ponurego, staromodnego sanktuarium naszej dyrektorki. Jedyne barwne plama to wesoły wiecheć polnych kwiatów na narożnym stoliku, beztrąsko gubiących płatki.

Pani Nightwing wskazuje mi krzesło.

- Jak się pani dzisiaj czuje, panno Doyle?

- Dochodzę do siebie – odpowiadam.

Dyrektorka pedantycznie poprawia nóż do listów i kałamarz, a moje serce zaczyna dudnić.

- O co chodzi? Co się stało?

- Pani brat przysłał depeszę – mówi i podaje mi ją.

OJCIEC BARDZO CHORY STOP WYJDE PO CIEBIE
NA VICTORIE STOP TOM

Mrugam gwałtownie, starając się powstrzymać łzy. Nie powinnam była tak na niego naciskać. Nie był przygotowany na prawdę, a ja mu ją wmusiłam, i boję się, że wywołałam uraz, z którego już się w pełni nie otrząśnie.

- To moja wina – mówię, upuszczając telegram na biurko.

- Banialuki! - sztorcuje mnie Nightwing, a ja tego właśnie potrzebuję: rześkiego wiatru w plecy. – Każę Brigid pomóc pani w pakowaniu. Gus odwiezie panią na stację zaraz z rana.

- Dziękuję – mamroczę pod nosem.

- Myślę o pani ciepło, panno Doyle.

Wydaje mi się, że mówi to naprawdę szczerze.

Gdy pokonuję długą drogę do mojego pokoju, dogania mnie zasapana Ann.

- Co się stało? – pytam, zauważając niepokój na jej twarzy.

- Chodzi o Felicity – dyszy. – Próbowałam przemówić jej do rozsądku, ale nie chciała słuchać.

- O czym ty mówisz?

Libba Bray - Studnia wieczności

- Poszła do międzyświata. Chce zostać tam z Pip – mówi, wytrzeszczając oczy ze strachu.
- Na zawsze.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Stoimy obok niedokończonego Wschodniego Skrzydła. Świetliki migoczą wśród drzew. Zerkam na nie raz po raz, aby się upewnić, że to rzeczywiście nieszkodliwe owady. Wydaje mi się, że w korytarzy do międzyświata zrobiło się zimniej, więc przyspieszam kroku. Gdy wychodzimy przez drzwi we wzgórzu, od razu wyczuwam, że coś jest nie tak. Wszystko wydaje się szarawe, jakby napłynęła tu londyńska mgła.

- Co to za zapach? – pyta Ann.

- Dym – odpowiadam.

Wysoki czarny pióropusz przecina niebo w oddali. Unosi się nad wzgórzem, w którym mieszczą się Świątynia i Groty Westchnień.

- Gemmo? – odzywa się przerażona Ann.

- Szybko! – ponaglam ją.

Biegniemy przez makowe pola. Z nieba spada popiół, który pokrywa naszą skórę delikatną warstwą srebrnoszarej sadzy. Zanosząc się kaszlem, wspinamy się pod górę. Ścieżka krwawi zmiażdżonymi makami. Ann niemalże potyka się o ciało Niedotykalnej. Jest ich tu więcej. Zwęglone zwłoki które leżą wzdłuż drogi do tłacej się Świątyni. Z dymiącego pogorzelska, słaniając się, wychodzi Asha.

- Pani Nadziejo...

Opiera się o mnie, a ja prowadzę ją na skały, gdzie powietrze nie jest tak ciężkie od popiołu.

- Asho! Asho, kto to zrobił?

Osuwa się na ziemię i kaszle. Przypalone pomarańczowe sari rozkłada się wokół niej jak osmalone pióra barwnego ptaka.

- Asho! – wrzeszczę. – Odpowiedz.

Spogląda mi w oczy. Twarz ma pokrytą czarnymi smugami.

- To... to leśny lud.

Gorgona woła nas z rzeki w dole. Razem z Ann prowadzimy Ashę na statek i przynosimy jej wodę, a ona pije, jakby nigdy nie miała ugasić pragnienia. Trzęsę się z gniewu. Nie wierzę, żeby Filon i leśny lud mogli zrobić coś takiego. Uważałam, że są nastawieni pokojowo. Może Zakon mimo wszystko miał rację i magią nie należy się dzielić?

- Opowiedz mi, co się stało – proszę.

- Przyszli, gdy spaliśmy. Otoczyli całą górę. Nie mieliśmy jak uciec. Jedno z nich przyłożyło pochodnię do Świątyni. „To za Kreostusa”, rzekło. I Świątynia spłonęła.

- To był odwet?

Kiwa głową, wycierając twarz zwilżoną krawędzią sari.

- Powiedziała im, że nie mieliśmy nic wspólnego z zamordowaniem centaura, ale mi nie uwierzyli. Po ich oczach widać było, że podjęli już decyzję. Chcieli wojny i nic by ich nie powstrzymało.

Przykłada drżące palce do ust, a Świątynia płonie. Tam, gdzie ogień ogarnia makowe pola, unoszą się kłęby pięknego czerwonego dymu.

- Nigdy niczego nie kwestionowaliśmy. To nie leży w naszym charakterze.

Obejmuję ją ramieniem.

- Wasz charakter musi się zmienić, Asho. Czas zacząć wszystko kwestionować.

*

Ustawiamy się z Hajinami w kilka rzędów i podajemy sobie wiadra z wodą, aż w końcu udaje nam się ugasić ogień.

- Dlaczego nie ulecysz tej choroby magią? – pyta mały Hajin.

- Obawiam się, że akurat teraz nie jest to dobre rozwiązanie – odpowiadam, patrząc na zniszczoną, dymiącą Świątynię.

- Ale magią można wszystko naprawić, prawda? – dopytuje się, rozpaczliwie pragnąc wierzyć, że wystarczy, bym machnęła dłonią nad jego spalonym domem i naprawiła go.

Żałuję, że nie potrafię. Kręcę głową i podaję dalej wiadro wody.

- Magia przynosi tylko chwilową ulgę. Reszta zależy od nas.

Płyniemy z gorgoną przez złocistą zasłonę na wyspę leśnych ludzi. Stoją na brzegu złowieszczym szeregiem, z nowymi włócznie i łukami w pogotowiu. Gorgona zatrzymuje się w bezpiecznej odległości – na tyle blisko, by było mnie słychać, i na tyle daleko, byśmy mogły się wycofać. Filon staje na skraju wody. Jego płaszcz z liści nabrał odcieni pomarańczowych, złotych i czerwonych. Wysoki kołnierz płonie wokół smukłej szyi.

- Nie jesteś tu mile widziana, kapłanko! – woła.

- Przybywam prosto ze Świątyni. Spaliliście ją!

Filon przyjmuje władcą postawę.

- I owszem.

- Dlaczego? – pytam, ponieważ nie przychodzi mi do głowy prawdziwsze pytanie.

- Odebrali życie jednemu z nas! Czy zabronisz nam prawa do sprawiedliwości?

- Więc wy odebraliście życie dwudziestu innym? To ma być sprawiedliwość?

Asha ledwie trzyma się na nogach. Kurczowo chwyta się relingu.

- Nie zabiliśmy centaura.

- Ty tak twierdzisz – grzmi Filon. – Kto więc go zabił?

- Szukaj odpowiedzi wśród was – odpowiada zagadkowo Niedotykalna.

Neela ciska kamieniem, który wpada do wody tuż przy burcie statku.

- Dość mamy już waszych kłamstw! Odejdźcie precz!

Rzuca następny kamień, który mija mnie o kilka centymetrów i spada na pokład.

Powodowana impulsem chwytam go i ważę w dłoni. Asha kładzie rękę na moim ramieniu.

- Zemsta jest jak pies goniący za własnym ogonem.

W jej słowach brzmi mądrość, ale ja bardzo chcę cisnąć tym kamieniem i potrzebuję całej siły woli, żeby spokojnie trzymać go w dłoni.

- Filonie, czy zastanowiłeś się nad tym, jak podamy sobie dłonie i zawrzemy sojusz, skoro spaliłeś Świątynię?

Zebrani poruszają się niespokojnie. I przez chwilę widzę cień wątpliwości w zimnych oczach Filona.

- Czas przymierza minął. Niech magia płynie własnym kursem. Zobaczymy, kto się ostatecznie.

- Ale ja potrzebuję waszej pomocy! Istoty z Krainy Zimy spiskują przeciwko nam! Kirke wyruszyła...

- Kolejne kłamstwa! – woła Neela, a leśny lud odwraca się ode mnie.

- Ruszajmy, Wasza Wysokość – odzywa się gorgona. – Zrobiliśmy tu wszystko, co było do zrobienia. – Oddała się od brzegu.

Dopiero dobry kawał za złotą kurtyną udaje mi się rozluźnić palce zaciśnięte na kamieniu. Wrzucam go do wody, w którą wpada, nie wydając żadnego dźwięku.

Ann z poważną miną ujmuje mnie pod ramię.

- Musimy odnaleźć Felicity.

*

Zastajemy Pippę i pozostałe dziewczęta w zamku, gdzie popijają wino i oddają się zabawie. Zmierzch spowija kaplicę urokliwym półmrokiem. Bessie wrywa skrzydełka ważce i obie z Mae śmieją się, gdy owad skacze po podłodze, rozpaczliwie próbując unieść się w powietrze. Pippa siedzi na tronie i zajada jagody ze złotego kielicha, aż jej usta nabierają odcienia głębokiego błękitu. Patery i czary pełne są owoców.

- Gdzie Fee? – pytam. – Widziałaś ją?

- Tutaj jestem. – Felicity zbliża się w rytmie walca, odziana w kolczugę. Policzki ma zarumienione, a oczy lśniące. – Czego chcesz?

- Fee, nie możesz tu zostać – mówię.

Zasiada obok Pip.

- A dlaczego?

- Międzyświat popada w chaos. Plemiona są w stanie wojny. Świątynia została zrównana z ziemią, a Kirke ruszyła do Krainy Zimy, by połączyć siły z tamtejszymi istotami.

- Nam tu nic nie grozi – uspokaja Pip, obejmując gestem wnętrze kaplicy. – Wydamy dzisiaj kolejny bal?

- Pippo – protestuję z niedowierzaniem – nie możemy urządzić przyjęcia.

Jej śmiech brzmi beztrosko i dziewczęco.

- Niech potwory chandryczą się ze sobą. Nie stanowią dla mnie żadnego zagrożenia.

Kładzie jagodę na języku i oblizuje palce.

- Zgadza się – potwierdza Bessie. – Panienska Pippa poradzi sobie ze wszystkimi.

Wraz z Mae patrzą na Pippę z bezgranicznym oddaniem, a ja mam ochotę zrzucić ją z tronu.

- Powiedziałaś im, jak się tu znalazłaś? I dlaczego nie możesz przejść na drugą stronę?

Jej oczy lśnią.

- Och, Gemmo, naprawdę. – Dziewczyny uśmiechają się do siebie, a po chwili uśmiechy przeradzają się w chichot, od którego dostaję gęsiej skórki.

- Poprosiła mnie, żebym pomogła jej przejść przez rzekę, ale nie mogła tego zrobić, bo przebywała tu już za długo. Ponieważ jadła jagody – wyjaśniam.

Przewracam kielich. Pękate fioletowe owoce rozsypują się po podłodze i natychmiast nikną między pnączami.

- Chciałaś przejść na drugą stronę? Nic mi nie mówiąc? – miękko pyta Felicity.

Pippa nie zwraca uwagi na jej pretensje. Wpija we mnie spojrzenie, a jej oczy bezustannie zmieniają kolor.

- Jakie to ma teraz znaczenie? Zostałam ocalona dla wyższych celów.

Spoglądam po pełnych uwielbienia twarzach dziewcząt. Nie ma wśród nich Wendy.

- Gdzie jest Wendy? – pytam. W oczach Mercy dostrzegam błysk strachu.

- Uciekła – odpowiada chłodno Pippa.

Następnym razem to nie będzie królik.

- Chcesz powiedzieć, że ona też przegryzła pręty klatki?

Pippa wzrusza ramionami.

- Skoro taka odpowiedź cię bawi.

- Powiedz, gdzie ona jest! – Uderzam dłonią w ołtarz.

Pippa opiera ręce na biodrach w urągłej pozie.

- Bo co?

- Pippo, daj spokój – wtrąca się Felicity.

- Jesteś teraz po jej stronie? – pyta Pip napastliwie.

- Tu nie ma żadnych stron – protestuje Ann. – Czy są?

- Już są – odpowiada Pippa, a moja krew zaczyna krążyć nieco szybciej.

- Ona zabrała Wendy do Krainy Zimy – szybko wyrzuca z siebie Mercy. Bessie z całej siły uderza ją w twarz, powalając na ziemię.

- To cholerne kłamstwo, Mercy Paxton. Cofnij je!

- Nikt nie lubi zdrajców, Mercy – grozi jej Pippa.

Dziewczyna kuli się na podłodze. Zamek jęczy. Pnącza pokrywają śnieć, są zainfekowane. Gdy się poruszają, zdają się wapnieć. Jedno ciężkie jak kamień wpełza na moją stronę, niemalże ją przygniatając. Wyrrywam ją mocnym szarpnięciem.

- Pippo – mówię – coś ty zrobiła?

- To, czego ty byś nie zrobiła. Biedna Gemma, zawsze taka przerażona swoją mocą. No cóż, ja jestem inna.

- Pip, nie weszłaś w układy z tymi potworami?

- A jeśli tak?

Felicity kręci głową.

- Nie zrobiłabyś tego.

Pippa delikatnie gładzi ją po twarzy.

- Poprosiły o taki drobiazg. O ofiarę, za którą nikt nie będzie tęsknił. Dałam im tego głupiego królika, to wszystko. Widzisz, co otrzymałyśmy w zamian! – Otwiera szeroko ramiona, lecz ja widzę tylko rozpadający się zamek opanowany przez chwasty.

- Powiedz mi, że nie zabrałaś jej do Krainy Zimy, że nie mam racji, podejrzewając cię o to – błagam.

- Powiem ci, co tylko chcesz usłyszeć – odpowiada, zajadając się jagodami.

- Powiedz mi prawdę!

Oczy Pip błyszczą. Zęby ma granatowe od soku.

- Ona. Była. Ciężarem.

Felicity przyciska dłoń do brzucha.

- O, Boże.

- Nie, Fee, zobaczysz, będzie cudownie. – Pippa uśmiecha się kokieteryjnie. – Zdradzić wam, co obiecało mi drzewo? Co ujrzałam, gdy złożyłam ofiarę? Ujrzałam koniec ery Zakonu i narodziny czegoś nowego – mówi, a w jej głosie brzmi zachwyt. – Ich dni minęły, nadchodzi nasz czas.

Dziewczęta podchodzą bliżej i siadają u jej stóp, zahipnotyzowane jej pewnością siebie. Rysy Pippy stanowią fascynujący amalgamat przeszłości i przyszłości. Delikatne kości policzkowe, płatanina czarnych loków, subtelny nos – to wszystko nadal istnieje. Ale co jakiś czas jej oczy przechodzą od głębokiego fiołkowego odcienia do niepokojącej błękitnawej bieli obrzeżonej czarnymi kręgami. To zupełnie nowe, dzikie piękno. Nie mogę oderwać od niej oczu.

- Słyszałam głos, który szeptał słodko w mojej głowie: „Jesteś wyjątkowa. Jesteś wybrana. Zostaniesz wywyższona”.

Uśmiecha się szeroko, a potem chichocze. Zimny strach wije się w moim żołądku.

- Jestem wybranką. Jestem drogą. Aby za mną iść, musicie stać się takie jak ja.

Felicity dwoma palcami delikatnie odwraca twarz przyjaciółki w swoją stronę.

- Pip, o czym ty mówisz?

Pippa cofa się przed jej dotykiem i zdecydowanym krokiem podchodzi do Bessie.

Podsuwa jej kielich pełen jagód.

- Czy pójdziesz za mną, Bessie?

- Tak, panienko – odpowiada dziewczyna schrypniętym głosem i posłusznie otwiera usta.

Nie spuszczać wzroku z Felicity, Pippa kładzie jagodę na języku Bessie. Przerażona Fee podbiega do niej i chwyta ją za rękę, strącając jagodę. Pippa uderza Felicity, a ta w odpowiedzi mocno ją popycha. Twarz Pippy zapada się na chwilę, jej oczy wywracają się

białkami na wierzch, a z ust wydobywa się wysoki skowyt, przypominający chory śmiech. Zaczyna młócić kończynami i pada na ziemię, a jej ciało miota się w gwałtownym tańcu.

- Pippa! – krzyczy Fee. – Pippa!

Bessie i pozostałe dziewczęta cofają się z lękiem. Wreszcie atak dobiega końca. Dłonie Pippy, przed chwilą wykrzywione jak szpony, stają się bezwładne. Nasza przyjaciółka leży na ziemi niczym powyginana gałąź. Powoli siada, oddychając z trudem. Z ust skapuje jej kropla śliny. We włosach i na sukni widać brud. Felicity obejmuje ją ramionami.

- C-co się stało? – kwili Pip. Próbuje wstać, ale słania się, bo nogi ma słabe jak świeżo narodzony żrebak.

- Ciii, miałaś atak – mówi łagodnie Fee. Prowadzi przyjaciółkę do ołtarza i pomaga jej usiąść.

Usta Pip drżą.

- Nie. Nie tutaj. Nie teraz.

Wyciąga rękę do Bessie, znów proponując jej jagodę, ale ta cofa się z lękiem. Dziewczęta z fabryki stają z dala od niej. Na ich twarzach maluje się strach.

- Nie! – zawodzi Pip. – Jestem wyjątkowa! Wybrana! Nie zostawicie mnie!

Wyrzuca dłonie w górę i otacza nas ściana ognia. Żar odrzuca mnie kilka metrów w tył. To nie jest pokaz latarni magicznej, to nie sztuczka iluzjonisty, która ma przstraszyć i bawić. To jest rzeczywiste. Najwyraźniej moc, którą Pippa ma w sobie, wraz z atakiem przerodziła się w coś nowego i przerażającego.

Dziewczyny cofają się jeszcze dalej, a płomienie przeganiają trwogę z ich oczu. Szeroką twarz Bessie rozświetla dziwny uśmiech, stanowiący połączenie ekstazy i paniki. Dziewczyna klęka, by oddać cześć Pippie.

- Och, panienko, naznaczyła cię ręka Boga!

Mae również okazuje skruchę.

- Wiedziałam o tym, gdy uratowałaś nas z rąk tych upiórów.

Nawet Mercy pada na kolana, powalona mocą Pippy.

- Widziałyśmy to! Wszystkie widziałyśmy! To był cud. Prawdziwy znak! – wykrzykuje Bessie z pasją neofitki.

- Prawdziwy znak czego? – pytam.

- To dowód, że jest wybrana, jak przepowiedziała. – Łzy płyną po twarzy Mae. Wierzy, że była świadkiem cudu, nie przemówię jej do rozsądku.

Felicity mocno zaciska dłoń na ramieniu Pippy.

- To był atak. Musisz im to powiedzieć.

Widziałam jeden z ataków Pippy, gdy jeszcze żyła. Był przerażający w swej gwałtowności, ale nie mógł się nawet równać z tym ostatnim.

Pippa szeroko rozkłada ręce.

- Poprowadzę was ku chwale! Kto pójdzie za mną?

- Musisz powiedzieć im prawdę! – syczy do niej Felicity.

- Zamknij dziób – ostrzega ją Mae, a w jej oczach widzę oddanie o morderczej sile.

- Nie rozkazuj mi! – wścieka się Pip na Felicity. – Wszyscy zawsze tylko mi rozkazują.

Fee wygląda, jakby dostała w twarz. Pippa wrywa się z jej uścisku i wchodzi między dziewczęta z fabryki, które wyciągają ręce, by jej dotknąć. Nagradza je delikatnym muśnięciem dłoni, a one płaczą ze szczęścia, że otrzymały błogosławieństwo. Pippa zerka na nas ze łzami w oczach i z uśmiechem będącym kwintesencją niewinności.

- Tak miało być. To było z góry przewidziane! Dlatego nie mogłam przejść na drugą stronę – mówi. – Jak inaczej wyjaśnić to, że wzrosła we mnie magia?

- Pip... - zaczynam, ale nie kończę. A jeżeli ona mimo wszystko ma rację?

- Miałaś atak – upiera się Fee, kręcąc głową.

- Miałam wizję, tak jak Gemma! – wrzeszczy Pippa.

Felicity wymierza jej policzek, a Pip odwraca się do niej z furią osaczonego zwierzęcia.
- Pożałujesz tego.

Szwaczki rzucają się na mnie, Fee oraz Ann i wykręcają nam ręce do tyłu, aż zginamy się wpół z bólu. Mogłabym użyć magii. Mogłabym. Próbuje ją przywołać, ale w moich myślach pojawia się Kirke i po chwili zaczynam spazmatycznie łapać powietrze, przerażona i zamroczona.

- Czułam to, Gemmo! – woła Pip. – Nie próbuj tego więcej.

- Niedowiarki! – Bessie spluwa i trafia Fee w policzek.

Wywlekają nas na zewnątrz, a Pip wyzwala swoją furię w nowym kręgu ognia. Pieką mnie od niego oczy.

Jeżeli Pippa ukoronowała się na królową, niewątpliwie Bessie mianowała się jej prawą ręką.

- Pani, zrobimy, cokolwiek rozkażesz. Powiedz tylko słowo, a stanie się.

- Przez całe życie służyłam poleceń. Teraz to ja będę wydawała rozkazy.

Nigdy nie widziałam, żeby Fee wyglądała na tak zranioną.

- Nie ode mnie – mówi. – Ja ci nigdy nie rozkazywałam.

- Och, Fee.

Dawna Pippa pojawia się na moment, ufna i dziecinna. Przyciąga Felicity do siebie. Budzi się między nimi coś, czego nie umiem nazwać. Nagle wplatają place w swoje włosy i łączą się w namiętym pocałunku, jakby żywiły się sobą nawzajem. W jednej chwili zaczynam rozumieć to, co musiałam wiedzieć od zawsze – te poufne rozmowy, ciągłe uściski, czułą przyjaźń. Na tę myśl po mojej szyi rozlewa się rumieniec. Jak mogłam tego wcześniej nie dostrzec?

Felicity odsuwa się z rozpalonymi policzkami, ale dzika namiętność tego pocałunku nadal unosi się w powietrzu. Pip chwyta ją za ramię.

- Dlaczego zawsze odchodzisz? Zawsze mnie zostawiasz.

- To nieprawda – protestuje Fee. Głos ma szorstki od dymu.

- Nie rozumiesz? Tutaj możemy być wolne i żyć tak jak chcemy.

Usta Felicity drżą.

- Ale ja nie mogę zostać.

- Owszem, możesz. Wiesz, jak to zrobić.

Felicity potrząsa głową.

- Nie mogę. Nie w ten sposób.

Pippa mówi cichym, opanowanym tonem.

- Powiedziałaś, że mnie kochasz. Dlaczego nie chcesz zjeść jagód i zostać ze mną?

- To prawda – odpowiada szeptem Felicity. – Ale...

- Co prawda? – dopomina się Pippa. – Dlaczego nie powiesz tego wprost?

- To... prawda – powtarza Felicity z wielkim wysiłkiem.

Pip puszcza jej ramię. W jej oczach wzbierają się łzy złości.

- Nadszedł czas, by dokonać wyboru, Fee. Albo jesteś ze mną, albo przeciwko mnie.

Pippa otwiera dłoń, na której spoczywają jagody, jędrne i dojrzałe. Ledwie oddycham. Na twarzy Felicity odbija się udręka – miłość i duma zawarte w gwałtownej walce. Długą chwilę wpatruje się w jagody, ani ich nie przyjmując, ani nie odrzucając, a ja zaczynam rozumieć, że milczenie jest jej odpowiedzią. Nie zamieni jednej pułapki w drugą.

Łzy spływają po twarzy Pippy. Zamyka dłoń i zaciska ją tak mocno, że niebieskoczarny sok wypływa pomiędzy palcami na ziemię. Boję się tego, co nam teraz zrobi.

- Wypuście je. Nie potrzebujemy niedowiarków w naszym gronie – mówi w końcu. Robi dla nas przejście wśród płomieni. – Idźcie sobie. Odejdźcie.

Jedyna droga prowadzi przez ogień, a nie ma żadnej gwarancji, że Pippa nie spali nas na węgiel. Przełykam z trudem i prowadzę Ann oraz Felicity przez przesmyk w płomieniach.

Pippa śpiewa głośno, z wściekłością:

- Hej, lubego mam, lubego swego, co czeka tam...

Kiedyś była to prosta, wesoła melodyjka, ale teraz przejmuję mnie chłodem. To pieśń rozpaczy. Jedna po drugiej dołączają się do niej pozostałe dziewczęta, śpiewając coraz głośniej, aż zupełnie zagłuszają szloch Felicity. Mam odwagę spojrzeć do tyłu, dopiero gdy mijamy jeżynowy mur na ścieżce do ogrodu. Pippa i jej towarzyszki na tle płomieni wyglądają jak rozgrzane do białości węgle obracające się w popiół.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Felicity nie chce rozmawiać z żadną z nas. Gdy tylko wracamy do Spence, ciężkim krokiem wchodzi po schodach, trzymając się barierki, jakby to było jedyne, co wiąże ją z ziemią. Ann i ja nie rozmawiamy o tym, co się stało. Atmosfera jest ciężka i ponura, żadne słowa jej nie poprawiają. Dopiero gdy Ann przysiadła się do Cecily na robótki ręczne, kierując się do pokoju Felicity. Kiedy wchodzi, leży na łóżku tak nieruchomo, że boję się, iż umarła.

- Po co przyszłaś? – Jej głos jest cieniem samego siebie. – Chcesz popatrzeć na zwyrodnialca? – Odwraca się do mnie z twarzą śliską od łez. W dłoni ścisną rękawiczkę Pippy. – Widzę to w twoich oczach, Gemmo. No już, wyrzuć to z siebie. Jestem zwyrodniała. Moje uczucia są nienaturalne.

Otwieram usta, ale nie mogę znaleźć słów.

- Powiedz to! Powiedz to, co pragniesz powiedzieć, czego wszyscy się domyślają.

- Ja się nigdy nie domyślałam. Naprawdę.

Oddycha ciężko i cieknie jej z nosa. Pasma włosów kleją się do wilgotnych policzków. Odwraca ode mnie wzrok.

- Ale teraz już wiesz i gardzisz mną.

Gardzę? Nie. Czuję się zbита z tropu. Klębią mi się w głowie pytania, których nie umiem zadać: Czy zawsze taka była? Czy to samo czuje wobec mnie? Rozbierałam się w jej obecności. Widziała mnie. A ja widziałam ją, doceniłam jej urodę. Czy żywię sekretne uczucie do Felicity? Czy jestem taka jak ona? Jak mogę się tego dowiedzieć?

Fee leży w poprzek łóżka, dławiąc się łzami. Jej ciałem wstrząsa łkaniem. Niepewnie wyciągam rękę i kładę na jej plecach. Powinam coś powiedzieć, ale jestem zagubiona. Mówię więc jedynie słowa, jakie przychodzą mi do głowy:

- Na pewno jeszcze kogoś pokochasz, Fee.

Felicity wciska twarz w poduszkę, ale kręci głową na boki.

- Nie, nie. Nie w taki sposób.

- Ciii...

- Już nigdy tak nie będzie.

Całkowicie pograża się w rozpacz. Szloch wstrząsa nią gwałtownymi falami. Mogę jedynie czekać. W końcu przyplw się cofa. Fee leży obok mnie, bezwładna i mokra, zupełnie wyczerpana. Długie wieczorne cienie podpełzają po ścianach coraz bliżej nas. Stopniowo okrywają nas ciszą, którą potrafi przynieść tylko noc. W mglistym półmroku widać jedynie zarys naszych sylwetek, jakbyśmy zostały zredukowane do samych konturów. Leżę obok Felicity. Ujmuję moje palce w wilgotną dłoń i trzymam, a ja ich nie wyrrywam, i to jest już coś. Trwamy bez ruchu, przywiązane do siebie kruchą obietnicą naszych dłoni, podczas gdy noc robi się coraz śmielsza. Bez lęku otwiera paszczę i pochłania nas w całości.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

Pociąg sunie wśród wzgórz do Londynu, zostawiając za sobą kłęby pary. Powiesiłam chustkę na gałązce bluszczu razem z listem, w którym zawiadamiam Kartika, co się stało z moim ojcem i obiecuję wrócić jak najszybciej. Zostawiłam też liściki do Felicity i Ann. Przygnębiona przesiadam się z powozu do pociągu i znów do powozu, aż w końcu docieram na miejsce.

Dom w Belgravii jest ponury i cichy. Doktor Hamilton przyciszonym głosem naradza się z Tomem w korytarzu, podczas gdy ja i babcia siedzimy w bawialni, wpatrując się w ogień, którego nie potrzebujemy. Już jest tu nieprzyjemnie ciepło, ale babcia się uparła. Chusteczka ojca w jej dłoni otwiera się jak kwiat. Na tle nieskazitelnej bieli widnieje czerwona plamka krwi.

Tom wchodzi w milczeniu z opuszczonymi ramionami i zamyka za sobą drzwi. Nie potrafię znieść tej ciszy.

- Tom?

Siada przy kominku.

- Suchoty. Od kilku miesięcy.

- Miesiące? – upewniam się.

- Tak – potwierdza.

To nie moja wina. To alkohol, laudanum, opium i cholerna niechęć do życia. Samolubna żałoba. Myślałam, że potrafię to naprawić magią, ale nie mogłam. Ludzie są tacy, jacy są. I na całym świecie nie ma dość magii, żeby to zmienić.

Babcia składa chusteczkę ojca, ukrywając plamy.

- To ten piekielny klimat w Indiach.

- To nie wina klimatu. Nie ma co udawać – mówię.

Tom rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie.

Babcia papie dalej.

- Mówiłam mu, że powinien wrócić do Anglii. Indie to nie miejsce dla Anglika. Zbyt tam gorąco...

Zrywam się z krzesła.

- To nie wina cholernej pogody!

Zszokowałam ich tak, że milkną. Powinnam się powstrzymać. Przeprasić za wybuch. Zetrzeć złe wrażenie. Obwinić klimat. Ale nie potrafię. Coś we mnie pękło i nie da się tego naprawić.

- Nie wiedzieliście, że znów zaczął brać laudanum? Że nie potrafi go rzucić? Że nasze dobre intencje nie mogły się równać z jego potrzebą śmierci?

- Gemmo, proszę cię – Tom przywołuje mnie do porządku.

- Nie, Thomasie. Takiego życia chcesz dla mnie, babciu? Mam być taka jak ty? Nosić klapki na oczach, nie rozmawiać o niczym, co ma znaczenie, i popijać słabą herbatę z ludźmi, którzy gotowi są na wszystko, żeby ukryć prawdę, zwłaszcza przed sobą? Otóż nie zgadzam się. I nigdy już dla ciebie nie skłamię.

Babcia przyciska kciukiem złożoną chusteczkę, zmuszając ją, by leżała płasko. Nagle wydaje się taka drobna i krucha. Wstydzę się, że tak podle ją potraktowałam, a jeszcze bardziej wstydzę się tego, że nienawidzę jej za tę kruchość. Gdy wybiegam z pokoju, słyszę jeszcze jej głos, cichy i niepewny:

- To na pewno klimat...

Tom łapie mnie przy schodach i wciąga do biblioteki. Książki ojca obserwują nas z półek.

- Gemmo, zachowałam się grubiańsko.

Moja krew już nie wrze, a złość została poskromiona przez wyrzuty sumienia, lecz nie dam Thomasowi satysfakcji i nie dowie się o tym. Na chybił trafił zdejmuję książkę z półki, przysiadam na niewygodnym drewnianym krześle i otwieram ją na stronie tytułowej. Dante Alighieri, *Piekieł*.

- Stan zdrowia ojca nie jest jedynym powodem, dla którego posłałem po ciebie. Twoje zachowanie na balu było... - Szuka słowa. – Zatrważające.

Nie masz pojęcia, jak bardzo, Tom. Odwracam stronę, udając, że jestem pochłonięta lekturą.

- Od kiedy przyjechałaś do Anglii, buntujesz się i sprawiasz kłopoty. A wystarczy nawet drobne uchybienie, ledwie cień skandalu, żeby na zawsze zrujnować twoją reputację i szanse na przyszłość.

Gniew wylewa się poza granice wyznaczone przez wstyd.

- Moja reputacja – powtarzam chłodno. – Czy tylko tym jestem?

- Reputacja kobiety stanowi o jej wartości, Gemmo.

Energicznie przerzucam kartkę, lekko ją naddzierając.

- Nie powinno tak być.

Tom wyjmuje korek z kryształowej karafki i nalewa odrobinę whisky do szklanki.

- Ale jest. Możesz nienawidzić mnie za to, że to mówię, ale taka jest prawda. Nie pamiętasz, że przez to umarła nasza matka? Nadal by tu była, ojciec by nie chorował i wszystkie te złe rzeczy by się nie wydarzyły, gdyby po prostu żyła zgodnie z ustalonymi zasadami społecznymi.

- Może okazało się to niemożliwe. Może nie mieściła się w tym ciasnym gorsecie.

Może ja jestem taka sama.

- Zasady nie muszą ci odpowiadać, Gemmo, ale musisz się do nich stosować. Na tym polega cywilizacja. Sądziś, że zgadzam się z każdą regułą w szpitalu Bethlem czy z każdą decyzją moich przełożonych? Myślisz, że nie wolałbym postępować tak, jak mi się podoba? – Upija łyk alkoholu, krzywiąc przy tym twarz. – Nie mogłem kontrolować poczynań matki, ale twoje mogę. Nie pozwolę ci pójść tą samą drogą.

- Nie pozwolisz? – pryham. – Nie wydaje mi się, żebyś miał coś do powiedzenia w kwestii mojego życia.

- I tu się mylisz. Ponieważ ojciec jest chory, ja przejmuję obowiązki twojego opiekuna i zamierzam do nich podejść naprawdę poważnie.

Budzi się we mnie nowy lęk. Przez cały czas martwiłam się, co mogą mi zrobić Zakon, Rakshana i istoty z Krainy Zimy. Zapomniałam o realnych zagrożeniach, które czyhają na mnie tutaj, w moim świecie.

- Nie wrócisz do szkoły. Wysłanie cię do Akademii Spence dla Młodych Dam było ewidentną pomyłką. Zostaniesz tutaj aż do debiutu.

- Ale moje przyjaciółki...

Tom odwraca się do mnie.

- Panna Bradshaw, kłamczucha bez grosza, i panna Worthington, wątpliwej cnoty. Dobrowolne towarzystwo. Tutaj poznasz odpowiednie dziewczęta.

Wstaję z krzesła.

- Odpowiednie? Poznałam ich mnóstwo i mogę cię zapewnić, że każda z nich jest płytka jak filiżanka. A jeśli chodzi o moje przyjaciółki, nie znasz ich, i będę ci wdzięczna, jeśli nie będziesz się wypowiadał na ich temat.

- A ja będę ci wdzięczny, jeśli ściszy głos – syczy Tom, zerkając w stronę drzwi.

Tak, służba nie powinna nic wiedzieć o naszych sprawach. Nie powinna się zorientować, że mam własny rozum i potrafię wyrażać swoje myśli.

- Czy zatem w ogóle nie dbasz o rodzinę? Nie obchodzi cię, że panna Bradshaw zrobiła głupca ze mnie – i z ciebie – swoim oszustwem?

- Oszustwem! Byłeś nią zainteresowany tylko wtedy, gdy sądziłeś, że posiada majątek. Tom nalewa sobie kolejną porcję alkoholu.
- Mężczyzna z moją pozycją musi myśleć o takich sprawach.
- Ona świata poza tobą nie widziała, a ty potraktowałeś ją tak haniebnie! Czy tylko takie uprzywilejowane damy jak ja zasługują na uwagę, Thomasie?
Mój brat szeroko otwiera oczy ze zdumienia.
- Wzięłabyś jej stronę przeciwko mnie, krwi z twojej krwi?
Krew jest gęstsza od wody, jak mawiają. Ale prawdę mówiąc, można to powiedzieć o większości substancji.
Wąskie ramiona Toma opadają.
- Możesz w to nie wierzyć, Gemmo, lecz naprawdę troszczę się o twój los.
- Jeśli to prawda, Thomasie, to odeślij mnie do Spence.
Wypija drinka.
- Nie. Postąpię zgodnie z dobrą radą lorda Denby i zostaniesz tutaj, gdzie mogę cię mieć na oku.
Odrzucam książkę na bok.
- Lord Denby! Wiedziałaś! To sprawka Rakshanów, tak? Nadal chcą mnie kontrolować. Tom mierzy we mnie oskarżycielsko palcem.
- Właśnie o takie zachowanie mi chodzi. Posłuchaj, co mówisz: opowiadasz wierutne bzdury!
- Zaprzeczasz, że przystąpiłeś do Rakshana? Jeżeli tak, to powiedz mi, jak się nazywa twój klub dla dżentelmenów?
- Nie muszę ci się tłumaczyć. To klub dla dżentelmenów, a ty dżentelmenem nie jesteś, choć nie wątpię, że nosiłabyś spodnie, gdybyś tylko mogła.
Puszczam ten docinek mimo uszu.
- Ale masz znaczek Rakshana! – Wskazuję na insygnia z mieczem i czaszką w klapie jego marynarki.
- Gemmo – warczy Tom – to tylko znaczek! Nie ma w nim nic niebezpiecznego.
- Nie wierzę ci.
Tom obraca w palcach szklanę, a rżnięte szkło łapie światło i rzuca na ściany kolorowe refleksy.
- Możesz mi nie wierzyć, ale to prawda.
- A zatem jak się nazywa twój klub?
Drwiący uśmiešek spełza z twarzy mojego brata.
- Posłuchaj, Gemmo, to wyłącznie moja sprawa.
To Rakshana. Jestem pewna. Chcą mnie trzymać w niewoli, dopóki nie oddam magii, i żeby osiągnąć ten cel, zwerbowali mojego brata.
Tom wsuwa do kieszeni dłoń zaciśniętą w pięści.
- Gemmo, musimy sobie jakoś radzić. Nie stać mnie na luksus miłości. Muszę się dobrze ożenić. A teraz muszę też zaopiekować się tobą. To mój obowiązek.
- Jakież to szlachetne – pryham.
- No cóż, miłe podziękowanie.
- Jeżeli chcesz cierpieć, rób to z własnej nieprzymuszonej woli, a nie dla mnie. Ani dla ojca, babci czy kogokolwiek. Jesteś dobrym lekarzem, Thomasie, dlaczego to ci nie wystarczy?
Zaciska mocno szczękę. Chłopiący lok opada mu na oczy i skrywa je.
- Bo nie – odpowiada z niespotykaną szczerością. – Tylko tyle i żadnej nadziei na coś więcej? Cichy szacunek bez prawdziwej wielkości czy heroizmu, z moją reputacją w charakterze jedynej rekomendacji? Widzisz, Gemmo, nie ty jedna nie rządysz własny życiem.

Odrzuca głowę do tyłu i wysącza resztkę alkoholu. Trunku jest za dużo i Tom chętnie by gwałtownie zakasłał, ale powstrzymuje się. Nie może okazać ani odrobiny słabości. Nie wolno mu nawet kaszlnąć.

Podchodzę do okna. Pod domem czeka powóz. Nie należy do nas, ale rozpoznaję go: czarne zasłonki, pogrzebowy sznyt. Ktoś zapala zapałkę i unosi ją do papierosa. Fowlson.

Tom staje tuż za mną.

- A, mój woźnica. Ma dziś ważne spotkanie. Ufam, Gemmo, że nie spalisz domu pod moją nieobecność.

- Tom – mówię, idąc za nim po schodach do hallu – proszę, nie jedź dzisiaj do klubu. Zostań ze mną. Możemy zagrać w karty!

Tom śmieje się i wkłada płaszcz.

- Karty! Porywająca propozycja!

- Dobrze, nie musimy grać w karty. Możemy...

Co? Co kiedykolwiek robiłam razem z bratem, poza kilkoma zabawami w dzieciństwie? Łączy nas doprawdy niewiele poza wspólną nieszczęśliwą przeszłością. Tom czeka, ale ja nie mam mu nic do zaproponowania.

- No cóż, zbieram się więc.

Chwyta kapelusz afektowanym gestem i przegląda się w lustrze przy drzwiach. Nie mam już żadnego atutu poza prawdą.

- Tom, wiem, że to zabrzmi, jakbym była jedną z twoich pacjentek w Bedlam, ale proszę, wysłuchaj mnie. Nie wolno ci iść dzisiaj na to spotkanie. Obawiam się, że grozi ci niebezpieczeństwo. Wiem, że przyłączyłeś się do Rakshanów... - Brat próbuje zaooponować, ale unoszę ostrzegawczo dłoń. - Wiem o tym. Ten klub dla dżentelmenów nie jest taki, jak sobie wyobrażasz. Istnieje od wielu wieków, a jego członkom naprawdę nie wolno ufać.

Tom stoi niepewnie przez chwilę. Mogę jedynie mieć nadzieję, że go przekonałam. Nagle wybucha śmiechem i klaszcze.

- Brawo, Gemmo! To bez wątpienia najbardziej fantastyczna historyjka, jaką udało ci się wymyślić. Obawiam się, że to nie ja, lecz sir Artur Conan Doyle znalazł się w niebezpieczeństwie, gdyż twoje opowiadki przerastają jego dzieła pod względem zawiłości intrygi i różnorodności łajdackich charakterów! - Chwytam go za ramię, ale mnie odtrąca. - Uważaj na płaszcz! Mój krawiec jest dobrym fachowcem, ale dość kosztownym.

- Tom, proszę cię, musisz mi uwierzyć. To nie jest wymysł. Im nie zależy na tobie, chcą dopaść mnie. Mam coś, czego pragną, za co gotowi są oddać wszystko. I wykorzystają cię, żeby dostać się do mnie.

Przejmujący ból błyska w oczach mojego brata.

- Jesteś taka sama jak ojciec, prawda? Wątpisz we mnie na każdym kroku. W końcu dlaczego komuś miałoby zależeć na Thomasie Doyle'u, który przynosi ojcu same rozczarowanie?

- Nie powiedziałam tego...

- Nie, ale to miałaś na myśli.

- Mylisz się...

- Tak, zawsze się mylę. Na tym polega kłopot ze mną. No cóż, nie dziś. Dzisiaj stanę się częścią czegoś większego niż ja sam. Ci ludzie mnie zaprosili, Gemmo. Zależy im na mnie. Nie spodziewam się, że będziesz szczęśliwa, bo coś mi się udało, ale mogłabyś przynajmniej spróbować nie psuć mi nastroju.

- Tom... - mówię błagalnym tonem, patrząc, jak podchodzi do drzwi.

Pokojówka otwiera je przed nim ze spuszczonego wzrokiem, jakby nie chciała być świadkiem naszej kłótni.

- I po raz ostatni powtarzam ci, że nie wiem, o co ci chodzi z tymi Rakshanami. Nigdy o nich nie słyszałem. - Zręcznie owija szyję szalikiem. - Życzę ci dobrej nocy, gemmo. I

proszę, trzymaj się z dala od tych książek, które tak uwielbiasz. Podsuwają ci przedziwne pomysły.

Tom zbliża się do powozu. Fowlson pomaga mu wsiąść, ale jego wredny uśmiech jest przeznaczony wyłącznie dla mnie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Pokój oświetla tylko mała lampka na nocnym stoliku. Tato oddycha ciężko, ale jest spokojny. Doktor Hamilton podał mu morfinę. To dziwne, że narkotyk może przynosić zarówno udrękę, jak i ulgę.

- Witaj, kotku – odzywa się sennym głosem.

- Witaj, tato. – Siadam przy łóżku. Ojciec wyciąga rękę, a ja ją ujmuję.

- Był tu wcześniej doktor Hamilton – mówi.

- Tak, wiem.

- Tak. – Zamyka na chwilę oczy, a potem gwałtownie je otwiera. – Chyba... chyba widzę tego tygrysa. Staruszek powrócił.

- Nie – odpowiadam cicho, wycierając policzki. – Nie ma tu tygrysa, papo.

Wskazuje na przeciwległą ścianę.

- Nie widzisz jego cienia? – Jest tam tylko rozmazany kontur uniesionej ręki ojca. – Zastrzeliłem go, wiesz.

- Tak, papo – odpowiadam.

Ojciec drży. Podciągam mu prześcieradła pod szyję, ale on znów je odsuwa w delirium.

- Cały czas tam się czaił, wiesz? Nie mogłem tak żyć... w ciągłym poczuciu zagrożenia.

Myślałem, że go zabiłem, ale on wrócił. Odnalazł mnie.

Ocieram mu czoło wilgotną chusteczką.

- Ciii.

Spogląda mi w oczy.

- Ja umieram.

- Nie. Musisz tylko odpocząć.

Gojące łzy palą mnie w policzki. Dlaczego jesteśmy zmuszeni kłamać? Dlaczego prawda jest zbyt jasna, by nasze dusze mogły na nią patrzeć?

- Odpocząć... - mamrocze, znów zapadając w narkotyczny sen. – Tygrys się zbliża...

Gdybym była odważniejsza, gdybym wierzyła, że prawda nie oślepi nas na zawsze, zapytałabym go o to, co chciałam zapytać od śmierci matki: Dlaczego jego rozpacz silniejszy była niż miłość? Dlaczego nie znalazł w sobie woli, by walczyć?

Dlaczego ja nie jestem wystarczającym powodem, żeby chciał żyć?

- Śpij, papo – mówię. – Nie goń dziś za tygrysem.

*

Siedzę sama w pokoju i błagam Wilhelminę Wyatt, by jeszcze raz mi się pokazała.

- Kirke ma sztylet. Potrzebuję twojej pomocy. Proszę.

Ale ona nie chce przyjść na wezwanie, więc zapadam w sen i śnię.

Pod drzewem siedzi mała Mina Wyatt i rysuje Wschodnie Skrzydło. Cieniuje jedną stronę paszczy gargulca. Sara Rees-Toome zasłania jej światło, więc Mina marszczy brwi. Sara kuca obok niej.

- Co widzisz, gdy patrzysz w ciemność, Mino?

Dziewczynka nieśmiało pokazuje jej obrazki, które ukryła w książce. Tropicieli. Zmarłych. Błede stwory żyjące pod skałami. I w końcu Drzewo Wszystkich Dusz.

Sara z czułością gładzi je palcami.

- Jest potężne, prawda? Dlatego nie chcę, byśmy o nim wiedziały.

Mina zerka w stronę Eugenii Spence i pani Nightwing, które grają w krokieta na trawniku. Kiwa potakująco głową.

- Możesz pokazać mi, jak tam trafić? – pyta Sara.

Mina kręci głową.

- Dlaczego nie?

Zabiorę cię – gryzmoli.

Nagle znajduję się w lesie w Krainie Zimy, gdzie przekłęci, kołysząc się, widzą na nagich drzewach. Pnącza trzymają ich za szyje. Jedna postać szamocze się, a ostre gałęzie wpijają się w jej ciało coraz mocniej.

- Pomocy – odzywa się zdławionym szeptem.

Mgła się rozwiewa i widzę dokładnie jej szarzejącą twarz.

Kirke.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Przez dwa nieskończenie długie dni siedzę uwięziona w Londynie bez żadnej możliwości przesłania wiadomości Kartikowi, Ann czy Felicity. Nie wiem, co się dzieje w międzyswiece, i jestem chora ze zmartwienia. Ale za każdym razem, gdy nabieram odwagi, aby przywołać magię, przypomina mi się ostrzeżenie Kirke, że magia się zmienia i że może być teraz powiązana z czymś mrocznym i nieprzewidywalnym. Czuję, jak zakamarki w pokoju wypełniają się cieniami tego, nad czym być może nie będę potrafiła zapanować, i odpycham moc daleko od siebie, po czym cała drżąca wpełzam do łóżka.

Nie mając w perspektywie żadnego planu ucieczki, godzę się z rolą rozpieszczonej młodej damy z londyńskiego towarzystwa i wraz z babcią składam wizyty. Pojemy herbatę, która jest za słaba i za zimna jak na moje upodobania. Damy spędzają czas na dzieleniu się plotkami i pogłoskami. To właśnie otrzymują w zamian za niezależność – wolny czas i plotki. Ich życie jest miłą i wyważone. Nie chcę żyć w ten sposób. Chciałabym odcisnąć swoje piętno na świecie. Mieć odwagę głosić opinie, które może nie są miłe i poprawne, ale za to moje własne. Jeśli mam za coś zawisnąć, to chcę pójść na szubienicę o własnych siłach.

Wieczorami czytam ojcu. Jego stan trochę się poprawia – może siedzieć przy biurku nad mapami i książkami – ale już nigdy nie dojdzie całkiem do siebie. Zapada decyzja, że po moim debiucie ojciec wyjedzie do ciepłych krajów. Wszyscy zgodnie twierdzimy, że to przywróci mu siły. „Gorące słońce i ciepły wiatr: oto, czego mu potrzeba” – powtarzamy, uśmiechając się sztucznie. Tymczasem słowa, do których wypowiedzenia nie potrafimy się zmusić, przesączają się do samych trzewi domu, aż wydaje się, że cisza szepcze do nas prawdę: „On umiera. On umiera. On umiera”.

Trzeciego dnia niemalże mdleję z przerażenia, gdy babcia oświadcza, że wybieramy się na garden party na cześć Lucy Fairchild. Przekonuję ją, że nie czuję się dobrze i że powinnam zostać w domu – bo może uda mi się wymknąć na Victorię i wrócić pociągiem do Spence pod jej nieobecność – ale babcia nie chce nawet o tym słyszeć. Tak więc przybywamy do ogrodu w Mayfair, który pod każdym możliwym względem wprost rozkwita niezwykłą urodą.

Dostrzegam Lucy siedzącą samotnie na ławce pod wierzbą. Z sercem w gardle siadam obok, lecz ona całkowicie mnie ignoruje.

- Panno Fairchild.... Chciałam wyjaśnić zachowanie Simona na balu – odzywam się.

Jest na tyle dobrze wychowana, że nadal siedzi bez ruchu. Trzyma temperament w cuglach równie pewnie jak swego wierzchowca.

- Słucham.

- Mogło się wydawać, że pan Middleton zbyt się ze mną spoufalił tego wieczoru, ale wcale tak nie było. Prawdę mówiąc, kiedy moja przyzwoitka na moment się oddaliła, nieznany mi dżentelmen, który wypił zdecydowanie zbyt dużo, zaczął okazywać mi względy w zupełnie niestosowny sposób.

Uwierz mi... Błagam, uwierz...

- Bardzo mnie przestraszył, ponieważ zostałam sama – kłamie. – Na szczęście pan Middleton zauważył, w jak przykrym znalazłam się położeniu, a ponieważ nasze rodziny od dawna się przyjaźnią, natychmiast zaczął działać, nie dbając o konsekwencję. Już takim jest człowiekiem. Pomyślałam, że powinna pani poznać prawdziwe okoliczności tego zajścia, zanim go pani osądzi.

Z twarzy Lucy powoli znika przygnębienie. Nieśmiała nadzieja układa jej usta w uśmiech.

- Przysłał mi wczoraj przepiękne kwiaty. I przemyślną, obitą jedwabiem szkatułkę ze skrytką.

- Na wszystkie pani sekrety – dodaję, powściągając uśmiech.

Jej oczy błyszczą.

- To właśnie napisał Simon! I napisał, że beze mnie jest nikim. – Przykłada dłoń do ust. – Chyba nie powinnam rozgłaszać tak intymnych wyznań.

Ta informacja zadaje mi ból, ale nie jest on tak wielki, jak bym się spodziewała. Simon i Lucy należą do tego samego gatunku. Lubią rzeczy przyjemne i niekłopotliwe. Ja nie zniosłabym takiego układu, który im odpowiada.

- Ależ nic się nie stało – zapewniam ją.

Lucy bawi się broszką od Simona, którą niegdyś podarował mnie.

- Rozumiem, że byliście sobie dość... bliscy.

- Nie jestem odpowiednią dziewczyną dla niego – wyjaśniam. Czuję zdumienie, gdy uświadamiam sobie, że to nie jest kłamstwo. – Śmiem twierdzić, że nigdy nie widziałam, by był tak wesoły jak w pani towarzystwie. Mam nadzieję, że odnajdziecie razem szczęście.

- Jeżeli mu przebaczę. – Znów odzywa się jej duma.

- Tak. To zależy wyłącznie od pani – mówię, a ona nawet nie wie, ile w tym prawdy.

Gdyż ja nie mogę zmienić tego, co się stało. Ta droga jest już za nami, a teraz możemy tylko iść naprzód.

Lucy wstaje z ławki. Nasza rozmowa dobiegła końca.

- Dziękuję, panno Doyle. To miło z pani strony, że chciała pani ze mną porozmawiać. Nie wyciąga ręki, lecz wcale tego nie oczekiwałam.

- Miło, że pani zechciała mnie wysłuchać.

*

Wieczorem Tom ponownie wychodzi z klubu. Próbuję go od tego odwieść, ale nie chce ze mną rozmawiać. Babcia wybrała się do przyjaciół na grę w bakarata. Siedzę więc sama w pokoju, próbując obmyślić plan powrotu do Spence i międzyświata.

- Gemmo...

Niemalże wyrwa mi się krzyk, gdy jakiś mężczyzna wychodzi zza zasłony, ale kiedy okazuje się, że to Kartik, ogarnia mnie dzika radość.

- Jak się tu dostałeś?

- Pożyczyłem konia ze Spence – wyjaśnia. – No właściwie to go ukradłem. Kiedy nie wróciłaś... - Nakrywam jego usta moimi i uciszam go pocałunkiem.

Leżymy razem na łóżku, ja z głową na jego piersi. Słyszę, jak bije jego serce, silne i pewne. Kartik kreśli dłońią wzory na moich plecach. Palce drugiej ręki splótł z moimi.

- Nie rozumiem – mówię, rozkoszując się ciepłem dłoni wędrującej w górę mojego kręgosłupa i z powrotem. – Dlaczego mi nie przekazała, jak uratować Eugenię?

- A może Wilhelmina pomaga Kirke? Sama mówiłaś, że były sobie bliskie. – Kartik całuje mnie w czubek głowy.

- Dlaczego miałyby zdradzić Zakon i Eugenię? – dziwię się. – To nie ma sensu. Nic z tego nie ma sensu – wzdycham. – Prawda znajduje się w Kluczu. To zdanie powraca w moich snach, w wizjach i w książce Wilhelminy. Ale co ono oznacza?

- A w tej skórzanej torbie prócz sztyletu nie było żadnego klucza? – pyta Kartik.

- Nie. Myślałam, że może książka była kluczem. – Potrząsam głową. – Ale nie jestem tego pewna. Sądzę...

Przypominają mi się obrazki, które Wilhelmina zamieściła w *Historii tajemnych stowarzyszeń*. Ukryty przedmiot. Strażnicy Nocy. Wieża. Odszyfrowałam wszystkie poza jednym – pokojem z marynistycznym obrazem.

- Tak? – zachęca mnie Kartik. Jego dłoń wędruje do mojej piersi.

- Myślę, że to może być miejsce – odpowiadam, unosząc się, żeby go pocałować.

Kładzie się na mnie, a ja przyjmuję jego ciężar. Przesuwa rękami wzdłuż mojego ciała, gdy ja gładzę jego szerokie plecy. Językiem delikatnie bada wnętrze moich ust.

Rozlega się pukanie do drzwi. W panice spycham Kartika z siebie.

- Za zasłonę! – szepczę.

Kartik chowa się za kotarą, a ja szybko doprowadzam się do porządku. Przysiadam na łóżku z książką w dłoni.

- Proszę! – wołam i do pokoju wchodzi pani Jones. – Dobry wieczór – mówię, odwracając książkę, którą trzymałam do góry nogami. Czuję, jak rumieniec wypełza na moje policzki. Serce dudni mi w uszach.

- Przyszła do panienki paczka.

- Paczka? O tej porze?

- Tak, panienko. Posłaniec zostawił ją przed chwilą.

Wręcza mi pakunek owinięty w brązowy papier i niedbale przewiązany sznurkiem. Nie ma na nim nazwiska ani karty wizytowej.

- Dziękuję – mówię. – Chyba się już położę. Jestem bardzo zmęczona.

- Jak panienka sobie życzy.

Drzwi zamykają się ze stuknięciem, a ja przekręcam klucz w zamku, głośno wypuszczając powietrze.

Kartik staje za mną i obejmuje mnie ramionami w talii.

- Powinnaś go otworzyć.

Postępuję zgodnie z jego radą. W paczce znajdują się niegrzeczny kapelusz Toma i liścik.

Droga Panno Doyle!

Posiada Pani coś, co ma dla nas wielką wartość. Obecnie my również posiadamy coś, co ma wartość dla Pani, więc pewien jestem, że dojdziemy do porozumienia. Proszę nie próbować używać przeciwko nam magii. Natychmiast się o tym dowiemy, a wtedy Pani brat zginie. Pan Fowlson stoi za rogiem. Niech Pani nie każe mu czekać.

Rakshana mają Toma.

Zamierzają odebrać mi magię, a jeżeli im na to nie pozwolę, zabiją mojego brata. A gdybym spróbowała przywołać moc, by go uratować? To nie jest już wyłącznie moja moc, więc mogłabym narobić więcej złego niż dobrego. Dziś w nocy dysponuję tylko własnym rozumem, który chyba nie na wiele się zda. Ale w obecnej chwili to jedyne, co mi pozostało.

- Idę z tobą – oświadcza Kartik.

- Będą chcieli cię zabić – ostrzegam.

- A więc to dobry dzień, by umrzeć – odpowiada, a mój żołądek podskakuje.

Kładę dłoń na jego ustach.

- Nie mów tak.

Całuje moje palce, a potem usta.

- Idę z tobą.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY PIERWSZY

Fowlson czeka na mnie obok eleganckiego powozu. Wysoko podrzuca monetę i za każdym razem sprawnie ją łapie. Gdy zauważa, że nadchodzę, przytrzymuje ją na przedramieniu, przyklepując dłoń.

- A niech to! Reszka. Czyli pech, laluniu.

Otwiera przede mną drzwiczki. Wiedzę, jak Kartik zakrada się od tyłu.

- Niech pan mi powie, Fowlson, zawsze już będzie pan ich chłopcem na posyłki? Kiedyż to wynagrodzą pana za te wszystkie trudy? Czy może zawsze już tak będzie: oni się bawią na przyjęciach, a pan odważa za nich brudną robotę?

- Wszystko w swoim czasie – odpowiada, wyciągając z kieszeni przepaskę na oczy.

- Niewątpliwie dlatego jest pan tutaj, zamiast siedzieć z nimi. Potrzebowali woźnicy.

- Zamknij się! – Patrzy na mnie gniewnie, ale w jego oczach po raz pierwszy pojawia się lekki cień wątpliwości.

- Zawrzyjmy umowę, panie Fowlson. Proszę mi pomóc, a ja zabiorę pana do międzyświata.

Oprych wybucha śmiechem.

- Gdy już będziemy mieli magię, będę tam siedział, ile zechcę. Nie, chyba nie wejdem w żadne układy, laluniu.

Zawijam opaskę mocniej niż to konieczne, a potem owija sznur wokół mojego nadgarstka i mocuje go do czegoś, chyba do klamki u drzwi.

- Nigdzie się nie wybieraj! – woła i zanosi się takim śmiechem, że aż zaczyna kasłać.

Powóz rusza z szarpnięciem. Końskie kopyta stukają o bruk w szybkim rytmie i mam nadzieję, że Kartik trzyma się mocno.

Nie jedziemy zbyt długo. Powóz zatrzymuje się, a Fowlson po chwili rozluźnia sznur, ale nie zdejmuje opaski. Zarzuca mi na głowę płaszcz.

- Idziemy – ponagla mnie szeptem.

Otwierają się jakieś drzwi. Ciągnie mnie w dół i w kółko, a kiedy zdejmuję przepaskę, moim oczom ukazuje się pokój, pod którego ścianami stoją zapalone świece. Thomas siedzi na krześle. Ma związane ręce i wygląda na pijanego. Za nim stoi zakapturzony mężczyzna i przytyka mu nóż do gardła.

- Tom! – Rzucam się w jego stronę, ale natychmiast gdzieś z góry grzmi głos:

- Stój! – Unoszę wzrok i widzę galerię, która biegnie wokół pokoju. Przypatrują mi się z niej zakapturzeni mężczyźni, skrywający twarze w cieniu. – Chłopak zginie, jeśli go pani dotknie, panno Doyle. Nasz człowiek bardzo biegle posługuje się nożem.

- Gemmo, nie martw się... - mamrocze Tom. – To moja ini... inis...

- Inicjacja – odpowiada Kartik, stając u mojego boku. – Chyba trzeba ją odwołać.

- Brat Kartik? Powiedziano mi, że nie żyjesz – mówi głos. – Panie Fowlson, odpowie pan za to.

Fowlson błędnie jak prześcieradło.

- Tak, panie.

- Wypuście mojego brata! – żądam.

- Oczywiście, szanowna pani. Gdy tylko odda nam pani magię.

Zerkam na Toma, zupełnie bezbronnego pod nożem kata.

- Nie mogę tego zrobić – oświadczam.

Tom krzyczy, gdy nóż naciska mocniej.

- Przestańcie – błaga zdławionym głosem.

- Potrzebuję waszej pomocy! – wołam. – W Krainie Zimy dzieją się straszne rzeczy. Wszystkim nam grozi niebezpieczeństwo. Wydaje mi się, że te istoty zamierzają przedostać się do naszego świata.

W pokoju rozlegają się uprzejme śmiechy. Stojący obok mnie Fowlson śmieje się głośniej.

- Widziałam Amara w międzyświecie! – krzyczę. – Był niegdyś jednym z was. Ostrzegł mnie przed tym, co nadchodzi. Powiedział: „Strzeż się majowych narodzin”.

Śmiechy milkną.

- Co miał na myśli?

- Nie wiem – odpowiadam, nie spuszczać wzroku z brata. Tom zaczyna dochodzić do siebie. Widzę to po jego oczach. – Myślałam, że chodzi o pierwszy maja, ale ten dzień nadszedł i minął. To może być jakaś inna data...

Lord Denby wychodzi z cienia.

- Nie wiem, na czym ma polegać ta sztuczka, panno Doyle, ale się nie uda. – Opuszcza palec, a zakapturzona postać mocniej przyciska ostrze do gardła Toma. – On zginie.

- I co wtedy? – pytam. – Jaka karta przetargowa wam zostanie?

- Pani brat zginie! – Jego głos niesie się echem po pomieszczeniu.

Jest tak, jakby rozviała się mgła, i po raz pierwszy od początku widzę wszystko jasno. Nie dam się zastraszyć, nie im. Ani nikomu innemu.

- I nic wam wtedy nie pozostanie – stwierdzam, silna i pewna siebie. – Nic was nie osłoni przed moją mocą. A ja spuszczę ją ze smyczy, jak ogary piekielne, jeśli spadnie mu choćby jeden włos z głowy!

Palec lorda Denby zastyga w gotowości, podobnie jak nóż kata. Przez nieskończenie długi moment wszyscy stoimy nad przepaścią.

- Jest pani kobietą. Nie robi pani tego.

Opuszcza dłoń, a ja się nawet nie zastanawiam. Przyzywam magię i nóż zmienia się w balon, który wymyka się z palców oprawcy.

- Tom, uciekaj! – wołam.

Tom siedzi oszołomiony, ale Kartik chwytą go i wlecze w moją stronę, podczas gdy ja cała wibruję mocą, którą powstrzymywałam zbyt długo. Wylewa się ze mnie z nową determinacją. I nikt nie jest bardziej zaskoczony niż mój brat, gdy pokrywam ściany płomieniami. Upiory z piskiem wirują nad naszymi głowami. Nie ma znaczenia, że to tylko iluzja, ludzie w nią wierzą.

- Dość! – woła lord Denby, a płomienie i upiory znikają. Zataczając się, podchodzi do balustrady. – Jesteśmy rozsądnymi ludźmi, panno Doyle.

- Nie jesteście. Muszę więc wyrażać się bardzo jasno, sir: nie wolno wam już nigdy niepokoić mojej rodziny, bo źle się to dla was skończy. Czy wyraziłam się dość jasno?

- Raczej tak – sapie.

- A co z międzyświatem? – woła Kartik. – Zapomnieliście, że przez wieki byliśmy jego strażnikami? Nie pójdziecie z nami do Krainy Zimy?

Mężczyźni mamrocą coś do siebie. Nikt się nie kwapi, żeby wyruszyć w tę niebezpieczną podróż.

- Proszę bardzo – mówi lord Denby – wyznaczę piechurów do tego zadania.

- Piechurów? – dziwię się.

Kartik zakłada ręce na piersi.

- Takich jak Fowlson czy ja. Takich, za którymi nikt nie będzie tęsknił.

- Tak, weźcie ze sobą Fowlsona – zgadza się lord Denby, jakby wypożyczał służącego. – Dobrze sobie radzi z nożem. Porządny z ciebie facet, Fowlson, co?

Fowlson przyjmuje tę wypowiedź jak cios, którego nie może oddać. Mocno zaciska zęby.

- Ponieważ to zależy ode mnie, chcę wziąć pana Fowlsona. Dobrze się rozumiemy. I rzeczywiście świetnie posługuje się nożem – mówię. – Proszę rozwiązać mojego brata.

Fowlson rozluźnia więzy na rękach Toma i podtrzymuje ramieniem jego bezwładne ciało. Ruszamy w stronę drzwi.

- Opaska! – wrzeszczy jakiś mężczyzna.

Rzucam ją na podłogę.

- Nie potrzebuję jej. Skoro ma pan ochotę ją założyć, to proszę bardzo.

- Gemmo! Co się, u diabła, dzieje? Co ty zrobiłaś? – dopytuje się Tom. Zaczyna się wtrącać, więc trzeba przedsięwziąć odpowiednie kroki.

- Przytrzymajcie go, dobrze? – proszę Kartika i Fowlsona, którzy chwytają Toma za ręce.

- Co to ma być? Natychmiast mnie puśćcie! – piekli się, ale jest zbyt podchmielony, żeby walczyć.

- Thomasie – mówię, zdejmując rękawiczki – ciebie to zaboli o wiele bardziej niż mnie.

- Co? – pyta.

Wymierzam mu solidny cios w szczękę i Tom traci przytomność.

- Niezły z pani numer – przyznaje Fowlson, pakując mojego brata do powozu.

Poprawiam spódnicę i starannie naciągam rękawiczkę na obolałą dłoń.

- Nigdy nie jechał pan powozem z moim bratem w takim stanie, panie Fowlson. Proszę mi wierzyć, powinien mi pan podziękować.

*

Gdy Tom odzyskuje przytomność – choć nie wiem, czy w jego wypadku można mówić o całkowitej przytomności – stoimy na nabrzeżu. Latarnie uliczne rzucają na Tamizę kałuże światła, które rozplývają się jak mokra farba. Mój brat jest w opłakanym stanie. Jego kołnierzyk sterczy jak złamana kość, a na koszuli widnieją plamy krwi. Przyciska wilgotną chusteczkę do posiniaczonej twarzy, zerkając na mnie nerwowo. Za każdym razem, gdy odwzajemniam jego spojrzenie, szybko odwraca wzrok. Mogłabym przywołać na pomoc magię, żeby wymazać z jego pamięci wszelkie wspomnienia o tym wieczorze i mojej mocy, ale postanawiam, że tego nie zrobię. Czuję się zmęczona ciągłym uciekaniem. Ukrywaniem tego, kim jestem, by zadowolić innych. Niech pozna prawdę, a jeśli to go przerośnie, przynajmniej czegoś się dowiem.

Tom ostrożnie porusza szczęką.

- Au.

- Złamana? – pytam.

- Ne, ale bardzo boli – odpowiada niewyraźnie, przyciskając chusteczkę do pękniętej wargi i krzywiąc się.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Niby o czym? – Zerka na mnie jak przestraszone zwierzę.

- O tym, co się właśnie wydarzyło.

Odsuwa rękę z chusteczką.

- A o czym tu rozmawiać? Uśpiono mnie eterem, zabrano do sekretnej kryjówki, związano i grożono mi śmiercią. A potem moja siostra, debiutantka, która ma się uczyć w szkole podawać herbatę, haftować i zamawiać małże po francusku, wyzwoliła moce, których istnienia nawet nie podejrzewałem i których nie da się wyjaśnić logiką i prawami nauki. Wypowiem się na ten temat jutro. – Wpatruje się w mroczną rzekę wijącą się przez serce Londynu. – To wszystko wydarzyło się naprawdę, tak?

- Tak – potwierdzam.

- Ale nie zamierzasz... ehm... - Wykonuje dłonią gest, jakby machał różdżką, co ma chyba oznaczać „wyzwolić mocy, które mnie przerażają”.

- Nie w tej chwili – odpowiadam.

Krzywi się.

- Czy możesz sprawić, by przestał mnie dręczyć ból głowy?

- Niestety nie – kłamię.

Znów przykłada mokłą chusteczkę do policzka i wzdycha.

- Od jak dawna jesteś... taka? – zadaje pytanie.

- Na pewno chcesz wszystko wiedzieć? Jesteś gotów poznać prawdę?

Tom zastanawia się przez chwilę, ale kiedy mi odpowiada, jego głos brzmi pewnie.

- Tak.

- Po raz pierwszy stało się to w zeszłym roku, w dzień moich urodzin, kiedy umarła mama, ale przypuszczam, że tak naprawdę zaczęło się o wiele wcześniej...

Opowiadam mu o mojej mocy, o Zakonie, o międzyświecie i Krainie Zimy. Nie zdradzam jedynie tego, że mama zabiła małą Carolinę. Nie wiem dlaczego. Może czuję, że nie jest jeszcze na to gotowy. Może nigdy nie będzie. Ludzie mogą znieść tylko określoną dawkę szczerości. Ale czasami mogą człowieka zaskoczyć. Rozmawiam z bratem jak nigdy wcześniej, zawieram mu i pozwalam, by rzeka poniosła moje wyznania do morza.

- Niesamowite – mówi w końcu. Wpatruje się w ziemię. – Więc naprawdę zależało im na tobie, a nie na mnie.

- Przykro mi.

- Nie szkodzi. Podawali ohydne porto – mówi, próbując ukryć zranioną dumę.

- Istnieje taki klub, którego członkowie chętnie by cię przyjęli, gdybyś ty zaakceptował ich – przypominam mu. – Może nie jest to twoje największe marzenie, ale to rozsądni ludzie, którzy podzielają twoje zainteresowania, i być może z czasem bardziej ich polubisz. – A potem zmieniam temat. – Tom, muszę cię o coś spytać. Czy sądzisz, że to ja mogłam wywołać chorobę taty, kiedy zmuszałam go, żeby przejrzał na oczy... za pomocą magii...

- Gemmo, on ma suchoty, wywołane rozpaczą i nałogami. To nie twoja wina.

- Na pewno?

- Na pewno. Choć przyznaję, że potrafisz być dokuczliwa. – Dotyka swojej obolałej szczęki. – I bijesz się jak facet. Ale nie ty wpędziłaś go w chorobę. To wyłącznie jego wina.

W dole rzeki róg sygnałowy okrętu wydaje żałobne zawołanie. Brzmi żałością i znajomo, nocny krzyk za tym, co straciliśmy i czego nie możemy odzyskać.

Tom chrząka cicho.

- Gemmo, chcę ci coś powiedzieć.

- Słucham.

- Wiem, że uwielbiasz ojca, ale on nie jest rycerzem na białym koniu, jak go sobie wyobrażasz. Nigdy nim nie był. To prawda, że jest uroczy i czuły na swój sposób. Ale jest też egoistą. To ograniczony człowiek, który po prostu postanowił się wykończyć...

- Ale...

Tom chwyta obie moje dłonie i lekko je ściska.

- Gemmo, nie możesz go uratować. Dlaczego nie chcesz się z tym pogodzić?

Widzę swoje odbicie na powierzchni Tamizy. Moja twarz jest wodnistym zarysem, same rozmazane kontury bez żadnych konkretów.

- Bo jeśli z tego zrezygnuję – ciężko przeżykam raz po raz – to będę musiała pogodzić się z faktem, że jestem zupełnie sama.

Okrętowa syrena znów wyje, gdy statek zmierza w stronę morza. Odbicie Toma pojawia się obok mojego, równie niepewne.

- Każdy z nas jest sam na tej ziemi, Gemmo. – Nie mówi tego z rozgoryczeniem. – Ale zawsze możesz mieć towarzystwo, jeśli będziesz tego chciała.

- Zamierzamy sterczeć tu całą noc? – woła Fowlson.

Wraz z Kartikiem stoją oparci o powóz jak para rzeźb kominkowych czekających na ogień, którego będą mogli strzec.

Podaję Tomowi dłoń i pomagam mu wstać.

- A ta twoja magia... Przypuszczam, że nie możesz mnie zamienić w barona, earla czy kogoś takiego? Księstwo byłoby mile widziane. Nic ostentacyjnie wielkiego, no chyba że będziesz tego chciała.

Odsuwam niesforny lok z jego czoła.

- Lepiej nie ryzykuj.

- No dobra. – Uśmiecha się i warga znów mu pęka. – Auć!

- Thomasie, od teraz zamierzam żyć swoim życiem tak, jak uznam to za stosowne – oświadczam, gdy idziemy do powozu.

- Nie będę ci mówił, jak masz żyć. Tylko nie zmieniaj mnie w trąskę, ryczącego osła albo, Boże broń, w torysa.

- Za późno. Już jesteś ryczącym osłem.

- O rety, będziesz teraz zupełnie nieznośna. A ja za bardzo się boję, żeby ci się odciąć, - wyznaje Tom.

- Nawet nie wiesz, jak mnie to uszczęśliwia, Thomasie. – Fowlson rusza, żeby otworzyć przed nami drzwi, ale ja docieram do nich pierwsza. – Poradzę sobie, dziękuję.

- Dokąd jedziemy? – pyta mój brat, przeciskając się obok mnie i sadowiąc się w środku bez najmniejszego zainteresowania resztą towarzystwa. Wrócił stary porządek.

- Do miejsca, w którym będziesz mile widziany – odpowiadam. – Panie Fowlson, proszę nas zawieść do Stowarzyszenia Hipokratesa, jeśli łaska.

Fowlson zakłada ręce na piersi i odwraca wzrok.

- Dlaczego panienka to zrobiła? Dlaczego poprosiła panienka o mnie?

- Ufam im odrobinę mniej niż panu. I wygląda na to, że w pana wierzę odrobinę bardziej.

- Nie porzuciliby mnie – cicho mówi Fowlson.

Kartik parska.

- Jest pan tego na tyle pewien, żeby postawić na to własne życie? – pytam. – Nie dam sobie dłużej grozić. Nie mają nade mną władzy. To pańska szansa, by zostać bohaterem, panie Fowlson. Niech pan mnie nie zawiedzie. Niech pan j e j nie zawiedzie – dodaję znacząco.

- Nigdy – odpowiada, nadal patrząc w ziemię.

A ja uświadamiam sobie, że nawet pan Fowlson ma swoją piętę achillesową.

*

Fowlson łomocze głośno do drzwi siedziby Stowarzyszenia Hipokratesa, aż w końcu ktoś je otwiera.

- O co chodzi? – pyta siwowłosy dżentelmen, za którego plecami tłoczy się kilku innych.

- O pana Doyle'a. Potrzebuje waszej pomocy.

Panowie przepychają się w chmurze dymu z cygar. Osłaniając posiniaczoną twarz, Tom wysiada z powozu przy pomocy Kartika i Fowlsona, a ja podążam za nimi.

- Doyle, chłopie, co się stało? – woła siwowłosy dżentelmen.

Tom pociera obolałą szczękę.

- No, ja... ja...

- Gdy wracaliśmy z kolacji, chuligani napadli na nasz powóz – wyjaśniam, patrząc na nich niewinnym wzrokiem. – Mój drogi brat uratował nas przed złoczyńcami, którzy chcieli nas skrzywdzić.

- Ja... tak? – Tom obraca głowę w moją stronę. Błagam go wzrokiem: „Nie rób zamieszania”. – Słusznie! Tak. Przepraszam bardzo za spóźnienie.

Panowie zarzucają go pytaniami i okrzykami: „Niemożliwe!”, „Fantastyczna historia, jak do tego doszło?”, „Obejrzyjmy jego brodeń!”.

- T-to naprawdę nic t-takiego – jąka się Tom.

Mocno ściskam go za ramię.

- Nie bądź taki skromny, Thomasie. Rozprawił się z nimi bez niczyjej pomocy. Nie mieli żadnych szans przy takim dzielnym i honorowym człowieku. – Aby to powiedzieć, muszę powstrzymać dziki chichot, który narasta w moim gardle.

- Wspaniały pokaz odwagi, mój drogi – odzywa się jeden z dżentelmenów.

Tom stoi, mrużąc oczy w świetle, jak stary pies, który nie ma tyle rozumu, żeby schować się przed deszczem.

- Nie pamiętasz, Thomasie? O Boże, obawiam się, że ten cios w głowę był poważniejszy, niż myśleliśmy. Powinniśmy zawieźć cię prosto do domu, zapakować do łóżka i wezwać doktora Hamiltona.

- Doktor Hamilton jest na miejscu – mówi doktor Hamilton. Wychodzi naprzód z kieliszkiem brandy w dłoni i cygarem w zębach.

- Bez niczyjej pomocy? – dopytuje się siwowłosa.

Jakiś dżentelmen w grubych okularach klepie Toma po plecach.

- Porządny z ciebie chłop.

Młodszy mężczyzna ujmuje mojego brata pod ramię.

- Ciepła brandy zaraz postawi cię na nogi.

- Rzeczywiście, napiję się z wielką ochotą – odpowiada Tom, który jakimś cudem wygląda równocześnie na onieśmiałego i dumnego.

- Musisz nam opowiedzieć ze szczegółami, co się wydarzyło, stary – prosi doktor Hamilton, wprowadzając Toma do niewielkiego, ale przytulnego klubu.

- Cóż – zaczyna mój brat – ponieważ spieszyliśmy się bardzo, mój woźnica nieopatrznie pojechał na skrót przez doki i zgubił się. Nagle usłyszałem wołanie: „Pomocy! Pomocy! Ratunku!”.

- Coś podobnego! – zachłystują się dżentelmeni.

- Naliczyłem trzech, nie, sześciu mężczyzn o podłych charakterach, obwiesiów bez wyrzutów sumienia...

Wygląda na to, że nie tylko ja jestem obdarzona bujną wyobraźnią. Ale dziś pozwolę Tomowi na chwilę chwały, choćby nie wiem jak mnie to irytowało. Uprzejmy dżentelmen zapewnia mnie, że mój „bohaterski brat” będzie pod dobrą opieką, a ja jestem pewna, że po dzisiejszej opowieści Tom ma zapewnione miejsce w stowarzyszeniu.

- Tom! – wołam do niego. – Pan Fowlson odwiezie mnie do Spence, dobrze?

- Hm? Tak, oczywiście. Jedź do Spence. – Odprawia mnie machnięciem dłoni. – Och, Gemmo?

Odwracam się.

- Dziękuję ci. – Uśmiecha się, po raz kolejny rozrywając ranę na wardze. – Auć!

Fowlson przygotowuje powóz. Podczas jazdy Kartik siedzi obok mnie. Londyn przesuwa się za oknami w całej swojej chwale: kominiarze wędrując do domów z twarzami brudnymi od sadzy pod koniec ciężkiego dnia pracy, adwokaci w porządnie wyszczotkowanych kapeluszach, kobiety w falbanach i koronkach. A nad Tamizą rzeczni szabrownicy grzebią w śmieciach i mule, szukając skarbów – monety, eleganckiego zegarka, zgubionego grzebienia, lśniących okruchów szczęścia, które odmienią ich los.

- Strzeż się majowych narodzin, strzeż się majowych narodzin – mamroczę. – Jak to się może odnosić do Kirke? Nie wiedziała wtedy, że do niej przyjdę – mówię na głos.

Kilkakrotnie powtarzam ten zwrot, obracając go w myślach i przychodzi mi do głowy nowy pomysł. – Urodziny. Ostrzeżenie może dotyczyć daty urodzin. Kiedy urodził się Amar?

- W lipcu – odpowiada Kartik. – A ty dwudziestego pierwszego czerwca.

- Miło, że pamiętasz.

- Spotkaliśmy się wtedy po raz pierwszy.

- A kiedy są twoje urodziny? – pytam, uświadamiając sobie, że nie wiem i nigdy nie pytałam.

- Dziesiątego listopada – wyznaje.

- To się chyba wyklucza, co? – mówię i pocieram skronie.

Coraz wyraźniej słyszę odgłosy portu. Zbliżamy się do doków. Jest coś znajomego w tym miejscu. Czułam to, gdy przyszlismy z Kartikiem na spotkanie z Tobym.

- W zamglony, smutny brzeg – powtarzam fragment wiersza Yeatsa, który znalazłam w książce Wilhelminy.

Ilustracja na stronie obok przedstawiała marynistyczny obraz na ścianie. A jeśli to nie był obraz, tylko okno?

- Fowlson! – wołam. – Niech pan zwolni!

- Nie zrobię tego. Nie tutaj – odkrzykuje z kozła.

- Dlaczego?

- To najpaskudniejsze możliwe miejsce. W Kluczu pełno jest prostytutek, przestępców, morderców, narkomanów i innych takich. Wiem, co mówię. Pochodzę stąd.

Czuję łaskotanie w żołądku.

- Jak pan nazwał tę dzielnicę?

Powtarza wyraźnie, jakbym była niedorozwiniętym dzieckiem.

- Klucz. Musiała panienka oszaleć, żeby myśleć, że zatrzymam tu ten elegancki powóz.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY DRUGI

- Nie podoba mi się to – mruczy pod nosem Fowlson, stawiając kołnierz, by się ochronić przed lepką wilgocią, kiedy idziemy po śliskim bruku w ciemnościach. W dłoni niczym talizman trzyma nóż sprężynowy.

Znad rzeki napływa odrażający smród.

- Na pewno to miejsce jest nazywane Kluczem? – upewniam się.

Domy, o ile można je określić tym mianem, są wąskie i powykrzywiane niczym zęby nędzarki.

- Zawsze tak je nazywaliśmy. Z powodu przystani i doków. Że to niby brama na świat. No więc nazywa się dzielnię Kluczem. Niby że do bramy.

- Dzięki za wykład – mamrocze Kartik.

- Czego się czepiasz? – złości się Fowlson.

Powstrzymuję ich.

- Panowie, zachowajmy spokój. Będziecie mieli jeszcze mnóstwo czasu, żeby skakać sobie do oczu, mam nadzieję.

Przemierzamy ciemne, kręte uliczki. Tak jak ostrzegał Fowlson, w cieniach kryją się różne typy, którym nie mam ochoty przyglądać się bliżej.

- Niedaleko jest Urząd Celny – wyjaśnia Fowlson.

- Brigid mówiła, że Wilhelmina przyjechała do Londynu, zgubiła się na tydzień w okolicach Urzędu Celnego. A może знаła to miejsce? Może, co dziwne, tutaj czuła się bezpiecznie?

Skracamy na kolejnym rogu, i na następnym, aż dochodzimy do kilku rozpadających się budynków przy starej przystani. Słyszę statki, które nawzajem się nawołują. Jest stąd dobry widok na port.

- To tutaj – mówię. – Rozpoznaję to miejsce z moich wizji. Dalej, Wilhelmino – szepczę.

- Nie zawieź mnie teraz.

I nagle staje przede mną w lawendowej sukni.

- Widzicie ją? – pytam cicho.

- Kogo? – denerwuje się Fowlson, wyciągając przed siebie nóż.

- Ja nie – mówi Kartik. – Ale ty ją widzisz. Pójdziemy za tobą.

Wilhelmina przechodzi przez ścianę rozpadającego się domostwa, które nadaje się tylko do rozbiórki.

- Tutaj – informuję ich.

Fowlson cofa się.

- Oszalałaś, panienko?

- Być może, panie Fowlson – odpowiadam. – Lecz nie dowiem się tego, dopóki nie wejdem do środka. Nie musi pan ze mną iść.

Kartik kopniakiem wyważa rozpadające się drzwi i wchodzi jako pierwsza do gnijącego, porzuconego budynku. Jest tu ciemno, śmierdzi pleśnią i słoną wodą. Szczury hałasują po kątach. Tupot ich ruchliwych łapek sprawia, że przechodzi mnie dreszcz. Kartik staje u mojego boku z wyciągniętym nożem.

- Cholera jasna – Fowlson przeklina pod nosem, ale wyczuwam jego strach.

Wchodzimy po przegniłych schodach. U ich szczytu leży mężczyzna bardziej martwy niż żywy. Czuć od niego alkohol. Ściany łuszczą się od wilgoci i zgnilizny. Kartik ostrożnie rusza ciemnym korytarzem, a ja tuż za nim. Mijamy otwarte drzwi, za którymi zauważam kilka osób leżących na podłodze. Jedna kobieta na chwilę unosi głowę, ale zaraz znów opiera podbródek na piersi. Odór uryny i odpadków unosi się w pokoju niczym intensywne perfumy.

Atakuje mój nos i zaczynam się dławić. Muszę oddychać przez usta. Robię, co mogę, żeby nie uciec stąd z wrzaskiem.

- Proszę, Wilhelmino – szepczę, a potem widzę ją tuż przed sobą, jaśniejącą w ciemności.

Przechodzi przez ostatnie drzwi. Naciskam klamkę, ale zamek kompletnie zardzewiał.

Kartik napiera na nie ramieniem, lecz nie chcą ustąpić.

- Odsuń się – mówi Fowlson. Otwiera nóż i grzebie w zamku, aż drzwi odrobinę się poddają. – Powiedział, że umiem posługiwać się nożem.

- To prawda, panie Fowlson. Dziękuję.

Pchnięciem otwieram drzwi, które trzeszczą, jakby się złościły, że ktoś je budzi. W pokoju panuje mrok. Jedyne światło wpada przez małe okienko z widokiem na Tamizę i statki, które wzięłam za obraz marynistyczny na ilustracji w książce. Nie ma żadnych wątpliwości: to jest pokój z moich wizji.

- Co to za miejsce? – pyta Fowlson, kaszląc w wilgotnym powietrzu.

- Zaraz się dowiemy – odpowiadam. – Ma pan zapalniczki?

Fowlson wyciąga z kieszeni kamizelki małe pudełeczko i podaje mi je. Zapalam zapalniczkę, dodając smród siarki do pozostałych unoszących się w pokoju. W jej świetle dostrzegam stół, a na nim lampę pokrytą pajęczynami. Pozostał w niej mały ogarek świecy. Zapalam go i podnoszę lampę, który wydobywa pokój z mroku.

- A niech to! – Fowlson aż sapie z wrażenia.

Całe ściany pokryte są słowami. A na środku jednej z nich znajduje się rysunek Drzewa Wszystkich Dusz, z którego konarów zwieszają się martwe ciała.

Litery są już nieco zatarte przez czas, ale odcyfrowuję to, co się da.

- „Widzę w ciemności. Ona stała się drzewem. Są jednym. Jej szlachetna moc została zbrukana”.

- „Oszukała nas wszystkich” – czyta Kartik. – „Monstrum”.

- „Najlepsza z nas wszystkich już nie jest dobra. Moja siostra odeszła” – czytam.

Spoglądam na drzewo. – Eugenia – szepczę.

Fowlson staje za mną.

- To znaczy, że Eugenia Spence jest teraz... tym?

- „Prawdę odnajdziesz w Kluczu”. Tak powiedziała, a ja jestem już na nią gotowa. –

Przykładam dłoń do ściany i wołam do Wilhelminy. – Pokaż mi!

Lampa świeci coraz jaśniej, ściany znikają i trafiam do Krainy Zimy w dniu pożaru. Mocny wiatr przewiewa piach i śnieg. Potężny tropiciel w czarnym płaszczu długim jak tren królowej mocno wpija się palcami w ramię Eugenie Spence, która, klęcząc, rzuca amulet mojej mamie.

- Zamknij drzwi do międzyświata! Uciekaj, szybko!

Mama posłusznie zabiera Sarę do Wschodniego Skrzydła, a Eugenia wypowiada zaklęcie, żeby zabezpieczyć międzyświat.

Tropiciel pochyla się nad nią.

- Nie pozbędziesz się nas tak łatwo, kapłanko. To, że nas odtrącasz, nie oznacza, że nie istniejemy.

Przewraca ją mocnym uderzeniem w twarz. Jej krew rozchlapuje się na lodzie i śniegu jak poszarpane płatki maku. Eugenia się boi.

Pojawia się kolejny tropiciel.

- Zabij ją! – warczy, pokazując ostre zęby.

- Jeśli to zrobimy, zdobędziemy jej magię, ale nie magię Świątyni! Nadal nie zyskamy dostępu do ich świata – ripostuje pierwszy. – Nie złożymy cię w ofierze, jeszcze nie teraz. Pomożesz nam przedostać się do swojego świata.

Eugenia z trudem wstaje.

- Nigdy tego nie zrobię. Nie złamiecie mnie. Moja lojalność jest niekwestionowana.

- To, co niekwestionowane, jest najbardziej bezbronne. – Tropicieleł uśmiecha się. – Wobec drzewa.

Prowadzą ją do Drzewa Wszystkich Dusz, które nie wygląda jeszcze tak majestatycznie jak teraz. Jeden z potworów kaleczy Eugenię w rękę, a ona krzyczy z bólu i z przerażeniem uświadamia sobie, co zamierzają z nią zrobić. Ale protestuje nadaremnie. Tropiciele spryskują jej krwią korzenie drzewa i po kilku sekundach gałęzie krzyżują się wokół jej nóg i oplatają ciało.

- Gdy jej krew zostanie przelana, będzie musiała zjednoczyć się z drzewem.

Gałęzie i korzenie oplatają ją coraz mocniej i pochłaniają, aż w końcu staje się częścią drzewa i łączy się z nim duszą.

- Wypuście mnie, proszę – błaga szeptem.

Widzę uwięzioną w drzewie Eugenię, której umysł przez lata rozszczenia się na drzazgi. Widzę ten pierwszy raz, gdy żąda ofiary, a maleńki odprysk czerwieni pojawia się wśród chmur kłębiących się nad Krainą Zimy.

Zatrwożone istoty gną się przed nią w ukłonie.

- Jesteśmy zagubieni i potrzebujemy przywódcy, potrzebujemy matki. Zechcesz nas poprowadzić?

Kończyny drzewa wyciągają się i oplatają wokół potworów niczym opiekuńcze ramiona. Rozlega się głos Eugenii, który powtarza niczym kołysankę:

- Tak... tak...

Mgła gęstnieje, drzewo znów przemawia.

- Nadchodzi ta, która ma wielką moc. Ona da nam to, czego pragniemy.

- Przelejemy jej krew pod drzewem! – grzmi tropiciel, wzbudzając entuzjazm zebranych.

- Ale najpierw zadbam o to, byśmy mogli wrócić do świata śmiertelników – mówi drzewo.

Scena przenosi się do teatru. Wilhelmina pisze na tabliczce: *Powinnyście odbudować Wschodnie Skrzydło i odzyskać międzyświat. Zakon musi zwyciężyć.*

Łzy radości płyną po policzkach Wilhelminy, gdy otrzymuje wiadomość od swojej ukochanej Eugenii. Pokazuje ją pannie McCleethy i Zakon zaczyna wdrażać plan w życie. Czy mógłby zlekceważyć takie polecenie?

Ale Wilhelmina sięga wzrokiem w ciemność i wkrótce wie więcej. Znów znajduję się w obskurnym pokoiku i patrzę, jak wypisuje rozpaczliwe przesłanie na ścianach. A kiedy nie może już znieść tej świadomości, wpija sobie igłę w żyłę i osuwa się w zapomnienie. Widzę, jak próbuje ostrzec Zakon w błagalnych listach, ale kokaina i lęk sprawiają, że jest mało wiarygodna. Budzi niepokój w siostrach, które ją odtrącają. A kiedy w ostatniej, rozpaczliwej próbie dotarcia do nich pisze książkę, uznają ją za zdrażczynię i kłamczuchę.

Wydana na pastwę narkotyku Wilhelmina podejmuje ostatni wysiłek. Ukrywa sztylet w tabliczce i wychodzi w zimną noc. Umysł ma znużony i w każdym ciemniejszym zaułku widzi zjawy – tropicieli oraz inne potwory. Alejką z łoskotem przejeżdża powóz, który w jej oczach wydaje się widmem. Biegnie na nabrzeże, traci równowagę na śliskim kamieniu, uderza głową o molo i wpada do Tamizy. A kiedy szabrownicy znów topią jej martwe ciało, Wilhelminę otacza ciemność, której tak się bała, a która teraz już nie ma znaczenia. Powoli opada w głębinę, a ja za nią.

Wyrwam się z wizji z głośnym jękiem. Kartik stoi obok mnie i gładzi mnie po włosach. Wygląda na zmartwionego.

- Bardzo dugo byłaś w transie. Nic ci nie jest?

- Długo... - powtarzam. Boli mnie głowa.

- Co widziałaś?

- Potrzebuję powietrza. Muszę odetchnąć – udaje mi się wydyszeć. – Na zewnątrz.

Wilgotny wiatr znad rzeki uderza mnie w twarz i po chwili dochodzę do siebie. Opowiadam im wszystko.

- Nikt nie zabił Wilhelminy – mówię, patrząc na łodzie kołyszące się na rzece. – To był wypadek. Poślizgnęła się, uderzyła w głowę i utonęła. Głupia, głupia! – Równie dobrze mogłabym mówić o sobie. Pozwoliłam, żeby wszystko wymknęło mi się z rąk.

Nie, jeszcze nie. Nadal mogę ich powstrzymać. Jest jeszcze trochę czasu.

- Panie Fowlson, musimy natychmiast pędzić do Spence. Jak szybko może pan nas tam dowieźć?

Uśmiecha się lekceważąco.

- Tak szybko, jak sobie panienska życzy.

- No to nie ociągajmy się – decyduję.

Pędzimy do powozu, który dzięki Bogu nadal stoi na swoim miejscu, po czym Fowlson wiezie nas na wschód, do szkoły.

- Amar próbował mnie ostrzec – mówię do Kartika.

- Gemmo, on jest stracony. Nie musisz...

- Nie, naprawdę. „Strzeż się majowych narodzin”. Chodziło o datę urodzin. Wilhelmina próbowała pokazać mi nagrobek. Eugenia Spence urodziła się szóstego maja. To jutro.

Kartik spogląda przez okno na wschodzące słońce.

- Raczej dzisiaj.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY TRZECI

Zanim naszym oczom ukazuje się Spence, dzień wstaje nad ciemnozieloną krainą niczym miraż. Ze wschodu nadciąga burza. Wiatr wieje gwałtownie, zrywając liście z drzew. W oddali na niebie siedzi ciemny cień jak kot przyuczony do skoku. Spadają pierwsze krople deszczu, które zostawiają brzydkie, mokre plamy na mojej sukni.

Nie zatrzymuję się nawet po to, by zdjąć rękawiczki. Pędzę przez szkołę w poszukiwaniu Felicity i Ann, po czym opowiadam im wszystko i proszę, żeby na mnie poczekały. A potem idę do pani Nightwing. Zastaję ją w kuchni, gdzie wydaje Brigid polecenia dotyczące prowadzenia domu.

- Panno Doyle! Nie spodziewaliśmy się pani. Jak się miewa pani ojciec...

- Przepraszam, ale muszę z panią porozmawiać w bawialni. To dość pilna sprawa. Proszę zawołać również pannę McCleethy.

Niepokój w moim głosie alarmuje dyrektorkę. Nawet mnie nie karci za brak manier. Kilka minut później wchodzi do bawialni, a za nią podąża McCleethy, która blednie na widok Fowlsona.

- Pan Fowlsona, co za niespodzianka.

- Sahiro, powinnaś posłuchać – odpowiada on.

- Wiem o sekretnym planie, by odbudować Wschodnie Skrzydło i wejść znów do międzyświata. O planie, który podpowiedziała wam Eugenia Spence – odzywam się.

Panna McCleethy siada jak na komendę. Po wyrazie jej twarzy widać, że jest wstrząśnięta.

- Zapewniła was, że jeśli wybudujecie basztę, znów będziecie mogli przywołać drzwi i wejść do międzyświata. Ale ja już otworzyłam te drzwi.

Nauczycielka szeroko otwiera oczy. Pani Nightwing przenosi wzrok z niej na mnie, a potem na Kartika i na Fowlsona, jakby czekała, aż ktoś jej wszystko wyjaśni.

- Nie ma znaczenia, że weszłam tam pierwsza. Ten plan to podstęp. Eugenia was oszukała. „To zdrajczyńi”, jak powiedziała Wilhelmina. Próbowwała was ostrzec, ale uważałyście ją za kłamczuchę – mówię, chodząc tam i z powrotem przed kominkiem. – Eugenia przez cały ten czas była w zмовie z potworami. Odbudowa Wschodniego Skrzydła zerwała pieczęć między światami. Nie chciała dać wam dostępu do międzyświata. Chciała dać tamtym stworom dostęp do naszego świata.

Pani Nightwing głośno wciąga powietrze.

- To niemożliwe.

- Wilhelmina próbowała mnie uprzedzić o tym w wizjach. Ona i Amar powtarzali, żebym się strzegła majowych narodzin. Myślałam, że chodzi o pierwszy maja, tymczasem chcieli mnie ostrzec przed osobą urodzoną w maju. Chodziło im o Eugenię Spence, która oszukała Minę. Zdradziła nas wszystkie. Wiem, że to brzmi, jakbym oszalała, ale mówię prawdę.

Pani Nightwing wygląda, jakby ktoś ją spoliczkował. Na jej twarzy maluje się lęk.

- Chce pani zasugerować, że Eugenia Spence, jedna z największych kapłanek w historii Zakonu, zdradziła własne siostry?

W oczach panny McCleethy widnieją żądza mordy. Znieważylam jej boginię i chętnie by mnie za to zabiła.

- Jak mogłaby to zrobić? – pyta Nightwing.

Biorę głęboki, uspokajający wdech.

- Jest takie miejsce w Krainie Zimy, Drzewo Wszystkich Dusz. Słyszały panie o nim?

- Owszem, słyszałam o nim. To legenda, mit – prychna McCleethy. – Tamtejsze istoty nie mają własnego źródła mocy. Dlatego próbowały przejąć magię Świątyni...

- Proszę mnie wysłuchać – przerywam jej. – Myli się pani. One...

- Sama Eugenia powiedziała nam, że to nieprawda! – upiera się nauczycielka.
- Bo się go bała! – krzyczę. – Dlatego spaliła rysunki Wilhelminy! Dlatego zaprzeczała jego istnieniu. Ale zapewniam, że drzewo jest zupełnie prawdziwe. Widziałam je na własne oczy.
- Byłaś w Krainie Zimy – szepcze pani Nightwing, blada jak prześcieradło. Twarz panny McCleethy wyraża czystą furię:
- Ty głupia, głupia dziewucho!
- Może gdyby Zakon nie bał się Krainy Zimy, gdyby nie zakazywał do niej wstępu przez tyle lat, wiedziałby o niej więcej!
- Wiemy o Krainie Zimy i tych odrażających kreaturach to, co trzeba: że należy nad nimi zapanować i je zniszczyć.
- Nigdy ich nie zniszczycie, to niemożliwe. Te istoty karmią drzewo duszami zmarłych i żywych. Wchodzą do naszego świata przez sekretne drzwi i porywają ludzi. To właśnie się stało z pracownikami Millera, wędrownymi aktorami, Ithalem. Zostali porwani! Widziałam tak potworne rzeczy, że myślałam już, iż tracę rozum. Eugenia powiedziała mi, że będziecie pokazywały mi różne iluzje, aż będę myślała, że popadam w obłąd, a ja jej uwierzyłam.
- Bo popadłaś w obłąd! – McCleethy podnosi głos.
- Fowlson wyciąga rękę.
- Sahiro, a jeśli...
- Jej oczy płoną.
- Milcz. – I Fowlson, brutal, cichnie jak ten przerażony chłopiec w kuchni swojej matki. – Eugenia Spence była najlojalniejszą członkinią Zakonu, jaka kiedykolwiek żyła! A pani jest córką tej, która prawie ją zabiła. Dlaczego mam pani wierzyć?
- Jej słowa ranią, ale nie mam czasu, żeby się obrażać.
- Bo mówię prawdę. Kiedy Eugenia poświęciła się dla Sary i Mary, nakarmili jej duszą swojego boga: drzewo. Stała się jego częścią, ich moce się połączyły. A w miarę upływu czasu, przeradzali się w coś nowego, coś niezwykle potężnego. Eugenia nie jest już tym, kim była. Nie jest tą osobą, którą znaliście.
- Sahiro, obiecywałaś, że to będzie bezpieczne – szepcze pani Nightwing.
- Lillian, ona zmyśliła całą tę opowieść. To żalosne! Eugenia Spence!
- Tak rozpaczliwie chce pani mieć rację, nie przyznać się do żadnej pomyłki, że zignoruje pani moje ostrzeżenie? – pytam.
- Panno Doyle, dlaczego nie powie pani prawdy: że nie chce pani podzielić się mocą i że gotowa jest pani na wszystko, byle tylko zatrzymać ją dla siebie? – Panna McCleethy zwraca się do Fowlsona. – Jak mogłeś jej uwierzyć?
- Fowlson spuszcza wzrok. Nerwowo mnie kapelusz w dłoniach.
- Spojrzenie nauczycielki jest zimne.
- Dałyśmy pani szansę, by mogła się pani do nas przyłączyć, panno Doyle, ale pani odmówiła. Sądzi pani, że jedna dziewczyna może nas powstrzymać?
- To nie jest pytanie wymagające odpowiedzi, więc nic nie mówię.
- Będziemy realizowały nasze plany z panią lub bez niej.
- Proszę – mówię z rozpaczą. – Proszę mi uwierzyć. Oni potrzebują mojej magii, żeby dokończyć dzieła. Zamierzają złożyć mnie w ofierze dzisiaj, szóstego maja, w urodziny Eugenii. Musimy znaleźć sposób, żeby ich powstrzymać.
- Dość już usłyszałam. – McCleethy wstaje.
- Przez twarz Nightwing przebiega cień niepokoju.
- Może...
- Lillian, ty też nie zapominaj, gdzie jest twoje miejsce. – Drzwi za McCleethy zamykają się niemal bezszelestnie.

Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś zwracał się do naszej dyrektorki w taki sposób. Czekam, aż mnie odprawi, aż znowu zacznie być panią Nightwing – władczą, kontrolującą, nieomylną.

- Sahiro... - mówi Fowlson, wychodząc za swoją kochanką.

Słyszę, jak się spierają ożywionym szeptem za drzwiami. Głos panny McCleethy jest twardy i energiczny, Fowlsona spokojniejszy i potulny.

- Nie jestem członkinią Zakonu – wyjaśnia dyrektorka Kartikowi i mnie. – Moja moc się nie utrzymała, znikła po kilku miesiącach. Widać nie była mi pisana. Wyjechałam ze Spence i próbowałam ułożyć sobie życie poza Zakonem, w małżeństwie. A gdy jego moc też znikła, wróciłam, żeby pomagać. Wybrałam życie w służbie, to żaden wstyd. – Wstaje. – Kobiety walczyły i ginęły dla dobra międzyświata. Może mogłaby się pani nagiąć choć trochę.

Spódnice dyrektorki szeleszczą sztywno, muskając podłogę, a po chwili zostaje sama z Kartikiem. Wkrótce ranek zamieni się w popołudnie. Zapadnie zmierzch, a potem noc.

Do pokoju wpadają przejęte Ann i Felicity.

- Podśłuchiwałyśmy pod drzwiami – wyjaśnia Ann – zanim McCleethy wyszła.

- Więc wiecie, że mi nie wierzą. Uważają mnie za taką samą wariatkę i kłamczuchę jak Wilhelmina Wyatt – mówię. – Jesteśmy zdane na siebie.

Felicity kładzie dłoń na moim ramieniu.

- Może się mylisz, Gemmo.

Tym razem mam szczerą nadzieję, że rzeczywiście się mylę. Bo jeśli po mnie przyjdą, to nie mam pojęcia, jak ich powstrzymać.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Deszcz z furią łomocze o nasze okna. Wiatr wyje uparcie, jak zwierzę błagające, by je wypuścić w noc. Felicity i Ann bez entuzjazmu grają w pchełki, żeby jakoś utrzymać nerwy na wodzy. Pstrykają w siebie kolorowymi krążkami, ale nie notują wyników. Na zewnątrz Kartik wraz z Fowlsonem trzymają wartę. Panna McCleethy rozzłościła się z tego powodu, ale dyrektorka się uparła, a ja jestem jej za to wdzięczna. Żałuję, że nie mam tu inspektora Kenta, lecz zabrał mademoiselle LeFarge w odwiedzinach do swoich krewnych w Londynie.

Obserwuję przez okno wściekłą wichurę. Herbata stoi nietknięta, bo jestem zbyt niespokojna, żeby ją wypić. Brigid siedzi przy kominku w dużym fotelu z zausznikami i zabawia młodsze dziewczęta opowieściami, które uwielbiają, więc wciąż błagają o więcej.

- Widziałas kiedyś jakieś zjawy, Brigid? – pyta jedna z najmłodszych uczennic.

- Taa – ponuro potwierdza gospodyni.

- Ja też widziałam – odpowiada dziewczę o ciemnych lokach i dużych oczach.

Brigid uśmiecha się jak pobłażliwa ciocia.

- Naprawdę, kochanieńka? Skradły paniencie buciki czy zrobili zakalec w cieście?

- Nie, widziałam je wczoraj w nocy na tylnym trawniku.

Włoski na moich ramionach natychmiast stają dęba.

Brigid marszczy brwi.

- Głupoty panienska opowiada.

- To nie głupoty! – protestuje dziewczynka. – Widziałam je wczoraj w nocy z mojego okna. Chciały, żebym przysłała się pobawić.

Przeżykam z trudem.

- Jak wyglądały?

Brigid łaskocze małą.

- Niechże da spokój! Chce panienska nastraszyć starą Brigid!

Na twarzy pani Nightwing maluje się prawdziwy lęk. Nawet panna McCleethy słucha z zainteresowaniem.

- Przysięgam – mówi szczerze dziewczynka. – Na swoje życie. Widziałam jeźdźców w czarnych płaszczach. Ich biedne konie były takie zziębnięte i wychudłe. Zachęcali mnie, żebym zeszła na dół i pojechała z nimi, ale za bardzo się bałam.

Ann bierze mnie za rękę. Czuję strach pulsujący pod jej skórą.

W głosie pani Nightwing pojawia się trwoga.

- To było wczoraj w nocy, Sally?

- Lillian – odzywa się ostrzegawczym tonem panna McCleethy, ale dyrektorka ignoruje ją.

Mała dziewczynka z przejęciem kiwa głową.

- Mieli ze sobą jednego z tych wędrownych aktorów. Tego wysokiego i zabawnego.

Powiedzieli, że wrócą dzisiaj.

Wiatr wyje, aż moja filiżanka dzwoni o spodek.

- Sahiro? – Twarz pani Nightwing przybrała kolor popiołu.

Panna McCleethy nie pozwoli, by pożar rozprzestrzenił się wśród uczennic, ugasi go, tak jak chciała to zrobić Eugenia wiele lat temu.

- Posłuchaj mnie, Sally. Miałaś sen, to wszystko. Po prostu nieprzyjemny sen.

Dziewczynka kręci głową.

- To się działo naprawdę! Widziałam ich.

- Nie, wcale nie – mówi Brigid. – Już tak to dziwnie jest ze snami.

- Może rzeczywiście to był sen – przyznaje w końcu mała.

Zasiały w niej wątpliwości. Właśnie tak to się odbywa. Tak zaczynamy wątpić w to, co jest prawdą.

- Dzisiaj na noc dostaniesz szklanek pysznego, ciepłego mleka i nie będą cię niepokoiły żadne sny – zapewnia ją panna McCleethy. – A teraz Brigid musi wrócić do swoich obowiązków w kuchni.

Mimo błagań o jeszcze jedną opowieść gospodyni pośpiesznie opuszcza wielki salon.

- Gemmo? – odzywa się Ann głosem napiętym ze strachu.

- Chyba jednak się nie mylę – odpowiadam szeptem. – Istoty z Krainy Zimy były tu. I zdaje się, że zamierzają wrócić.

Pani Nightwing odprowadza mnie na bok.

- Zawsze byłam lojalna i wypełniałam rozkazy. Ale obawiam się, że ma pani rację w kwestii tych drzwi, panno Doyle. Jestem odpowiedzialna za moje dziewczęta i muszę przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności. – Chusteczką do nosa osusza szyję. – Nie możemy ich wpuścić.

- Czy Cyganie już odjechali?

- Zamierzali wyruszyć dziś rano – wyjaśnia dyrektorka. – Nie wiem, czy to zrobili.

- Proszę posłać Kartika po matkę Elenę – proponuję. – Może ona będzie wiedziała, jak pomóc.

Jakiś czas później Kartik wprowadza kruchą, schorowaną Cygankę do kuchni.

- Należy wykonać znak krwią – wyjaśnia matka Elena. – Trzeba działać szybko.

- Nie będę tego słuchał – oburza się Fowlson.

- Ona próbuje nam pomóc, bracie – uspokaja go Kartik.

Fowlson pręży pierś i z pogardliwym uśmiechem podchodzi bliżej. Znow górze bierze jego dawna osobowość.

- Nie jestem twoim bratem. Jestem prawdziwym przedstawicielem Rakshana, nie zdrajcą.

- Raczej prawdziwym bandziorem – ripostuje Kartik.

Fowlson idzie naprzód, aż stają nos w nos.

- Dokończę to, co z tobą zacząłem.

- Nie krępuj się – warczy Kartik.

Wchodzę między nich.

- Panowie, jeżeli przeżyjemy dzisiejszą noc, będziecie mieli mnóstwo czasu na mecz bokserski. Ale ponieważ teraz czekają na nas ważniejsze sprawy niż drobne utarczki, musicie odłożyć swoje animozje na bok.

Wycofują się, ale dopiero po tym, jak Fowlson rzuca na odchodnym:

- Ja tutaj rządę.

- Hugo, daj spokój – upomina go panna McCleethy.

- Hugo? – powtarzam ze zdumieniem. Widzę, jak Kartik rozciąga usta w uśmiechu.

Twarz Fowlsona się chmurzy.

- Obiecałaś, że nie będziesz się tak do mnie zwracać.

- Umarli nadchodzą. Nadchodzą, nadchodzą... - mamrocze pod nosem matka Elena, przypominając o naszym koszmarnym zadaniu.

- Jak możemy ich powstrzymać? – pytam.

- Oznaczyć okna i drzwi – odpowiada. – Choć to może nie wystarczyć.

- Nie uda nam się oznaczyć wszystkich okien i drzwi – protestuję.

- Zrobimy, ile się da – mówi Kartik.

Matka Elena każe mieszać krew kurczaka z popiołem, a miksturę rozlewa do miseczek i rozdaje nam wszystkim. Drzwi do wielkiego salonu otwierają się i wchodzimy z minami wyrażającymi ponurą determinację. Dziewczęta wzdychają głęboko na widok matki Eleny i Kartika, zafascynowane starą Cyganką mamroczącą coś pod nosem, a także przystojnym młodzieńcem u jej boku.

- Co się dzieje? – pyta Felicity.

Ann zagląda do miseczki z krwią i popiołem, którą trzymam w ręku.

- Co to takiego?

- Ochrona – odpowiadam, podając jej naczynie. – Rób, co każe matka Elena.

Rozchodzimy się wzdłuż ścian wielkiego salonu, szybko przechodząc od okna do okna i sprawdzając, czy są dokładnie zamknięte. Matka Elena macza palec w niewielkiej metalowej czarce. Jak najszybciej może, maluje okno krwawy popiołem, po czym zajmuje się kolejnym i kolejnym. Pani Nightwing, Ann, Felicity, Kartik i ja robimy to samo. Brigid układa maleńkie gałązki jarzębiny na parapetach jedną ręką, podczas gdy drugą mocno ściska swój krzyżyk.

Dziewczęta przyglądają się nam z chorobliwą fascynacją.

- Brigid, co ty robisz? – pyta uczennica z wielką różową wstążką we włosach.

- Nic takiego, słoneczko – zbywa ją gospodyni.

- Ale, Brigid...

- To taka gra – wtrącam radośnie. Wymieniamy z Brigid spojrzenia.

Podeksycytowane dziewczęta klaszczą w dłonie.

- Jaka gra?

- Dziś wieczorem będziemy udawać, że przyjdą zjawy. Aby nie wpuścić ich do środka, musimy wypisać znaki ochronne na wszystkich drzwiach i oknach – odpowiadam.

Brigid nic nie mówi, ale oczy ma wielkie jak spodki. Dziewczęta piszczą z zachwytu. Też chcą wziąć udział w zabawie.

- Co to jest? – Elizabeth zagląda do miseczki i marszczy nos. – Wygląda jak krew.

Martha i Cecily z wyższością odwracają głowy.

- Doprawdy, proszę pani, to nie po chrześcijańsku – fuka Cecily.

Młodsze uczennice są zachwycone. Wrzeszczą:

- Pokażcie! Chcemy zobaczyć!

- Nie bądźcie śmieszne – gani je pani Nightwing. – To tylko sherry i melasa.

- Nie pachnie jak sherry i melasa – gdera Elizabeth.

Brigid rozlewa cuchnącą maź do małych filiżanek.

- Proszę, wszystkie nam pomóżcie.

Dziewczęta z powątpiewaniem biorą filiżanki. Wąchają miksturę i odchodzą, marszcząc nosy i układając buzie w ciup, ale każda posłusznie maluje znak na oknie i wkrótce przeradza się to w wesołą rywalizację o to, kto pomaluje więcej. Śmieją się i przepychając w walce o miejsca. Na czole Brigid pojawiają się kropelki potu. Ociera je wierzchem dłoni.

Wspólnie malujemy znaki na wszystkich drzewach i oknach. Teraz pozostaje nam tylko czekać. Zmierzch zbyt szybko przechodzi w noc. Różowe i błękitne odcienie dnia najpierw zmieniają się w szarość, a potem w granat. Nie mogę zmusić światła, by nie odchodziło. Nie mogę powstrzymać ciemności. Wyglądamy na zewnątrz w bezwzględną noc, ale światła Spence oślepiają nas i nie widzimy cieni lasu.

Powietrze wydaje się nieruchome jak sama śmierć. Jest ciepło i moja skóra robi się wilgotna. Rozluźniam kołnierzyk. Około dziewiętej młodsze dziewczynki już są znużone czekaniem na pojawienie się zjaw.

Ziewają szeroko, lecz Brigid mówi im, że musimy zostać razem w wielkim salonie aż do północy – to część gry – więc zgadzają się. Starsze uczennice wymieniają spojrzenia pełne dezaprobaty, zde gustowane obecnością Cyganki. Plotkują nad robótkami, a płytkie ściegi pasują do ich płytkich rozmów. Jestem czujna i wystraszona. Każdy dźwięk, każde poruszenie przeraża. Czy to oni? Czy już przyszedli po nas? Nie, to tylko trzask deski w podłodze, syk gazowej lampy.

Pani Nightwing trzyma w rękach książkę, ale jej nie czyta. Jej oczy bezustannie wędrują od okien do drzwi. Felicity i Ann grają w wista w namiocie, ale ja jestem zbyt niespokojna, by do nich dołączyć. Zamiast tego trzymam matkę Elenę za rękę i wpatruję się w stojący na

kominku zegar, jakbym mogła dzięki niemu odgadnąć przyszłość. Dziesiąta. Piętnaście po. Wpół do jedenastej. Czy dzień minie i nic się nie wydarzy? Czy znów się pomyliłam?

Druga wskazówka porusza się. W moich uszach brzmi to jak wystrzał z armaty. Trzy, *bum*, dwa, *bum*, jeden. O jedenastej większość dziewcząt już śpi. Kartik i Fowlson trzymają wartę przy zamkniętych drzwiach, z rzadka rzucając sobie gniewne spojrzenia. Siedząca obok mnie matka Elena zapadła w niespokojny sen.

Ci z nas, którzy jeszcze nie zasnęli, siedzą prosto w oczekiwaniu niebezpieczeństwa. Pani Nightwing kładzie książkę na krawędzi stołu. Brigid ściska mocno paciorki różańca. Jej usta poruszają się w cichej modlitwie. Minuty mijają. Pięć, dziesięć, piętnaście. Nic. Ciemność na zewnątrz jest cicha i niczym niezakłócona. Wpół do dwunastej. Zostało już tylko pół godziny tego dnia. Powieki zaczynają mi ciążyć. Osuwam się w sen. Koi mnie stały rytm zegara. *Tyk. Tyk. Tyk. Tyk...*

Cisza.

Gwałtownie otwieram oczy. Zegar na kominku stanął. W wielkim salonie jest cicho jak w grobowcu. Kartik wyciąga nóż.

- Co to? – szepcze Brigid.

Panna McCleethy ucisza ją.

Ja też ich słyszę: ciche odgłosy końskich kopyt na trawniku przed szkołą, przejmujące krakanie ptaków. Z twarzy pani Nightwing odpływa cały kolor. Matka Elena budzi się z drzemki. Mocno ściska mnie za rękę.

- Przyszli – mówi.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

W pokoju panuje nienaturalny bezruch. Nad moją górną wargą perli się pot. Wycieram go drżącą ręką.

- Nie mogą wejść do środka – uspokaja szeptem Brigid. – Oznaczyliśmy wszystkie okna i drzwi pieczęcią ochrony.

- Mają wielką moc. Nie odstąpią, dopóki nie dostaną tego, czego chcą – mówią to, matka Elena spogląda na mnie.

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – proponuje panna McCleethy. – Koń, ptak. Może to nic takiego.

- Obiecałaś, że nic nam nie będzie grozić – powtarza pani Nightwing, jakby do siebie.

- Nie jestem przekonana, by groziło nam cokolwiek poza tym, co się stało z umysłem panny Doyle.

Z zewnątrz znów dobiegają odgłosy niepokojących koni i ptaków.

- Co to? Co się dzieje? – dziwi się zaspana Elizabeth.

- Proszę pani, czy możemy już iść do łóżek? – pyta jedna z dziewczynek.

- Ciii – ucisza ją pani Nightwing. – Nasza gra skończy się dopiero po północy.

- Panie Fowlson, zechce pan to sprawdzić? – prosi panna McCleethy.

Skinawszy głowę, Fowlson zerka przez szczelinę w zasłonach. Odwraca się i kręci głowę.

- Nic.

Brigid wzdycha z ulgą. W salonie jest bardzo ciepło.

- Opuścimy ten pokój dopiero po północy – oświadcza szeptem pani Nightwing. – To dla pewności, a potem... - Milknie i marszczy brwi.

- O co chodzi? – pyta Felicity.

Dyrektorka wpatruje się w kolumnę na środku pokoju.

- Ona... ona się poruszyła.

Moje serce łomocze gwałtownie. Instynktownie cofam się o krok. Syk lamp robi się coraz głośniejszy. Płomienie drżą w szklanych klatkach, jakby one też się bały. Nasłuchujemy jakiegoś dźwięku, który ich zdradzi. Słyszę nierówny rytm naszych oddechów. Drapanie gałęzi o szyby. Syk i trzaskanie lamp. Wszystko to składa się na dziwną symfonię trwogi.

Na naszych oczach stworzenia z kolumny budzą się i wyzwalają ze swych kamiennych form.

Brigid z przerażenia szeroko otwiera oczy.

- Słodki Jezu...

Pierwsza oswabadza się nimfa. Opada na podłogę z miękkim plaśnięciem, jak rodzący się robak, ale szybko wstaje.

- Witajcie, kochani – mówi cicho. – Czas złożyć ofiarę.

Pozostałe stwory też się uwalniają – tu pięść, tam kopyto. Ich szepty łączą się w mrozący krew w żyłach chór: „Czas złożyć ofiarę, ofiarę, ofiarę”.

W pokoju robi się tak jasno, że aż bołą oczy. Płomienie w lampach rosną. Napierają na szklane klosze i liżą ściany. Klosze eksplodują z głośnym hukiem, zasypując nas odłamkami szkła. Dziewczeta budzą się z krzykiem. Nagie płomienie wściekle migoczą, sprawiając, że wyglądamy jak zjawy w pokazie latarni magicznej. Ale to, co wychodzi z kolumny, nie jest iluzją. Potwory się wyzwoliły. Nabierają kształtów, sycząc i śmiejąc się.

- Nasza ofiara...

- Proszę pani! – wrzeszczą dwie małe dziewczynki, gdy satyr sięga po nie, mijając je ledwie o włos.

- Uciekajcie! Do mnie! – pani Nightwing przekrzykuje hałas, a uczennice puszczają się biegiem.

- Niech to szlag! – mówi wstrząśnięty Fowlson, kiedy odrażająca skrzydlata bestia pikuje spod sufitu.

- Hugo, dzieci! – McCleethy wydaje polecenie i Fowlson natychmiast zabiera dwie dziewczynki stojące najbliżej, po czym prowadzi je w stronę masywnych drzwi salonu z dala od kolumny. Kartik łapie mnie za rękę i odciąga akurat w chwili, gdy rzuca się na mnie nimfa. Podnoszę pogrzebacz i macham nim jak mieczem, żeby ją odgonić. Brigid głośno odmawia różaniec, jednocześnie wypychając młodsze dziewczynki do względnie bezpiecznego hallu.

- Gemmo! Chodź! – wzywają mnie stamtąd Ann i Felicity.

Mamy z Kartikiem do pokonania całą szerokość pokoju. Kartik trzyma nóż w pogotowiu, a ja mam pogrzebacz.

- Gemmo, z prawej! – ostrzega mnie.

Obracam się w lewo, a skrzydlata bestia chwyta mnie szponami za włosy.

- Aaa – piszczę.

Robię szybki zwrot i dźgam ją pogrzebaczem. Cofa się, a Kartik ciągnie mnie do drzwi, które natychmiast za sobą zatrzaskujemy. Opieramy się o nie całym ciężarem. Ann bierze parasolkę ze stojaka i przekłada ją przez uchwyty na drzwiach. Robię to samo z pogrzebaczem.

- Mówiłem... że... z prawej – sapie Kartik.

- Maryjo, matko Boża – mamrocze Brigid.

Kilka maluchów czepia się jej spódnicy. Płaczą i zawodzą, i mówią, że ta gra już im się nie podoba.

- No już, już – uspokaja je gospodyni, próbując je trochę pocieszyć, choć to niemożliwe.

Cecily, Martha i Elizabeth kulą się razem, a ich krzyki łączą się w jedno głośne zawodzenie.

- Gemmo! Użyj magii! Obdarz nas, żebyśmy mogły z nimi walczyć! – prosi Felicity.

- Nie! – woła matka Elena. – Nie wolno jej. Magii nie można teraz ufać. Nic nie równoważy ciemności. Nie ma równowagi. – Nakłuwa palec i własną krwią maluje znak na drzwiach. – Nie wytrzyma długo, ale da nam trochę czasu.

- Co robimy teraz? – pyta Ann.

Odpowiada jej Kartik:

- Trzymamy się razem i próbujemy pozostać przy życiu.

*

W hallu jest ciemno, ponieważ wszystkie lampy zgasły. Pani Nightwing i panna McCleethy zapalają dwie latarnie. Płomienie rzucają długie cienie, które wykonują demoniczny taniec na ścianach.

- Kaplica. Tam będziemy bezpieczni – wpada na pomysł dyrektorka i rzuca niepewne spojrzenie w stronę drzwi. Nigdy nie słyszałam takiego lęku w jej głosie.

- Nie powinniśmy wychodzić – ostrzega Kartik. – Na tym właśnie im zależy. Pewnie na nas czekają.

Dziewczęta drżą i szlochają, zbijając się w grupki, bo tak czują się bezpieczniej.

- Co tu się dzieje? – pyta Cecily przez łyż.

Pani Nightwing odpowiada głosem, który nakazuje, że należy nosić ciepły płaszcz i jeść rzepę:

- To część naszej gry w zjawy.

- Ja już nie chcę się w to bawić! – zawodzi Elizabeth.

- Cicho, cicho. Musisz być dzielną dziewczyną. To tylko gra, a kto się okaże najodważniejszy, zdobędzie nagrodę – mówi dyrektorka.

Nie jest dobrą kłamczuchą, ale czasami kiepskie kłamstwo jest lepsze niż nic. Przestraszone dziewczyny chcą jej wierzyć i szybko kiwają głowami na znak zgody.

Lecz intruzi z wielkiego salonu zaczynają przebijać się przez drzwi i panienki znów podnoszą krzyk. Stwory wbijają ostre zęby w drewno, przerabiając płycinę na drobne drzazgi.

- Nie możemy tu z nimi zostać – zwracam się do Nightwing i do Kartika.

- Chodźcie za mną do kaplicy, dziewczynki! – woła McCleethy, przejmując dowodzenie.

- Czekaście! – protestuje Kartik, ale bez skutku.

Od strony drzwi rozlega się kolejny głośny trzask i uczennice pędzą do panny McCleethy. Chwytają za ręce Brigid i Fowlsona. Długim, wijącym się rzędem ruszają za nauczycielką, jakby była szcurołapem z Hameln, a ja wraz z przyjaciółkami podążam za nimi.

*

Setki razy spacerowałam po trawniku Spence i po okolicznych lasach, ale nigdy nie wydawały mi się tak przerażające jak teraz, gdy drogę rozjaśnia tylko latarnia pani Nightwing i nasza krucha odwaga. Powietrze jest tak nieruchome, że aż duszące. Chciałabym, żeby była tu moja mama. Chciałabym, żeby Eugenia zakończyła to wszystko dwadzieścia pięć lat temu. Chciałabym, żeby nic z tego nigdy się nie wydarzyło. Żeby nie przytrafiło się mnie, ponieważ okrutnie zawiodłam.

Gdy docieramy do lasu, mój lęk się nasila. Cienka warstwa szronu pokrywa ziemię. Kwiaty zwiędły i smętnie zwieszają główki z lodu. W bladej poświacie widzimy własny oddech.

- Zimno mi – odzywa się jedna z dziewczynek, a Brigid ją cisza.

Kartik unosi dłoń. Wstrzymujemy oddech i nasłuchujemy.

- Co to? – pyta Fowlson.

Kartik wskazuje głową zagajnik. Cienie poruszają się. Wyciągam rękę, by oprzeć się o pień drzewa, a gdy go dotykam, okazuje się, że jest pokryty lodem. Tuż zza niego dobiega parsknięcie. Kieruję wzrok w stronę dźwięku. Zza potężnej jodły wygląda koński pysk. Z nozdrzy zwierzęcia dobywa się para. Jest w nim coś dziwnego. Tak jakbym mogła dostrzec kości prześwitujące przez skórę. Zrywa się naprzód i dostrzegam niewyraźny kształt jeźdźca. To mężczyzna w obszernej pelerynie z kapturem. Odwraca się w moją stronę, a mnie aż zapiera dech ze strachu. Nie widzę jego twarzy, tylko usta i zarys ostrych zębów. Wskazuje na mnie kościstym palcem.

- Ofiara...

Koń staje dęba, machają kopytami niebezpiecznie blisko mojej głowy. Wrzeszczę, ile sił w płucach.

Polecenie pani Nightwing przeszywa noc:

- Do kaplicy! Szybko! Szybko!

Tropiciel wyje z wściekłością, gdy Nightwing ciska w niego lampą. Świeca gaśnie, a ja się gubię w nagłej ciemności.

- Gemmo! – Czuję na nadgarstku dłoń Felicity, mocną i pewną, która szarpie mnie do przodu. Pani Nightwing nie jest w stanie dotrzymać nam kroku. Zaklina nas, żebyśmy ją zostawiły, ale nie zgadzamy się na to. Bierzemy ją pod ramiona i ciągniemy z całych sił. Do kaplicy jest kilkaset metrów, a po drodze nie ma się gdzie ukryć. Mgła opadła niżej. Łatwo będzie się zgubić.

Jeźdźcy zdają się pojawiać znikąd. Pędzą za nami, przedzierając się między drzewami na koniach nie z tego świata. Ann krzyczy, gdy jeden z nich niemalże ją trąta. Odcięte od drogi, rzucamy się w lewo, ale oni już tam są.

Z góry dobiega pisk. Unoszę wzrok i widzę nadlatujące gargulce. Jeźdźcy wrzeszczą i zakrywają twarze. Jeden gargulec upada, zdeptyany przez konnego, a przede mną pojawia się ten, który uratował mnie przed Ithalem.

- Ta bitwa należy do nas. Uciekaj! – Wskazuje prześwit we mgle, a w nim ścieżkę na wzgórzu. Nie marnujemy czasu. Felicity, Ann i ja przeciskamy się przed drzwiami do kaplicy, a pozostali za nami. Pani Nightwing opada na ławkę w ostatnim rzędzie, z trudem łapiąc oddech.

- Zam... zamknijcie drzwi – udaje mi się wydusić.

W kaplicy robi się ciemno i słyszę, jak rygiel ze stuknięciem opada na miejsce.

Panna McCleethy podbiega do dyrektorki.

- Lillian, nic ci nie jest?

- Dziewczeta... - mówi pani Nightwing i usiłuje wstać. – Wszystkie są bezpieczne?

Podchodzi do nas Cecily.

- Co się dzieje, proszę pani?

Oczy ma wielkie ze strachu i głos jej drży.

- Nie ulegajmy emocjom – udaje się odpowiedzieć dyrektorce, ale w jej głosie nie ma zwykłego przekonania. – Chodź, zajmij się młodszymi. – Cecily posłusznie robi, co jej kazano. Wszystko, byle tylko zignorować narastającą panikę, że świat nie jest jednak taki, jaki się wydaje. Że ona ma prawo się bać. Że nigdy już nie poczuje się bezpiecznie.

Krzyki i piski przebijają się przez okienne szyby. Nie wiem, co się dzieje na zewnątrz i kto wygrywa.

Panna McCleethy siada w ławce obok pani Nightwing i ukrywa twarz w dłoniach.

- Jak mogło do tego dojść?

- Mówiłam pani: Eugenia stała się częścią Drzewa Wszystkich Dusz, częścią Krainy Zimy – odpowiadam.

McCleethy kręci głową.

- Myślałam już, że postradałam rozum – dodaję.

- Chcą walczyć. Będzie ich przychodzić coraz więcej i więcej – mamrocze matka Elena. – Teraz nic ich nie powstrzyma.

- Moje dziewczęta – mówi cicho pani Nightwing. – Muszę je chronić.

- Musi być jakaś nadzieja – odzywa się Ann.

Felicity spogląda na mnie z błaganiem, bym powiedziała coś, co poprawi sytuację, co przyniesie rozwiązanie.

Na zewnątrz piski tropicieli mieszają się z warkotem gargulców – śmiertelne okrzyki jednych albo drugich, trudno powiedzieć. Dziewczęta tulą się do siebie. Jedne płaczą, inne w milczeniu kiwają się na boki. Są śmiertelnie przerażone.

- Trzeba to przerwać. Musimy iść do Krainy Zimy – mówię.

Kartik odsuwa się od drzwi.

- Nie możesz pójść do międzyświata, kiedy wszystkie tamtejsze stworzenia na ciebie polują.

- Tutaj też nie jest bezpieczna – wtrąca pani Nightwing. – Trzeba ich powstrzymać.

- Zrobię to – decyduję. – Ale będę potrzebowała pomocy. Drzwi są po drugiej stronie trawnika, za lasem. Musimy się tam jakoś dostać.

Felicity okręca się wokół własnej osi.

- Naprawdę oszalałaś! Nie mamy szans, żeby do nich dotrzeć!

- Nie możemy tak po prostu siedzieć i czekać!

- Może gargulce nas obronią – sugeruje Ann.

Kartik staje u mego boku.

- Idę z tobą.

Panna McCleethy zrywa się z miejsca.

- Zakon wygnał Rakshanów z międzyświata. Nie możesz ich tam zabierać!

- Już to robiłam – odpowiadam, wskazując Kartika.

McCleethy z niedowierzaniem kręci głową.

- Niewiarygodne. Czy jest cokolwiek, w czym ci się udało nie nabroić? Nasze zasady kategorycznie tego zabraniają...

- Nie rozumie pani? Nie ma już żadnych zasad! Będę robiła to, co uznam za słuszne, do cholery! – wściekam się. Moje słowa niosą się echem po kaplicy, wrywając westchnienia z piersi wstrząśniętych uczennic.

- Chciałbym zauważyć, że nie jestem już członkiem Rakshana – dodaje Kartik. – A panna Doyle może robić to, co uzna za słuszne, do cholery.

Felicity bierze mnie za rękę.

- Jestem z tobą.

- Ja też – oświadcza Ann, ujmując mnie za drugą dłoń.

- Będę ci towarzyszyła z ramienia Zakonu – postanawia panna McCleethy.

- No dobra, nie zamierzam siedzieć beczynn timer – odzywa się Fowlson.

- Ktoś musi zostać, żeby chronić Lillian i dziewczęta – przypomina mu McCleethy.

Pani Nightwing wstaje i stanowczym gestem poprawia spódnice. Zerka na uczennice zbite w gromadkę.

- Poradzę sobie. Matka Elena robi znak na drzwiach, gdy wyjdziecie, i otworzymy je dopiero rano.

- Macie tutaj obrońcę, gdybyście potrzebowały – mówię.

Pani Nightwing podąża za moim wzrokiem i patrzy na witraż, na którym wojownik trzyma głowę gorgony.

- Okno? – skrzeczy Cecily, która podsłuchiwała moje słowa.

- Same zobaczycie – odpowiadam.

Cecily kuli się na podłodze, mocno trzymając się Marthy i Elizabeth.

- Co zobaczymy? Ja nie chcę widzieć nic więcej! – Łzy płyną jej po twarzy, mieszając się ze śluzem z nosa. – To wszystko twoja wina, Gemmo Doyle! Nawet jeśli przeżyjemy, nic już nigdy nie będzie takie samo. – Znów dławi się szlochem.

- Wiem – odpowiadam cicho. – Przykro mi.

- Nienawidzę cię! – zawodzi.

- To też wiem.

Słychać kolejny wrzask, który rozdziera noc, aż drżą szyby w oknach, a dziewczęta piszczą jak przerażone gęsi. Walka między gargulcami i tropicielami jest zacięta.

Dyrektorka wstaje niepewnie. Śpiewnik drży w jej dłoniach.

- Dziewczęta, weźcie swoje śpiewniki. Będziemy śpiewały – zarządza.

- Och, proszę pani! – woła Elizabeth. – Jak możemy śpiewać w takiej chwili?

- Pożrą nas żywcem! – wtóruje jej Martha.

- Bzdura! – dyrektorka przekrzykuje hałas. – Nic nam tu nie grozi. Jesteście Angielkami i oczekuję, że będziecie się zachowywały jak na Angielki przystało. Dość już płaczu.

Będziemy śpiewać.

Głęboki głos pani Nightwing narasta, wyciągając drżące nuty. Im okropniejsze wrzaski niosą się po lesie, tym donośniej nasza dyrektorka śpiewa. Brigid dołącza do niej i po chwili dziewczęta też wykonują polecenie, a ich przestraszone głosy dają chwilowy odpór koszmarowi na zewnątrz.

Kartik ma ponurą minę.

- Jesteś gotowa?

Kiwam głową. Felicity, Ann, Fowlson i panna McCleethy stają za mną. Sześciuosobowa grupka przeciwko całej armii. Wolę o tym nie myśleć, bo odwaga z pewnością mnie opuści.

Uchylamy drzwi i najciszej jak możemy wymykamy się w noc. Matka Elena każe Kartikowi wyciągnąć dłoń, po czym nakłuwam mu palec.

- Oznacz drzwi od zewnątrz – radzi. – Ja oznaczę je od wewnątrz. Nie zawieź.

Brama kaplicy zamyka się za nami i Kartik pociera o nią palcem. Mam nadzieję, że to coś da. Gęsta białoszara mgła wysysa cały kolor z lasu. Nie zabraliśmy lampy w obawie, żeby potwory nie dostrzegły światła, więc idziemy na pamięć. Skowyt jeźdźców i zawzięty warkot gargulców pogrążonych w boju rozchodzą się we mgle i nie potrafimy określić, gdzie toczy się walka – blisko czy daleko, za czy przed nami. Równie dobrze może się okazać, że idziemy w samo serce bitwy.

Udaje nam się bezpiecznie przedostać przez las, ale pozostaje jeszcze trawnik. Moje serce bije mocno i głośno. Strach przynosi jasność umysłu, której nie doświadczyłam nigdy wcześniej. Każdy mięsień to naciągnięta sprężyna, gotowa wystrzelić. Kartik unosi palec i nasłuchuje, przekrzywając głowę.

- Tędy – szepcze.

Szybko idziemy za nim, starając się nie pogubić w gęstej mgle. Skowyt i krzyki zdają się zbliżać. Po prawej miga kamienne skrzydło, błyska szkieletowe ramię. Nad moją głowę pikuje gargulec, rzucając się w wir walki. Odwracam głowę tylko na chwilę, ale to wystarczy. Zgubiłam moich towarzyszy. Ogarnia mnie panika. Mam biec w lewo czy w prawo, a może prosto? *Dalej, gemmo. Ruszaj się szybko.* Rzucam się w mgłę, gorączkowo rozgarniają ją ramionami, choć to nic nie daje. Słyszę ciche, zdławione dźwięki, jak urywane łkanie, i po chwili uświadamiam sobie, że to ja je wydaję, ale nie mogę się powstrzymać.

Gargulec toczy zawzięty pojedynek z upiornym jeźdźcem. Zyskuje przewagę i jeździec upada na kolana. Na widok jego makabrycznej szkieletowej twarzy z czerwono-czarnymi oczami wyrzywa mi się okrzyk. Gargulec odwraca się, żeby na mnie spojrzeć, i potwór z Krainy Zimy wykorzystuje szansę. Jednym szybkim, okrutnym ruchem wbija w brzuch gargulca ostre jak brzytwa szpony. Gargulec zatacza się, chlapiąc krwią na moją pelerynę.

- Do Krainy Zimy – mówi z trudem. – Zniszcz Drzewo Wszystkich Dusz. To jedyne rozwiązanie.

Wielka kamienna bestia upada u moich stóp. Jeździec otwiera usta i wrzeszczy, rozdzierając noc wezwaniem do broni.

Rzucam się na oślep do przodu. Jestem tak otumaniona strachem, że nie słyszę własnego łkania i nawoływania do innych, żeby uciekali. Tracę rozum.

- Gemmo! Gemmo! – To głos Felicity.

- Felicity! – wołam w odpowiedzi.

- Gemmo, tutaj!

Z mgły wyłania się dłoń, a ja natychmiast sięgam o nią, chcąc poczuć jej ciepło. Felicity obejmuje mnie i pomagamy sobie wzajemnie iść. Docieramy do baszty jako pierwsze, a Fowlson, McCleethy, Ann i Kartik wkrótce po nas.

- To tutaj – dyszę. – Sekretne drzwi.

- A więc do roboty – sapie w odpowiedzi McCleethy.

Wyciągam rękę i dostrzegam ptaka. Jego krakanie brzmi jak głos z piekła. Ostrzeżenie. Okrzyk bojowy. W kilka sekund dołącza do niego kilkanaście innych. Na moich oczach przemieniają się w wędrownych aktorów, którzy nas odwiedzili. Ale to tylko kamuflaż. Wiem, kim naprawdę są. To Makowi Wojownicy.

- Witaj, kruszyno. Taka piękna noc na złożenie ofiary.

Pozostałe ptaki w mgnieniu oka zrzucają lśniące czarne skrzydła i stają się złowrogimi rycerzami, a ja wzdrygam się na wspomnienie zrujnowanej katedry, którą nazywają domem, i okrutnych gier, które lubią prowadzić ze swoimi ofiarami.

- Wybierasz się dokądś, hm? – pyta ten wysoki, prezentując uśmiech maski pośmiertnej. Brudne paznokcie ma długie jak szpony.

- Ja... ja... - jąkam się.

Kartik trzyma w dłoni sztylet, ale to nie wystarczy przeciwko tym potworom.

- Ki diabeł? – dziwi się Fowlson. – A tyś z jakiej piekielnej dziury wypełził?

Panna McCleethy staje między mną a Makowym Wojownikiem. Obejmuje mnie matczynym gestem, ale to jedynie budzi rozbawienie w tej ohydnej istocie.

- Nic to nie da, szanowna pani – wtrąca ten z trzema zębami.

- Panie i panowie! – woła Makowy Wojownik jak konferansjer. – Dziś przygotowaliśmy dla was niezwykle widowisko! Oto opowieść o pannie, którą złożono w ofierze w szlachetnym celu: żeby zapewnić wolność Krainie Zimy, a jej mieszkańcom wielką moc, i żeby na zawsze otworzyć granice między światami. Czy nikt nie uratuje nadobnej dziewczynki? – Uśmiecha się złowieszczo. – Nie, chyba nie dzisiaj. Scenariusz jest gotowy, a ona musi dobrze odegrać swą rolę.

- Biegiem! – krzyczę.

Najszybciej jak potrafię pędzę w stronę szkoły, a pozostali depczą mi po piętach. Makowi Wojownicy rzucają się w pogoń, zmieniając się za naszymi plecami w ptaki. Wbiegamy do środka przez kuchenne drzwi, na których blaknie krwawy znak, i padamy na podłogę, ciężko dysząc.

- Wszyscy są? Gemmo, nic ci się nie stało? – niepokoje się Kartik.

- Co to, u licha, były za stwory? – pyta Fowlson.

- Makowi Wojownicy – odpowiadam. – Nie chciałby pan się z nimi bawić, zapewniam pana.

- Oni... oni już wiedzą. Idą po nas – odzywa się Ann.

- Jak teraz dotrzemy do drzwi? – denerwuje się Fee.

Światło w kuchni jest słabe, ale widzę strach w oczach panny McCleethy. Ptak uderza skrzydłami w okno. Daje pozostałym znak, gdzie jesteśmy.

- Nie możemy tu zostać – mówię. – Jeśli dotrzemy do baszty, to może uda nam się zakraść od tamtej strony.

Długi korytarz po drugiej stronie drzwi jest ciemny i groźny. Na jego końcu może się kryć dosłownie wszystko. Wszystko. Kartik wyciąga sztylet. Panna McCleethy prowadzi, a panowie idą tuż za nią. Felicity i Ann, mocno trzymając się za ręce, podążają zaraz za nimi. Ja jestem ostatnia i co kilka kroków odwracam się, żeby zerknąć w ciemność za plecami.

Udaje nam się przemierzyć cały korytarz bez żadnych przygód. Ale żeby dotrzeć do schodów, musimy minąć wielki salon wraz z niedawno wyzwolonymi mieszkańcami. Jedno skrzydło drzwi pozostaje zamknięte, lecz drugie jest uchylone. Nie wiem, jak mamy przejść niezauważeni. Przywieramy płasko do ściany i nasłuchujemy.

Kartik kiwa głową w stronę schodów. Panna McCleethy rusza cicho, a my za nią. Nisko pochyleni wspinamy się na górę. Zdarły szale z namiotu Felicity i porwały je na strzępy. Podłoga jest zasłana potłuczonym szkłem z lamp, pierzem z poduszek i kartkami powyrywanych z książek. Koszmarny widok. Ale nie ma czasu na żal. Musimy dotrzeć do bezpiecznego schronienia w międzyświecie, choć tak naprawdę nie znajdziemy tam azylu, a jedynie chwilowe odroczenie wyroku.

We Wschodnim Skrzydle rezygnujemy z ostrożności i pędzimy na złamanie karku. Stajemy w na pół ukończonej baszcie, ukryci za nierównym kamiennym murkiem. Po drugiej stronie trawnika widzę jadących tyralierą jeźdźców, którzy odcięli wszystkie drogi ucieczki. Wołają coś do Makowego Wojownika strzegącego sekretnych drzwi.

- Są w środku – odpowiada im wesoło.

- Tak więc znaleźli się w pułapce – szepcze jeden z tropicieli zawziętym tonem.

Podjeżdża do kuchennych drzwi, którymi weszliśmy. Wkrótce nas znajdzie i sprowadzi innych. Naprawdę zapędzili nas w kozi róg.

- Gemmo – odzywa się Felicity z oczami wielkimi ze strachu.

Słychać drapanie do drzwi Wschodniego Skrzydła. Czekają po drugiej stronie.

Kartik bierze mnie za rękę i ściska. Fowlson ujmuje dłonie panny McCleethy.

- Nie pozwolę, by cię dopadli, Sahiro – mówi.

Słyszę, jak przerażona Ann głośno wciąga powietrze.

- Szkoda, że nie mam swojego miecz – szepcze Felicity. A potem pod nosem mamrocze cichą modlitwę: - Pippa, Pippa, Pippa...

- Weźcie mnie za ręce – proszę.

Kartik jest zaskoczony.

- Co...

- Weźcie mnie za ręce i nie puszczajcie!

- Proszę nie używać teraz magii, panno Doyle. To nierozsądne – radzi nauczycielka.

- Nie mamy wyboru. Spróbuję przywołać drzwi.

- Ale nie udało ci się tego zrobić już od dobrych kilku miesięcy – oponuje Ann.

- Czas znowu spróbować – upieram się.

Wzdrygamy się, słysząc kolejne wrzaski.

- A jeśli ci się nie uda? – szepcze Felicity.

Kręcę głową.

- Nie będę o tym myślała. Potrzebuję waszej pomocy. Połóżcie dłonie na moich rękach – instruuję. Gdy czuję ich ciężar, zamykam oczy i koncentruję się z determinacją na swoim celu. – Myślcie o drzwiach ze światła.

Słyszę drapanie do drzwi Wschodniego Skrzydła, a potem krakanie w górze, gdy nadlatują ptaki. Znalazły nas. *Twój cel, Gemmo. Drzwi ze światła, drzwi ze światła, drzwi ze światła.*

Wkrótce ogarnia mnie znajome mrowienie. Początkowo jest to tylko niepewne łaskotanie, ale narasta, najpierw jak łagodny podmuch, a potem jak dziki wichur, który ożywia każdą cząsteczkę ciała. Ciepłym oddechem odgarnia włosy z mojej twarzy.

Gdy otwieram oczy, drzwi ze światła już czekają.

- Udało ci się – stwierdza Felicity z wyraźną ulgą.

- Nie czas teraz na gratulacje – odpowiadam. – Idziemy!

Otwieram drzwi i ruszamy całą gromadą w chwili, gdy tropiciele włamują się do Wschodniego Skrzydła. Wyją przeraźliwie, aż krew krzepnie mi w żyłach.

- Gemmo! – woła Ann.

- Zamykamy! – Raz jeszcze przywołuję magię, a ona mnie nie zawodzi, dzięki Bogu.

Ostatnia rzecz, którą widzę, kiedy świetlne drzwi znikają, to jeździec w długiej, postrzępionej szacie, obnażający zęby w wywołującym ciarki uśmiechu. – Obyś zgnił w piekle, odrażający potworze – życzę mu.

- On już jest w piekle. A my musimy powstrzymać piekło, żeby bardziej się do nas nie zbliżyło – zauważa Kartik, ciągnąc mnie za sobą.

Dobiegamy do międzyświata najszybciej, jak potrafimy.

- Nie mamy wiele czasu. Dostaną się tu od drugiej strony. Musimy dotrzeć do ogrodu i znaleźć gorgonę – wyjaśniam, próbując złapać oddech. Moje płuca płoną.

- Czekajcie! – woła Kartik. – Nie wiemy, co tam zastaniemy. Może powinienem pójść przodem i sprawdzić?

- Zgoda – mówię. Powiedziałałabym coś jeszcze, ale on ma rację, a ja ledwie oddycham. Gorsety nie są idealnym strojem do biegania.

- Idę z tobą, kolego – proponuje Fowlson, rozglądając się wkoło ze zdumieniem.

Kartik z wahaniem kiwa głową, po czym biegną razem naprzód.

Wyczerpane i rozdrażnione siadamy pod osłoną dużego głazu i czekamy. Ann nie rezygnując z pociechy, jaką jej daje bliskość Felicity. Marna to pociecha, ale potrzebuje choćby jej. Zmęczona ucieczką siadam na ziemi i wpatruję się w krwawiący horyzont.

- Dlaczego nam nie powiedziałaś, że widziałaś takie rzeczy? – pyta McCleethy, ciężko oddychając. To pytanie retoryczne. Wie dlaczego. Jej ciemne włosy wymknęły się z upięcia i powiewają na wietrze. – Wydobywałyśmy porządek z chaosu. Tworzyłyśmy piękno i kształtowałyśmy historię. Trzymałyśmy magię międzyświata w naszych rękach, żeby była bezpieczna. Jak doszło do tego wszystkiego?

- Nie trzymałyście jej, żeby była bezpieczna. Trzymałyście ją dla siebie.

Kręci głową, zaprzeczając tej myśli.

- Gemmo, nadal możesz wykorzystać tę moc, by uczynić wiele dobra. Z naszą pomocą...

- A co wy, jeśli można wiedzieć, zrobiłyście, żeby poprawić los innych? – pytam. – Nazywacie się siostrami, a czy nie jesteście nimi wszystkie? Szwaczki tracące wzrok, by móc nakarmić swoje dzieci choćby owsianką? Sufrażystki walczące o prawo głosu? Dziewczeta młodsze ode mnie, które muszą zarabiać na życie w warunkach tak opłakanych, że giną zamknięte w płonącej fabryce? Mogłaby im się przydać wasza cenna pomoc.

Nauczycielka wysoko unosi głowę.

- Zrobiłybyśmy to. Z czasem.

Prycham z pogardą.

- W żadnym świecie nie jest łatwo być kobietą. Jaką korzyść daje nam moc, jeśli musimy ją trzymać w tajemnicy?

- Wolałabys śmiało słowa od iluzji?

- Tak.

Panna McCleethy wzdycha.

- Możemy nadać kierunek w tej walce. Ale najpierw musimy ochronić naszą moc w międzyświecie.

- Tu nigdy nie będzie bezpiecznie! Gdziekolwiek się obrócę, coś nowego wypełza spod kamienia i sięga po tę moc! Nikt nie pamięta, skąd się wzięła magia ani po co. Wszyscy tylko chcą nią władać! Mam tego dość, mam tego powyżej uszu, słyszy pani?

- Tak – odpowiada poważnie. – A jednak bardzo trudno jest ci się z nią rozstać, prawda?

Ma rację. Nawet teraz, wiedząc to, co wiem, widząc to, co widziałam, nadal jej pragnę.

Panna McCleethy chwyta mnie za ramię. Twarz ma zaciętą.

- Gemmo, za wszelką cenę musisz ochronić magię. To nasza jedyna troska. Wiele osób walczyło i zginęło, by jej bronić.

Kręcę głową.

- Kiedy to się skończy?

Mężczyźni wracają ze zwiadu. Kartik ma ponurą minę.

- Byli w ogrodzie.

- Co masz na myśli?

- Ogród nie istnieje.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY SZÓSTY

Idziemy do ogrodu, który nie jest już bujny i zielony. Wita nas smród wypalanej ziemi. Drzewa obróciły się w popiół. Kwiaty wdeptano w błoto. Srebrny łuk, który niegdyś prowadził do groty, został pogięty i wyrwany z ziemi. Hamak upleciony ze srebrnych nici wisi w strzępach.

W oczach panny McCleethy lśnią łzy.

- Marzyłam o tym, żeby go znów zobaczy. Ale nie w takim stanie.

Fowlson obejmuje ją ramieniem.

- Co się tu dzieje? – pyta Ann, tuląc w dłoniach garstkę połamanych kwiatków.

- Wasza Wysokość!

Naszym oczom ukazuje się gorgona na rzece. Jest cała i zdrowa. Nigdy bardziej nie cieszyłam się na jej widok.

Fowlson cofa się o krok.

- Co to jest, u licha?

- Przyjaciółka – odpowiadam i biegnę nad rzekę. – Gorgono, możesz nam powiedzieć, co się stało? Widziałaś?

Węże na jej głowie wiją się i syczą.

- Szaleństwo – odpowiada. – Istne szaleństwo.

- Zatem wojna? – upewnia się panna McCleethy.

- Wojna – gorgona wypluwa to słowo. – Tak to nazywają, żeby zachować pozór honoru i prawa. To chaos. Obłąd, krew i żądza wygranej. Zawsze tak było i zawsze tak będzie.

- Gorgono, musimy się dostać do Drzewa Wszystkich Dusz. Zamierzamy je zniszczyć. Czy znasz jakąś bezpieczną drogę do Krainy Zimy?

- Żadna droga nie jest teraz bezpieczna, Wasza Wysokość. Ale niezależnie od tego popłynę z wami.

Wyruszamy w podróż. Rzeka dziś nie śpiewa słodko. W ogóle nie śpiewa. Niektóre miejsca uchroniły się przed spustoszeniem, które niosły istoty z Krainy Zimy, ale inne nie miały tyle szczęścia. Potwory zostawiły w nich makabryczne wizytówki – włócznie z zakrwawionymi flagami, przypominające, że nikomu nie okażą litości.

Gdy mijamy Grotę Westchnień, kilku Niedotykalnych wygląda z kryjówek. Asha macha do mnie.

- Gorgono, tam! – wołam.

Przybijamy do brzegu i gorgona opuszcza trap, żeby Asha mogła wejść na pokład.

- Zapuszczają się wszędzie – wyjaśnia Niedotykalna. – Obawiam się, że mogli też zaatakować leśny lud.

*

- Co to jest? – pyta Kartik, kiedy zbliżamy się do złocistej zasłony, która chroni leśny lud przed wścibskimi oczami. Czarne chmury przecinają rzekę jak blizna.

- Dym – odpowiadam, a moje serce przyspiesza.

Przykucamy nisko, zasłaniając dłońmi nos i usta, a mimo to i tak dławimy się gęstymi, ciemnymi oparami. Nawet zasłona się dusi. Zasypuje nasze ciała sadzą ze złotymi drobinami. Przepływamy przez nią i naszym oczom ukazuje się piękny las w płomieniach. Chaty palą się i dymią. Ogień trawi drzewa, które sprawiają wrażenie, jakby miały czerwone i pomarańczowe liście. Wielu leśnych ludzi znalazło się pułapce. Krzyczą, nie wiedząc, dokąd

uciekać. Matki biegną w stronę wody, niosąc w ramionach płaczące dzieci. Centaury galopują po tych, którzy zostali z tyłu, chwytają ich, sadzają sobie na grzbietach i uciekając przed śmiercią.

- Oni nic nie widzą – mówi Kartik, zanosząc się kaszlem. – Dym jest za gęsty. Gubią się w nim.

- Musimy im pomóc! – wołam, próbując wstać, ale pod naporem potwornego żaru znów padam na deski pokładu.

- Nie, musimy dotrzeć do Krainy Zimy i ściąć drzewo! – odkrzykuje panna McCleethy. – To nasza jedyna nadzieja.

- Nie możemy ich tak zostawić! – wrzeszczę, ale spada na mnie zbłąkana iskra i jak szalona zaczynam okładać się rękami, żeby ją ugasić.

Słyszę plusk. To Asha. Zeskoczyła ze statku i brnie przez wodę na brzeg. Jest tu aż gęsto od ciał, ale zwraca na nie uwagi.

- Tutaj! – woła, machając ramionami, żeby było ją widać poprzez dym. Leśni ludzie biegną do niej w nadziei na to, że w rzece będą bezpieczni.

Mimo ciężkiej warstwy dymu udaje im się odnaleźć małe łódeczki. Wsiadają do nich i wiosłując, wypływają na rzekę, z dala od niegdyś pięknego domu.

Filon podchodzi do linii wody, a gorgona pod pływa bliżej.

- Przybyły potwory z Krainy Zimy. Zaatakowały nas szybko i bezwzględnie.

- Jak dużą mają armię? – pyta Kartik.

- Liczy może tysiąc wojowników – odpowiada Filon. – A jeden z nich ma siłę dziesięciu. Kartik tupie z wściekłością.

- Amar!

Fowlson mruży oczy.

- Amar walczy dla tych stworów? Rozszarpie go na strzępy!

- Nie – protestuje Kartik.

- On nie jest już jednym z nas, bracie. Pogódź się z tym – odpowiada Fowlson i brzmi to niemal serdecznie.

Asha wyłania z rzeki ranną istotę. To Neela. Wymiotuje wodą, gdy wciągamy ją na pokład okrętu gorgony.

- Puść mnie – skrzeczy, widzą ręce Ashy na swoich ramionach.

Przechodzi od swojego szaroliliowego kształtu w Ashę, mnie i Kreostusa, by znów bez wysiłku powrócić do własnej postaci. Wygląda to tak, jakby nie panowała nad zdolnością przemiany.

Głos Ashy brzmi stanowczo:

- To ty zabiłaś centaura, prawda?

Neela krztusi się wodą.

- Nie wiem, o czym mówisz. Kłamiesz.

W oczach Filona pojawia się błysk zrozumienia.

Asha nie odpuszcza.

- Wsadziłaś mu do ręki mak Hajinów, żeby obarczyć nas winą.

Tym razem Neela nie próbuje zaprzeczać.

- I co z tego?

- Dlaczego to zrobiłaś? – pyta Filon. Ogień z lasu rzuca ciebie na ostre rysy jego niezwyklej twarzy.

- Potrzebowaliśmy powodu, żeby wyruszyć na wojnę. Bez tego być się nie zdecydował.

- Więc wymyśliłaś powód?

- Nie wymyśliłam go! Powód zawsze istniał! Jak długo żyliśmy bez dostępu do magii? Jak długo jeszcze pozwoliłbyś, żeby nas pomijali? Zakon rządził magią. A brudni

Niedotykalni zostali postawieni wyżej od nas! Lecz ty nie chciałeś uderzyć. Zawsze byłeś słaby.

Oczy Filona lśnią.

- Tak bardzo tego pragnęłaś, że zamordowałaś jednego z nas?

Neela usiłuje usiąść.

- Postęp nie dokonuje się za darmo – mówi obronnym tonem.

- Ale ten koszt był zbyt wysoki, Neelo.

- Jeden centaur w zamian za władzę w międzyświecie? To niewielka cena.

- Mogliśmy dostrzec prawdziwe niebezpieczeństwo, zamiast gonić za cieniami. A teraz straciliśmy dom. Nasi ludzie zginęli. Nasze zasady legły w gruzach. Przedtem mieliśmy przynajmniej tyle.

Neela nie okazuje skruchy.

- Postąpiłam tak, jak musiałam.

- Tak – ponuro zgadza się Filon. – Podobnie jak ja muszę teraz.

Neela trzęsie się i drży. Jej usta robią się jasne jak skórka winogrona.

- Przeżyła silny wstrząs – mówię. – Ktoś musi się nią zająć.

- Niech umrze – decyduje Filon.

- Nie – protestuję. – Nie możemy na to pozwolić.

- Ja z nią zostanę – zgłasza się na ochotnika Asha.

- A jeżeli Niedotykalna zabije Neelę? – pyta jeden z centaurów.

Odpowiedź Filona jest równie zimna jak jego oczy przejrzyste niczym lodowiec:

- Będzie o cenę, jaką zapłaci za swe zbrodnie.

Spoglądam na Ashę, czekając na zapewnienie, że nie skrzywdzi Neeli, ale jej twarz nie zdradza żadnych uczuć.

- Zostanę ze zmiennokształtną – powtarza.

- Będziesz ją chroniła, Asho? – pytam.

Przez chwilę milczy, a potem kiwa głową.

- Masz moje słowo.

Z ulgą wypuszczam powietrze, które wstrzymywałam.

- Zaopiekuję się nią, choć wcale tego nie chcę – dodaje, a w jej ciemnych oczach odbijają się tańczące płomienie. – A kiedy dokonasz wyboru, pani Nadziejo, my, Niedotykalni, też zabierzemy głos. Milczeliśmy już zbyt długo.

*

Tworzymy niewielkie zastęp, w sumie jest nas może czterdzieścioro. Filon i leśni ludzie zabierają całą broń, która im pozostała. Jej też jest niewiele: kusza, dwadzieścia kilka włóczni z grotami na obu końcach, tarcze i miecze. To tak, jakbyśmy próbowali wysadzić parlament naparstkami prochu. Z całego serca żałuję, że nie mam sztyletu.

- Co robimy? – pytam.

- Potwory zacierają teraz do Krainy Granicznej – odpowiada Filon.

Felicity głośno wciąga powietrze.

- Pip.

- Nie uratujesz jej – odzywa się Kartik.

- Nie mów mi, czego nie mogę zrobić – warczy na niego Fee.

Odciągam ją na bok. Stoimy nad wodą, na której bez ruchu unoszą się dwie małe łódki.

- Felicity, musimy jak najszybciej dostać się do Krainy Zimy, potem możemy zająć się Pippą.

- Ale może być już za późno! Ona nie ma pojęcia, z czym przyjdzie jej walczyć – błaga Felicity. – Musimy ją ostrzec.

- Biedna Pippa – wspiera ją Ann.

Myślę o spalonym ogrodzie, zakrwawionych flagach znaczących brzeg, porwanych leśnych ludziach. Zrobiłabym wszystko, żeby oszczędzić Pippie tego losu. Ale ryzyko jest ogromne. Istoty z Krainy Zimy mogą tam na nas czekać. A przecież Pip się z nimi sprzymierzyła.

- Przykro mi – mówię i odwracam się.

- Jesteś okrutna! – woła za mną Fee.

Zaczyna płakać. Wiem, że postąpiłam słusznie, ale czuję się parszywie. Przypuszczam, że taki już los przywódcy.

Wraz z Filonem obserwujemy, jak leśny lud i Hajini przygotowują się do bitwy. Wnoszą broń na okręt. Niedotykający zakłada na powykręcane plecy kołczan ze strzałami, a leśny człowiek mu w tym pomaga. Centaury oferują swój grzbiet wszystkim chętnym.

Ann podbiega do mnie bez tchu.

- O co chodzi? – pytam.

- Zabroniła mi o tym mówić, ale muszę. Chodzi o Felicity, postanowiła ostrzec Pippę. Brakuje jednej z małych łódek.

- Musimy ruszać za nią – decyduję.

- Nie możemy – ostrzega Kartik, ale nic mnie nie powstrzyma.

- Nie możemy stracić Fee. Potrzebujemy jej. Ja jej potrzebuję – oświadczam.

- Płynę z tobą – zgłasza się panna McCleethy.

- I ja też – dodaje Ann.

Kartik kręci głową.

- Musisz być szalona, jeśli sądzisz, że pozwolę ci iść beze mnie.

- Tak, jestem szalona. Ale wiesz o tym już od jakiegoś czasu – odpowiadam. Chce zaprotestować, więc uciszam go pocałunkiem. – Zaufaj mi.

Z wielką niechęcią puszcza mnie i nasza trójka odpływa ostatnią łódeczką. Kartik stoi na brzegu i patrzy, jak dryfujemy z prądem. Z dymem i dogasającymi płomieniami za plecami wygląda trochę nierealnie – duch, lśniący obrazek w pokazie latarni magicznej, gwiazda spadająca na ziemię, chwila, która nie może trwać zbyt długo.

Czuję potrzebę, żeby zawrócić łódkę i popłynąć do niego. Ale prąd porywa nas i ruszamy chyżo w stronę Krainy Granicznej oraz tego, co nas tam czeka.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Niebo nad Krainą Zimy krwawi. Rzuca upiorne światło, w którym Kraina Graniczna nabiera barw posiniaczonego ciała. W oddali zamek wtula się w płaszcz z pnączy jak blada dłoń skrywa w fałdach sukni. Z ulgą zauważam, że wygląda na nietknięty.

- Widzisz gdzieś Fee? – pytam szeptem.

- Nie – odpowiada Ann. – Nikogo nie widzę.

Ostrożnie odsuwamy kolczaste pędy w jeżynowym murze i prześlizgujemy się na drugą stronę. Panna McCleethy nerwowo rozgląda się wokół.

- Przychodziłyście tutaj?

Kiwam głową, a ona wzdryga się z odrazą.

- Cóż za posępne miejsce.

- Przez jakiś czas było bardzo wesołe – wspomina z żalem Ann.

Szybko i cicho idziemy przez błękitnawy las. Gałęzie wyglądają, jakby zebrano z nich prawie wszystkie jagody, a te, o których zapomniano, zwisają w pleśniejących kiściach. Robaki przegryzają się przez pozostawione owoce. Na ten widok przewraca mi się w żołądku.

Uuu-u! Uuu-u!

- Co to było? – pyta wystraszona panna McCleethy.

- Proszę się nie ruszać – odpowiadam szeptem.

Stoimy nieruchomo jak posągi. Wołanie rozlega się ponownie.

Uuu-u! Uuu-u!

- Wychodźcie, wychodźcie, gdziekolwiek jesteście. – To głos Pip.

Wynurza się zza drzewa, a u jej boku natychmiast pojawiają się Bessie, Mae, Mercy i inne, których wcześniej nie widziałam. Zajmują miejsca jak żołnierze, a w dłoniach trzymają pochodnie. Czuję się, jakby wyduszono ze mnie całe powietrze. Muszę chować ręce za plecami, żeby nikt nie zauważył, jak bardzo drżą. Pippa pomalowała sobie twarz niebieskoczarnym sokiem z jagód. Pozostałe dziewczyny mają podobne malunki, które nadają ich obliczom wygląd czaszek.

W świetle ognia oczy Pip ciągle się zmieniają, od fioletu po biel, od kuszących po przerażające.

- Witaj, Gemmo, co cię tu sprowadza?

- Ja... szukam Fee.

Zabawnie marszczy czoło.

- Czyżbyś ją zgubiła? No, no, Gemmo, co za beztroska. Cóż, w takim razie będziesz musiała zajrzeć do środka. Chodź za mną.

Pippa prowadzi nas do zamku jak zwycięska królowa. Nadal jest urocza. Magia działa na jej korzyść, ale z tego, co widzę, niezbyt hojnie obdarowywała nią swoje uczennice. Idą za nią, w strzępach i łachmanach, a ich skóra wyglądała na szarą i zniszczoną.

- Bessie – odzywam się, a dziewczyna w odpowiedzi brutalnie mnie popycha.

- Nie zatrzymywać się.

Zamek jest równie zaniedbany jak las. Pnącza bez przeszkód wspinają się po ścianach i obejmują balustrady jak omszałe pazury. Wśród nich wiją się węże.

- Gdzie jest Felicity? – pytam ponownie..

- Cierpliwości, cierpliwości – mruczy Pippa, ustawiając na ołtarzu w równym rzędzie kielichy z jagodami.

Bessie uśmiecha się pogardliwie na widok panny McCleethy.

- A to kto? Twoja mamuśka?

- Nazywam się McCleethy, jestem nauczycielką w Akademii Spence.

Pippa klaszcze ze śmiechem.

- Panna McCleethy! A więc to pani przysparza Gemmie tyle kłopotów. Dla mnie nie będzie pani żadnym problemem.

- Będę bardzo poważnym problemem, jeśli nie powiedz mi natychmiast, gdzie znaleźć pannę Worthington – ripostuje nauczycielka.

- Niech pani tego nie robi – ostrzegam.

- Ona potrzebuje twardej ręki – odpowiada szeptem.

- Już nie – cicho zaprzecza Ann.

- Cisza! – uspokaja nas Pippa. – To mój zamek. Ja tu jestem królową i ja ustanawiam zasady.

Mae sięga po garść jagód, ale Pippa kręci głową.

- Mae, wiesz przecież, że są przeznaczone na rytuał. Muszą zostać najpierw wyświęcone.

- Tak, panienko. – Mae uśmiecha się, najwyraźniej szczęśliwa, że została skarcona przez swą boginię.

- Felicity! – wołam. – Fee!

Zamkowe mury trzeszczą i jęczą, jakby miały się na nas zawalić. Pnącza ciasno oplatają mój but i muszę go uwolnić mocnym szarpnięciem.

- Ona jest w wieży – odpowiada Mae. – Dla bezpieczeństwa.

- Pip – błaga Ann – musisz ją wypuścić. Nadchodzą istoty z Krainy Zimy.

- I ty też, Ann? – niecierpliwi się Pippa.

- Pip... - zaczyna znowu Ann.

- Muszę tylko złożyć ofiarę. Próbowałam z Wendy, ale kiepska z niej była ofiara z powodu ślepoty. A potem wy wróciłyście i już wiedziałam... Wiedziałam, że to przeznaczenie, nie rozumiesz?

Panna McCleethy staje przede mną.

- Nie możesz wziąć jej. Weź mnie w zamian.

- Co pani robi? – pytam.

- Gemmo – odpowiada szeptem nauczycielka – cokolwiek się zdarzy, ty musisz przezwyciężyć swoje lęki i ochronić magię.

„Cokolwiek się zdarzy”. Nie podoba mi się brzmienie tych słów.

- Czasami musimy się poświęcać dla większego dobra – dodaje. – Obiecuj mi, że ochronisz magię.

- Obiecuję – odpowiadam, choć wcale mi się to nie podoba.

Pippa mruczy do siebie.

- Chętna ofiara. To doprawdy potężna magia. Zgadzam się.

Szwaczki wloką pannę McCleethy w stronę Pip.

- Puście mnie, małe łobuzy! – złości się ona, wcale nie taka chętna mimo wszystko.

Mocno uderza Mae w twarz, lecz Bessie reaguje na to ciosem. Panna McCleethy upada na podłogę z krwawiącym uchem, a pozostałe dziewczęta zaczynają ją kopać i bić.

- Przestańcie! – ruszam w ich stronę, ale nauczycielka podnosi zakrwawioną dłoń.

- Gemmo, nie! – zatrzymuje mnie.

- Tak, wystarczy już – wtrąca Pippa, jakby dziękowała za drugą chochlę zupy. – Przyprawdźcie ją do mnie.

Niemal ciągną pannę McCleethy do ołtarza i związują jej dłonie za plecami. Usta nauczycielki krwawią i widzę w jej oczach strach, jakby uświadomiła sobie, że poważnie nie doceniła tych dziewcząt.

- Czy zamierzamy akceptować niewiernych? – woła Pip.

Dziewczęta odpowiadają chóralnym zaprzeczeniem. Ich twarze wyrażają głęboką nienawiść, które przejmuje mnie chłodem do szpiku kości. Nie widzą już w nas ludzi. Jesteśmy innymi, zagrożeniem, które należy zlikwidować.

Pippa z westchnieniem zwraca się do panny McCleethy.

- Obawiam się, że istnieje tylko jedna kara dla tych, którzy nie chcą się do nas przyłączyć. Bessie wyciąga miecz. Jego ostrze połyskuje w świetle. Dziewczyny krzyczą i piszczą. Ich nieokrzesane wrzaski składają się na ogłuszający jazgot. Panna McCleethy walczy.

- Nie! – woła, kopiąc i próbując się wyrwać.

Ale Mae i Mercy trzymają mocno. Kładą ją na ołtarzu tak, by jej głowa zwieszała się z jednej strony. Czuję, jak moje serce tłucze się o żebra.

- Pippo, co ty wyrabiasz? – wołam, biegnąc w jej stronę.

Pippa odrzuca mnie w tył siłą swojej magii. Daję się zaskoczyć, więc upadam na podłogę, tłukąc się boleśnie. Dziewczyny zmuszają pannę McCleethy do pochylecia głowy i obnażają jej szyję.

- Nie! – zrywam się na nogi, ale zanim udaje mi się przyzwać magię, Pippa wyzwala swoją.

Tym razem padam na ziemię jak szmaciana lalka. Panna McCleethy mocno zamyka oczy. Usta ma zaciśnięte w jedną linię. Ostrze zostaje uniesione.

- Chronź mag... - woła, gdy miecz opada szybko jak błyskawica.

Stojąca obok mnie Ann krzyczy i krzyczy, a jej rozpacz miesza się z triumfalnymi wrzaskami dziewczyn, aż trudno już rozróżnić, gdzie jedno się kończy, a drugie zaczyna. Wydaje mi się, że zaraz zwymiotuję. Oddech mi się rwie, a łzy szczypią w oczy. Ann przestaje krzyczeć i siedzi w zupełnym bezruchu.

Ze słodkim jak miód westchnieniem pnącza przesuwają się do przodu i zagarniają bezgłowe ciało panny McCleethy. Dziewczęta klękają, składając dłonie do modlitwy. Pippa staje przed nimi, za ołtarzem. Unosi kielich nad głowę i ponownie go opuszcza, mamrocząc pod nosem słowa, których nie słyszę. Wyjmuje z naczynia dorodną jagodę i kładzie ją delikatnie w wyczekujących dłoniach Bessie. Z namaszczeniem i powagą wędruje wzdłuż szeregu, dając jagody wszystkim pochylonym przed nią w ukłonie dziewczętom.

- Kto jest drogą? – pyta głośno.

- Panienska Pippa! – odpowiadają jednogłośnie. – Ona jest wybrana.

- Jakie jest nasze zadanie?

- Zjeść jagody i pozostać w raju.

- Amen – mówi Pippa.

Dziewczęta zgodnie wkładają owoce do ust i połykają je.

Pip odwraca się do nas z wyciągniętymi ramionami i ustami rozchylonymi w ekstatycznym uśmiechu.

- Przykro mi z powodu waszej nauczycielki, ale ona nie mogłaby do nas dołączyć. W was jednak wierzę. Przecież do mnie wróciłyście. Ale, moje kochane, musicie stać się takie jak my. Te, które chcą pójść za mną, muszą zjeść jagody.

W końcu odzyskuję głos.

- Pip, proszę cię, posłuchaj. Istoty z Krainy Zimy chcą zawładnąć międzyświatem. Jeśli mnie zabijesz, nie pozostanie nikt, kto by mógł z nimi walczyć.

Bessie wchodzi po schodach do wieży i wraca z wściekłą Felicity, która wierzga i piszczy. Próbuje ugryźć Bessie, a ta w odpowiedzi wymierza jej mocny cios.

- Och, Fee! Jesteś tutaj, to zabawne – mówi Pippa, a Fee przygląda jej się z przerażeniem.

Pippa podchodzi do nas wolnym krokiem i wkłada nam w dłonie jagody. Całuje Ann w czoło.

- Ann, kochana, dlaczego tak się trzęsiesz? Jest ci zimno?

- T-tak – szepcze Ann. Usta jej drżą z czystej trwogi. – Zimno.

- Wierzysz, kochana? Wierzysz, że ja jestem wybrana?

- Tak. – Ann z łkaniem kiwa głową.

- I zjesz jagody? Przyjmiesz moją łaskę?

- Gdybyś naprawdę była wybrana, nie musiałabyś zastraszać swoich wyznawczyń – mówię. Skoro mam umrzeć, to nie w milczeniu.

Pippa gładzi mnie po włosach.

- Nigdy za bardzo mnie nie lubiłaś, Gemmo. Sądzę, że jesteś zazdrosna.

- Możesz sobie myśleć, co chcesz. Grozi nam niebezpieczeństwo. Nam wszystkim. Istoty z Krainy Zimy chcą rządzić międzyświatem. Już zaatakowały kilka plemion. Najeżdżają bez litości, biorąc dusze tych, którzy nie chcą się do nich przyłączyć.

Pippa marszczy czoło.

- Nic o tym nie słyszałam.

- Zmierzają teraz w tę stronę. Jeżeli złożą mnie w ofierze pod Drzewem Wszystkich Dusz, posiadą całą moc Świątyni i będą władać międzyświatem.

- Nie mogą władać międzyświatem! – Wybuchła śmiechem. – Nie mogą, ponieważ ja jestem wybrana. Ja posiadam magię. Ona rośnie we mnie. Drzewo tak mi powiedziało! Gdyby spiskowali, wiedziałabym o tym.

- Nie wiesz wszystkiego, Pippo.

Zbliża twarz do mojej, aż dzieli je tylko kilka centymetrów. Usta nadal ma fioletowe od jagód. W jej oddechu czuć ocet.

- Kłamiesz. – Lekki uśmiech rozciąga jej wargi. – Dlaczego nie użyjesz swojej magii przeciwko mnie?

- Nie chcę tego robić – mówię, a mój głos się załamuje.

Twarz Pippy rozjaśnia się.

- Straciłaś ją, prawda?

- Nie, nie straciłam...

- Nie mogłaś mnie powstrzymać, ponieważ to ja jestem wybranką! – woła donośnym głosem Pippa.

Bessie szarpie mnie mocno za ramię.

- Udowodnijmy niedowiarkom! Zabierzmy je do Krainy Zimy!

- Nie! – protestuję.

Pippa klaszcze.

- To wspaniały plan! Och, tak, zróbmy to!

Felicity ujmuje jej dłonie.

- Pip, jeżeli zjem jagody i zostanę z tobą, wypuścisz je?

- Felicity! – wołam.

Kręci głową i posyła mi cień uśmiechu.

- Wypuścisz? Pozwolisz im odejść?

Błysk zrozumienia pojawia się w oczach Pip, jakby przypomniała sobie ulubiony sen. Pochyla się, a czerń jej włosów miesza się z jasnymi pasmami Felicity, tworząc gobelin ze światła i ciemności. Pippa czule całuje przyjaciółkę w czoło.

- Nie – odpowiada schrypniętym głosem.

- Pip, nie rozumiesz. Oni cię skrzywdzą – przekonuje Fee, ale Pippa przekroczyła już granice rozsądku.

- Jestem potężniejsza od nich! Nie boję się. Ja jestem drogą! Ja jestem wybranką! Bessie, potrzebujemy następnej ochotniczki – rozkazuje Pippa.

Dziewczyny podrywają mnie z miejsca i wloką do ołtarza, gdzie może mnie spotkać ten sam los co pannę McCleethy. Pippa wciska mi do ręki jagody.

- Jedz, bo ja jestem drogą.

Owoce zostawiają plamy na mojej dłoni. Powiedziałam, że ochronię magię, ale nie mam wyboru. Muszę jej użyć. Musimy się uwolnić.

Sięgam głęboko po swoją moc, a ona przepływa przeze mnie z nową siłą. Pippa chwytą mnie za ramiona i zwieramy się w walce. Magia wydaje mi się czymś nowym, bezwzględny

i przerażającym. Czuję w ustach smak metalu. Jest tak, jakby krew uwolniła się spod mojej kontroli. Pulsuje poza czasem i gna moimi żyłami tak szybko, że aż zaczynam się trząść. Czuję wszystko, co Pippa ma w sobie – gniew, strach, pożądanie, tęsknotę. I wiem, że ona czuje to, co jest we mnie. Gdy odnajduję tajemną ranę, Felicity, przez jej twarz przebiega wyraz bezbrzeżnego smutku.

- Puść mnie – jęczy. – Puść!

- Tylko wtedy, gdy ty na wypuścisz – odpowiadam.

Uwalnia w pełni swoją moc i ciska mną o mur. Osuwam się po nim bezwładnie.

- Stój! – wołam.

Po czym sama wyzwalam moc, a Pippa pada na kolana. Ale czuję, że magia mi się wymyka i boję się stracić teraz panowanie nad sobą. Muszę trochę ją powściągnąć i w tej właśnie chwili Pippa atakuje mocą, przyszpilając mnie do ściany, gdzie pnącza natychmiast zaczynają oplatać moje stopy i dłonie.

- Pippo! – woła Felicity, ale nasza przyjaciółka nie zważa już na nic.

- Ja jestem drogą! – krzyczy.

Felicity uderza ją płazem miecz, powalając na ziemię. Magiczne więzy słabną.

- Fee? – mówi Pip, szeroko otwierając oczy.

I wtedy zauważa ranę na ramieniu, z której krew strużką ścieka na aksamitne pnącza. Rozlega się ogłuszający huk, gdy prastare kamienie zaczynają się kruszyć. W panice ruszamy do drzwi, uskakując przed spadającym gruzem.

- Pip! – woła Felicity. – Pip, uciekaj stamtąd!

Ale twarz Pippy promienieje jakąś przeraźliwą radością. Unosi ramiona do nieba.

- Nie ma się czego obawiać! Ja jestem drogą!

- Pip! Pip! – wrzeszczy Fee, gdy ciągnę ją do wyjścia.

Patrzemy bezradnie, jak pnącza odnajdują Pippę i z całej siły ściągają ją w dół.

- Nie! – krzyczy ona. – Ja jestem drogą!

Ale z nieba pada deszcz kamieni. A potem wielki zamek zapada się całkowicie, grzebiąc Pippę głęboko pod pokruszonymi murami i uciszając ją na zawsze.

Felicity, Ann i ja ledwie uchodzimy z życiem. Ciężko dysząc, leżymy na trawie, a zamek zapada się pod ziemię – kraina odzyskuje to, co do niej należy. Bessie i Mae udało się uciec, podobnie jak kilku pozostałym, ale Mercy została pogrzebana razem z Pippą.

Dziewczęta wpatrują się w miejsce, w którym stała ich przywódczyni. Mae uśmiecha się przez łzy.

- Ona chciała, żeby to się stało – mówi w nagłym zachwycie. – Nie rozumiecie? Poświęciła się. Dla nas.

Bessie kręci głową.

- Nie.

Mae chwyta ją za spódnicę.

- Musimy dalej robić to, co nam kazała. Jeść jagody. Wypełniać jej polecenia. Wtedy wróci. Módl się ze mną, Bessie.

Bessie odpycha ją.

- Nie. To już koniec, Mae. Wstań.

- Ona została wybrana – upiera się szwaczka.

- Nie, mylisz się – mówię. – Była tylko zwykłą dziewczyną.

Mae nie chce widzieć tego w ten sposób. Zgarnia garściami gnijące jagody i pochłania je, po każdej wypowiadając imię Pippy jak w modlitwie. Mocno trzyma się swojej wiary. Nie chce przyjąć do wiadomości, że została wprowadzona w błąd, że jest porzucona, samotnia i nie ma kogo słuchać poza własnym sercem.

Bessie biegnie za mną.

- Mogę iść z wami?

Kiwam głową. Jest awanturnicą, a kogoś takiego możemy potrzebować.

Doganiam Felicity.

- Fee... - zaczynam.

Wyciera nos w rękaw, odwracając ode mnie głowę.

- Zostaw.

Może powinnam to zrobić, ale nie potrafię.

- Ona odeszła już jakiś czas temu. Jedynie ty powstrzymałaś ją przed całkowitą przemianą. To była prawdziwa magia. Może najpotężniejsza, jaką widziałam.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Gorgona nie czekała na nasz powrót. Przyplłynęła za nami i teraz stoi przy brzegu. Kartik rzuca jedno spojrzenie na zalaną łzami twarz Felicity i o nic nie pyta. Mierzą się wzrokiem z Bessie, po czym dziewczyna bez słowa wchodzi na pokład.

- Sprawa zakończona – mówię. – Gorgono, zawieź nas do Krainy Zimy.

Fowlson natychmiast znajduje się u mojego boku.

- Chwila! Co to znaczy? Gdzie Sahira?

- Przykro mi – odpowiadam cicho.

Boję się, że zaczniesz krzyczeć. Rozpaczać. Przeklinać nas. Rozwali coś. Zamiast tego w milczeniu opada na deski pokładu i ukrywa twarz w dłoniach, co w pewien sposób jest o wiele gorsze.

- Co możemy zrobić? – pytam szeptem Kartika.

- Zostawić go w spokoju.

Gorgona prowadzi nas po rzece. Na wodzie unoszą się płonące szczątki. Płomienie tańczą i trzaskają, grożąc nam oparzeniem. Wiatr wieje i zasypuje nas dławiącym popiołem. Jest tak, jakbyśmy wchodzili przez bramę do piekieł.

Za skłębionymi czerwonymi chmurami nad Krainą Zimy pulsuje błyskawica.

- Jesteśmy blisko – informuje nas gorgona.

Ann głośno wciąga powietrze i zakrywa usta dłonią. Wpatruje się w wodę, na której twarzą w dół unosi się martwe ciało jakiegoś nieszczęśnika. Przez chwilę kołysze się w miejscu niczym ponure przypomnienie o naszym zadaniu, a potem prąd niesie je dalej. W mojej pamięci pozostanie jednak na zawsze. Wszyscy milkniemy. Opuszczamy Krainę Graniczną. Wpływamy na terytorium Krainy Zimy i nie ma już odwrotu.

*

Docieramy do zatoki, w której po raz pierwszy spotkaliśmy armię umarłych. Na szczytach poszarpanych skał płoną ognie. Nie chcę wiedzieć, kto je rozpalił ani jakiego używa paliwa. Leśni ludzie i Hajini wyciągają łódki na brzeg. Filon zwraca zimne spojrzenie na klify, jakby czegoś wypatrywał.

- Którędy do drzewa? – pyta, zarzucając lśniący topór na ramię.

- Tam jest przejście – odpowiadam.

- Gdzie nauczycielka?

- Straciłyśmy pannę McCleethy w Krainie Granicznej – wyznaję.

Fowlson zdjął skórzany pas i ostrzy na nim nóż coraz szybszymi pociągnięciami.

- Obawiam się, że to dopiero początek – mówi Filon.

Z bronią w ręku nasza obdarta gromadka rusza do wąskiego przejścia prowadzącego do serca Krainy Zimy. Ostatni raz próbuję przekonać gorgonę.

- Chciałabym, żebyś poszła z nami. Bardzo byś się nam przydała.

- Nie można mi ufać – upiera się.

Podchodzę do niej bliżej niż kiedykolwiek, jakbym chciała ją objąć. Wąż ociera się o mój nadgarstek, ale się nie cofam. Gad wysuwa język i zostawia mnie w spokoju.

- Ja ci ufam.

- Bo mnie nie znasz.

- Gorgono, proszę...

W jej oczach widać ból. Zamyka powieki, by go ukryć.

- Nie mogę, Wasza Wysokość. Będę czekała na twój powrót.
- Jeśli w ogóle wrócę – odpowiadam. – Mają nad nami ogromną przewagę liczebną, a na mojej magii nie można polegać.

- Jeżeli zawiedziesz, to wszyscy polegniemy. Zniszcz drzewo. To jedyny sposób.

- Pójdzie z nami? – pyta Ann, gdy ich doganiam.

- Nie.

Filon zerka na bezlitosny krajobraz – chmury ociekają czerwienią, przejście wśród ostrych skał przed nami. Przenikliwy, zimny wiatr ciska nam w twarz piasek ze żwirem.

- Szkoda. Przydałaby nam się teraz jako wojownik.

Całą grupą wchodzimy do wąskiego kanionu. Oślizgły, blady stwór wysuwa lepka łapę zza skały i muszę zakryć usta Ann dłonią, żeby uciszyć jej krzyk.

- Po prostu idź dalej – radzę.

Kartik przeciska się do nas między leśnymi ludźmi.

- Gemmo, sądzę, że nie powinniśmy wychodzić tak jak przedtem. Będziemy widoczni jak na dłoni. Znalazłem przejście, które prowadzi na półkę za klifami. Jest wąskie i niebezpieczne, ale możemy stamtąd obserwować ich niezauważeni.

- Zgoda – mówię. – Prowadź.

Przemykamy się po wąskiej półce, z której grozi nam upadek w nicość. Serce mi łomocze, więc nie spuszczam wzroku z lśniącego topora Filona przede mną. W końcu docieramy na miejsce i okazuje się, że rzeczywiście możemy się tu ukryć za skałą.

- Słyszycie to? – pyta Kartik.

Z oddali dobiega łoskot bębnow, który odbija się echem od gór.

- Zobaczą, co to – mówi. Wspina się po skalistym zboczu, jakby się do tego urodził.

Wystawia głowę nad krawędzią klifu, a potem pospiesznie schodzi w dół. – Zbierają się na wrzosowisku.

- Ilu? – pyta Filon.

Twarz Kartika jest ponura.

- Zbyt wielu, by ich zliczyć.

Dudnienie bębnow rezonuje w moich kościach. Wypełnia moją głowę, aż wydaje mi się, że zaraz oszaleję. Łatwiej jest nie widzieć, ilu ich jest, nie patrzeć na ten koszmar, ale muszę wiedzieć. Muszę. Kurczowo chwytając się skały, podciągam się i zerkam nad postrzępionym kamiennym grzbietem, który chwilowo nas chroni.

Kartik nie kłamał. Armia Krainy Zimy jest potężna i przerażająca. W pierwszej linii jada tropiciele w powiewających czarnych pelerynach, które rozchylają się, ukazując uwięzione wewnątrz dusze. Nawet z tej odległości widzę błysk ich ostrych zębów. Górują nad pozostałymi, gdyż mają ponad dwa metry wzrostu. Makowi Wojownicy w zmatowiałych kolczugach przekształcają się w ogromne czarne patki i krążą nad polami. Kraczą z przerażającą zawziętością. Wzbija się ich w powietrze coraz więcej i więcej, aż tworzą na niebie wielką czarną plamę, a powietrze aż trzeszczy od ich wrzasków. Modłę się, żeby nie poleciały w tym kierunku i nie odkryły naszej kryjówki. Za nimi stoi armia zdeprawowanych duchów – chodzących trupów. Oczy mają puste i niewidzące albo niepokojąco biało-niebieskie jak Pippa. Wykonują rozkazy, o nic nie pytając. A w samym środku stoi drzewo – wyższe i potężniejsze niż wtedy, gdy widziałam je po raz ostatni. Wyciąga konary na wszystkie strony. Mogłabym przysiąc, że widzę dusze krążące pod jego korą niczym krew. I wiem, że w jego mrocznym sercu kryje się Eugenia Spence.

Dobosze wybijają grzmiący rytm.

- Jak mamy z nimi walczyć? – pyta Ann, a ja czuję jej lęk we własnym sercu.

- Spójrzcie tam – wskazuje Felicity.

Makowy Wojownik wlecze za sobą Wendy. Wyczerpana dziewczynka potyka się, ale poza tym jest cała. Jedzenie jagód skazało ją na życie tutaj, lecz jednocześnie sprawiło, że nie

nadawała się na ofiarę. Makowy Wojownik liże ją po policzku, a Wendy odskakuje do tyłu. Mierzi mnie myśl, że ta odrażająca bestia trzyma ją na łańcuchu.

Bębny milkną, ale cisza jest jeszcze bardziej przerażająca.

- Co oni robią? – pyta Fowlson, trzymając nóż w pogotowiu.

- Nie wiem – odpowiadam.

Drzewo przemawia:

- Przyprawdziliście ofiarę?

- Jest gdzieś tutaj – odpowiada tropiciel.

- Tak długo na ciebie czekałam – mruży drzewo tym głosem, który poprzednio mnie zauroczył. – Znasz mnie? Wiesz, czym możemy się stać razem? Wiesz, że możemy rządzić oboma światami? Przyłącz się do mnie...

Słowa owijają się wokół mnie.

Gemmo... chodź do mnie...

To moja mama. Na polu stoi mama w błękitnej sukni i wyciąga ramiona, żeby mnie przytulić.

- Mamo – szepczę.

Kartik obraża moją twarz ku swojej.

- To nie jest twoja mama, Gemmo. Wiesz o tym.

- Tak. Wiem. – Znów tam spoglądam, a obraz migocze, jakby powstał z płonącego gazu.

- Potrafią nas skłonić, byśmy widzieli to, co chcą, i wierzyli w to, co chcą – przypomina mi Niedotykalna o ciemnobrązowych oczach.

- Jak będziemy z nimi walczyć? – pyta centaur. – Niech kapłanka da nam trochę swojej magii!

- Nie – oponuje Filon, przyglądając mi się. – Jeżeli teraz przywoła magię, drzewo na pewno to wyczuje, a boję się nawet myśleć, co by to oznaczało.

Fowlson ma zawziętą minę.

- Musimy się dostać do tego drzewa, bracia. Wykarczować je.

- Tak, taki mamy cel – zgadza się Felicity. Dobyła miecza i chce go użyć.

W naszym oddziale wybucha drobna sprzeczka. Nie potrafimy ustalić żadnego planu. Na równinie na dole widzę odrażające upiory i drzewo, które pochłonęło duszę Eugonii. Ale wyczuwam też moją mamę, Kirke, pannę McCleethy, Pippę, Amara... Tak wiele imion. Tak wielu straconych.

- Setki lat walki i po co? – odzywam się wreszcie. – Dziś się to skończy. Nie mogę już dłużej żyć w strachu. Nałożyłam klątwę na tę moc. Zarówno radowałam się nią, jak i nadużywałam jej. I ukrywałam ją. Teraz muszę wykorzystać ją we właściwy sposób, przypisać do właściwego celu i mieć nadzieję, że to się uda.

Jakiś centaur zaczyna mówić, ale Filon ucisza go, unosząc palec.

- Doktor Van Ripple powiedział mi, że iluzja działa, ponieważ patrzący chcą w nią wierzyć. No więc dobrze. Dajmy im to, czego chcą – zamykam spór.

Filon mruży oczy.

- Jaki masz plan?

- Szukają wybranki. A jeśli ona pojawi się wszędzie naraz? Jeśli wywołam swój obraz na skalnej półce i dalej na polu? Będą mnie widzieli, gdziekolwiek spojrzę. A jak złożą w ofierze kogoś, kogo nie da się zidentyfikować?

Filon w zadumie pociera dłonią wąskie usta.

- Sprytne, ale ryzykowne, kapłanko. Co jeśli nas odkryją?

- Potrzebujemy tylko tyle czasu, żeby zbliżyć się do drzewa i ściąć je.

- A co ze sztyletem? – pyta Felicity.

- Zostawcie to mnie – odpowiadam.

- Skąd wiemy, że ścięcie drzewa zakończy to wszystko? – pyta centaur.

- Nie wiemy – przyznaję. – Ale to najlepsze, co możemy zrobić, jeśli wszyscy się zgadzają.

Wszyscy wokół kiwają głowami i potakują.

- Pan Fowlson i Felicity poprowadzą atak. Ann – mówię, patrząc w jej odważną twarz – postaraj się wydostać Wendy ze szponów tego potwornego Makowego Wojownika.

- A ja? – pyta Kartik.

Zostań ze mną.

- Ktoś musi uważać na Amara. Ma wielką moc – zauważam ze smutkiem.

- Gemmo, będziemy walczyć ramię w ramię – odpowiada Kartik, a ja wiem, że myśli o swoim śnie.

- To był tylko sen – uspokajam go, choć słowa z trudem przechodzą mi przez usta i czekam, aż powie żartobliwie, że będziemy żyli razem jeszcze długo po tym, gdy to się skończy. Ale on tylko kiwa głową, co jeszcze bardziej wzmagamój strach.

- A jeśli znajdą cię mimo wszystko? – pyta Filon.

Zginę tutaj. Moja dusza na zawsze przepadnie w Krainie Zimy. Potwory będą rządzić naszym światem i międzyświatem.

- Nie próbujcie mnie ratować. Przedostańcie się do drzewa. Zetnijcie je. Nie wiem, czy to dobry plan, czy nie, ale coś musimy zrobić. I możemy tego dokonać tylko wspólnymi siłami.

Wyciągam rękę. To oczekiwanie jest najdłuższym momentem w moim życiu. Kartik kładzie dłoń na mojej. Felicity i Ann bez wahania dołączają do nas. Potem Filon kładzie swoje długie palce. Następni są Bessie i Fowlson. Niedotykalni. Centaury. Leśny lud. Dłoń na dłoni, łączymy się, wszyscy co do jednego. Muszę się bardzo koncentrować, żeby nie dopuszczać do siebie żadnych myśli prócz własnych. Łatwo by było myśлом istot z Krainy Zimy przeniknąć do moich, a drzewu wślizgnąć się w mój mózg. Wyczuwam, że magia przepływa ze mnie do pozostałych, do wszystkich po kolei. A gdy otwieram oczy, czuję się jak w sali pełnej luster. Wyglądamy tak samo. Wszyscy mają moją twarz. Jak potwory znajdują wybrankę, skoro wszyscy nią jesteśmy?

- Nie ma teraz czasu na wahanie – mówię. – Lada chwila nas zauważą. Nie dajmy się zaskoczyć.

Bębny znów się odzywają. Czuję w uszach szum krwi. Rozchodzimy się wachlarzem po szczytach skał. Potworni tropiciele w dole wskazują nas palcami i wrzeszczą. Sięgają po broń, ale my też. Zbiegamy na równinę i dobywamy mieczy. Szczęk stali o stal wywołuje dreszcz na moich plecach. Centaury zasypują wroga gradem strzał ze wzgórz. Jedna mija mnie ze świstem i trafia w upiora znajdującego się niebezpiecznie blisko.

- Aaaaaa! – zawzięty bojowy okrzyk przecina powietrze.

Widzę, jak któraś z nas wywija mieczem, jakby urodziła się z nim w dłoni, i wiem, że pod tą iluzją bije serce mojej przyjaciółki Felicity.

Ledwie wierzę własnym oczom. W zawrotnym tempie zbliża się do nas gorgona z mieczem we wszystkich czterech rękach. Trochę się chwieje, nieprzyzwyczajona do chodzenia po tak długim czasie nieużywania nóg. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Jest wspaniała i przerażająca – zielona olbrzymka rozdająca ciosy na prawo i lewo. Węże na jej głowie skręcają się i syczą.

Jej głos wznosi się ponad hałas.

- Jeżeli chcecie bitwy, to ją dostaniecie! Jestem ostatnią ze swojego rodzaju. I nie poddam się bez walki.

W całej swej okazałości gorgona stanowi doprawdy imponujący widok. Węże wiją się w szale wokół jej głowy. Czuję się równocześnie zachwycona jej majestatem i przestraszona potworną mocą. Niektóre istoty obracają się w kamień na sam jej widok. Inne wycina w pień silnymi ciosami miecza. Wydaje się, że już nas nie słyszy i nie widzi. Jest tak głęboko pogrążona w bitewnym transie, że podnosi miecz przeciwko jednej z nas.

- Gorgono! – wołam.

Natychmiast odwraca się do mnie. Och, okropna intensywność spojrzenia tych złotych oczu teraz, gdy jest wolna! To koszmar, od którego nie mogę odwrócić wzroku. Zaczyna na mnie działać jej przerażający czar. Moje stopy robią się twarde jak kamień. Nie mogę się poruszyć. Świat oddala się ode mnie. Dźwięki bitwy cichną. Słyszę tylko uwodzicielski syk gorgony:

- Patrz na mnie, patrz na mnie, patrz na mnie, patrz i zdumiewaj się...

Moja krew obraca się w kamień.

- Gorgono – mówię zdławionym głosem i nie wiem, czy mnie słyszy, czy nie.

- Patrz na mnie, patrz na mnie...

Nie mogę oddychać.

Węże wściekle syczą. Żądza krwi w oczach gorgony na chwilę przygasa, za to pojawia się w nich przerażenie.

- Nie patrz na mnie, Wasza Wysokość! – krzyczy. – Zamknij oczy!

Zbieram wszystkie siły, jakie mi zostały, i opuszczam powieki. Odrętwienie natychmiast mija. Nogi stają się miękkie i opadam na ziemię, ciężko łapiąc oddech.

Gorgona pomaga mi wstać.

- Nie wolno ci teraz na mnie patrzeć, bo nie jestem tą, którą znasz. Teraz jestem wojowniczką. Pilnuj się. Rozumiesz?

Energicznie kiwam głową.

- Mogłam cię zabić – dodaje wstrząśnięta.

- Ale nie zabiłaś – udaje mi się wydusić.

Słyszę jęk. Padła jedna z nas. Przez przypadek widmo przelało krew. Fałszywa Gemma osuwa się na ziemię.

- Głupcze! – woła Amar. – Jeśli zabijesz ją tutaj, nie będziemy mieli pożytku z jej duszy!

Ale ciało na ziemi nie jest już moją iluzją. Magia słabnie i znika. Moją twarz zastępuje twarz Niedotykalnej, która wpatruje się w nich brązowymi oczami.

Potwór wyje z wściekłości.

- Oszukują nas! To nie ona!

- Znajdź ją. Tę właściwą.

- Tutaj! – woła jedna z nas.

- Nie, to ja. To ja jestem wybraną! – woła inna z pola walki.

- To mnie szukacie – rozlega się kolejny głos.

Potwory wrzeszczą.

- Mieszają nam w głowach! Jak mamy walczyć, jeżeli używają przeciwko nam magii międzyświata?

Makowy Wojownik woła:

- To tamta przy skale!

- Nie, to ta obok mnie, mówię ci!

Jesteśmy wszędzie, a ta sytuacja zdecydowanie ich przerasta. Zaczynają kłócić się ze sobą.

Przekrzykuję wrzawę:

- Dlaczego macie walczyć za chwałę drzewa? Za tropicieli? Pozwolą wam zginać i całą magię zagarnąć dla siebie. Drzewo będzie wami rządziło tak, jak rządził Zakon.

Stworzenia przyglądają mi się nieufnie, ale słuchają.

Jedna z nas woła:

- Nadal będziecie niewolnikami czyjejś mocy. Naprawdę wierzycie, że podzielą się z wami sprawiedliwie?

Nadjeżdża Amar na białym rumaku.

- Nie słuchajcie ich! To oszuści!

Szkieletowa istota o długich, postrzępionych skrzydłach jak u ćmy unosi włócznię nad głowę i potrząsa nią.

- Dlaczego mamy oddawać im moc, skoro możemy zatrzymać ją dla siebie?

- Co nam obiecacie? – pyta inny stwór o skórze szarej jak deszcz.

- Cisza! – Tropiciele rozchylają potworne płaszcze, by ukazać krzyczące dusze. –

Widzicie to, co pozwalamy wam widzieć.

Istoty z Krainy Zimy kulą się znów uległe przed swoimi przywódcami.

- Ona wykorzystuje czary przeciwko nam. Znajdźcie dziewczynę, prawdziwą dziewczynę – mówi drzewo. – Nie dajcie im się oszukać. Będą próbowali ją chronić.

Tropiciel pędzi na gorgonę. Gorgona przeszywa go spojrzeniem i potwór popada w odrętwienie. Miecz wznosi się wysoko, po czym tnie ze świstem, a tropiciel pada jak młode drzewko powalone przez gwałtowną burzę. To, co z niego pozostało, jakaś dziwna moc, unosi się wirem z jego ciała niczym tuman piasku i leci do drzewa. Drzewo przejmuje go z ogłuszającym krzykiem. Rozlega się głośnie trzeszczenie i konary stają się jeszcze dłuższe i potężniejsze. Korzenie zanurzają się głębiej w zamarznątej ziemi. Drzewo jaśnieje nową energią.

- Gorgono! – przekrzykują świst strzał i odgłosy bitwy. – Musimy przestać!

Nie ma odwagi spojrzeć na mnie.

- Dlaczego?

- Im więcej ich zabijamy, tym mocniejsze staje się drzewo. Pochłania dusze! Nie pokonujemy ich, lecz umacniamy!

Ogarniam wzrokiem pole bitwy i dostrzegam Kartika, który pędzi za swoim bratem. To Kartik we własnej osobie, ciemne loki otaczają jego twarz niczym lwia grzywa. Biegnie z wdziękiem i siłą. Rozglądam się i spod iluzji dostrzegam Felicity oraz Filona. Magia słabnie! To tylko kwestia minut, zanim nasz plan się wyda, zostaną odkryta, a wtedy...

Słyszę krzyk Filona. Smukły, elegancki stwór został raniony przez tropiciela. Wypuścił topór z rąk. Nie ma chwili do stracenia. Muszę się dostać do drzewa.

Podciągam spódnicę i biegnę najszybciej, jak potrafię, po drodze łapiąc topór. Niemalże się wywracam, ślizgając się na lodzie i krwi, ale nie zwalniam. Gnam prosto przed siebie.

- Nadchodzi! – krzyczy drzewo.

Korzeniami łapie mnie za kostki. Ciężko upadam na ziemię. Topór wymyka mi się z rąk i ląduje tuż poza moim zasięgiem.

- Gemmo...

Podnoszę wzrok. Nade mną w płataninie gałęzi wisi Kirke, uwięziona w kokonie gałązek, pnączy i piekących pokrzyw. Twarz ma szarą, a usta pokryte pęcherzami i opuchnięte. W dłoni trzyma sztylet.

- Gemmo... - powtarza zduszonym głosem. – Musisz... to dokończyć...

Gałązki zaciskają się na jej szyi, dławiąc ostrzeżenie, ale udaje jej się rzucić sztylet na ziemię. Gorączkowo szukam go wśród gęstych korzeni.

- Zrezygnujesz z tego wszystkiego? W imię czego? Do czego wrócisz, gdy ze mną skończysz? – mami mnie drzewo. – Do zwykłego życia? Nie będziesz już wyjątkowa. Będziesz nikim.

- Będę inna – odpowiadam.

- Wszyscy tak mówią. – Drzewo śmieje się z rozgoryczeniem. – A potem ich magia słabnie coraz bardziej. Dorastają. Marzenia blakną razem z ich urodą. Zmieniają się. A kiedy w końcu zaczynają rozumieć, że woleliby żyć inaczej, jest już za późno. Nie mogą wrócić. Czy taki ma być twój los?

- N-nie – zaprzeczam, zapominając o sztylecie wśród pnączy.

- Gemmo! – Kartik mnie woła, ale nie potrafię oderwać wzroku od drzewa, nie mogę przestać go słuchać.

- Zostań ze mną – prosi słodko. – Taka jak teraz, na zawsze. Młoda. Piękna. Kwitnąca. Będą oddawać ci cześć.

- Gemmo! – To głos Felicity.

- Zostań ze mną...

- Dobrze – mówię, tęsknie wyciągając rękę do drzewa, gdyż ono mnie rozumie.

Przyciskam dłoń do kory i nagle wszystko znika. Jesteśmy tylko drzewo i ja. A przed nim stoi Eugenia Spence, królewska i pewna siebie. Rozglądam się za przyjaciółmi, ale zniknęli.

- Oddaj mi się, Gemmo, a już nigdy nie będziesz sama. Będziesz czczona. Podziwiana.

Wielbiona. Ale musisz mi się oddać. Z własnej woli złożyć się w ofierze.

Łzy płyną mi po twarzy.

- Tak – mówię cicho.

- Gemmo, nie słuchaj – odzywa się schrypniętym głosem Kirke i przez chwilę nie widzę Eugonii.

Dostrzegam tylko drzewo, z krwią pulsującą pod bladą skórą i ciałami zmarłych zwieszającymi się z gałęzi jak upiorne ozdoby. Głośno wciągam powietrze i przed moimi oczami znów pojawia się Eugenia.

- Tak, tego pragniesz, Gemmo. Choć bardzo byś chciała, nie możesz uśmiercić tej części siebie. To bolesna samotność, która czai się w zakamarkach twojej duszy. Zawsze tam jest, choćbyś nie wiem jak usilnie próbowała ją wypędzić. Rozumiem. Naprawdę. Zostań ze mną, a nigdy już nie zaznasz samotności.

- Nie... słuchaj... tej wiedźmy – chrypi Kirke, a pnącza zaciskają się na jej gardle.

- Mylisz się – mówię do Eugonii, jakbym budziła się z długiego snu. – To ty nie mogłaś uśmiercić tej części siebie. Ale także nie umiałaś jej zaakceptować.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz – protestuje, ale po raz pierwszy zaczyna jej brakować pewności siebie.

- Dlatego zdołali cię pojmać. Poznali twoją największą obawę.

- A cóż to takiego było, jeśli można wiedzieć?

- Twoja duma. Nie mogłaś uwierzyć, że masz takie same cechy jak te potwory.

- Nie jestem taka jak one. Jestem ich nadzieją. Dodaję im otuchy.

- Nie, tylko to sobie wmawiasz. Dlatego Kirke kazała mi poznać ciemne nakarmi mojej duszy. Żebym nie dała się zaskoczyć.

Kirke śmieje się, a jej chropowaty chichot zdaje się wnikać pod moją skórę.

- No i co, Gemmo? – mruczy Eugenia. – Poznałaś swoje „mroczne zakamarki”, jak to ujmujesz?

- Robiłam rzeczy, z których nie jestem dumna. Popełniałam błędy – mówię, a mój głos nabiera siły. Znów zaczynam po omacku szukać sztyletu. – Ale czyniłam też dobro.

- A mimo to nadal jesteś samotna. Tak się starasz i ciągle stoisz obok, przyglądając się światu zza szyby. Boisz się sięgnąć po to, czego naprawdę pragniesz, bo może się okazać, że to jednak nie wystarczy. A jeśli zdobędziesz to i nadal będziesz się czuła samotna i odrzucona? O wiele lepiej spowić się tęsknotą. Pragnieniem. Niepokojem. Biedna Gemma. Nigdzie nie pasuje, prawda? Biedna Gemma, zupełnie sama.

Jest tak, jakby wymierzyła mi cios prosto w serce. Moja ręka opada z wahaniem.

- Ja... ja...

- Gemmo, nie jesteś sama – szepcze Kirke.

Nagle wyczuwam pod palcami metal.

- Nie, nie jestem. Jestem taka jak wszyscy na tym głupim, cholernym, zdumiewającym świecie. Niedoskonała. Nawet bardzo. Ale pełna nadziei. Nadal jestem sobą. – Mam sztylet. Chwytam go mocno i stanowczo. – Przejrzałam cię. Teraz widzę prawdę.

Zrywam się na nogi i nagle iluzja, którą utkała Eugenia, pryska. Widzę pole bitwy skąpane we krwi. Słyszę szcęk stali o stal, mściwe rozkazy, nawoływania, okrzyki lęku i

pragnienia władzy, desperacji, czystej odwagi i bezlitosnej sprawiedliwości – wszystko to miesza się w jeden potworny ryk, który pochłania wszystkie głosy, wszystkie serca i nadzieje.

- Dobra robota, Gemmo – chwali mnie Eugenia. – Jesteś naprawdę bardzo potężna.

Szkoda, że nie pożyjesz długo, by czegoś się nauczyć na tych chwalebnych błędach.

Unoszę sztylet.

- Słusznie. Zakończmy to w odpowiedni sposób.

Rozliczne ramiona drzewa wyciągają się z jękiem. Na ich powierzchni kłębią się pochłonięte wcześniej dusze. Próbuję nie dać się omamić, ale to nie jest złudzenie. To przerażająca prawda i cofam się, gdy drzewo wznosi się jeszcze wyżej i pochyla nade mną.

- Gemmo, do dzieła – jęczy Kirke w udręce.

Przyzywam każdą cząsteczkę magii, jaką posiadam, i przelewam ją w sztylet.

- Wyzwalam uwiecznione dusze! Jesteście wolne!

Zamykam oczy i próbuję wbić sztylet w drzewo, lecz jedna z gałęzi wytrąca mi go z ręki. Z rozpaczą patrzę, jak ostrze spada na ziemię. Drzewo skrzypi i wyje, przyciągając uwagę wszystkich istot na polu walki.

- Musicie przelać jej krew! – rozkazuje.

- Gemmo! – woła Kartik ostrzegawczo.

Amar jedzie do mnie. Pogania konia i pędzi coraz szybciej. Wyrывam się z objęć konarów i rzucam po sztylet. Czas zwalnia na chwilę. Ryk bitwy cichnie i przechodzi w szum. Słyszę tylko tętent końskich kopyt i dudnienie krwi w uszach. Widzę, że Kartik biegnie za bratem z dziką determinacją w oczach. A potem świat znów przyspiesza.

Korzenie podcinają mnie. Upadam na ziemię. Sapiąc, czołgam się w stronę sztyletu, ale Amar jest szybszy.

- Nie! – krzyczy Kartik, a ja po chwili czuję ostry ból w boku.

Spoglądam w dół i widzę na mojej białej bluzce powiększającą się plamę krwi.

- Gemmo! – woła Felicity. Biegnie w moją stronę, a Ann tuż za nią.

Potyając się, ruszam naprzód, a kiedy docieram do drzewa, z bolesnym jękiem wyciągam sztylet ze swojego boku.

- Wyzwalam... te... dusze – powtarzam szeptem.

Wbijam sztylet w drzewo, a ono wrzeszczy z bólu. Dusze wyslizgują się spod jego skóry, zawisając na gałęziach niczym ogniste liście, po czym znikają.

Trzepoczę powiekami. Ziemia zaczyna się kołysać. Moje ciało drży nieopanowanie.

Wsuwam się w objęcia drzewa. Ostatnią rzeczą, którą słyszę, gdy opadam w kolebkę z gałęzi, jest głos Kartika wołającego moje imię.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Mgła jest gęsta i przyjemna. Okrywa moją rozpaloną skórę chłodnymi pocałunkami jak czuła matka. Nie widzę nic przed sobą, tak jak w snach. Ale wtem szarość zostaje przecięta żółtym blaskiem. Coś się zbliża. Światło dobywa się z latarni wiszącej na długim drągu, który jest przytwierdzony do barki przystrojonej kwiatami lotosu. Oto Trójca. Przybyła po mnie. Z tyłu we mgle słyszę znajomy głos: *Gemmo, Gemmo*. Przepływa przeze mnie miękko jak szept i chciałabym do niego wrócić, ale kobiety kiwiają na mnie dłońmi, więc ruszam im na spotkanie. Ich ruchy są powolne, jakby wymagały wielkiego wysiłku. Ja też zwalniam. Moje stopy przy każdym kroku zdają się grzęznąć w błocie, ale jednak powoli zbliżam się do nich.

Wchodzę na pokład. Skłaniają głowy na powitanie, a najstarsza mówi:

- Nadszedł twój czas. Musisz dokonać wyboru.

Otwiera rękę. Trzyma w niej garstkę fioletowych jagód, o wiele ciemniejszych niż te, którymi żywiła się Pippa. Leżą na jej dłoni, lśniąc jak klejnoty.

- Zjedz jagody, a my powieziemy cię ku chwale. Jeśli odmówisz, musisz wrócić do tego, co cię czeka, cokolwiek to jest. Gdy dokonasz wyboru, nie będzie już od niego odwrotu.

Przez moment słyszę nawoływanie przyjaciół, ale wydają mi się bardzo dalecy, jakbym miała biec i biec, a i tak nigdy bym ich nie dogoniła.

- Gemmo. – Odwracam się i widzę za sobą Kirke. Nie jest już tak niezdrowo blada jak wcześniej. Wygląda dokładnie tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyłam ją w Spence, gdy była panną Moore, nauczycielką, którą kochałam. – Dobrze sobie poradziłaś – mówi.

- Wiedzielaś, że Eugenia stała się drzewem, prawda?

- Tak – potwierdza.

- I chciałaś mnie uratować? – pytam z nadzieją.

Uśmiecha się do mnie smutno.

- Nie miej złudzeń co do mnie, Gemmo. Przede wszystkim chciałam uratować siebie. Po drugie, chciałam zdobyć moc. Ty byłaś na dalekim trzecim miejscu.

- Ale b y ł a m na trzecim miejscu – podkreślam.

- Tak – odpowiada z cichym śmiechem – byłaś.

- Dziękuję – mówię. – Uratowałaś mnie.

- Nie. Sama się uratowałaś. Ja tylko odrobinę ci w tym pomogłam.

- Co się z tobą teraz stanie?

Nie odpowiada.

- Będzie wędrowała we mgle po wsze czasy – wtrąca staruszka.

Decyzja co do mojego losu spoczywa w jej ręku. Wołanie przyjaciół cichnie w oddali. Biorę jędrną jagodę i kładę ją na języku, sprawdzając, jak smakuje. Nie jest cierpka. Ma przyjemny słodki posmak i tyle. To smak zapomnienia. Snów bez przebudzenia. Gdy człowiek nigdy nie tęskni i nie pragnie, nie walczy, nie czuje bólu, nie kocha i nie pożąda. Nagle rozumiem, że to właśnie oznacza utratę duszy.

Usta drętwiąją mi od słodyczy. Jagoda nadal spoczywa na moim języku.

Felicity niosąca naręczę nawłoci. Głos Ann, silny i pewny. Gorgona maszerująca przez pole bitwy.

Muszę jedynie przełknąć owoc i będzie po wszystkim. Tylko tyle. Połknąć jagodę, a wraz z nią wszelkie niepokoje, troski, nadzieje. Jak łatwo byłoby to zrobić.

Kartik. Zostawiłam go pod drzewem. Drzewo. Miałam tam jeszcze coś do zrobienia.

Tak bardzo, bardzo łatwo...

Kartik.

Podejmuję tytaniczny wysiłek, żeby wypluć jagodę, i dławię się, gdy próbuję pozbyć się z języka cukrowego odrętwienia. Ciało mnie boli, jakbym wtoczyła pod górę wielki głaz, ale udaje mi się jej pozbyć.

- Przykro mi. Nie mogę pójść z wami. Nie teraz. Ale mogę wypowiedzieć życzenie, tak?

- Jeśli chcesz – odpowiada staruszka.

- Tak. Chciałabym przekazać swoje miejsce komuś innemu – mówię, patrząc na Kirke.

- Chcesz dać je mnie? – upewnia się.

- Uratowałaś mi życie. W końcu to nie bez znaczenia.

- Wiesz, że brzydzę się samopoświęceniem – protestuje.

- Wiem, ale nie chcę, żebyś się błąkała we mgle. To zbyt niebezpieczne.

Uśmiecha się do mnie.

- Naprawdę dobrze sobie poradziłaś, Gemmo. – Odwraca się do trójcy. – Zgadzam się.

Kirke wchodzi na pokład barki.

Staruszka kiwa do mnie głową.

- Dokonałaś wyboru. Nie ma już odwrotu. Cokolwiek się stanie, musisz to zaakceptować.

- Tak, wiem.

- A zatem życzymy ci szczęścia. Już nigdy się nie spotkamy.

Staję na błotnistym, spowitym mgłą brzegu, a młoda kobieta wbija tyczkę w dno rzeki, żeby wypchnąć barkę we mgłę. Kirke odpływa. Idę powoli, czekając, aż moje nogi przypomną sobie, jak się chodzi szybciej, a wtedy zaczynam biec. I biegnę ze wszystkich sił, przepychając się przez mgłę zachłannymi, zdeterminowanymi ruchami, aż mam wrażenie, że lecę. Wtedy czuję twarde gałęzie na plecach i ostry ból w boku. Przyciskam do niego rękę, a kiedy ją odejmuję, jest cała zalana krwią.

Wróciłam na zamrożoną ziemię Krainy Zimy.

- Kartiku! Kartiku! – głos mam schrypnięty i słaby.

Wycieka ze mnie resztkę magii, która mi pozostała. Kartik ma oczy wielkie z trwogi.

- Gemmo! Nie ruszaj się. Jeżeli twoja krew spłynie na ziemię Krainy Zimy...

- Wiem.

Z ogromnym wysiłkiem wkładam sztylet do pochwy i odpełzam, chcąc znaleźć się jak najdalej od płataniny korzeni drzewa. Przyciskam rękę do rany, ale krew przesącza się między moimi palcami. Drzewo kołysze się niepewnie. Istoty z Krainy Zimy wrzeszczą na widok jego śmiertelnej rany. Nagle drzewo pęka z ogłuszającym trzaskiem i jego cała magia wylewa się na zewnątrz.

- Odsuń się! – woła gorgona, ale za późno.

Calusienka moc drzewa, co do kropli, przelewa się w Kartika. Jego ciało przyjmuje magię jak tysiąc ciosów. Upada na ziemię i wydaje się, że go to zabiło.

- Kartik! – krzyczę.

Powoli staje na nogach, ale nie jest już Kartikiem. Jest czymś zupełnie innym, istotą wytrawioną z cienia i światła, a jego oczy przechodzą od brązu do przerażającej białobłękitnej barwy. Jaśniej tak bardzo, że od patrzenia na niego bolą mnie oczy. Cała moc drzewa – cała magia Krainy Zimy – żyje teraz w nim, a ja nie wiem, co to znaczy.

- Kartik! – wyciągam do niego dłoń, a moja krew kapie na zamrożoną ziemię.

- Znów się zaczyna! – odpowiada tropiciel na krzyki innych.

Korzennie rannego drzewa ozywają. Owijają się wokół moich kostek i łydek. Krzyczę i próbuję się odsunąć, ale drzewo chce mnie wchłonąć.

- Nie zabiliśmy go – sapię. – Dlaczego?

- Nie da się go zabić! – woła grzmiącym głosem Amar. – Można je tylko odmienić.

Felicity i Ann szarpną za trzymające mnie korzenie, a Fowlson tnie je, ale nowe pędy są silne.

- Mówiłem ci, że oddasz nam ją, bracie. Że sprowadzisz na nią śmierć – dodaje ze smutkiem Amar.

Kartik jaśnieje mocą.

- Powiedziałeś, żebyś szedł za głosem serca – zwraca się do Amara, a jakaś cząstka jego brata, która pozostała niezmienną, słyszy to.

- To prawda, bracie. Czy obdarzysz mnie pokojem?

- Uczynię to.

Szybko niczym tygrys Kartik ujmuje miecz Amara. Jego brat unosi ramiona i Kartik przeszywa go ostrzem. Amar wydaje głośny okrzyk i wokół rozbłyśkuje oślepiające światło. A potem już go nie ma. Kartik przykłada dłoń do mojego boku. Magia wybucha płomieniem i oboje jesteśmy jaśni jak światło, ciemni jak cień. Jego siła wlewa się we mnie, aż magia Krainy Zimy miesza się z magią Świątyni. I przez jeden krótki moment stanowimy idealną całość. Czuję go w sobie, siebie w nim. Słyszę jego myśli. Wiem, co ma w sercu, co zamierza zrobić.

- Nie – protestuję. Próbuję mu się wyrwać, ale trzyma mnie mocno.

- Tak, to jedyne rozwiązanie.

- Nie pozwolę ci!

Kartik przyciąga mnie bliżej.

- Należy spłacić dług. A ty jesteś potrzebna na świecie. Całe życie czekałem, żeby znaleźć cel. Poznać swoje miejsce. Teraz je znam.

Kręcę głową. Łzy palą moje zimne policzki.

- Nie.

Uśmiecha się smutno.

- Teraz znam swoje przeznaczenie.

- Jakie?

- Takie.

Przytula mnie i całuje. Usta ma ciepłe. Obejmuje mnie mocno. Korzenie z westchnieniem puszczają moją talię, a rana w boku się zasklepia.

- Kartiku... - Płaczę, całując jego policzki. – Drzewo mnie wypuściło.

- To dobrze – odpowiada. Wydaje cichy okrzyk. Jego plecy wyginają się w łuk, a każdy mięsień w ciele się napina.

- Cofnij się! – woła znów gorgona, a oczy ma chłodne.

- Niech to – wzdycha Bessie z podziwem.

Magia bierze Kartika we władanie i rozumiem już, co zrobił. Pozwolił, by drzewo zawłaszczyło go w zamian za mnie. Ann i Felicity wyciągają do mnie ręce. Fowlson próbuje mnie powstrzymać, ale wrywam się.

Za późno, by powstrzymać magię. Kraina Zimy przyjęła ofertę Kartika.

- Gdybym mogła się cofnąć... odmienić to... - łkam.

- Nigdy nie można wrócić, Gemmo. Musisz iść naprzód. Przyszłość należy do ciebie – odpowiada Kartik.

Całuje mnie czule w usta, a ja odwzajemniam pocałunek, aż pnącza owijają się wokół jego szyi i jego wargi stają się chłodne. Ostatnie, co słyszę, to moje imię wypowiedziane cichym głosem:

- Gemmo...

Drzewo przyjmuje go. Odszedł. Zostaje tylko jego głos, niesiony wiatrem, który szepcze moje imię.

Tropiciele ozywają się.

- Ona nadal ma magię Świątyni! Możemy ją zdobyć!

Odpycham ich mocą.

- Za to chcecie walczyć? Zabijać? Chcecie to zagarnąć i chronić? Nigdy więcej – mówię, a usta ciągle mam ciepłe od pocałunku Kartika. – Magią należy się dzielić. Żadne z was jej nie dostanie! Oddaję magię krainie! – Przykładam dłoń do popękanej ziemi. – Oddaję magię międzyświata, a w tym także Krainie Zimy, aby została podzielona równo między plemiona!

Tropiciele wrzeszczą i wyją jakby z bólu. Dusze, które pojмали, przelatują przeze mnie w drodze do tego miejsca, do którego udajemy się po śmierci. Czuję, jak pędzą. Przypomina to korowód na zabawie karnawałowej. A gdy znikają, nie ma nikogo, kto by przewodził zmarłym. Rozglądają się w zdumieniu, niepewni, co się stało i co teraz będzie.

Błede istoty, które ukrywają się w rozpadlinach i szczelinach Krainy Zimy, podpełzają bliżej. Ciepło drzewa wytapia lód wokół pnia. Cienkie źdźbła trawy przebijają się przez nową ziemię. Dotykam ich i wydają się miękkie jak palce Kartika na moich ramionach.

Coś we mnie pęka. Twarz mam mokrą od łez. Robię więc to, czego potrzebuję. Opadam na rosnącą trawę i płaczę.

AKT V

RANEK

Bądź zmianą, którą pragniesz ujrzeć w świecie.
MAHATMA GANDHI

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Pani Nightwing czeka na nas w kaplicy, tuląc w ramionach ciało matki Eleny.

- Potwory? – pyta Ann, a głos ma ochryply od krzyku.

Dyrektorka potrząsa głową.

- Serce. Nie poddała się potworom. Przynajmniej tyle.

Pani Nightwing liczy nas, gdy ją mijamy – Felicity, Ann, Fowlson i ja.

- Sahira...? – szepcze. – I...

Kręcę głową. Opuszcza powieki i nie mówimy nic więcej.

Dziewczęta ze Spence siedzą zbite w gromadkę. Oczy mają szeroko otwarte z przerażenia. To, co widziały dziś w nocy, daleko wykracza poza podwieczorki i bale, ukłony i sonety.

Pani Nightwing kładzie dłoń na moim ramieniu.

- Nie mogę im powiedzieć nic więcej. Są wystarczająco przestraszone tym, co widziały.

- I słusznie. – Czy to mój głos brzmi tak twardo?

- Nie mogą wiedzieć, co się wydarzyło.

Chce, żebym wykorzystała magię, która we mnie pozostała, i wymazała z ich pamięci wszelkie wspomnienia o tej nocy. Żeby zapomniały i mogły dalej żyć tak jak do tej pory. Na tym świecie zawsze będą takie Cecily, Marty i Elizabeth, które nie potrafią znieść brzemia prawdy. Będą popijały herbaty, ważyły słowa, nosiły słomkowe kapelusze, wciskały swoje umysłu w gorset, aby nie wymknęła im się żadna zbłąkana myśl i nie zniszczyła gładkich złudzeń, które prezentują sobie i światu.

Takie zapomnienie to luksus. Do mnie nie przyjdzie nikt, żeby zabrać to, czego nigdy nie chciałyby widzieć ani poznać. Będę musiała z tym żyć.

Strącam jej rękę.

- Czemu miałabym to zrobić?

*

Ale i tak to robię. Gdy mam już pewność, że panienki śpią, wślizguję się do ich pokojów i kładę dłonie na zmarszczonych czołach, naznaczonych potwornością tego, czego były świadkami. Patrzę, jak pod moimi palcami przemieniają się w gładkie, puste płótna. To forma terapii i zaskakuje mnie, że ja również odczuwam jej zbawienne skutki. Gdy dziewczęta się obudzą, będą pamiętały dziwny sen o magii, krwi, przerażających stworach i może o znanej im nauczycielce, której imienia nie będą sobie mogły przypomnieć. Przez chwilę będą wyteżały pamięć, ale potem uznają, że lepiej zapomnieć o tym śnie.

Zrobiłam to, co zdaniem pani Nightwing powinnam była zrobić. Ale nie zabieram im wszystkich wspomnień. Zostawiam im jeden mały znak po tym wieczorze: wątpliwości. Poczucie, że może istnieje coś więcej. To jedynie ziarenko. Nie umiem powiedzieć, czy wyrosnie z niego coś pożytecznego.

Przychodzi pora na wizytę u Brigid. Gdy wchodzi do jej pokoiku, okazuje się, że gospodyni nie śpi.

- Nie trzeba, słoneczko. Nie chcę zapominać, jeżeli to nic nie zmieni – mówi, a na parapecie jej okna nie ma już liści jarzębiny.

*

Jest takie stare ludowe powiedzenie, które kiedyś słyszałam w Indiach. Podobno abyśmy mogli widzieć wyraźnie, musimy najpierw wylać morze łez, które oczyszczą nasze oczy.

Ja płacę całymi dniami.

Pani Nightwing nie zmusza mnie, żebym schodziła na dół, i nie pozwala nikomu, nawet Fee i Ann, na odwiedziny u mnie. Przynosi posiłki na tacy, stawia je na stole w zaciemnionym pokoju i wychodzi bez słowa. Słyszę tylko szelest jej sukni, gdy przemierza starą drewnianą podłogę tam i z powrotem. Czasami gdy budzę się nad ranem, czuję się, jakbym się wynurzyła z długiego, dziwnego snu. Aksamitne światło zmiękcza wszystkie kontury w pokoju, kąpiąc go w możliwościach. I w tym błogim momencie wydaje mi się, że czeka na mnie zwykły dzień: będę się uczyła francuskiego i śmiała z przyjaciółkami. Zobaczę, jak Kartik idzie przez trawnik, a jego uśmiech przepelni mnie ciepłem. I gdy zaczynam wierzyć, że wszystko jest dobrze, następuje subtelna zmiana w oświeceniu. Pokój nabiera prawdziwych kształtów. Próbuję znów popaść w tę błogosławioną nieświadomość, ale jest już za późno. Tępy ból prawdy obciąża moją duszę i topi w rzeczywistości. Jestem całkowicie, beznadziejnie przebudzona.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Tego ranka, gdy mamy wyjechać, wstaje przepiękny, wiosenny dzień.

Kiedy w końcu nadchodzi czas pożegnań, Felicity, Ann i ja stoimy niepewnie na frontowym trawniku, wypatrując na drodze tumanu kurzu, oznaczającego, że nadjeżdża powóz. Pani Nightwing poprawia kołnierzyk płaszcza Ann, sprawdza, czy mam porządnie przypięty kapelusz i czy Felicity dobrze zamknęła walizkę.

Nic nie czuję. Jestem zupełnie odrętwiała.

- No cóż – mówi dyrektorka chyba po raz osiemnasty w ciągu pół godziny. – Macie wystarczająco dużo chusteczek? Damie nigdy dość chusteczek.

Nightwing pozostanie sobą, niezależnie od tego, jakie koszmary się wydarzą, ale akurat teraz cieszę się z jej siły, skądkolwiek ją czerpie.

- Tak, dziękujemy, proszę pani – odzywa się Ann.

- To dobrze, dobrze.

Felicity podarowała Ann swoje kolczyki z granatami. Ja dałam jej kościaną figurkę słonia, którą przywiozłam z Indii.

- Będziemy czytać o twoim sukcesie w gazetach – mówi Fee.

- Jestem tylko jedną z wesołych panien – przypomina nam Ann. – Są też inne.

- No cóż, każda z nas musi jakoś zaczynać. – Pani Nightwing cmoka ze współczuciem.

- Napisałam do kuzynostwa, żeby się nie spodziewali mojego powrotu – dodaje Ann. –

Byli potwornie źli.

- Gdy tylko staniesz się objawieniem londyńskiej sceny, będą błagali o bilety i opowiadali wszystkim, że cię znają – zapewnia ją Felicity i Ann się uśmiecha. Fee zwraca się do mnie: - Przypuszczam, że kiedy się spotkamy następnym razem, będziemy już damami jak się patrzy.

- Chyba tak – odpowiadam.

I nie mam już nic więcej do powiedzenia.

Od strony młodszych uczennic zgromadzonych na trawniku dobiega okrzyk. Nadjeżdża powóz. Dziewczęta niemalże tratują się nawzajem, bo każda chce pierwsza przekazać nowinę.

- Dość mam tego – oświadcza Felicity i zajmuje miejsce w powozie, żeby uciec od zgiełku.

Kufer Ann zostaje zabezpieczony liniami. Obejmujemy się i nie wypuszczamy bardzo długo. W końcu Ann wsiada do powozu, żeby złapać pociąg do Londynu, a potem dostać się do Gaiety Theatre.

- Do widzenia! – woła, machając przez otwarte okno. – Do jutra, i do jutra, i do jutra!

Nieznacznie unoszę dłoń w geście pozdrowienia, ona kiwa głową, i uznajemy, że takie pożegnanie na razie wystarczy.

Za kilka godzin wrócę do Londynu do domu babki, żeby przygotować się na zawrotny korowód balów i przyjęć, z których składa się sezon towarzyski. W przyszłą sobotę uklonię się przed królową i zadebiutuję w towarzystwie na oczach mojej rodziny i przyjaciół. Będzie wystawna kolacja z tańcami. Włożę piękną balową suknię i wepnę strusie pióra we włosy.

Zupełnie mnie to wszystko nie obchodzi.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Podjeżdża powóz, który ma nas zawieść do pałacu Świętego Jakuba. Nawet nasza gospodyni nie potrafi ukryć podniecenia tego wieczoru. Przynajmniej raz patrzy na mnie, a nie przeze mnie.

- Wygląda panienska pięknie.

- Dziękuję – odpowiadam.

Szwaczka dokonuje ostatnich poprawek przy sukni. Włosa mam upięte wysoko nad czołem, ozdobione diademem oraz trzema strusimi piórami. Długie białe rękawiczki sięgają mi aż za łokcie. A od ojca dostałam delikatny naszyjnik z prawdziwymi diamentami, które połyskują na mojej skórze niczym krople rosy.

- Cudownie, cudownie – zachwyca się babcia, dopóki nie otrzymuje rachunku. Wtedy ze zdziwienie robi wielkie oczy. – Dlaczego, na Boga, zgodziłam się na te róże i koraliki? Chyba postradałam rozum.

Tom daje mi całusa w policzek.

- Wyglądasz wspaniale, Gem. Gotowa na tę długiąną przechadzkę?

Kiwam głową.

- Chyba tak. Mam nadzieję. – Mój żołądek wywija koziołki.

Ojciec podaje mi ramię. Jest bardzo wychudzony, ale czarujący jak zawsze.

- Panna Gemma Doyle z Belgravii, o ile się nie mylę?

- Owszem – mówię, kładąc dłoń na jego ramieniu i trzymając rękę pod odpowiednim kątem do ciała, tak jak mnie uczono. – Skoro pan tak twierdzi.

Czekamy w orszaku innych dziewcząt. Wszystkie kręcimy się nerwowo jak pisklaki. Jedna sprawdza, czy jej tren nie jest nieprzyzwoicie długi. Druga tak kurczowo ścisną ojca za ramię, że obawiam się, iż biedak straci w nim czucie. Niestety, nie zauważyłam jeszcze Felicity. Wyciągamy szyje, żeby choć zerknąć na królową, która zasiada na tronie. Moje serce bije bardzo szybko. *Spokojnie, Gemmo, spokojnie. Weź głęboki oddech.*

Przesuwamy się do przodu boleśnie wolno, a szambelan wywołuje nazwiska wszystkich panien po kolei. Jedna dziewczyna lekko się zachwiała, a pozostałe przekazują sobie tę informację pełnym przerażenia szeptem. Nikt nie chce się wyróżniać.

- Odwagi – mówi ojciec, całując mnie, a ja czekam, aż przyjdzie pora mojego solowego występu w komnacie pałacu Świętego Jakuba. Otwierają się drzwi. Daleko na drugim końcu bardzo długiego czerwonego dywanu siedzi najważniejsza kobieta na świecie, Jej Wysokość królowa Wiktoria. Wygląda bardzo srogo w czarnym jedwabiu i białej koronce, ale jej korona lśni tak, że nie mogę oderwać od niej wzroku. Zostanę przedstawiona królowej Wiktorii. Wejdę tam jako dziewczyna, a wyjdę jako kobieta. Taka jest moc tej ceremonii.

Czuję, że zaraz zemdleję. Och, i zwymiotuję. *Stek bzdur, Gemmo. Radziłaś sobie w gorszych opresjach. Stój spokojnie. Plecy proste, broda do przodu. To tylko kobieta.* Rzeczywiście – ale tak się składa, że ta kobieta jest królową i trzyma w swoich dłoniach całą moją przyszłość. Zwymiotuję. Wiem to. Przewrócę się na twarz i resztę dni przeżyję zhańbiona i zdziwaczała w pustelni na południu Anglii, w towarzystwie czternastu kotów różnego rozmiaru i maści. A gdy na starość odważę się wreszcie opuścić moje schronienie, nadal będę słyszała, jak ludzie szepczą:

- To ona... ta, która się przewróciła...

Szambelan wywołuje moje nazwisko, głośno i bez wahania:

- Panna Gemma Doyle!

Rozpaczam najdłuższą przechadzkę mojego życia. Wstrzymuję oddech, sunąc po dywanie, który z każdym krokiem zdaje się wydłużać. Jej Wysokość stanowi uroczysty monument z krwi i kości gdzieś w oddali. Jest tak przerażająco podobna do swoich portretów.

W końcu docieram do niej. Oto chwila, której zarówno pragnęłam, jak i bałam się. Z największą gracją, na jaką mnie stać, schylam się jak oklapnięty suflet. Kłaniam się nisko przed moją królową. Nie śmiem oddychać. A potem czuję zdecydowane klepięcie w ramię, które oznacza, że mogę się podnieść. Powoli wycofuję się sprzed jej oblicza i zajmuję miejsce wśród innych dziewcząt, które właśnie stały się kobietami.

*

Zrobiłam to, czego się po mnie spodziewano. Dygnęłam przed królową i zadebiutowałam w towarzystwie. Sama na to czekałam od lat. Czemu więc czuję się taka rozczarowana? Wszyscy są weseli. Nie mają żadnych trosk. Może o to chodzi. To takie potworne nie mieć żadnych zmartwień i pragnień. Nie pasuję do nich. Czuję zbyt głęboko i chcę zbyt wiele. Jeśli chodzi o klatki, moja jest połączana, ale nie umiem w niej żyć, ani w żadnej innej, skoro o tym mowa.

Nagle u mojego boku pojawia się lord Denby.

- Gratuluję – mówi. – Debiutu i tej drugiej sprawy. Ze słów Fowlsona wynika, że wspaniale sobie pani poradziła.

- Dziękuję – odpowiadam, popijając mój pierwszy kieliszek szampana. Bąbelki łaskoczą mnie w nos.

Lord Denby zniża głos.

- Rozumiem, że oddała pani magię krainie i że mogą z niej teraz czerpać wszyscy.

- To prawda.

- Skąd ma pani pewność, że to dobre rozwiązanie i że nie używają jej niewłaściwie?

- Nie mam – odpowiadam.

Wyraz paniki na jego twarzy szybko zastępuje ugrzeczniona mina.

- Może w takim razie zgodzi się pani, bym jej pomógł? Możemy zostać partnerami.

Wręczam mu do połowy opróżniony kieliszek.

- Nie. Pan nie rozumie prawdziwej idei partnerstwa, sir. Nigdy nie będziemy przyjaciółmi, lordzie Denby. Jeśli o to chodzi, mam absolutną pewność.

- Chciałbym zatańczyć z siostrą, jeśli pan pozwoli – odzywa się Tom. Uśmiech ma pogodny, ale spojrzenie stalowe.

- Oczywiście, przyjacielu. Porządny z ciebie chłop – mówi lord Denby. Wypija resztkę mojego szampana, i to jedyne, co kiedykolwiek ode mnie dostanie.

- Dobrze się czujesz? Co za nieznośny osioł – stwierdza Tom, gdy wirujemy po parkiecie. – I pomyśleć, że kiedyś go podziwiałem.

- Próbowалам cię ostrzec – zauważam.

- Czy to jeden z tych upiornych momentów pod tytułem „A nie mówiłam”?

- Nie – obiecuję. – Spotkałeś już swą przyszłą żonę?

Tom porusza brwiami.

- Spotkałem kilka obiecujących kandydatek do tej roli. Oczywiście, muszę im się wydawać czarujący i zupełnie zniewalający. Przypuszczam, że nie możesz pomóc mi w tej misji odrobiną...?

- Obawiam się, że nie – odpowiadam. – Będziesz się musiał postarać.

Okręca mnie trochę zbyt gwałtownie.

- Wcale nie jesteś zabawna, Gemmo.

*

Później tego wieczoru podchodzę do taty, zanim zdąży się wymknąć z innymi panami na brandy.

- Ojczy, chciałam zamienić z tobą słówko. Na osobności.

Przez chwilę przygląda mi się czujnie, ale po sekundzie chyba zapomina o lęku. Nie pamięta, co się stało, gdy ostatnio odbyliśmy taką rozmowę podczas balu w Spence. Nie potrzebowałam magii, żeby usunąć to wspomnienie. Sam je wymazał.

Wchodzimy do zatęchłego salonu, w którym draperie wydają woń zestarzałego dymu z cygar. Moglibyśmy porozmawiać teraz szczerze o wielu sprawach: o jego pogarszającym się zdrowiu, o bitwach, które stoczyłam, i o przyjaciółach, których straciłam. Ale nie będziemy o tym mówić. Nigdy nie będzie nas łączyło nic więcej, a jedyna różnica polega na tym, że to rozumiałam. Muszę wybierać, o co będę walczyć, i teraz wybrałam co innego.

- Ojczy – zaczynam, a głos mi drży – proszę tylko, być mnie wysłuchał.

- Cóż za złowieszczy ton – mówi i puszcza do mnie oko, próbując rozładować atmosferę. Jak łatwo byłoby zapomnieć o wszystkim, co chcę powiedzieć. *Odwagi, Gemmo.*

- Jestem bardzo wdzięczna za ten wieczór. Dziękuję.

- Nie ma za co, moja droga...

- Tak, dziękuję... ale nie będę brała udziału w kolejnych przyjęciach. Nie chcę kontynuować sezonu.

Brwi ojca zbiegają się w wyrazie konsternacji.

- Naprawdę? Dlaczego? Czy nie zapewniliśmy ci wszystkiego, co trzeba?

- Tak, i jestem za to bardzo wdzięczna – powtarzam, a serce tłucze mi się o żebra.

- A więc co to za nonsens?

- Wiem, to brzmi nierozsądnie. Sama dopiero zaczynam to rozumieć.

- Może zatem powinniśmy o tym porozmawiać innego dnia? – Wykonuje taki ruch, jakby zamierzał wstać.

Gdy to robi, rozmowa dobiegnie końca. Nie będzie innego dnia. Wiem o tym. Znam go. Kładę mu rękę na ramieniu.

- Proszę, papo. Powiedziałeś, że mnie wysłuchasz.

Niechętnie siada z powrotem, ale stracił już zainteresowanie. Bawi się zegarkiem. Mam niewiele czasu, żeby przedstawić swoją sprawę. Mogłabym się u niego stóp tak jak wtedy, gdy byłam dzieckiem, pozwolić, by głaskał mnie po włosach. Niegdyś przyniosło to pociechę nam obojgu. Ale to nie czas na szukanie pocieszenia, a ja nie jestem już dzieckiem. Siadam na krześle naprzeciwko niego.

- Chciałam powiedzieć, że nie wyobrażam sobie, bym mogła wieść takie życie. Wyłącznie przyjęcia, niekończące się bale i plotki. Nie chcę stale się ograniczać, by pasować do tego ciasnego światka. Nie mogę mówić, gdy zakładają mi wędzidło.

- Masz dość ponure wyobrażenie o towarzystwie.

- Nie zamierzałam nikogo obrazić.

Ojciec wzdycha z irytacją.

- Nie rozumiem.

Otwierają się drzwi. Muzyka i dźwięki rozmów na parkiecie zakłócają ciszę, aż ktoś znów litościwie zamyka drzwi i przyjęcie staje się tylko głuchym szumem po drugiej stronie. Oczy pieką mnie od łez. Przetykam z trudem przez ściśnięte gardło.

- Nie proszę cię, byś rozumiał, papo. Proszę, żebyś zaakceptował.

- Co zaakceptował?

Mnie. Zaakceptuj mnie, papo.

- Moją decyzję, by żyć tak, jak uznam za słuszne.

Robi się tak cicho, że nagle pragnę wszystko cofnąć. *Przepraszam, to tylko koszmarny żart. Właściwie to chciałam poprosić o nową suknię.*

Ojciec chrząka cicho.

- To nie jest takie łatwe, jak to przedstawiasz.

- Wiem o tym. Wiem, że popełnię okropne błędy, ojczec...

- Świat nie wybacza błędów tak łatwo, córeńko. – W jego głosie słychać gorycz i smutek.

- Jeżeli świat mi nie wybaczy, będę musiała się nauczyć sama sobie wybaczać.

Kiwa głową ze zrozumieniem.

- A jak wyjdiesz za mąż? Zamierzasz w ogóle wychodzić za mąż?

Myszę o Kartiku i boję się, że się rozplacę.

- Spotkam kogoś pewnego dnia, tak jak mama spotkała ciebie.

- Jesteś do niej taka podobna – mówi, a ja choć raz nie krzywię się z bólu.

Wstaje i zaczyna spacerować po pokoju, założywszy ręce za plecy. Nie wiem, co się stanie. Czy spełni moje życzenie? Czy powie, że jestem głupia, nieznośna i skaże mnie znów na salę balową z szelestem satyny i wachlarzy? Czy to jest moje miejsce? Czy pożałuję tego jutro? Ojciec staje przed dużym portretem ponurej kobiety. Matrona siedzi z rękami złożonymi na podołku i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, jakby niczego się od życia nie spodziewała i dokładnie tyle miała otrzymać.

- Czy opowiadałem ci kiedyś tę historię o tygrysie? – pyta ojciec.

- Tak, tato, opowiadałeś.

- Nie, nie powiedziałem ci wszystkiego – kontynuuje. – Nie mówiłem ci o tym dniu, kiedy go zastrzeliłem.

Przypomina mi się chwila w jego pokoju po tym, gdy zażył morfinę. Wówczas uważałam to za majaczenie. Tej historii nie znam i trochę się jej boję. Tato nie czeka na moją odpowiedź. Chce mówić. Wysłuchał mnie, teraz ja muszę wysłuchać jego.

- Tygrys uciekł i nie pojawił się więcej. Ale ja byłem człowiekiem opętanym. Widzisz, on podszedł zbyt blisko. Nie czułem się już bezpiecznie. Wynająłem więc najlepszego tropiciela w Bombaju. Przez wiele dni szliśmy po śladach tygrysa w góry. Znaleźliśmy go w końcu, gdy pił z sadzawki. Spojrzał na nas, ale nie zaatakował. Nie przejmował się nami w ogóle, tylko dalej pił. „Sahib, chodźmy stąd – powiedział do mnie chłopak. – Ten tygrys nie chce pana skrzywdzić”. Oczywiście miał rację, ale przeszliśmy taki szmat drogi. Trzymałem w dłoni strzelbę. Tygrys stał przed nami. Wycelowałem i zabiłem go jednym strzałem. Za jego skórę dostałem majątek od pewnego człowieka w Bombaju, któremu zaimponowała moja odwaga. Ale to nie odwaga mną powodowała, lecz strach.

Bębni palcami po półce nad kominkiem przed portretem ponurej damy.

- Nie potrafiłem żyć w cieniu takiej groźby. Nie umiałem żyć ze świadomością, że ten tygrys gdzieś tam jest na swobodzie. Ale ty – mówi i uśmiecha się z mieszaniną smutku i dumy – ty stanęłaś oko w oko z tygrysem i przeżyłaś.

Kaszele kilkakrotnie, a jego pierś unosi się ciężko od wysiłku. Wyjmuje chusteczkę z kieszeni i szybko ociera usta, a potem chowa ją, żebym nie zauważyła plamy, która na pewno na niej widnieje.

- Nadszedł czas, bym stawił czoło swojemu tygrysowi, spojrzał mu w oczy i przekonał się, który z nas przeżyje. Wrócę do Indii. Możesz sama kształtować swoją przyszłość.

Przygotuję babcinę na skandal, który to wywoła.

- Dziękuję, papo.

- No tak. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym zatańczyć z córką z okazji jej debiutu.

Podaje mi ramię, a ja je przyjmuję.

- To będzie dla mnie wielka przyjemność.

Włączymy się w krąg tancerzy. Niektóre debiutantki schodzą z parkietu, zmęczone, lecz podekscytowane. Inne dopiero co przybyły. Pałają się do tego, by nosić swój nowy status damy, by móc się z nim obnosić i chwalić, aż same zobaczą się w nowym świetle. Ojcowie uśmiechają się promiennie do córek, uważają je za doskonałe kwiaty, które należy chronić, podczas gdy matki patrzą z boku, przekonane, że ta chwila to wyłącznie ich osiągnięcie. Tworzymy złudzenia potrzebne nam do życia. A pewnego dnia, gdy już nas nie olśniewają ani nie krzepią, rozbieramy je, jedna lśniącą cegła po drugiej, aż nie pozostaje nic oprócz jasnego światła szczerości. To światło niesie wyzwolenie. Jest konieczne. Przeróżające. Stoimy w nim nadzy i odarci ze wszystkiego. A kiedy nasze oczy nie mogą już znieść tego widoku, tworzymy kolejną iluzję, która nas chroni przed bezwzględną prawdą.

Ach, te dziewczęta! Ich oczy lśnią od gorączkowych marzeń o tym wszystkim, co może się stać. Wmawiają sobie, że to jest dopiero początek. A kimże ja jestem, by twierdzić inaczej?

- Gemmo! Gemmo! – Felicity przepycha się przez tłum, a jej skonsternowana przyzwoitka usiłuje za nią nadążyć, podczas gdy matrony przyglądają się temu z dezaprobatą. Minęła ledwie godzina od jej debiutu, a już sprawia, że wirują przez nią jak dziecięce baki.

A ja uśmiecham się po raz pierwszy od wielu dni.

- Gemmo – powtarza Felicity, gdy wreszcie do mnie dociera. Zalewa mnie potokiem bezładnych zdań. – Wyglądasz przepięknie! Jak ci się podoba moja suknia? Elizabeth trochę się zachwiała, widziałaś? Królowa była wspaniała, nieprawdaż? Bałam się potwornie. A ty?

- Okropnie – potwierdzam. – Myślałam, że zemdleję.

- Dostałaś depeszę od Ann? – pyta.

Dzisiejszego ranka przyszedł miły telegram z życzeniami szczęścia. Było w nim napisane:

PROBY WSPANIALE STOP GAIETY CUDOWNY STOP
UDANEGO UKLONU STOP POZDRAWIAM ANN
BRADSHAW

- Tak – odpowiadam. – Pewnie wydała na to całą przyszłą pensję.

- Gdy sezon dobiegnie końca, pojedę z mamą i Polly do Paryża, a potem tam zostanę.

- A co z Horace' em Markhamem? – pytam ostrożnie.

- No cóż – zaczyna Fee – poszłam do niego. Sama. Powiedziałam, że go nie kocham, że nie chcę za niego wyjść i że byłaby ze mnie potworna żona. A wiesz, co on odrzekł?

Kręcę głową.

Felicity szeroko otwiera oczy.

- Powiedział, że on też nie chce się ze mną ożenić. Wyobrażasz sobie? Poczulałam się zraniona.

Śmieję się, to pierwszy śmiech od dawna. Brzmi dziwnie, niemal jak płacz.

- A zatem Paryż. Co będziesz tam robiła?

- No naprawdę, Gemmo – mówi, jakbym nic nie wiedziała i nigdy nie miała się dowiedzieć. – Tam żyją przedstawiciele całej bohemy. Teraz gdy dostałam spode, mogę zamieszkać na poddaszu i zająć się malowaniem. A może będę pozowała artystom jako modelka? – dodaje, delektując się tym, jak skandalicznie brzmi ten pomysł. Zniżyła głos do szeptu. – Słyszałam, że żyją tam osoby podobne do mnie. Może znów się zakocham.

- Będziesz gwiazdą Paryża – orzekam.

Uśmiecha się szeroko.

- Jedź z nami! Będziemy się wspaniale razem bawiły!

- Ja chyba wybiorę się do Ameryki – oświadczam, a w mojej głowie zaczyna rodzić się plan. – Do Nowego Jorku.

- To wspaniale!

- Tak – zgadzam się z nią, trochę rozpogadzając się na tę myśl. – Fajnie, prawda?

Felicity mocniej chwyta mnie za ramię.

- Nie wiem, czy znasz już nowiny, ale chciałabym ci to przekazać, zanim dowiesz się od innych. Panna Fairchild przyjęła oświadczyzny Simona. Są zaręczeni.

Kiwam głową.

- Tak powinno być. Życzę im szczęścia.

- Ja j e j życzę szczęścia. Zapamiętaj moje słowa: Simon straci wszystkie włosy i zrobi się gruby jak Fezzwig, zanim dobiegnie do trzydziestki. – Chichocze.

Rozpoczyna się nowy taniec. Przez tłum przebiega dreszcz podniecenia. Parkiet zapełnia się, gdy śliczna melodia ożywia na nowo uczestników przyjęcia. Felicity i ja trzymamy się za ręce i stoimy w morzu jedwabiu i kwiatów, patrząc na tancerzy, którzy poruszają się niczym jeden organizm. Wirują jak ziemia wokół własnej osi, wytrzymując ciemności i czekając na słońce.

Felicity ściska mnie za rękę, a ja wyczuwam niezwykle delikatne pulsowanie magii między nami.

- No, cóż, Gemmo, udało nam się przeżyć.

- Tak – odpowiadam, oddając uścisk. – Udało nam się.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

W piątek Thomas i ja towarzyszymy ojcu do Bristolu, skąd ma wrócić do domu w Indiach na pokładzie HMS Victoria. W dokach kłębi się tłum dobrze ubranych podróżnych – mężczyzn w eleganckich garniturach, dam w kapeluszach o szerokich rondach, chroniących przed nieczystym angielskim słońcem, które akurat dzisiaj przyświeca dość mocno. No pokładach statków stoją sterty kufrów owiniętych linkami, płynących w najróżniejsze miejsca świata. Przypominają, że życie to stały rytm serca, pulsujący wszędzie naraz, a my stanowi tylko małą część tych wiecznych przyprawów i odpływów. Zastanawiam się, gdzie jest Ann w tej chwili. Może stoi na środku sceny w Gaiety, gotowa wkroczyć na ścieżkę, na której nic nie jest przesądzone, i będzie mogła zostać, kimkolwiek zechce. Bardzo chciałabym ją zobaczyć w tym nowym życiu.

Ojciec zawiadomił babcię o mojej decyzji. Oczywiście była zgorszona, ale stało się. Pojadę na uniwersytet. W końcu będę miała do dyspozycji skromny dochód, zarządzany przez Toma, który zrobił, co mógł, by przekonać babcię, że nie wyląduję bez grosza na ulicy. Ale jeżeli naprawdę pragnę niezależności, będę musiała pracować. To rzecz niesłychana, czarne znamię, a jednak odkrywam, że czuję podniecenie na myśl o tym, że będę miała własną pracę i sama będę zarabiała na swoje utrzymanie. W każdym razie taka jest cena wolności, więc nie ma się co zastanawiać.

Ojciec włożył swój ulubiony biały garnitur. Ponieważ jest bardzo chudy, ubranie na nim wisi. Ale uważam, że i tak wygląda stylowo. Stoimy na wybrzeżu i żegnamy się, a wokół nas ciśnie się podekscytowany tłum.

- Bezpiecznej podróży, tato – mówi Tom. Niezręcznie ściskają sobie z ojcem dłonie.

- Dziękuję, Thomasie – odpowiada ojciec, kaszląc. Musi przeczekać atak, zanim znów odzyska głos. – Do zobaczenia na Boże Narodzenie.

Tom spuszcza wzrok.

- Tak. Oczywiście. Do Bożego Narodzenia.

Obejmuję ojca. Przytrzymuje mnie chwilę dłużej niż zwykle, a ja wyczuwam pod palcami jego żebra.

- Dziękuję, że mnie odprowadziłaś, kwiatuszku.

- Napiszę do ciebie – przyrzekam, powstrzymując łzy.

Wypuszcza mnie ze swych objęć z uśmiechem.

- Będę z niecierpliwością czekał na twoje listy.

Syrena okrętowa wyje ostrzegawczo. Stewardzi podnoszą głos i po raz ostatni wzywają pasażerów do wejścia na pokład. Ojciec przechodzi po trapie i powoli przeciska się do burty przez tłum pasażerów machających na pożegnanie. Stoi prosto z rękami opartymi o reling i wysoko uniesioną głowę. Słońce, ta wielka latarnia magiczna, rzuca oszukańcze światło, ukazując twarz mojego ojca w taki sposób, że nie widzę zmarszczek, bladości, smutku. Nie dostrzegam cienia tego, co nadchodzi, zalegającego w jego oczodołach i powoli pochłaniającego zarys policzków. Nie jestem jeszcze gotowa, by zrezygnować z niektórych złudzeń.

Gdy statek powoli oddala się od brzegu i wypływa w oślepiające morze, widzę go takim, jakim chcę go widzieć: zdrowym, silnym i szczęśliwym, a jego uśmiech to jasna, promienna obietnica nowych dni ze wszystkim, co mogą przynieść.

*

Ślub mademoiselle LeFarge ma się odbyć w ostatni piątek maja. Wracam do szkoły dzień wcześniej, w czwartek, i wnoszę kufer do mojego dawnego pokoju. Drzewa pokryły się tak gęstym listowiem, że nie widzę już stąd jeziora ani hangaru na łodzie. W bluszczu pod parapetem dostrzegam barwną plamę. Otwieram okno i sięgam w dół. To fragment czerwonej chustki. Sygnał od Kartika. Wyplątuje ją spośród gałęzi i wtykam za pasek spódnicy.

Nowa ekipa budowniczych ciężko pracuje przy Wschodnim Skrzydle. Baszta nabiera kształtów. Nie jest już raną, ale też jeszcze nie zdrową tkanką. Jest czymś pośrednim i odczuwam z nią pewne pokrewieństwo. Drzwi do międzyświata są teraz zamknięte, by dać na wszystkim czas na zastanowienie i zrobienie bilansu. Gdy wrócę z uniwersytetu, wszyscy – plemiona z międzyświata, moje przyjaciółki, Fowlson, Nightwing, ja i ci, którzy chcą mieć coś do powiedzenia – zbierzemy się razem, by ustanowić coś w rodzaju konstytucji i rządu, który poprowadzi międzyświat.

Akurat to nie jest dla mnie żadną przeszkodą. Wydaje się, że tak jak niesforna ruda czupryna czy skóra ze skłonnością do piegów, zdolność wchodzenia do międzyświata jest integralną częścią mojej osoby. A zatem w ten piękni ostatni czwartek maja, siedząc na swoim starym łóżku w Spence, przywołuję drzwi ze światła.

*

Międzyświat nie jest już tym budzącym zachwyty miejscem, które pamiętam z pierwszych dni. Nie budzi też takiego lęku jak ostatnio. To kraina, którą poznałam i zamierzam poznać jeszcze lepiej.

Gorgona przebywa w ogrodzie, gdzie ustawia na miejscu srebrny łuk, który prowadzi do groty. Jest powyginany, ale cały.

- Wasza Wysokość – odzywa się – przyda mi się pomocna dłoń.

- Oczywiście – odpowiadam i chwytam łuk z drugiej strony. Pchamy mocno, aż wreszcie osiada w ziemi. Przez chwilę się chwieje, ale potem staje prosto. – Chciałabym się zobaczyć z Filonem.

- Moje nogi są słabe po latach niewoli – mówi gorgona, opierając się o drzewo. – Ale duch silny. Chodźmy, zabiorę cię do niego.

Prowadzi mnie nad rzekę do statku, który przez stulecia był jej więzieniem.

Cofam się.

- Nie. Nie chcę, żebyś znów się związała z tym upiornym statkiem.

Gorgona unosi brew.

- Zamierzam nim tylko sterować.

- Ach tak – odpowiadam speszona. – No to proszę.

Gorgona chwytą koło sterowe jak prawdziwy kapitan i obiera kurs na dom leśnych ludzi. Przepływamy przez złocistą mgłę, która okrywa mnie migotliwymi płatkami. Niektóre lądują też na gorgonie, ale ona szybko je strząsa. Naszym oczom ukazuje się brzeg. Nie jest już tak zielony jak niegdyś. Potwór poczyniły wielkie spustoszenie. Czerniały drzewa wyglądają jak wypalone zapalki, a ziemia jest twarda niczym wyprawiona skóra. Wiele istot odeszło. Ale dzieci nadal bawią się wesoło na brzegu. Ich ducha nie tak łatwo złamać.

Kilkoro z nich nieśmiało podchodzi do gorgony. Intryguje ich niezwykła zielona olbrzymka, która odwiedziła ich krainę. Gorgona szybko odwraca się do nich, pozwalając, by węże syczały i kłapały paszczami. Dzieci odbiegają, krzycząc z mieszaniną strachu i zachwyty.

- Czy to było konieczne? – pytam.

- Mówiłam już wcześniej, że nie mam żadnych uczuć macierzyńskich.

Okazuje się, że Filon nadzoruje budowę nowych chat. Ale nie tylko leśni ludzie dźwigają belki i kładą dachy. U swego boku mają Niedotykalnych, nimfy, kilkoro zmiennokształtnych. Bessie Timmons, krzepka i energiczna, nosi wodę. Zmiennokształtna dziewczyna podąża za nią, pełna podziwu dla jej siły. Zauważam nawet jakąś istotę z Krainy Zimy, która smaruje dachy smołą. W lesie pracują dusze wielkiego autoramentu, wszelkie wyobrażalne stworzenia, również śmiertelnicy. Asha proponuje wodę gorgonie, która wypija ją i podstawią szklankę z prośbą o więcej.

- Kapłanko! – Filon wita mnie, klaszcząc w dłonie. – Przyszedłeś zająć swoje miejsce u naszego boku?

- Nie – zaprzeczam. – Chciałam się tylko pożegnać na jakiś czas.

- Kiedy wrócisz?

Kręcę głową.

- Jeszcze tego nie wiem. Czas, żebym zajęła odpowiednie miejsce w moim świecie. Jadę do Nowego Jorku.

- Stanowisz jednak część międzyświata – przypomina mi Filon.

- A on zawsze będzie częścią mnie. Pilnuj tu wszystkiego. Będziemy mieli sporo do przedyskutowania, kiedy wrócę.

- Dlaczego sądzisz, że będziemy dyskutować?

Spoglądam na niego porozumiewawczo.

- Musimy porozmawiać o międzyświecie. Nie łudzę się, że wszystko pójdzie gładko.

- Inne plemiona się dowiedziały. Przybędą tu, żeby z nami obradować – mówi Filon.

- To dobrze.

Bierze garść spalonych liści i dmucha w nie. Unoszą się i wirują, aż układają się w kształt Drzewa Wszystkich Dusz. Obraz trwa tylko przez chwilę.

- Magia znów przepaja krainę. Z czasem wzmocni się stukrotnie.

Kiwam głową.

- Może kiedyś odwiedzimy cię w twoim świecie. Przydałaby mu się odrobina magii.

- Z przyjemnością was przyjmę – odpowiadam. – Ale będziecie się zachowywać grzecznie, zgoda? Nie będziecie już nigdy porywali śmiertelników dla zabawy.

Usta Filona wykrzywia enigmatyczny uśmiech.

- Ściągałabyś nas?

Potakuję.

- Ściągałabym.

Stworzenie wyciąga rękę.

- A zatem pozostaniemy przyjaciółmi.

- Dobrze.

*

Gorgona towarzyszy mi aż do Krainy Granicznej.

- Obawiam się, że resztę tej podróży muszę odbyć sama – zwracam się do niej.

- Jak sobie życzysz – odpowiada z ukłonem.

Węże tańczą wokół jej głowy niczym wesoła aureola. Nie próbuje iść za mną, ale też nie odchodzi. Pozwala, żebym to ja odeszła od niej. Gdy wchodzę do Krainy Zimy, nie widzę jej już, lecz nadal wyczuwam jej obecność.

Małe kwiatki zakwitły na gałęziach drzewa. Ich buntownicze kolory odcinają się od chropowatej kory. Drzewo znów kwitnie. Kraina nie jest już tym, czym była przedtem.

Wydaje się dziwna, nowa i nieznana. Pulsuje inną magią, zrodzoną ze straty i rozpacz, miłości i nadziei.

Przytulam policzek do Drzewa Wszystkich Dusz. Czuję, jak jego serce bije mocno i równo. Obejmuję pień ramionami najdalej, jak sięgam. Tam, gdzie padają moje łzy, kora połyskuje srebrzyście.

Mała Wendy zbliża się do mnie nieśmiało. Przeżyła. Jest blada, chuda i ma ostrzejsze zęby.

- Piękne – mówi, podziwiając majestat drzewa dotykiem palców.

Odsuwam się, ocierając oczy.

- Tak, to prawda.

- Czasami, gdy wiatr porusza jego liśćmi, wydaje się, że wypowiada twoje imię. Brzmi wtedy jak westchnienie – opowiada. – To najpiękniejszy dźwięk, jaki słyszałam w życiu.

Delikatny podmuch wplątuje się w liście i ja też to słyszę: miękka i cicha, wymruczana modlitwa: „Gem-ma, Gem-ma”, a potem gałęzie pochylają się niżej i delikatnymi palcami gładzą moje chłodne policzki.

- Wendy, obawiam się, że nie będę mogła pomóc ci przedostać się na drugą stronę, ponieważ zjadłaś jagody. Będziesz musiała zostać w międzyświecie – wyjaśniam jej.

- Tak, panienko – odpowiada Wendy, a w jej głosie nie ma smutku. – Zostaniemy tu razem z Bessie i jakoś sobie poradzimy. Mogę coś panience pokazać?

Bierze mnie za rękę i prowadzi do doliny, w której stoczyliśmy bitwę. Ku mojemu zdumieniu pośród plam zamrożonego śniegu wyrastają rośliny, sięgając korzeniami głęboko pod lód. Rosną wbrew wszystkiemu.

- Powiedz mi, co widzisz – prosi dziewczynka.

- Kiełkują tu śliczne rośliny. Jak wczesną wiosną – odpowiadam. – Ty je posadziłaś?

Kręci głową.

- Ja zrobiłam tylko to. – Pokazuje palcem wysoką roślinę o grubych, płaskich, czerwonych liściach. – Zanurzyłam dłonie w ziemi i wydało mi się, że czuję magię, która tam czekała. Dodałam do niej swoje myśli i to wyrosło. Zawsze to jakiś początek, prawda?

- Tak – zgadzam się z nią.

Dolina rozciąga się daleko, jak kobierzec z lodu i barw. Zraniona ziemia walczy, by się odrodzić. To bardzo dobry początek.

Podchodzi do mnie bojaźliwie jakiś mężczyzna z kapeluszem w dłoni. Drżące ręce i rozbiegane oczy zdradzają, że jest przerażony.

- Serdecznie przepraszam, panienko, ale dowiedziałem się, że panienka może pomóc mi przejść do drugiego świata.

- A kto to panu powiedział?

W jego oczach odbija się jeszcze większy strach.

- Straszliwa istota z gniazdem węży na głowie!

- Nie trzeba się jej bać – zapewniam, po czym biorę go za rękę i prowadzę nad rzekę. – Jest łagodna jak kociątko. Zapewne polizałaby pana po dłoni, gdyby miała okazję.

- Nie wyglądała na taką pocziwą – odpowiada szeptem, cały dygocząc.

- No cóż, nie wszystko jest takie, jakie się zdaje, proszę pana, i sami musimy się nauczyć to oceniać.

*

Tu i tam pojawiają się różne istoty, które potrzebują mojej pomocy – ten chce powiedzieć żonie, że ją kochał, na co nigdy się nie zdobył za życia; tamtej jest przykro z powodu

konfliktu, jaki miała z siostrą, i urazy, którą chowała do końca życia; a pewna osiemnastoletnia dziewczyna nie potrafi tak łatwo rozstać się z przeszłością.

Mocno trzyma się mojego ramienia.

- Czy to prawda, co mówią, że wcale nie muszę przechodzić na drugą stronę? Że jest tu miejsce, w którym mogę żyć dalej?

W jej oczach odbija się rozpaczliwa nadzieja przesłonięta przez strach.

- To prawda – odpowiadam. – Lecz trzeba za to zapłacić odpowiednią cenę. Jak za wszystko.

- Ale co się ze mną stanie, gdy przekroczę rzekę?

- Nie wiem. Nikt tego nie wie.

- Och, proszę, powiedz mi, co mam wybrać?

- Nie mogę dokonać wyboru za ciebie. Tylko ty możesz zdecydować.

W jej oczach wzbierają łzy.

- To takie trudne.

- To prawda – zgadzam się i trzymam ją za rękę, bo to jedyna magia, jaką dysponuję.

W końcu postanawia pójść, jeżeli zgodzę się jej towarzyszyć na drugą stronę na barce prowadzonej przez gorgonę. To moja pierwsza taka podróż i bardzo się denerwuję. Chcę się dowiedzieć, co leży za krainą, którą już znam. Im bardziej zbliżamy się do przeciwległego brzegu, tym jaśniejszy bije od niego blask, aż w końcu muszę odwrócić głowę. Słyszę tylko pełne zrozumienia westchnienie, po czym czuję, że barka staje się lżejsza, i wiem już, że dziewczyna odeszła.

Bardzo mi ciężko na sercu, gdy zawracamy. Delikatny plusk rzeki niesie wyszeptane imiona z przeszłości: mojej mamy, Amara, Caroliny, matki Eleny, panny Moore, panny McCleethy i jakiejś części mnie, której już nie odzyskam.

I Kartika. Szybko mrugam, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy.

- Dlaczego wszystko musi się kiedyś kończyć? – pytam miękko.

- Nasze dni są policzone w księdze żywota, Wasza Wysokość – odpowiada cicho gorgona w chwili, gdy przed nami znów ukazuje się ogród. – To właśnie nadaje im sens i sprawia, że są takie cenne.

Gdy wracam do ogrodu, w oliwkowym zagajniku wieje lekki wiatr. Pachnie mirrą. Zbliża się do mnie matka Elena, a jej medalion lśni na tle białej koszuli.

- Nareszcie zobaczę się z moją Caroliną – mówi.

- Czekaj na matkę po drugiej stronie rzeki – odpowiadam.

Cyganka uśmiecha się do mnie.

- Dobrze się spisałaś.

Kładzie dłoń na moim policzku i mówi w języku coś, czego nie rozumiem.

- Czy to błogosławieństwo?

- Tylko porzekadło: Na tych, którzy chcą widzieć, czeka świat.

Podpływa barka, gotowa przewieźć ją przez rzekę. Cyganka nuci coś, co przypomina kołysankę. Blask robi się coraz mocniejszy, aż nie potrafię już dostrzec w nim matki Eleny. A potem już jej nie ma.

Na tych, którzy chcą widzieć, czeka świat. Wydaje mi się, że to o wiele więcej niż porzekadło. I może mam rację.

Może to nadzieja.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

Czekam na prywatną rozmowę z panią Nightwing. Pięć po trzeciej otwierają się drzwi, co oznacza zezwolenie na wejście do jej sanktuarium. Przypomina mi się ten dzień, gdy przyjechałam do Spence, w czarnej żałobnej sukni, zagubiona i pogrążona w rozpacz, zupełnie pozbawiona przyjaciół. Jakże wiele się wydarzyło od tamtej pory.

Pani Nightwing splata ręce na biurku i spogląda na mnie znad okularów.

- Chciała pani ze mną rozmawiać, panno Doyle?

Dobra, stara Nightwing, niezmienna jak sama Anglia.

- Tak – potwierdzam.

- Mam nadzieję, że to nie potrwa długo. Muszę zatrudnić dwie nowe nauczycielki, skoro mademoiselle LeFarge wychodzi za mąż, a panna McCleethy... a Sahira... - Milknie i gwałtownie mruga. Ma zaczerwienione powieki.

- Przykro mi.

Przymyka oczy na ułamek sekundy, a jej usta drżą delikatnie. A potem jak przelotna burzowa chmura, wszystko mija.

- W jakiej sprawie pani przychodzi, panno Doyle?

- Byłabym bardzo wdzięczna za pomoc w kwestii międzyświata – odpowiadam, prostując się.

Policzki dyrektorki pokrywa prawdziwy rumieniec.

- Nie rozumiem, co mogłabym dla pani zrobić.

- Potrzebuję pomocy kogoś, kto by pilnował drzwi i czuwał, zwłaszcza gdy mnie tu nie będzie.

Kiwa głową.

- Tak, naturalnie.

Chrząkam.

- I mogłaby pani zrobić jeszcze jedno. Chodzi o Spence. I o dziewczęta. – Unosi brew, a ja przyjmuję to jak wystrzał ze strzelby. – Mogłaby pani naprawdę je edukować. Nauczyć samodzielnego myślenia.

Pani Nightwing pozostaje w zupełnym bezruchu, a jedynie jej oczy zwięzają się w pełne podejrzliwości szparki.

- Pani żartuje, mam nadzieję?

- Wręcz przeciwnie, nigdy nie byłam poważniejsza.

- Ich matki oszaleją z radości, gdy się o tym dowiedzą – mruczy pod nosem. –

Niewątpliwie będą tłumnie oblegały naszą szkołę.

Uderzam pięścią w biurko, wstrząsając filiżanką pani Nightwing i samą panią Nightwing, w tej właśnie kolejności.

- Dlaczego my, dziewczęta, nie możemy mieć takich samych przywilejów jak mężczyźni? Dlaczego narzucamy sobie takie ograniczenia? Gnębimy się wzajemnie złośliwymi uwagami i powstrzymujemy od rozwoju, wtłaczając w gorset uszyty z lęku, wstydu i tęsknot. Jeżeli same nie uznajemy się za godne czegoś więcej, to jak możemy tego żądać? Widziałam, do czego jest zdolna garstka dziewcząt, proszę pani. Potrafi powstrzymać armię, jeśli to konieczne, więc proszę nie mówić, że coś jest niemożliwe. Zaczyna się nowe stulecie. Z pewnością możemy zrezygnować z kilku próbek haftu na rzecz paru książek i większych ideałów?

Pani Nightwing siedzi tak nieruchomo, że zaczynam się obawiać, iż tym wybuchem zatrzymałam akcję jej serca. Zazwyczaj rozkazujący głos dyrektorki brzmi zaledwie jak pisk.

- Wszystkie dziewczęta odejdą do panny Pennington.

Wzdycham.

- Nie odejdą. Tylko hieny idą do Penny.

- Co za język, panno Doyle! – wyraża dezaprobatę pani Nightwing. Ustawia filiżankę idealnie równo na środku spodeczka. – A pani? Zrezygnuje pani z sezonu na rzecz uczelni w Ameryce. Naprawdę jest pani gotowa odwrócić się plecami do całej tej władzy i wszystkich przywilejów?

Myślę o damach w sztywnych sukniach i z wymuszonymi uśmiechami, zapijających głód słabą herbatą, z całych sił próbujących się dopasować do tego ciasnego świata i żyjących w panicznym lęku, że spadną im klapki z oczu i zobaczą wtedy, czego postanowiły się wyrzec.

- Przywileje nie zawsze oznaczają władzę, prawda? – zauważam.

Pani Nightwing powoli kiwa głową.

- Zapewnię pani wszelką pomoc w kwestii międzyświata. Może pani na mnie polegać. A jeśli chodzi o tę drugą sprawę, będzie ona wymagała głębszych przemyśleń, na które nie czas teraz. Słońce nadal stoi wysoko na niebie, a ja mam szkołę pełną dziewcząt, które czekają na moje polecenia. Mam też inne obowiązki. Czy chce pani omówić coś jeszcze, czy to już wszystko na dzisiaj?

- To wszystko. Dziękuję uprzejmie, proszę pani.

- Lillian – poprawia mnie tak cicho, że prawie mi to umyka.

- Dziękuję... Lillian – mówię, smakując jej imię na języku jak nową egzotyczną przyprawę.

- Proszę bardzo. Gemmo. – Przekłada jakieś papiery na biurku, po czym przyciska je srebrnym puderkim tylko po to, by znów je wyjąć i przełożyć. – Nadal tu jesteś?

- Już nie – mówię i wstaję szybko. Rzucam się do drzwi z takim pośpiechem, że niemalże przewracam krzesło.

- Co takiego powiedziałaś o szkole panny Pennington? – pyta.

- Tylko hieny idą do Penny?

Kiwa głową.

- Tak, o to zdanie mi chodziło. No cóż, życzę ci miłego dnia.

- Ja tobie również.

Nie unosi wzroku ani mnie nie odprowadza. Kiedy oddalam się od jej drzwi, słyszę, jak mówi do siebie:

- Tylko hieny idą do Penny.

A potem rozlega się przedziwny dźwięk, który zaczyna się nisko i wznosi wysoko. Śmiech. Nie, nie śmiech – chichot. Psotny, pełen radości chichot, dowodzący, że zawsze w głębi serca pozostajemy dziewczętami, niezależnie od tego, na jakie kobiety wyrastamy.

*

Następny ranek wstaje różany i pełen nadziei, a potem dojrzewa we wspaniały, późnowiosenny dzień. Łagodne zielone wzgórza za Spence są ożywione kępami hiacyntów oraz jakichś żółtych kwiatków. W powietrzu czuć woń jaśminu i róż. Zapach jest niebiański. Łaskocze mnie w nos i uderza do głowy. Chmury płyną leniwie po błękitnym niebie. Chyba nigdy nie widziałam równie pięknego widoku, nawet w międzyświecie. Mademoiselle LeFarge ma wspaniały dzień na ślub.

Do ceremonii zostało jeszcze dobre pół godziny, więc razem z Felicity spędzamy je w ogrodzie, po raz ostatni zbierając razem kwiaty. Przyjaciółka opowiada mi o nowych spodniach, które postanowiła sobie uszyć w Paryżu.

- Pomyśl, Gemmo, już nigdy nie będę nosić halki i gorsetu! Oto wolność – mówi, dla większego efektu potrząsając stokrotką trzymaną za łodyżkę.

Wyłuskuję róże z otulających ją liści i delikatnie wkładam do koszyka.

- Będiesz na językach całego miasta. To jest pewne.

Wzrusza ramionami.

- Niech sobie gadają. To moje życie, nie ich. Już dostałam spadek. A może z czasem dzięki moim wpływom damskie spodnie staną się ostatnim krzykiem mody?

Nie jestem na tyle odważna, aby już teraz zrezygnować ze spódnicy, ale wiem, że Fee będzie nosiła spodnie z absolutną pewnością siebie. Z szelmowskim uśmiechem sięga do koszyka i ciska we mnie garść przeróżnych kwiatów. Nie daję się i też obrzucam ją kwieciami. Podejmuje rękawicę i natychmiast rozpętuje się wojna.

- Będziesz się grzecznie zachowywać? – pytam ze śmiechem. Ze szczerym śmiechem.

- To zależy od ciebie. – Felicity chichocze, sięgając po kolejną garść.

- Rozejm! – piszczę.

- Rozejm.

Całe jesteśmy obsypane, za to nasze koszyki są prawie puste. Próbuje uratować, ile się da. Kwiaty są trochę pogniecione, ale pachną bosko. Podnoszę z ziemi zmietoszoną różę i przykładam ją do ust.

- Żyj – szepczę, a ona rozkwita w mojej dłoni przepiękną barwą.

Felicity parska lekceważąco.

- Wiesz, że to nie potrwa długo, Gemmo. Kwiaty więdną. To naturalna kolej rzeczy.

Kiwam głową.

- Ale jeszcze nie teraz.

W kaplicy na wzgórzu bije dzwon, wzywając nas do obowiązków. Felicity szybkimi ruchami obu rąk otrzepuje spódnice.

- Piekierne śluby – mruczy pod nosem.

- Hej, masz być wesoła. Jak wyglądam?

Ledwie rzuca na mnie okiem.

- Jak pani Nightwing. Do tego właśnie prowadzi przyjaźń z nią.

- Jesteś przemiła – wdycham.

Felicity wyciąga płatek z moich włosów. Przekrzywia głowę i przygląda mi się bacznie. Kąciki jej ust unoszą się lekko.

- Wyglądasz jak Gemma Doyle.

Uznaję, że to komplement.

- Dziękuję.

- Pozwolisz? – pyta, podsuwając mi ramię.

Kiedy biorę ją pod rękę, ogarnia mnie ciepło i spokój.

- Naturalnie.

Odbywa się cicha, uroczona ceremonia. Mademoiselle LeFarge wygląda olśniewająca w szafirowej sukni z krepki. Oczywiście, miałyśmy nadzieję na suknię godną królowej – całą z koronki i falbanek, z trenem długim niczym Tamiza – ale mademoiselle uparła się, że kobieta w jej wieku i z jej pozycją nie powinna się tak stroić. W efekcie okazało się, że ma rację. Suknia jest idealna, a inspektor uśmiecha się promiennie do swojej oblubienicy, jakby była jedyną kobietą na świecie. Państwo młodzi wypowiadają słowa przysięgi, po czym wielbny Waite każe nam wstać.

- Panie i panowie, przedstawiam wam państwa Kentów.

- Nie rozumiem, czemu ona musi zrezygnować ze swojego nazwiska – zrzędzi Felicity, ale jej słowa nikną w nagłych trelach fałszujących organów.

Wychodzimy za szczęśliwymi nowożeńcami przed kaplicę, gdzie czeka powóz zamówiony przez panią Nightwing. Brigid głośno siąka w chusteczkę.

- Zawsze ryczę na weselach – wyjaśnia, pociągając nosem. – Ślicznie było, co?

Musimy przyznać jej rację.

Jednak para młoda nie wymknie się nam tak łatwo. Ze śmiechem i okrzykami: „Powodzenia!” obrzucamy ich kwiatami. Opada na nic deszcz pachnących płatków. Powóz rusza bitą drogą spod kaplicy, a my pędzimy za nim, rzucając kwiaty na wiatr i patrząc jak wirują w powietrzu, niosąc pierwszą ekscytującą obietnicę lata.

Słońce kąpie moje plecy w ciepłe. Kurz spod kół powozu wiruje nad drogą, a młodsze dziewczęta nadal gonią za młodą parą. Palce mam poplamione cierpkim zapachem kwiatów pomarańczy. Wszystko to przypomina mi, że w tej chwili nie znajduję się pomiędzy światami. Bardzo mocno tkwię tutaj, na tej bitej drodze, która wije się wśród kwitnących ogrodów i lasów, a potem wiedzie na szczyt wzgórza i dalej, do dróg, które prowadzą ludzi tam, dokąd muszą jechać.

I w tej właśnie chwili nie chciałabym być nigdzie indziej.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Podróż do Ameryki nie przebiega przyjemnie.

Wieje porywisty wiatr. Statkiem – oraz moim żołądkiem – targają fale, których nie może okiełznać nawet magia. To dla mnie przypomnienie, że moja moc ma pewne granice, więc niektóre okoliczności należy znosić z największą możliwą klasą, nawet jeżeli oznacza to, że muszę spędzić kilka dni w okrutnych męczarniach, trzymając się nocnika niczym tratwy ratunkowej. Ale morze w końcu się uspokaja. Udaje mi się wypić filiżankę najpyszniejszego bulionu, jakiego w życiu próbowałam. Wreszcie nad naszymi głowami zaczynają krążyć mewy. Zataczają leniwe kółka, oznaczające, że ląd jest już niedaleko. Tak jak wszyscy inni pędzę na pokład, żeby spojrzeć na naszą przyszłość.

Ach, Nowy Jork. To fantastyczne miasto – cudownie rozległe i pulsujące energią, którą wyczuwam aż stąd. Nawet budynki wydają się żywe. Nie są schludne i zadbane jak w Mayfair. Stanowią raczej zlepek cegieł, zaprawy i człowieczeństwa, przepychających się nawzajem w dziwnej, wspaniałej synkopie – tworzącej nowy rytm, do którego pragnę się włączyć.

Ojcowie sadzają sobie na ramionach córki w fartuszkach i synów w marynarskich ubraniach, żeby dzieci lepiej widziały. Malutka dziewczuszka przytłoczona ogromną kokardą we włosach z podnieceniem wskazuje przed siebie.

- Papo! Patrz!

Z zasnutego dymem i parą miejskiego portu wyłania się najwspanialszy widok ze wszystkich: wielka, pokryta miedzią dama z pochodnią w jeden i książką w drugiej ręce. W tym nowym świecie nie wita nas mąż stanu, bóg czy bohater wojenny. Drogę oświetla nam zwykła kobieta, która obiecuje wolność w pogoni za marzeniami, jeżeli mamy dość odwagi, żeby w nią wyruszyć.

*

Gdy śnię, śni mi się tylko on.

Od kilku nocy przychodzi do mnie i macha z odległego brzegu, jakby czekał cierpliwie na moje przybycie. Nie wypowiada ani słowa, ale jego uśmiech mówi wszystko. *Jak się masz? Tęskniłem za tobą. Tak, wszystko w porządku. Nie martw się.*

Tam gdzie stoi, rosną drzewa w pełnym rozkwicie, lśniące od kwiatów we wszelkich możliwych kolorach. Fragmenty ziemi są nadal wypalone i skaliste. Widać twarde, jałowe zagony, na których być może już nigdy nic nie wyrośnie. Trudno powiedzieć. Ale gdzie indziej maleńkie zielone pędy przebijają się przez żyzną, czarną glebę. Ziemia sama się leczy.

Kartik bierze patyk i grzebie w świeżej ziemi. Coś rysuje, ale nie wiem jeszcze co. Wtem przez chmury przebijają się promienie słońca i w ich świetle widzę, co narysował. To symbol: dwie splecione dłonie otoczone przez idealny, nieprzerwany krąg. Miłość. Wstaje dzień i zalewa wszystko jasnym światłem. Obraz Kartika blednie.

Nie! – wołam. – *Wróć!*

Jestem tutaj – odpowiada.

Ale ja go nie widzę. Jest zbyt jasno.

Nie możesz powstrzymać światła, Gemmo. Ale ja jestem tu. Zaufaj mi.

Woda przelewa się przez brzeg rzeki, zamazując jego kontu, aż zupełnie znika. Lecz ja go widziałam. Wiem, że tam jest. A kiedy się budzę, poranne słońce rozjaśnia pokój. Światło jest tak ostre, że pieką mnie oczy. Ale nie śmiem ich zamknąć. Nie mogę. Zamiast tego próbuję

przyzwyczać się do świtu, pozwalając łzom popłynąć, ponieważ jest ranek. Nadszedł ranek, a ja mam jeszcze tak wiele do zobaczenia.

PODZIĘKOWANIA

Podobno potrzeba całej wioski, żeby wychować dziecko. Odkryłam, że to prawda. (Oprócz tego jeszcze wywrotki cukierków M&M's). Aby jednak napisać ostatnią część trylogii, potrzeba więcej niż wioski. Ostatni rachunek wskazuje, że konieczne są: fantastyczna kawiarnia, hektolitry kawy i mnóstwo czekolady, gra *Gitar Hero* (szlag by to, *Bark at the Moon* na poziomie średnim!), spluwaczka, chusteczki higieniczne oraz wielu, wielu pełnych zrozumienia przyjaciół, krewnych, redaktorów, wydawców i innych pisarzy, którzy kiwają głowami, przynoszą lody, a czasami ciągną za linę ratunkową twojej samooceny, żeby cię wyrwać z Otchłani Wiecznej Rozpaczy i Beznadziei. (Nowa nazwa zespołu, wszelkie prawa zastrzeżone).

Naniosłam w tej książce tyle poprawek, że przypomniał mi się film *Czy leci z nami pilot?*: „Popatrz, mogę zrobić kapelusz albo broszkę, albo pterodaktyla...”. Poza tym straciłam sporo nędznej resztki moich szarych komórek, a ponieważ boję się, że o kimś tu zapomnę, pozwolę sobie przekazać jedne wielkie podziękowania i kosz z owocami dla wszystkich, z którymi w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy oddychałam tym samym powietrzem. Na pewno niezwykle mi pomogliście. Poważnie. A teraz specjalne wiwaty na cześć następujących osób:

Mojej redaktorki, św. Wendy z Loggia, która zasługuje, by jej podobiznę umieścić na obrazkach rozdawanych w kościele za to, że dzwoniła do mnie, mówiąc ze spokojem i opanowaniem: „Chciałabym zwrócić ci uwagę, że niektóre terminy już dawno minęły”, zamiast ryczeć przez telefon: „Jeżeli nie dotrzymasz kolejnego terminu, to nadzieję twoją głowę na pikę i wystawię przed drzwiami mojego biura jako ostrzeżenie dla innych autorów!”. Jesteś najlepsza, słońce.

Pam Bobowicz, alias Ostatnia Deska Ratunku, za to, że mogłam wejść do jej biura z tikiem nerwowym i spytać: „Hej, masz minutkę?”, po to, by wypuścić ją ze swych szponów dwie godziny później, streściwszy wszelkie możliwe wątki opowieści. Wydaje mi się, że musiała chować za monitorem butelkę szkockiej. Kocham cię, Pam.

Mojego świętej cierpliwości agenta/męża Barry'ego Goldblatta (to brzmi jak *Chinatown*, prawda? „Mój agent [plask!], mój mąż [plask!]”), który wytrzymał niewiarygodnie dużo jęków i śpiewająco poraził siebie ze mną, a do tego z opieką nad dzieckiem.

Beverly Horowitz – niekiedy potrzeba wioski, a niekiedy najlepszej żydowskiej matki na rynku wydawniczym. Wielkie buziaki!

Chipa Gibsona za to, że siłą odrywał moje palce od klawiatury i zmuszał mnie, bym poszła zjeść ciastko i pośmiać się z ludzi pijących drinki w galaretkę.

Świetnych pracowników Random House, którzy znosili moją obecność przez trzy miesiące, a czasami też obdarowywali mnie czekoladą niczym Święte Mikołaje Wydawnicze.

Holly Black, Cassidy Clare i Emily Lauer, Świętej Trójcy – olśniewających, twardych i mądrych sojuszniczek po piórze – za w s z y s t k o. Stawiam obiad, drogie panie. Holly, jestem gotowa urodzić dla ciebie dziecko, tak bardzo cię kocham. (Rodziłam siłami natury i powiem wam, że to bułka z masłem w porównaniu z napisaniem trzeciej części trylogii).

Rachel Cohn za ciasteczka kawowe (nadal się po nich trzęsę), płyty CD, zapisywanie terminów i towarzystwo.

Maureen Johnson, Justine Larbalestier, Dani Bennett i Jaidy Jones za to, że najszybciej na świecie przeczytały ostatni szkic i przekazały mi swoje bezcenne opinie.

Moich kumpelek Cecil Castellucci, Margaret Cocker i Diany Peterfreund za wdzięk, styl i dowcip.

Nadzwyczajnych bibliotekarzy Jen Hubert i Phila Swanna za pomoc z badaniach i odbieranie moich coraz bardziej rozpaczliwych telefonów.

Delii Sherman, Ellen Kushner, Jo Knowles, Tracie Vaughn Zimmer, Cyntii i Grega Letitch-Smithów, Nancy Werlin, YA Writers, Tony'ego Tallenta i Chaundry Wall za wsparcie i inspirację.

Cheryl Levine, Susanny Schrobsdorff, Pam Carden i Lori Lebovitch za to, że odwozili mnie od myśli samobójczych i byli bardzo miłe.

Kolegów z Kensington Publishing za to, że pozwalali mi brać wolne, kiedy potrzebowałam.

Wspaniale parzących kawę w Tea Lounge na Brooklynie – Aimee, Almy, Amandy, Asi, Beth, Brigid, Geri, Kevina i Rachel – za ciągle dostawy kofeiny i pogody ducha.

Bena Jonesa i Christine Kenneally za to, że byli niewiarygodnie weseli i pomocni, oraz Bandy z Kanapy – Jaffa Stricklanda, Nicoli Behrman, Matta Schwartza, Kyle'a Smitha i Jonathana Hafner-Laytona (a może Layton-Hafnera?) za to, że zawsze wtedy, gdy zaczynałam wyglądać jak Jack Nicholson w *Lśnieniu*, opowiadali mi jakiś kawał.

Mojej mamy, Nancy Bray, za pomoc z poezją. Dzięki, mamuś.

Czytelników, którzy trzymali mnie przy życiu.

Davida Levithana za fantastyczny pomysł na tytuł. Niestety, dział marketingu uznał, że *Liz krople potu mego* nie jest całkiem tym, czego szukamy.

I w końcu dla mojego cudownego syna Joshuy za cierpliwość w sprawie „książki” (tutaj wstawić przewracanie oczami), bo przecież mogłam chociaż napisać coś o królikach ninja albo o smokach. Następnym razem, kotku. Następnym razem.